

Judith Krantz

KSIĘŻNICZKA DAISY

Dla Steve'a mojego męża, mojej miłości, mojego najlepszego przyjaciela – na zawsze.

Specjalne podziękowania składam moim dobrym przyjaciołom, którzy odpowiedzieli na pytania dzieląc się swoimi doświadczeniami: Berniemu Ovetowi Steve'owi Elliotowi Danowi Dormanowi Aaronowi Shiklerowi a zwłaszcza Rosemary de Courcy oraz jej ogarowi Jake'owi.

Rozdział 1

– Równie dobrze mogliśmy zrobić te zdjęcia na szczycie RCA Building – powiedziała Daisy idąc wzdłuż parapetu, z którego wyrastała metalowa balustrada, wzniesiona jako bariera dla potencjalnych samobójców. – Oni nie są ani trochę tak paranoiczni jak wy tutaj, w Empire State. – Z pogardą wyciągnęła rękę w kierunku fragmentu krawędzi. – Tylko, że widzi pan, panie Jones, jeśli to nie będzie widok dokładnie z tego miejsca, przestanie być jasne, że to jest Nowy Jork.

Mężczyzna w mundurze zamarł zaskoczony, kiedy Daisy jednym susem wskoczyła na parapet i zawisła trzymając się prętu balustrady jedną ręką. Wolną ręką zerwała z głowy marynarski kapelusz, który przykrywał związane włosy i rzuciła go, aby podryfował z wiatrem. Posrebrzana wstążka wpadła w silniejszy podmuch, oderwała się i rozdarła na milion drobnych, lśniących nitek.

– Proszę zejść, proszę pani – poprosił szef platformy widokowej. – Przecież mówiłem, że to zabronione.

– Po prostu próbuję pokazać panu o co nam chodzi – upierała się Daisy. – To ma być reklama lakieru do włosów, a czym będzie reklama lakieru do włosów bez wiatru we włosach, może mi pan powiedzieć? Zostaną zwykłe pukle włosów, będzie to nieciekawe i nudne. Wiatr jest tu najważniejszy, panie Jones.

Umundurowany urzędnik spojrzał na Daisy z pełnym zakłopotaniem i podziwem, ale i z konsternacją. Zupełnie nie potrafił jej zrozumieć. Była młoda i tak piękna jak żadna kobieta, jaką dane mu było spotkać, ale ubrana była w męską, znoszoną kurtkę baseballową ze smutnym wspomnieniem BROOKLYN DOGERS na plecach, marynarskie spodnie Marynarki Stanów Zjednoczonych i brudne tenisówki. Nie miał w sobie nic z romantyka, ale poruszyła jego wyobraźnię i niezwykle zafascynowała. Nagle stwierdził, że nie może oderwać od niej oczu. Była jego wzrostu, ale coś w jej wyważonym chodzie nasuwało skojarzenie z wytrenowaną sportsmenką, na długo przedtem, nim popisała się skokiem na parapet, z którego właśnie machała, nieustraszona, natchniona, jakby rzeczywiście próbowała złapać promień słońca. Nadzorca dachu świadom był szczególnej jasności i zwięzłości w jej sposobie wysławiania się, który kazał mu podejrzewać, że nie jest Amerykanką, ale z drugiej strony, czy kobieta nie będąca Amerykanką mogłaby tak się ubierać? Kiedy przyszła pierwszy raz, poprosiła tylko o zgodę na nakręcenie reklamy filmowej na jego dachu i oto wisiała tam jak jakiś cholerny aniołek na choince. Dzięki Bogu, że przynajmniej budynek był zamknięty tego dnia

dla turystów.

– Nie może pani tam wchodzić. Nie wspomniała pani o tym, kiedy ostatnio rozmawialiśmy – zwrócił się do niej z wymówką, starając się ostrożnie podejść bliżej. – Nie wydajemy takich zezwoleń. Byłoby to zbyt niebezpieczne.

– Ależ prawdziwa sztuka zawsze wymaga łamania reguł – odchrząknęła z góry Daisy pamiętając, że kiedy tydzień wcześniej po raz pierwszy przyszła sprawdzić czy jest to właściwe miejsce, dwa banknoty dwudziestodolarowe przekonały pana Jonesa do współpracy. Miała jeszcze sporo takich banknotów w kieszeni. Kilka lat pracy na stanowisku producenta reklam nauczyło ją, że zawsze należy mieć przy sobie gotówkę.

Daisy wdrapała się jeszcze wyżej i głęboko odetchnęła. Był świeży, jasny wiosenny dzień 1975 roku i wiatr wymiół z miasta sadze; rzeki okalające wyspę były tak błękitne i pełne życia jak sam ocean, a Central Park wyglądał jak wielki orientalny dywan rozwieszony u stóp szarych budynków mieszkalnych Piątej Alei.

Uśmiechnęła się do mężczyzny, który obserwował ją z dołu.

– Proszę posłuchać, panie Jones, znam wszystkie trzy modelki, które wezmą udział w zdjęciach. Jedna z nich je wyłącznie surowe jarzyny i stara się o czarny pas karate, druga właśnie podpisała kontrakt na swój pierwszy film, a trzecia jest instruktorem zarządzania i ostatnio zaręczyła się z właścicielem odwiertów naftowych. Czyż takie Amerykanki z krwi i kości mogłyby wpaść na pomysł, aby skoczyć? Wybudujemy im mocny, całkowicie bezpieczny podest. Gwarantuję to osobiście.

– Podest! Nie było mowy o...

Daisy zeskoczyła i stanęła tuż koło niego. W jej ciemnych oczach, nie czarnych, ale o odcieniu szkarłatnego bratka, wyraźnie odbijało się światło późnego popołudnia, kiedy niepostrzeżenie wcisnęła mu do ręki dwa zwinięte banknoty.

– Przepraszam, jeśli pana przestraszyłam, panie Jones. Proszę mi wierzyć, nie jest to bardziej niebezpieczne niż w innych budynkach. Powinien pan sam sprawdzić.

– Nie, nie wiem.

– Ojej, naprawdę – przekonywała Daisy. – Czyż nie obiecał pan, że wszystko będzie gotowe na poniedziałek? Czyż nie obiecał mi pan specjalnej windy towarowej, czynnej od szóstej rano?

– Ale nigdy nie wspomniała pani o wspinaczce powyżej poziomu dachu – odburknął.

– Poziom dachu! – w głosie Daisy brzmiała obojętność. – Gdyby potrzebny nam był po prostu widok z wysoka, znaleźlibyśmy co najmniej kilkanaście odpowiednich budynków w tym mieście, ale nam chodzi o pański dach, panie Jones, a nie czyjś tam.

Zleceniodawcy wyraźnie zażyczyli sobie Empire State Building. Revlon po mistrzowsku komplikował jej życie. Sięgając do kieszeni po jeszcze jedną dwudziestkę, Daisy przypomniała sobie, jak to w czasie, kiedy była jeszcze asystentką producenta, pewien taksówkarz chętnie przyjął czterdzieści dolarów za wyłączenie licznika i zgodę na wykorzystanie jego wozu przez sześć godzin jako tła dla sceny kręconej na ulicy. „Ależ to jest przekupywanie ludzi”, zaproponowała wówczas. „Jeśli chcesz się utrzymać w tym zawodzie, traktuj to jako zapłatę za wynajęcie”, ostrzeżono ją, i posłuchała tej rady. Teraz, jako doświadczona producentka wielu najdoskonalszych reklam jakie kiedykolwiek wyprodukowano – przy założeniu, że lubi się reklamy – Daisy była już uodporniona na tego rodzaju zahamowania i nawet jeżeli pan Jones był nieco trudniejszy niż wielu przed nim, wiedziała, że bywali też bardziej oporni. Miała w rękawie jeszcze jednego asa, który zwykle wygrywał.

– Aha, zapomniałam panu powiedzieć – oświadczyła podchodząc jeszcze bliżej. – Reżyser pytał, czy zgodzi się pan wystąpić w tej reklamie. Stałby pan w tle, jak kluczownik nadzorujący przekraczanie bram zamku. Płacimy za to minimalną stawkę związku zawodowego aktorów ekranu, więc może się pan nie zgodzić, wtedy zatrudnimy aktora, który odegra pańską rolę, ale pan byłby znacznie bardziej naturalny.

– Co...

– Oczywiście, będzie to wymagało pewnego makijażu – zagrała swoją najsilniejszą kartą.

– No cóż, chyba nic się nie stanie. Faktycznie, po co komu lakier do włosów, jeżeli nie ma wiatru? Ma pani rację. Makijaż, co? A czy byłbym w kostiumie?

– Pański mundur świetnie się do tego nadaje. Do widzenia, panie Jones. Do zobaczenia w poniedziałek z samego rana.

Daisy pomachała mu, odchodząc w kierunku zabudowanej centralnej części budynku. Czekać na windę, która miała ją zawieźć na osiemdziesiąte szóste piętro, ta blondynka w baseballowej kurtce, z urodzenia księżniczka Marguerite Alexandrowna Valensky pomyślała, że na szczęście jest choć jedna rzecz na tym świecie, na którą można liczyć: wszyscy pragną kontaktów ze światem rozrywki.

Pan Jones był tylko jednym z długiego szeregu mężczyzn zafascynowanych tym czymś w Daisy Valensky. Na początku tego szeregu był sławny fotograf Philippe Halsman, człowiek, który był autorem zdjęć drukowanych na okładce *Life* znacznie częściej niż pozostali współpracownicy pisma. Późnym latem roku 1952 otrzymał zadanie wykonania pierwszego oficjalnego zdjęcia Daisy na okładkę *Life*, ponieważ absolutnie wszyscy, a przynajmniej tak wydawało się redaktorom magazynu, chcieli wiedzieć jak wygląda dziecko księcia Stasia Valensky'ego i Francesci Vernon. Nagłe małżeństwo wielkiego bohatera wojennego i niedoścignionego gracza polo z niezrównaną, romantyczną gwiazdą filmową z Ameryki, intrygowało świat i wywoływało plotki, które rozprzestrzeniały się i urastały do przesadnych rozmiarów, do czego niewątpliwie przyczyniało "się odosobnione życie, jakie księżę i księżniczka Valenscy prowadzili od kwietniowych narodzin swego pierwszego dziecka.

Teraz, w sierpniu, Francesca Vernon Valensky siedziała z dzieckiem w ramionach na szwajcarskiej łące porośniętej wysoką trawą. Halsman zauważył, że aktorka była zamyślona, wręcz melancholijna. Już dwukrotnie robił jej zdjęcia, ostatnio po tym jak zdobyła Oscara za rolę Julii. Ale bardziej niż tajemniczość matki intrygowało go roześmiane dziecko. Ta dziewczyneczka przypominała hybrydę róży, łącząc różne barwy. Zgodnie z naturą, pomyślał, tylko pokolenia wybiórczej hodowli mogły dać potomka, który miał typowo włoskie, ciemne oczy matki, ale cerę emanującą toskańskim ciepłem, tak jak szczególne miejsce na brzoskwini, od którego zaczyna się ją jeść wiedząc, że jest to najdojrzalsza część owocu. Dziecięcą główkę przykrywały saksońsko-białe loczki otaczające żywą buźkę, jak korona kwiatu.

Stara mamka Stasia Valensky'ego, Masha, która nadal była jednym z domowników, z typowym dla siebie poczuciem ważności poinformowała fotografa, że księżniczka Daisy ma dokładnie takie same włosy jak jej ojciec w dzieciństwie. – To jest prawdziwy kolor blond – oznajmiła z dumą – może z czasem nabrać nieco złotawego odcienia, ale nigdy nie ściemnieje do przyprószonego brązu. Chełpiła się włosami Valenskych, które występowały w każdym pokoleniu od początku dziejów rodu, aż od najwcześniejszych, szlacheckich generacji rosyjskich bojarów, którzy zawsze towarzyszyli carom, od prawie tysiąclecia przed Piotrem Wielkim. Czyż jej pan nie pochodził w prostej linii od Runka, skandynawskiego księcia, który zapoczątkował dynastię carską w dziewiątym wieku? Halsman szybko zgodził się z nią, że Daisy zawsze będzie blondynką. Pamiętając o władczym zachowaniu Mashy i zdając sobie sprawę, że

wkrótce przyjdzie zabrać małą na kolację, pracował w pośpiechu, chcąc w pełni wykorzystać czas jaki mu jeszcze pozostał.

Takt nie pozwalał mu poprosić Francesci, aby wykonała dla niego skok i pozwoliła się sfotografować w powietrzu. Była to jego ulubiona odmiana po serii zdjęć, do których pozowano na siedząco, a także chwyt, jaki z powodzeniem stosował już wobec wielu sławnych osobistości i dygnitarzy najwyższej rangi. Zamiast tego użył wrodzonego wdzięku, namawiając stojącego z tyłu Stasia, aby dał zrobić sobie zdjęcie z żoną i córką.

Ale przy całym swym zrównoważeniu i ogromnym autorytecie Valensky nie czuł się dobrze przed obiektywem aparatu. Prawie przez całe czterdzieści jeden lat życia w głębi umysłu towarzyszyły mu dwie maksymy. Pierwsza z nich była cytatem z Tolstoja: „... szlacheckie życie leży w interesie szlachcica, tylko szlachta jest do niego zdolna”. Druga pochodziła z mocno zniszczonego tekstu omawiającego wierzenia hinduizmu, który wpadł mu w ręce w trakcie krótkiej rekonwalescencji w szpitalu po katapultowaniu się z pierwszego hurricana podczas bitwy o Anglię: „Bądź jak orzeł przelatujący nad przepaścią. Orzeł nie rozmyśla o tym, że leci, po prostu czuje ten lot”.

Ale żadna z tych niezłomnych zasad nie łagodziła mu złego samopoczucia, ilekroć przyszło mu bez ruchu pozować do zdjęcia. Był tak sztywny, że Halsman wpadł na pomysł, aby przejść do stajni, gdzie dziewięć kucyków księżniczki przebywało w wygodnych kojcach pod opieką trzech stajennych.

Francesca tuliła Daisy w ramionach, a Valensky wychwalał zalety swoich zwierząt. Zapomniawszy się z podniecenia, właśnie poprosił fotografa, żeby podszedł i zajrzał do pyska jego ulubionego kuca o imieniu Merlin, odpowiadając w ten sposób na pytanie Halsmana, czy koń pozwoliłby księciu posadzić sobie Daisy na grzbiecie.

– Czemu nie? Merlin jest bardzo spokojny.

– Ale nie jest osiodłany – zwróciła uwagę Francesca.

– Jeszcze lepiej. Daisy musi kiedyś opanować jazdę na oklep.

– Nawet nie umie jeszcze sama siadać – nerwowo zaproponowała Francesca.

– Nie bój się, nie puszcę jej samej – zaśmiał się książę, biorąc dziecko i sadzając je okrakiem w zagłębieniu grzbietu konia, między lędźwiami a kłębami. Francesca wyciągnęła rękę chcąc przytrzymać córeczkę i Halsman wreszcie doczekał się ujęcia na okładkę: niezwykle mężczyzna i niezwykle kobieta, z rękami splecionymi wokół drobnego ciała, z twarzami wzniesionymi ku maleństwu w kwiecistej sukience, radośnie machającym rączkami.

– Ona się wcale nie boi, Francesco – dumnie wykrzyknął Staś. – Byłem tego pewien. W naszej rodzinie kobiety świetnie jeżdżą konno od wieków, mówiłem ci.

– I to nie raz, kochanie – przyznała Francesca ze śmiechem nie pozbawionym śladu smutku typowego dla miłosnego przekomarzania się; śmiechem, który zabrzmiał tylko na chwilę. I ten właśnie moment Halsman wybrał jako właściwy, aby zaryzykować poproszenie księcia o skok. Valensky zareagował na propozycję prawie bez wahania. Zdjął Daisy z konia, chwycił ją pod ramiona, uniósł wysoko nad głową i wykonał spontaniczny, wysoki skok w górę. Dziecko głośno zapiszczało z zachwytu, a Francesca zadrżała. Ona, która dawniej nie wahała się przed podejmowaniem nierozważnego ryzyka. Halsman zastanawiał się, jak bardzo zmieniła się od wyjścia za męż. ;

Rozdział 2

Statek Queen Mary zwykle przepływa trasę z Nowego Jorku do Southampton bez zawijania do portów. Ale podczas tego rejsu, w czerwcu 1951 roku zawiął do Cherbourga i wszystkie silniki zostały wyłączone. Zacamował tuż przed portem i podpłynęła do niego barka, która zatrzymała się w porcie towarowym. Dwunastu marynarzy zepchnęło po trapie dwa wielkie wózki z bagażami, które następnie ułożyli w dwu stertach, jednej ogromnej i drugiej nieco mniejszej. Kiedy wszystkie kufry i walizy znalazły się na swoim miejscu, tysiące zdziwionych pasażerów pojawiły się na pokładach, aby dowiedzieć się o powód opóźnienia. Po krótkim oczekiwaniu trzy osoby zeszły po trapie: szczupły mężczyzna, który szedł pod rękę z zadbaną kobietą, poprzedzany przez cztery pobudliwe pieski, a także samotna kobieta, którą studenci trzeciego roku natychmiast rozpoznali i powitali okrzykami i oklaskami. Podczas gdy Francesca Vernon siedziała na jednej ze swoich walizek i wesoło machała do wielbicieli, księżę i księżna Windsoru stali z godnością koło licznych kufrów, zawierających ich garderoby i nie widzieli żadnego powodu, aby reagować na całe to zamieszanie. Nie raczyli nawet skinąć głową w kierunku aktorki, której twarz była tak znana jak ich własne. Podróżowali zawsze z biurem Cunarda, ale tym razem ich coroczny przyjazd na kontynent zyskał taką niefortunną, publiczną oprawę. Na statku posiłki zawsze spożywali w swoim apartamencie i pojawiali się na pokładzie tylko na spacerach z gromadką psów. Jak to mieli w zwyczaju, uparcie nie zwracali uwagi na gapiów; natomiast u Francesci obecność publiczności powodowała rosnące podniecenie, kiedy patrzyła jak barka podpływa do doku celników, gdzie czekali jej impresario Matty Firestone z żoną Margo.

Firestone'owie przebywali w Europie już od kilku tygodni. Zatrudnili szofera mówiącego po angielsku i wynajęli duży przedwojenny samochód. Francesca siedziała w nim milcząc, przepełniona nadziejami, podczas gdy mknęli po drogach obsadzonych topolami w kierunku Paryża. Kiedy pochyliła się do przodu na miękkich poduszkach siedzenia, jej śniada uroda, która dzięki nieco niemodnej prezencji przywoływała na myśl piętnastowieczne Włochy, lśniła zupełnie nieklasycznym blaskiem nadziei co do najbliższej przyszłości. Trójkąt tworzony przez jej oczy i usta emanował rzadką kombinacją spokoju i zmysłowości. Miała duże, szerokie, czarne oczy. Usta, nawet zamknięte, przyciągały uwagę bardzo wdzięcznymi kształtami: delikatny łuk górnej wargi nieco opadał pośrodku, aby

spotkać się z poduszczką dolnej wargi, jak w uścisku. Margo przyglądała się jej z matczynym podnieceniem. Pomyślała, że Francesca w żadnej swojej roli nigdy nie była tak wzruszająca jak teraz, kiedy wypełniała ją ogromna ekscytacja pierwszymi godzinami na europejskiej ziemi. Tylko parę osób poza Margo, która była przyjaciółką, zausznicką i opiekunką Francesci od sześciu lat, wiedziało, że ta dwudziestoczteroletnia gwiazda filmu nadal pozostawała pod wpływem zwykłych bajek i opowieści o wspaniałych romansach.

– Zatrzymamy się w Paryżu na tydzień – Matty poinformował swoją klientkę. – A później ruszamy w trasę. Najpierw na południe Francji, na Riwierę, potem pojedziemy wzdłuż wybrzeża i dotrzemy aż do Włoch. Odwiedzimy Florencję, Rzym i Wenecję, po czym przez Szwajcarię wrócimy do Paryża. Jak ci się to podoba?

Francesca była zbyt wzruszona, by odpowiedzieć.

W drugiej połowie sierpnia Firestone'owie i Francesca powrócili do Paryża, a Margo planowała dokończyć zakupy przed zaokrętowaniem się na statek w końcu miesiąca. Zatrzymali się w hotelu George V, miejscu dla bogatych turystów, którym nie przeszkadza tłum innych bogatych turystów i którym zależy na wygodnych łózkach, pełnej obsłudze i niezawodnych łazienkach.

Już pierwszego wieczoru Matty natknął się w hotelowym barze na Davida Focha, wicedyrektora wytwórni, z którym przynajmniej raz w miesiącu jadał lunch, jeżeli tylko obaj byli w Hollywood.

– Musicie przyjechać do Deauville na mecz polo w przyszłym tygodniu – namawiał David.

– Polo? – obojętnie odezwał się Matty. – Garstka wystrojonych nieudaczników na znerwicowanych małych konikach? Po co to komu?

– Ależ oni zaszli aż do finałów, a poza tym, wszyscy tam będą – nie dawał za wygraną David.

– Co się nosi w Deauville? – spytała zaciekawiona Margo.

– Dokładnie to, co włożyłabyś płynąc w rejs największym jachtem świata – padła ścisła odpowiedź. – No i, oczywiście, każdy przebiera się trzy razy dziennie.

Margo z trudem powstrzymała się przed oblizaniem warg. Zawsze było jej dobrze w strojach w stylu marynarskim.

– Matty, kochanie, zależy mi na odwiedzeniu Deauville – powiedziała tonem, który uzmysłowił Matty'emu, że dalsza dyskusja jest bezcelowa.

Ponadczasowy, wytworny kurort w Deauville założony został na wybrzeżu normandzkim w roku 1866 przez księcia de Morny. Od początku służyć miał zamożnym arystokratom, którzy zajmowali się głównie wyścigami, hazardem i golfem. Ponieważ w Normandii rośnie najlepsza trawa, tamtejsze krowy dają najlepsze mleko, z którego robi się najlepsze masło i ser. Ta sama trawa niezmiennie przyciąga miłośników koni i okoliczne wsie znane są z ich hodowli.

Na samo miasto Deauville składają się prawie wyłącznie hotele, sklepy, kawiarnie i restauracje, a czyste morskie powietrze sprawia, iż turysta spacerujący edwardiańską promenadą des Planches czuje się, jakby poprzedni wieczór spędzony w kasynie dziwnie dobrze wpłynął na jego zdrowie.

Hotel Normandy, w którym Matty'emu w ostatniej chwili udało się zdobyć pokoje, wzniesiony został w stylu angielskim, częściowo z drewna; zupełnie jakby przeciętny dworek wiejski przekształcono w nadmorskiego giganta. Co roku w sierpniu hotele Normandy, Royal i du Golf gościły liczną grupę turystów, których w październiku niezawodnie widziano w Paryżu, w lutym w St. Moritz, a w czerwcu w Londynie.

W roku 1951 ludzie ci nazywani byli International Set. Ponieważ silnik odrzutowy jeszcze nie istniał, nie można było używać nazwy „Jet Set”, ale już wtedy gazety i pisma, choć nieco mniej przeciążone pracą niż dzisiaj, zafascynowane były przyjazdami i wyjazdami tego szykownego towarzystwa, któremu jakimś sposobem udawało się trzymać z daleka od przyziemnego świata codziennej pracy.

Był to klub napędzany pieniędzmi, chociaż same pieniądze nie gwarantowały jeszcze przyjęcia. Urok, uroda, talent – żadna z tych zalet, nawet jako dodatek do pieniędzy, nie uprawniała do członkostwa w International Set. Podstawą była chęć, wiara płynąca z głębi serca, że pragnie się szczególnego trybu życia; życia, w którym pogoń za przyjemnością i nieróbstwem mogła trwać nie kończące się lata, nie wywołując poczucia winy, życia, w którym praca była w gruncie rzeczy bez znaczenia, a osiągnięcia, z wyjątkiem sukcesów w sporcie i hazardzie, nie były niczym zaszczytnym. Było to życie, w którym wysiłki należało koncentrować na pozornych problemach życiowych tudzież wszelkich jego atrakcjach. Życie, na które składały się: dbałość o nienaganny wygląd, pokazy mody, luksusowe i egzotyczne wnętrza, nieustanne podróże, rozrywka i szerokie znajomości zamiast serdecznych przyjaźni.

Integralną częścią życia International Set był człowiek zwany wówczas playboyem. Prawdziwy playboy sam zwykle nie mógł pochwalić się posiadaniem

wielkiego majątku, ale zawsze bywał tam, gdzie były spore pieniądze. Był w dobrym humorze, obdarzony urokiem, na którym zawsze można było polegać, potrafił dobrze się spisać w każdej grze, taktownie pić jak gentleman, nie wpadać w hazardowe długi i sprawiać kobietom tyle przyjemności, że nie mogły się powstrzymać od opowiedzenia o nim przyjaciółkom.

Książę Alexander Vassilivitch Valensky nie był playboyem. Ale ponieważ bardzo często widywano go w miejscach gdzie przebywali playboye, prasa niejako automatycznie zaczęła używać tego określenia, pisząc o Stasiu.

Ogromny majątek Stasia Valensky'ego stanowił nieprzekraczalną barierę między nim a szeregami playboyów. Była to fortuna, która pozwalała mu na bez troskę, nawet w momentach najdzińszych ekstrawagancji. Choć prawdę mówiąc, nigdy nie uważał, że postępuje ekstrawagancko, bo po prostu mógł sobie pozwolić na każdą zachciankę. Zażywna znajomość z bogactwem nie była obca już jego przodkom, kończąc na ojcu, świętej pamięci Wasylm Alexandrovitchu Valenskym. Tym niemniej Staś Valensky nie zasługiwał na miano businessmana. Aż do 1939 roku, kiedy to gra w polo przerwana została na czas trwania drugiej wojny światowej, cieszył się dziewięciopunktową przewagą zdobytą w roku 1935, która plasowała go w pierwszej dziesiątce graczy w tej dyscyplinie sportu; dyscyplinie tak kosztownej, że liczba zawodników uprawiających ją na całym świecie nigdy nie przekroczyła dziewięciu tysięcy.

Valensky miał powierzchowność świetnego sportowca, który się nigdy nie oszczędza, oraz czujne, wszystkowiedzące oczy urodzonego łupieżcy. Miał przenikliwe spojrzenie i gęste brwi, znacznie ciemniejsze niż blond włosy, które były krótko ostrzyżone i proste jak sierść niewyczesanego psa. Valensky nigdy nie musiał o nic prosić. Albo to dostawał, albo po prostu sam brał. Jego nos, po wielokrotnych złamaniach, przydawał mu aury łobuziaka. Miał cerę typową dla człowieka, który spędza dużo czasu na świeżym powietrzu i wyraziste, żeby nie powiedzieć brutalne, rysy oraz charakterystyczny chód człowieka, który panuje nad wszystkim, gdziekolwiek się znajdzie – szybki i pełen gracji. W międzynarodowym światku polo znany był z umiejętności doboru najlepszych współpracowników. Nie tylko nie zatrudniał więcej opiekunów wędzideł i lejców niż było konieczne, ale był rzadkim przykładem człowieka z wrodzonym instynktem, który pozwalał mu na bardzo bliski kontakt z koniem; bliski do tego stopnia, iż wydawało się, że zwierzę jest jakby przedłużeniem jego sposobu myślenia, a nie istotą obdarzoną własną wolą.

Tym niemniej książę Valensky posiadał dziewięć kuców w przeciwieństwie do

zwyczajowych pięciu czy sześciu, ponieważ zajeżdżał je w nieludzki sposób. Na ogół na kucykach nie jeździ się galopem, a także nie zatrzymuje się ich i nie zawraca przy pełnej szybkości podczas trwania meczu. Staś jeździł tak agresywnie, że wolał mieć świeżego konia na każdą z sześciu części meczu i co najmniej trzy w rezerwie. Według regulaminu ustalonego przez Związek Polo w Hurlingham, nikomu nie wolno „wjechać na przeciwnika w sposób, który mógłby go zastraszyć i zmusić do wycofania z gry”. Staś niewiele sobie z tego robił i wjeżdżał na przeciwników z nigdy nie zachwianą intencją zrzucenia ich z koni. Wielu graczy uważało, że przepisy związku powinny zawierać jakąś karę, która pozwoliłaby zdyskwalifikować Valensky'ego, ale żaden sędzia nigdy jeszcze nie usunął go z boiska.

W Deauville panowała pełna gala i tłumy wolno wypełniały trybuny w oczekiwaniu na finałowy mecz polo. Burmistrz miasteczka, zawiadomiony przez dyrekcję hotelu Normandy, że Francesca Vernon jest ich gościem, osobiście zadzwonił do niej i uprzejmie zapytał, czy zgodzi się wręczyć puchar zwycięskiej drużynie.

– Ja miałem dostąpić tego zaszczytu – powiedział. – Ale gdyby pani się zgodziła, byłby to wielki dzień dla Deauville. Burmistrz doskonale wiedział, że wydarzenie z udziałem gwiazdy przyciągnie znacznie więcej prasy niż zwykła impreza sportowa.

– Cóż... – odezwała się Francesca głosem pełnym wahania, które było tylko zamierzonym pozorem, ponieważ oczyma wyobraźni widziała się już jako kulminacyjny punkt zawodów.

– Będzie jej bardzo miło – zapewniła burmistrza Margo, odebrawszy Francesce słuchawkę. Margo miała jedwabny, biały kostium z brzegami wykończonymi granatowym deseniem, którego nie miała okazji włożyć od początku podróży. Podejrzewała, że może być zbyt formalny jak na mecz polo, ale przy obecności Francesci na tej imprezie mógł się okazać akurat. Margo miała wielką słabość do widoku członków arystokratycznych rodów wręczających nagrody, ale nie przyznawała się do niej nikomu, nawet Matty'emu. Nieraz wyobrażała sobie samą siebie, stojącą tam, pełną wdzięku, uśmiechniętą, jakieś piętnaście centymetrów wyższą niż w rzeczywistości, kiedy otrzymuje bukiet od małego, dygającego dziecka. Jej to się nigdy nie zdarzy, ale czemu nie miałyby to spotkać Francesce?

Firestone'owie i Francesca zaczęli oglądać mecz z zainteresowaniem, które

szybko przerodziło się w zagubienie. Gra toczyła się tak szybko, że naprawdę trudno było za nią nadążyć bez dobrej znajomości bardzo zawiłych przepisów. Mimo to atmosfera była gorąca. Kibice polo, elegancko ubrani i wy perfumowani, oddają się pewnego rodzaju hysterii, w której balansują pomiędzy absolutną znajomością rzeczy widowni na corridzie w Madrycie a ugrzecznionym, wymuskanym Ascot. Wszyscy troje szybko przestali próbować zrozumieć, co było przyczyną głośnych braw lub jęku zawodu i oddali się podziwianiu widowiska, jakiego dostarczało ośmiu wspaniałych sportowców posiadających szybkich koni. Polo było dla sportu tym, czym balet dla tańca, a szachy dla gier planszowych.

Wybuch wrzawy był znakiem, że mecz się skończył. Burmistrz Deauville podszedł do nich i wyciągnął rękę do Francesci.

– Szybciotko, mademoiselle Vernon – powiedział. – Konie są rozgrzane, nie powinniśmy przetrzymywać ich na boisku.

Pod rękę z burmistrzem, Francesca szła przez stadion pokryty grudkami darni, wykopanymi przez końskie kopyta. Szeroka spódnica jej zielonej jedwabnej sukienki w drobne niebieskie i białe kwiatki powiewała jak żagiel na wietrze. Na głowie miała ogromny kapelusz słomkowy z falistym rondem wykończonym jedwabiem z sukni i takąż wstążką. Przytrzymując go wolną ręką, Francesca zdała sobie sprawę, że podczas meczu musiała zgubić szpilki, którymi był przypięty. Aktorka i burmistrz zbliżali się do miejsca, gdzie czekało na nią ośmiu zawodników. Burmistrz krótko przemówił, najpierw po francusku, a później po angielsku. Nagle wręczył Francesce ciężki srebrny puchar. Przejmując go od niego, nieświadomie zdjęła rękę z kapelusza. Natychmiast został zdmuchnięty i potoczył się po ziemi, podskakując od jednej kupki trawy do drugiej.

– Och, nie! – wykrzyknęła zmieszana, ale w tym samym momencie Staś Valensky pochylił się na koniu i podniósł ją jedną ręką. Przyciskając ją do klatki piersiowej, ruszył konno za kapeluszem, który zatrzymał się mniej więcej dwieście metrów od nich.

Nadal przyciskając ją do siebie, Valensky nagle wychylił się z siodła, podniósł kapelusz chwyciwszy za wstążkę i delikatnie włożył go jej na głowę. Trybuny zareagowały na to śmiechem i brawami.

Francesca nie słyszała aplauzu widowni. Dla niej czas się zatrzymał. Instykt nakazywał jej zachować spokój i postawę wyczekiwania w biernym oparciu o kompletnie mokrą koszulkę polo Stasia. Zapach jego potu przyprawił ją o nieopanowane pożądanie. Czowała, że usta wypełnia jej ślina. Miała ochotę wbić się zębami w jego opaloną szyję, wgryzać się w niego dopóki nie poczuje smaku krwi,

zlizywać strużki potu, które ściekały mu pod rozpięty kołnierzyk. Pragnęła, aby spadł na ziemię trzymając ją w ramionach i posiadał ją, właśnie taki jak w tej chwili, zarumieniony, spocony, ciągle jeszcze dyszący z wysiłku.

Opanowawszy się, Staś pomknął kłusem z powrotem do pozostałych jeźdźców. Zeskoczył z konia nie wypuszczając Francesci z ramion, po czym delikatnie postawił ją na ziemi. Jakimś cudem przez cały ten czas nie wypuściła z rąk pucharu i stanąwszy na wysokich obcasach, zachwiała się pod jego ciężarem. Przechwycił od niej puchar, upuścił na trawę i złapał ją za ręce, ratując przed upadkiem. Przez sekundę stali twarz w twarz, złączeni. Po czym on skłonił się i ucałował jedną z trzymanyh rąk. I nie był to konwencjonalny gest, w którym usta ledwie muskają powietrze tuż nad dłonią, ale szczerzy, gorący pocałunek.

– A teraz – powiedział patrząc jej prosto w zdziwione oczy – powinnaś mi wręczyć puchar.

Podniósł go z ziemi i podał jej. W milczeniu przekazała mu go z powrotem. Znowu rozległy się oklaski. Zagłuszona przez hałas powiedziała:

– Przytul mnie jeszcze raz.

– Później.

– Kiedy? – Francescą sama nie wiedziała, jakim cudem zdolna była do tak nieskrępowanej rozmowy.

– Dzisiaj wieczorem. Gdzie mieszkasz?

– W Normandy.

– Chodźmy, odprowadzę cię na trybunę – zaoferował ramię. Wracając do Matty'ego i Margo nie zamienili już ani słowa. Wszystko co było do powiedzenia, zostało powiedziane. Nie można było powiedzieć sobie niczego więcej.

– O ósmej?

Przytaknęła. Tym razem nie pocałował jej w rękę, ale skłonił się lekko i pomaszerował na boisko.

– Boże, co to wszystko miało znaczyć? – dociekał Matty.

Francescą nie odpowiedziała. Margo dostrzegła jej dziwny wyraz twarzy, więc również milczała. Według Margo było to coś nowego, coś, co musiało zostać spowodowane przeżyciem czegoś, czego do tej pory Francescą jeszcze nie doświadczyła.

– Chodź, kochanie – zwróciła się do aktorki. – Wszyscy już wychodzą. – Ale Francescą stała bez ruchu jakby nic nie słyszała.

– Jak masz zamiar się ubrać? – szepnęła jej do ucha. Tym razem Francescą ją usłyszała.

– Nieważne co włożę – odpowiedziała.

– Jak to! – Margo była zaszokowana, autentycznie zaszokowana, po raz pierwszy od dwudziestu lat. – Chodź, Matty, musimy wracać do hotelu – oświadczyła i zostawiwszy go z Francescą ruszyła przodem, mrużąc coś pod nosem. – Nieważne! Nieważne? Czy ona zwariowała?

– Francesca Vernon była jedynym dzieckiem profesora Ricarda delia Orso i jego żony Claudii. Ojciec był dziekanem wydziału języków obcych Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, dokąd wyemigrował w latach dwudziestych z Florencji. Oboje rodzice pochodzili z zamożnego, niegdyś szacownego, wiekowego miasteczka na wzgórzu San Gimignano pod Florencją. W obu rodzinach roiło się od pięknych kobiet, ale wedle ówczesnych bardzo sztywnych zasad, większość z nich skończyła, niestety, w hańbie. Przez setki lat szlachetni Toskańczycy dosiadali koni i jechali do San Gimignano, przyciągani legendami o niesamowitej urodzie cór rodów delia Orso i Veronese. I często, może nawet zbyt często, nie czuli się zawiedzeni.

Kiedy tylko Ricardo i Claudia delia Orso zauważyli u córki pewne dziedziczne cechy, wiedzieli, że ona też będzie bardzo piękna, być może wręcz niefortunnie piękna. Chronili swą najdroższą pociechę jak tylko mogli, chociaż przebywanie wśród rówieśników mogło być korzystniejsze dla Francesci. Lata spędzone na bójkach w piaskownicy czy też w przeciętnym przedszkolu, zabawa z różnymi dziećmi dałyby Francesce znacznie więcej niż setki godzin poświęconych snuciu fantastycznych planów na przyszłość i słuchaniu bajek, które bezustannie czytała jej matka.

Chcąc za wszelką cenę zapewnić Francesce bezpieczeństwo, wypełniali jej dziecięcy umysł opowieściami o dobrych uczynkach z miłości, o bohaterach i bohaterkach, którym życie wypełniały ryzyko i honor. Byli wdzięczną widownią, kiedy, jako mała dziewczynka, zaczęła odgrywać przedstawienia o treści zapożyczonej z bajek, na których była wychowywana. Niewinni i dumni, nigdy nie zdali sobie sprawy, że umacniają Francesce w spoglądaniu na siebie niejako z zewnątrz, w widzeniu w sobie kogoś, kim wcale nie była i w znajdowaniu w tym przyjemności; do tego stopnia, że odgrywane role wydawały się jej bardziej realne niż to wniosło z sobą życie.

Po ukończeniu sześciu lat i rozpoczęciu nauki w szkole, Francesca znalazła sobie pierwszą szerszą widownię. Grając rolę przebiegłej Morgiany w *Ali Babie i czterdziestu rozbójnikach*, spektaklu przygotowanym przez pierwszoklasistów, tylko dzięki okrzykowi "Sezamie, otwórz się!" otwierającemu pieczęć ze

skarbami, poczuła się zupełnie spokojna o swoją przyszłość. Od tego momentu w głębi ducha zawsze grała, choć nie pokazywała tego po sobie. Nawet kiedy nie brała udziału w przygotowaniach do dorocznego przedstawienia szkolnego, przychodziła do szkoły czując się i zachowując jak bohaterka książki, którą akurat czytała, a była w tym tak przebiegła, że przez cały dzień nikt w klasie niczego nie zauważał. Dała się poznać jako osoba, która zaskakuje niespodziewanymi odpowiedziami i nagłymi zmianami humoru. Po prostu taka już była, a przez to, że zachowywała się wysoce nieprzystępnie, znalazła się na szczycie szkolnej hierarchii autorytetów. Wszyscy starali się o jej przyjaźń, ponieważ bardzo niewiele osób zostało nią zaszczyconych.

Rok po roku obsadzano Francescę w głównych rolach w przedstawieniach szkolnych i była wyraźnie lepsza od innych, bo nigdy nikt – nie wyłączając matek pozostałych uczennic – nie poskarżył się, że to niesprawiedliwe. Spektakle, w których zagrałaby inną niż główna rolę, skazane byłyby na niepowodzenie. Samo jej wyjście na scenę niezawodnie powodowało wyczuwalny wzrost zainteresowania widowni. W każdym, nawet najdrobniejszym jej geście była niechybna jakość. Francesca nie studiowała aktorstwa: po prostu kierowała swą niesamowitą wyobraźnię na graną postać i stawała się nią z taką naturalnością, że wydawało się, iż daje upust emocjom i pozwala im malować się na twarzy.

– Spośród wszystkich niedogodności zawodu i życia impresaria najbardziej nie lubię oglądania przedstawień w szkołach średnich – uskarżał się Matty Firestone.

– A co z romansami aktorek? – zapytała go żona Margo.

– W zeszłym tygodniu twierdziłeś, że są gorsze niż negocjacje z Harrym Cohnem.

– Trafiaś w dziesiątkę. Sztuka przynajmniej szybko się kończy – zgodził się Matty, choć nadal robiło mu się smutno na myśl, że skazany jest na obejrzenie spektaklu *Kamieni milowych* Arnolda Benetta w liceum w Berkeley; była to żelazna pozycja repertuaru, preferowana przez klasy maturalne.

– Tylko nie próbuj znowu zasnąć z otwartymi oczami – Margo ostrzegła go z uczuciem. – Denerwuje mnie to... a poza tym Hellmanowie są twoimi przyjaciółmi, nie moimi.

– Ale to ty musiałaś ich zawiadomić, że jesteśmy w San Francisco. Powinnaś była pamiętać, że jest czerwiec, miesiąc maturalny – gderał Matty.

Zawsze spodziewał się po Margo, że zorganizuje mu życie prywatne w równie perfekcyjny sposób, jak robiła to ze swoją garderobą. Była idealną żoną dla impresaria: cyniczna, ale nie bez nieszkodliwych złudzeń, serdeczna, nigdy nie

robiąca niespodzianek i nieskończenie dobra; tak jak Matty był idealnym impresariem: przebojowy, ale lojalny, obdarzony umiejętnością wyczucia na ile można sobie pozwolić podczas negocjacji, wiedział co było zbyt wygórowanym żądaniem, a co zgodą na zbyt mało. A wszystko to przy rzetelnej dbałości, aby nigdy, przenigdy nie skłamać, choć bez popadania w przesadę, jaką byłoby każdorazowe ujawnianie całej prawdy. Ani on, ani Margo nigdy nie ulegali pochlebstwu, ale łatwo można było ich uwieść talentem.

W pierwszym akcie *Kamieni milowych* Francesca delia Orso występowała jako młoda dziewczyna, która właśnie ma wyjść za mąż; w akcie ostatnim miała obchodzić pięćdziesiątą rocznicę ślubu.

– Ta brunetka! – Margo usłyszała szept Matty'ego. Dobrze znała ten ton. Zwykle poprzedzał dobrą wiadomość. Zapowiadał solidne zyski. Oboje wpatrywali się w Francescę, podziwiając jej owalną twarz, delikatny dołek w idealnym łuku brody, równy nos i brwi tak wysokie, że nadawały powiekom jakiejś dziwnej, wzruszającej ważności. Tylko raz w życiu zdarzyło się Matty'emu spotkać kobietę tak piękną jak ta dziewczyna. Była to kobieta, która dała początek jego karierze i na której zbił majątek. Słuchając Francesci wygłaszającej swój tekst, Matty nagle poczuł krople potu na górnej wardze. Potem owłosienie barku stanęło dęba i skurcz ścisnął gardło. Natomiast Margo prędko zorientowała się jak obiecujące były duże, spokojne, władcze oczy tej dziewczyny i jak wielki duch krył się pod jej gładkim czołem. Ale żadne z nich nie wyczuwało jeszcze mocy fantazji w życiu Francesci, siły jej nastrojów, gwałtowności jej bezkompromisowych pasji, w które wpadała z taką łatwością.

Odczekawszy dla przyzwoitości krótki moment po opadnięciu kurtyny, Matty i Margo opuścili nie grzeszącą urodą córkę swych przyjaciół i udali się na poszukiwanie Francesci delia Orso. Znaleźli ją za kulisami, ciągle jeszcze w charakteryzacji siedemdziesięcioletniej kobiety, otoczoną tłumem wielbicieli. Matty nie raczył jej się nawet przedstawić. Interesowali go jej rodzice.

Ale przekonanie Claudii i Ricarda delia Orso zajęło mu długie tygodnie. Chociaż sceniczne popisy córki w szkolnych przedstawieniach przyprawiały ich o radość i dumę, na sugestię impresaria, że zaoferuje jej wyjątkowo opłacalny kontrakt jeżeli przyjedzie do Los Angeles i odda się pod surową kuratelę jego żony, zareagowali oburzeniem i gniewem. Ale ostatecznie, ku własnemu zaskoczeniu, wyzbyli się braku zaufania do Hollywood i uwierzyli w dobre intencje Matty'ego i zadowolające cechy opiekuńcze Margo.

Podczas gdy wydarzenia jakie nastąpiły po wystawieniu *Kamieni milowych*

przestraszyły Claudię i Ricarda, u Francesci nie wywołały żadnego zaskoczenia. Od dawna żyła w świecie marzeń, w którym należało spodziewać się najbardziej zdumiewających zdarzeń, a poza tym jej rozbrykana wyobraźnia podpowiadała, że życie jakie czekało jej rówieśników, nie było jej przeznaczone. Nic nie mogło jej powstrzymać przed sięgnięciem po wszystko, co życie niesło ze sobą.

Francesca Vernon, z urodzenia delia Orso, stała się gwiazdą już w pierwszym filmie. Jej popularność rosła w zadziwiającym tempie jak na tamte czasy, kiedy wytwórnie filmowe były w stanie obsadzić tę samą aktorkę w zaledwie trzech, czterech większych rolach na rok. Od ukończenia osiemnastu lat do osiągnięcia wieku dwudziestu czterech, Francesca kręciła jeden film po drugim, ponieważ była wręcz urodzona do grania głównych ról romantycznych. Ponad dziesięć lat młodsza niż Ingrid Bergman, Bette Davis, Ava Gardner czy Rita Hayworth, królowała na równi z nimi, zdobywając role, które normalnie trafiłyby do angielskich aktorek, a to dlatego, że nie było w Hollywood nikogo, kto mógłby dorównać jej w rolach bohaterek na wielką skalę; szlachetnych, nie chronionych przez szczęśliwe gwiazdy, jak to bywa w tragicznych legendach.

Francesca mieszkała u Firestone'ów przez rok, a potem kupiła sąsiadujący z nimi niewielki dom. Rzadkie i krótkie urlopy spędzała z rodzicami w San Francisco, ale oboje zmarli przed 1949 rokiem. Ponieważ Francesca raczej nie brała udziału w życiu towarzyskim Hollywood, wydawnictwa filmowe szybko okrzyknęły ją tajemniczą kobietą, co sprytny Matty skwapliwie podtrzymywał, widząc jak intrygująco działa to na prasę. Pracownicy działu reklamy w wytwórni w pełni współpracowali w tworzeniu tajemniczej aury wokół Francesci, ponieważ, podobnie jak Matty, doskonale zdawali sobie sprawę, że prawda była nie do przyjęcia dla pruderyjnej widowni lat pięćdziesiątych. Francesca niebezpiecznie zakochiwała się niemal w każdym partnerze z planu i te dyskretne, ale idące na całość, związki kończyły się dopiero z nakręceniem końcowej sceny każdego z filmów. Kochliwa natura Francesci mogła okazać się fatalnym obciążeniem dla Matty'ego, ale na szczęście nabrał pewności, iż wszystkie jej romanse kończą się definitywnym rozstaniem. Nigdy nie kochała człowieka, mężczyzny z krwi i kości. Kochała się w duńskim księciu i w Romeo, w Heathcliffie i w Marku Antoniuszu, w lordzie Nelsonie i tuzinie innych, ale gdy stanął przed nią zwykły, ziemski aktor, stawała się zimna. Stany emocjonalne Francesci ograniczały się do dwóch ewentualności – szalonego uduchowienia teatralnego lub chłodnej obojętności.

Margo Firestone, zaniepokojona powtarzającymi się, poważnymi przygodami miłosnymi Francesci, często z żonatymi mężczyznami, zapytała ją w końcu

dlaczego nie bawi się jak inne młode aktorki w jej wieku.

Francesca wybuchła z oburzeniem:

– Na miłość boską, Margo, za kogo ty mnie masz, do diabła?

Janet Leigh czy Debbie Reynolds, z ich słodkimi miłostkami dla filmowych pismaków? A w ogóle, to komu, do cholery, zależy na zabawie... co za idiotyczne słowo. Mnie chodzi raczej o coś więcej...

wiem, że to brzmi strasznie staromodnie, więc oszczędź sobie wykładu. Jak ja mam dość aktorów! Ale tylko z nimi mam do czynienia.

Tuż przed złożeniem tego oświadczenia skończyła dwadzieścia cztery lata i tego wieczoru Margo Firestone zdecydowała, że Francesca potrzebuje zmiany otoczenia. Była zbyt ograniczona w sztucznym świecie bezpiecznej scenografii, zbyt niezaspokojona, zbyt podatna na krzywdę. A przy tym śmierć obojga rodziców na przestrzeni paru minionych lat pchnęła ją w depresję.

– Gdyby była moją córką – powiedziała Margo w zamyśleniu – byłabym cholernie zaniepokojona.

– Ale przecież w zeszłym roku zdobyła Oscara – odezwał się Matty.

– Tym gorzej. Pamiętasz Luisę Rainer?

– Błagam, nie przypominaj. – Matty postukał w drewno, próbując pozbyć się wspomnienia o tym, co określał jako złe pokierowanie karierą młodej aktorki austriackiej, która zdobyła dwa Oscary z rzędu, po czym znikła ze znaczących filmów pod koniec lat trzydziestych. Niech Bóg broni Francescę przed czymś takim. I jego.

– Poprośmy ją, żeby pojechała z nami do Europy w przyszłym miesiącu – zasugerowała Margo.

– Myślałem, że chcesz spędzić drugi miodowy miesiąc – odpowiedział Matty.

– W gruncie rzeczy nie wierzę w żadne miesiące miodowe, pierwsze czy drugie – Margo była stanowcza. – Zostaw w biurze polecenie, żeby załatwili jej rejs jak tylko skończy *Annę Kareninę* i spotkamy ją na miejscu.

– O pół do ósmej wieczorem, po meczu polo, dzięki wydatnej pomocy Margo, Francesca była gotowa. Ubrana była w wieczorową suknię do kostek z różowo-białego szyfonu, zaprojektowaną przez Jeana Louisa. Góra bez ramiączek, podtrzymywana przez jej drobne kości, była delikatnie udrapowana na biuście. Pierwsza warstwa miała kolor ciemnoróżowy, druga była w nieco jaśniejszym odcieniu różowego i tak dalej aż do piątej, śnieżnobiałej. Na gołe ramiona zarzuciła szyfonową szarfę z takimi samymi warstwami materiału jak suknia. Miała parę metrów długości i tu i ówdzie ozdobiona była delikatnymi bukietkami

jasnoróżowych kwiatków z jedwabiu. Efekt końcowy przypominał osiemnasty wiek i był tak świetny, że robiła wrażenie jakby właśnie zstąpiła z portretu Gainsborougha. Długie włosy, których Francesca nie chciała poświęcić dla modnego strzyżenia na pudła, upięte były na szyi w wielki kok, przy czym drobne loczki luźno zwisały tuż koło uszu i na gładkim czole.

Margo spojrzała na nią z podziwem i zazdrością. Matty wszedł do salonu apartamentu Francesci, żeby sprawdzić jak się ma jego podopieczna.

– Mam nadzieję, że panowie też będą w wieczorowych strojach, kochanie.

– Matty, w Deauville nie wpuszczą cię nawet do kasyna, jeżeli nie jesteś w stroju wieczorowym – pouczyła go Margo.

Ona wiedziała, jak należy się ubrać na pierwszą randkę z księciem. Obmyślała odpowiednie przygotowanie się do niej, od kiedy skończyła piętnaście lat.

– Posłuchaj, moja droga – nie dawał za wygraną Matty. – Ten facet jest prawdziwym księciem. Sprawdziłem to. Ale ma reputację kobieciarza. Zdążył już się rozwieść. Weź to pod uwagę. Tak, tak, wiesz co robisz, nie powtarzaj się.

Siedzieli w oczekiwaniu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Matty otworzył i ujrzał szefa chłopców hotelowych, który w ręku trzymał białe kartonowe pudło.

– Kwiaty dla pani Vernon – powiedział. Matty wziął pudełko i dał mu napiwek.

– Przynajmniej wie jak to robić – zauważył z sarkazmem. Francesca otworzyła przesyłkę i znalazła w niej potrójną spiralną paczkę róż, która z powodzeniem mogła służyć jako bransoletka. Ale wówczas wszystkowidzące oczy Margo dostrzegły mniejsze pudełeczko z czarnego aksamitu, przewiązane niebieską wstążką i ukryte pod różami. Francesca otworzyła je z pośpiechem i z wrażenia wstrzymała oddech. Leżał w nim kryształowy flakonik, dokładnie dopasowany do aksamitnej wyściółki i w trzech czwartych wypełniony wodą. A w nim były trzy gałązki gęsto pokryte kwiatami. Wszystko ze złota. Każdy kwiatek miał pięć okrągłych turkusowych płatków z brylantową różyczką w środku oraz listki z jadeitu. Wyjęła flakonik i postawiła go na stole. To śliczne cacko miało niecałe osiem centymetrów wysokości, a złudzenie wody wywoływał kawałek idealnie czystego kryształu.

– Co... ? Co to jest? – zapytała.

– Sztuczne kwiaty – odpowiedział Matty.

– Faberge... to musi być Faberge... to nie może być nikt inny – westchnęła Margo. – Sprawdź wizytówkę!

Dopiero wtedy Francesca wyjęła z aksamitnego pudełka kartkę z nadrukowanym dwugłowym orłem, znakiem rodziny królewskiej.

Pamiętki te należały do mojej matki. Aż do dzisiejszego popołudnia przekonany byłem, że nie będzie mi dane znaleźć nikogo, kto zasługiwałby na miano ich nowego właściciela.

Staś Valensky – Zna chwyt, których nawet jeszcze nie wynaleziono – powiedział Matty z surową miną.

Ale nawet przy swojej niesentymtalnej naturze musiał przyznać, że ten mały flakonik był nieprzeciętnie cennym przedmiotem. Ten facet miał mnóstwo wad, ale z pewnością nie rozdawał takich rzeczy na prawo i lewo.

Ledwie Francesca zdążyła włożyć różyczki na rękę, telefon z recepcji zawiadomił ich o przybyciu księcia Valensky'ego.

– Słuchaj, kochanie, tylko nie zapomnij, że dynia może zmienić się w karetę – pośpiesznie ostrzegł Matty, ale Francesca wybiegła z pokoju nic nie słysząc. Skonsternowany zwrócił się więc do Margo: – Cholera, to karetę miała się zmienić w dynię, myślisz, że zrozumiała o co mi chodzi?

– Równie dobrze mogłeś mówić po chińsku – odpowiedziała Margo.

Valensky i Francesca Vernon, jakby się umówili, szybko przemierzali zatłoczony hall hotelu Normandy, ponieważ od momentu kiedy wysiedli z windy, ludzie zatrzymywali się, aby popatrzeć na jej niezwykłą urodę wyłaniającą się z kaskad szyfonu. Biały kabriolet Stasia marki Rolls-Royce czekał na nich z otwartymi drzwiami przy wejściu i po chwili jechali niemal pustymi ulicami miasta, w których ludzie o tej porze albo już popijali, albo jeszcze szykowali się do wyjścia.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że jest niemiódnie wcześnie? – zapytał.

– Ale powiedziałaś: o ósmej.

– Chyba nie wytrzymałbym nerwowo do dziewiątej.

– Masz kłopoty z nerwami?

Jej sławny głos, głęboki i miękki, z trudem przedostawał się przez nagle bardzo suche usta.

– Tak, od dzisiejszego popołudnia.

Jej przekorny ton zniknął. Zdjął jedną rękę z kierownicy i położył na jej dłoni. Ten nagły, zwykły kontakt sprawił, że nie była w stanie się odezwać. Żaden z byłych kochanków nigdy nie dotknął jej w ten sposób, nawet w najbardziej intymnych momentach. Te palce były władcze.

Po chwili ciągnął dalej:

– Planowałem, że zabiorę cię na kolację do kasyna... tam odbędzie się bal polo... to szczyt sezonu. Czy bardzo ci na nim zależy? Bo moglibyśmy pójść do restauracji, którą znam koło Honfleur, Chez Mahu. Jest niezła i spokojna, a w każdym razie dzisiaj będzie, bo wszyscy są w Deauville.

– Dobrze, bardzo chętnie.

Ponownie zamilkli i jechali przez ciepły normandzki wieczór, wieczór z szaroniebieskim niebem ponad krajobrazem, który przytulnie zdobiły pola, sady i wiejskie domy, jeszcze widoczne w zachodzącym słońcu, wieczór, kiedy przez dziesięć minut wszystko wydaje się być bardziej zielone niż jest naprawdę.

W Chez Mahu przekonali się, że są w stanie rozmawiać tylko o mało ważnych rzeczach. Staś próbował wyjaśnić, na czym polega gra w polo, ale Francesca nie bardzo słuchała, ponieważ była wręcz zahipnotyzowana szybkimi ruchami jego rąk pokrytych jasnymi blond włoskami, rąk typowych dla zwierzęco męskiego człowieka. Staś z kolei w ogóle nie bardzo wiedział co mówi. Francesca z miejsca dosięgła samych korzeni jego najgłębszego i najstaranniej ukrywanego marzenia. Przez wszystkie te lata posiadał tyle kobiet, na ile miał ochotę: wytworne, mądre, praktyczne i zadbane damy o wspaniałej urodzie, damy z International Set. Był uodpornionym obywatelem świata, któremu dane było przeżyć coup de foudre, pozbawione rozważań, piorunujące zakochanie.

Jest taka młoda, myślał, a tak wyróżniająca się w swoim majestacie. Jej ciemna, zarumieniona twarz mogła równie dobrze sugerować rosyjskie, co włoskie pochodzenie. Przypominała mu miniaturki księżniczek Sankt Petersburga, oprawione w złoto lub drogocenne kamienie, które w przesadnej ilości kilkudziesięciu sztuk stały kiedyś na stolikach wokół kominka jego matki. Kiedy zrzuciła szal, ujrzał nieprawdopodobnie młode i gładkie ciało jej ramion. Łuk szczęki tuż pod uchem tak chwycił za serce, że był pewny, iż wrył mu się w pamięć na zawsze.

Francesca wsłuchiwała się w niski głos Valensky'ego, brutalny męski głos ze słabymi śladami brytyjskiego akcentu, w którym jednocześnie była jakaś ukryta czułość, jakby mówił do nowo narodzonego źrebięcia. W końcu doszła do wniosku, że różnił się od znanych jej mężczyzn tak bardzo, jakby nie należał do ludzkiej rasy. Za każdym razem, kiedy ośmieliła się spojrzeć w jego szare, przenikliwe oczy, czuła się jakby robiła kolejny krok w zupełnie nieznanym terenie. Powiedział jej, że ma czterdzieści lat, ale otaczała go aura siły i dążenia do wytyczonego celu, która mogłaby zawstydić niejednego młodzieńca. Matty miał lat czterdzieści pięć. Przy Stasiu wyglądał na siedemdziesiąt pięć.

Kiedy dopijali kawę zapytał, czy nie zechciałyby odwiedzić jego koni.

– Nie zdarza mi się pójść do łóżka bez zajrzenia do stajni – wyjaśnił. – One na mnie czekają.

– A lubią wizyty kobiet?

– Jeszcze żadnej nie widziały.

– Aha! – zadrwiła poruszona bezpośrednim i niekwestionowanym komplementem. – Tak, pójdę.

Wracali w kierunku Deauville i tuż za Trouville skręcili w wiejską drogę, która po niecałym kilometrze jazdy w szpalerze wiekowych jabłoni zawiodła ich pod bramę w murze z kamieni o nieregularnych kształtach. Na dźwięk klaksonu pojawił się mężczyzna, który otworzył bramę umożliwiając im wjazd. W głębi, na końcu podjazdu stał solidny dom z kamienia, otoczony mniejszymi zabudowaniami wiejskimi.

– Mój zarządca, Jean, mieszka tu z rodziną – powiedział Valensky. – Stajenni mieszkają we wsi i codziennie dojeżdżają rowerami.

Wziął Francescę pod rękę i poprowadził ją w kierunku stajni znajdujących się w pewnym oddaleniu od domu. Dźwięk ich kroków sprawił, że niektóre kuce od razu zaczęły rzeć radośnie i kręcić się w boksach.

– Rzadko mają jakieś towarzystwo, biedaki – zaśmiał się Valensky. – Tylko ja dostarczam im trochę rozrywki wieczorami.

Szedł wolno od boksu do boks, zatrzymując się przy każdym koniu i przedstawiając je Francesce, opisując ich zalety, a jednocześnie badawczym wzrokiem sprawdzając fizyczną i psychiczną kondycję zwierzęcia.

– Oto Tiger Moth, który właśnie spędza tydzień na łące. Ma skaleczony pysk, nic poważnego, ale nie będę na nim jeździł, dopóki się nie zagoi. Gloster Gladiator ma fatalny nawyk zjadania podściółki, więc kazałem słomę zastąpić torfowiskiem. Dobrze; Bristol Beaufighter śpi. Miał ciężkie popołudnie.

– Bristol Beaufighter, Gloster Gladiator?

– Wiem, nie są to imiona typowe dla koni. Są to nazwy samolotów... niezwykłych samolotów. Któregoś dnia opowiem ci o nich.

– Opowiedz mi teraz – zażądała, choć niewiele ją to obchodziło. Nigdy nie spełnioną, beztruską obietnicę "powiem ci to któregoś dnia" słyszała już zbyt wiele razy.

– Tiger Moth to był samolot treningowy skonstruowany przez de Havillanda. Gladiator to był myśliwiec, a Bristol – myśliwiec nocny. Było ich mnóstwo, tylko

że nie pamięta się o nich. Chyba że się na nich latało. Wtedy nie zapomni się nigdy.

Przycichł, zauważywszy, że wcale go nie słucha. W świetle księżyca jej suknia balowa wyglądała jak rzeźba z białego marmuru.

– Chodź – powiedział niechętnie. – Odwiozę cię do hotelu. Bal jeszcze trwa, możemy być w kasynie w piętnaście minut.

– W kasynie? Wykluczone. Chcę wiedzieć więcej o Tigerze Mothu.

– Wcale nie chcesz.

Francesca weszła do pustego boksu, w którym przechowywano koce i obrok i usiadła na beli czystej słomy. Oparła głowę o ścianę i pozwoliła szalowi swobodnie zsunąć się z ramion, doskonale wiedząc, jak taka obiecująca poza podzielała na niego. Z miejsca zrozumiał, że nie była to poza kokietki czy też przekomarzanie się. Posłała mu spojrzenie tak głębokie, że skupiło całą jej płomienną naturę i oferowało mu pełne oddanie się. Valensky zbliżył się do niej jednym susem, objął ją w talii i odwrócił do siebie. Wyszeptał jej do ucha:

– Tiger Moth to był podstawowy samolot treningowy RAF-u.

– Podstawowy... – powtórzyła Francesca stłumionym głosem.

– Bardzo, bardzo podstawowy...

– Valensky pocałował zaokrąglenie jej szczęki tuż przy uchu, po czym przesuwał usta, dopóki ich wargi się nie spotkały. I ta chwila dokonała w obojgu jakiejś nieodwracalnej zmiany. Pokonali pewną barierę i odnaleźli się nawzajem w zupełnie nowym życiu. Niewiele o sobie wiedzieli, ale już byli ponad wszelkie pytania, zapewnienia czy warunki wstępne. To było tak, jak gdyby tych dwoje ludzi, łącząc się, stworzyło trzecią, zupełnie inną istotę, której nigdy, przenigdy nie da się już z powrotem podzielić na dwie osoby.

Francesca odsunęła się od jego ust i podniósłszy obie ręce rozwiązała kok; ciemne włosy opadły na ramiona. Jednym niecierpliwym ruchem roztrzepała je i, patrząc mu prosto w oczy, zręcznie rozpięła pozbawioną ramiączek suknię oraz krynolinę i odrzuciła je jakby to była Włosienica. Bez wahania oswobodziła się ze zwojów szyfonu i ukazała oszałamiająco piękne ciało, ułożywszy się, zupełnie naga, na stercie koców. Cichutko zaśmiała się na widok Stasia, który po momencie kompletnego oczarowania począł pośpiesznie zdejmować smoking. Po bardzo krótkiej chwili był tak samo nagi jak ona. Rzucił się na jej uległe ciało z taką zajadłością – żeby nie powiedzieć kanibalizmem – jakiej nie czuł od lat. A to stworzenie z róż i z pereł w mgnieniu oka zmieniło się w zwykłą śmiertelnicę, która zniecierpliwionym, zachrypniętym głosem błagała go, aby posiadał ją jak najszybciej. Nie pozwalała mu niczego przedłużać; jej własna przyjemność stała się

nieważna, tak bardzo chciała poczuć go w sobie; głęboko, do końca; zawładnąć nim. Kiedy położył się na niej, zareagowała jak królowa z radością otwierając swój skarbiec i doszło do prastarego zbliżenia. Podczas gdy oddawał się jej bez reszty, aż do punktu kulminacyjnego, Francesca spojrzała na jego twarz w świetle księżycy; miał zaciśnięte powieki i wyraz twarzy mówiący o absolutnej koncentracji, wręcz agonii, która wyolbrzymiała rysy. Uśmiechnęła się w sposób, w jaki jeszcze nie zdarzyło jej się uśmiechać. Później leżeli przytuleni pod szorstkimi kocami, a z ich ciał emanowało triumfalne oddanie. Dopiero teraz mogli dotknąć się nawzajem z czułością, raczej odkrywając niż plądrując, pieszcząc niż poszukując łupu. Kochali się jeszcze raz, ale tym razem Staś nie pozwolił Francesce decydować o tempie i z bezgraniczną zręcznością doprowadził ją do orgazmu. Tak przejmująco zwycięskiego, że aż ją przestraszył. Zasnęli na jakiś czas, a po przebudzeniu stwierdzili zmianę ciemności, nieomylny znak nadchodzącego świtu na kawałeczku nieba widocznym w szparze w rogu boksu.

– Twoi przyjaciele... o Boże, co oni sobie pomyślą? – powiedział Staś, nagle przypomniawszy sobie o Firestone'ach.

– Matty narobi szumu jak wściekły ojciec w wiktoriańskim melodramacie, a Margo będzie podniecona, zaintrygowana i zadowolona z siebie. Chyba, że położyli się wcześniej i nawet nie wiedzą, że nie wróciłam... co nie wydaje się jednak prawdopodobne. Za jakieś dwie godziny Matty rozważy możliwość zawiadomienia policji, ale nie zrobi tego, bo nie chce rozgłosu.

– Powinienem dać im znać, że nic ci się nie stało.

– Jest za wcześnie na telefon... spójrz, słońce dopiero wschodzi.

– Pójdę i każę Jeanowi zadzwonić do hotelu i zostawić wiadomość, że nic ci się nie stało i niedługo wrócisz. Zostań tu.

Wrócił po kilku minutach.

– Załatwione. A teraz pomyślmy o naszych planach i poszukajmy jakiegoś śniadania.

– Planach?

– Ślub. Jak najprędzej i bez zbędnego szumu... lub z wielkim szumem, jeśli wolisz. Byleby szybko.

Francesca uniosła się na kocach, zaskoczona; jej sutki były jeszcze twarde i wezbrane po pieszczotach jego ust i zębów, a w splątanych włosach miała kawałki słomy. Z ustami otwartymi ze zdziwienia przyglądała się człowiekowi, który patrzył na nią z góry z absolutnym przekonaniem.

– Ślub?

– A czy jest jakieś inne wyjście?

Usiadł i wziął ją w ramiona, przyciskając jej czoło do miejsca gdzie opalona szyja przechodziła w różowobiałą skórę klatki piersiowej. Podniosła głowę i znowu zapytała:

– Ślub?

Staś okrył ją kocem, bo czuło się poranną wilgoć. Chwycił jej ramiona silnymi rękami, przyzwyczajonymi do posłuszeństwa i kiedy przemówił, w jego głosie było coś z szarży kawalerii.

– Jestem wystarczająco dorosły, aby wiedzieć, że coś takiego nie zdarza się dwa razy w życiu. W moim wieku nie należy już bawić się w zaloty. To jest miłość, do cholery. Nie jestem dobry w wyznawaniu miłości, nie znam odpowiednich słów, nie potrafię ci powiedzieć co czuję, bo nigdy tego nie robiłem. Nigdy nie używałem prawdziwych słów, posługiwałem się innymi słowami, słowami gry miłosnej, słowami uwodzenia.

– Za to ja używałam wszelkiego rodzaju prawdziwych słów, najpiękniejszych słów jakie napisano, ale też nigdy nie byłam zakochana, więc pod tym względem się nie różnimy – wolno odpowiedziała Francesca, zrozumiałwszy prawdę, o której nigdy przedtem nie mówiła głośno.

– Czy kiedyś już tak się czułaś? Czy wyobrażasz sobie, że mogłabyś znowu tak się czuć? – dociekał Staś.

Francesca zaprzeczyła ruchem głowy. Łatwiej było zrezygnować ze wszystkiego co do tej pory składało się na jej życie niż wyobrazić sobie jakąkolwiek przyszłość z dala od Stasia.

– Ale... może powinniśmy się najpierw poznać? – zasugerowała i natychmiast roześmiała się, ponieważ zabrzmiało to strasznie konwencjonalnie.

– Poznać się? O Boże, doszlibyśmy do tego samego punktu. Nie, powiemy im, że postanowiliśmy się pobrać i koniec. Powiedz tak, Francesco.

Francesce przepelniała romantyczna natura. Nie powiedziała tak, ale skłoniła swą królewską głowę i namiętnie całowała jego ręce, z pasją wyrażającą uległość i oczarowanie. Zapłakała, a on ucałował jej mokre oczy.

Słońce było już wysoko i nagle dotarły do nich różne hałasy, typowe dla wiejskiego gospodarstwa.

– Powinnaś się ubrać – powiedział Staś z chłopięcym uśmiechem.

– Ubrać się? Czy ty masz zielone pojęcie... ? – pokazała na pognieciony szyfon i jedwabne kwiatki na brudnej stajennej podłodze. – Nie mówiąc już o tym!

Pomachała koronkową bielizną, którą wyciągnęła spośród końskich pledów.

Nazywano to Wesołą Wdówką; gorsecik bez ramiączek, który niżej przechodził w modną szczuplutek talię i sięgał aż do bioder, gdzie kończył się podwiązkami przytrzymującymi pończochy.

– Pomogę ci... tylko, że zrzuciłaś to z siebie tak szybko.

– Są różne sposoby, ale włożenie tego z powrotem, to już inna sprawa. Nie, Stasiu, to po prostu nie nadaje się już do włożenia – błagała. – Spójrz, palce mi drżą.

Oboje zamarli w bezruchu, przerażeni gwizdaniem nadchodzącego pomocnika stajennego.

– Odeślę go – wyszeptał Staś, powstrzymując się od śmiechu.

– Wejdz do środka.

Francesca zanurkowała w koce z chichotem. Przejście od wielkiego romansu do farsy było oczywiste, jako że jednym okiem widziała kucyka w sąsiednim boksie; wyciągał łeb w jej kierunku i parskał, zupełnie jakby chciał wyrazić szok i oburzenie – co do tego nie miała wątpliwości – jednocześnie starając się zwrócić uwagę całej stajni na ich zachowanie. Po chwili Staś wrócił niosąc jakieś ciuchy.

– Dogadałem się z tym chłopakiem – powiedział wręczając jej parę wypastowanych starych butów do konnej jazdy, wytartą niebieską koszulę i znoszone bryczesy. – Jest mniej więcej twojego wzrostu i rano się kąpał, choć zagwarantować nie mogę.

Podczas gdy Francesca ubierała się w rzeczy stajennego, dzięki Bogu czyste i tylko dwa numery za duże, Staś poszedł do samochodu po jej wieczorową torebkę. Przejrzała się w lusterku i stwierdziła, że na twarzy nie pozostał ani ślad makijażu. Ale nie chciało jej się teraz malować. Francesca zachwycona była podrapaną, zaczerwienioną skórą, posiniaczonymi wargami, nieznanym jej dotąd podnieceniem w oczach.

– Potrzebny mi pasek – stwierdziła.

Staś przejrzał różne pasy wiszące na haku w ścianie.

– Martynał jest za długi. Cugiel? Nie, też się nie nada, tak samo jak wędzidło. Dałbym ci mój krawat, gdyby się znalazł, ale i tak byłby za krótki. O, to powinno być dobre – podał jej długi, złożony we dwoje kawałek materiału.

– Co to jest?

– Bandaż na ogon. Kucykom podwiązuje się ogony, żeby nie zaczepiały nimi o słupki na boisku.

– I kto powiedział, że romans umarł? – zapytała.

– Powiedźcie im, że była to wola boska – Francescę rozśmieszyła ogłupiała

mina Matty'ego.

– Musiałabyś najpierw zajść w ciążę! – wybuchnął impresario.

– Nie masz żadnego poważnego usprawiedliwienia! Odrzucasz wspaniałą karierę dla małżeństwa z jakimś rosyjskim graczem polo, o którym nie wiadomo skąd się wziął i jesteś tak niefrasobliwa, jak te cholerne aniołki tańczące na główce szpilki.

Francesca stawiała zdecydowany opór, stosując podobną logikę:

– Matty, ile lat dane jest człowiekowi żyć u szczytu powodzenia? Ile jest takich cudownych lat? Lat fajerwerków? Pierwszy raz kocham prawdziwego mężczyznę, więc powinno to cieszyć również ciebie! – zażądała z denerwująco obojętnym uśmiechem. – Chcemy mieć wszystko, Matty, wszystko co tylko można mieć i chcemy tego teraz. Dlaczego mamy tego nie mieć? Możesz mi dać choć jeden przykład czegoś, co będzie miało jakiegokolwiek znaczenie, nawet za dziesięć lat? – zaatakowała go.

– Dobra, cieszę się, jestem zachwycony, rozradowany. Moja najlepsza klientka, którą traktuję jak córkę, wychodzi za mąż za jakiegoś chłystka, którego poznała wczoraj. Kto mógłby żądać – lepszego powodu do radości? I co mówi, kiedy pytam dlaczego musi to zrobić natychmiast, dlaczego nie może najpierw wrócić do domu, nakręcić Robin Hooda i wtedy wziąć ślub? Co mówi, kiedy tłumaczę, że nikt nie ma zamiaru zabronić jej wyjścia za tego jej księcia, ale może powinni najpierw lepiej się poznać?

– Powiedziałam – odezwała się Francesca z rozmarzeniem – że czuję, że dobrze robię. Że nigdy w życiu nie byłam niczego tak pewna, że czekałam na niego przez całe życie, a teraz, kiedy go znalazłam, nigdy go nie opuszczę.

Coś w głosie Francesci przekonało Margo, że cokolwiek ta dziewczyna zamierza, nie da się tego ani uniknąć, ani opóźnić. Matty podniósł ręce do góry:

– Poddaję się. I tak od początku byłem bez szans. Dobrze, zrobisz po swojemu i koniec. Wyślę telegram do wytwórni. A oni założą sprawę, mają do tego pełne prawo. I w dodatku wygrają.

Wiedziałem, że nie powinniśmy byli przyjeżdżać do Europy. Ludzie w niej wariują!

Rozdział 3

Francesca nie praktykowała *od* lat, ale tak jak wszyscy katolicy, nadal znała obrządki kościelne. W porównaniu z tym co pamiętała ze szkółki niedzielnej w Berkeley, ceremonia zaślubin w rosyjskiej katedrze prawosławnej w Paryżu robiła wrażenie fantasmagorycznego dzieła z Hollywood, bizantyjskiego i uduchowionego. Podświadomie niemal spodziewała się usłyszeć „Stop” reżysera, gdy po bardzo drugiej mszy oboje trzykrotnie pili czerwone wino z pucharu, a następnie, poprzedzani przez popa, trzykrotnie okrążali pulpit. Obłoki z kadzideł falowały wokół nich w świetle setek świec, a wrażenie nierealności potęgował majestatyczny, głęboki głos męskiego chóru śpiewającego a capella, dla którego jedynym kontrapunktem był niebiański chór dziecięcy. Kiedy szli, dwóch przyjaciół Stasia niosło korony nad ich głowami, a Francesce wydawało się, że tłum zafascynowanych obserwatorów to po prostu statysci.

Chociaż usiłowali utrzymać datę ślubu w tajemnicy i zaprosili tylko niewielką grupę przyjaciół, wieść o ich zamiarach szybko się rozniosła i katedra była po brzegi pełna ciekawskich. Jak wymagał obyczaj, stali przez cały czas trwania uroczystości i nie bardzo zachowywali porządek, usiłując za wszelką cenę coś zobaczyć.

Stasiowi, pomimo wcześniejszych zapewnień o uniknięciu wielkiego szumu, zależało na mszy z pełną oprawą długiego rytuału, bo pamiętał swój pierwszy ślub, zawarty w pośpiechu i bez należytej powagi w urzędzie stanu cywilnego w walczącym Londynie. Życzył sobie, aby Francesca została dwukrotnie ukoronowana, najpierw wieńcem z kwiatów wkładanym na włosy, a następnie weselną koroną, którą trzymano w powietrzu nad jej głową. On, który spędził w Rosji tylko jeden, dawno zapomniany rok życia, zażyczył sobie całego bogatego symbolizmu szlachetnej publicznej ceremonii, atawistycznej, ale mimo to pełnej życia. Poprosił nawet namaszczonego popa ze wspaniałą brodą, odzianego w srebrny ornat i kapłański ubiór głowy, aby związał ich ręce jedwabną chusteczką na czas przejścia wokół ołtarza, zamiast tradycyjnego trzymania ich za ręce.

Francesca zgadzała się na wszystko. Od momentu kiedy w stajni podjęła decyzję, żadne szczegóły nie miały dla niej najmniejszego znaczenia. Żyła w kręgu wzniosłej obojętności wobec wszystkiego z wyjątkiem Stasia i wewnętrznej wizji ich dwojga połączonych na zawsze.

Margo była w żywiole załatwiająca sprawy, których nikt inny nie byłby w stanie

załatwić. Błyszczała na triumfalnym ślubie Francesci i świadomie to wykorzystywała, przyznawszy w duchu, że w głębi serca nie cierpiała i nie wierzyła w bezgustowną prostotę.

Przyjęcie weselne w hotelu Ritz było bez wątpienia największym osiągnięciem w karierze Margo Firestone. Pod jego koniec Staś zniknął wraz ze swoją nową księżniczką. Nawet Firestone'owie nie wiedzieli, że zatrzymali się w ogromnej wiejskiej willi Stasia pod Lozanną, gdzie nareszcie mogli zacząć nie kończące się, niespieszne wzajemne poznawanie. Jeżdżąc konno, spacerując lub leżąc obok siebie, opowiadali sobie długie historie z lat dziecięcych i nie mogli przestać myśleć o tym, że gdyby nie przypadkowa uwaga wygłoszona w barze paryskiego hotelu przez mężczyznę, którego nawet nie znali, mogli byli w ogóle się nie spotkać.

Francesca spędzała bezsenne noce, chociaż jej ciało domagało się snu po idyllicznym dniu zaspokajania namiętności. Wolą patrzeć na Stasia w migającym świetle lampki pod ikoną na przeciwległej ścianie sypialni, pogrążając się w rozmyślnościach o jego zaletach. To bohater wszystkich baśni jakie czytała, powtarzała sobie. Bezpośredni, szarmancki, nieustraszony... Miał wszystkie te cechy i jeszcze coś więcej. Próbowwała dobrać odpowiednie określenie i w końcu je znalazła. Nieprzemijający.

Żył wystarczająco długo, aby dać się poznać – takich słów mogłaby użyć Francesca opisując ojca Stasia, księcia Wasylego Alexandrowicza Valensky'ego. Ten człowiek o nienaganej prezencji, wysokiej pozycji społecznej i znakomitym zdrowiu, weteran pół setki miłostek ze ślicznymi balerinami z teatru Marinsky, w wieku czterdziestu lat doszedł do wniosku, że czas znaleźć sobie żonę. Zupełnie beznamiętnie postanowił oświadczyć się księżniczce Tatianie Nikołajewnej Stargardowej, ponieważ żadna inna debiutantka z roku 1909 nie miała pochodzenia, jakiego wymagała jego pozycja. Nagle zimą 1910 roku zdał sobie sprawę, że w sposób zupełnie niespodziewany, uchybiający jego godności, ale nieodwracalny, zakochał się we własnej żonie.

Przed zaręczynami Tatiana była nęcąco piękna, ale ilekroć spotykali się na przyjęciu lub w operze, jej duże niebieskie oczy przykrywały spuszczone powieki. Ubierała się w przesadnie skromne suknie po samą szyję i przemawiała miękkim głosem, który mógł sprowokować najwyżej wesołość, ale na pewno nie pożądanie. Sądząc po niewyszukanym uczesaniu blond włosów i rumieńcu jakim reagowała, kiedy się do niej odzywał, Valensky spodziewał się, iż jego żona będzie łagodna,

poprawna, z pewnością staroświecka. I niezawodnie tak nudna jak większość żon jego znajomych. Ale jeszcze przed końcem miesiąca miodowego, gorącokrwista i sprytna Tatiana bez reszty ujęła męża, a on przekonał się, że poślubił władczą i wymagającą panią domu.

Tego dnia, niecały rok po ślubie, opuszczając swój pałac z marmurowymi kolumnami nad kanałem Moika, książę Valensky zauważył z rozbawieniem delikatnie zabarwionym rezygnacją, że znowu wszyscy i wszystko w pałacu zostało przewrócone do góry nogami i przenicowane, ponieważ Tatiana przygotowywała swój kolejny bal. Rozkoszowała się nową pozycją jednej z najznamienitszych pań domu Sankt Petersburga. Uwolniona przez małżeństwo od wystawnych, ale dozorowanych i zgodnych z dobrymi manierami towarzyskimi, bals Blanc, podczas których dziewczęta tańczyły statecznego kotyliona, dziewiętnastoletnia księżniczka na nowo ożyła i nie traciła czasu w staraniach o czołową pozycję w elicie miasta-imperium.

– Do Denisowa-Urałskiego – książę Valensky wydał polecenie obwieszonemu medalami portierowi w liberii, który sprawował pieczę nad wejściem do wrzącego życiem pałacu. Dwóch służących zatrzasnęło za nim drzwi i swobodnie opadł na tylne siedzenie niezwykłych sań, wyczelowanych w hebanie i wykończonych skórą, z jakiej robi się rękawiczki.

Woźnica Boris ubrany był w zimowe umundurowanie: ciemnoczerwony welwetowy płaszcz z futrzaną podpinką i poślaczanym pasem i w takim samym kolorze trójkątne nakrycie głowy. Tak jak wszyscy woźnicy szlachty, miał imponującą brodę i uwielbiał powozić czterema potężnymi czarnymi końmi tak szybko, jakby był sam na zatłoczonych ulicach Sankt Petersburga. W rzeczywistości Boris traktował wielkich księżąt jak zwykłą dekorację, natomiast swojego pana, który szczylił się orderami Aleksandra Newskiego, Vladimira i Św. Andrzeja, jak najważniejszą osobistość, tuż po carze. Był dumny z siebie, kiedy udało mu się pokonać dystans między pałacem a sklepem Denisowa-Urałskiego bez zatrzymywania się, a nawet bez zwolnienia z powodu innych sań. Uważał, że uwłaczałoby to księciu.

Sprawą, którą Wasily Valensky miał do załatwienia tego grudniowego dnia było nabycie prawdziwej menażerii. Jego żona nie wyzbyła się dziecięcego uwielbienia dla figurek zwierząt i postanowił zaskoczyć ją świątecznym prezentem, jeśli w ogóle można było ją zadowolić, pomyślał uśmiechając się do siebie. W ciągu pół godziny wybrał sporo cennych figurek, wszystkie w dwóch egzemplarzach, żeby Tatiana mogła bawić się w arkę Noego. Były wśród nich słonie wyrzeźbione w

carskim jadeicie z cejlońskimi szafirowymi oczami, lwy z topazu z oczami z rubinu i brylantowymi pazurami oprawionymi w złoto, a także żyrafy wykonane z ametystu, z oczami z kaboszonowego szmaragdu o brylantowych źrenicach. Następnie książę poszedł piechotą do salonu Faberge i powiększył kolekcję o mniejsze zwierzątka: żółwie z różowego agatu z głowami, łapami i pazurami ze srebra i złota oraz grzbietami zdobionymi perłami, papużki z białego koralu, a do tego całe stadko rybek wyrzeźbionych w zielonym, różowym, fiołkowo-różowym i brązowym jadeicie, wszystkie z oczami z brylantu w kształcie różyczek.

Mając to przyjemne zadanie za sobą, kazał Borisowi zawieźć się do biura. Po tysiącu stu latach szlacheckiej historii rodu, jego posiadłości rozrzucone na ogromnym obszarze Rosji były tak wielkie, że utrzymanie ich wymagało pomocy zastępów zarządców, z których wielu pochodziło z Niemiec i ze Szwajcarii. Posiadłości księcia na Uralu dostarczały jedną czwartą światowego wydobycia platyny. Był właścicielem setek kilometrów kwadratowych plantacji trzciny cukrowej pod Kurskiem oraz kilkudziesięciu tartaków, które zaopatrywane były przez kilkaset hektarów lasów. Ale jego ulubiona żyzna ziemia leżała w okolicy Kaszynia. Był to obszar sadów i gospodarstw produkujących nabiał. Hodował tam konie, które wygrywały wyścigi i wydawał przyjęcia, na których setki szlachciców polowały na utuczone sarny, dziki i tysiące łownych ptaków.

Tam również, wraz z małżonką, jeździł konno leśnymi ścieżkami i tam – ku własnemu zaskoczeniu, książę Wasily doskonale pamiętał – często kochali się w kryjówkach wynajdywanych w lesie, jak chłopci. Trudno było porównać tamtą rozczochraną, niecierpliwą dziewczynę, którą z pośpiechem posiadł w gniazdku jakie uwili sobie z mchu i liści, z tą wielką damą ukoronowaną brylantowo-szmaragdową tiarą po matce, która tego wieczoru miała przyjąć ośmiuset gości; wyłącznie przedstawiciele szlachty, a wszystkich strojnych w złoto lub srebro, zgodnie z jej życzeniem. Będą tańczyć do muzyki sześciu orkiestr, a o północy setki służących w liberjach podadzą kolację na złotej i srebrnej zastawie, a towarzyszyć jej będzie dyskretna muzyka dwóch cygańskich zespołów muzycznych. Wychodząc z pałacu Valensky zauważył ogrzewane powozy, które przywiozły kwiaty sprowadzone przez Tatianę z Riwiery. Ich prywatny pociąg wysłany został do Nicei, gdzie załadowano go kwiatami w pęczkach. Następnie szybko przewieziono je przez skutą zimą Europę i wyładowano na dworcu w Sankt Petersburgu, kiedy właśnie zaczynały rozkwitać. Połowa kwiatów Francji – lilie, róże, hiacynty, żonkile i fiołki parmeńskie, otwierały swoje kielichy na ten jeden wieczór w mieście nad Zatoką Fińską, gdzie panowały nie kończące się zimy i

wiały wilgotne i mroźne wiatry.

W listopadzie 1911 roku urodził się syn Wasily'ego i Tatiany. Dali mu imię Aleksander, po dziadku ze strony ojca. Młoda matka, która musiała zrezygnować z rozrywek na czas ciąży, teraz postanowiła przetańczyć każdy wieczór. Valensky nawet nie próbował wyperswadować żonie pogoni za rozrywką i uczestnictwem w balach organizowanych przez Szeremietiewów czy Jasupowów, Sałyków i Vasilczików. Przewodziła wszystkim damom Sankt Petersburga w zapale, z jakim tańczyła walca i zadziwiała pomysłowością na balach kostiumowych księżnej Marie Kleinmichel.

Nadejście Wielkiego Postu, który zaczynał się w niedzielę poprzedzającą Środę Popielcową, oznaczało koniec potańcówek.

Bale zastąpiono koncertami i wystawnymi kolacjami. W opinii mamki Aleksandra, Mashy, zmuszało to jej panią do wcześniejszego kładzenia się spać, co tylko mogło jej dobrze zrobić. Chociaż księżniczka tylko od czasu do czasu zaglądała, aby sprawdzić jak Masha opiekuje się maleństwem, ta wiejska dziewczyna, silna, prosta i wrażliwa, w głębi duszy uważała, że pomimo wspaniałej urody, księżniczka wyglądała na zmęczoną i była wychudzona. Masha miała zaledwie siedemnaście lat. Całe życie spędziła w kaszyńskiej posiadłości Valenskich i miała pecha urodzić nieślubne dziecko dzień przed narodzinami Aleksandra. Niestety, niemowlę Mashy zmarło i zarządca natychmiast wysłał ją do Sankt Petersburga, aby wykarmiła nowo narodzonego dziedzica. Tęsknota za domem zniknęła, kiedy mały książę Aleksander zaczął domagać się jej mleka.

W ostatnią niedzielę przed postem Valenscy udali się do wiejskiej posiadłości na proszony obiad. Później przyłączyli się do kuligu trojek i zakończyli popołudnie udziałem w szaleńczej bitwie na śnieżki. Kiedy ostatni taniec sezonu skończył się wraz z wybiciem północy, Wasily był zaskoczony usłyszawszy, że Tatiana bardzo chce wracać do domu. Spodziewał się, iż będzie w rozpaczy mając w perspektywie okres zawieszenia zabaw, a tymczasem była tak zmęczona, że zasnęła w jego ramionach, kiedy wracali ogrzewanym powozem. Następnego rana spała długo, a mimo to wstała nie mniej wyczerpana niż była poprzedniego wieczoru. Narzekała rozdrażnionym tonem, że się starzeje.

Wasily natychmiast wezwał lekarza. Nigdy przedtem nie widział Tatiany tak apatycznej i drażliwej, więc przestraszyło go to. Lekarz spędził mnóstwo czasu w różowo-srebrnej, adamaszkowej sypialni Tatiany. Kiedy w końcu wyszedł, jego diagnoza brzmiała: nieznaczne przekrwienie oskrzeli, skłonność do nadmiernego

napięcia nerwowego i stan podgorączkowy.

– Jak to leczyć? – niecierpliwie dopytywał się Wasily, przerywając doktorowi nie kończące się wywody medyczne.

– Cóż, proszę księcia, myślałem, że od razu pan zrozumie. To może być zapalenie płuc, a w jego konsekwencji – choć, pojmuję pan, że nie jestem specjalistą – nawet gruźlica.

Valensky stał, jakby został postrzelony i miał za chwilę upaść. Tatiana i gruźlica? Tatiana, która galopowała w bryczesach jak za czasów Katarzyny Wielkiej; Tatiana, która po prostu wybuchała śmiechem, kiedy podczas wyścigu wypadła z przewróconej trojki i wylądowała w zaspie; Tatiana, która bez lęku zjeżdżała toboganem z niebezpiecznych wzgórz pokrytych lodem; która urodziła ich syna, nawet nie jęknąwszy przez sześć godzin trwania porodu; Tatiana, która pozwalała mu posiąść się na polu, choć w każdej chwili mogli zostać znalezieni przez chłopów zbierających plony?

– Niemożliwe! – wykrzyknął.

– Proszę księcia, nie jestem specjalistą. Musi pan zadzwonić do doktorów Zevgoda i Kouskofa. Nie mogę brać odpowiedzialności.

Lekarz skierował się do drzwi, usiłując wyjść zanim książę zda sobie sprawę, że to co powiedział mogło równać się wyrokowi śmierci.

Zevgod i Kouskof byli zgodni co do koniecznych kroków, jakie należało podjąć. Księżniczka przyznała im się, że od paru miesięcy pociła się w nocy i miała gorszy apetyt, ale – być może niemądrze – postanowiła się tym nie przejmować. Beztroska i męczący tryb życia pogorszyły jej stan i teraz nie było już czasu do stracenia. Księżniczka powinna natychmiast wyjechać do Davos w Szwajcarii, gdzie stosowano lepsze metody leczenia takich przypadków niż gdziekolwiek indziej.

– Na jak długo? – zapytał Wasily z rezygnacją.

Doktorzy zawahali się, żaden nie chciał brać odpowiedzialności za decyzję. W końcu przemówił Zevgod:

– Tego nie da się przewidzieć. Jeśli księżniczka dobrze zareaguje na kurację, być może będzie mogła wrócić za rok... lub dwa. Może trochę później. Ale dopóki nie będzie kompletnie wyleczona, nie wolno jej wracać do tego wilgotnego miasta. Jak pan wie, jest ono zbudowane na bagnach i błotach. Powrót tutaj byłby samobójstwem dla każdego człowieka cierpiącego na chorobę płuc.

– Za rok!

– Byłby to cud – ze smutkiem dodał Kouskof.

– Czyli tak naprawdę leczenie potrwa lata, czy w gruncie rzeczy to usiłujecie mi powiedzieć, panowie?

– Niestety tak, proszę księcia. Ale księżniczka jest młoda i silna... Należy mieć nadzieję na szybkie wyzdrowienie.

Valensky pożegnał lekarzy, poszedł do swojego gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Nie był w stanie oznajmić swojej odważnej, tętniącej życiem najdroższej żonie, że muszą się rozstać na trzy miesiące, nawet na trzy tygodnie. Nic na świecie nie mogło zmusić go do skazania jej na życie w sanatorium. Samo to słowo przyprawiało go o przerażenie. Nie! Musi pojechać do Davos, jest to konieczne, ale wobec tego wezmą Rosję ze sobą.

Księżę Valensky wysłał swego głównego sekretarza do Davos, aby wynajął największą z dostępnych willi. Trzy francuskie pokojówki księżniczki otrzymały polecenie natychmiastowego spakowania kufrów swojej pani. Jeden z nich zawierał tylko rękawiczki ; wachlarze, trzy następne – wyłącznie wąskie, haftowane kapcie atłasu; suknie spakowano w dwanaście kolejnych, futra wypełniły cztery, a pięć następnych było na bieliznę. Zmuszona do pozostawienia części odzieży, z uroczym dąsem powiedziała Wasily'emu, że to szczęście, iż nie jest przewrażliwiona na punkcie garderoby jak cesarzowa Elżbieta, która była posiadaczką piętnastu tysięcy sukien.

W tym czasie inni służący pakowali najcenniejsze przedmioty znajdujące się w pałacu. Nadzorował ich drugi osobisty sekretarz księcia. Wybierał tylko najwybitniejsze dzieła z okresu Ludwika XV i XVI. Ostateczną decyzję o tym, które dzieła sztuki należało zabrać podejmował osobiście Valensky. Był zapalonym kolekcjonerem sztuki, ale nie znając powierzchni domu, w którym przyjdzie mu zamieszkać, wziął tylko sztalugowe obrazy Rembrandta, Bouchera, Greoze'a i Fragonarda, pozostawiając płótna Raphaela, Rubensa, Delacroix i van Eycka.

Pomimo nowoczesnego stylu życia Valenscy, podobnie jak wszyscy Rosjanie, nigdy nie przestali czcić ikon i teraz księżę ogołacał ściany kilku pokoi, które urządzone były jak kaplice. Stały w nich niezliczone rzędy ikon, z których niektóre były tak zdobione złotem i biżuterią, że stanowiły naprawdę bezcenne obiekty. Przed wszystkimi stały lampki, które paliły się dzień i noc. Teraz zdejmowano z nich ochronne zasłony, pakowano w osobne pudełka wyściełane aksamitem i delikatnie układano w skrzyniach. Niektóre ikony, szczególnie ulubione lub traktowane jako talizman domostwa, miały pojechać wraz z rodziną pociągiem, w specjalnych przedziałach.

Nie pozostawiono niczego co było potrzebne do odtworzenia wnętrza pałacu nad kanałem Moika, poczynając od garnków i patelni, a kończąc na trzech solidnych, kryształowych kandelabrach, które niegdyś należały do Madame de Pompadour.

Dziesięć dni później czterdziestu służących – według Wasily'ego liczba wystarczająca, acz poważnie okrojona – stawiło się na dworcu kolejowym Sankt Petersburga. Do pociągu księcia dołączono dodatkowe wagony sypialne, aby mogli się wszyscy pomieścić. Wszystkie wagony towarowe były już pełne, a dwa kuchenne zostały tak wyładowane żywnością, że kucharze mieli utrudnione poruszanie się przy wykonywaniu obowiązków.

Księżę i księżniczka oraz Masha z małym Aleksandrem na ręku, udali się na stację zamkniętym powozem, a towarzyszył im najważniejszy służący, Zachary, w ciemnoniebieskiej liberii ze złotymi epoletami i w wysokim kapeluszu zdobionym piórami. Zachary zajmował się organizacją podróży; odpowiedzialny był za niedopuszczenie do opóźnień na granicach, za to, aby nie zabrakło świeżej żywności, aby nie zaginął żaden bagaż, jak również za rozwiązanie jakichkolwiek ewentualnych problemów, jakie mogłyby zakłócić spokojną jazdę pociągu na południowy zachód.

W Landquart w Szwajcarii musieli opuścić prywatny pociąg, ponieważ nie był przystosowany do wąskich torów alpejskich. Ale Valency spędzili w nim kilka kolejnych dni, podczas których służbę i bagaże pracownicy przewieziono mniejszym górskim pociągiem w górę, do Davos-Dorf. Dopiero wtedy i oni odbyli wspinaczkę pod stromą górę pośród zamrzniętych wodospadów i ośnieżonych jodeł. Pomimo iż w przedziale było ciepło, Tatiana miała dreszcze i siedziała przykryta futrami. Nie mogła patrzeć w przepaść za oknem, ale szczyty, ku którym się pięli, też nie dawały spokoju oczom. Drobną dłonią chwyciła rękę męża; wjeżdżali coraz wyżej i zaczął zapadać zmrok. Było zupełnie ciemno, kiedy wjechali w dolinę i tory pobiegły po płaskim terenie.

– Jesteśmy już prawie na miejscu, kochanie – powiedział Wasily. – Boris będzie czekał na stacji z rolls-roycem.

– Co? – spytała Tatiana, a jej dziwny lęk ustąpił miejsca zdziwieniu.

– To oczywiste. Myślałaś, że będziemy jeździć jakimś wynajętym kabrioletem jak burżuazyjni małżonkowie udający się na chrzest? Rok temu zamówiłem model Silver Ghost w prezencie dla ciebie. Skończyli go dwa tygodnie temu, więc po prostu wysłałem do Manchesteru telegram do pana Royce'a i poprosiłem o dostarczenie go tutaj zamiast do Rosji.

– Ale Boris nie umie jeździć samochodem – zaprotestowała Francesca.

– Poleciałem Royce'owi, aby przysłali też jednego ze swoich kierowców-mechaników. Nauczy Borisa prowadzić, a jeżeli mu się nie uda, to go zatrzymamy.

– Nawet car nie ma takiego wozu! – Tatiana zaklaskała z radości. – Jak szybko można nim jechać?

– Zeszłoroczny prototyp osiągał około siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, ale myślę, że nie będziemy tak szaleć. Nie chcę straszyć Borisa.

Vasily był zachwycony upragnionym efektem niespodzianki. To było dokładnie to, czego Tatiana potrzebowała, aby móc oderwać myśli od przeniesienia się do nieznanego kraju, w którym ostatecznie będzie musiała zmierzyć się z chorobą. Warto było włożyć sporo wysiłku i tysiące funtów dla pewności, że samochód dotrze do Davos przed nimi.

Tatiana Valensky przyjęła przekształcenie domu w Davos w miniaturę jej pałacu w Sankt Petersburgu jako rzecz zupełnie naturalną, podobnie jak fakt, że powinna mieć zapewnioną taką samą obsługę, z jakiej beztrąsko korzystała dotychczas. Obsługę tak wszechstronną, że ona, kobieta, która nie wahała się ryzykować życiem jeżdżąc konno, nigdy sama nie włożyła pończoch. Kobiety jej pokroju nigdy nie znały żadnych cen, łącznie z cenami swoich własnych kosztowności, butów czy futer. Nie rozpoznałyby papierka zwanego banknotem, nawet gdyby miały okazję go zobaczyć. Wybierały co chciały, nie pytając o koszt i nie zastanawiając się nad nim. Coś takiego jak wydatek nie istniało dla nich, nawet jako pojęcie abstrakcyjne. Tak jak nie przychodziło im do głowy zajrzeć do kuchni w ich własnych pałacach.

Nie mogąc wyjeżdżać z Davos, Tatiana poświęciła się odzyskiwaniu zdrowia z taką ślepą determinacją, z jaką je przedtem traciła.

Vasily, unieruchomiony na górskich szczytach, dzięki listom i telegramom utrzymywał prawie codzienny kontakt z wydarzeniami w Rosji. Ponadto specjalny doręczyciel z Zurychu dwa razy w tygodniu przywoził rosyjskie i angielskie gazety. Wiadomość o strajku pięciu tysięcy robotników leńskich kopalni w 1912 roku od razu zwróciła jego uwagę. Ten strajk pociągnął za sobą następne, znacznie poważniejsze, a liczba strajkujących osiągnęła aż dwieście tysięcy. Poprzednio tak poważne problemy Rosja przeżywała w roku 1905, kiedy to wojsko otworzyło ogień do robotników przed Pałacem Zimowym, a dzień ten przeszedł do historii jako Krwawa Niedziela.

Vasily długie godziny spędzał chodząc po bibliotece. Sądząc po tym co mówili lekarze, nie mógł liczyć na to, że jego rodzina i służba będzie mogła wyjechać z

Davos przed upływem wielu lat. Stan zdrowia żony nie pogarszał się w niebezpieczny sposób, ale nie było też objawów poprawy. Silna wola przegrywała z gorączką, męstwo nie mogło wygrać z wirusem. W nocy miewała wyższą gorączkę niż zaraz po przyjeździe, przed paroma miesiącami, a rzeźenie w płacie prawego płuca nie ustępowało. Lekarze unikali rozmów na temat czasu; pytanie o przyszłość pomijane było milczeniem, tak jak czyni się to z pytaniami głupca.

Książę Wasily Valensky doszedł do wniosku, że skoro jego rodzina skazana jest na długie życie na wygnaniu, nie powinna być obciążona koniecznością ściągania pieniędzy z Sankt Petersburga. Postanowił sprzedać kopalnie platyny na Uralu i plantacje trzciny cukrowej oraz tartaki w okolicach Kurska. Ogromną sumę pieniędzy uzyskanych tą drogą złożył w szwajcarskich bankach, co ułatwiało mu dostęp do majątku.

Tattersall, Anglik z Manchesteru poniósł absolutną porażkę próbując przekazać Borisowi tajniki prowadzenia rolls-royce'a i teraz wyjaśniał działanie Silver Ghosta Wasily'emu. Książę stwierdził, że choć ta wielka maszyna, najświetniejszy model wyprodukowany przez firmę Rolls-Royce, pokonywała każdą górską drogę, w okolicach Davos tak naprawdę nie można było sobie pojeździć. I wtedy posłał do Rosji po dużą drewnianą trojkę. Kiedy tylko spadło dość śniegu, Wasily chwycił lejce trzech silnych koni i przywiązał małego Aleksandra na siedzeniu koło siebie. Ojciec i syn stali się znajomym i wysoce podziwianym widokiem na wesołych i wypełnionych sklepami ulicach Davos, ponieważ zaczęli regularnie urządzać sobie przejażdżki na zaśnieżone łąki.

Wśród pacjentów leczących się w Davos byli też inni Rosjanie szlacheckiego pochodzenia, a także nieliczni arystokraci brytyjscy i francuscy. Niewiele czasu upłynęło nim wielu z tych, którzy nie byli przykuci do łóżek, można było spotkać u księżniczki Tatiany. Nikomu w rodzinie nawet nie przyszło do głowy, aby się dostosować do życia w obcym kraju; ładnej, niezwyklej, wygodnej, bezpiecznej i nudnej, strasznie nudnej Szwajcarii. Wszedłszy do domu człowiek czuł się jak w Sankt Petersburgu; wszystko wokół, z ogromną nostalgią, gwarantowało wręcz nadmiar ciepła przypominającego utracony dom. Niektórzy uchodźcy, po wejściu do środka po raz pierwszy, rozglądali się dookoła, wdychali dym z ciemnych, owijanych w połączoną folię rosyjskich papierosów i usłyszawszy szybką wymianę zdań po francusku, wybuchali płaczem.

Elegancko ubrani goście, z policzkami o jeden odcień zbyt różowymi i oczami o jeden odcień zbyt jasnymi, jedli z niezaspokojonym apetytem. Stoły z daniami rozstawione były we wszystkich pokojach, w których odbywało się przyjęcie.

Valenscy prowadzili otwarty dom, zarówno w porze popołudniowej herbatki, jak i w godzinach wieczornego posiłku; kilkudziesięciu rosyjskich służących uzupełniało napoje w szklankach i delicje na talerzach oraz proponowało pudełka importowanych papierosów i cygar. Kiedy zdarzało się, że księżniczka nie czuła się na tyle dobrze, aby się pokazać, nikt z gości nie pozwalał sobie na nietaktowną uwagę na temat jej nieobecności. W dni, kiedy miała dość sił, służące ubierały ją w jedną z dwustu popołudniowych sukni. Zwykle Tatiana długo wahała się, nim zdecydowała się założyć sznur szafirów o takim samym błękitcie bławatków jak jej oczy, czy też potrójny naszyjnik odpowiednio dobranych czarnych pereł. Dopiero wtedy, wsparta na ramieniu Wasily'ego schodziła na dół, aby królować wśród gości.

Atmosfera zabawy panująca w domu Valenskich mogła zmylić obcych, ale wszyscy jego domownicy zostali przeszkoleni w opiece nad chorą. Nastrój rodziny zależał od tego, czy księżniczka miała spokojną, czy też bezsenną noc. Barometr optymizmu, od kuchni po gabinet Wasily'ego, od pomieszczeń służby po pokój Aleksandra, podnosił się lub opadał, zależnie od wykresu temperatury Tatiany lub decyzji lekarzy pozwalającej jej odbyć spacer lub ograniczającej ruch do wyjścia na balkon. Codziennie odwiedzało ją dwóch lekarzy, a dwie pielęgniarki zamieszkały w domu na stałe.

Mały Aleksander nie wiedział jak to jest, gdy się ma zdrową mamę, nawet z najwcześniejszych wspomnień. Dziecinne zabawy z nią zawsze przerywane były przez kogoś kto obawiał się, że mogą być dla niej zbyt męczące. Gdy zdarzało się, że Tatiana czytała mu na głos, pielęgniarka niezmiennie zamykała książkę dużo za wcześnie. Kiedy Aleksander podrósł na tyle, że umiał grać w karty, lekarz odciągnął go na bok i ostrzegł, że podniecenie wywoływane przez gry losowe mogło być dla niej niebezpieczne. Jego miłość do matki była od najwcześniejszych lat napiętnowana strasznym napięciem pojawiającym się zwykle między osobą chorą i zdrową. Od niemowlęctwa był na zawsze okaleczony przez urazę, jakąś niewypowiedzianą nienawiść, głęboki, irracjonalny i przesadny lęk przed jakimkolwiek objawem choroby. Nawet zwykle osłabienie było dla niego czymś strasznym, choć sfrustrowana, dziecięca miłość do matki kazała mu ukrywać przed nią to przerażenie.

Takie życie, częściowo przymusowe wakacje, a częściowo monotonna krzątania przy chorej, trwało od roku 1912 do 1914. Fatalnego dnia 28 czerwca 1914 roku, dnia, w którym w Sarajewie zastrzelono księcia Franciszka Ferdynanda, rodzina Valenskich urządziła sobie rzadki piknik na zielonych pastwiskach, z których słychać było dzwonki uwiązane u krowich szyi. Tatiana wykorzystywała

jeden z krótkich i pozornych okresów lepszego samopoczucia. Ich świat właśnie legł w gruzach, choć nic o tym jeszcze nie wiedzieli.

Dwa tygodnie po tamtym udanym pikniku nastąpiła klęska pod Stęborkiem, w której zginęli najlepsi i najwaleczniejsi żołnierze Rosji. W ciągu roku poległo ponad milion rosyjskich żołnierzy, a tymczasem w Davos, z dala od huku dział, Aleksander otrzymał swego pierwszego kucyka w prezencie z okazji czwartych urodzin. W roku 1916, roku Verdun, roku, który przyniósł śmierć dziewiętnastu tysiącom żołnierzy brytyjskich, zabitych w ciągu jednego dnia w bitwie nad Sommą, Aleksandra interesowały głównie godziny spędzane w garażu, gdzie potajemnie zaznajamiany był z tajnikami działania silnika rolls-royce'a.

Dwunastego marca 1917 roku, po kolejnej długiej zimie, w trakcie której rzadko widywał ojca uśmiechniętego, sześciolatek Aleksander, śmiały narciarz, wybrał się z kolegami szkolnymi na zbocza pokryte wiosennym śniegiem. Tego samego dnia w Sankt Petersburgu, zwanym już wówczas Piotrogradem i mającym wkrótce zostać przemianowanym na Leningrad, w pobliżu mostu Aleksandra zebrał się wygłodniały tłum machający czerwonymi flagami rewolucji. Przeciwno nim, po drugiej stronie mostu, stanął regiment straży, Nemezys uczestników rozruchów. Mimo iż tłum parł naprzód, straż wstrzymywała się z rozpoczęciem ognia. I wówczas, w momencie który miał zmienić historię świata, obie grupy połączyły się. Jak dwie krople wody, masy i wojsko stały się jednością. W chwili gdy Aleksander wspinał się pod górę, aby odbyć ostatni zjazd, gdy Tatiana nalewała gorącą wodę z samowara i podawała filiżankę herbaty francuskiemu księciu, a Wasyl, posmutniały i wymizerowany przez lata niezamierzonego internowania w Szwajcarii, pochylał się nad gazetami sprzed trzech dni, rozpoczęła się rosyjska rewolucja.

Po upływie prawie trzech lat od pierwszej wojny światowej podjęto decyzję o posłaniu Aleksandra do szkoły. Miał zaledwie dziewięć lat i Tatiana skłonna była pozwolić mu na kontynuowanie nauki w Davos, gdzie był nie kwestionowanym prowodyrem paczki kolegów: uparty, wyższy, bardziej zawzięty, silniejszy i bardziej skłonny do podejmowania brawurowego ryzyka niż którykolwiek z nich. Ale Wasyl wyraźnie widział, że synowi grozi zdziczenie. Urodził się księciem, ale istniało niebezpieczeństwo, że zostanie wieśniakiem. Nawet w świecie uważającym książąt za przeżytek, a zwłaszcza książąt rosyjskich – zakładając, że uda im się przetrwać – ktoś powinien przecież uszanować tradycję Valenskich i odziedziczyć fortunę Valenskich. Musi otrzymać wykształcenie, jakie przystało szlacheckiemu

gentlemanowi.

– Poślemy go do Le Rosey – oznajmił żonie. – Już się dowiadywałem. Może zacząć jesienią, tuż przed urodzinami. Och, nie bądź smutna, najdroższa, to jest w Rolle, niedaleko stąd, a zimą cała szkoła przenosi się do Gstaad. To tak blisko, że Aleksander bez trudu będzie mógł spędzać ferie w domu.

Ostatecznie Tatiana pogodziła się z tym, tak jak z rezygnacją nieuleczalnego inwalidy, pogodziła się z faktem, iż jej rodzina skazana jest na wieczne wygnanie, że świat jej dziewczęcych lat już nie istnieje, a kuracja przynosi tylko krótkotrwałe ulgi. W głębi duszy miejsce nadziei zajęła wytrzymałość.

Za każdym razem, kiedy Aleksander przyjeżdżał do domu na ferie, rodzice zauważali, jak bardzo zmieniał się pod wpływem nowego życia w najbardziej ekskluzywnej szkole świata. Obserwowali, jak stopniowo nabiera manier, z jakimi stykał się w międzynarodowym towarzystwie kolegów szkolnych – młodych potentatów, następców dynastii – powoli stawało się jasne, że czuł się dobrze w każdym otoczeniu. Czuł się dobrze w ich rozumieniu, w sposób oparty na pysze, która z czasem przeradza się w szczególny, wyższy rodzaj wyniosłego rozbawienia, tak charakterystycznego dla uczniów Le Rosey pewien wewnętrzny, tajemniczy uśmiech. Przybrał nawet nowe imię Staś, które nie podobało się żadnemu z rodziców, ponieważ było zdrobnieniem imienia polskiego, nie rosyjskiego, ale które – przyznali oboje – pasowało do niego o wiele bardziej niż Aleksander.

Rozdział 4

Tuż po ukończeniu czternastu lat, Staś, jak zwykle, przyjechał do domu na Boże Narodzenie 1925 roku. Osiągnął wiek, w którym sylwetka mężczyzny, na jakiego wyrastał, była nieomylnie widoczna dla uważnego oka. Po raz pierwszy złamał nos w bójce z następcą francuskiego markiza, miał krótko obcięte kręcone włosy i chociaż daleko mu jeszcze było do osiągnięcia pełnego rozwoju mięśniowego, miał już sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Jego czerwone wargi, pełne młodzieńczej, niespokojnej żywotności, były spierzchnięte od uprawiania sportu na świeżym powietrzu. W niewinnym dawniej spojrzeniu pojawiła się zapowiedź nieugiętości przyszłych lat.

Jak zwykle po dniu spędzonym na nartach, Staś zostawił swoje buty narciarskie przed wejściem do domu, aby jeden ze służących je wyczyścił. Włożył zwykłe kozaczki i wszedł do salonu w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Był specjalistą w poruszaniu się między koterią matki, stosując pewien rodzaj uprzejmości, dzięki której unikał konieczności odpowiadania na krępujące pytania. Osobiście uważał, że nie byli warci przyjaźni jego matki, zbiorowisko utytułowanych gruzlików, których nie łączyło nic poza stanem zdrowia. Jego lęk przed chorobą wyrażał się lekceważeniem dla ludzi niepełnosprawnych. Z butą, która czyniła wyjątek jedynie dla matki, wręcz pogardzał odwagą i poddaniem, z jakim ludzie ci stawiali czoła przeznaczeniu i powtarzał sobie, że wolałby umrzeć zdrowo niż żyć ze zgniłymi płucami.

Zręcznie nalał sobie dużą filiżankę gorącej czekolady i wziął talerzyk z ciastkami, po czym zaczął wycofywać się do swego pokoju. Ale ociężały gest ręki w rogu pokoju uświadomił mu, iż był to jeden z tych dni, kiedy jego matka przyłączała się do gości, więc natychmiast odwrócił się, aby przejść przez pokój i przywitać się z nią.

Księżniczka pochłonięta była rozmową ze swoją bliską przyjaciółką, markizą Claire de Champery. Rudowłosa Francuzka ścisnęła swoje obfite ciało ciasnymi gorsetami, jasne włosy czesała w skromne fryzury, ale nic nie mogło ukryć kociego wyrazu jej posępnych zielonych oczu, jej małych, wydętych ust czy też złośliwego półśmiechu. Malowała się bardzo delikatnie i nosiła niemal wyłącznie czerń, będąc bezkompromisowo szykowną. Poznając ją mężczyźni przeżywali erotyczny szok.

Chociaż markiza mieszkała w Davos już siedem lat, nie miała żadnych

objawów choroby. Przyjechała w Alpy ze swym mężem Pierrem de Champery, w nadziei, że parę miesięcy w górskim powietrzu wyleczy go z uciążliwego kaszlu, którego nabawił się podczas chwalebnej służby w wojsku. Ta popularna, pełna ogłady paryżanka, nigdy nie rozważała możliwości spędzenia siedmiu lat w oczekiwaniu na powrót do cywilizacji, ale oto uwięziona była w Davos, przywiązana do człowieka, którego nigdy nie kochała, nawet przed ślubem, jednym z najsilniejszych więzów – perspektywą dziedzictwa. Chcąc utrzymać swoją pozycję w salonach księżniczki Tatiany, ze znajomością rzeczy i pracowicie usuwała ślady swej kobiecości, aby zachować powierzchowność damy z najwyższej klasy społecznej.

Mąż Claire de Champery trzymał się jej z pełną determinacją dozwoloną zamożnemu mężczyźnie, który poślubił pozbawioną grosza kobietę, młodszą od siebie o dwadzieścia lat. Sam przebywał w sanatorium, bo był zbyt chory, aby móc żyć gdzie indziej, ale dla żony wynajął uroczy domek wypoczynkowy. Lekarze powiedzieli jej, że nie potrwa to długo... tylko, że mówili to od lat.

Staś podszedł do nich, ucałował włosy matki i pochylił się, aby musnąć powietrze nad ręką markizy.

– A więc mój mały Staś przyjechał do domu ze szkoły – zażartowała kobieta o rudych, przylizanych włosach, godnie usadowiona w fotelu. – Powiedz mi, drogie dziecko, czy w końcu udało ci się dobrze zdać egzaminy? I czy nadal jesteś członkiem tego fascynującego kółka, o którym opowiadałaś zeszłego lata – młodych, podskakujących milionerów amerykańskich, młodych lordów brytyjskich z zepsutymi zębami i niegrzecznych, cielących baronów z Argentyny, tudzież innych wielkich twojej szkoły?

Staś ścisnął usta z wściekłością. Pewnego dnia zeszłego lata, mając tylko trzynaście lat, popełnił błąd opisując jej swych najlepszych przyjaciół. Zdawała się być autentycznie zainteresowana jego szkolnym życiem. Większość zażyłych przyjaciółek matki, zajętych tysiącami intryg w hermetycznie zapieczętowanym świecie choroby i plotki, nauczyła się nie zwracać uwagi na trudnego, nieprzyjaznego chłopca, ale markiza ciągnęła go za język dopóki nie uchylił rąbka tajemnicy na temat życia w szkole.

– A pani, madame la marquise – odparował, ignorując jej pytanie – czy nadal jest pani znaną femme fatale tego ogromnego, kosmopolitycznego ośrodka? Czy może zastąpił panią ktoś, kogo jeszcze nie poznałem?

– Aleksander – wybuchła matka – dosyć tego! Musisz mu wybaczyć, Claire, w końcu ma dopiero czternaście lat, to ten nieznośny wiek, kiedy wydaje się, że to

zabawne mieć tupet. Aleksander, proszę natychmiast przeprosić!

– Nie, Tatiano, daj spokój... Podokuczałam mu i mały się rozgniewał.

Claire de Chempery była w świetnym humorze. Czowała, jak krew pulsuje jej w przyciśniętych do siebie udach na dowód, że dobrze zrobiła prowokując chłopca. Od chwili gdy ujrzała go idącego przez pokój, czowała, że śliczne dziecko, które od lat w sekrecie podziwiała, przeistoczyło się w urodziwego młodzieńca. Zauważyła ledwo widoczne zaczątki wąsów na jego górnej wardze, zmierzyła wzrokiem stopień rozwoju fizycznego, który czternastolatkowi dał muskulaturę młodzieńca. Już nie chłopiec, a jeszcze nie mężczyzna, najrozkoszniejszy, najbardziej prowokujący, najszybciej przemijający wiek. Moment w życiu mężczyzny, przypomniawszy sobie, który nie trwa długo. Młodość, czysta i doskonała młodość, najsmaczniejszy kąsek ze wszystkich. Była pewna, że nic jeszcze nie wiedział. Bo czegoż mógł się nauczyć przebywając przez cały rok w szkole dla chłopców, nie licząc ich głupich, sprośnych kawałów, jakie pewnie sobie robili? Ale jego zapalczywa reakcja na jej kpiny mówiła, że był już gotowy do nauki.

– Claire – domagała się Tatiana – on musi przeprosić, i już. Nie mogę pozwolić mu na takie zachowanie.

– Pozwól mu to odpokutować, droga Tatiano. Przeprosiny są zbyt łatwe. O, już wiem, weźmie mnie na przejażdżkę trojką, to znaczy jeżeli jest wystarczająco dorosły, aby utrzymać lejce.

– Powożę trojką już od czterech lat – z pogardą powiedział Staś.

– Tant mieux. Więc nie mam czego się obawiać. Masz się stawić u mnie jutro o trzeciej po południu, będę gotowa do wyjścia. A teraz, dziecino, idź zjeść ciasteczka... wyglądasz jakbyś za nimi tęsknił.

Odprawiwszy spochmurniałego młodzieńca, markiza odwróciła się do Tatiany i powróciła do przerwanej rozmowy z niewymuszonym wdziękiem, którym ujęła księżniczkę przy pierwszym spotkaniu.

Następnego ranka po starciu z markizą de Chempery, Staś zjawił się o wyznaczonej godzinie, aby zabrać Francuzkę na przejażdżkę trojką, ponieważ matka zmusiła go do tego.

Służąca, która wpuściła go do środka oznajmiła, że pani nie jest jeszcze całkiem gotowa do wyjścia. Wzięła jego płaszcz i zaprowadziła go do niewielkiego pokoju przylegającego do sypialni markizy. Rozpalono kominek i w pokoju było bardzo ciepło. Służąca wskazała mu tacę z różnymi napojami i dużym wyborem papierosów, po czym wyszła. Staś ścisnął usta z gniewu. Był za młody, aby pić i

palić i markiza doskonale o tym wiedziała. Wyglądało to na jeszcze jedną kpinę, przypomnienie, że nadal był tylko dzieckiem. Urażony, stał w tym samym miejscu kiedy weszła. Miała na sobie luźną, powiewną popołudniową suknię z czarnego szyfonu, wykończoną koronką.

– Ach, więc nie wybiera się pani na przejażdżkę – wykrzyknął Staś z ulgą na widok jej nieodpowiedniego stroju.

– Nie, po prostu zmieniałam twoją pokutę, chłopcze.

– Pokutę! Chciała pani powiedzieć szaradę! To wszystko zakrawa na szaleństwo. Nie jestem już dzieckiem, które można traktować w ten sposób. Wychodzę... dosyć tego!

– Nie sądzę – miękko przemówiła markiza. – Zachowałeś się wobec mnie wysoce niegrzecznie i twoja kochana mamana była na ciebie bardzo zła. – Wiedziała, że matka była jedyną osobą, której wpływom Staś ulegał.

– Chodź, usiądź koło mnie na kanapie, a ja ci to wyjaśnię.

Chłopak stłumił gniewne westchnienie i uczynił jak mu kazano.

– Pomyślałam, że znamy się od dawna... nieprawdaż? – powiedziała w zamyśleniu. Kiedy zobaczyłam cię pierwszy raz, miałeś tylko siedem lat... byłeś małym chłopczykiem. A dzisiaj jesteś już prawie mężczyzną. Jak myślisz, ile mam lat?

Staś był zaskoczony i głęboko wdzięczny za stwierdzenie, że jest prawie mężczyzną. Zapomniał o gniewie i odpowiedział nieśmiało:

– Jest pani młodsza od mamy... to na pewno, ale nie potrafię określać wieku kobiet.

– Mam dwadzieścia dziewięć lat – powiedziała, odejmując sobie tylko trzy. – Czy dla ciebie jest to zaawansowany wiek? To oczywiście, że musi ci się wydawać zaawansowany. Nie... nie zaprzeczaj, nie sil się na grzeczność, nie byłbyś sobą. Kiedy byłam w twoim wieku, myślałam, że dwadzieścia dziewięć lat to starość, której nie potrafiłabym sobie wyobrazić. Więc zdecydowałam, że twoja pokuta będzie lekcją... lekcją względności.

Drobne, spuchnięte wargi markizy miały świeżość owocu i polizała je w zamyśleniu. Podeszła bliżej do miejsca, gdzie Staś siedział sztywno na różowym satynowym obiciu, o którym wiedziała, że jest w złym guście, tym niemniej pozwalała sobie na użycie go w prywatnych pokojach. Wyciągnęła pulchne białe ramię, z którego opadły czarne koronki i położyła rękę na jego głowie.

– Tęskniłam za twoimi lokami – powiedziała miękko, przeczesując jego gęste włosy.

Siedział prosto i bez ruchu, a nozdrzami wchłaniał nieznaną zapach kobiety w głęboko wyciętej sukni. W blasku kominka kątem oka widział niebieskawy cień w miejscu, gdzie zaczynał się jej biust. Zdjęła rękę z głowy i zaczęła pieścić jego szyję, delikatnie, jak gdyby podświadomie głaskała domowe zwierzątko. Staś poczuł, z przerażającym zakłopotaniem, że penis zeszywniał mu pod spodniami. Nie zauważył, że Claire spojrzała na jego krocze i podniosła powieki, gdyż wprawne oko nie pozostawiało wątpliwości co do tego, co się właśnie stało. Leniwie gładziła jego ucho, nie zbliżając się do niego.

– A więc, co to jest względność? Możesz mi powiedzieć? Nie...

tak przypuszczałam. Lekcja względności rozpoczyna się od zrozumienia, że moja ręka i twoja szyja nie mają w ogóle wieku. Po prostu ciało styka się z ciałem. Ale, aby docenić prawdziwe znaczenie względności, musielibyśmy posunąć się dalej... dużo dalej.

Pozwoliła przemieszczającym się palcom dotknąć miękkiego dołka tuż pod jego gardłem, który widoczny był w rozchyleniu koszuli, po czym włożyła całą rękę pod koszulę, namacała sutek piersi i zaczęła okręcać go jednym palcem. Staś jęknął głośno, a ona łakomie wchłonęła ten dźwięk. Był to jego pierwszy męski jęk, pomyślała, czując jak sutek twardnieje. Teraz już nigdy jej nie zapomni.

– Teraz, młody człowieku, zaczynasz rozumieć względność – wyszeptała do chłopca, który nadal patrzył przed siebie czując zawrót głowy.

Co ona wyprawia... przyjaciółka mamy... to niemożliwe... jeszcze jedna kpina. W zakłopotaniu wydało mu się, choć nie był tego pewny, że jej ręka, którą właśnie wyjęła spod koszuli, przez sekundę opadła niżej, aż do krocza i jak piórko musnęła twarde wzniesienie penisa. Ale ta sama ręka, która szybko powróciła w górę, teraz delikatnie rozpiniała mu koszulę odkrywając jego młodą, dobrze zbudowaną klatkę piersiową, środkiem której biegł delikatny ślad jasnego owłosienia. Podeszła bliżej, odsunęła koszulę na bok i palcami obu rąk dotykała na pół nagich, dobrze umięśnionych rąk, szepcząc do siebie: „Ty jednak jesteś już prawie dorosły, mój Stasiu”. Chłopiec był tak zaskoczony, że nie mógł się ruszyć, nawet kiedy pieściła go pod pachami, dotykając palcami rzadkich, miękkich kepek włosów, które ostatnio mu tam wyrosły. Bolesne obrzmienie penisa wydawało mu się wstydlive, było jakby wyznaniem słabości wobec tej kobiety, która całkowicie nad nim zapanowała. Już wiedział: spryciara, chciała go sprowokować, żeby ją dotknął, aby wypomnieć mu znowu, iż jest tylko dzieckiem. Ścisnął poduszki, na których siedział, aby nie ruszyć się, nie dać jej tej satysfakcji.

Potem poczuł, że odpina mu pasek i otwiera rozporek. Zdawało się, iż przez

chwile zawahała się z opuszczoną głową na widok konturu pod naciągniętymi szortami. Wyglądało na to, że jego wielkość pomogła jej podjąć decyzję. Osunęła się na dywan i spojrzała na niego, siedzącego na brzegu kanapy, gryzącego dolną wargę i mającego taki wyraz twarzy, jaki nie powinien pojawić się na jego twarzy jeszcze przez dziesięć lat.

– Teraz... teraz jesteśmy bliscy pokuty, Stasiu. Musisz wstać.

Nie ruszała się, cierpliwie czekając, spokojnie obserwując go i nie powtarzając polecenia. Podniósł się powoli i spodnie opadły mu do stóp. Z trudem panując nad oddechem patrzyła na zgrabnego młodzieńca, który stał przed nią nie śmiejąc spojrzeć jej w oczy. Przez otwór w szortach wyraźnie widać było obły kształt jego zgrubiałego, sterczącego penisa.

– Zdejm szorty – wyszeptwała.

Posłuchał. Miał świetnie zbudowane ciało, blade, z wyjątkiem silnego karku i dużych rąk, dostępnych dla zimowego słońca. Wszystkie stawy i ścięgna pokrywała delikatna skóra, a mimo to były silne i wyraźnie uformowane. Nogi porastały rzadkie, jasne włoski, które przechodziły w gęstsze, ciemniejsze, bardziej skręcone owłosienie w pobliżu jąder.

– Zdejm spodnie i połóż się na kanapie – rozkazała. – Nie dotykaj mnie, Stasiu, albo zrezygnuję z tego co mam zamiar zrobić.

Ja jestem nauczycielką, a ty odbywasz pokutę, więc bądź posłuszny.

Jeżeli drgniesz, przysięgam, że przerwę lekcję.

Jej głos sugerował, że spełni groźbę. Pociągnęła za suknię i ściągnęła ją z ramion. Piersi zostały uwolnione z krępujących je koronek. Wzięła każdą z nich w dłoń i pochyliła się nad nim, aby zobaczyć, że są niesamowicie ciężkie, zakończone jasnobrazowymi sutkami, typowymi dla rudowłosych kobiet. Leżał nieruchomo na różowej satynie nie śmiejąc wygiąć pleców, aby nie unieść stwardniałego do niehumanicznego bólu penisa. Prowokująco musnęła jego spierzchnięte wargi sutkami.

– Nie ruszaj się! – ostrzegła ponownie, zachwycona efektem jaki dał dotyk jej ciała do jego młodych, szorstkich ust. Kiedy jęknął w pełnym łęku pożądania i spróbował dotknąć ich językiem, natychmiast się odsunęła.

– Ach! Nie! Dopiero zaczynam... – Bardzo delikatnie, ledwie dotykając, przesuwała okrągłe, mięsiste wargi wzdłuż jego ciała, które właśnie wyrosło z dzieciństwa, zatrzymując się, aby polizać sutki zwiniętym szybkim językiem. W końcu zamarła nad penisem, a on wstrzymał oddech. Jej przylizana głowa zawisała niemal w medytacji, kiedy przyglądała się jak sterczał w górę, mierząc w jej usta. Ale nie dotknąwszy go nawet przesunęła się niżej i zaczęła lizać wewnętrzną stronę

jego silnych ud. Klękając na kanapie zdjęła suknię i całe jej nagie, uperfumowane ciało, z pełnym bogactwem kształtów zostało wyeksponowane, ale leżąc nie mógł obejrzeć jej nagości bez podniesienia głowy. Dotykała go na razie tylko sutkami i ustami, a on nie dotknął jej jeszcze w ogóle. Zacisnął zęby i pięści w szalonym zagubieniu i usłyszał jej niski śmiech zadowolenia, śmiech prawdziwego smakosza...

– O, tak, właśnie, tak, zaczynasz robić postęp. Zaczynasz doceniać względność. Jesteś prawie gotowy do zakończenia lekcji.

Język markizy leniwie ruszył z ud Stasia z powrotem do jąder. Delikatnie dmuchnęła we włosy na łonie i znów nie mógł powstrzymać jęku w wysuszonych ustach. Koniec jej doświadczonego języka przesunął się od nasady wyciągniętego penisu i na jeden porywający moment spoczął na jego szczycie.

– Nie – powiedziała melancholijnie. – Nie, niedostatecznie panujesz nad sobą.

Jednym ruchem usiadła na ciele Stasia jak na siodle, z kolanami po obu stronach jego napiętych ud. Wolno, z leniwą starannością trzydziestodwuletniej kobiety, jedną ręką odgarnęła włosy na swoim łonie i otworzyła wargi pochwy, a drugą podciągnęła penis Stasia z brzucha, dopóki nie stał zupełnie pionowo. Był tak twardy, że musiała mocno utrzymywać go w tej pozycji, podczas gdy sama wolno, bez pośpiechu, stopniowo opuściła się na jego spuchnięty szczyt. Potem uniosła swe dojrzałe ciało jak filar nad nim i szybko spuściła je w dół. Kiedy był już całkowicie w niej, pochyliła się i wyszeptała w kierunku jego ust:

– Teraz, teraz...

Staś, nagle pozbywszy się zniewolenia, obiema rękami chwycił klęczącą kobietę, podniósł ją i obrócił tak, że znalazła się pod nim. Jednym potężnym pchnięciem przelał się w nią, jednocześnie bezlitośnie gryząc jej wargi i obiema rękami ściskając piersi. Jak tylko udało mu się ponownie złapać powietrze, powiedział:

– Nie ośmielisz się więcej jeździć na mnie! Od tej pory ja jestem jeźdźcem!

– O nie – wymamrotała chrapliwym głosem. – To niby teraz ty wydajesz rozkazy? Ale pamiętaj, mój przyjacielu, że tylko jedno z nas jest usatysfakcjonowane, więc lekcja nie jest skończona.

– Nie?

Zdała sobie sprawę, że jego penis nadal był w jej pochwie. Znowu rósł, rósł jeszcze bardziej niż przedtem. Wsuwał go w jej oczekujące ciało nieregularnymi ruchami, dopóki nie osiągnęła gwałtownego orgazmu. I nie kończył jazdy, obrzmiały od napływającej krwi, zatrzymawszy się tylko, aby wytrzeć spermę z

mokrych włosów na jej łonie czarną koronką. Przy tym drugim razie umiał już prawie tyle, ile powinien i nie śpieszył się, myśląc tylko o swojej przyjemności i nie reagując kiedy protestowała, że sprawia jej ból, prosiła, żeby zatrzymał się choć na minutę i tłumaczyła że był zbyt duży. Jego drugi orgazm był znacznie silniejszy niż pierwszy i wydawało się, że płynął nie tylko z penisa i jąder, ale z całego kręgosłupa.

Czternastoletni chłopak leżał, chwilowo wyczerpany, obok zmysłowego ciała kobiety. Żadne z nich nie odzywało się, tylko ogień trzaskał w kominku. Na dworze było już ciemno.

– Claire – przemówił Staś. – Wezmę kąpiel w twojej wannie. Zadzwoń na służącą, poproś o gorącą czekoladę i przynieś mi ją. I wtedy...

– Wtedy... ? – przerwała zaskoczona rozkazującym tonem młodzieńca, któremu właśnie udzielała pierwszej lekcji miłości.

– I wtedy odbędziemy jeszcze jedną lekcję z względności. W sypialni. Ta twoja kanapa jest dla mnie za śliska – jego głos stał się twardy dzięki nowej władczości.

– Ale... zwariowałeś!

Wziął jej rękę i położył na swoim penisie. Gorący, lepki organ już zaczynał się podnosić i wypełniać. Poruszał się pod jej dotykiem jak zwierzątko.

– Nie chcesz, żebym się kąpał? – zapytał. – Pójdziemy prosto do sypialni?

– Nie, Stasiu, nie, idź, weź kąpiel. Zadzwonię po czekoladę – pospiesznie przykryła się pogniecioną suknią.

– Nie zapomnij o ciasteczkach.

Każdego dnia, przez całe ferie świąteczne, Staś skracał jazdę na nartach i całe popołudnia spędzał w różowo-czerwonym salonie lub w lawendowej sypialni markizy de Champery, nie wychodząc wcześniej niż musiał, aby zdążyć na kolację do domu. Napisała liścik do Tatiany zawiadamiając ją, że przeziębienie nie pozwala jej uczestniczyć w tradycyjnych spotkaniach i bez żalu zrezygnowała z zapraszania gości na kolacje, aby podtrzymać tę wersję. Francuzka uczyła go jak zadowolić ją i wszystkie inne kobiety, jakie przyjdzie mu osiąść, ze zmysłowością, która nie oszczędzała żadnego szczegółu. Uczyła go jak pozbyć się wstydu, którego sama nie miała, tak że wszelkie zahamowania konwencjonalnego seksu miały nie robić na nim najmniejszego wrażenia. Uczyła go wielu delikatnych zastosowań jego ust, języka, zębów i palców poruszających się między jej nogami. Uczyła go znaczenia ciepłości i ukrytej delikatności. Nie uczyła go ani trochę czułości czy sentymentu – nic takiego nie istniało między nimi. O wiele rzeczy

można ją było posadzić, ale nie o zakłamanie. Kiedy rozstawali się przed jego powrotem do szkoły, nie było żadnych obietnic czy tęsknych spojrzeń wstecz. On był młodzieńcem, a ona kobietą, która nie pozwalała sobie ani na moment ułudy, że wróci do niej dla jakiegokolwiek innego powodu niż jej ciało – i to pod warunkiem, że nie znajdzie innej, którą będzie wolał. Ale była też pewna, że przez całe życie, jakie było przed Stasiem Valenskim, będzie miała w nim miejsce, którego nie wypełni już żadna inna kobieta. Nawet jako starzec, zapomniawszy o setkach innych kobiet, będzie pamiętał różową satynę, światło kominka i lekcję względności.

Po wyjeździe chłopca choroba Madame de Marquise zniknęła. Ale zdecydowała, że nie powróci do codziennych klaustrofobicznych spotkań przy herbatce u księżniczki Tatiany. Zamiast tego zaczęła jeździć na nartach. Przez następną dekadę, podczas gdy jej mąż nieustannie i niewybaczalnie znajdował się na granicy śmierci, Claire de Champery zasłużyła sobie na miano instruktorki całego legionu naiwnych wiejskich młodzieńców, tych alpejskich instruktorów jazdy na nartach, o których dziś krążą legendy, iż zapewniają wręcz zwierzęcą satysfakcję. Nawet jeśli nigdy o niej nie słyszeli, wiele zawdzięczają jej naukom, lekcjom, które jedno pokolenie bohaterów szkółki narciarskiej przekazywało następnym.

Staś Valensky ukończył naukę w Le Rosey w roku 1929. Lato spędził na ogromnym rancho w Argentynie, które należało do ojca jednego z kolegów z klasy. Najlepsze kucyki polo hodowano właśnie w Ameryce Południowej i tam mieszkało wielu najlepszych graczy. To z Argentyny przyjeżdżali na zawody z Amerykanami czy Brytyjczykami, często przywożąc nawet czterdzieści kuców, które po sezonie sprzedawali po wysokich cenach. Złoty wiek zamykał się latami 1929-1939, kiedy to konkurowali Tommy Hitchcock, Winston Guest, Cecil Smith, bracia z Irlandii Pat i Aiden Roourk, Jai, maharadża z Radżasthanu, Erie Pedley z Santa Barbara i inni wielcy zawodnicy, wszyscy wspaniale siedzący w siodle i wszyscy poświęcający tej grze życie.

W miasteczku akademickim szkoły Le Rosey, w Rolle, a także podczas wakacji w Davos, Staś połknął bakcyła jazdy konnej. W Argentynie zrozumiał dlaczego. Polo mogło być wynalezione specjalnie dla niego. Mógłby urodzić się jako Akbar, władca Indii z dynastii Wielkiego Mogola w szesnastym wieku, który tak uwielbiał polo, że grał nawet po ciemku, piłkami z żarzącego się drewna, galopując w ślad za iskrami, które zostawiały za sobą. Po trzech miesiącach nieustannej nauki „na

sucho" i na boisku, gospodarz zdecydował, że może zaryzykować i zaszczyścić Stasia dopuszczeniem do udziału w meczu treningowym. Ten, przepelniony radością, napisał do domu przekonując, że koniecznie musi przedłużyć swoją wizytę o trzy miesiące, ponieważ sezon polo w Ameryce Południowej właśnie się zaczyna.

Księżniczka Tatiana czuła się opuszczona, kiedy syn był tak daleko, ale księżę Wasily przyjął tę prośbę spokojnie. Bo w końcu, czy było jakieś lepsze zajęcie dla chłopca?

– Najdroższa, gdyby nie rewolucja i wojna, twój Aleksander mógłby być świetnym oficerem kawalerii. A tak nasz księżę ma chociaż polo.

Podstawową cechą naprawdę dobrego gracza polo – zakładając, że posiadał umiejętność doskonałej jazdy konnej i koordynację – jest zwykła odwaga. Staś Valensky osiągnął już pełny wzrost stu osiemdziesięciu ośmiu centymetrów, był świetnie wytrenowany w tej dyscyplinie, a co więcej, jego wojowniczy duch wręcz jej potrzebował.

Latem 1929 roku, mając osiemnaście lat, Staś zaczął podróżować po świecie zgodnie z sezonami polo: latem Anglia, w sierpniu Deauville, jesień w Ameryce Południowej, zima w Indiach, wiosna w Stanach Zjednoczonych. Wraz z nim jeździło całe jego domostwo: lokaj, Anglik o imieniu Mump, stajenni, trener i przede wszystkim, oczywiście, kucyki.

Obowiązki Mumpa wykrczały poza zajmowanie się garderobą księcia. Tyle samo czasu spędzał w kwiaciarniach i osobiście doręczając liściki, ile poświęcał butom swego pana. Staś, tak wcześnie przyzwyczajony do zmysłowej miłości, nie tracił czasu na zaloty do dziewczyc lub innych dam o dobrej reputacji, bez względu na dziewictwo, które były pannami do wzięcia. Wcześniej wpojono mu skłonność do innego rodzaju kobiet, a te zwykle były zamężne. Stanowiło to komplikację, ale można jej było zaradzić, zwłaszcza przy pomocy Mumpa. Gwarantował on dyskretną wymianę liścików, dostarczenie kwiatów przed lub po spotkaniu, ale tak, by nie wzbudzać podejrzeń. Miał także za zadanie pilnować, aby żadna dama pozostawiona na minutę sama w apartamencie Stasia nie mogła natknąć się na jakikolwiek ślad innej kobiety.

Staś pogodził się z faktem, że polo nie pozwalało mu na więcej niż jeden romans w tym samym czasie, bowiem panie niezmiennie uważały za obowiązek pofatygować się na boisko i obejrzeć trening. Przyzwoitość wymagała, aby nie widziano dwóch kobiet naraz, obu w zaparkowanych wspaniałych kabrioletach i

obu pozdrawiających go. Na szczęście drużyny nie spędzały zbyt wiele czasu w jednym kraju i żarliwa żona generała w Brazylii nigdy nie słyszała o młodej żonie maharadży w Delhi; do wytwornej księżnej angielskiej nigdy nie dotarła plotka o piękności z San Francisco, która codziennie odwiedzała Old Monterey Polo Club.

Te lata beztraski i przyjemności po ukończeniu nauki w Le Rosey zakłócone zostały tylko raz, kiedy księżniczka Tatiana, wyczerpana i pozbawiona sił, a mimo to walcząca do ostatniej chwili, zmarła w 1934 roku. Staś odwiedzał rodziców w Davos dwa razy w roku. Żadne z nich nigdy nie komentowało lekkomyślności i braku ostrożności w jego życiu. Tym razem Staś zatrzymał się na nieco dłużej i zdał sobie sprawę, że ojciec był sześćdziesięcioczeroletnim, zniszczonym człowiekiem, który właśnie stracił wszystko to, co utrzymywało go przy życiu. Staś pozostał z księciem Wasyliem w Davos parę miesięcy, poskramiając tęsknotę za życiem do jakiego przywykł. Wkrótce zauważył, że ojciec odchodzi, poddaje się, zbliża się do końca wygnania, które nie pozbawiło go majątku, ale uczyniło półczłowiekiem, pozwalając mu jedynie obserwować – bez czynnego udziału – wielkie historyczne wydarzenia. Odizolowanym na szczytach Davos-Dorf.

Po śmierci księcia Wasyli'ego Valensky'ego nowy właściciel fortuny stwierdził, że poza naruszonym, ale wciąż wielkim majątkiem w rosyjskim złocie zdeponowanym w szwajcarskich bankach dwadzieścia dwa lata wcześniej, odziedziczył też dom pełen wystraszonych służących, którzy przyjechali tu z Rosji z rodzicami, a teraz sami byli już w średnim wieku. Wszyscy przez całe życie nie zajmowali się niczym innym poza służbą u Valenskich. I dla wszystkich największym problemem było to, co miało się z nimi stać teraz. Staś był ich feudalnym panem, na ile było to możliwe we współczesnym świecie. Nie znali innego życia i nie mieli do niego żadnych aspiracji. Ich dzieci wychowywane były jako obywatele szwajcarscy, ale nic nie mogło złagodzić potrzeby trzymania się razem tych Rosjan w atmosferze, która przypominała im o kraju tak odległym, jak zatopiona Atlantyda.

Z grymasem zdziwienia Staś zdał sobie sprawę, że był teraz za nich odpowiedzialny. Nigdy nie zastanawiał się co z nimi zrobi, kiedy zabraknie rodziców, ani razu poważnie nie pomyślał o przyszłości. Teraz wezwał do siebie ich przywódcę, Zacharego, byłego lokaja oraz Borisa, byłego woźnicę sań.

– Nie lubię Davos – powiedział im. – Jest tu zbyt wiele bolesnych wspomnień. Ale niektórzy z was posłali dzieci do szwajcarskich szkół. Co powiedzielibyście, gdybym się przeprowadził do niższych rejonów Szwajcarii i zabrał was wszystkich ze sobą? Chcielibyście się przenieść, czy wolelibyście zostać tutaj? Tak czy inaczej

wszyscy nadal będziecie otrzymywać wypłaty tak długo jak żyję.

– Proszę księcia – nie mamy innego domu niż dom księcia – odpowiedział Zachary. – Nie jesteśmy za starzy na przeprowadzkę, ale na pewno jesteśmy za starzy na zmianę.

Wkrótce potem Staś znalazł willę pod Lozanną i szybko odtworzył w niej wnętrze pałacu w Sankt Petersburgu, którego nigdy nie widział, przenosząc go tak jak niegdyś ojciec przeniósł go do Davos. Tyle, że w domostwie pod Lozanną nie było niczego co przypominałoby pokój chorego, nie słyszało się w nim pogaduszek inwalidów i pozbawione było jakiegokolwiek nostalgii, być może z wyjątkiem tej wywoływanej przez stare obrazy i meble. Skarbiec ikon pozostawiono w aksamitnych pudłach. Tylko jedną, najbardziej ulubioną przez matkę, Staś powiesił w swojej sypialni. Parę mniej wartościowych służący umieścili w swoich pokojach. W ciągu roku Staś spędzał tylko miesiąc lub dwa w Lozannie, tyle ile było konieczne, aby uspokoić służących, którzy mimo to utrzymywali wielki dom tak, jakby spodziewali się go z powrotem każdego wieczoru.

W 1934 roku polo i kobiety zagrożone zostały przez nową pasję. Po zakończeniu letniego sezonu polo w Anglii, Staś złapał bakcyła latania. Poważne złamanie nogi, pamiątka po wrześniowym meczu, uniemożliwiło mu wyjazd do Ameryki Południowej i dwudziestego października 1934 roku Staś znalazł się pośród tłumu, który zgromadził się o świcie w Mildenhall w Suffolk, aby obejrzyć start wyścigu MacRobertsona z Anglii do Australii, wyścigu, który był największym wydarzeniem tego typu w krótkiej historii lotnictwa. Natychmiast porwało go podniecające, radosne napięcie szesnastotysięcznej widowni obserwującej start dwudziestu najlepszych, eksperymentalnych samolotów, które udały się na wschód, w kierunku pierwszego punktu kontrolnego w Bagdadzie. Tego samego dnia, poruszając się o kulach Staś został członkiem aeroklubu londyńskiego, będącego filią Royal Aero Club. Po tygodniu udało mu się przekonać lekarza, że nie potrzebuje już kul i natychmiast pojechał do aeroklubu po instruktaż. Po sześciu godzinach spędzonych w powietrzu na dwupłatowcu Havilland Moth, pozwolono mu na odbycie samotnego lotu, a po kolejnych trzech godzinach samotnego latania otrzymał licencję pilota.

Staś kupił sobie jednopłatowiec Miles Hawk i rozpoczął pościg za szybkością, który miał stać się jego obsesją na następne sześć lat. Już po roku wziął udział w pierwszych zawodach we francuskim Coupe Deutsch de la Meurthe, pilotując samolot wyścigowy Caudron z małymi skrzydłami, wąski, z doładowującym

silnikiem Renault, który był zdolny do osiągania rekordowej szybkości pięciuset pięciu kilometrów na godzinę. W roku 1937 pojechał do Stanów Zjednoczonych, aby spróbować sił w wyścigu Bendix Trophy. Powrócił tam rok później i znalazł się wśród dziesięciu mężczyzn pokonanych przez Jacqueline Cochrane, kobietę, która ustaliła rekord w locie na wytrzymałość od jednego wybrzeża do drugiego: dziesięć godzin, dwadzieścia siedem minut i pięćdziesiąt pięć sekund. Latał na samolotach Seversky, na szalenie niebezpiecznych, malutkich Mignet Pou-du-Ciel oraz na Sky Louse. Latał wszystkim, co tylko miało skrzydła i zawsze latał sam. Było to szczególne upodobanie, które uniemożliwiało mu udział w zawodach na długich dystansach, ponieważ wymagano w nich współudziału partnera. Ale samotne przebywanie w chmurach stanowiło więcej niż połowę przyjemności, jaką był dla Stasia pilotaż. Był tak kontrastowo różny od drużynowej gry w polo. Niebo oznaczało samotność; samotność, której nie potrafił już znaleźć na ziemi. Następne cztery lata, wypełnione karkołomnym pościgiem za rekordami szybkości na niebie oraz kobietami i balami po meczach polo na ziemi, upłynęły bez żadnych przeszkód. Aż któregoś dnia pod koniec września 1938 roku Staś przeczytał o powrocie Chamberlaina z Monachium i jego obietnicy "pokoju dla naszych czasów".

A jednak w marcu 1939 roku, przeczytawszy o niemieckiej aneksji Czechosłowacji zrozumiał, że wojna była nieunikniona, w związku z czym natychmiast opuścił Bombaj i udał się do Anglii. Po przyjeździe nie zwlekając skierował się do biura zaciągu ochotników Royal Air Force i złożył prośbę o przyznanie rangi oficerskiej. W czerwcu oficer lotnictwa A. V. Valensky prowadził już zajęcia z młodymi pilotami w Duxford w księstwie Cambridge. Większość z nich należała do szwadronu uniwersyteckiego.

Kiedy Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom trzeciego września 1939 roku, niecały miesiąc przed jego dwudziestymi ósmymi urodzinami, Staś miał już za sobą szkolenie w pilotowaniu myśliwców i był członkiem Szwadronu 249, w którym latał na samolocie hurricane, napędzanym – ku jego radości – silnikiem Rolls-Royce'a Merlin. Kiedy wreszcie w lipcu uznano jego szwadron za operacyjny i zakwalifikowano go do nocnych lotów, Staś – ku swojej niewypowiedzianej, gwałtownej złości – został awansowany do rangi porucznika lotnictwa i odkomenderowany do Aston Down, a tam skazany na cały rok przekazywania tajników techniki pilotowania myśliwców młodym pilotom.

W jego niesamowicie aktywnym życiu nie było niczego, co mogło być przygotować go do tych dwunastu miesięcy. Dostawał szału, kiedy ludzie przez

niego wyszkoleni wysyłani byli grupami, aby "roznieść tych bandytów", jak to nazywali, a on zostawał na miejscu aby uczyć zamiast samemu też latać. Kiedy tylko mógł jeździł do Londynu i nachodził dowódcę RAF-u robiąc wszystko co w jego mocy, aby otrzymać przydział do szwadronu myśliwców.

– Niech pan będzie rozsądny, Valensky – brzmiała regularna odpowiedź. – Jest pan o wiele bardziej użyteczny dla nas robiąc to co pan robi, niż gdyby próbował pan zostać gdzieś tam zestrzelony. W końcu ktoś musi uczyć te dzieciaki.

Przepełniony dławionym rozczarowaniem i uczuciem niesamowitej bezużyteczności, po raz pierwszy w życiu Staś zaczął dużo pić. Kiedy spotkał Victorię Woodhill z WAAF-u, cały ten tłumiony zawód zaangażował w zdobycie tej szorstkiej i stroniącej od towarzystwa kobiety, której główną zaletą był brak zainteresowania jego osobą. Znalezienie wyzwania, przeszkody do pokonania, było swego rodzaju celem Stasia podczas miesięcy, które przynosiły coraz głębsze wdzieranie się Niemców w terytorium Europy. Pobrali się w czerwcu 1940 roku i niemal natychmiast stracili się z oczu, ponieważ Victoria została przeniesiona do Szkocji.

Oficjalnie bitwa o Anglię trwała prawie cztery miesiące – od dziesiątego lipca 1940 roku do trzydziestego pierwszego października. W rzeczywistości była to seria potyczek prowadzonych przez sześćset samolotów RAF-u przeciwko potężnej Luftwaffe, walczącej o pokonanie Wielkiej Brytanii przy pomocy trzech tysięcy bombowców i tysiąca dwustu myśliwców. Gdyby RAF przegrał, Anglia prawie na pewno zostałaby zdobyta.

Dla Stasia bitwa o Anglię trwała tylko trzy miesiące, poczynając od sierpnia 1940 roku, kiedy to decydujące czynniki doszły do oczywistego wniosku, że dłużej nie można było sobie pozwolić na utrzymywanie jednostek ćwiczebnych; należało wysłać nowo nabytych pilotów do szwadronów operacyjnych i pozwolić im uczyć się między walkami lub w ich trakcie.

Staś nareszcie otrzymał przydział do Westhampnett, niedaleko Portsmouth, dokąd dotarł w dniu, który nazwano "czarnym czwartkiem", czyli piętnastego sierpnia 1940 roku, kiedy to Goring wysłał wszystkie podległe mu "orły" do decydującego nalotu. Szwadron Stasia został poderwany, kiedy ogromna ilość samolotów Dornier 17 i Junker 88 przeleciała pod eskortą myśliwców nad wybrzeżem Anglii. Jego pierwsza bitwa pod błękitnym niebem angielskim była kombinacją nurkowania, uników i wirowania wśród strzelających samolotów, które nie zaprzestawały ataków nawet kiedy zostały trafione.

Po zakończeniu bitwy wywiad potwierdził, że Staś zniszczył dwa niemieckie

bombowce i trzy myśliwce. Przez cały czas trwania walki nie słyszał hałasu w słuchawkach, nie docierało do niego, że inni piloci ostrzegali się nawzajem przed atakującym wrogiem lub krzyczeli z radości, kiedy udało im się trafić. Zimna, skupiona, śmiertelna pasja latania sprawiała, iż wszystko to stawało się niesłyszalne dla niego. Podobnie nie zdawał sobie sprawy, że po każdym trafieniu wroga wydawał z siebie szorstki okrzyk wojenny, który brzmiał w uszach kolegów lecących obok. Kiedy Niemcy wycofali się jak psy z podwiniętymi ogonami, niebo wypełniło się komentarzami.

– Jezu, cóż to było, do cholery?

– Jakiś nowy, to musiał być ktoś nowy, nie ma tu nikogo poza nami, kurczaczkami.

– Dla mnie to brzmiało raczej jak jakiś cholerny kondor!

Staś stoczył bitwę o Anglię jako Kondor Valensky; później, po przeniesieniu do Western Desert Air Force, latał dniami i nocami w ramach operacji "Crusader" i w listopadzie 1941 roku uczestniczył w wyzwoleniu Tobruku. Jako Kondor Valensky pilotował hurricane'a, zwanego niszczycielem czołgów przeciwko Rommelowi w El Alamein; jako Kondor Valensky zasłużył sobie na dwa wysokie odznaczenia lotnicze i w roku 1942 został dowódcą szwadronu. Nikt nie zwrócił się do niego per Staś, dopóki wojna nie dobiegła końca, zwycięskiego końca.

Rozdział 5

Przed nadejściem jesieni Francesca i Staś, nadal ciesząc się pierwszymi tygodniami miesiąca miodowego, zaczęli myśleć o planach na przyszłość. Rozmawiali o ewentualnym wyjeździe do Indii pod koniec listopada, aby być w Kalkucie w czasie grudniowego i styczniowego sezonu polo, po którym planowano rozegranie meczów w Delhi w lutym i marcu. Ale pewnego dnia w połowie października Francesca stwierdziła, że jest w ciąży.

– To musiało się stać tej pierwszej nocy w stajni – oznajmiła Stasiowi. – Podejrzewałam to już trzy tygodnie po naszym ślubie, ale chciałam być absolutnie pewna, zanim ci powiem – była olśniewająco radosna.

– Wtedy? W stajni? Jesteś pewna? – dopytywał się, porwany nagłą radością.

– Tak, wtedy. Po prostu wiem to. Nie wiem w jaki sposób, ale wiem.

– A czy wiesz także, że to będzie chłopiec? Bo ja to wiem. Francesca wymruczała tylko:

– Może.

Wiedziała, dlaczego Stasiowi tak bardzo zależało na chłopcu. Miał syna ze swego pierwszego, krótkiego małżeństwa, chłopca, który miał już prawie sześć lat. Ale ten chłopiec urodził się już po rozstaniu się Stasia i Victorii Woodhill. Ich krótkie współżycie, efekt zawiedzionego instynktu wojownika Stasia, nie przetrwało nawet do końca wojny. Tuż po narodzinach chłopca rozwiedli się. Jego matka nie chciała, aby miał bardziej obco brzmiące nazwisko niż to, z którym się urodził, więc nazwano go George Edward Woodhill Valensky. Ale matka od niemowlęctwa nazywała go Ram i tak już zostało. Mieszkał z matką i ojczymem w Szkocji i tylko od czasu do czasu odwiedzał Stasia. Nadzieja Stasia, tak silna, że przerodziła się w pewność, iż Francesca urodzi chłopca, była sposobem zapewnienia samego siebie, że będzie miał jeszcze jednego syna, który nie zostanie mu odebrany.

Francesca oglądała zdjęcia Rama, smukłego chłopca o zrosniętych brwiach, śmiało patrzącego w obiektyw aparatu, z surowym, niedziecięcym wyrazem twarzy. Nie dopatrywała się zbyt wiele podobieństwa do Stasia w jego synu, którego otaczała aura arystokratycznego chłodu i który miał w sobie coś z przewrażliwienia, niemal goryczy, która już teraz sugerowała, iż nigdy nie pozwoli sobie na brutalne, pewne siebie zagrania ojca.

– Jest prawdziwym jeźdźcem, nawet w tej chwili, nawet w tym wieku –

powiedział Staś. – Jest świetnie rozwinięty fizycznie, wychowany jak mały żołnierz, dzięki tej cholernej tradycji brytyjskiej wyższej sfery. – Znowu spojrzął na fotografię i potrząsnął głową. – A przy tym jest inteligentny i tak wytrzymały, jak to tylko możliwe. Ale jest coś... jakiś dystans... w nim... jak w całej rodzinie jego matki. A może to wina rozvodu. Tak czy inaczej, nic się na to nie poradzi. – Wzruszył ramionami, odłożył zdjęcia gestem człowieka, który nie zamierza oglądać ich ponownie przez bardzo długi czas i przyciągnął Francescę do siebie. Jego oczy wpatrywały się w jej twarz, przez moment drapieżne spojrzenie zmiękło i wówczas pojęła, że to właśnie ona jest dla niego zbawczą skałą na rozszalałym morzu.

Willa pod Lozanną była tak wygodna i obszerna, że Valency postanowili pozostać w niej aż do narodzin dziecka. Dojazd samochodem do Lozanny, w której było wielu świetnych lekarzy nie trwał długo, a skoro o wyjeździe do Indii nie było już mowy, Staś odesłał swoją stadninę kucyków na angielskie pastwiska. Po wojnie wywiózł większą część fortuny ze Szwajcarii i zainwestował ją w firmie Rolls-Royce'a. Urodzony w Rosji, wychowany w Alpach, włącząca podczas sezonów polo stwierdził, że narodowość była w jego wypadku sprawą uczuciową i nie związaną z krajem, ale z silnikiem, silnikiem Rolls-Royce'a, który, w jego przekonaniu, uratował Anglię i zdecydował o przebiegu wojny.

Staś obiecał Francescę, że następnego lata, kiedy dziecko będzie miało parę miesięcy, przeprowadzą się do Londynu, kupią dom, odpowiednio go urządzią i uczynią z niego bazę na przyszłość, ale na razie przeżywali pierwsze miesiące swego małżeństwa w stanie takiego niewiarygodnego wzajemnego podziwu, takiego zmysłowego poświęcenia się poznaniu swoich ciał, że żadne z nich nie miało ochoty jeździć dalej niż Evian na drugim brzegu Jeziora Genewskiego, gdzie wybierali się od czasu do czasu, aby pograć w kasynie. Przejazdźka parowcem po jeziorze wczesnym wieczorem była wymarzoną przyjemnością, kiedy stali razem przy burcie i przyglądali się, jak małe łódki z żółtymi, czerwonymi i niebieskimi żaglami jak wielkie motyle płynęły w zachodzącym słońcu w kierunku portu. Kiedy o północy wracali parowcem do nabrzeża Ouchy, nigdy nie byli pewni czy wygrali, czy przegrali w chemin de fer; i było im to obojętne.

Chcąc upamiętnić mijające miesiące, Staś ofiarowywał Francescę kryształowe wazy Faberge z kolekcji matki. Każdy z nich zawierał bukietki kwiatów lub grona owoców z drogich kamieni, brylantów i emalii: rozkwitające pigwy, żurawina i maliny, konwalia, żonkil, dzikie róże i fiołki, wszystkie wyrzeźbione delikatnie i z prawdziwym mistrzostwem w taki sposób, że bogactwo kamieni

nigdy nie zagłuszało realności form kwiatów i owoców. Po niedługim czasie przy łóżku Francesci stał kwiecisty ogród Faberge, a na wieść o spodziewanym dziecku Staś podarował Francescę jajo Faberge wykonane z lazurytu, osadzone w złocie. W środku znajdowało się żółtko z ciemnożółtej emalii. Otwarcie żółtka uruchamiało mechanizm, który sprawiał, iż z jego wnętrza wyłaniała się miniaturowa korona, doskonała replika kopulastej korony Katarzyny Wielkiej, wysadzanej brylantami i uwieńczonej kaboszonowym rubinem. Wewnątrz tej korony umieszczone było niniejsze jajko z takiegoż rubinu, zawieszona na delikatnym złotym łańcuszku.

– Mama nigdy nie dowiedziała się, czy było to carskie jajko wielkanocne, czy nie – Staś zaspokoił jej ciekawość. – Ojciec kupił je po rewolucji od uchodźcy, który przysięgał, że było jednym z tych, którymi obdarowano owdowiałą carycę Marię, ale nie potrafił wyjaśnić, jak wszedł w jego posiadanie, a ojciec wiedział, że nie należało się przy tym upierać... w każdym razie ma markę fabryczną Faberge.

– Nigdy nie widziałam czegoś tak doskonałego – powiedziała Francesca trzymając je na dłoni.

– Ja widziałem – odparł jej Staś, przesuwając ręce wzdłuż jej szyi, dopóki nie dotknęły piersi, które z każdym mijającym dniem stawały się pełniejsze i dojrzalsze. Jajo upadło na dywan, kiedy dotknął ustami jej ciemniejących sutków i wpijał się w nie jak wygłodniałe niemowlę.

Kiedy nadeszła zima, Staś popołudniami trenował swe wielkie gniosy w stajni, a Francesca drzemała pod lekką, jedwabną pierzyną, budząc się dopiero, kiedy zapach śniegu w pokoju dał jej znać, że właśnie wrócił.

Po herbacie, jeśli wczesny wieczór nie był zbyt wietrzny, Staś zabierał Francescę saniami ciągnionymi przez konie i często widok wschodzącego księżyca, kiedy wracali do swej willi, zapraszającej, pogodnej i oświetlonej tak jasno, jak statek transatlantycki oraz odgłos sapania koni i ujmująca gra dzwonków przy saniach, sprawiały, że Francesca, przykryta wykończoną futrem narzutą, z kapturem długiego kożucha naciągniętym na twarz, czuła łyżę na policzkach. I nie były to łyże szczęścia, ale raczej łyże nagłego smutku, który nachodzi nas w rzadkich momentach absolutnej radości, dokładnie w chwili, kiedy ją przeżywamy. Jest to świadomość, która zawsze niesie ze sobą przecucie straty, przecucie nie wymagające żadnego uzasadnienia czy wyjaśnienia.

Jednocześnie z opanowaniem obsługi wielkiego srebrnego samowara, który tradycyjnie zajmował honorowe miejsce na przykrytym koronkową serwetą stoliku w salonie, Francesca oswoiła się z zachowaniem licznych służących Stasia, którzy

traktowali ją z mieszaniną niepohamowanej, oddanej troski i apodyktycznej ciekawości. Czuła się osaczona przez... nie wiedzieć kogo, nie "personel" – myślała, bo nie byli wcale sztywni, nie "pomoc", bo w ich zachowaniu brakowało swobody, z pewnością nie "domowników", bo nie byli spokrewnieni, nie potrafiła znaleźć lepszego określenia dla nich niż powinowaci.

Wychodząc za Stasia, poślubiła pewien styl życia, którego częścią była Masha, grzebiąca, w najlepszej wierze, w szufladach z bielizną Francesci, aby upewnić się, że każda rzecz jest idealnie złożona, Masha, która wieszła jej szlafroki, po czym zawiązywała paski i zapinała guziki, uniemożliwiając szybkie ich włożenie, Masha, która miała zwyczaj składania chust w typowy dla siebie sposób, to znaczy zależnie od koloru, zamiast zgodnie z przydatnością czy rozmiarem, dzięki czemu te najbardziej ulubione znikają z pola widzenia, Masha, która zjawiała się w łazience w momencie gdy Francesca wychodziła z wanny z rozłożonym ręcznikiem kąpielowym, gotowym do okrycia jej ciała.

Po kilku tygodniach usługi Masny zupełnie przestały Francesce przeszkadzać i pozwoliła jej rozczesywać swoje włosy, a nawet pomagać przy wkładaniu bielizny, całkiem – według słów Mashy – jak wolno jej było to robić dla matki Stasia, księżniczki Tatiany, kiedy jej pokojówek nie było pod ręką z jakiegoś powodu.

– Naprawdę, Masha? – zapytała Francesca bez większego zainteresowania, ale kiedy się odprężyła i poddała delikatnemu czesaniu, dosłownie ujrzała siebie leżącą na stosie pokrytych koronkami poduszek, w aksamitnym szlafroku, podczas gdy ktoś z poświęceniem zajmuje się jej włosami. Wystarczyło, żeby poprosiła o jakikolwiek luksus, aby go natychmiast otrzymać lub, jak w przypadku pracowników firmy Cartier, którzy przynosili księciu Valensky'emu biżuterię do obejrzenia, wskazała, które klejnoty podobają się jej, aby stać się ich posiadaczką. Teraz, kiedy szła, to szła jak księżniczka, Francesca pomyślała sobie i nie zadała sobie nawet trudu, żeby zapytać samą siebie, co przez to rozumiała.

Liczne rozmowy z przyjaciółmi w Lozannie przekonały Stasia, że doktor Henri Allard cieszył się opinią najlepszego specjalisty w mieście. Prowadził prywatną klinikę, która właściwie była po mistrzowsku kierowanym szpitalikiem, ogromnie popularnym wśród zamożnych kobiet ze wszystkich części świata.

Sam doktor Allard był drobnym, rozpromienionym, energicznym człowiekiem o wysokich kwalifikacjach, który odnosił prawie takie same sukcesy w hodowli tulipanów, jak w przyjmowaniu na świat dzieci. Powiedział on Francesce, iż może się spodziewać rozwiązania pod koniec maja. Comiesięczne wizyty u doktora Allarda były niewielkimi i troszkę irytującymi zakłóceniami wspaniałego dialogu,

w jaki wdali się ze Stasiem i który kontynuowali do lutego – Ale tego dnia doktor Allard wyjątkowo długo pochylał się ze stetoskopem nad brzuchem Francesci. Nieco później, w gabinecie, ten zawsze radosny człowiek przeszedł samego siebie.

– Zdaje się, że mamy niespodziankę dla księcia – oznajmił niemal podskakując na krześle. – W zeszłym miesiącu nie byłem całkiem pewny, więc nic nie mówiłem, ale tym razem jestem. Wyraźnie słyhać bicie dwóch serc i różnicę dziesięciu uderzeń na minutę między nimi. Będzie pani miała bliźnięta, księżniczko!

– Niespodzianka dla księcia? – Francesca podniosła głos ze zdziwienia.

– Czy to znaczy, że w rodzinie nie było przypadku bliźnięt? – zapytał.

– W rodzinie? Nie... , nie było przypadku. Doktorze, czy jest coś szczególnego... czy trudniej jest mieć bliźnięta... nie mogę uwierzyć... bliźnięta... pan jest pewny? Czy nie należy zrobić prześwietlenia, żeby mieć pewność?

– Wolałbym tego jeszcze nie robić. Może w przyszłym miesiącu. Ale tam biją dwa serca, słyhać je na pewno oddzielnie, więc nie ma wątpliwości.

Tryskał taką radością, jakby właśnie zdobyła złoty medal. Francesca sama nie wiedziała, co czuje. Nie bardzo potrafiła wyobrazić sobie prawdziwe jedno, a co dopiero dwoje! Ostatnio miewała sny o dziecku, zawsze był to chłopiec, którego trzymała w ramionach i który wyglądał jak Charlie McCarthy i przemawiał do niej jak dorosły; dobre, zabawne sny. Ale dwoje!

– A więc, droga pani – ciągnął lekarz – teraz będzie mnie pani odwiedzać co dwa tygodnie przez najbliższy miesiąc, a potem co tydzień, dopóki dzieci nie zaczną okazywać chęci przyjścia na świat. Dobrze?

– Oczywiście.

Francesca właściwie nie wiedziała, co mówi. Nagle jej zaczarowany świat marzeń prysł jak mieniąca się bańka mydlana. Pragnęła tylko wyjść, pojechać do willi, aby spróbować pogodzić się z nową rzeczywistością.

Cały dom aż zawrzał na taką wiadomość. Bliźnięta! Staś, niedowierzający i zachwycony, nie mógł się powstrzymać, żeby nie powiedzieć o tym swemu lokajowi Mumpowi. Mump powiedział gospodyni, gospodyni powiedziała kucharzowi, a kucharz powiedział Mashy, która, niemal oszalała z podniecenia, pobiegła do biblioteki, aby tam odszukać Francescę i zrobić swej pani wymówkę, że nie podzieliła się z nią osobiście tą wiadomością.

– Powinna była dowiedzieć się pierwsza, księżniczko. W końcu... a teraz wszyscy już wiedzą, łącznie z praczkami i chłopcami w stajni.

– Och; na miłość boską, Masha, ja sama nic o tym nie wiedziałam do wczoraj. Dlaczego, och, dlaczego musicie wszyscy tyle plotkować?

– Plotkować? Ależ księżniczko, my nigdy nie plotkujemy. My tylko powtarzamy to co przypadkowo usłyszemy czy zauważymy lub co nam powiedziano... To nie jest plotkowanie!

– Oczywiście, że nie. Posłuchaj, Masho, będziemy teraz potrzebowali dwa razy więcej wszystkiego. Dwie wyprawki, o Boże, wydawało mi się, że nawet jedna to za dużo. Przynies mi papier, to zacznę robić listę.

– Uważam, że powinna się księżniczka położyć – nastawała Masha.

– Masho, księżniczka ma teraz coś innego do zrobienia!

Luty i marzec minęły w wesołym nastroju, tyle że ciąża stawała się coraz uciążliwsza dla Francesci. W nocy mogła leżeć tylko na boku, mając Stasia za sobą. Często godzinami przytulał się do jej pachnącego ciała, obejmując je rękami tak, aby czuć ruchy nabrzmiałego brzucha.

– Rozpychają się w tobie, jak dwa małe koniki – z dumą wyszeptał Staś. – Jak byłem niemowlęciem, Masha mówiła mamie, że nie słyszała o dziecku, które ssałoby pierś z taką zapalczywością. Twierdziła, że żaden mężczyzna nigdy nie potraktował jej z takim zuchwalstwem, nawet ten, który obdarował ją bękartem. Mój Boże, wyobraź sobie dwóch takich jak ja! – starał się stłumić chichot pełen dumy.

Francesca uśmiechnęła się. Był absolutnie przekonany, że zostanie odtworzony w miniaturze, i to dwukrotnie.

Wydawało mu się naturalne, że dzieci będą oczywistą kontynuacją jego samego. Przygotował im już plan nauki jazdy konno i na nartach, jakby te dzieci w chwili narodzin miały mieć cztery lata i przedwcześnie osiągniętą siłę Herkulesa.

Pewnego dnia, a był to trzeci tydzień kwietnia, Francesca narzekała na wyjątkowo ostry ból pleców. W nocy zerwała się, jakby ktoś nagle poklepał ją w ciemności po ramieniu.

– Kto... ? – wymamrotała przez sen, ale po chwili wiedziała.

– Zaraz... zaraz... co wiesz? – zadała sobie pytanie i nadal leżała spokojnie wyczekując.

Pół godziny później, po kolejnych dwóch skurczach, delikatnie obudziła Stasia.

– To prawie nic, kochanie, ale doktor Allard kazał zadzwonić, jeżeli cokolwiek się wydarzy. Jestem pewna, że to fałszywy alarm, nie warto się przejmować, ale mógłbyś zrobić to dla mnie i zadzwonić do niego? – Sama nie miała odwagi

zbudzić doktora w środku nocy.

Wyrwany z głębokiego snu, Staś wyskoczył z łóżka w odruchu, który wszedł mu w krew w RAF-ie.

– Czekaj, nie ma pośpiechu, spokojnie – zawołała Francesca, czując wyraźną ulgę.

Po minucie Staś wrócił od telefonu.

– Doktor kazał natychmiast przyjeżdżać do kliniki. Przyniosłem ci płaszcz i torebkę... och, jeszcze kozaczki.

– Umyję zęby, zapakuję koszulę nocną i...

– Nie – rozkazał Staś otulając ją płaszczem i pochylając się, aby na boscie nogi założyć jej wyścielone futrem kozaczki.

– Przynajmniej obudź kogoś i uprzedź, że nas nie będzie – wy sapła Francesca.

– Po co? Domyśla się rano.

– Czuję się jakbyś mnie porywał.

Francesca nie była w stanie opanować cichego śmiechu na widok Stasia szarpiącego się z ubraniami. I kiedy prowadził ją przez śpiącą willę do garażu nieudolnie próbując pomóc jej dźwigać ciężar, pomimo iż chodzenie nie sprawiało jej trudności.

Kiedy podjechali pod szpital, doktor Allard i jego główny asystent doktor Rombais, już czekali na nich w drzwiach. Francesca zdziwiła się na widok swego wytwornego położnika ubranego w luźne białe spodnie i taki sam kitel. Nigdy jeszcze nie widziała doktora Allarda bez nieskazitelnie białej kamizelki pod świetnie uszytą marynarką.

– Cóż, księżniczko, być może pozostało nam mniej czasu niż myśleliśmy – powitał ją, jak zwykle, pogodnie.

– Ale to za wcześnie, doktorze. To musi być fałszywy alarm. Przecież mówił pan, że nic się nie stanie przed majem – zawołała.

– Może i tak – zgodził się. – Ale musimy to sprawdzić, prawda?

– Od tego momentu zapomniano o wszystkim, a Francesca ułożona została w łóżku z metalowymi bokami. Kiedy już wygodnie leżała, doktor Allard wszedł na salę i zamknął za sobą drzwi. Doktor Allard dobrze orientował się w statystyce. W każdym przypadku narodzin bliźniąt kobiecie grozi podwójna, albo i potrójna ewentualność, że poród zakończy się śmiercią. Tym niemniej ta mało prawdopodobna możliwość nie była głównym zmartwieniem doktora, choć jego zespół operujący był przygotowany na każdą sytuację. Francesca nie miała podwyższonego ciśnienia krwi. ani żadnych innych objawów zatrucia. Ale jednak,

według jego obliczeń, poród zaczął się pięć, może nawet sześć tygodni za wcześnie, więc w tych okolicznościach, zwłaszcza ze względu na bliźniaki, wołał być ostrożny.

– Cóż, maman, wielki dzień nadszedł – powiedział po zbadaniu jej Allard zawsze zwracał się do rodzących kobiet „maman” czując.

że pomagało im to bardziej skoncentrować uwagę na przyszłości, a mniej na chwili obecnej.

– Więc to nie fałszywy alarm?

– Z pewnością nie. Poród się zaczął, choć należy się spodziewać, że mamy przed sobą jeszcze parę godzin. Jakkolwiek by było, jest to pani pierwszy poród, choć trochę przedwczesny.

Po kolejnej półgodzinie skurczów spokojne pogodzenie się Francesci z jej dolegliwościami zaczęło zanikać. Wszystko dobrze, powiedziała sobie, ale to naprawdę boli. W żaden sposób nie potrafiła sobie uzmysłowić, że właśnie zaczęła rodzić. To się rzeczywiście działo i pragnęła, aby jak najszybciej się skończyło.

– Doktorze Allard, czy mógłby pan dać mi jakiś środek przeciwbólowy? Obawiam się, że to konieczne.

– Niestety, nie, maman, w pani przypadku musimy unikać podawania jakichkolwiek leków.

– Jak to!

Uśmiechnięty, jakby przekazywał jej radosną wiadomość, ciągnął dalej:

– Każde lekarstwo podane pani teraz wywołałoby negatywne efekty u nie narodzonych niemowląt, przedostałoby się do dzieci poprzez pani układ krwionośny. Ponieważ do terminu pozostało jeszcze ponad miesiąc, nie osiągnęły odpowiedniej wagi. Prawdę mówiąc, nie mogę podać pani nic...

„Żadnych leków”! Francesca zbladła z przerażenia. Jak pokoleniom kobiet amerykańskich, myśl o porodzie bez lekarstw nieodparcie kojarzyła się jej z długą i fatalnie zakończoną agonią Melanie Wilkes w *Przeminęło z wiatrem*.

– To tylko dla ich dobra, maman, tylko dla ich dobra.

– Ale, na miłość Boską, jak długo? – zapytała.

– Dopóki nie będzie pani gotowa do wydania na świat tych maleństw; wtedy zrobimy blokadę i potem nie będzie pani już czuła żadnego bólu.

– Błokadę? Mój Boże, a cóż to jest? – wstrzymała oddech w paraliżującym lęku.

– Po prostu zastrzyk przeciwbólowy – wyjaśnił uważając, że lepiej nie dodawać, iż robi się go w czwarty odstęp między kręgami lędźwi, w dolnej części

kręgosłupa. Księżniczka była wystarczająco zdenerwowana, należało oszczędzić jej szczegółów.

– Doktorze, nie mógłby pan zrobić tej blokady teraz? – błagała go Francesca.

– Niestety, nie. Mogłoby to wstrzymać poród, a dzieci chcą się już urodzić, maman – był uprzejmy, ale zrozumiała, że cokolwiek powie, nie wzruszy go.

– Doktorze, dlaczego nie powiedział mi pan o tym wcześniej? To niesamowite, że przy tak nowoczesnej medycynie... – Francesca przerwała, nie znajdując słów dla wyrażenia gniewnego i pełnego strachu niedowierzania.

– Ale pani przedwcześnie rodzi bliźnięta, maman. I takie właśnie są wymagania nowoczesnej medycyny. – Doktor wziął jej rękę i pogładził ją po ojcowsku. – Moja najlepsza położna zostanie teraz przy pani. Będę w pokoju obok. Jeśli będzie mnie pani potrzebowała lub chciała czegoś ode mnie, proszę jej powiedzieć i natychmiast się zjawię.

– W pokoju obok? Dlaczego nie może pan tu zostać? – poprosiła Francesca, przerażona na myśl, że mógłby ją opuścić.

– Czas na moją drzemkę, maman. Dzisiaj wieczorem przyjąłem już dwoje dzieci. Musi pani spróbować kompletnie odprężyć się między skurczami. Radzę pani też się zdrzemnąć.

Osiem następnych godzin wypełniły uczucia zmieniające się jak w kalejdoskopie: fizyczne cierpienie, jakiego jeszcze nie doświadczyła i o jakim nawet nie śniła, a które nie pozostawiało czasu na myślenie; złość, bo było znacznie gorzej niż się tego spodziewała; niepohamowana euforia, zakłócona świadomością, że potrwa tylko do następnego skurczu; strach typowy dla pływaka, kiedy zdaje sobie sprawę, że przyływ jest zbyt silny i traci wszelką nadzieję na pokonanie go. Ale ponad nimi wszystkim panowało uczucie najsilniejsze, uczucie triumfu, który nadał tym godzinom specyficzną jakość; triumf, że żyje pełnią życia, angażuje w nie każdy atom swych psychicznych, moralnych i fizycznych możliwości, składających się na największy wysiłek w jej życiu.

Francesca zniosła to bez lekarstw, wspierana tylko przez dodających jej otuchy dwóch lekarzy i mnóstwo pielęgniarek, które wchodziły i wychodziły powtarzając badania, których po pewnym czasie nawet nie zauważała. Ujrzawszy dwóch sanitariuszy z wózkiem, którym mieli ją przewieźć do sali porodowej, była zbyt oszołomiona, aby zdawać sobie sprawę dlaczego tu są.

Doktor Allard poczekał przy stole porodowym na moment między skurczami i wówczas pomógł Francesce usiąść, aby zastosować blokadę. Następnie ułożono ją

na plecach z poduszką pod głową. Zupełne ustąpienie bólu było tak nagłe jak uderzenie pioruna i tak niezwykle, że Francesca czuła się załęczniona i zaalarmowana.

– Chyba nie jestem sparaliżowana, doktorze... to nie jest paraliż?

– Oczywiście, że nie, maman. Wszystko idzie świetnie. Wszystko idzie tak jak powinno. Spokojnie, spokojnie... jesteśmy tu wszyscy, żeby pani pomóc. – Po raz setny pochylił się nad nią ze stetoskopem, sprawdzając bicie serca płodu.

– Czuję się jak w niebie... – westchnęła Francesca.

Chociaż na sali porodowej byli doktorzy Allard i Rombais, trzy położne i anestezjolog, przez następnych czterdzieści minut obowiązywała absolutna cisza, przerywana jedynie radami doktora Allarda dla Francesci. Ludzie Allarda zostali przeszkoleni, jak współpracować bez słów, jedynie przy pomocy spojrzeń i gestów rąk, ponieważ wierzono-, że rodząca kobieta jest bardziej wrażliwa na usłyszane słowa niż normalnie i prawie zawsze błędnie je interpretuje. „Pamiętajcie”, powtarzał swoim podwładnym, „maman może robić wrażenie uśpionej, ale zmysł słuchu zamiera na samym końcu, więc nie odzywajcie się”.

Po czterdziestu minutach Francesca znowu poczuła ból, choć bez porównania łagodniejszy.

– Doktorze, doktorze – wymamrotała. – Zdaje się, że zastrzyk przestaje działać.

– Ależ nie, po prostu zbliżamy się do rozwiązania – zapewnił ją wesołym głosem. – A teraz, kiedy powiem przec, proszę włożyć w to wszystkie siły. Nie będzie pani czuła skurczów, ale ja już je widzę, więc proszę słuchać moich poleceń.

Po kolejnych dziesięciu minutach Francesca usłyszała, że chrząknął z zadowoleniem. I prawie w tym samym momencie usłyszała płacz dziecka.

– Czy to chłopiec? – zapytała. – Ma pani śliczną córeczkę, maman – odpowiedział Allard, spieszenie przekazując dziecko doktorowi Rombaisowi, który ostrożnie zacisnął pępowinę. Allard ponownie pochylił się między udami Francesci. Pielęgniarka, która obserwowała rytm serca płodu, dała właśnie znać, że serce nie narodzonego dziecka zaczęło bić wolniej. Skonsternowany zauważył, iż odchodzące jeszcze wody płodowe mają żółtozielony kolor, choć powinny być czyste. Serce drugiego dziecka biło z każdą sekundą wolniej. Obmacał macicę i stwierdził, że jest zupełnie sztywna. Skurcze ustały. Gwałtownym gestem polecił Rombaisowi, aby natychmiast zastosował ucisk na szczytową część macicy, a sam z całych sił ścisnął sztywną jak deska macicę. Wkładając w to wszystkie swoje siły, przesunął drugiego noworodka do pozycji w kanale rodnym, z której mógł je

wydobyć przy pomocy kleszczy.

Przyjście na świat drugiego niemowlęcia zajęło już tylko minuty, nie mniej niż cztery i nie więcej niż pięć. Nie zaczęła sama oddychać tak jak pierwsza i trzeba było zawinąć ją w ręcznik i trochę potrząść nim cichutko zapłakała. Przecinając pępowinę doktor Allard stwierdził, że choć wygląda na dobrze rozwiniętą, nie może ważyć więcej niż dwa kilogramy. Zostało to potwierdzone na wadze w sali porodowej. Co gorsze, tak jak się obawiał zauważywszy zielonożółtawą smólkę w wodach płodowych, Francesce groził poważny krwotok wewnętrzny spowodowany gwałtownym oderwaniem się łożyska od ścianki macicy tuż przed urodzeniem się drugiego dziecka.

– Doktorze? – dociekała Francesca. – Co się dzieje, czy to chłopiec, czy dziewczynka?

– Druga dziewczynka – odpowiedział krótko.

Lakoniczność tej odpowiedzi, chłód w zwykle wesołym głosie, dały do zrozumienia wszystkim obecnym, że szef jest poważnie zaniepokojony stanem drugiego dziecka. Działo się coś bardzo złego.

Kiedy to mówił, anestezjolog czuwający nad Francesca zauważył u niej nagły spadek ciśnienia krwi i wyraźnie przyspieszony rytm serca. Francesca przestała myśleć o poczuciu gorzkiego rozczarowania odpowiedzią doktora Allarda, bo nagle poczuła mdłości i zawroty głowy. Jej ciało pokrył pot. Ale nie ustępowała:

– Pokażcie mi je... błagam, pokażcie mi je.

– Za chwileczkę, maman, najpierw musi pani ochłonąć. Allard przyzwał dwie pielęgniarki, aby podłączyły kroplówki do obu rąk Francesci. Zaczynała popadać w stan szoku, ale kroplówki i podany fibrynogen uspokoiły tętno i bicie serca na bezpiecznym poziomie. Kiedy tylko pacjentce nic już nie groziło, Allard polecił doktorowi Rombaisowi przynieść noworodki na stół porodowy. Oba miały zamknięte oczka i oba mocno zaciskały piąstki. U jednej z bliźniaczek starannie wysuszone, delikatne blond włoski już zaczynały się kręcić, druga miała jeszcze wilgotną główkę.

Każda zawinięta była w miękki flanelowy kocyk. Obejrzawszy je po raz pierwszy, osłabiona, ale w pełni przytomna Francesca, poczuła eksplozję takiego zaskoczenia, jakiego jeszcze nie doznała. Kontrast między uczuciem absolutnego zespolenia z istotami, które nosiła w sobie, a widokiem dwu prawdziwych osóbek, z których każda była zdolna zamknąć oczy i zwinąć piąstki, odizolowując się w ten sposób od jasnego świata, na który właśnie przyszły, był zmianą tak zadziwiającą i niepojętą, że nie była w stanie ogarnąć jej rozumem, reagowała wyłącznie

emocjonalnie.

– Czy one są identyczne, doktorze?

– Tak, z tym, że pani druga córeczka waży nieco mniej niż pierwsza. To ona – powiedział wskazując drobniejszą niemowlę.

– Musimy zaraz umieścić ją w inkubatorze, do czasu aż przybierze trochę na wadze. A poza tym nie ma różnic, przeliczyliśmy, obie mają wszystkie paluszki u rąk i u nóg.

– Dzięki Bogu – wyszeptała Francesca.

– A teraz, maman, musi pani odpocząć.

– Proszę zawiadomić męża.

– Będzie musiał jeszcze chwilę poczekać.

Lekarz nie chciał odchodzić od Francesci dopóki nie nabierze pewności, że dopływ świeżej krwi do jej żył wyeliminował wszelkie możliwe zagrożenia. I pozostał przy niej do momentu, kiedy można było przenieść ją na salę chorych. Wówczas wyszedł z pustej sali porodowej, leniwie rozwiązując tasiemki białej czapeczki.

Gdy zmęczony wszedł do pokoju, w którym czekał Staś, zastał go śpiącego na siedząco, z czołem opartym o okno, przez które bezmyślnie gapił się przez calutką długą noc. Przez jakiś czas doktor Allard stał za plecami śpiącego mężczyzny. Następnie westchnął i lekko ścisnął ramię Stasia. Książę natychmiast się zbudził.

– No więc!?

– Ma pan dwie córeczki. Madame czuje się dobrze, ale jest bardzo zmęczona.

Staś wpatrywał się w lekarza dzikim wzrokiem, jakby czekał na dalszy ciąg odpowiedzi. Jego niezachwiane oczekiwania otrzymały tak dewastujący cios, że nie mógł nic powiedzieć. Po krótkiej przerwie doktor kontynuował udzielanie odpowiedzi na zadane pytania, jakim zwykle zasypują go ojcowie.

– pańska pierwsza córka jest w doskonałej kondycji, jeśli zaś chodzi o drugą...

Staś wreszcie odzyskał głos:

– Co z drugą... Proszę mi powiedzieć!

– Był pewien problem, pewna komplikacja przed urodzeniem się dziecka. Łożysko oderwało się od macicy tuż przed porodem i madame przeszła wewnętrzny, ukryty krwotok.

Staś osunął się na ścianę.

– To znaczy, że dziecko nie żyje. Może mi pan to powiedzieć, doktorze.

– Nie, dziecko żyje, ale muszę pana ostrzec, że możemy z nią mieć poważne kłopoty. Jest bardzo mała, waży tylko dwa kilogramy i w związku z placentae

abruptio – oderwaniem – oraz obecnością smółki w wodach płodowych wiemy, że przez jakiś czas tlen nie docierał do jej mózgu. Działaliśmy najszybciej jak mogliśmy, proszę księcia, ale nim udało się bezpiecznie wydostać dziecko, minęły jakieś cztery minuty, może cztery i pół.

– Co usiłuje mi pan wyjaśnić? Proszę po prostu powiedzieć to, doktorze!

– Istnieje prawdopodobieństwo, nie, właściwie mamy pewność, że doszło do uszkodzenia mózgu.

– Uszkodzenia mózgu? Co to ma znaczyć, do diabła? O czym pan mówi? – Staś chwycił doktora za ramiona, jakby chciał nim potrząsnąć, ale szybko opuścił ręce.

– Proszę mi wybaczyć.

– Jest jeszcze za wcześnie, żeby wiedzieć na pewno. Zasięgu urazu nie da się przewidzieć, nie przed dokładnym przebadaniem dziecka.

– Jak długo to potrwa... kiedy zbada pan... to drugie?

– Jak tylko uznam, że jest wystarczająco silna. W tym czasie, na wszelki wypadek, powinna zostać ochrzczona. Jak będzie miała na imię, proszę księcia?

– Gównu mnie to obchodzi!

– Księżę Valensky! Proszę się uspokoić. Nie ma absolutnie żadnego powodu, żeby tracić nadzieję. Ponadto ma pan już jedną zdrową, śliczną małą córeczkę. Chciałby pan ją zobaczyć? Jest w sali noworodków. Ważyła około trzech kilogramów, więc inkubator nie był konieczny. Chce pan ją odwiedzić? Teraz?

– Nie! – odpowiedział Staś nie myśląc.

Wiedział tylko, że nie nadawał się do oglądania jakichkolwiek dzieci. Doktor przenikliwie wpatrywał się w niego. Nie pamiętał, żeby ktokolwiek w ten sposób przyjął nowinę.

– Radzę panu – odezwał się uprzejmie – pójść do domu i wyspać się, a potem wrócić i odwiedzić księżniczkę. Ma pan za sobą bezseną noc spędzoną w strasznym napięciu. Jestem przekonany, że kiedy pan wróci, mała księżniczka też nie będzie spała.

– Bez wątpienia – Staś skierował się do drzwi, ale odwrócił się i powiedział tonem, w którym krył się znak zapytania: – Jestem pewny, że zrobił pan wszystko co było w pana mocy.

– Tak, może mi pan wierzyć, księżę. Ale są pewne rzeczy na świecie, na które nie możemy nic poradzić.

Staś patrzył na niego z furją. Drobnny lekarz zebrał się w sobie, urażony powątpiewaniem w jego fachowość.

– W naturze zdarzają się wypadki, którym nawet najbardziej uzdolniony

człowiek nie jest w stanie zapobiec, mogąc tylko ratować to co się da.

– Ratować? – Staś wypowiedział to słowo tak, jakby go nigdy przedtem nie słyszał. Co on miał wspólnego z ratowaniem? Jego życie nie dopuszczało możliwości straty, więc jakim prawem mówił o ratowaniu? – Do widzenia.

Po niebezpiecznie szybkiej jeździe dojechał do domu i zignorował służących czekających przy głównym wejściu, przejeżdżając koło nich i jadąc dalej, do stajni. Tam wytoczył się z samochodu, wbiegł do środka i wskoczył na grzbiet pierwszego konia, jaki mu się nawinął. Stajenny, który dostrzegł, że pan wybiera się na przejażdżkę na oklep, podbiegł do Stasia i wykrzyknął:

– Proszę księcia! Jak się mają bliźnięta... i księżniczka?

– Księżniczka ma się dobrze. Jedno dziecko. Dziewczynka A teraz zejdz mi z drogi, do diabła!

Staś wbił obcasy w boki ogiera, ręce wsunął głęboko w grzywę i wydał komendę, która była raczej skowytym niż wyrazem. Zwierzę, nagle opanowane takim samym uczuciem dzikości jak jego pan, podrzuciło tylne nogi, zarżało radośnie i ruszyło galopem na wzgórze, niosąc na grzbiecie Stasia, który kopał, jakby gonił go diabeł.

Rozdział 6

Minął kwiecień 1952 roku, potem maj, a Francesca Valensky i jej bliźniaczki nie opuściły kliniki doktora Allarda od dnia przedwczesnego porodu. Pewnego dnia w drugiej połowie czerwca pielęgniarka przyniosła Marguerite, pierworodną, do pokoju jej matki na wcześniejsze – z dwóch dziennie – odwiedziny. Siostra Anni zaledwie przemknęła wzrokiem po zamkniętej kobiecie wygaszonym wyrazie twarzy, siedzącej, jak zwykle nieruchomo fotelu. Te bezsensowne regularne wizyty już dawno znudziły Anni – Wszystkie inne pielęgniarki w klinice, które na początku rozkoszowały się sekretnym plotkowaniem na temat fascynującej pacjentki również pogodziły się z różnymi faktami związanymi z tym przypadkiem. Księżniczka Valensky w ogóle się nie odzywała i ani przez minutę nie okazała zainteresowania dziećmi. Zupełnie nie dbała też o siebie, choć fizycznie nic jej nie dolegało, a swój pokój opuszczała tylko wówczas, gdy dwie pielęgniarki brały ją pod ramiona i wyprowadzały do niewielkiego ogrodu pod oknem jej jasnego pokoju.

Poporodowa depresja, ze wszystkimi jej przejawami, nie była dla nich niczym nowym. Współczuły jej zgodnie, ale po jakimś czasie nawet lekarze nie wiedzieli, co robić. Takie kobiety czasem dochodziły do siebie same, a czasem nie udawało się ich w ogóle wyleczyć. Każda z pielęgniarek miała do opowiedzenia jakąś szczególnie ponurą historię, choć starały się nie rozmawiać o nich, kiedy mogły być słyszane przez specjalnie zatrudnione na dwudziestoczworgodzinnych dyżurach pielęgniarki psychiatrii, które sprawowały stałą opiekę nad tą pacjentką, aby ani przez chwilę nie czuła się samotna, nawet kiedy spała.

Siostra Anni skinęła na pielęgniarkę, która siedziała w rogu robiąc na drutach.

– Zrób sobie teraz przerwę. Będę tu teraz z dzieckiem, a nie ma powodu, żebyśmy obie tu siedziały, prawda?

– Chyba nie. Jest spokojna, jak zwykle.

Był wyjątkowo ciepły i słoneczny dzień. Trzymając Marguerite wprawnie w zgięciu ręki, Anni szeroko otworzyła okna i rozsunała zasłony, aby wpuścić czyste powietrze przesiąknięte zapachem kwiatów. Następnie usiadła na krześle obok Francesci i po dziesięciu minutach, jak zwykle wypełnionych ciszą, przysnęła.

Biedronka wleciała do pokoju i usiadła na czółku dziecka, dokładnie między oczami, jak znak kasty Hindu. Pielęgniarka, z pół zamkniętymi oczami, nie zwracała na nic uwagi. Francesca Patrzyła na drzemającą kobietę i dziecko bez śladu

zainteresowania. Ale jakąś małą częścią świadomości pragnęła, aby pielęgniarka zauważyła owada. Po kilku minutach ciche chrapanie nie ustawało. Biedronka spacerowała po buzi dziecka i ostatecznie usiadła na delikatnej powiece, niedaleko rzęs. Zbyt blisko, niebezpiecznie blisko. Francesca wyciągnęła palec, aby zgonić biedronkę. Kiedy to robiła, po raz pierwszy dotknęła dziecka, dotknęła jego skóry i odkryła, że była ona szokująco miękka, szokująco żywa. Dziecko otworzyło oczy i spojrzało prosto na nią i wtedy zauważyła, że oczy były czarne, tak czarne jak jej własne. Przesunęła palec nad prawie niewidocznymi jasnymi rzęskami, po czym nieśmiało zakręciła w palcach płowego loczka.

– Czy mogłabym... czy mogłabym ją potrzymać? – wyszeptwała do na pół śpiącej pielęgniarki. Ta spała dalej, nic nie słysząc.

– Siostrze? – Francesca odezwała się cicho. W odpowiedzi usłyszała tylko chrapanie. – Siostrze? – powtórzyła nieco głośniej.

I w tym momencie coś ciężkiego uniosło się w niej, coś pękło, kiedy na nowo odkryła swój głos.

– Mój Boże, mój Boże – powiedziała głośno, głaszcząc włoski dziecka palcami, do których powróciło życie i radość.

– Siostrze, proszę mi dać moje dziecko!

Pielęgniarka obudziła się gwałtownie zdezorientowana i podenerwowana. Natychmiast przytuliła dziecko.

– Co? Co? – wymamrotała. – Zaraz... proszę przestać... wezwę lekarza – wstała z krzesła i odsunęła się.

– Proszę tu podejść. Chcę ją potrzymać. Teraz. Proszę mi natychmiast dać moje dziecko. Na jej oku siedział insekt! – dodała oskarżająco.

Francesca podniosła się z fotela i zebrała w sobie całą tę władczość, z którą stawała przed kamerami. Nagle, jakby zmaterializowała się, Francesca Vernon, wielka gwiazda, stała przed pielęgniarką, wyciągając ręce w rozkazującym geście.

Pielęgniarka była całkowicie zaskoczona, ale nie zastraszona.

– Proszę mi wybaczyć, madame, ale nie mogę na to pozwolić.

Mam zdecydowane polecenie, aby nie, wypuszczać dziecka z rąk.

Zaszła w niej kolejna zmiana. Nie opuściwszy nawet rąk stała się, nieomylnie, księżniczką Francesca Valensky, księżniczką, której się nigdy nie sprzeciwiano, nie zadawano pytań, księżniczką, której wolno było wszystko.

– Proszę natychmiast wezwać doktora Allarda! – Głos Francesci był nieco ochryply, ale wręcz wypełnił pokój. – Zrobimy z tym porządek!

Allard zjawił się w pokoju Francesci już po paru minutach. Wbiegł i nagle

zatrzymał się, ujrawszy piękną kobietę, tak ciemną i tak porywczą, patrzącą wzrokiem wygłodniałej pумы na dziecko. Naładowana adrenaliną, usiłowała podejść oszołomioną, ale nadal opierającą się pielęgniarkę.

Łagodnie, choć ukrywając podniecenie, na jakie jeszcze sobie nie pozwolił, doktor przemówił.

– A więc, maman, zaczynamy czuć się trochę lepiej? Próbujemy się zaprzyjaźnić?

– Doktorze Allard, co tu się dzieje, do diabła? Ta szalona kobieta nie chce mi dać mojego dziecka.

– Siostró Anni, może pani dać Marguerite jej matce. Proszę zostawić nas samych na chwilę.

Pielęgniarka bez słowa podała dziecko Francesce. Marguerite ubrana była w letnie śpioszki, z których zwisały delikatne rączki i nóżki z zaczątkami pulchności, korzystając ze słońca i ciepłego powiewu. Była niewyczerpanym skarbcem różu i złota, tak drobnym, a jednocześnie tak prawdziwym, że nawet przemęczony personel szpitala zatrzymywał się nad jej łóżeczkiem.

Allard wpatrywał się z uwagą we Francesce patrzącą w oczy maleństwa.

– Kim jesteś? – zapytała.

Na dźwięk ludzkiego głosu Marguerite na moment przestała się wiercić i spojrzała na twarz matki. I wówczas, ku nieopisanemu zdziwieniu Francesci, uśmiechnęła się.

– Uśmiechnęła się do mnie, doktorze!

– Oczywiście, że się uśmiechnęła.

Francesca zignorowała tę uwagę.

– Doktorze, o co chodzi z tą decyzją, że nie wolno mi być samej z dzieckiem. Po prostu nie rozumiem.

– Nie czuła się pani najlepiej, księżniczko. Do dzisiaj nie chciała pani wziąć jej na ręce.

– Ależ to niemożliwe! Bez sensu... po prostu bez sensu. Nigdy w życiu nie słyszałam takiej bzdury! – Francesca wpatrywała się w doktora, jakby ujrzała go po raz pierwszy we właściwym świetle. – Gdzie jest drugie dziecko? – zapytała. – Nie rozumiem co się tu dzieje, ale nie podoba mi się to ani trochę. Gdzie jest mój mąż? Doktorze, proszę do niego zadzwonić i kazać mu natychmiast tu przyjechać – poleciła. – I proszę mi powiedzieć, gdzie jest moje drugie dziecko... chcę ją też potrzymać.

– Pani mniejsza córka jest nadal w inkubatorze – szybko odpowiedział doktor.

Odwiedzenie drugiego dziecka było w tej chwili absolutnie wykluczone. Noworodek tego rana miał konwulsje, już drugie od narodzin. Widok chorej, żalostnej kruszyny mógłby zdenerwować matkę w stopniu, który groził ponownym popadnięciem w depresję, w jakiej tak długo była pogrążona. Nic nie zmusiłoby go do podjęcia takiego ryzyka.

– Gdzie jest inkubator, doktorze? – zapytała Francesca ruszając w kierunku drzwi z Marguerite na rękach.

– Nie, maman. Zabraniam pani. Nie wydobrzała pani jeszcze, nie jest pani tak silna, jak się pani wydaje. Czy ma pani pojęcie, jak długo pani tu jest, droga pani?

Francesca zatrzymała się skonsternowana.

– Jakiś czas? Nie jestem pewna... może... dwa tygodnie?

– Prawie dziewięć tygodni... tak, dziewięć tygodni... Wy, Amerykanie nazywacie to szmat czasu – delikatnie wyjaśnił lekarz, widząc, że pacjentka rezygnuje z pomysłu pójścia do inkubatora.

Francesca usiadła, nadal tuląc do siebie dziecko. Miała wrażenie, że ostatnio przebywała w jakimś smutnym, odległym miejscu, uwięziona w świecie tak ponurym i pozbawionym kolorów, jak deszcz w zimie; w zagubionym miejscu, w którym posępne wydarzenia przesuwają się przed jej oczami, jak odległa gra cieni oglądana z daleka przez okno. Dziewięć tygodni! Nagle poczuła, że siły opuszczają każdą jej kość, każdy mięsień. Bez słowa podała dziecko lekarzowi. '

Allard wykorzystał moment.

– Musimy odzyskać siły, maman, zanim zaczniemy składać wizyty – Francesca przytaknęła ze zgodą. – Za tydzień, a może wcześniej, jeśli nie będzie się pani przemęczać. Ma pani przed sobą długą drogę, moja droga, nim wróci pani do normalnego stanu.

W tej chwili wystarczy tego gadania. Powinna pani spróbować zasnąć, dobrze?

Podszedł do niej z dzieckiem. Francesca musnęła ustami najdelikatniejsze miejsce na ciele każdego niemowlęcia – jedwabne, drobne fałdki, które miały ukształtować się w szyję.

– Wróci do pani po południu. Będzie pani mogła podać jej następną butelkę – powiedział lekarz, otwierając drzwi czekającej za nimi pielęgniarki.

Zaniósł dziecko do sali noworodków, powtarzając sobie: „Dzięki Bogu, dzięki Bogu!”

Zaraz po telefonie doktora Staś popędził do kliniki z prędkością stu pięćdziesięciu dwu kilometrów na godzinę. Przez kilka minionych tygodni codziennie spędzał z Francesca kilka godzin, bezowocnie usiłując pokonać

milczenie, w którym się zamknęła, to niezgłębione nieszczęście, które przyszło niejako z zewnątrz, jakby jakaś chmura otoczyła ją i uczyniła niewidzialną. To czuwanie było znośne dzięki wizytom Marguerite u matki, wizytom, które zalecił doktor Allard, bez względu na to, czy Francesca zareaguje czy nie.

Staś był szaleńczo zakochany w swojej córeczce. Bawił się z nią tak długo, jak mu pozwalano. Upierał się, aby wyjmowano ją i kocyka, bo lubił patrzeć na nią, kiedy była goła. Pokazywał jej czarujące, drobne ciało Francesce, mając nadzieję, że widok tej świeżo narodzonej doskonałości, musi poruszyć ją tak, jak wzruszała jego, ale na próżno. Odbywał długie narady z doktorem Allardem, domagając się ciągle nowych zapewnień, że uczyniono wszystko, aby nie pozwolić Francesce na zrobienie sobie krzywdy.

Kiedy nie był z Francesca, zamykał się w willi i nie widywał nikogo z zewnątrz. Tak jak udało im się wyrwać na miesiąc miodowy bez kontaktu z dziennikarzami, tak teraz postarał się, aby wiadomość o narodzinach jego dzieci nie przeniknęła do prasy. Klinika doktora Allarda zapewniała uniknięcie rozgłosu, a jedynymi ludźmi, którzy wiedzieli o ciąży Francesci byli Matty i Margo Firestone'owie. Napisał do nich tydzień po przedwczesnym porodzie, ale zawiadomił tylko o Marguerite i poporodowej depresji Francesci. W imieniu chorej żony poprosił o dyskrecję i nie zawiódł się.

Ale teraz... teraz! – rozmyślał czekając niecierpliwie w gabinecie doktora Allarda – można było zacząć znowu żyć. Od początku wiedział, że musi zwyciężyć w tej okrutnej grze. Tysiące razy przysięgał sobie, że to tylko kwestia czasu i będzie mógł zabrać Francesce i Marguerite do domu. Staś nigdy nie dopuścił do siebie najmniejszego zwątpienia.

Po dłuższym czasie zjawił się doktor Allard, niemal tańczący z zadowolenia.

– Czy mogą wrócić ze mną do domu? – dociekał Staś, nie przywitawszy się nawet z doktorem.

– Niedługo, niedługo, kiedy księżniczka nabierze trochę sił. Ale najpierw, mój przyjacielu, musimy porozmawiać o drugiej córce, o Danielle.

Nawet Allard nie był w stanie, podczas depresji Francesci, zmusić Stasia do rozmowy na temat drugiego dziecka. Będąc dobrym katolikiem, upewnił się, że dziewczynka została ochrzczona następnego dnia po przyjściu na świat, ponieważ wówczas nie był pewny czy przeżyje następną dobę. Sam wybrał imię, po swojej matce, w nadziei, że przyniesie trochę szczęścia temu biednemu maleństwu.

– Danielle – Staś powtórzył imię, jakby wymawiał obcojęzyczne słowo, które nic dla niego nie znaczyło. – Nie liczę na to, że przeżyje.

– W jego głosie brzmiała ostateczność, bezwzględny sprzeciw.

– Ale jeśli przeżyje, a jest taka szansa, niewykluczone, że będziecie państwo musieli poradzić sobie z komplikacjami neurologicznymi...

– Doktorze, nie teraz!

Doktor jednak niewzruszenie mówił dalej, gestykulując z przejęciem i przekonując z formalną intonacją.

– Proszę księcia, przebadalem obie pańskie córki. Jest taki precyzyjny zestaw testów, które stosuje się w celu ustalenia stopnia rozwoju nerwowego noworodków. Przebadaliśmy je razem z doktorem Rombaisem, aby porównać ich reakcje i...

Staś przerwał mu z wściekłością, z jaką zwykł był atakować wszystkie przeszkody na swojej drodze. Jego szyja i głowa zmieniły się w polujący dziób złego i zięjącego nienawiścią ptaka, kiedy powiedział:

– Proszę po prostu podać mi wyniki!

– Proszę księcia – odpowiedział doktor, nie zmieniając wyważonego tonu wykładowcy. – Musi pan zdać sobie sprawę, z czym mamy tu do czynienia, bez względu na to, jak mało to pana interesuje. Proszę mi wierzyć, że nie ma sposobu, w jaki mógłbym podać panu wyniki, jak pan się wyraził, w dwóch słowach. A więc! Jeśli pan pozwoli, będę kontynuował. Marguerite reaguje pod każdym względem jak normalny, silny noworodek. Ssie zapalczywie, ma normalny refleks. Aby to sprawdzić, położyłem ją na pleckach i głośno klasnąłem w ręce przy jej uchu. Wyciągnęła nóżki i rączki i poruszała palcami u rąk i u nóg. Kiedy podniosłem ją i trzymałem tak, aby stopkami dotykała stołu, zaczęła wykonywać ruchy przypominające kroki, a kiedy ją posadziłem, mięśnie w ramionach i szyi skurczyły się. Krótko mówiąc, było to ożywione spotkanie. Staś słuchał każdego słowa doktora z uwagą, która wymagała bolesnego ściągania cugli. Żaden lekarz nie musiał go zapewniać, że Marguerite była doskonała. Nastąpiła króciutka przerwa, ponieważ Allard szukał słów, aby sformułować to, co miał teraz do powiedzenia. Westchnął głęboko, ale ze zdecydowaniem.

– Danielle wykazała bardzo ograniczone reakcje na wszystkie te testy. Wykonałem badanie dwukrotnie, z trzytygodniową przerwą i wyniki niczym się nie różniły. Ruchy są minimalne, rzadko płacze, nie podnosi jeszcze główki i prawie nie przybrała na wadze... nazywamy to niedomaganiem w rozwoju.

– Niedomaganie w rozwoju! To znaczy, że ona jest warzywem! – Staś dłużej nie mógł już zapanować nad sobą.

– Z pewnością nie, proszę księcia! Ma tylko dziewięć tygodni i nadal istnieje

uzasadniona nadzieja, że przy odpowiedniej opiece zacznie się normalnie rozwijać. Jeśli będzie przybierać na wadze w takim tempie jak dotychczas, choć jest ono bardzo wolne, nie ma powodu, aby ostatecznie nie stała się fizycznie aktywnym dzieckiem. Nie jest w żaden sposób zdeformowana, tylko słaba, bardzo słaba.

– A psychicznie?

– Psychicznie? Psychicznie nigdy nie będzie normalna. Wiedzieliśmy o tym od początku.

– Co pan właściwie usiłuje mi powiedzieć, doktorze? Na ile będzie daleka od normalności?

– Będzie opóźniona w rozwoju, to na pewno. W tej chwili nie jestem w stanie określić dokładnie stopnia opóźnienia. Nie możemy przeprowadzić testu na inteligencję, dopóki nie skończy trzech lat, a i wtedy nie będzie to ocena ostateczna; w tym przypadku, proszę księcia, jest bardzo wiele wariantów, od łagodnego, poprzez średni, do ostrego... – doktor Allard nagle zamilkł.

– A czy może być... łagodny? – Staś wreszcie zmusił się do zapytania niskim, pozbawionym wiary głosem, cedząc słowa, jakby każde z nich paliło mu usta.

– Proszę księcia, w takich przypadkach zwykle jest ogromny rozstrzał możliwości. Czasem zaledwie parę punktów procentowych w teście na inteligencję może zadecydować o tym, czy dziecko pozostaje w stanie, w którym trudno go czegokolwiek nauczyć, czy też rozwinie pewne zdolności. Nikt nie może przewidzieć, w czym leży jego siła...

– Proszę mi oszczędzić tych niejasnych ogólników! – Staś nie wytrzymał. – Jaka przyszłość ją czeka, do cholery!

Nastąpiła krótka chwila ciszy. W końcu doktor Allard udzielił odpowiedzi, wkładając w nią najbardziej precyzyjne informacje, jakie były mu dostępne.

– Nie powinniśmy liczyć na więcej niż gdzieś pomiędzy dolną granicą łagodnego i górną średniego upośledzenia. Będzie sobie radziła z niektórymi czynnościami codziennego życia, będzie w stanie nawiązać pewne stosunki towarzyskie, będzie umiała porozumieć się prostymi wyrażeniami używanymi przed opanowaniem umiejętności czytania, być może na poziomie czterolatki.

– Czterolatki! Doktorze, pan mówi o umyśle przedszkolaka. I nazywa pan to „średnim”, bez względu na wiek, jakiego dożyje?

– Proszę księcia – otwarcie odpowiedział lekarz – to jest prawdopodobnie najlepsze, naprawdę najlepsze, czego można się spodziewać. Ze względu na odcięcie maleństwa od tlenu przed porodem i w, jego trakcie, marne wyniki testów, konwulsje, nie, Proszę księcia, nie możemy liczyć na nic ponadto.

– Na kilka minut w pokoju zapanowała kompletna cisza. Wreszcie Staś znowu przemówił.

– A jeżeli pan się myli, jeżeli będzie poważnie upośledzona? co wtedy?

– Proszę nie nastawiać się na najgorsze. I tak będzie problem nieustannej opieki, nawet przy średnim upośledzeniu. W przypadku ostrego, staje się on ogromny. Dziecko musi być stale obserwowane, przez całe życie. Od momentu kiedy nauczy się chodzić, zawsze będzie w niebezpieczeństwie. Sprawa staje się jeszcze poważniejsza w okresie dojrzewania. Jedynym wyjściem jest przeważnie zamknięty zakład.

– Jeśli... jeśli przeżyje, doktorze, jak długo może pozostać w pańskiej klinice? – zapytał Staś.

– Dopóki nie przybierze na wadze tyle, ile pozwoli przenieść ją do sali noworodków. Dopóki nie będzie ważyła około trzech kilogramów, proszę księcia, czyli moim zdaniem przez parę miesięcy, zakładając, że nie będzie żadnych komplikacji. Bierzemy za nią pełną odpowiedzialność tak długo, jak długo pozostanie w inkubatorze. Ale kiedy dorośnie do sali noworodków, nie będziemy mogli dłużej jej zatrzymać. W tym momencie powinien pan poczynić przygotowania do zabrania jej do domu.

Twarz Stasia stężała na dźwięk słowa „dom”.

– Doktorze Allard, nie życzę sobie, aby ktokolwiek rozmawiał o tym z moją żoną nim nabierze sił.

– Zgadzam się. W gruncie rzeczy, w tej chwili zalecałbym wielką ostrożność. Do dzisiaj księżniczka nie akceptowała żadnej z bliźniaczek. Teraz nawiązała jednak normalny kontakt z Marguerite i w tym wypadku prognozowanie nie może być lepsze. Niemniej jednak przeszła ostrą depresję, bardzo ostrą depresję i w tej sytuacji należy unikać dodatkowego szoku. Jeśli stan księżniczki się nie pogorszy, za parę dni będzie pan mógł zabrać księżniczkę i Marguerite do domu. Dopilnuję, aby nie widziała Danielle tak długo, jak długo małeństwo jest zagrożone. Reszta zależy od natury.

Był piękny dzień pod koniec czerwca, kiedy doktor Allard oświadczył, iż Francesca wydobrzała na tyle, że może zostać zwolniona do domu. Od momentu, kiedy Staś wynajął w szwajcarskiej agencji pielęgniarkę do dziecka, wydawało się, że wszyscy zagraniczni korespondenci w tym kraju czyhali na coś więcej na ten temat. Tłum dziennikarzy i fotoreporterów czekał na nich w narastającym zniecierpliwieniu przed bramą kliniki. Stali tam od wczesnego rana, od siedmiu

godzin, i kiedy w końcu Staś i Francesca Valensky pojawili się z dzieckiem, rozległ się różnojęzyczny tumult błagający o uniesienie dziecka do zdjęć.

Pomimo iż opiekuńczy Staś rzucał groźne spojrzenia, blada kobieta, której wyjątkowa uroda znikła z łam prasy przed wieloma miesiącami, ostrożnie pochyliła ku nim biały, koronkowy kokonik, tak aby buzia śpiącego maleństwa była widoczna. Choć maleńka główka przykryta była pikowaną czapeczką, srebrne kosmyki włosów powiewały na lekkim wietrze jak delikatne płatki. Dziecko otrzymało imię Marguerite Alexandrowna, ale w ramionach matki wyglądało jak kwiat stokrotki w ludzkiej postaci, co zaowocowało w wyobraźni dziennikarzy. Na każdym zdjęciu opublikowanym od tego dnia nazywana była księżniczką Daisy.

Kolumna fotoreporterów i dziennikarzy towarzyszyła Francesce i Stasiowi przez całą drogę do willi. Oblegali wielki dom stojąc pod zamkniętymi bramami dużą grupą, skandując ciągle „My chcemy Daisy”. Kiedy w końcu odeszli, przekonani po długim oczekiwaniu, że nie ma szans ani na żaden materiał, ani na inne zdjęcie niż to zrobione na schodach kliniki, wszyscy zdążyli zapomnieć, iż dziecko zostało ochrzczone imieniem Marguerite, nie wyłączając rodziców.

Dla Stasia i Francesci była Daisy, a dla pozostałych domowników, którzy hołdowali tradycjom, księżniczką Daisy.

Kiedy nie spała, zapewniała prawdziwe widowisko, rozdając uśmiechy pochyłającym się nad nią wielbicielom, unosząc główkę nad materacem kołyski, jakby chciała wypatrzeć motyla, kwiatek lub po prostu przyjazny palec, urządzając koncert przy pomocy mnóstwa grzechotek zawieszonych na boku kołyski, machając wysoko nóżkami z radości, kiedy ktoś ją dotknął. Według obliczeń Francesci spała prawie osiemnaście godzin na dobę, dwie godziny zajmowały jej posiłki, a przez pozostałe cztery panowała nieudzielnie.

Przez kilka dni Francesca koncentrowała całą swoją uwagę na Daisy. Jednak każdego ranka prosiła, aby zawieziono ją do Lozanny, bo chce odwiedzić drugą córeczkę. Ale Staś bez trudu przekonywał ją, iż jest jeszcze zbyt słaba na taką jazdę. I rzeczywiście, wyjątkowo wolno odzyskiwała dawną żywotność. Już przed południem czuła się tak zmęczona, że większość czasu spędzała każdego dnia na szezlongu w swoim pokoju. Ale w końcu, po tygodniu, pomimo ogromnego zmęczenia, poirytowana Francesca stanowczo zażądała, aby natychmiast zawieziono ją do Danielle. Chwila, której Staś tak się obawiał, nadeszła. Ale od dawna miał przygotowaną odpowiedź.

– Kochanie, obaj z doktorem zgadzamy się, że twoja wizyta u Danielle nie jest najlepszym pomysłem w tej chwili.

– Dlaczego? – zapytała zaniepokojona Francesca.

– Ona jest... bardzo drobna, niesamowicie słaba... prawdę mówiąc, kochanie, jest chora, bardzo chora.

– Więc tym bardziej powinnam... może będę mogła coś zrobić, jakoś pomóc... dlaczego... dlaczego do tej pory nie powiedziałeś mi, że jest chora? – wykrzywiła twarz i spojrzała wstrząśnięta.

– Jezu! Spójrz na siebie! – krzyknął z gniewem. – Wiedziałem, że nie wolno mi rozmawiać z tobą o tym! Za bardzo się przejmujesz. Byłaś zbyt osłabiona, żeby mówić ci o tym, do cholery, nadal jesteś.

– Stasiu! Co jej jest? Powiedz mi! Wszystko tylko pogarszasz.

Staś wziął Francescę w ramiona.

– Jest za mała, kochanie. Nie pozwolono by ci nawet jej dotknąć. Posłuchaj, moja najdroższa, skoro już wiesz, że jest w złym stanie, wyjaśnię ci resztę. To jedyny sposób, żebyś zrozumiała dlaczego jeszcze nie możesz jej zobaczyć. Szanse na to, że dziecko przeżyje są prawie żadne. Allard uważa, a ja się z nim zgadzam, że gdybyś teraz przywiązała się do małej, mogłoby to znów wpędzić cię w tę depresję... kiedy... jeżeli... coś się jej stanie.

– Ależ Stasiu, moje rodzone dziecko... moje małeństwo.

– Nie, Francesca! Nie! Czy nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo byłaś chora? To absolutnie wykluczone, żebyśmy ryzykowali znowu coś takiego. Trudno ci to ocenić, bo nie czujesz się jeszcze całkiem dobrze, choć może ci się tak wydawać. Pomyśl o Daisy, jeśli nie chcesz myśleć o sobie, pomyśl o Daisy i pomyśl o mnie.

Znalazł magiczny argument. Poczuł, że Francesca przestaje się opierać w jego ramionach, zauważył, iż rezygnuje z walki i z ulgą obserwował jak poddaje się smutkowi. Niech płacze ile chce, ale to naprawdę nie był dobry pomysł i na pewno nie przyniósłby nic dobrego.

Mijały tygodnie. Staś systematycznie odwiedzał klinikę i informował doktora Allarda o bardzo powolnym powrocie Francesci do zdrowia oraz twierdził, iż jego zdaniem zbyt mało czasu upłynęło jeszcze od długiej depresji, aby można było zaryzykować odwiedzin u dziecka, którego zły stan był tak widoczny.

– Jest zbyt wątła, doktorze – powiedział. – Trudno wyobrazić sobie, co mogłoby jej bardziej zaszkodzić.

Po powrocie do domu zawsze mówił Francescę, że stan dziecka nie uległ zmianie, że nadal żyje od oddechu do oddechu i że doktor w dalszym ciągu nie chce robić żadnych nieuzasadnionych nadziei. Była tak nieszczęśliwa, że po paru

tygodniach spojrzała tylko na jego ściągniętą twarz i nawet nie zapytała o Danielle. Wiedziała, że gdyby miał jakieś dobre wiadomości, sam od razu by jej powiedział.

Bywając w klinice Staś ani razu nie poszedł do sali inkubatorów, aby zobaczyć Danielle. Po tym co lekarz powiedział mu o jej przyszłości, po prostu spisał ją na straty. Dla niego nie istniała. Nie mogła istnieć. Nie wolno jej było istnieć. Nigdy jej nie widział i nie miał zamiaru widzieć. Natura była okrutna, zdarzały się wypadki, ale silny człowiek potrafił być odporny na ciosy losu. Sama myśl o jego dziecku – jego dziecku – w jego domu, rosnącym, ale nigdy nie dojrzewającym, wyrastającym na coś, o czym nie chciał nawet myśleć – nie! Kiedy myśl o tym przychodziła mu do głowy, odrzucał ją z całą mocą swej wojowniczej natury. Po dzieciństwie, wypaczonym przytłaczającym skupieniem nad wolnym konaniem matki, współczucie, to najbardziej ludzkie z uczuć, zupełnie w nim zginęło. Los dziecka, którego nawet nie widział, był tak straszny, że postanowił wyeliminować je ze swojego życia. To była ta jedyna rzecz na świecie, której się bał.

Staś bez trudu ukrywał te uczucia przed doktorem Allardem i krok po kroku zadawał mu subtelne pytania, które przynosiły odpowiedzi jakich potrzebował, aby podjąć decyzję. Tak, nie można wykluczyć, że księżniczka postanowi poświęcić się dla Danielle; tak, matki dzieci upośledzonych często spędzają znacznie mniej czasu ze swymi zdrowymi dziećmi, poświęcając go chorym; tak, było prawdopodobne, że Francesca odmówi oddania dziecka do zakładu zamkniętego, bez względu na to jak może to być konieczne. Prawdę mówiąc, znanych jest wiele takich przypadków. Opieka nad chorym czy upośledzonym dzieckiem rozwija instynkt macierzyński do wymiarów przekraczających granice wyobraźni mężczyzny i nie ma niczego silniejszego od tego instynktu. Natura jest rzeczywiście cudowna. Księżę ma rację, matki są zdolne do poświęcenia. Owszem, wykraczają poza punkt, do którego istnieje uzasadnienie lub wręcz rozsądek. Ale tak już jest w życiu; cóż pozostaje mężczyźnie, którego to spotka?

Staś spochmurniał, usłyszawszy co doktor ma do powiedzenia na temat Danielle. Zaczęła jednak przybierać na wadze. Konwulsje więcej się nie powtórzyły. W opinii doktora Allarda odwiedziny u małego nie stanowiły już żadnego zagrożenia dla księżniczki. Mówiąc szczerze, spodziewał się, że księżniczka pojawi się znacznie wcześniej, pomimo osłabienia, ponieważ znał jej determinację.

– Moja żona nie ma zamiaru jej odwiedzać, doktorze. – Od wielu dni Staś czynił próby z różnymi odpowiedziami przygotowując się do chwili, która właśnie nadeszła.

– Naprawdę? – drobny lekarz wyraził całe swoje zdziwienie w tym jednym słowie. Przez lata praktyki w zawodzie nauczył się nie okazywać zaskoczenia.

Staś odwrócił się do niego plecami, stanął przy oknie i przemówił wyglądając przez nie:

– Rozmawialiśmy mnóstwo razy, spoglądając na to z różnych punktów widzenia. Zdecydowaliśmy, że popełnilibyśmy poważny błąd próbując wychować... Danielle... w domu i że decyzję należy podjąć już teraz, nie odkładając jej. Raz i na zawsze, doktorze.

– Staś usiadł w dumnej pozie, z ulgą, że udało mu się odeprzeć atak z podniesionym czołem.

– Co zamierzacie państwo zrobić? – zapytał doktor. – Danielle waży już prawie trzy kilogramy i wkrótce będzie mogła opuścić klinikę.

– Zasięgnąłem oczywiście dokładnych informacji. Jak tylko do tego dorośnie, zostanie wysłana do najlepszego zakładu dla dzieci z jej schorzeniem. Wiem, że świetne placówki tego typu są do dyspozycji ludzi, dla których pieniądze nie stanowią problemu. Do tego czasu powinna zamieszkać z przybraną matką. Co więcej, słyszałem o kilku tu, w Lozannie. Czy mógłby pan rzucić okiem na tę listę i powiedzieć mi czy jest na niej ktoś, kogo szczególnie pan poleca? "

– A więc tak postanowiliście państwo postąpić z Danielle?

– zapytał lekarz z przejęciem. – I księżniczka się zgadza?

– W pełni – powiedział Staś podając doktorowi kartkę papieru.

– Zawsze zgadzamy się ze sobą w sprawach rodzinnych.

Madame Louise Goudron, przybrana matka, zarekomendowana przez doktora Allarda nie miała powodu, aby odmówić zajęcia się Danielle. Wystarczało jej, że co tydzień dostawała czek za opiekę nad dzieckiem i nie żądała żadnych dodatkowych informacji ponad te, jakich udzielił jej doktor. Danielle z pewnością nie była pierwszym niedorozwiniętym dzieckiem, któremu udzielała schronienia w swoim domu, wygodnym i pogodnym. Bezdzienna wdowa już dawno przekonała się, iż byli ludzie, których nazwiska nic ją nie obchodziły, a którzy woleli uwolnić się od ciężaru własnych dzieci.

Zaledwie parę tygodni po tym, jak madame Goudron odebrała Danielle z kliniki, Francesca podjęła decyzję. Czuła się już dużo silniejsza fizycznie i radziła sobie z emocjami na tyle dobrze, że postanowiła, iż musi zobaczyć swoją drugą córeczkę, bez względu na to, co doktor Allard i Staś myślą. Żaden tak naprawdę nie miał pojęcia, ile była zdolna znieść. Obaj za bardzo ją ochraniaли i miała tego dość. Musi zobaczyć Danielle, niezależnie od stopnia zagrożenia dziecka, niezależnie od

tego, czy pozwolą jej dotknąć je, czy nie. Byłoby o wiele gorzej, gdyby niemowlę zmarło zanim zobaczy je jeszcze raz po jego narodzeniu, dlaczego nie mogli tego zrozumieć?

– Ależ to niemożliwe, moje kochane biedactwo – powiedział Staś.

– Niemożliwe? Mówię ci, że jestem gotowa, nie musisz się martwić, zniosę wszystko, z wyjątkiem tego okropnego wyczekiwania, Stasiu. Nie zdajesz sobie sprawy, że to już ponad pięć miesięcy, a ona nadal żyje?

Staś nie zawahał się. Na jego twarzy malował się wyraz, jaki przybierał w czasie walki na niebie, kiedy naciskał przycisk spustu, przed zestrzeleniem wroga. Wziął Francescę za rękę i przyciągnął ją do siebie.

– Kochanie, kochanie, maleństwo nie żyje.

Wydała pojedynczy krzyk w przerażeniu i bólu, jak ktoś, kto skaleczył się głęboko, aż do kości, ale jeszcze nie ujrzał tryskającej krwi. Jej oczy rozbłyły, a następnie wygasły, jakby w ciemnym pokoju zdmuchnięto ostatnią świecę. Staś przytulał ją tak mocno, że nie widziała jego twarzy.

– Umarła wkrótce po zabranii Daisy do domu – ciągnął.

– Miałem zamiar powiedzieć ci o tym wtedy, kiedy będziesz gotowa na taką wiadomość. Była w znacznie gorszym stanie niż przypuszczałaś. Nigdy nie wyzdrowiałaby, kochanie, nigdy, nigdy w świecie – mówił szybko, palcami przeczesując jej włosy z czułością. – Była poważnie chora od momentu narodzin. Nie chcieliśmy ci o tym mówić, ale nie miała żadnej przyszłości, nigdy nie byłaby normalna... uszkodzenie mózgu podczas porodu... nikt nie był winny... ale mogłabyś nie dojść do siebie, gdybym ci to powiedział, kiedy byłaś tak bardzo niezrównoważona emocjonalnie.

– Wiedziałam – wyszeptała Francesca.

– Niemożliwe.

– Nie... zawsze czułam... wiedziałam, że coś było nie tak, że coś ukrywaliście przede mną... ale tchórzostwo powstrzymało mnie przed przekonaniem się... nie chciałam się przekonać... bałam się... tchórz...

– Och, najdroższa, nie obwiniaj siebie, twój instynkt miał rację, ratowałaś samą siebie... i ratowałaś nas. Co stałoby się z Daisy, gdyby ciebie zabrakło? Co stałoby się ze mną?

– Ale ja wiedziałam! Przeczuwałam to przez cały ten czas.

– Szlochając odsunęła się od niego i uklękła na dywanie, kuląc się pod presją rozpacz. Pomyślał, że pewnie minie parę godzin nim będzie miał szansę namówić ją, żeby dała się pocieszyć, nim będzie mógł znowu ją przytulić. Ale Staś był

pewny, że stopniowo pogodzi się ze śmiercią dziecka – dla niego rzeczywistą – i ostatecznie wchłonie ją i będzie nadal trwała przy nim, tak jak trwała od momentu kiedy się spotkali.

Po kilku tygodniach uważnej obserwacji Francesci Staś doszedł do wniosku, że najgłębsza rozpacz i szok minęły. Zgodził się, aby *Life* przysłał Philippa Halsmana, który miał zrobić zdjęcie na okładkę. Był to okres, kiedy Francesca większość czasu spędzała z Daisy, która właśnie przeszła od nie kończącej się zabawy grzechotkami do zainteresowania błyszczącą i dzwoniącą bransoletką matki. Dziecko nauczyło się śmiać brzuszkiem i nic nie sprawiało jej większej radości niż chwile, kiedy pozwalano jej chwycić zwisającą bransoletkę. Bawiło ją to, naprawdę bawiło i piszcziała z zachwytem za każdym razem, kiedy udało jej się złapać bransoletkę i ciągnęła ją z takim zapalem, że czasem niewiele brakowało, żeby ją zerwała. Staś i Francesca wstrzymywali oddech obserwując jak pulchne, jasne ciało przewraca się z pleców na brzusek. Cud nad cudami. Wydawało się, że przemawia do swoich wypchanych zwierzątek, choć był to język, którego nikt nie znał. Jej ogromne oczy były czujne i radosne od momentu kiedy się budziła, a wówczas gdy spała na brzuszku, z drobnymi piętками podciągniętymi pod owiniętą pieluszką pupę, Francesca doszła do wniosku, że wygląda jak niebiańska skacząca żabka. Położono ją naga, tylko w pieluszcze na stercie futer, a ona wysoko uniosła główkę prężąc klatkę piersiową i zapiszcziała radośnie zaskoczona.

– Dlaczego nie miałyby przekonać się, jakie są sobole w dotyku – powiedział Staś.

– Rozpuścisz ją jak dziadowski bicz.

– Oczywiście.

– Dlaczego nie zaczniesz od nerek? Nie okażesz choć trochę pohamowania?

– Nonsens. Należy do rodu Valenskich i radzę ci o tym nie zapominać. A skoro już o tym mówimy – Staś nagle spoważniał.

– Myślę, że wystarczy nam już tego wiejskiego życia, prawda? Mam dość Szwajcarii. Co byś powiedziała na przeprowadzkę do Londynu? Znam tam cholernie dużo miłych ludzi. Moglibyśmy znowu wciągnąć się w życie towarzyskie, pójść do teatru, rozerwać się, spotkać się z przyjaciółmi...

– Och, tak! tak! Od dawna mam ochotę wyjechać stąd. A teraz... – Francesca przerwała myśląc, że tak naprawdę nie chce już nigdy widzieć Szwajcarii.

– Przyszedł czas na Londyn i przyszedł czas na dom, który ci obiecałem. A wtedy ruszymy w świat po przygody, wszyscy troje!

– Ostrzegano mnie przed tobą, książęcy playboyu. Nie myśl, że nie wiem, jak

rozbijałeś się po świecie. Och, jakie historie słyszałam...

– Wszystkie prawdziwe.

– Ale skończyłeś z tym? Nie znudziło ci się życie rodzinne? – droczyła się z nim, piękniejsza niż była przed paroma miesiącami.

– Skończyłem. Mam wszystko czego pragnę. – Przytłaczało go uczucie przyjemności, jaką tylko ona potrafiła mu sprawić, był pod wrażeniem sposobu, w jaki każdy kącik i każde zaokrąglenie jej twarzy jaśniały dla niego; nie zdarzyło się to w przypadku żadnej innej twarzy. I jak dawniej, jego rozwiązłość połączyła się z jej rozwiązłością w niesłychanej rozkoszy. Im szybciej opuszczą Lozannę i klinikę doktora Allarda, tym lepiej, pomyślał zdejmując Daisy z futer i łaskocząc ją po brzuszku.

– Pojedziemy do Londynu i kupimy tam dom. Dasz radę spakować się do jutra? – zapytał.

– Nie, pojedź sam, kochanie. Nie chcę zostawiać Daisy samej, nawet z Mashą i służbą. Po prostu nie byłabym spokojna ani przez sekundę.

– Dobrze. Ale jeżeli nie spodoba ci się dom, który wybiorę, i tak będziesz musiała w nim zamieszkać.

– Przemówiłeś jak prawdziwy książe – zaśmiała się. – Ostatni człowiek na świecie, który nie ma problemów ze służbą. Jestem pewna, że wybierzesz najlepszy dom w Londynie, wszyscy liczą na to.

– Dlaczego narzekasz, do diabła? Znam kobiety, które byłyby skłonne zabić, żeby znaleźć się na twoim miejscu – odparł Staś.

– Nie oburzaj się, przynajmniej srebra są zawsze wyczyszczone – rzuciła poduszką w jego głowę. – Oddaj mi moje dziecko. Już dość długo ją trzymałeś. Biedactwo ma dopiero sześć miesięcy, a już jest sterana.

W dniu, w którym Staś wyjeżdżał do Londynu, Francesca wysłała Maszę do Lozanny z rzetelnie przygotowaną listą zakupów. Powinnam pojechać sama, myślała, bo bez wątpienia Masha wybierze zły odcień pończoch. Ale wcześniej zaplanowała, że spędzi całe popołudnie z Daisy. Chociaż dyplomowana pielęgniarzka dziecięca została zwolniona kilka tygodni wcześniej, Masha, dumna z roli byłej mamki Stasia, mając za sobą dziesięciolecie oddanej służby dla Valenskich, do tej pory nie nauczyła się pukać przed wejściem do pokoju. Kiedy Francesca zajmowała się Daisy, Masha niezmiennie wchodziła i pochylała się nad nimi, czyniąc nie kończące się, szczerze, ale i nieco krytyczne komentarze. Poproszenie, by wyszła mogłoby urazić jej uczucia gospodyni i babci, a Francesca, po niedawnym powrocie do uciech życia codziennego, nie chciała nikomu sprawiać

bólu.

Spojrzała z irytacją na Maszę, kiedy ta wróciła z miasta godzinę wcześniej niż była spodziewana. Rosjanka ciężkim krokiem weszła do pokoju Daisy, a jej szeroką, dobrą twarz wypełniał gniew, usta poruszały się w milczeniu, a każdy centymetr jej silnego ciała zapowiadał nadchodzący wybuch.

– Masha, co się z tobą dzieje? – wyszeptała Francesca. – Daisy właśnie zasnęła, ćśśś.

Masha była tak zdenerwowana, że z trudem powstrzymywała się przed podniesieniem głosu.

– Ona... ta pielęgniarka... siostra Anni... spotkałam ją w sklepie, tę, tę kreaturę i śmiała powiedzieć mi, proszę nie zapominać, że znam ją od lat, och, to nie do zniesienia... nie... ach, nie mogę tego nawet powtórzyć... to ohydne, plotki, rzeczy, jakie ludzie wygadują... – Masha nagle urwała i ze zdecydowaniem usiadła w żółtym fotelu bujanym, ponieważ gniew nie pozwalał jej dalej mówić.

– Masha, co takiego siostra Anni powiedziała? – spokojnie zapytała Francesca.

Zdawała sobie sprawę, że w ciągu dziewięciu tygodni depresji musiała zachowywać się więcej niż dziwnie, w sposób, o którym Masha nie mogła mieć pojęcia. Opowiadanie o byłej pacjentce było pogwałceniem etyki zawodu pielęgniarki, delikatnie mówiąc, ale lata spędzone w Hollywood uodporniły ją na ciosy ze strony wytrawnych plotkarzy.

– Powiedziała mi... mówi... ona... ach, w jakie rzeczy ci zwariowani ludzie wierzą! Twierdzi, że nasze biedne maleństwo, które zmarło, żyje!

Francesca poszarzała. Plotkowanie to jedna rzecz, ale naigrzanie się z jej tragedii, jakby nigdy nie miała miejsca, użycie jej rozpacz jako materiału dla plotki, było nikczemną podłością, oczywistym świństwem. Jedno spojrzenie na twarz Mashy powiedziało jej, że to jeszcze nie wszystko.

– Chcę usłyszeć każde słowo, jakie powiedziała siostra Anni.

To niebezpieczna kobieta, chcę wiedzieć wszystko, mów, Masha!

– Powiedziała, że mała Danielle, że nasze maleństwo pozostawało w klinice przez miesiące, miesiące po wypisaniu pani, dopóki dostatecznie nie podrosła, a wtedy odesłali ją, aby zamieszkała w domu tej madame Louise Goudron, kobiety, która przyjmuje do siebie dzieci...

– Odesłali? Czy powiedziała kim są owi „oni”?

– Nie, nie wiedziała, ale najgorsze było to, proszę pani... najgorsze było to, co powiedziała, kiedy zarzuciłam jej, że było to najwstrętniejsze kłamstwo, jakie w życiu słyszałam. Powiedziała, że mogę sobie mówić co chcę, ale ona zna ludzi,

którzy są tak bogaci, wielcy i potężni, że jeżeli ich dziecko im się nie spodoba, jeżeli coś jest z nim nie tak, po prostu pozbywają się go! Skazałam ją na wieczny ogień piekielny, księżniczko, prosto w oczy!

– Masha! Uspokój się... obudzisz Daisy... Niemożliwe, żeby siostra Anni... to prawda, że byłam w stosunku do niej złośliwa, ale żeby aż tak ziała nienawiścią, aby wymyślić tego rodzaju rzecz... Ona jest szalona, kompletnie szalona. Muszę coś z nią zrobić. Nie wolno jej nigdy więcej dopuścić do chorych ludzi. Ona oszalała, Masha, chyba sama widzisz, naprawdę niechybnie jest obłąkana.

– Och, księżniczko, księżniczko... ile w tym niegodziwości. A jeżeli rozmawiała już o tym z innymi ludźmi, jeżeli jej uwierzyli?

– Bzdura. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby jej słuchać. Książę udusiłby tę kobietę, gdyby tylko to usłyszał... Czy to wszystko, co ci powiedziała?

– Tak, co do słowa. Wysłałam ze sklepu i od razu wróciłam, żeby panią zawiadomić.

– Natychmiast zadzwonię do doktora Allarda... Nie... zaraz. Wyjdę na taką samą wariatkę jak siostra Anni. Będziesz musiała być moim świadkiem. Jutro z samego rana pojedziemy do miasta i spotkamy się z nim. W ten sposób nie będzie mogła wyprzeć się tego, co ci nagadała. Co za suka. Podła suka!

Zastukał lokaj Stasia.

– O co chodzi? – gniewnie odezwała się Francesca.

– Księżniczko, jest pani proszona do telefonu. To książę, z Londynu.

– Zaraz zejść, Mump.

Telefon znajdował się w bibliotece. Francesca zbiegła po schodach i podniosła słuchawkę.

– Najdroższy, tak się cieszę, że słyszę twój głos! Dlaczego? Och, okropnie tęsknię za tobą, to wszystko. To już cały dzień.

Mówiąc to myślała, że nie ma powodu, aby mówić Stasiowi o siostrze Anni. Popadłby w tę zimną, diabelską wściekłość, pod wpływem której widywała go, kiedy ktoś lub coś zachwiało jego kontrolą nad własnym życiem. Bóg jeden wie, co mógłby zrobić tej szalonej kobiecie. Doskonale potrafiła sama uporać się z tym paskudnym incydentem.

– Daisy? – ciągnęła. – Dopiero co zasnęła. Miałyśmy cudowne popołudnie, byliśmy same, tylko we dwie. Nie, kochanie, nic nowego... jeszcze dwa dni... może trzy? A więc nie tak łatwo znaleźć idealną książęcą rezydencję. Nie śpiesz się. Mam tu dobrą opiekę.

Dobranoc, najukochańszy. Kocham cię.

Następnego dnia szofer zawiózł Francescę i Maszę do Lozanny. Francesca kazała Mashy poczekać w poczekalni doktora Allarda, a sama poszła do jego gabinetu. Kiedy recepcjonistka wpuściła ją do środka, drobny lekarz wyskoczył zza biurka na jej widok.

– Ach, maman, więc jednak zmieniła pani zdanie! Byłem tego pewny! Wiedziałem! Byłem przekonany, że nie zrezygnuje pani z własnego dziecka, nie ktoś taki jak pani! Oczywiście, wtedy... ależ, moja droga, co się dzieje? – doktor Allard złapał Francescę w momencie, kiedy zatoczyła się w stronę krzesła. Zemdlała, więc zaczął ją cucić, mamrocząc. – To naturalne, emocja, emocja...

Kiedy doszła do siebie, wokół niej panował horror, jakieś chorobliwe zawirowanie, chociaż pozbawione nazwy, jakichkolwiek konkretów, ogólne, otaczające, duszące. Nie wiedziała nic, poza tym, że dokonano ohydnych czynu, czynu kryminalnego. Musiała wykorzystać każdy gram umiejętności aktorskich, jakie posiadała, nim powoli zdała sobie sprawę, gdzie jest i co naprawdę powiedział doktor Allard. Zapanował nad nią instynkt przebiegłości, o którym nawet nie wiedziała, że w niej istnieje.

– Przepraszam, doktorze... to musiała być reakcja na powrót do kliniki. Nic mi nie jest. Nie, dziękuję, nie mam ochoty na wodę, czuję się dobrze. Cóż! Co u pana słyhać? – próbowała zyskać na czasie, wpadając w naturalny rytm, słowa wydobywały się z odretwiałych ust, jakby rzeczywiście w pełni panowała nad sobą.

– U mnie? Dzisiaj jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem, księżniczko. Kiedy książę oznajmił mi, że postanowiła pani nie widzieć Danielle, że odmówiła pani wychowywania jej, przyznam, iż byłem głęboko zawiedziony. Ale uważam, że wypowiedanie się w takich przypadkach nie należy do mnie, rozumie pani, to decyzja, którą muszą podjąć rodzice. Jednak coś mówiło mi, nawet wówczas, że zastanowi się pani jeszcze po dojściu do pełni sił.

– Doktorze, mam za sobą bardzo trudne chwile. Nie jestem pewna czy do końca rozumiem, mimo iż jestem już zdrowa, co się właściwie stało. Czy mógłby pan mi to wyjaśnić, wytłumaczyć, co – zaszło? Nie poświęciłam sprawie dostatecznej uwagi i bardzo mi teraz wstyd... Nie chcę, aby mąż dowiedział się, jak nieuważnie go słuchałam – uśmiechnęła się opanowana, czarująco bezradna.

Kiedy doktor skończył swoje opowiadanie, ze szwajcarską precyzją przytoczywszy wszystkie szczegóły, pamiętając wszystkie dyskusje ze Stasiem i wszystko co dotyczyło stanu Danielle, Francesca siedziała w odrętwieniu. Każde słowo było jak ostro zakończony przedmiot, który trafiał ją prosto w serce, cios za ciosem. Przeczucie nadchodzącej zguby było tak namacalne, jak otwarta szkatułka.

Miała ochotę krzyczeć, krzyczeć i nigdy nie przestać krzyczeć, tak aby nigdy nie musiała nawet pomyśleć o tym, co powiedział jej doktor. Ale w zamian usłyszała własny głos, spokojny, dochodzący z krateru po drugiej stronie księżyca.

– Nie powiedział mi pan jeszcze, jakiego rodzaju specjalnej opieki Danielle będzie potrzebowała.

– Po prostu takiej, jaką otoczyła pani Daisy, wiem, że gazety tak nazywają teraz naszą małą Marguerite. W tej chwili, kiedy Daisy jeszcze nie chodzi, różnica między nimi będzie mniejsza niż w przyszłości. Danielle oczywiście będzie się rozwijała znacznie wolniej i z opóźnieniem, i to pod każdym względem, będzie też wyraźnie mniej aktywna od siostry, ale zgodnie z moim zapewnieniem, będzie wyglądała normalnie. Niedługo, całkiem niedługo przyjdzie czas na mowę, pierwszy poważny problem. Potem, za parę lat, Danielle może zostać poddana badaniom. Przy odrobinie szczęścia, można będzie nauczyć ją robienia wielu rzeczy, ale to dopiero w przyszłości. W tej chwili potrzebuje tylko miłości i poświęcenia jej uwagi.

– Doktorze Allard, postąpiłam głupio pozbywając się jej kołyski i wszystkich ubranek... wszystkiego, co mogłoby mi ją przypominać... potrzebuję jednego dnia, żeby się przygotować na jej przyjęcie.

– Ależ oczywiście... dzień, czy dwa, cóż to ma za znaczenie teraz?

Lekarz przypatrywał jej się zaintrygowany, myśląc, że być może tak naprawdę potrzebowała czasu na przywykniecie do decyzji, którą w końcu podjęła.

Po wyjściu z gabinetu doktora Francesca zastała Maszę czekającą w krańcowym zniecierpliwieniu na wezwanie w roli świadka przeciwko siostrze Anni. Francesca uprzedziła ją, zanim zdążyła się odezwać.

– Masha, już załatwione, to nasza sprawa. Chodź szybko, mamy mnóstwo rzeczy do zrobienia. – Złapała starszą kobietę za rękę i wyciągnęła za drzwi, prawie biegnąc klinicznym korytarzem Prowadzącym na ulicę.

– Księżniczko, czy załatwiła pani wyrzucenie tej kobiety z pracy? Dlaczego nie wezwała mnie pani, żebym mu powiedziała? Tak długo pani tam była, że zaczęłam się niepokoić.

– Masha... – zaczęła Francesca, ale przerwała.

W ciągu godziny zniknęło wszystko, w co wierzyła. Nic nie było tym, na co wyglądało. Oszustwo, kłamstwa, okrucieństwo, niewyobrażalne krzywdy. Otaczał ją gigantyczny krajobraz zagubienia.

– Masha, ona cię nie okłamała. Danielle... żyje!

Silna wieśniaczka zachwiała się. Francesca użyła wszystkich sił, aby ją

podtrzymać.

– Chodź, Masha. Usiądziemy w parku. Wszystko ci wyjaśnię.

Kiedy Francesca skończyła opowiadanie, przerywane okrzykami niedowierzającego zaprzeczenia Mashy, obie kobiety siedziały w milczeniu na ławce, budząc umiarkowane zaciekawienie kierowcy w samochodzie zaparkowanym przed wejściem do kliniki.

Masha wolno odwróciła się do Francesci.

– Księżniczko, musi pani zrozumieć, jeszcze jako mały chłopiec zawsze żył pod strachem słabości, choroby, nie bał się niczego innego. Obserwowałam go przez te wszystkie lata, wiem, że nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi, ale ja go obserwowałam i obserwowałam. Wszystko musi być tak jak on chce. Zawsze wygrywa, zawsze. To beznadziejne, księżniczko. Nigdy nie dopuści tego biednego maleństwa do swojego serca.

– Nie będzie musiał – powiedziała Francesca głosem, który bliski był wyciu potężnej, niszczącej wściekłości. – Przegrał swoje szanse.

Nic nie mogło zmobilizować Mashy tak, jak jej służalcze podejście do punktu widzenia Stasia. Staruszka posunęła się do próby uzasadnienia tego, co zrobił, tak jakby jego zachowanie mogło uzyskać akceptację, musiało uzyskać akceptację. •

– Wyjeżdżam, Masha. Zabieram ze sobą moje dzieci. Ostrzegam cię, że nikt nie jest w stanie mnie zatrzymać. Okłamał mnie.

Pozwolił mi uwierzyć, że ona nie żyje! Wykradł moje dziecko! Kto wie, jakiego okrucieństwa mógłby się jeszcze dopuścić, jeżeli nie wezmę jej w obronę. Zastanów się nad tym, co zrobił, Masha.

Zastanów się, czym on jest. Nie chcę go więcej widzieć. Jak wróci z Londynu, mnie już nie będzie. Proszę cię tylko, żebyś milczała do mojego wyjazdu.

Oczy Mashy zaszły łzami.

– Za kogo mnie pani ma? Ja też miałam dziecko... ale ono zmarło. Mimo to zawsze biło we mnie serce matki, księżniczko.

Cokolwiek by się stało, nie poradzi sobie pani beze mnie. Jak ma pani zamiar dać sobie radę z dwójką dzieci, samiuteńka? Jadę z panią.

– Och, Masha, Masha! – wzruszyła się Francesca. – Miałam nadzieję, że to usłyszę... ale nie mogę prosić cię, abyś go opuściła.

– On mnie nie potrzebuje. Pani, tak – Masha odpowiedziała tonem zamykającym dyskusję.

Francesca w ciągu następnego dnia załatwiła przyspieszone wydanie paszportów w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Genewie, gdzie trafiła na

znudzonego i obojętnego urzędnika; wykupiła bilety lotnicze w genewskim biurze podróży, wróciła do Lozanny, aby zrealizować pokaźny czek, po czym starała się jak najszybciej dotrzeć do willi i zacząć pakowanie. Dla siebie wzięła niewiele więcej niż potrzebowała w podróży, ale dwie duże walizy wypełniła rzeczami Daisy i drobiazgami, które należało zawsze mieć pod ręką. Wyjęła wszystkie swoje kosztowności i przyjrzała im się z zastanowieniem. Nie, już nie była żoną człowieka, który je jej podarował. Ogród z kryształowych wazonów Faberge, wypełniony drogocennymi kwiatkami? Tak, należał do poprzedniego życia... życia przed kłamstwem... i dlatego należał się jej. Lazurytowe jajko z brylantową koroną Katarzyny Wielkiej i rubinem w środku? Tak! Niezaprzeczalnie było jej, za donoszenie bliźniąt. Zamknęła wazon i jajko do pudełek, które położyła na dnie swojej saszetki. Wszystkie te czynności, w ciągu całego dnia, wykonywała z rzetelnością, dokładnością i zupełnym spokojem. Wypełniał ją niewypowiedziany gniew, który napędzał ją jak ogromny silnik. Miała niewyczerpane siły, mózg pracował ze sprawnością dziesięć razy wyższą od normalnej, płonęła żarliwym płomieniem, nie mogąc doczekać się momentu, kiedy wywiezie dzieci tam, gdzie będą bezpieczne. Czy powinna wysłać telegram i poprosić Matty'ego Firestone'a, aby spotkał się z nimi w Los Angeles? Nie. Absolutnie nikt nie powinien wiedzieć o jej wyjeździe, dopóki nie opuści Szwajcarii.

Wieczorem odebrała jeszcze jeden telefon od Stasia z taką imitacją tonu z poprzedniego wieczoru, że sama była zaskoczona. Ale za to całą noc spędziła chodząc tam i z powrotem po pokoju, rzucając pod jego adresem słowa odrazy i gorzkiego oskarżenia. Ten człowiek powinien umrzeć, za to co usiłował zrobić... zrobił. Jak przerażająco mało tak naprawdę o nim wiedziała, jak bardzo mu ufała, jak łatwo było ją wyprowadzić w pole, wykorzystać, jakby była pionkiem na szachownicy. Jakże go nienawidziła!

Następnego rana zadzwoniła do doktora Allarda. Powiedziała mu, że za dwie godziny wyśle pielęgniarkę do madame Goudron, aby odebrała dziecko. Czy byłby tak uprzejmy, zadzwonił do madame i poprosił, aby przygotowała Danielle, ciepło ją ubrała. Dzień był chłodny. Tak, tak, jest szczęśliwa i bardzo podniecona. Pan doktor ma rację, to wspaniały dzień. Owszem, przekaże księciu najlepsze życzenia od nich wszystkich... to bardzo miłe ze strony pana doktora.

Dokładnie dwie godziny później Francesca siedziała ukryta na tylnym siedzeniu taksówki z Daisy na kolanach, podczas gdy Masha weszła do małego, ładnego domku. Nikt nie rozpoznałby w kobiecie w obszernym płaszczu podróżnym, okularach słonecznych, kapeluszu z szerokim rondem, bez makijażu i z włosami

związanymi w ciasny kok, lirycznej, słynnej piękności o długich falujących włosach, która z taką swobodą przyjmowała powitanie wielbicieli po przybyciu do Cherbourga, niecałe półtora roku wcześniej.

Po upływie pięciu minut pojawiła się Masha, machając do kobiety, która stała w drzwiach z ręką uniesioną w geście tęsknoty. Kiedy taksówka ruszyła w stronę lotniska, Masha i Francesca zamieniły się niemowlętami, Francesca uchyliła kaptur spacerowego kocyka, który prawie zupełnie zakrywał twarz dziecka. Jaka była malutka. Jak niesamowicie słodka. Srebrne blond włoski, kręcone i ładne. Buzia poważna, troszkę smutna, ale tak cudownie znajoma. I oczy, ta sama aksamitna czerń, czerń szkarłatnego bławatka, oczy Daisy. Tyle, że matowe. Trochę matowe. Być może zmatowiały tylko w porównaniu z oczami Daisy... To było coś, czego nie wolno jej nigdy, przenigdy więcej uczynić.

Tym jednym spojrzeniem przyjęła na siebie nieodwracalne zobowiązanie opieki i czci dla tej dzieciny, w pełni świadoma, że bez względu na szczęście jakiego można spodziewać się po takim przywiązaniu, nigdy nie będzie ono wolne od cienia i wielkiego smutku, z którym walczyła, mimo iż były na stałe przykute do jej duszy.

Rozdział 7

Nikt ze służących nie ośmielił się odezwać choćby słowem. Twarz Stasia Valensky'ego, kiedy załatwiał sprzedaż wielkiej willi pod Lozanną i przeprowadzkę ich wszystkich do Londynu, była tak zniekształcona bólem, że z trudem można go było rozpoznać. Nawet między sobą pozwalali sobie tylko na parę słów spekulacji. Niezrozumiałe zniknięcie księżniczki z Daisy i z Mashą tak bardzo zagrażało ich poczuciu bezpieczeństwa, że usiłowali je ignorować. Ich umysły nie dopuszczały rozważań nad tajemnicą. Modlili się, aby była to kłótnia rodzinna, która zostanie zażegnana równie szybko i tajemniczo, jak do niej doszło.

Staś nie mógł nic zrobić. Każda próba sądowego odzyskania Daisy musiała natychmiast przedostać się do opinii publicznej, a to pociągnęłoby za sobą ujawnienie całej prawdy. Osobiście nadal nie miał żadnych wątpliwości, że to co zrobił było w pełni uzasadnione, ale, umocniony wrodzoną pogardą, pogodził się z faktem, że większość ludzi – ludzi, którzy dopuszczali do tego, że właśnie niepowodzenia miały kontrolę nad ich marnymi żywotami, nigdy nie zrozumiałyby, dlaczego musiał tak postąpić z Danielle.

Nigdy nie pojęliby, że naprawdę miał rację. Postąpił słusznie. Tłumaczył sobie, że ta sytuacja nie mogła trwać długo. Francesca działała pod wpływem emocji, w nagłym szoku, ale prędko dojdzie do siebie i zda sobie sprawę, iż po prostu pokierował wydarzeniami dla jej dobra i dla dobra Daisy oraz wybrał jedyne racjonalne i jedyne słuszne rozwiązanie, które mogło zapewnić szczęśliwe życie dla nich trojga.

Ale Staś nie wiedział, gdzie Francesca mogła być. Kiedy wrócił z Londynu i odkrył jej nieobecność, nie był w stanie trafić na jej ślad prowadzący dalej niż Los Angeles. Zadzwoił do Matty'ego Firestone'a. Gdyby istniały jeszcze jakieś informacje, jej były impresario był oczywistym ich źródłem.

Matty wyraził niemal niedowierzające oburzenie, informując Stasia, iż obie jego córki czują się bardzo dobrze; ściślej mówiąc, Danielle zaczyna już unosić główkę na sekundę lub dwie. Daisy? Ach, tak, Daisy. Już siada i mówi mama, ale malutka Danielle jest niesamowita. Mógł prawie przysiąc, że uśmiechnęła się do niego przy trzecim spotkaniu.

Staś mówił tak chłodno, jak było to możliwe. Wpadanie we wściekłość i tak by nic nie dało. Czy Francesca zgodzi się na spotkanie? Czy może do niej napisać? Zaszło jakieś nieporozumienie, które należało wyjaśnić.

– Nic na świecie nie zmusi mnie do zdradzenia ci miejsca ich pobytu – powiedział Matty ze złośliwą przyjemnością. – Są bezpieczne, są zdrowe i nie głodują, nic więcej ze mnie nie wyciągniesz. Nie zasłużyłeś nawet na to.

Mijały miesiące. Staś pojechał do Kalifornii, ale Matty był nieubłagany. Działał zgodnie z poleceniami swojej klientki. Pan Valensky nie miał u niego najmniejszych szans. Mógł oczywiście założyć sprawę rozwodową, jeśli chciał. Prasa dałaby mu błogosławieństwo. Od jakiegoś czasu nie wydarzył się żaden soczysty skandal.

Staś spędził sylwestra 1953 roku sam w swoim wielkim mieszkaniu w Londynie. Od odejścia żony i dziecka minęło nieco ponad cztery miesiące. Był więźniem we własnym domu. Wiedział, że jeżeli pojawi się publicznie bez Francesci, zaczną się plotki. Brytyjska prasa i tak wydzwaniała prosząc o wywiad z nią. Zapewniano go, że wszyscy chcieli wiedzieć, jak była gwiazda, a obecnie księżniczka, czuje się w Londynie. Wszyscy błagali o ponowną możliwość sfotografowania jej z Daisy. Zdjęcie na okładce magazynu *Life* było już przestarzałe. Wiedział, że odwlekanie nie potrwa długo i że wkrótce dziennikarze pojawią się przed domem, usiłując spotkać nianię z dzieckiem.

Staś uciekł do Indii, gdzie panował sezon polo, choć tego roku nie grał. Były tam pałace, o wstępie do których dziennikarzom nawet się nie śniło, było tuzin maharadzów, którzy zachwyceni byli mogąc gościć starego przyjaciela. Kalkuta była bezpieczna w styczniu; luty i marzec można było spędzić w Delhi, Bombaju i Dżajpurze. Ale dokąd miał się udać wiosną?

W kwietniu miał tego dość. Obwieścił, że są z Francescą w separacji i że ona powróciła do Stanów Zjednoczonych. Nie planuje rozwodu. I nie ma nic więcej do powiedzenia. W ciągu tygodnia, ze względu na brak szczegółów, sprawa ucichła i szybko uległa zapomnieniu.

Latem 1953 roku Staś znowu grał w polo. Zachowanie delikatnej granicy między grą fair a jazdą mającą zastraszyć innych budziło więcej wątpliwości niż dawniej, ale nadal pozostawał po jej prawidłowej stronie. Oddał się nabywaniu nowych kucyków i zakładaniu stajni w księstwie Kent, dokąd miał dobry dojazd z Londynu. Sprzedał brytyjskie myśliwce odrzutowe, zarówno Gloster Meteor, jak Havilland Vampire, które zakupił po wojnie. Kupił sobie argentyński samolot Pulqui, też myśliwiec odrzutowy, ale nowszej generacji, napędzany silnikiem Rolls-Royce'a Derwent. Wyśledził i kupił najnowszy dostępny model samolotu Lockheed XP-80, zwany Shooting Star, odrzutowiec, który miał przez lata

wygrywać pod każdym względem niemal ze wszystkimi maszynami światowego lotnictwa. Wynajdywał preteksty, aby polatać tymi bojowymi samolotami: utrzymanie ważności licencji pilota, rekreacja i odpoczynek. Tym, do czego nigdy się nie przyznał sam przed sobą po odejściu Francesci był fakt, iż ucieszyłby się na wieść o nowej wojnie. Tylko powietrzny pojedynek z wrogiem, który musiałby zakończyć się śmiercią jednego z nich, mógł przynieść mu tę ulgę, jakiej poszukiwał. Dziewczyny, młode, godne pożądaniami, dziewczyny były wszędzie, gdziekolwiek spojrzał. Ich zdobycie wymagało tak niewielkiego wysiłku i dawało tak znikomą przyjemność, że czasem zastanawiał się, po co w ogóle się fatyguje.

Anabel de Fourment należała do jedynej w swoim rodzaju, mało znanego gatunku kobiet, wielkich, nowomodnych kurtyzan. Niewiele kobiet spoza tej grupy potrafiło zrozumieć, jak zabójczo działał ich czar. Nie była wyjątkową pięknnością, brakowało jej szyku i zbliżała się do czterdziestki. Mimo to, od momentu kiedy skończyła dziewiętnaście lat, przez jej życie przewinęło się mnóstwo szacownych mężczyzn, gotowych wydać na nią fortunę. Krótkie małżeństwo we wczesnej młodości przekonało ją, iż rola kochanki jest dużo przyjemniejsza od roli żony. Porywające młode kobiety wypytywały się nawzajem, na czym polegał jej sekret, ale odpowiedzieć na to mogli tylko mężczyźni, którym zdarzyło się z nią współżyć.

Anabel tworzyła atmosferę pełnego komfortu wokół mężczyzny, który ją posiadał. Posiadanie jej, a dotyczyło to tylko bardzo bogatych, zapewniało dostęp do dotychczas nieznanego świata harmonii, wygody i dobrego humoru, który wy – dawał się być pokryty grubą patyną czasów króla Edwarda. Postanowiła, że poważną częścią tego interesu powinno być wynalezienie i zatrzymanie najlepszego kucharza w Londynie. Jej dom urządzone był z takim mistrzostwem, że żaden mężczyzna nie był w stanie zrozumieć, co czyniło go tak wysoce odprężającym: czuli tylko, że wszystkie problemy ich życia zostawały za drzwiami. Anabel nie wiedziała co to jest nerwica. Nie miała żadnych kompleksów, żadnych fobii, żadnych obsesji. Nigdy nie bywała załamana, nie miewała złego samopoczucia, nie irytowała się i nie traciła opanowania. Cieszyła się żelaznym zdrowiem i nikt nigdy nie słyszał, żeby się uskarżała, choćby z powodu złamanego paznokcia. Co więcej, nigdy nie zdarzyło jej się odezwać z gniewem, a mimo to wszystkie sprawy domowe załatwiała w okamgnieniu. W domu Below Stairs była łaskawą dyktatorką, która utrzymywała absolutną władzę.

Nigdy, przenigdy nie bywała nudna. Rzadko miewała kaprysy, za to często była zwyczajnie zabawna i słynęła z odkrywczo szczęśliwego doboru wyrażań.

Ponieważ nie potrafiła zapamiętać puenty choćby jednego kawału, słysząc dowcip po raz dziesiąty śmiała się tak samo, jak za pierwszym razem, śmiechem, który mógłby wystarczyć dla zapewnienia fortuny, śmiechem tak szczerym i tak pełnym podziwu, że słuchając go czuło się jak podczas relaksu w ciepłym kominku. Nie była zbyt przebiegła, ale instynktownie rozumiała, dlaczego ludzie zachowywali się tak a nie inaczej. Anabel nie była wyjątkowo mądra, ani nie cieszyła się szczególnym intelektem, ale mówiąc do ludzi patrzyła na nich w sposób, który sprawiał, iż najprostsze i najbanalniejsze rzeczy brzmiały interesująco i wdzięcznie. Zawsze zadawała pytania, na które mężczyźni najbardziej chcieli odpowiedzieć. Być może jej bardzo charakterystyczny głos, a być może rytm wypowiedzianych słów mógłby wyjaśnić przyjemność, z jaką mężczyźni przyjmowali jej rozmowę. Z góry cieszyli się na spokojne pogaduszki z Anabel, tak jak cieszyli się nawet na tete a tete z kobietami, które znane były jako o wiele bardziej inteligentne i porywające.

Anabel de Fourment posiadała dar, który zmieniał jej zaledwie przeciętną urodę w piękność. Miała skórę bez skazy i także zęby. Szerokie, pogodne usta, raczej długawy nos i ładne szaroniebieskie oczy, które wyróżniały się jedynie uprzejmością spojrzenia. Jej ciało było tak miękkie i prężne, tak subtelnie uperfumowane i tak dobrze zadbane, iż fakt, że była trochę pulchna przestawał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jej piersi były tak pełne, a siedzenie tak jędrne, że żaden mężczyzna nie zauważył nawet, iż miała przykrótką talię i była nieco przysadzista.

Anabel była córką rozrzutnego francuskiego portrecisty, Alberta de Fourment, czarnej owcy w starej, prowincjonalnej rodzinie, należącej do dolnej warstwy szlachty. Jej matka była narwaną, zbuntowaną córką napuszonego lorda angielskiego, studiowała malarstwo w Slade, po czym kręciła się na peryferiach Bloomsbury, stając na głowie, aby dostać się do tej rozgorączkowanej, kazirodczo zagmatwanej społeczności, ale udało jej się to tylko częściowo, kiedy przyjęta została jako modelka jednego z artystów, ceniona dla urody, ale z marną opinią, jeśli chodzi o talent. Poślubiła pierwszego prawdziwego malarza, jaki się jej oświadczył, ale szybko przekonała się, iż niewiele przewyższał ją talentem.

Ich jedynym dziełem była córka Anabel, którą wychowywali na diecie składającej się z chrupkiej skórki pieczywa i kawioru, najwcześniejsze wspomnienia Anabel stanowiły mieszaninę pysznych, improwizowanych przyjęć w nędznym atelier w Paryżu, gdzie niezliczeni goście zawsze mogli liczyć na wino, nawet jeśli zabrakło żywności, oraz świąt Bożego Narodzenia spędzanych w angielskiej wiejskiej posiadłości. Tam małej dziewczynce pozwalano pójść później

spać i uczestniczyć w kolacji drugiego dnia świąt, a ona z zacięciem przyglądała się dorosłym, ubranym w stroje wieczorowe i śmieszne papierowe kapelusiki, ciągnącym z dwóch stron pękające i strzelające kolorowe kartoniki, gwizdzącym jedno na drugie i obsypującym się specjalnym konfetti, zupełnie jakby mieli tyle lat co ona. Dorastając, bardzo wcześnie doszła do wniosku, że podobało się jej beztrudne życie rodziców, dyktowane przez cyganerię artystyczną, ale nie podobało jej się życie w biedzie: podobało jej się bogactwo dziadków, ale nie podobało jej się, że ma postępować tak jak po niej oczekiwano.

Jej jedyne małżeństwo, zawarte w wieku szesnastu lat, było błędem. Żadne pieniądze nie mogły zrehabilitować nudy w jakiej żyła, zdecydowała Anabel. Po rozwodzie, jako dziewiętnastolatka, odkryta została przez pierwszych mężczyzn, którzy mogli pozwolić sobie na ogromną osobistą ekstrawagancję, jaką było utrzymywanie Anabel. Członek Izby Lordów, przyjaciel jej dziadka był człowiekiem, któremu pozostała wierna przez dziesięć ostatnich lat jego życia, najlepszych lat jakie przeżył. To on wprowadził ją w fascynujące detale prawdziwego powodzenia, to on cierpliwie uczył ją złożonej umiejętności wyboru wina, dania i cygar, to on zatrudnił zmyślną Francuzkę jako jej "pokojówkę", to on zawiózł ją do Philipsa na Bond Street i przeszkolił, jak ma odróżniać i nosić wyłącznie srebro gregoriańskie, to on wyjaśnił jej, dlaczego tradycyjnie cięte diamenty są dla niej znacznie bardziej odpowiednie niż kamienie oferowane przez Cartiera, jakkolwiek były wspaniałe. To właśnie lata spędzone z nim przekonały ją, iż chodziło jej o stare, arystokratyczne pieniądze. Nienawidziła wszystkiego co było błyskotliwe, nowoczesne i oczywiste. Atmosfera, jaką tworzyła wokół siebie, trwając w wyperfumowanym lenistwie, czyniła wrażenie przebywania w jakimś innym czasie, lepszym od teraźniejszości.

Anabel nie prowadziła dziennego trybu życia. Spała do późna, samotnie zjadała lunch, po czym większość popołudnia spędzała zajmując się idealnie funkcjonującym domem oraz układając kwiaty w wielkie, pozornie niedbałe bukiety, które nadawały wszystkim jej pokojom nastrój obrazów Renoira. Ku zazdrosnemu niezadowoleniu kucharza, lubiła sama robić zakupy, wybierając najdojrzalsze owoce, najlepsze mięso i najbardziej aromatyczne sery. Sprzedawcy lubili ten jej zwyczaj, zostawiali dla niej najlepsze produkty, ponieważ Anabel de Fourment nie tylko chętnie płaciła za jakość, ale również sprawiała, że każda transakcja była przyjemnością. Lubiła też bawić się na kolacyjkach w ciekawym towarzystwie. Panów zawsze zapraszał opiekun, panie – sama Anabel. Kobiety te musiały być dobrze urodzone, a przynajmniej zawsze za takie uchodziły, za to nie

mogły być cudzoziemkami i nie mogły nie należeć do londyńskiej śmietanki. Były światowym, rozpustnym, zabawnym gronem i stanowiły tło dla Anabel, tak jak modne klejnoty stanowią tło dla jednego, doskonałego kamienia. Jej wieczorne przyjęcia zmieniały się w czarujący klub, do którego należało zaledwie kilku najbardziej znaczących mężczyzn, klub, którego istnienie było tajemnicą. Kiedy Anabel potrzebowała kobiety do jakiejś babskiej pogawędki, a zdarzało jej się to często, zawsze mogła liczyć na członkinię swej lojalnej, choć być może nieco niekonwencjonalnej, koterii.

W jakiś niejasny sposób Anabel nigdy nie wyglądała szykownie, czy choćby elegancko w drogich strojach. Wiedziała o tym i nie przywiązywała do tego najmniejszego znaczenia. Najlepszą formę osiągała o zachodzie słońca i we własnym domu. Wówczas była najdoskonalsza. Wydała majątek na to, co projektant jej garderoby określał jako „na po domu”: długie szlafroki z aksamitu, jedwabiu, szyfonu i koronki, nie związane z żadnym konkretnym czasem czy stylem, świetnie zaprojektowane i eksponujące cudowną skórę na biuście, z pochlebstwem tak subtelnym, że wręcz niezauważalnym. Równie świetnie wykonane były jej koszule nocne i bielizna, szyte na zamówienie z różnorodnych materiałów. Sama królowa nie powstydziliby się pościeli, która była świadkiem licznych scen zwanych w duchu przez Anabel „miłymi, wygodnymi pieprzonkami”. Seks nie miał dla niej większego znaczenia. Była kurtyzaną, a nie jakąś grandę amoureuse, typem kobiety, która potrafi być tak pretensjonalna i posepnie przepelniona kłopotliwymi pasjami, że wplątuje się w trudne sytuacje. Wiedziała, że autentyczne zakochanie byłoby najgorszą rzeczą, jaka mogłaby jej się przytrafić. Nie tego chciała od życia. Do młodych, promiennych chłopców podchodziła jak do uczniów. Uczniaków, dla których nie warto marnować czasu. Owszem, uwielbiała uczucie zmysłowości, kiedy kochała się z mężczyzną, ale zmysłowość to była inna sprawa, w gruncie rzeczy nie bardzo warta zachodu, jakiego wymagała.

Mruczała, wzdychała i jęczała cicho myśląc, że było to raczej miłe.

Po śmierci swego pierwszego protektora, mając dwadzieścia dziewięć lat, Anabel dysponowała majątkiem, który – choć niemały – nie całkiem wystarczał na jej potrzeby. Jej tryb życia, według niej samej nieostentacyjny, wymagał jednak ogromnych pieniędzy. Była też w posiadaniu osiemdziesięcioletniej dzierżawy na dom przy Eaton Square, który prezentował się sąsiadom fasadą z kolumnami, dokładnie tak samo jak wszystkie pozostałe domy w tej najwykwintniejszej części Belgravii, przy czym wewnątrz wypełnione było tak wspaniałym komfortem, na jaki

inni nie mogli sobie pozwolić. Chociaż ponad wszystkim królowała kwintesencjonalna osobowość Anabel: odcienie zieleni, szarości i zszarzałego brązu, był to zdecydowanie męski dom.

Robiła plany na przyszłość. Postanowiła, że nie wyjdzie ponownie za mąż, ponieważ małżeństwo było zbyt nudne. Wołałaby już raczej radość wychowywania dziecka, może dwojga, ale z drugiej strony, małe dzieci bywały jeszcze nudniejsze niż małżeństwo, jeżeli to w ogóle było możliwe. Była świadoma braków w swoim wyglądzie, tak samo jak każda z kobiet, które jadały z nią lunch i które nie zostawiały na niej suchej nitki, wściekła, że nie potrafią zrozumieć dlaczego wszyscy mężowie i kochankowie uważają ją za tak atrakcyjną. Ale ona знаła pewną prostą prawdę, której one nie były w stanie pojąć: potrafiła najbardziej skomplikowanemu mężczyźnie dać zwykle szczęście. Wielka kurtyzana, w czasach kiedy kurtyzany nie należały do dobrego tonu? Cóż, pomyślała Anabel, jestem klasycznym typem, ponadczasowym. Nie miała najmniejszej wątpliwości, że dzień wyjścia z mody kobiet jej pokroju będzie ostatnim dniem cywilizacji, przynajmniej takiej, jaką znała. A któż przejmowałby się tym co będzie potem?

Spokojnie, korzystając z przywileju wyboru, czekała na pojawienie się nowego opiekuna i odrzucała każdy hołd, który nie zadowalał jej wymyślnych gustów. Przez następnych dziesięć lat należała do trzech mężczyzn, jednego po drugim, każdego nie mniej wartościowego niż stary lord, który ją uformował. Jej majątek nie wzrósł, ponieważ żaden z nich nie zmarł, a jedynymi prezentami, jakie przyjmowała były kosztowności i obrazy, ale nadal żyła, pomimo inflacji i rosnących podatków, tak dobrze jak dawniej, zupełnie nie przejmując się pieniędzmi. Późną jesienią 1955 roku miała trzydzieści dziewięć lat i chwilowo nie było przy niej nikogo, o kim mogłaby powiedzieć, że należy do niej.

– Anabel?

– Sally, kochana Sally, co u ciebie słyhać? – Anabel natychmiast poznała głos niespokojnej Amerykanki. Sally Sands, postrzelona, zabawna Sally była londyńskim wydawcą amerykańskiego magazynu mody i zwykle bywała niespokojna, głównie z powodu zrywania uroczystych zaręczyn i obietnicy małżeństwa. W ciągu ostatnich dwóch lat była sześciokrotnie zaręczona.

– Anabel, czy mogłabyś zrobić mi ogromną przysługę?

– Jeśli będę mogła, ale najpierw powiedz mi o co chodzi... Och, dobrze, w końcu, czemu by nie?

– Dzięki Bogu. A więc będziesz moją główną druhną.

– Poczekaj, Sally, posunęłaś się za daleko, to zwyczajna głupota – Anabel

roześmiała się swym bezcennym śmiechem.

– Poważnie... potrzebuję cię, Anabel. Błagam. On jest okropnie brytyjski, uwielbiam go, jego rodzina tam będzie, a moja nie, więc musisz mnie podtrzymać, kochana, nie znam nikogo więcej, kto mógłby to zrobić.

– Ależ to wysoce niestosowne, druhna, naprawdę, kiedy panna młoda ma tylko dwadzieścia sześć lat! Ale co roku chodzę na jakiś ślub, po prostu, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że więzi małżeńskie są nie dla mnie, więc twój ślub może mi posłużyć tak samo, a właściwie lepiej niż jakikolwiek inny.

– Ależ, Anabel, tym razem to się stanie naprawdę – Sally odezwała się z wyrzutem.

– Oczywiście, maleńka, dla ciebie, ale ja po prostu nie wierzę w ten rytuał. To nie będzie żadna wielka ceremonia, prawda? Nie będę musiała nieść trenu za tobą, czy coś w tym rodzaju?

– Na razie tylko Urząd Stanu Cywilnego. Ślub kościelny weźmiemy po powrocie do domu. On jest wicehrabią i nie mogłam ukrywać tego przed mamą. Po ślubie planuję skromne przyjęcie w Savoyu.

– Och, nie, Sally, nie wydaje mi się, żeby jakikolwiek hotel się do tego nadawał. Ściany pamiętają zbyt wiele podobnych przyjęć. Zorganizuję ci przyjęcie tutaj, to będzie mój prezent ślubny dla ciebie.

– Łudziłam się, że to powiesz! Dzięki, Anabel!

– Wiem, że liczyłaś na to – Anabel znowu się roześmiała. Spodziewając się prośby o przysługę, wołała być hojna.

– Tylko nie rozmyśl się znowu, Sally. Nigdy jeszcze nie wydawałam takiego przyjęcia i wołałabym nie odwoływać go w ostatniej chwili i nie być zmuszoną do wypicia całego szampana.

– Przysięgam. Naprawdę, Anabel. Och, jesteś aniołem!

– Sally, jeszcze jedno...

– Tak?

– Nie denerwuj się.

– Nie denerwować się? Jak mam się nie denerwować w takiej chwili? – Głos Sally osiągnął rekordowe szczyty niepokoju.

– Usiądź na krześle i powtarzaj „wicehrabina” przez pół godziny... to powinno cię odprężyć.

Trudno było znaleźć mniej romantyczne miejsce do zawarcia ślubu niż Urząd Stanu Cywilnego, pomyślała Anabel i stwierdziła z satysfakcją, że przyjęcie jakie

zorganizowała okazało się sukcesem. Goście pana młodego wyraźnie ożywili się na widok jej wypełnionego kwiatami domu, a teraz, po paru godzinach objadania się kawiozem, pasztetem i innymi delicjami wykwiutnego zimnego bufetu, zaczęli się świetnie bawić. Państwo młodzi i spora grupa krewnych pana młodego już wyszli, ale pozostali goście przeszli do fazy śpiewania starych piosenek.

Wygląda na to, że wszyscy panowie walczyli razem na wojnie, pomyślała Anabel, ponieważ salon wypełniała muzyka z filmu o lotnikach z końca lat czterdziestych. Na szczęście nie posiadała zbyt wielu łatwo zniszczalnych przedmiotów, jakimi często otaczają się kobiety.

Była zbyt zajęta wypełnianiem obowiązków głównej druhny, które – tak jak się spodziewała – polegały głównie na doprowadzeniu rozhisteryzowanej Sally na miejsce ceremonii, aby zwracać uwagę na innych gości weselnych. Nie spuszczała oka z Sally dopóki nie zostały wypowiedziane ostatnie słowa przysięgi małżeńskiej, a wówczas szybko wróciła do domu, aby się przebrać i przygotować do powitania gości. Skromne przyjęcie, o jakim mówiła Sally rozrosło się, od momentu kiedy dowiedziała się, że zorganizowane zostanie przez Anabel, do weseliska dla ponad stu osób. I teraz Anabel czekała na odśpiewanie ostatniej piosenki i dopicie ostatniej butelki, aby móc pożegnać gości.

Było już po północy, kiedy w końcu poszła do sypialni. Jak zwykle pokojówka wcześniej zdjęła z łóżka ciężką narzutę z żółtego adamaszku i przygotowała pościel wykończoną koronką, a uszytą z lnu tak gładkiego, że w dotyku przypominał jedwab. Jak zwykle, szyfonowy szlafrok rozłożony był na łóżku, a haftowane kaptcie stały na dywanie. Ale – i to już nie było jak zwykle – w łóżku spał mężczyzna; twarz miał wtuloną w materac, a nagie ramiona przykryte wełnianymi kocami.

Następnym razem, jak Sally będzie wychodziła za mąż, może sobie wydać przyjęcie w Savoyu, pomyślała Anabel. Bezradnie spojrzała na płaszcz z jednym rękawem wywróconym na lewą stronę, na spodnie w paski, koszulę, lśniące, czarne buty, nawet skarpetki, a także – na miłość boską – majtki, rozrzucone na jej dywanie. Zaczęła dzwonić na pokojówkę, ale rozmyśliła się. Zbudzenie lokaja też by nic nie dało. I on, i kucharz mieli za sobą ciężki dzień, pomimo iż większość pracy wykonali zawodowi organizatorzy przyjęć. Podeszła do łóżka i przyjrzała się uzurpatorowi. Po kolorze włosów poznała, że był świadkiem. W czasie ceremonii wymienili tylko jedno krótkie, ironiczne spojrzenie, które powiedziało jej, że są zgodni co do opinii na temat przedstawienia zwanego ślubem.

No cóż, pomyślała, faktem jest, że wygląda na gentlemana. Poza tym nie miała

zamiaru w środku nocy ścielić łóżka w jednym z pokoi gościnnych. Rozebrała się w łazience, włożyła szlafrok i położyła się po drugiej stronie wielkiego łoża. Przynajmniej nie chrapie, pomyślała, i zasnęła.

W pewnym momencie Staś obudził się i zdał sobie sprawę, że jest w łóżku ze śpiącą kobietą, której tożsamości nie był pewny... w gruncie rzeczy, w ogóle jej nie znał. Ponieważ nie było to dla niego niczym nowym, z powrotem zasnął.

Oboje zbudzili się późno, parę sekund jedno po drugim. Podparła się łokciem, a jej ciemnorude włosy leżały luźno na ramionach. Powiedziała:

– Czy mam zadzwonić po śniadanie, proszę księcia, czy nie ma pan ochoty na nic innego niż Alka-Seltzer?

– Poproszę o śniadanie, pani Fourment.

– Jajka? Jabłka w śmietanie? Świeżo upieczone rogaliki? Szynka irlandzka? I miód? W plastrach?

– Tak, proszę.

– Herbata czy kawa?

– Herbata.

– Jesteś bardzo miły tego ranka. Muszę ci to przyznać.

Anabel sięgnęła po stojący przy łóżku telefon, który miał połączenie z kuchnią i złożyła zamówienie.

– Czy masz może przypadkiem jakiś szlafrok pod ręką... męski szlafrok?

– Oczywiście, że nie. Mieszkam sama.

Staś wstał z łóżka, majestatycznie przeszedł kompletnie nagi do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Anabel zatrzęsała się w łóżku ze śmiechu. Zdecydowała, że to, co będzie miał na sobie kiedy wyjdzie, będzie swego rodzaju testem. Miała ogromne ręczniki złożone koło wanny. Drzwi do łazienki otworzyły się i wrócił do łóżka, tak samo nagi jak przedtem. Przynajmniej jeden test już przeszedł, i to w bardzo, bardzo miły sposób, pomyślała.

– Dzień dobry – powiedziała do służącej, która właśnie weszła niosąc jedną tacę. Lokaj Landon stał za nią trzymając drugą.

– Dzień dobry, madame.

– Marie, podaj tacę księciu. A ta jest dla mnie, Landon. Dobrze, dziękuję. Czy słońce już wzeszło?

– Mamy piękny dzień, madame. Czy mam odsłonić firanki?

– Nie, dziękuję, Landon. Zadzwonię, jeśli będę cię potrzebowała.

Nalała sobie filiżankę herbaty. Staś jadł w skupieniu.

– Pyszne jajka – powiedział.

– Kupuję nabiał u sprzedawcy, który hoduje kury i sprzedaje mi jajka zniesione tego samego dnia.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Przestań się śmiać ze mnie – powiedział gwałtownie.

– Jesteś taki zabawny. Dlaczego nie miałabym się śmiać?

– Nie jestem do tego przyzwyczajony. Nie podoba mi się to.

– O, Boże. Traktujesz się bardzo poważnie – zaśmiała się głośniej niż przedtem.

– Posłuchaj, kiedy budzisz się po nocy, którą przespałaś z mężczyzną, nie powinnaś traktować go, jakby był komediantem z Palladium. Delikatnie mówiąc, są to złe maniery.

W tym momencie wyglądało na to, że jej śmiech wywróci tacę lub wręcz sprawi, że sama wypadnie z łóżka. Staś postawił obie tace na podłodze, chwycił ją i potrząsnął. Anabel uspokoiła się na tyle, aby – wymówić trzy słowa.

– Ale myśmy nie...

– I to był błąd. Można go w każdej chwili naprawić.

– Nie zrobisz tego, do cholery. Nie jesteś w moim typie.

– Spróbuj mnie powstrzymać.

Nie była w stanie. A właściwie, przyznała przed samą sobą po upływie paru godzin, nie starała się tak bardzo jak by mogła. Pomimo że przez niego nie zjadła śniadania ani lunchu.

Staś zdał sobie sprawę, że Anabel Fourment była dokładnie, ściśle, z całą pewnością tym, czego potrzebował. I otrzymał to, czego potrzebował.

Nie było to takie łatwe. Dopiero po miesiącu tradycyjnych zalotów pozwoliła mu pocałować się na dobranoc. I minął kolejny miesiąc nim ponownie wpuściła go do łóżka. Anabel można było zdobyć przez zaskoczenie tylko jeden raz... potem grało się według jej reguł. Najpierw należało ustalić pewne praktyczne szczegóły... Pewne porozumienia finansowe, które należało osiągnąć, klauzule, które musiały być ustalone. Kiedy wszystkie jej wygórowane wymagania zostały spełnione, i to w odpowiedni sposób, zaczęła zastanawiać się czy właściwie nie mogła przyjąć go za nic. Dla zabawy. Nie, chyba nie, nie było jej stać na taki luksus. Ale był moment pokusy, o którym nigdy mu nie powie. Staś nie chciał brać odpowiedzialności za kobiece emocje, a na podstawie bardzo skromnych wyjaśnień, rozumiała dlaczego.

Wraz ze Stasiem pojawiła się okazjonalna premia: rzadkie wizyty jego syna, Rama, który miał jedenaście lat i chodził do szkoły w Eton. W jego ciemnej, pociągłej twarzy był jakiś upór, którego nie można było zmniejszyć czy wręcz

spenetrować i martwiło to czułe serce Anabel.

Matka Rama, a była żona Stasia z czasów wojny, wyszła ponownie za mąż i mieszkała w na pół zrujnowanym zamku w Szkocji. Od czasu do czasu chłopiec spędzał ferie szkolne z ojcem, jeśli Staś był w Londynie. Stosunki między nimi były na tyle napięte, na ile tego rodzaju układ musiał prowadzić do napięć. Staś nie był przy tym jak chłopiec dorastał, nie bardzo wiedział, jak się z nim porozumiewać. Chłopiec już potrafił zagrać mu na nerwach w efekcie drobnych, złośliwych uwag robionych przez matkę, od kiedy tylko sięgał pamięcią. Czuł się zaniedbany, kiedy ojciec wyjeżdżał w trakcie jego wizyty, aby grać w polo, a zdarzało się to często. Czuł się pozbawiony dziedzictwa, kiedy porównywał tryb życia Stasia z nędznym, wypłowiłym, zrujnowanym szkockim życiem, jakie zmuszony był dzielić ze swymi trzema przyrodnimi siostrami i ojczymem, którego nie lubił.

A przy tym wszystkim był tak dumny z tego, że jest księciem Valenskim! Dbał o tę dumę, jak dba się o jedyną, cenioną własność. Podczas trzech lat spędzonych w Eton miał pecha trafić na otoczenie, w którym albo człowiek znęcał się nad innymi, albo był tym, nad którym się znęcano. On został oczywiście tym, który się znęca, będąc silnym i mając żołnierski temperament ojca. Zniwelował niedogodność posiadania obcego nazwiska, podkreślając fakt, iż jest księciem, nieustannie dokuczając innym z tego powodu, wymyślając bajki o swoich przodkach, podczas gdy ci prawdziwi raczej nie zrobiliby specjalnego wrażenia, nie mówiąc już o tym, że po prostu ich nie znał.

W wieku jedenastu lat był wyrośnięty, ale dziwnie spięty, miał jakieś zahamowania w podchodzeniu do ludzi, które nie odpowiadały jego wiekowi. Rozproszona, ogólnikowa, ale kłująca zazdrość w stosunku do ludzi szczęśliwych, wszystkich szczęśliwych ludzi, czyniła go nieśmiałym i czujnym, sprawiała, że gromadził w sobie żal i narastała w nim gorycz. Wiedział, bez artykułowania tego przy pomocy słów, że został oszukany, że był oszukiwany już od momentu narodzin i bezustannie przemyślał ten fakt. Było to jak nieprzerwany, ponury rytm, który towarzyszył mu wszędzie.

Mimo to z jego twarzy nie można było niczego wyczytać. Był wyjątkowo ładnym chłopcem i nie miał jasnej aparycji Valenskich, z wyjątkiem szarych oczu, które były tak podobne do oczu Stasia, że Anabel z miejsca poczuła się mu bliska. Był ciemny, tak jak wszyscy w rodzinie matki. Miał oliwkową cerę i nos orli i tak wyniosły sposób bycia, że niemal mógł uchodzić za jednego z tych młodych maharadzów hinduskich, których labiryntowe genealogie sięgały tysiącleci wstecz i

znane były wyłącznie kapłanom braimskim w świętym mieście Nasik. Był tajemniczym chłopcem, stwierdziła Anabel, a także nieszczęśliwym, a obecność nieszczęśliwego mężczyzny w jej otoczeniu, bez względu na wiek, stała w sprzeczności z jej charakterem. Użyła całego swojego mistrzostwa i mądrości, aby zdobyć przyjaźń Rama. W krótkim czasie pokochał ją w stopniu, w jakim w ogóle zdolny był do miłości. A potem podczas proszonych lunchów we dwoje w jej domu, odkrył spontaniczność i dobre samopoczucie jakich dotychczas nie znał. Tylko w towarzystwie Anabel był w stanie zapomnieć o zazdrości w stosunku do szczęśliwych ludzi – nawet jeśli na krótko – bo sam stawał się jednym z nich.

Rozdział 8

Uciekając z Lozanny z bliźniaczkami i Masha, Francesca myślała tylko o znalezieniu się jak najdalej od Stasia. Ale lecąc na zachód, do Nowego Jorku, zdała sobie sprawę, że jedynymi ludźmi na całym świecie, którzy mogli jej teraz pomóc, byli Firestone'owie. Kiedy tylko przeszły przez kontrolę paszportową w Idlewild, zadzwoniła do Matty'ego do Hollywood i poprosiła, żeby czekał na nią na lotnisku w Los Angeles.

– Proszę cię, Matty, nie zadawaj żadnych pytań. Wyjaśnię ci wszystko jak się spotkamy – błagała.

– Ale, kochanie... nie, już nic... będziemy czekać, nie martw się.

Wiedziałem, że wróci, pomyślał odkładając słuchawkę. Wiedziałem, że ten drań ją unieszczęśliwi. Ale żadne z jego przeczuć nie przygotowało ani jego, ani Margo na widok dwójki dzieci. Ich zdziwienie było przeogromne, zwłaszcza że Francesca i Masha były tak wyczerpane po wielogodzinnej podróży, że nie potrafiły powiedzieć niczego sensownego. Firestone'owie zawieźli je do domu najszybciej jak mogli, nakarmili i od razu położyli do łóżek.

– Śpij teraz! Porozmawiamy rano – poleciła Margo.

Po przebudzeniu się rano Francesca opowiedziała całą historię Firestone'om, wyrzucając z siebie słowa z odnowionym niedowierzaniem. Podczas boleśnie długiej podróży, koniecznej dla zapewnienia im wszystkim bezpieczeństwa, musiała skupić się na różnych praktycznych detalach i to pozwoliło jej nie zastanawiać się nad świeżo odkrytymi faktami, ale teraz, w miarę jak opowiadała to Matty'emu i Margo, zaczęła wpadać w histerię. Tylko zapewnienie Margo, iż zna miejsce gdzie i ona, i dzieci będą bezpieczne, uratowało ją przed załamaniem.

– Pojedziemy tam jutro – powiedział Matty.

– Nie, teraz! Nie mogę tu zostać... on mnie tu znajdzie!

– Ale tam się jedzie sześć godzin, kochanie.

– Czy damy radę, jeśli wyjedziemy za piętnaście minut? Nawet nie rozpakowałyśmy bagaży.

Matty spojrzął na Margo, po czym zwrócił się do Francesci:

– Oczywiście, będziemy na miejscu dopiero o zmroku, ale to nie problem, po prostu włączymy światła.

Jechali obszernym cadillakiem Matty'ego autostradą 101 do miejscowości Carmel, tam Matty skręcił w kierunku wybrzeża i wjechali na trasę numer jeden,

wąską, krętą i niebezpieczną nadmorską drogę, którą po niecałych pięćdziesięciu kilometrach dojechali do domku letniskowego Matty'ego i Margo w Ventana Wilderness w zachodnim regionie Kalifornii, Big Sur.

Domek, prawie niewidoczny ze stromo wspinającej się wiejskiej drogi, zbudowany był z wyblakłej miejscowej sekwoi. Miał bieżącą wodę, elektryczność, a także centralne ogrzewanie, od kiedy Firestone'owie przekonali się, iż nawet latem noce w Big Sur bywały dotkliwie chłodne. Margo umeblowała go solidnymi, amerykańskimi antykami z Carmel, a na narzuty i obicia wykorzystwała pikowany materiał. Przed domem, wokół którego rosły sekwoje, osiki i jawory, leżała niewielka polanka porośnięta dziko rosnącą trawą, a z niej roztaczał się wspaniały widok na Ocean Spokojny, od którego dzieliło ją trzykilometrowe strome zbocze. Z tej wysokości fale wyglądały na znacznie niższe i ocean wydawał się być niemal gładki i nieszkodliwy.

Kiedy Francesca spojrzała w dół następnego ranka, ujrzała brzeg morza, którego nadziemskiemu pięknemu nie dorównywało żadne miejsce na tym globie. Pomyślała, że musi to być miejsce przechadzek bogów i bogiń, a jednocześnie stwierdziła odradzające się w niej poczucie bezpieczeństwa. Nigdy nie była w Grecji, ale niewypowiedzianie uśmierający spokój zadrzewionego, stromego wzgórza, wyłaniającego się prosto z wody, sprawił, że Francesca była przekonana, iż jest to miejsce chronione przez siły, o których nic nie było jej wiadomo. Ten dom był składowym elementem natury. Po wyjeździe Firestone'ów do Los Angeles na skrajach polanki pokazały się sarny z czarnymi ogonami i nie minęło wiele czasu, nim te beztrudne mieszkanki wybrzeża zaczęły odwiedzać je, podczas gdy Francesca i Masha karmiły dziewczynki na świeżym powietrzu, i podkradać jedzenie z talerzy.

I tak oto Francesca prowadziła swój niewielki dom w Ventana Wilderness. Czasami, otoczona wyłącznie przytłaczającym pustkowiem, obawiała się, że poświęciła już całą duszę i następny dzień zostanie ją pozbawioną odwagi, cierpliwości i sił, tak bardzo potrzebnych dzieciom. Mimo to nigdy się nie załamała. Niewzruszona. Było to słowo, którego często używała w myślach. Rok po roku, niewzruszenie trwała przy dzieciach; przy Daisy, która była tak naładowana energią, że kiedy Francesce udało się złapać ją za rączkę niemal spodziewała się poczuć porażenie prądem, a także przy Dani, która mając trzy i pół roku potrafiła wejść po schodach tylko trzymając się poręczy i stawiała zawsze tę samą nóżkę, potem dostawiając drugą, przez co wspaniałe się do sypialni zajmowało jej wieczność; przy Daisy, która chętnie śpiewała długie, rymowane piosenki

każdemu kto zechciał ich posłuchać i potrafiła nazwać każde zwierzątko w książeczce z obrazkami i każdy kwiatek w lesie, a także wiedziała, gdzie czego należy szukać w kuchni i sama myła ząbki; i przy Dani, której wieże z klocków miały tylko dwa piętra, która przewracała po trzy i cztery kartki w książeczce, a nigdy nie udało jej się przewrócić pojedynczej i która rozumiała tylko najprostsze ustne polecenia.

Mimo to właśnie przebywanie z Dani przynosiło Francesce najbardziej kojące momenty. Oczy Dani, tak jak oczy niemowlęcia, wydawały się pamiętać z poprzedniego życia coś, czego nie były w stanie przekazać, ale co dawało Francesce ulgę i wsparcie. Nieustanne zagrożenie bezpieczeństwa Dani stanowiło jej siłę, ponieważ spotkawszy ją, wszyscy natychmiast czuli potrzebę zaoferowania jej swojej ochrony. Dani nigdy nie była niezadowolona, ponieważ nie zdarzało jej się czuć zagubienia. Nie waliła pięścią w stół, kiedy coś się jej nie udało, tak jak Daisy w dniu, gdy pierwszy raz odkryła, że nie umie czytać. Dani nie zadawała Francesce nie kończących się pytań, nie wykańczała jej upierając się przy wejściu na drzewo, złapaniu dżdżownicy, upieczeniu ciasteczek, wytresowaniu kolibrów, spacerze w lesie i zbieraniu kamyczków na plaży, wyrzucając to z siebie z jednym oddechem, jak robiła to Daisy.

Matty lub Margo dzwonili co tydzień pytając co słyhać, a Francesca mogła z czystym sumieniem powiedzieć im, że wszystko jest w porządku. Była tak przepelniona silnymi uczuciami macierzyńskimi, że nie miała czasu na tęsknotę za latami przeżyтыми w roli gwiazdy filmowej, czy też miesiącami w roli księżniczki. Miłość do Daisy i Danielle oraz lęk o nie czyniły ją bardziej samotną niż jakiegokolwiek znane jej dotąd uczucie. Ona, która miała w sobie coś tak potężnego jak ogromny magnes, nieodparcie zapełniający jej pole przyciągania licznymi mężczyznami, teraz pozwoliła temu magnesowi zamienić się w zwyczajny kawałek wewnętrznej tkanki. Od czasu do czasu rozmyślała nad swoim samotnym życiem w ukryciu przed całym światem lub wspominała dni miłości do Stasia. Recytowała półgłosem parę wierszy z *Hamleta*:

„W centrum płomienia miłość jest zawsze Coś jak zwęglony knot, co już nie płonie”;

– i powracała do terażniejszości, nie zapominając, iż nigdy nie lubiła roli Ofelii.

– Nie rozumiem jej – Matty zwrócił się do Margo. – Jak taka kobieta może nie zwariować, odizolowana tam, sama, mając tylko Maszę i dzieci do towarzystwa? Sama powiedz, czy to jest życie dla niej? To nie ma sensu.

– Odgrywa największą rolę swego życia – odpowiedziała Margo.

– Guzik prawda. To samo mówiłaś o roli księżniczki.

– Matty, ty nadal nic z tego nie rozumiesz, co? Przypadek księżniczki był lekką farsą w porównaniu z rolą matki – tygryscy. Teraz ma dwójkę najdroższych dzieci do uchronienia i wychowania – i po prostu niczego więcej nie potrzebuje, ani mężczyzn, ani aktorstwa, ani nawet przyjaciół. Przypuszczam, że to się zmieni jak podrosną, ale w tej chwili tak ją pochłaniają, że wszystko inne się nie liczy. Nic, nic nie ma dla niej znaczenia.

– Miałaś wtedy wspaniały pomysł z zabranie jej do Europy – westchnął Matty z nieuleczalną rozpaczą. – Gdyby nie ta podróż, byłaby największą gwiazdą filmu...

– Nie wracaj do przeszłości, Matty. To nie pomaga.

Mając około piętnastu miesięcy, Daisy nieustannie gaworzyła po swojemu, od czasu do czasu czysto wymawiając imiona i kilka próśb. W wieku dwóch lat swobodnie układała słowa w krótkie zdania. „Daisy nie boi grzmotu” oświadczała, łąpiąc Maszę za rękę i mocno ją ściskając. Francesca niecierpliwie czekała na pierwsze sygnały rozwoju mowy u Dani, która potrafiła powiedzieć „mama”, „Asha”, co znaczyło Masha i „Day” zamiast Daisy. Niestety, poza tym z rzadka słyszała tylko nic nie znaczące dźwięki, jak zbitki przekreślonych i niewyartykułowanych sylab. Czekala i cierpliwie próbowała uczyć Dani mówić, ale dziewczynka wzbogaciła swoje słownictwo jedynie o kilka podstawowych wyrazów, jak „tak”, „nie”, „ptak”, „gorąco”. Za to, ku przerażeniu Francesci, Daisy zaczęła posługiwać się szwargotem Dani. Oblewał ją lodowaty pot, kiedy słuchała, jak bliźniaczki porozumiewają się w sposób typowy dla idiotów. Nie śmiała porozmawiać o tym z Daisy i milczała w nadziei, że ten dziwny fenomen minie. Ale kiedy skończyły trzy lata, Francesca zapytała jak gdyby nigdy nic:

– Daisy, o czym rozmawiacie z Dani?

– Chciała pobawić się moją lalą, ale kiedy jej dałam, już nie chciała.

– Dlaczego rozmawiasz z Dani w taki sposób?

– W jaki sposób?

– Tak jak przed chwilą, z takimi zabawnymi dźwiękami. Nie tak jak rozmawiasz ze mną.

– Bo ona tak mówi, mammo.

– I rozumiesz wszystko co ona mówi?

– Oczywiście.

– O czym jeszcze rozmawiacie?

– Nie wiem – Daisy zamyśliła się. – Po prostu rozmawiamy.

Kładąc dziewczynki do łóżek tego wieczoru, Francesca znowu usłyszała te dziwne dźwięki.

– Co ona teraz powiedziała, Daisy?

– Dani mówi, jeszcze buzi. To znaczy chce, żebyś jeszcze raz pocałowała ją na dobranoc.

– Nie mogłabyś nauczyć ją mówić buzi tak jak ty to mówisz, Daisy?

– Nie wiem. Chyba nie.

– Spróbujesz?

– Tak, mamó. A ja też dostanę jeszcze buzi?

Tego samego wieczoru Francesca postanowiła porozmawiać z Mashą o dziwnym sposobie komunikowania się bliźniaczek.

– Tak, zauważyłam to wiele, wiele razy, proszę pani – spokojnie odpowiedziała Masha. – Przypomina mi to coś z Rosji, coś, co słyszałam kiedy dorastałam, chyba z pięćdziesiąt lat temu. Chłopcy bliźniacy mieszkali w sąsiedniej wsi i do dziś pamiętam jak matka i ciotka szeptały o nich. Bliźniacy cały czas rozmawiali ze sobą w sposób, którego nikt nie rozumiał. Ludzie myśleli, że może bylinie było wiadomo...

– Czy byli normalni, Masho?

– Tak, proszę pani. Przestali to robić jak podrośli, kiedy mieli sześć czy siedem lat. Uznano, że po prostu zapomnieli o tym. Rozmawiali jak wszyscy. Ale zaraz potem wyjechałam do Sankt Petersburga, więc to jest wszystko, co mogę pani powiedzieć o nich czy o kimkolwiek w tamtej wiosce – skończyła ze smutkiem.

Poza Mashą Francesca nie знаła zbyt wielu osób, których mogłaby poradzić się w związku z tym problemem, lub też jakimkolwiek innym problemem w jej życiu. Żyła w zupełnej izolacji od świata, jeśli nie liczyć telefonów od Matty'ego i Margo. Wiedziała, że gdyby dziennikarze trafili choćby na ślad informacji o pobycie Francesci Vernon Valensky gdzieś w Big Sur z dwójką identycznych bliźniaczek, tropiliby ją nawet na drugi koniec świata, dopóki nie poznaliby całej tej wstrętnej historii. Nie chroniła Stasia, ale chciała uchronić Daisy, która nigdy nie powinna dowiedzieć się, co zrobił jej ojciec.

Kiedy musiała pojechać do Carmel, aby kupić rzeczy niedostępne w jedynym pobliskim sklepie, który obsługiwał mieszkańców kilku rezydencji rozrzuconych w okolicy, zostawiała dzieci w domu z Mashą i wkładała co mogła, żeby się ukryć: chustki na głowę, okulary słoneczne, dzięki temu nigdy nie została rozpoznana. Nie śmiała zawierać przyjaźni. Żadnym przyjaciołom – starym czy nowym – nie można

było wierzyć. Z wyjątkiem Matty'ego i Margo. Żyła oszczędnie, nie narzekając na skromne warunki domku, dla dobra dzieci. Przy pomocy Margo kolejno sprzedawała klejnoty z kryształowych wazonów. Za każdy z nich pośrednik z Beverly Hills płacił około tysiąca pięciuset dolarów, a suma ta wystarczała im czterem na pół roku.

Pozbywała się kwiatów, lazurytowe jajko pozostawiając na koniec. Margo opisała je jubilerowi z *A la Wielikie Russie* w Nowym Jorku i zapewnił ją, że jeśli jest to autentyczny Faberge, może być warte do dwudziestu, trzydziestu tysięcy dolarów. Francesca nie miała wątpliwości co do tego, że jest autentyczne; było jej jedynym zabezpieczeniem. Codziennie przed zaśnięciem przeklinała samą siebie za to, że tak dumnie i tak głupio zostawiła drogocenne przedmioty i wspominała fortunę, którą zarobiła w Hollywood, a którą tak beztrosko roztrwonila, kupując ciuchy, samochody, książki i ekstrawaganckie prezenty dla rodziców i przyjaciół.

Od czasu do czasu Matty podsyłał jej scenariusz, który jakiś producent filmowy dał mu z prośbą o „przekazanie, jeśli to możliwe”. Przez pierwsze trzy lata Francesca odrzucała wszystkie takie oferty bez zastanowienia, ponieważ nie wyobrażała sobie, że mogłaby zostawić dziewczynki pod opieką samej Mashy, często na parę miesięcy.

Dwa lata po odejściu Francesci Staś otrzymał list od Matty'ego Firestone'a. Informował go, że Francesca uznała, iż trzyletnia Daisy powinna poznać ojca. Pozwoli mu odwiedzać córkę cztery razy w roku, przez trzy dni z rzędu, cztery godziny dziennie, pod warunkiem że nie uczyni żadnej próby spotkania się z nią samą lub odkrycia miejsca jej pobytu. Ma pojechać do Highlands Inn i tam czekać.

Staś opuścił Londyn tego samego rana. Po dwu godzinach od zameldowania się w hotelu, recepcja powiadomiła go, że ma gości. W nędznym hallu czekała na niego Masha, trzymając mocno za rączkę Daisy.

Nie było śladu Francesci czy Danielle. Staś nie zadawał Mashy żadnych pytań, absolutnie żadnych, a ona zdobyła się tylko na zdawkowe powitanie człowieka, którego kiedyś wykarmiła własną piersią.

Przed upływem pierwszych czterech godzin spędzonych z silną, dzielną i piękną córeczką, Staś narysował jej obrazek z prostych kresek, mężczyznę i małą dziewczynkę, udekorowanych czerwonymi serduszkami. Wyjaśnił, że za każdym razem, kiedy otrzyma taki rysunek w liście, będzie on oznaczał iż myśli o niej każdego dnia. I wysyłał je co drugi lub co trzeci dzień aż do następnych odwiedzin. Gdy tylko zostawał z nią sam, pytał czy je dostała.

- Tak, tatusiu.
- A lubisz je dostawać?
- Tak.
- Pamiętasz, co one oznaczają?
- Że myślisz o mnie.
- Przechowujesz je?
- Och, tak, tatusiu, zbieram je.
- A gdzie je trzymasz, kochanie?
- Daję je Dani.
- Och!
- Ona lubi się nimi bawić.
- Daisy, chodź, zobaczymy kotka.

Za każdym razem po powrocie z Kalifornii do Londynu, Staś obiecywał sobie, że nie będzie liczył tygodni do następnego spotkania z Daisy. Nigdy mu się to nie udało. Nie potrafił oprzeć się pokusie i nie zasięgnąć porady znajomego sędziego, któremu nie wspomniał o istnieniu Danielle, a powiedział tylko, że po separacji żona ogranicza mu dostęp do dziecka. Wkrótce nie miał złudzeń co do tego, że jedyne możliwe rozwiązanie prawne musi nadać sprawie rozgłos.

Poradzono Stasiowi, aby się wstrzymał. W podobnych przypadkach dostęp do dziecka staje się często łatwiejszy w miarę jego dorastania, zwłaszcza że im bardziej dziewczynka będzie dojrzała, tym łatwiej będzie na nią wpłynąć. Tak więc Staś czekał, z tą samą wilczą, niepokohowaną, aczkolwiek bezradną i bezsilną wściekłością, którą poznał w pierwszym roku służby w RAF-ie. Mimo to nigdy nie brał pod uwagę zrezygnowania ze zwycięstwa. Jeśli nie od razu, to niedługo.

Po ukończeniu pięciu lat Daisy stała się prawdziwą pomocą w domu. Ścieliła łóżka, zarówno swoje, jak i Dani, sprzątała ich pokój, wycierała naczynia, podlewała i starannie pielęła ogródek z warzywami. Francesca, otrzymawszy kolejny scenariusz, i to dobry, wytłumaczyła Daisy, że być może będzie musiała wyjechać na jakiś czas i popracować, aby zarobić pieniądze dla nich wszystkich, ale zapewniła, że wróci bardzo, bardzo prędko.

- Na jak długo? – zapytała zalękniona Daisy.
- Tylko sześć tygodni – odpowiedziała Francesca, a Daisy wybuchnęła płaczem. .
- Daisy – powiedziała Francesca z wymówką – jesteś już na tyle duża, że

powinnaś zrozumieć. Sześć tygodni to nie tak długo i będę z powrotem w domu, jak tylko miną. To tylko sześć niedziel i sześć poniedziałków... to nie tak dużo.

– I sześć wtorków, i sześć śród – smutno dodała Daisy. – A czy zarobisz dużo pieniędzy, mamó?

– Tak, kochanie.

– I wtedy zaraz wrócisz do domu?

– Tak, kochanie, w momencie kiedy skończę pracę.

– Dobrze, mamó, rozumiem – niechętnie zgodziła się Daisy.

Nieco później Daisy i Dani pogrążone były w wymianie niezrozumiałego szwargotu, przy czym mówiła głównie Daisy, a Dani wyraźnie zadawała pytania. Pod koniec tej rozmowy Dani, która wówczas chodziła już bez żadnych trudności, raptem popęzła na czworaka, jak niemowlę, do kąta pokoju, naciągnęła na siebie sfatygowany dywanik i leżała pod nim, z milczącą, nieszczęśliwą buźką zwróconą do ściany.

– Daisy, co jej powiedziałaś? – zapytała przestraszona Francesca.

– Powtórzyłam jej to co mi wytłumaczyłaś, mamó. Ale nie zrozumiała. Nie potrafiłam jej wyjaśnić. Bardzo, bardzo się starałam, naprawdę. Ona nie wie co to znaczy wrócić, nie ma pojęcia, co to jest zarabianie pieniędzy.

– Spróbuj jeszcze raz!

– Próbowałam... nie chce mnie już słuchać. Och, mamó, ja naprawdę tak bardzo się starałam.

– Dobrze... już dobrze, Daisy, kochanie. Nie muszę koniecznie wyjeżdżać. Był to po prostu pomysł. Mogłabyś powiedzieć Dani, że nie wyjeżdżam, że nigdzie nie pojedę.

Daisy objęła matkę za szyję i przytuliła ciepłą, delikatną buzię do policzka Francesci.

– Nie smuć się, mamó. Proszę cię, nie bądź smutna. Pomogę ci w pracy. Pomogę ci zarobić pieniążki. Obiecuję, że pomogę.

Francesca spojrzała na dzielną, małą sylwetkę o oczach jak kwiatki, z włoskami blond w warkoczu sięgającym do połowy pleców, opalonymi kolankami podrapanymi podczas przygód przeżywanych w głębi lasu i rękach, które zaczynały tracić dziecięce wałeczki i zmieniać się w zręczne, serdeczne i silne ramiona.

– Wiem, kochanie – uśmiechnęła się bez śladu smutku. – Wymyślimy coś... coś zabawnego.

– Nie możemy poradzić się tatusia?

– Nie! Daisy, to jedyna rzecz, której nigdy, przenigdy nie wolno nam zrobić.

– Czemu nie?

– Wyjaśnię ci, jak będziesz starsza.

– Och – odezwała się Daisy z rozczarowaniem. – Jeszcze jedna rzecz, o której muszę pamiętać, że masz mi to wyjaśnić jak będę starsza.

– Tak często ci to mówię?

– Tak, mamusiu. Ale to nie szkodzi. Tylko nie bądź znowu smutna – nagle Daisy zmieniła temat. – Mamo, czyja rzeczywiście jestem prawdziwą księżniczką? Tatus tak mówi.

– Tak, jesteś.

– A Danielle jest księżniczką?

– Oczywiście, że tak. Jak mogłabyś ty być księżniczką, gdyby Dam też nią nie była?

– A ty, mamo, czy ty jesteś królową?

– Nie, Daisy, nie jestem królową.

– Ale w bajkach mama księżniczki zawsze jest królową – powiedziała z uporem.

– Kiedyś ja też byłam księżniczką, Daisy – wyszeptała Francesca.

– Kiedyś... Czy już nie jesteś księżniczką?

– Och, Daisy, Daisy, to jest za bardzo skomplikowane, żebyś mogła to teraz zrozumieć. A poza tym, to tylko słowo, tak naprawdę nic nie znaczy, nic aż tak ważnego, żebyś musiała się tym przejmować. Tutaj nie żyjemy w świecie księżniczek, jesteśmy tylko my dwie i Masha, i Dani, i sarenki, i ptaszki. Czy to ci nie wystarczy, Daisy?

W twarzy Francesci było coś, co kazało Daisy zgodzić się z matką. Ale to jej nie zadowoliło. Nic z tego nie rozumiała i wydawało się, że nikt nie chce udzielić jej odpowiedzi na najważniejsze pytania, zwłaszcza te, których dotąd nie ośmieliła się zadać: dlaczego tata odwiedza tylko ją, po tak długich przerwach? Dlaczego nigdy nie spotyka się z Dani? A najważniejsze z nich, wszystkich, co ona, Daisy, takiego zrobiła, że za każdym razem znowu odjeżdżał, zaledwie po paru dniach? Nigdy o tym nie rozmawiano, nie słyszała nawet najmniejszej wzmianki na ten temat i jakoś rozumiała, że nigdy nie wolno jej o to pytać, nigdy.

– Popatrz, Masho, wyluskałam cały groch.

– A ile strączków przy tym zjadłaś, maleńka?

– Tylko sześć. Osiem. Może dziesięć.

– Wiem, na surowo jest najlepszy. Też tak zawsze uważałam.

– Och, Masho, ty wiesz wszystko!

– Mogłabyś powiedzieć mi to za dziesięć lat?

– Masho... Masho... dlaczego Dani jest inna niż ja?

– Co... o co ci chodzi?

– Jest moją bliźniaczką. To znaczy, że urodziłyśmy się jednocześnie. Mama mi to powiedziała. To właśnie są bliźnięta, dwa niemowlaki w jednej mamie. Ale Dani nie mówi tak jak ja, nie potrafi biegać tak jak ja, nie tak szybko, nie potrafi włączyć na drzewa, boi się grzmotów, deszczu i ptaków i nie rysuje tak jak ja, nie umie kroić mięsa, nie umie liczyć tak jak ja, ani zawiązać sznurowadeł. Dlaczego, Masha?

– Och, Daisy, nie wiem.

– Ależ tak, Masha, ty wiesz. Mama mi tego nie powie, ale ty tak. Zawsze wszystko mi mówisz.

– Daisy, ty urodziłaś się pierwsza, to wszystko co wiem.

– Urodziłam się pierwsza? – Daisy była zaskoczona. – Bliźnięta rodzą się razem, dlatego są bliźniętami. Jesteś głupia, Masho.

– Nie, Daisy, bliźnięta rodzą się jedno po drugim. Byłyście obie w tej samej mamie, tak jak mama ci powiedziała, ale jedna musiała wyjść z mamy pierwsza, a potem wyszła druga. Ty urodziłaś się pierwsza.

– Więc to moja wina – odezwała się wolno, tak jakby coś, co od dawna podejrzewała, zostało potwierdzone przez autorytet dorosłej osoby.

– Nie bądź głupiutka, maleńka, to wola Boża, nie ma w tym niczyjej winy. Powinnaś być już na tyle mądra, żeby nie mówić takich rzeczy! Daisy?

– Tak, Masha?

– Rozumiesz to, prawda?

– Rozumiem, Masha.

Tak, rozumiała. Urodziła się pierwsza, a więc to była jej wina. Masha zawsze mówiła o woli Bożej, ale Daisy wiedziała, że kiedy Masha tak mówi, to znaczy, że też czegoś nie rozumie.

Pod koniec 1957 roku zimowe wichury pokryły ukryte w Big Sur plaże kawałkami drewna wyrzuconymi przez ocean. Były to dzikie plaże, po których hulał wiatr, podskakiwały piskliwe brodźce i na których fale rzeźbiły dziwne mosty w skałach; na których często ryczały lwy morskie; plaże, z których czasem można było dojrzeć przepływające dobrotliwe, milczące flotylle wielorybów.

Francesca odkryła w Carmel rzemieślnika, który robił lampy z wyrzuconego na

brzeg drewna i zarabiała parę groszy zbierając je, czyszcząc najlepsze kawałki i dostarczając mu je od czasu do czasu. Zwykle chodziła na plażę sama, ale pewnego wiosennego ranka 1958 roku wzięła ze sobą Daisy i Dani. Zostawiła Dani pod opieką Daisy i poszła wzdłuż plaży, przechodząc od jednego kawałka drewna do następnego, aż nagle zorientowała się, że straciła dzieci z oczu.

„Dobry Boże!” – ruszyła biegiem z powrotem i gwałtownie zatrzymała się. Daisy siedziała na ciepłym piasku, dobrze poza zasięgiem nawet najdzikszych fal. Na drobnych kolanach trzymała Dani. Z pewną niewygodą, ponieważ były prawie tego samego wzrostu. Za tydzień miały skończyć sześć lat. Daisy kołysała Dani, a z ruchów jej ust Francesca domyśliła się, że śpiewała coś siostrzyczce. Od czasu do czasu Daisy gładziła Dani po włosach i całowała ją w policzek. Śliczna twarzączka Dani miała, jak zwykle, słodki, zadowolony wyraz. Francescę ogarnął ogromny wewnętrzny spokój, uczucie tak prostej radości, że omal nie opadła na kolana. Uczyniła jedyną możliwą rzecz. I została pobłogosławiona.

Tydzień później Staś odebrał zamiejscowy telefon od Matty'ego Firestone'a z Kalifornii. Impresario szlochał, zapomniawszy o wstydzie.

– Musisz natychmiast tu przyjechać. Francesca odeszła... nie żyje. Wracła samochodem z Carmel, drogą nad oceanem, zawsze ją ostrzegałem... jakiś szaleniec stracił panowanie nad furgonetką, wyleciała z drogi... do morza.

– Daisy! – wrzasnął Staś.

– Francesca była sama. Pojechałem tam i przywiozłem Maszę i dzieci. Są u nas w domu. Przyjedź po nie, Valensky... Nie mają teraz nikogo poza tobą. Niech Bóg ma je w opiece.

–

Rozdział 9

W wiosenną niedzielę 1963 roku Staś Valensky i jedenastoletnia Daisy zjawili się w hotelu Connaught w Londynie na tradycyjny niedzielny obiad we dwoje.

Lunch w hotelu Connaught był najwyższej rangi przeżyciem w zachodniej cywilizacji, jakby odpowiednikiem galerii Uffizich w sferze posiłków. Staś, pochłonięty poskramianiem nad wyraz żywej córki, pomyślał, że Connaught, z jego mocno przyćmionym, choć komfortowym patosem, w którym czuło się zawsze podświadome tykanie wiktoriańskiego zegara ściennego, oferował atmosferę, która najbardziej odpowiadała jego planom. Portier przywitał ich jak starych znajomych. Przeszli przez niewielki, pokryty dywanami hall w rdzawym odcieniu, nad którym dominowały strome, nadzwyczajnie wypolerowane, mahoniowe schody i skręcili w prawo w korytarz prowadzący do restauracji, uchodzącej za jedną z trzech najlepszych w Anglii. Jak zwykle, Staś musiał mocno trzymać Daisy za łokieć, ponieważ szli między stołami zastawionymi srebrną zastawą z tuzinem różnych zakąsek, melonów, sałatek, homarów, faszerowanych krabów i niezliczonych pasztetów z dziczyzny. Zastawione żywnością stoły były ustawione jeden przy drugim w ciasnym pomieszczeniu, w którym znajdował się też mały barek z lustrem i liczne wazony z wiosennymi kwiatami. Wszystko razem robiło wrażenie takiej zasobności i różnorodności, że Daisy nie mogła oprzeć się pochyleniu się nad każdym daniem, próbując zdecydować jeszcze przed przeczytaniem menu, co tego dnia wyglądało najciekawiej.

Ściany restauracji wykonane były z grubo woskowanego drewna koloru ciemnego miodu, na którym lśniły kryształowe kinkiety z morelowymi abażurami. Krzesła i kanapy za stołami pokrywał aksamit w burgundowe paski, a wielkie ekrany dzieliły restaurację na sekcje, jednocześnie sprawiając, że człowiek czuł się jak Alicja w krainie czarów, ponieważ podstawy ekranów, wyrzeźbione w drewnie, miały wysokość siedzącego klienta, przy czym góra wykonana była z rytego szkła, więc po wstaniu z krzesła widziało się to, co było za nimi. Staś i Daisy mieli swój ulubiony stolik pośrodku sali, a nie przy narożnych kanapach, ponieważ zapewniało im to korzystniejsze miejsce do obserwacji współbiesiadników i poplotkowania o nich.

Wielu ludzi podniosło głowy znad talerzy, kiedy weszli. Staś nie zmienił się prawie w ogóle. Mimo pięćdziesięciu dwu lat, miał taką samą jak zawsze blond czuprynę, gęstą i starannie przystrzyżoną, rysy tak samo ostre, z tą samą cechą

odwagi i stanowczości. Gdyby był sam, przyciągałby uwagę, ale z Daisy wywoływał niezwykle ożywione zaciekawienie, nawet w tym sanktuarium solidnej klasy wyższej, wolnym od ciekawości. A to dlatego, że była dzieckiem świata baśni. Daisy miała teraz nieco ponad półtora metra wzrostu i była jednocześnie szczupła i zaokrąglona, jak to bywa w okresie przed pokwitaniem, który jest tak delikatny, tak pozbawiony jakichkolwiek wad, tak pierwotny, a przy tym tak wypełniony i tętniący życiem, że najbardziej zatwardziały dorosłych przyprawia o westchnienie tęsknoty za minioną delikatnością i siłą, którą musieli kiedyś posiadać. Ubrana była w sukienkę w kolorze kości słoniowej, z najcieńszego wełnianego jedwabiu z nadrukowanymi bukietami jasnoróżowych kwiatków i seledynowych listków. Z przodu miała plisowaną spódnicę, a w pasie szarfę zawiązaną z tyłu, kołnierz wyglądał jak girlanda wokół jej szyi, ponieważ kwiatki wycięte z sukienki zwisały w gęstych bukietach.

Jej złotawe blond włosy sięgały prawie do talii i zaczesane były do tyłu oraz podtrzymywane pojedynczą wstążką, ale naturalne loczki wymykały się spod gładkiej fryzury na czole i wokół uszu. Światło wpadające przez duże wiktoriańskie okna Carlos Place wydawało się atakować włosy Daisy, chwyciło je z jakąś rozbawioną swobodą, jakby każda słoneczna równina i każdy krater znajdowały w nich obiekt godny, aby się na nim skupić. Były to włosy staromodnej heroiny, loki, które wyglądały, jakby uczesała je kochająca ręka matki dla podziwu i ku zazdrości ciotek i sióstr; włosy, które robiły wrażenie tak bezcennych, iż zasługujących na zamknięcie w medalioniku i przechowywanie przez dziesięciolecie.

Staś prowadził ją do stolika z poczuciem własności, którego nie był w stanie ukryć. Podziwiał Daisy w sposób, który wywoływał w nim głęboki lęk. Już dawno przekonał się, że wkładanie tak wielkiego kapitału emocjonalnego w innego człowieka stawało się nieznośnie niebezpieczne, ale był bezsilny w obliczu zwykłego istnienia swojej córki, tego skarbu, który nieomal utracił, tej upartej, kochającej istotki, śmiałego ducha, którą czcił od pierwszego, niezapomnianego spojrzenia na nią tak bardzo, jak nie czcił żadnej innej niewiasty w swoim życiu.

A teraz zobaczył w Daisy siebie jako młodego chłopca, na zawsze zagubionego, na zawsze niewinnego, na zawsze pełnego nadziei, który mógł powrócić już tylko we śnie, siebie zapomnianego w chwili przebudzenia, po którym pozostawało jedynie poczucie niesamowitej jasności, uczucie, które rzadko trwało dłużej niż parę sekund.

Kiedy kelner we fraku podał Daisy białe menu z brązowymi i złotymi brzegami

i wydrukowaną u dołu datą, ona zrobiła grymas zaciekawienia, chociaż znała je prawie na pamięć, po blisko trzech latach takich lunchów. Miała już dawno za sobą etap pasztetu z kurczaka, podgardla jagnięcego, a nawet pieczonej polędwicy ze szkockiej wołowiny, które kiedyś wybrała na swoje ulubione dania. Początkowo Staś próbował być dyskretnym przewodnikiem po menu, ale szybko zrozumiał, że nie było sposobu, aby przekonać ją lub nakłonić zachwalaniem, aby zamówiła coś nowego. Nie była w najmniejszym stopniu zainteresowana „pomocą w nabywaniu gustu”, stwierdziła, powtarzając jego pedantyczny zwrot z przekomarzającym się spojrzeniem. Często zastanawiał się, gdzie jego bystra córka, która nigdy nawet nie zawahała się dokonując swoich własnych wyborów, nauczyła się być tak nieugięta w tych ostępach, w których spędziła wczesne dzieciństwo. Tymczasem Daisy, nawet przy pierwszym zetknięciu się z wykwintem Connaught, uśmiechem dała do zrozumienia maitre de hotel, że reprezentuje tylko samą siebie i jeżeli prosi o pasztet z kurczaka na następny rok, jest to zamówienie, które należy po prostu przyjąć.

– Witam, księżniczko Daisy – maitre d'hôtel powitał ją z oddaniem. – Co pani dzisiaj wybrała?

– Co to jest – zapytała – „croustade d'oeufs de caille Maintenon”, poza tym, że są w tym jajka?

– Jaja przepiórcze podawane z kremem z pieczarek i sosem hollandaise na pasztecikach barquettes.

– Daisy, jajka jadłaś na śniadanie. Czemu' nie zaczniesz od wędzonego szkockiego węgorza? – zapytał Staś.

– Ale to jest w spisie delicji, tatusiu – Daisy przypomniała mu z powagą.

Staś westchnął w duchu. Już tyle razy wyjaśniał jej, że może zamawiać dania ze spisu delicji, ale nigdy tego nie robiła. Nie potrafiła uwolnić się od nawyku oszczędzania nabytego tak wcześnie w życiu, nawet w restauracji, w której rachunek za wszystko opiewał na tak wysoką sumę, że jedno czy dwa droższe dania naprawdę nie robiły żadnej różnicy. Bywała w Connaught, ponieważ on ją tam zabierał, ale cokolwiek by powiedział, nic nie mogło przekonać jej do zamówienia czegoś ze spisu delicji, nawet salade caprice des Annees folles, z pewnością najbardziej zachwycająca nazwa dania w świecie.

– Jeśli wolno doradzić – odezwał się maitre d'hotel – proponuję tacę z przystawkami, aby łatwiej było wybrać, a potem, na przykład, homara z rusztu w ziołach, właśnie otrzymaliśmy wyjątkową dostawę z Francji.

– Czy te homary są jeszcze żywe? – zapytała Daisy.

– Ależ oczywiście! Muszą być żywe do momentu przyrządzenia.

– Więc ja poproszę potrawkę rybną Lancashire – zamówiła Daisy, nie mając pojęcia co to jest, ale nie życząc sobie natychmiastowej śmierci jakiegoś tam homara.

Oj, pomyślał główny kelner, ksiązę Valensky powinien coś zrobić, jeżeli zostanie jaroszką, co nie daj Boże, możemy przestać ją widywać co niedziela.

Po złożeniu zamówienia Staś i Daisy oddali się swobodnym pogawędkom, które w tym czasie sprawiały Stasiowi więcej radości niż cokolwiek innego w jego życiu. Stopniowo wprowadzał ją w swój świat, a ona w zamian dzieliła się z nim ważniejszymi wydarzeniami z życia szkolnego i opowiadała o drobnych przygodach koleżanek. Ale tego dnia jej umysł zaprzętało coś innego.

– Tatusiu, czy, twoim zdaniem, muszę się uczyć matematyki? – zapytała Daisy.

– Naturalnie, to jeden z przedmiotów w szkole, prawda?

– Tak, ale ja go nie cierpię i nie mogę uczyć się matematyki i porządnie zajmować się moim nowym kucykiem. Jak mogę jeździć na Merlinie każdego popołudnia po szkole, a potem wyrzucić gnój z jego kojca i przerzucić podściółkę, wyczesać go zgrzebłem, odkurzyć go całego i zrobić co należy ze szczotką, szmatką do nacierania, hakiem do usuwania kamieni z kopyta i...

– Na to wszystko potrzeba zaledwie pół godziny i ty o tym dobrze wiesz – powiedział Staś, rozbawiony dramatycznie szczegółową listą zajęć, która miała zrobić na nim wrażenie. – Zostanie ci jeszcze mnóstwo czasu na matematykę.

Daisy, mając spore doświadczenie w strategii, natychmiast zapomniała o Merlinie.

– Anabel mówi, że nie widzi powodu, żebym musiała uczyć się matematyki, ona nigdy się nie uczyła i twierdzi, że wcale nie żałuje.

Anabel mówi, że nigdy w życiu nie prowadziła książeczki czekowej, a jedynym pożytkiem z matematyki jest prowadzenie książeczki czekowej lub sprawdzenie czy właściciel sklepu rybnego cię nie oszukuje, ale jeśli wytkniesz mu to, więcej nie dostaniesz najlepszych ryb, więc lepiej dać sobie spokój.

– A więc to Anabel jest teraz autorytetem, jeśli chodzi o twoje wykształcenie?

– Anabel jest dla mnie autorytetem, jeśli chodzi o wiele rzeczy – odrzekła Daisy z godnością. – Mimo to, jeżeli podasz mi trzy uzasadnione powody, dla których muszę znać matematykę, to spróbuję, chociaż wydaje mi się, że brakuje mi czegoś w mózgu, w miejscu, gdzie inni ludzie mają matematykę.

– Podam ci tylko jeden poważny powód, bo nie potrzebuję innych. Pani Alden wymaga, aby wszystkie dziewczęta w jej szkole uczyły się matematyki.

– Uważam, że wymagania pani Alden są niedorzeczne... niedorzeczne – wymruczała Daisy.

– Czy to Anabel nauczyła cię mówić, że coś jest niedorzeczne?

– Nie, ty mnie nauczyłeś. Powiedziałeś, że miałam niedorzeczny pomysł, kiedy chciałam przeskoczyć na Merlinie przez ogrodzenie w Wilton Crescent. – Daisy figlarnie zmarszczyła buzię.

Tak szybko wpadała z jednego nastroju w drugi, że Staś czasem zastanawiał się, czy rozmawia właśnie z dzieckiem, z dorosłą kobietą, z parszywym chłopakiem ze wsi, czy szacownym członkiem parlamentu.

– Obawiam się, że jesteś poganką, Daisy.

– Nie mam nic przeciwko temu. Czyż oni nie tańczą wokół drzew i nie robią innych dziwnych rzeczy przy pełni księżyca?

– O ile wiem, to raczej druidzi. Paganie są jak starożytni Grecy lub Rzymianie, ludzie, którzy czcili wielu bogów, nie jednego.

– Aha, dobrze, myślę, że chciałabym być poganką. Tak jak ty, tatusiu.

Chcąc odwieść ją od mało obiecującego tematu, Staś szybko zapytał:

– Jak idzie osvajanie Merlina ze stajnią?

Merlin, ostatni z serii nowo nabytych kucyków, z których każdy był wyższy od poprzedniego, nazwany został imieniem ulubionego konia Stasia, który wycofany został ze startów ze względu na wiek. Kucyka Daisy umieszczono w stajni w Grosvenor Crescent Mews, tylko kilka minut drogi od Wilton Row, gdzie znajdował się dom Valensky'ego. Niejaka pani Leila Blum od dwudziestu lat prowadziła tę stajnię. Była ona ciemna, miała podłogę wyłożoną kamienną kostką, a Merlin otrzymał jeden z czterech indywidualnych boksów, w odróżnieniu od innych koni uwiązanych w mniej przestronnych przegrodach.

– Jest tak szczęśliwy, jak dzień jest długi – stwierdziła Daisy z poważną miną. – W pobliżu kręci się kilka czarnych kotów i jest z tego zadowolony, ale rzeczywiście, naprawdę, Merlin chciałby mieć psa. Pragnie mieć psa, namiętnie.

– Ach, tak, naprawdę? A czy powiedział ci jakiego psa?

– Po prostu psa.

– Pragnie go namiętnie?

– Zdecydowanie.

– Coś mi mówi, że Merlin rozmawiał z Anabel.

– Nie, tato, on porozumiewa się ze mną. Wiesz, że konie to potrafią, jeśli zechcą.

– Hmm. Daisy, czy nie powinniśmy pomyśleć o deserze?

Daisy uważnie przyglądała się twarzy ojca. Od trzech lat próbowała namówić go, by kupił jej psa. Nie należał do ludzi, którzy kochają psy, nie był człowiekiem, który choćby lubi psy i skutecznie się jej opierał. Tego dnia, widząc błysk w jego oczach, zdała sobie sprawę, że dalsze naleganie jest beznadziejne.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała Daisy.

Problem nie został jeszcze załatwiony, ale była to tylko kwestia czasu. Nie miała zamiaru rezygnować.

Staś skinął na kelnera, a ten podjechał z deserami na wózkach, lśniących urządzeniach z twardego mahoniu na czterech cichych łożyskach, z paroma piętrami tac, z których każda wypełniona była zestawem deserów: czekolada, cytryna i mus malinowy, pudding z chleba i masła, pudding ryżowy, szarlotka, różne wyroby ciastkarskie, owoce gotowane na wodzie w porto, sałatka ze świeżych owoców podana z gęstą śmietaną z Normandii, ogromne, bogato zdobione ciastka oraz mille feuilles aux fraises. Zaślepiony kelner, godny spadkobierca tradycji Connaught nigdy nie czekał, aż Daisy dokona boleśnie trudnego wyboru, ale zwyczajnie położył na jej talerzu wszystkiego po troszeczku, z wyjątkiem puddingu z ryżu. Po deserze, kiedy Staś pił kawę, kelner, tak jak to robił przy wszystkich stolikach, przyniósł kompotierę, a w niej różne miniaturowe słodycze: świeże truskawki maczane w czekoladzie, maleńkie ekierki i lukrowane czeresienki. Każda z nich ułożona była w karbowanym papierowym kubeczku. Podczas gdy Staś wpatrywał się w podłogę, Daisy szybciotko zebrała wszystkie te pyszności i schowała do torebki, którą wcześniej wyścieliła najlepszą chusteczką do nosa, spodziewając się tego łupu. Kiedy uczyniła to po raz pierwszy, Staś był wprost przerażony.

– Daisy! Dama może ich zjeść ile chce przy stole, ale nie zabiera ich ze sobą!

– To nie dla mnie.

– Och. – Staś z miejsca wiedział, dla kogo były przeznaczone. Brała je dla drugiej. Nigdy więcej nie wspomniał o tym ani słowem i w milczeniu znosił cotygodniowe upokorzenie. Wiedział, że Daisy nie zgodziłaby się, aby poprosił o słodycze zapakowane na wynos, bo to byłoby dodatkowe zamówienie, a nie miał sumienia pozbawiać ją przyjemności zanieśienia ich siostrze w prezencie.

Staś zastanawiał się nad wyborami, jakich przyjdzie mu dokonać od momentu otrzymania telefonicznej wiadomości o śmierci Francesci od Matty'ego Firestone'a, nawet wówczas gdy rezerwował miejsce w samolocie do Los Angeles. Prawie natychmiast zdał sobie sprawę, że komuś trzeba będzie opowiedzieć historię, która do tej pory utrzymywana była w absolutnej tajemnicy przed całym światem.

Potrzebował pomocy w zorganizowaniu przyszłości, a Anabel była jedyną osobą, której ufał. W ciągu kilku dni, jakie spędził w Kalifornii, Anabel zdołała wyszukać Queen Anne's School, najlepszą placówkę dla upośledzonych dzieci w Anglii i uzyskać zgodę na to, aby Danielle mogła w niej zamieszkać.

Osobiście wyjechała wielkim samochodem Stasia na lotnisko, aby ich przywitać, ponieważ był nieugięty w postanowieniu ukrycia przyjazdu dzieci, nawet przed swoim szoferem. Kiedy przeszli przez kontrolę celną, zobaczyła idącego Stasia, trzymającego Daisy za rączkę. Dziewczynka była równie skołowana szybko toczącymi się wydarzeniami ostatniego tygodnia, co pogrążona w rozpacz. Ciągle jeszcze nie do końca rozumiała, jak to było możliwe, że mama wyjechała samochodem pewnego popołudnia i nie wróciła do domu. Jak mogła nie żyć? Ani Matty, ani Margo, ani sam Staś nie byli w stanie zdobyć się na opisanie szczegółów jej wypadku i Daisy pochłaniał dziecięcy lęk przed byciem porzuconą. Za Stasiem szła Masha niosąc na rękach Danielle, która szukała schronienia w milczeniu i bezruchu. Pospiesznie, nie zadając żadnych pytań, Anabel zawiozła ich do szkoły w podlondyńskiej wsi.

Kiedy dotarli do wielkiej budowli, która niegdyś była głównym budynkiem potężnego prywatnego majątku, a którą nadal otaczały szerokie trawniki, piękne, stare drzewa i ogrody kwietne, Staś kazał Mashy, Daisy i Anabel poczekać w samochodzie. Wziął na ręce Danielle, dotykając jej przy tym po raz pierwszy i zarazem ostatni w życiu, po czym wysiadł z auta i postawił Danielle na ziemi. Daisy wyskoczyła i poszła za nim, łapiąc go za nogę kiedy zaczął wchodzić po schodach. Danielle w milczeniu szła z tyłu.

– Tatusiu, gdzie my idziemy? To tutaj mieszkasz? Dlaczego Masha nie idzie z nami?

Staś nadal wchodził po szerokich schodach.

– Daisy, kochanie, twoja siostra zamieszka tu na jakiś czas. To piękne miejsce i szkoła dla niej. Ty zamieszkasz ze mną w moim domu w Londynie.

– NIE!

Stanął, pochylił się i poważnie przemówił do niedowierzającego i zbuntowanego dziecka.

– Posłuchaj mnie uważnie, Daisy. To bardzo ważne. Pamiętasz wszystkie te rzeczy, które ty potrafisz robić, a ona nie? Na przykład rozmawiać ze mną, czytać pocztówki, które ci wysyłałem, skakać przez skakankę? Jeżeli pomieszka w tej szkole przez jakiś czas, nauczy się robić to wszystko od najlepszych nauczycieli na świecie i wtedy będziecie mogły się bawić, tak jak zawsze tego chciałaś...

– Uwielbiam bawić się z nią taką jaka jest, och, nie zmuszaj jej, tatusiu, nie, będzie za mną tak strasznie tęsknić. I ja będę tęskniła za nią, proszę, proszę, tatusiu! – Kiedy zaczęła pojmować jak bardzo jest nieprześlągany w swoim postanowieniu, jej opór zmienił się w koszmarny strach.

– Daisy, rozumiem, że to trudne, ale myślisz tylko o sobie. Danielle bardzo szybko polubi to miejsce; jest tu dużo dzieci, z którymi będzie mogła się bawić. A jeżeli nie pomieszka w takim specjalnym miejscu jak to, nigdy się niczego nie nauczy. Przecież nie chciałabyś, żeby tak było, prawda... ? Nie chcesz uniemożliwić jej nauczania się różnych rzeczy, które robią starsi i które ty potrafisz robić, prawda? Sama wiesz, że to nie byłoby fair. Byłoby, Daisy?

– Nie – zaszlochała, a łzy płynęły jej po buzi aż do szyi, gdzie zniknęły pod sukienką.

– Chodź z nami, to obejrzysz jej śliczny pokoik i poznasz niektórych nauczycieli.

– Nie mogę przestać płakać... Przeze mnie i ona się rozplacze.

– Musisz przestać. Chcę, żebyś jej powtórzyła wszystko to, co ci powiedziałem. Zawsze mówiłaś, że ciebie rozumie najlepiej.

– Ale teraz nie zrozumie, tatusiu.

– A jednak spróbuj.

Ostatecznie Daisy opanowała się na tyle, że była w stanie porozumieć się z siostrą w ich własnym języku. Po chwili Danielle płakała wielkimi łzami i pojękiwała jak małe zwierzątko.

– Powiedziała: „Day nie iść”.

– Opowiedziałś jej o tym wszystkim, czego się nauczy? – niecierpliwie nalegał Staś.

– Nie wiedziała o czym mówię.

– To tylko dowodzi, że mam rację. Kiedy opanuje to, czego mogą ją tutaj nauczyć, to zrozumie. A teraz, Daisy, zrób coś, żeby przestała wydawać z siebie ten okropny dźwięk i razem zaprowadzimy ją do jej pokoiku i szybkoitko się uspokoi, naprawdę.

Pełni poświęcenia specjaliści, którzy prowadzili placówkę, przyzwyczajeni byli do różnych scen, jakie rozgrywały się, kiedy zostawiano dziecko pod ich doskonałą opieką, ale nic nie mogło przygotować ich na rozstanie Daisy i Danielle. Wszyscy ci, którzy mieli pecha być przy tym, przeżyli prawdziwą rozpacz, a niektórzy nie zdołali obronić honoru zawodu i powstrzymać się od łez, nim Stasiowi udało się odciągnąć Daisy od siostry i choć starał się być tak delikatny, jak to było możliwe,

ostatecznie musiał użyć brutalnej siły.

Po wyniesieniu wrzeszczącej, opierającej się i kopiającej Daisy z pokoju Dani, przeniesieniu jej przez korytarz i wciśnięciu do samochodu, Staś doszedł do wniosku, że takie dramatyczne przeżycia mogą być dla niej szkodliwe. Następnej niedzieli, pomimo wcześniejszej obietnicy, że będzie mogła odwiedzić siostrę, odmówił zawiezienia jej do Dani wyjaśniając, że tak będzie lepiej dla jej własnego dobra, a także dla dobra Danielle. Dziewczynka uważnie wysłuchała każdego jego słowa i nie racząc odpowiedzieć, po prostu odwróciła się i poszła do swojego pokoju.

Po upływie jednego dnia Masha zapukała do księcia.

– Proszę księcia, Daisy nic nie je.

– Pewnie jest chora. Wezwę lekarza.

– Fizycznie nic jej nie dolega.

– Więc o co chodzi? Dobrze, dobrze, Masha, przestań patrzeć na mnie z tą swoją dezaprobatą... nie działa to na mnie, do cholery, od kiedy skończyłem siedem lat.

– Nie weźmie nic do ust, dopóki nie zobaczy się z Dani.

– Bez sensu. Nie mam zamiaru podporządkować się fanaberiom sześciolatniego dziecka. Tak zadecydowałem, bo tak będzie najlepiej dla niej. A teraz pójdz do niej i powiedz, że jej plan zawiódł. Jak zgłodnieje, to zje.

Masha w milczeniu wyszła z pokoju. Nie wróciła. Minął jeszcze jeden dzień i wówczas Staś przyszedł do Mashy.

– No i co?

– W dalszym ciągu nie chce jeść. Ostrzegałam pana. Ale pan nie zna Daisy. – Masha patrzyła na niego ze smutkiem, dopóki nie odwrócił wzroku, nadal nieustępliwy.

– Po kolejnym dniu strajku głodowego Daisy wreszcie zmusiła ojca do ustępstwa. Nie wzięła do ust ani kaska, dopóki nie przysiągł, że pozwoli jej odwiedzać Dani w niedzielne popołudnia. A Staś raz na zawsze nauczył się nie stawać na jej drodze, kiedy chodziło o Danielle.

Przez kilka miesięcy po śmierci Francesci Staś otrzymywał listy od Matty'ego Firestone'a z pytaniami o dzieci i o to, jak zadomawiają się w Londynie. Była to komplikacja, którą postanowił wyeliminować. Nie mógł wyobrazić sobie dalszej korespondencji z impresariem i jego żoną, których uważał za swoich zaprzysięgłych wrogów. Ostatecznie zrezagował list, w którym zażądał zaprzestania dalszego wtrącania się w jego prywatne sprawy, list, który był tak

szorstki, tak nieskończenie niemiły, tak gruntownie złośliwy i rozkazujący, że zarówno Matty, jak i Margo doszli do wniosku, że pisanie do Valensky'ego nie miało już sensu. Daisy i Danielle były jego dziećmi, prawnie należały do niego, toteż Matty i Margo ze smutkiem stwierdzili, że nie mogą nic więcej dla nich zrobić. Lepiej było teraz zapomnieć; zapomnieć Francescę, zapomnieć bliźniaczki, zostawić cały ten tragiczny rozdział w ich życiu za sobą. Skończył się, przeminął, a ze swojej strony zrobili co mogli. Teraz należało o tym zapomnieć.

– Chyba chcesz powiedzieć, spróbować zapomnieć – gorzko odezwał się Matty.

– Właśnie. Jedyne alternatywa to wystąpienie o sądowe przyznanie praw rodzicielskich, a tego przecież nigdy nie dostaniemy.

– Ale te dziewczynki, one były naszą rodziną, Margo.

– Dla mnie też, kochanie, ale nie z punktu widzenia prawa. A tylko to się liczy.

Tak więc Firestone'owie przestali pisywać, a Daisy mieszkała w Londynie i w każdą niedzielę odwiedzała Dani. Staś nigdy nie zabrał jej do Queen Anne's School osobiście, woląc nie ryzykować spotkania z drugą córką. Wysyłał Daisy z Mashą w godzinną podróż pociągiem i taksówką.

Przez parę następnych lat Staś zabierał Daisy na letnie wakacje do domu w Normandii, zwanego La Maree, który kupił w prezencie dla Anabel krótko po tym, jak zjawiała się w jego życiu. Co dwa tygodnie Daisy upierała się, że musi wrócić na weekend do Anglii i odwiedzić Dani. Staś z niechęcią zaciskał wargi żegnając Daisy i Maszę w sobotni poranek na lotnisku w Deauville i kiedy wracał tam, aby spotkać się z nimi w niedzielę wieczorem, nigdy nie zadawał żadnych pytań na temat ich podróży.

Staś otrzymywał miesięczne raporty na temat Danielle z Queen Anne's School; raporty, które często przeleżały parę tygodni nim zebrał w sobie dość samozaparcia, aby je otworzyć. I tak wszystkie są takie same, mówił sobie. I rzeczywiście były. Miała się dobrze, była pogodna i grzeczna. Nauczyła się wykonywania paru podstawowych czynności, lubiła muzykę, bawiła się z kilkorgiem dzieci i była szczególnie przywiązana do kilku wychowawców. Opanowała parę nowych słów i porozumiewała się z ulubionymi opiekunami, ale wyglądało na to, że prawdziwe rozmowy potrafiła prowadzić tylko z siostrą.

Osobliwe, zmusiwszy Stasia do kapitulacji w sprawie odwiedzin, Daisy nigdy nie rozmawiała z nim o bliźniaczce. Poza Mashą nie było nikogo, z kim miała ochotę porozmawiać o Dani. Nigdy nie rozmawiała o niej z Anabel, chociaż zdawała sobie sprawę, że ona wie o istnieniu Danielle. Nigdy też nie wspomniała

nikomu w szkole, że ma siostrę bliźniaczkę. Nie śmiała. Zahamowanie to było tak silne, że nie miało nic wspólnego ze zwykłą tajemnicą. Był to temat tabu i to w najbardziej pierwotnym znaczeniu tego słowa. Ojciec nie życzył sobie tego. W jakiś niewyjaśniony sposób Daisy przekonana była, że jej przetrwanie, tak jak przetrwanie Dani, zależy od jej milczenia. Pozostawało to w sprzeczności z jej rozumowaniem, ale wiedziała, że tak być musi. Nie mogła ryzykować utraty miłości ojca, miłości, którą otrzymała i której w tak niewytłumaczalny sposób została pozbawiona przez pierwsze lata swojego życia. Mylił się co do Dani, ale Daisy świadoma była granic swoich wpływów. Mogła droczyć się ze Stasiem na temat wielu rzeczy, mogła odgrywać tyrana w zabawie, ale tylko w pewnych ściśle określonych granicach. Pozbawiona matki, mogła tylko trwać przy ojcu, akceptując jego uczucia do siostry bez dyskusji, albo zostać pełną sierotą.

Kompromis, który osiągnęli tego pierwszego tygodnia, a który pozwolił Daisy odwiedzać Danielle, powoli stawał się coraz łatwiejszy do zaakceptowania w miarę jak siostra, dzięki podatnemu na wpływy charakterowi, łatwo przyzwyczajała się do nauczycieli i innych dzieci w Queen Anne's School. Daisy musiała w końcu przyznać, że ona nie mogłaby uczęszczać do szkoły Dani, a Dani z pewnością nie nadawała się do szkoły pani Alden.

Pięcioletnie odosobnienie w Big Sur coraz bardziej się oddalało, i Daisy cieszyła się swoim nowym życiem w Londynie, życiem, którego zalety stawały się pomалу niemożliwe do wyjaśnienia Dani. Tematyka ich rozmów ograniczona była przez niewielki zakres rozumowania Dani i z każdym mijającym rokiem Daisy coraz bardziej czuła się jak dorosła osoba rozmawiająca z dzieckiem, a nie jak dziecko w towarzystwie rówieśniczki. Daisy często rysowała siostrze rysunki i pokrywały one niemal całe ściany pokoju Dani.

– Zrób kucyka – było jedną z powtarzających się próśb Dani, a to z powodu stada podstarzałych koni, które pasły się na łąkach w pobliżu Queen Anne's School. Podczas gdy uczniowie w szkole Daisy z trudem tworzyli poprawne rysunki jabłek i bananów, ona potrafiła wykreować pełen życia portret konia, będącego jednym z najtrudniejszych obiektów nawet dla wprawnego rysownika.

W czasie gdy Daisy pojawiła się po raz pierwszy w Londynie, Ram był przedwcześnie rozwiniętym, czujnym trzynastolatkiem. Od początku odmawiał pogodzenia się z istnieniem przyrodniej siostry, która była rezultatem małżeństwa, zawartego już po jego przyjściu na świat. Według niego ta uzurpatorka nie miała żadnych praw. Nie liczyła się. A co gorsze, dużo gorsze, była jego rywalką.

Ram był zaprzątnięty, bardziej niż większość jego kolegów, chłopców z wyższej sfery, uczęszczających do szkoły publicznej, znaczeniem faktu, iż był spadkobiercą.

W Eton dziedzictwo uważane było za ogromnie ważną rzecz, od kiedy król Henryk VI stworzył szkołę w 1442 roku. W roku 1750 spisy uczniów Eton dokonywane były według rangi, a otwierali je synowie książąt. Utytułowani chłopcy nosili specjalne mundurki, siedzieli na specjalnych miejscach i cieszyli się różnego rodzaju specjalnymi przywilejami. W uważanych za demokratyczne latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych naszego wieku niektóre z przestarzałych oznak surowego systemu klasowego zarzucono, ale sposób przekazywania majątku i tytułów z pokolenia na pokolenie był głęboko wryty w świadomości Eton i innych ważniejszych szkół w Wielkiej Brytanii. Było to tak ważne jak krykiet, albo jak negatywny zwyczaj „popisywania się”.

Ram nie pamiętał ani momentu, w którym nie cieszyłby się na myśl o odziedziczeniu majątku Stasia, całego majątku. Nie życzył ojcu śmierci, nie był nawet świadom faktu, że tylko jego śmierć sprawi, że majątek ten przejdzie na jego własność, po prostu pożądał go, nie komplikując sprawy uczuciami winy. W głębi serca wierzył, że dręczące go uczucie niesprawiedliwości, w którym nigdy nie dopatrzył się zazdrości o szczęście, minie jak tylko stanie się posiadaczem, niekwestionowanym właścicielem, prawdziwym księciem Valenskim.

Pojawienie się Daisy oznaczało, że nigdy nie otrzyma tego w całości. Bez względu na to, jak często pocieszał się, że nawet jeśli jej się coś dostanie, było tego aż za dużo dla obojga, i tak jej obecność burzyła pełnię jego perspektyw. Przy czym był zbyt sprytny i zbyt mądry, aby pozwolić któremukolwiek z tych uczuć wypłynąć na powierzchnię i stać się widocznym dla oczu dorosłych.

Jeśli chodzi o Daisy, od momentu gdy zobaczyła Rama po raz pierwszy, wypełnił on sporą przestrzeń w jej wyobraźni. Przypominał młodych bohaterów baśni, które kiedyś czytała jej matka, kogoś kto mógłby przeskoczyć niebezpieczną rzekę lub poskromić najdziksze konie, wspiąć się na stromą szklaną górę, frunąć z wiatrem i walczyć z wielkoludami. Dla małej dziewczynki, która jak sięgała pamięcią, mieszkała na odludziu w Big Sur, ten wyprostowany, wysoki, przystojny chłopak o ciemnej karnacji z pociągłą, surową twarzą, ciemnymi brwiami i otaczającą go atmosferą Eton, był najbardziej fascynującą osobą w jej nowym życiu, tym bardziej że traktował ją bezceremonialnie, bez specjalnego pobłażania, którym obdarzali ją wszyscy inni.

Nie miała najmniejszego pojęcia o robaku zazdrości, jaki drażył Rama. W

czasie świąt Bożego Narodzenia, kiedy otwierali prezenty, obserwował spod spuszczonej powieki i choć oboje dostali równie drogie podarki, zauważył, że Staś patrzył wyłącznie na nią, nie mogąc doczekać się nektaru, jakim była dla niego jej radość. Natychmiast jego własne prezenty przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Kiedy w jednym z listów, jakie wysyłała do niego do Eton, Daisy niewinnie opisała niedzielny obiad w Connaught, Ram pomyślał z goryczą, że jego Staś zabierał tam tylko z okazji urodzin lub końca roku szkolnego. Dwukrotnie matka uparła się, aby wrócił na Boże Narodzenie do pełnego przeciągów zamku pod Edynburgiem, zamiast spędzać ferie z ojcem i w obu przypadkach Staś postanowił zabrać Daisy na Barbados, na miesiąc słońca... Wybór niewątpliwie celowy, powiedział sobie Ram i poczuł głęboki, palący ból kogoś, kto został pominięty, chociaż nikomu nie powiedział o tym ani słowa.

W miarę jak Daisy dorastała, za każdym razem kiedy jechał do Londynu, miał nadzieję ujrzeć na jej twarzy opryszczki typowe dla wieku pokwitania, albo oznaki tycia. Jej pełne podziwu spojrzenia nie pochlebiały mu, a kiedy wypytywała go o życie w szkole, odpowiadał tak zdawkowo, jak tylko się dało. Obserwował, niczego nie przegapiając, jak ściąga na siebie całą uwagę, która powinna być poświęcona jemu, jak zajmuje u boku ojca miejsce, które należało do niego. A przez cały ten czas Daisy, która nie miała o tym wszystkim pojęcia, zachęcana jego zachowaniem, nadal próbowała zbliżyć się do niego, inspirowana głęboko kobiecym impulsem, który był tak silny, że zdecydowanie wzmógł poszukiwanie jego miłości. Tak często rysowała jego twarz, że Dani zaczęła prosić „zrób Ram”, choć nie mogła mieć absolutnie żadnego pojęcia, kim jest.

Staś kupił dom, nie należący do typowo londyńskich budowli, z których najokazalsze mają identyczne, klasyczne fasady i którym Londyn zawdzięcza znakomitą jedność architektoniczną placów i półkolistych ulic. Wynalazł dom w Wilton Row, na małej, ślepo kończącej się, półkolistej ulicy Wilton Crescent, na lewo od której znajdował się pobliski Hyde Park, a na prawo ogrody należące do pałacu Buckingham, a mimo to miał w sobie coś z odludzia, niemal sekretnego istnienia.

W tej statecznej, wysoce arystokratycznej części Londynu, dzielnicy imponujących ambasad, Stasiowi udało się znaleźć wyjątkowo duży dom, niski, ale za to szeroki, jasnożółty, z szarymi okiennicami. Wyróżniał się zagranicznym wyglądem. Był to dom, który doskonale pasowałby do wielu rejonów europejskiej wsi. Trzy strony Wilton Row otaczały brukowaną przestrzeń z jasnoniebieską

lampą stojącą pośrodku; parkowanie samochodów było tam zabronione, z wyjątkiem czynionym dla właścicieli budynków, którzy malowali swe domy pastelowymi, wielce niebrytyjskimi kolorami.

Okna na parterze domu Stasia Valensky'ego wykute były w kształcie łuku, a pokoje wewnątrz miały wygodny rozkład. Umeblował je tym, co kiedyś wypełniało willę w Lozannie: rzadkimi, francuskimi dywanami, meblami, obrazami i drogocennymi bibelotami, które przed laty odbyły podróż z Sankt Petersburga do Davos wraz z jego rodzicami. Nigdy nie przyszło Stasiowi do głowy, że mógłby urządzić dom inaczej niż w sposób, do jakiego przywykł w dzieciństwie.

Londyński hałas był wyciszony na Wilton Row, gdzie panowała atmosfera wiejskiego spokoju. Na rogu, gdzie Wilton Row stykała się z niewielką aleją Old Barrack Yard, znajdował się pub o nazwie Grenadier, śmiało pomalowany na czerwono i złoto, z ławami wystawionymi na zewnątrz i osłanianymi wijącymi się pnączami wistarii. Specjalna tablica informowała, że w lokalu obsługiwano wyłącznie klientów, którzy przybyli na Wilton Row pieszo lub taksówką. Biorąc to wszystko pod uwagę, trudno było wyobrazić sobie bardziej przytulne miejsce w tym wielkim, szarym mieście niż dom Valensky'ego.

Przez wiele lat Staś i Daisy spędzali większą część sobót w Kent, gdzie Staś miał stajnie, w których hodował wiele swoich koni. Po jednej z towarzyskich przejażdżek konnych przez pola, w dniu kiedy Daisy miała prawie dwanaście lat, ojciec i córka spotkali dwie karawany Cyganów. Stały w pobliżu ziemi Stasia, a on nieufnie przyglądał się wozom pokrytym malowanym płótnem, które naciągnięte było na wygięte w kabłak pręty. Tydzień wcześniej nie było ich tam. Staś postanowił podjechać do nich i dowiedzieć się, co tu robią.

– Wracaj do stajni, Daisy – polecił. – To mi zajmie tylko minutę.

– Oj, tato, chyba nie pozbawisz mnie możliwości zobaczenia Cyganów?! – wykrzyknęła z zawodem.

– Ależ, Daisy, to zwykli druciarze i nie życzę sobie, żeby kręcili się w pobliżu moich kucyków. Takim zawsze może się przydać jeszcze jeden koń lub dwa.

– Proszę cię, tatusiu – błagała.

– Dobrze – westchnął, nie będąc w nastroju do gniewu. – Tylko nie pozwól stawiać sobie kabały, nie cierpię tego.

Cyganie byli przyjacielscy, nawet zbyt przyjacielscy, pomyślał Staś, i bardzo swobodnie odpowiadali na jego pytania z typowym dla nich akcentem.

Odjadą, jeżeli sobie życzy, i tak nie planowali zostać tu dłużej niż jeden lub

dwa dni. Tyle, ile trzeba, aby naprawić parę garnków we wsi.

Nie będąc do końca przekonany, ale nie mając prawa rozkazać im opuszczenia ziemi nie należącej do niego, Staś miał zamiar odjechać, kiedy zauważył, że nie było przy nim Daisy. Klęczała przed skrzynką, z której dochodziła piosenka miłosna, a jej dłonie wypełniał szczeniak, który spoglądał na Stasia. Tylne łapy i zadek pieska zwisały z jednej ręki Daisy, pysk i przednie łapy wystawały z drugiej. Na jej dłoniach spoczywał baniasty brzuch. Kolor sierści szczeniaka był jednocześnie szary, brązowy i niebieski, przy czym pazury i uszy miał białe. Wyglądał tak, że mógł należeć do jakiegokolwiek rasy, z wyjątkiem tych znanych.

Do jasnej cholery, szczeniaki! Powinien był się domyślić.

Staś nie był typem sportowca, nie dla niego były uciechy toru wyścigowego czy polowania, ponieważ jego zdaniem w niczym nie dorównywały polo. Żadne zwierzęta poza końmi nie interesowały go w najmniejszym stopniu i nie wiedział nic o tym, jak wielką rolę w życiu ludzi ze wsi odgrywało piesze polowanie.

– To dobry ogar – powiedział Cygan. – I jest na sprzedaż.

Gdyby Staś wiedział cokolwiek na temat psów i polowań, to proste stwierdzenie wystarczyłoby mu, aby chwycić Daisy za rękę i natychmiast odejść. Żaden Cygan nie może sprzedawać „dobrego” ogara. To określenie nie ma sensu, ponieważ ogara nie można ocenić jako „dobrego”, dopóki nie dorośnie do wieku, kiedy może polować, bo na tym polega jego życiowa rola. To jest pies kłusownika, pies Cygana, pies włóczęgi, cichy, szybki, morderczy. Dobry ogar potrafi złapać nisko lecącą mewę w jednym podskoku; dobry ogar może być przydatny w nocnych napadach na wsie, potrafi przeskakiwać płoty z drutem kolczastym na szczycie, może długo i szybko biec po zamrożonej ziemi i bez niczyjej pomocy zabić sarnę.

– Według mnie wygląda na kundla – powiedział Staś.

– Nie, to ogar. Dam jest skrzyżowaniem irlandzkiego wilczura z chartem, a jego ojciec jest skrzyżowaniem ogara i charta z chartem wyścigowym i owczarkiem, oba z poprzedniego pokolenia. Trudno wymagać więcej.

– To zwykły kundel.

– Nie, proszę pana, ogar. Nie ogląda się ich na wystawach psów, ale trudno znaleźć lepszego psa.

– Jeśli jest taki wspaniały, to dlaczego go sprzedajecie?

– Urodziło się ich pięć. Przecież nie możemy podróżować z nimi wszystkimi, prawda? Skorzysta na tym ktoś, kto go kupi.

Cygan wiedział, że szczeniak, którego Daisy trzymała z takim podziwem ma jedną tylną łapę krótszą od drugiej. Taki ogar prawdopodobnie nie byłby w stanie prześcignąć zająca, więc nie warto było go karmić. Cygan miał zamiar porzucić go ruszając w drogę, ale to, co powiedział o przodkach szczeniaka było szczerą prawdą i gdyby nie ta krótsza łapa, nie sprzedałby go nawet za sto funtów.

– Chodź, Daisy, wracamy.

Daisy nie musiała nic mówić. Błagalne spojrzenie jej oczu sprawiło, iż Staś doszedł do wniosku, że może odkładał sprawę psa zbyt długo.

– W porządku – powiedział pospiesznie – obiecuję, że kupię ci psa. W przyszły weekend, Daisy. Odwiedzimy parę dobrych psiarni i będziesz mogła wybrać sobie psa, jakiego będziesz chciała. To kundel, zmieszany z jakimś psem myśliwskim i Bóg wie czym jeszcze. To nie jest pies dla ciebie. Tobie należy się naprawdę rasowy szczeniak.

– Ja chcę Tezeusza.

– Tezeusza?

– Przecież wiesz, tato, ten chłopiec, który walczył z Minotaurem w labiryncie, pani Ellen uczy nas mitologii greckiej w tym semestrze.

– I to jest Tezeusz?

– Wiedziałam to, jak tylko go zobaczyłam.

– Śmieszne imię, jak dla ogara – odezwał się Cygan.

– To nie pana sprawa – przerwał mu Staś. – Ile pan chce za niego?

– Dwadzieścia funtów.

– Zapłacę pięć.

– Dopłacę panu brakujące piętnaście. Wezmę je z pieniędzy, które dostałam na Boże Narodzenie, tato – Daisy wtrąciła się do targu, szokując obu mężczyzn, którzy od samego początku zdecydowani byli na dziesięć funtów.

I w ten sposób Tezeusz, za którego Staś ostatecznie zapłacił dwanaście funtów, zamieszkał w Londynie, a Daisy rozszerzyła swoje różnorodne zajęcia o karmienie go, tresowanie, spacerowanie i jakoś przebrnęła przez pierwsze trudne tygodnie, kiedy Tezeusz często przewracał się na podłogę pod ciężarem wypełnionego brzucha i nie mógł się podnieść bez pomocy. Jednakże odpowiednia ilość mielonej wołowiny, surowych jaj oraz mleka i miodu sprawiła, że nabrał siły i pewnego dnia odezwał się w nim instynkt ogara: jak cień wśliznął się do spiżarni i bez szmeru, który mógłby go zdradzić, wyczyścił duży talerz nadziewanych, wyluzowanych piersi kurzych, wprawiając we wściekłość kucharkę, która coś podejrzewała, ale nie miała żadnego dowodu.

Szybko przyzwyczał się do tego, że jedną tylną łapkę miał krótszą i widoczne to było tylko w lekko kołyszącym się chodzie, jak u pijaka, który wypił trzy kieliszki martini i jest jeszcze na tyle w dobrej formie, żeby wypić następne. Sypiał w koszyku tuż przy łóżku Daisy, często na plecach, ze wszystkimi czterema łapami sterczącymi w górę i bardzo szybko zaprzyjaźnił się z kucykiem Daisy, obwąchując nozdrza Merlin, jak żarliwy kochanek, zwijając się przy jej kopytach.

Niemniej jednak podzielił służbę Valenskich na dwa obozy: tych, którzy uwielbiali go i rozpieszczali, ofiary jego sprytnej taktyki, na którą składały się szalone przywiązanie oraz posępne spojrzenia pełne niesamowitego patosu, które umiał im rzucać tak, aby roztopić ich serca, a także tych, którzy nienawidzili go, uzasadniając to faktem, że dla Tezeusza nie było nic świętego, ani ich pieczenie wołowe, ani ich plasterki bekonu, ani ich pierogi czy fondue, a już z pewnością nie ich kufle z mocnym porterelem.

Wszyscy rosyjscy służący Stasia mieli już ponad siedemdziesiąt lat, wielu zmarło, wielu odeszło na emeryturę, ale ci, którzy pozostali, ci którzy wyjechali z Rosji jako młodzi ludzie w roku 1912, korzystali teraz z diety, łączącej angielskie, szwajcarskie i rosyjskie specjały kulinarne. Wiek wręcz poprawił ich dobry apetyt.

Tezeusz codziennie zjadał tyle, ile sam ważył i wkrótce z puszystego szczeniaczka zmienił się w szczupłego psa wielkości dużego, silnego charta, który w łopatkach był wysoki na siedemdziesiąt sześć centymetrów. Poza zamknięciem na klucz lub zabarykadowaniem drzwi do kuchni i do spiżarni, nie było sposobu, aby nie dopuścić do nich płaszczącego się, przeciskającego się bokiem, skradającego się i wręcz niewidzialnego zwierzaka, który błyskawicznie wpadał bez szmeru, połykał zdobycz i znikał, zanim odkryto kradzież. Zachowywał się po prostu tak, jak funkcjonowałyby w naturze, ale tylko paru służących odnosiło się z sympatią do tej wrodzonej przestępczości, bezprawia, które starannie rozwijało się w nim przez stulecia.

A jednak ogary, pomimo swych ukradkowych zachowań, są psami szlachetnymi. Setki lat temu posiadanie tych szorstkowłosych chartów mieszanej krwi było wyłącznie przywilejem książąt. Nosiły obroże ze złota, były niezastąpione we dworach, gdzie czas spędzano głównie na polowaniach. Ich królewska obecność zdobi wiele antycznych gobelinów.

Szkoła lady Alden, do której uczęszczała Daisy, była najwytworniejszą szkołą w całym Londynie. Działała ona w oparciu o dwie zasady, które, wbrew pozorom, sprawiały iż opuszczały ją świetnie wykształcone młode damy. Od wszystkich

nauczycieli wymagano arystokratycznego pochodzenia. Lady Alden zdecydowanie preferowała córki zubożałych hrabiów, jak lady Janes i lady Marys oraz wiele im podobnych. Dziewczynki, w wieku od sześciu do szesnastu lat, nie musiały spełniać takich wymagań. Im wystarczyły pieniądze rodziców, im bliżej skali dochodów monarszych, tym lepiej. Fakt, że w większości rodzice ci pochodzili ze szlacheckich rodów, był tylko miłym zbiegiem okoliczności.

Przez całe dziewięć lat nauki u lady Alden Daisy nosiła drogie mundurki, corocznie kupowane u Harrodsa, zawsze takie same: granatowe sukienki marynarskie z białymi kołnierkami i lamówkami, a na nich jasnoniebieskie fartuszki z tyłu zapinane na guziki. Zmieniał się tylko rozmiar.

Codziennie przed dziewiątą rano stawała przed wejściem do jednego z trzech sąsiadujących budynków na spokojnej ulicy w pobliżu ogrodów Kensington i Albert Memorial. Po odmówieniu modlitwy niecała setka uczennic rzędem wychodziła na zewnątrz, przechodząc obok lady Alden, której należało się uklonić i powiedzieć dzień dobry, wyraźnie, głośno i z odpowiednią artykulacją. Lady Alden, była piękność, cieszyła się niekwestionowanym posłuchem wśród dziewcząt i kiedy zwracała uwagę ku jednej z nich, ta natychmiast dostawała palpacji serca. Zawsze trzymała w ręku okazałą linijkę i nigdy nie zawahała się dać nią po łapach swoim podopiecznym. Nawet utytułowani nauczyciele mieli przed nią respekt.

Pewnego jesiennego dnia, wkrótce po wprowadzeniu się Tezeusza do pokoju Daisy, po jej wyjściu do szkoły, kucharka i odwieczny lokaj wcielili w życie plan mający na celu pozbycie się psa. Kucharka wywabiła go do drzwi wejściowych, niosąc wysoko uniesionego kurczaka. Następnie wyrzuciła przynętę daleko na bruk i kiedy Tezeusz ruszył za nią przez otwarte drzwi, zatrzasnęła je i zamknęła na klucz. Dwoje konspiratorów nasłuchiwało drapania pazurami o drzwi, z niezłomnym postanowieniem niereagowania na nie, dopóki pies sobie nie pójdzie. Tezeusz przełknął kurczę, otrząsnął przydługą, szorstką w dotyku sierść i kierując się węchem ruszył za Daisy do szkoły lady Alden. Kiedy wyszła po lekcjach, zastała go zwiniętego i cierpliwie czekającego przed budką portiera Sama, którego zadaniem było chronienie szkoły i jej wyjątkowych uczennic przed kontaktem ze światem.

– A więc ten pies należy do panienki – powiedział Sam, który zwracał się do dziewcząt per „panienko”, ponieważ nie chciało mu się uczyć na pamięć wszystkich tytułów, jakie nosiły. – Nie wolno mu przychodzić tu codziennie, a wydaje się, że wpadła panienka na taki pomysł. Lady Alden wymyśliłaby

odpowiednią karę, gdyby się o tym dowiedziała.

Tezeusz szalał z radości i skakał na Daisy, przednimi łapami dotykając jej ramion i liżąc jej twarz, nie wydając przy tym żadnego dźwięku, jak przystało na ogara.

– Nie, Sam, oczywiście, że nie – z namysłem odpowiedziała Daisy.

Czy ten pies był już przedtem w szkole lady Alden? Tego nie wiedział nikt. Było to pogwałcenie reguł, które wykraczało poza zasięg wyobraźni, tak jak wyobrażenie sobie, że studenci malarstwa mogliby mieć nagiego modela, czy nawet modelkę. Ale Tezeusz chodził do szkoły przez trzy lata; szmuglowany przez drzwiczki na tyłach komórki przeznaczonej dla ogrodnika. Taktownie spał przez cały dzień na legowisku z poduszek, które Daisy zniosła, po jednej, ze swojego pokoju, tak ukryty w ciemnym kącie, że nikt go nigdy nie zauważył, z wyjątkiem pomocnika ogrodnika, którego niechęć do lady Alden równała się miłości do psów i który nie zadawał żadnych pytań. Pilnował tylko, żeby mieć lunch w dobrze zapiętej kieszeni, bo miał za sobą różne doświadczenia z tego rodzaju psami z czasów, kiedy mieszkał na wsi.

Daisy skończyła piętnaście lat. Był kwiecień 1967 roku i Londyn przeżywał wspaniały rozkwit, będąc skupiskiem wszystkiego co nowe i ważne. Natomiast Daisy była po uszy zakochana w Beatlesach, w Vidal Sassoon, w Rudolfie Nureyevie, w Twiggy, w Mary Quant, w Jean Shrimpton i Haroldzie Ponterze. Nie kochała się w Andy Warholu, w Baby Jane Holzer, a nawet w Micku Jaggerze.

W tym roku, kiedy dziewczęta mogły wybierać między strojami w stylu amerykańskich Indianek, ze skóry, z koralami i opaskami na głowę, a romantyczną ulicznicą, inspirowaną przez Viva Maria, w koronkowych obcisłych spodenkach i obszernych bluzach, w tym roku, kiedy minispódniczki stały się mikrospódniczkami, aby w niedługim czasie ustąpić szortom, garderoba Daisy nadal ograniczała się do granatowej marynarskiej sukienki i fartuszka.

– Gdyby to zależało od taty i Mashy, to musiałabym chodzić w mundurku przez cały czas – wybuchnęła przed Anabel pewnej soboty po lunchu w Eaton Square, podciągając pod siebie długie, zgrabne nogi na jednej z szarzielonych kanap Anabel.

– Hmm. Dla mnie nie wyglądasz na taką znowu bardzo upośledzoną – odpowiedziała Anabel, przyglądając się jej od stóp do głów.

Daisy miała na sobie czarne aksamitne spodnie do kolan i taki sam żakiet, ozdobiony złotymi guzikami i czarną wstążką, nałożony na białą jedwabną bluzkę z krezą. Na nogach miała białe karbowane rajstopy i czarne pantofle z rozetką z

przodu. Tego dnia uczesana była w dwa końskie ogony z loków, które uwiązała po obu stronach twarzy czarnymi wstążkami. Przyczerniła nieco ciemne brwi i minimalnie pomalowała rzęsy, nie mając poza tym żadnego makijażu.

Od czasu, kiedy pierwszy raz zobaczyła Daisy, sześciolatkę, której matka właśnie zginęła, sześciolatkę, która miała rozstać się z bliźniaczką i która przyjechała, aby zamieszkać w obcym kraju z ojcem, którego znała tylko z przelotnych wizyt, Anabel podziwiała w niej nieugięte poczucie tego, co słuszne. Wprost trudno jej było uwierzyć, że dziecko może być zdolne do tak nieskończonej lojalności, która pozwoliła wymusić na Stasiu, tym człowieku z żelaza, który w opinii Anabel tak naprawdę nigdy nie panował nad swoim życiem, cotygodniowe odwiedziny u siostry. Obserwowała dorastanie Daisy z ogromnym zainteresowaniem, nic nie umykało jej uwadze. Często zastanawiała się, jakim cudem Daisy przystosowała się, najwyraźniej bez większych trudności, do życia, które musiało być jej zupełnie obce. Anabel była zbyt rozsądna, aby uważać, że rozumie wszystko, co dotyczy Daisy. Nie należała ona do dzieci, które lubią się zwierzać, które są skłonne do wylewania swoich żalów. Nie była dzieckiem pozbawionym tajemnic. I z pewnością musiało ją to kosztować.

Czy Daisy, zastanawiała się Anabel, straci te obiecujące zalety i zmieni się w przeciętną nastolatkę? Do tej pory, do ukończenia piętnastu lat, zachowała czystość i żarliwość, które zawsze ją cechowały, ale z jej twarzy można już było wyraźnie wyczytać zbliżającą się dorosłość. Oto dziewczyna, myślała Anabel, która stanie się powodem różnorodnych, idealnie cudownych kłopotów. Nawet inna kobieta zmuszona była do wyobrażenia sobie pulsującego zadziwienia, jakie musiało bić w sercach mężczyzn, którzy spoglądali na Daisy... te pełne, zagadkowe usta, tak dojrzałe i obiecujące, a jednocześnie takie niewinne; i oczy – jakkolwiek były szczerze – miały w sobie niemożliwe do spenetrowania głębie aksamitnej czerni... i... i ciało bez skazy, silne i szczupłe. No i miała trochę szczęścia, bo natura obdarzyła ją i romantyzmem, i nieco dzikim wyglądem, a oba były wówczas w modzie. I oto Daisy była nagle boleśnie przepelniona dławionym podnieceniem oraz okrutnym cierpieniem wieku dojrzewania, chwilowo skoncentrowanymi na ubiorze, do którego dotąd nie przywiązywała żadnej wagi.

Daisy kontynuowała z oburzeniem:

– Nie masz pojęcia, jaką szaloną walkę musiałam stoczyć, nim namówiłam tatę, żeby mi pozwolił na zakupy w Annacat. Czy wyobrażasz sobie, że chciał, żebym poszła do Harrodsa i w dziale młodzieżowym kupiła spódniczki w kratę i garsonki. Garsonki!

– Angielskie dziewczęta nadal tak się ubierają, przynajmniej niektóre – łagodnie zauważyła Anabel.

– Tylko na wsi i tylko córki pastorów, a i one noszą dzinsy – buntowniczo zaproponowała Daisy. – On nie zdaje sobie sprawy, że ja wyrosłam. Ciągłe nie wolno mi wychodzić z chłopcami. Tak jakbym jakichś znała! To nieznośne!

Weszła w wiek buntu, co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości, pomyślała Anabel. Oznaczało to szybko nadchodzący kłopot dla Stasia, zwłaszcza przy jego staroświeckich przekonaniach. Mając pięćdziesiąt sześć lat był tak konserwatywny w podejściu do Daisy, jak niekonwencjonalny dla samego siebie. Nierzadki dylemat wielu ojców pięknych córek, pomyślała nie bez uczucia wewnętrznej radości. Dlaczego będąc tylko o rok starsza niż Daisy w tej chwili, uciekła z domu i poślubiła tego strasznego nudziarza... jak mu tam było? Zmarł rok temu... gdyby jednak z nim została, byłaby dzisiaj szacowną wdową. Na myśl o tym Anabel nie mogła powstrzymać uśmiechu, choć starała się być tak poważna jak tylko było to możliwe, bo naprawdę kochała tę dziewczynę, a przy tym wiedziała, że młodzi ludzie w tym wieku bardzo nie lubią, jeśli nie traktuje się ich z należytą powagą. Anabel zaplanowała ten kameralny lunch właśnie po to, aby odbyć tę rozmowę, ponieważ wyczuła znamioną, nieuleczalną samotność obecnego wieku Daisy.

Obie były zaskoczone usłyszawszy dzwonek do drzwi piętro niżej. Anabel nie spodziewała się gości przed wieczorną wizytą Stasia. Po chwili do salonu wszedł Ram, a zachwycona Daisy zerwała się na równe nogi. Rzadko widywała swojego dwudziestodwuletniego przyrodniego brata, od kiedy zamieszkał we własnym mieszkaniu i rozpoczął pracę w mieście.

– Co ty masz na sobie, na miłość boską? – zapytał.

Był podenerwowany. Wpadł bez zapowiedzi, mając nadzieję, że zastanie Anabel samą i będą mogli pogawędzić, a tymczasem była w towarzystwie Daisy. Nawet nie zauważył, że dziewczyna patrzy na niego z nadzieją i radością, że na jego widok uśmiechnęła się szeroko, uśmiechem, który znikł pod wpływem urazy wywołanej jego słowami.

– Nie masz zielonego pojęcia o modzie, Ram – ostro zareagowała Anabel, rzadko słyszonym, zirytowanym głosem. – Daisy wygląda cudownie i byle głupiec by to zauważył.

– Skoro tak twierdzisz, droga Anabel – odpowiedział jakby mimochodem, ignorując Daisy.

– Muszę wracać do domu – szybko oświadczyła Daisy.

Nie mogła doczekać się chwili, kiedy będzie mogła zdjąć z siebie aksamitne

spodnie i bluzkę, z której była taka dumna. W tej chwili zabójcza, wspaniała dziewczyna wstydziła się swojego wyglądu. Aprobata Rama, o którą zabiegała przez minionych dziewięć lat, była dla niej wszystkim, bez względu na to, jak często tłumaczyła sobie, że – z nieznanych powodów – nie lubi jej i nigdy nie polubi. Potrafił ranić ją w sposób, w jaki nie zdarzało się to nikomu innemu. Ram, nieosiągalny, obojętny, zamknięty w sobie, z rezerwą. Ram, który okazywał tak niewiele uczucia w swej ciemnej, hardej twarzy, czynił ją bezradną w miłości i namiętą w pragnieniu zadowolenia go.

W szkole lady Alden, w przedostatniej klasie, Daisy była uznaną prymuską, mistrzynią w sportach, jedną z niewielu dziewcząt, które nie pozwalały sobie na łązy, kiedy w ruch szła linijka lady Alden. Była też centralną postacią w gronie najbliższych przyjaciółek, równie wysportowanych i równie zwariowanych na punkcie koni, jak ona. Tworzyły potencjalnie rewolucyjną grupę w uległej społeczności szkolnej i gdyby lady Alden wiedziała o tym, jej linijka fruwałaby jak nigdy przedtem.

Nadal bolejąc nad sposobem, w jaki Ram przyjął jej pierwszy kontakt z garderobą dorosłych, Daisy zastanawiała się, jak rozładować uczucia w tak diabelskim popisie, o jakim w szkolnych annałach jeszcze nie wspomniano. Jej uczucia były już prawie dorosłe, ale znała tylko dziecięce sposoby wyzwalania ich.

Nawet najserdeczniejsze przyjaciółki sprzeciwiły się temu pomysłowi.

– Pokazy hippiczne! Daisy, jesteś szalona. Wiesz tak samo dobrze jak my, że to wymaga zorganizowania zawodów jeździeckich, wystaw i różnego rodzaju konkursów. Lady A. nie będzie chciała o tym nawet słyszeć.

– Lady A. nie jest właścicielką Belgrave Square.

– Och, Daisy! Ależ to jest cudownie okropne! Czy naprawdę... mogłybyśmy to zrobić?

– Czemu nie? To znaczy, jeżeli mam zgodę was wszystkich. To tylko kwestia organizacji.

Miejscy policjanci nie byli w stanie wyjaśnić swoim przełożonym, na czym polegała zabawa na Belgrave Square. Jak mogli przewidzieć niesamowite pomysły dwóch tuzinów zapalczywych, młodych amazonek, które wdarły się do dostojnego parku i rozstawiły przeszkody, flagi, bajecznie kolorowe proporce oraz różnorodne bramki i płotki? O świcie, ubrane w beżowe bryczesy, lśniące buty i kurtki – jak wszystkie londyńskie panny jeżdżące konno – te niewieście wcielenia diabła cichutko wyprowadziły swoje konie z różnych stajni w całym Mayfair i przyprowadziły je do wejścia na plac z drzewami i świetnie utrzymanymi

trawnikami, na który wychodziły okna ambasad Portugalii, Meksyku, Turcji, Norwegii, Niemiec, Austrii oraz – cóż mogło być bardziej odpowiednie – Akademii Chirurgii Weterynaryjnej, a także Akademii Ministerstwa Obrony.

Jedna z nieustraszonych dziewcząt mieszkała na placu i dysponowała kluczem do wysokiej, żelaznej bramy, więc zanim policja ochłoneła, nie tylko zabawa na placu już trwała, ale dojazdy do wszystkich głównych ulic prowadzących do placu – Upper Belgrave Street, Belgrave Place, Wilton Terrace, Wilton Crescent i Grosvenor Crescent – były zablokowane samochodami, których pasażerowie poszli zobaczyć co się dzieje. A poza tym, co mogło zrobić kilku policjantów mających do czynienia z hordą piszczących i rozkrzyczanych, dzikich nastolatek, weteranek licznych pokazów jazdy konnej, tak odpornych jak kawaleria, ale dwa razy tak nieustępliwych; na szybkich koniach, galopujących szaleńczo w kółko w wiosennym słońcu, zupełnie jakby nagle pojawił się oddział Amazoнок z innej epoki historycznej? Prowadzone przez Daisy, z jasnymi warkoczami powiewającymi za nią, przeskakiwały płot po płocie i krążyły jak bachantki, trzymając proporce wysoko w górze i wymachując nimi na tle londyńskiego nieba, czyniąc z tego wydarzenia prawdziwe widowisko. A jednak w ich szeregach panowała dyscyplina i wystarczyło jedno gwizdnięcie Daisy, aby zwolniły do cwału lub uformowały dwusereg w truchcie. Policja nie miała podstaw, aby je aresztować. Ani możliwości złapania ich. Zabawa skończyła się dopiero na dźwięk policyjnych syren, zbliżających się do Belgrave Square. Daisy uniosła rękę, krzyknęła i cała natchniona grupa rozproszyła się, pokonując na koniach barierki i uciekając w przyjazny, wiwatujący, niemal karnawałowy tłum otaczający plac.

Uwaga Daisy, iż lady Alden nie jest właścicielką Belgrave Square była ścisłą prawdą. Należał on do hrabiego z Grosvenor, tak jak prawie wszystkie place w dzielnicach Mayfair i Belgravia. Rodzina Grosvenorów jest najzamożniejszym prywatnym właścicielem ziemskim w Anglii, a te trzysta akrów w samym sercu Londynu było skromną reprezentacją ich posiadłości na całym świecie. Lord Grosvenor z pewnością był właścicielem Wilton Row... Staś tylko dzierżawił dom od trustu Grosvenorów.

Impreza Daisy raczej nie wywołała wesołości w biurach członków rady nadzorczej trustu. Ogrodnicy z Belgrave Square zawiadomili ich, że naprawienie uszkodzonej darni pochłonie setki funtów. Aczkolwiek nie to było ich największym zmartwieniem... był nim regulamin tego miejsca. Typowa tabliczka w typowym dla terytorium Grosvenora parku, tak jak ta przy wjeździe w półowalną przestrzeń

Wiltin Crescent, mówi, iż zabrania się uprawiania jakichkolwiek gier wywołujących hałas; zabrania się przebywania dzieciom poniżej dziewięciu lat, którym nie towarzyszą dorośli; kategorycznie zabrania się wprowadzania psów; dopuszcza się rowerki trójkołowe i dziecięce skutery, ale mogą one poruszać się tylko po alejkach; zabrania się deptania klombów z kwiatami oraz kopania w nich; a przede wszystkim zabrania się wstępu na teren parku zorganizowanym grupom dzieci i młodzieży.

Tradycja tych statecznych i spokojnych parków została pogwałcona, wstrząśnięta aż do podstaw przez Daisy. Rozpoznał ją jeden z pracowników Grosvenora kierujących ruchem, którzy bezradnie przyglądali się wydarzeniom. Mocno rozgniewanym głosem wyjaśnił, że była ona młodą damą i właścicielką... ogara! Już ta wiadomość wystarczyła, by spowodować ciszę i uniesienie brwi przez członków rady, posiadaczy ziemskich, a przez to ofiar – poprzez wszystkie niezapomniane pokolenia – kłusowników i ich psów. Ogar, doprawdy! Cóż z niej za młoda dama, jeśli jest właścicielką ogara?

Nie chodziło im o to, jak szybko jeden z członków rady wyjaśnił Stasiowi, żeby ukarać Daisy, ale jeśli zdolna była do takiej niesubordynacji, to czego może dopuścić się następnym razem? Pamiętając o dzierżawie, która wygasła po zaledwie trzech latach, Staś zgodził się z rozmówcą, że powinien poważnie zająć się dyscypliną córki. Co więcej, Staś był prawdziwie zaszokowany zachowaniem Daisy. Był to bardziej ryzykowny wybryk niż jakikolwiek z jego własnych wyczynów w tym wieku, które pamiętał, nawet jeśli wziąć pod uwagę fakt, iż była kobietą.

Pożegnawszy członka rady, po wręczeniu mu czeku na pokrycie szkód i zapewnieniu go, że zajmie się Daisy, długo siedział w samotności, rozmyślając o swej nieroztropnej córce. Jak miała dorastać prawidłowo, skoro on i Anabel byli dla niej jedynymi przykładami osób dorosłych? Żadne z nich nie było niemoralne, to prawda, ale z pewnością nie byli też moralni, oboje nic sobie nie robili z reguł, jakimi rządziło się przeciętne społeczeństwo. Eton zrobiło z Rama trzeźwo myślącego, pozbawionego emocji, zdolnego do ciężkiej pracy młodego człowieka, ale lady Alden nie udało się wyrzucić zbawionego, poskramiającego wpływu na Daisy. Co by się z nią stało, gdyby przestała żyć z nim pod jednym dachem? Ta sprawa wykraczała daleko poza problem nieodpowiedzialnego dziecięcego kawału, pomyślał Staś, czując ciężar każdego z przeżytych pięćdziesięciu sześciu lat. Czuł się winny. Nie miał wątpliwości, że rozpuścił Daisy. Ale co zrobić w związku z przyszłością? Nie zawsze będzie w pobliżu, aby ratować ją w kłopotach.

Pozostałą część kwietnia i maj Staś spędził zastanawiając się nad sprawą Daisy, nawet kiedy załatwiał swoje sprawy. Ostatecznie wezwał swego adwokata i poczynił pewne przemyślane zmiany w testamencie, po czym zapomniał o wszystkim, ciesząc się satysfakcją, jaką daje poczucie rozważnie rozwiązanego problemu. Spora część jego majątku została wcześniej zainwestowana w akcje Rolls-Royce'a i Staś był głęboko zainteresowany wysiłkami, jakie firma czyniła usiłując wejść na rynek silników samolotowych, zdominowany przez Amerykanów. W 1963 roku jego wiara w Rolls-Royce'a podbudowana została, kiedy silnik turbinowy Spey znalazł wielu nabywców. W 1967 roku starali się o kontrakt z firmą Lockheed na produkcję silnika do maszyny TriStar o symbolu RB 211. Wszystkie jego inwestycje miały raczej emocjonalną niż czysto finansową motywację, więc Staś wkładał coraz więcej kapitału w firmę, którą po prostu kochał.

Jednak najwięcej czasu zajmował Stasiowi trening kucyków. Latał mniej niż kiedyś, ponieważ uwolnił się od potrzeby wyładowywania gniewu, który opanował go po odejściu Francesci przed czternastoma laty. To wszystko wydawało się teraz bardzo odległe i nieważne. Nadal posiadał licencję pilota samolotów odrzutowych i od czasu do czasu brał udział w pokazowych lotach podczas widowisk lotniczych, które były bardzo popularne w całym kraju. Na parę nostalgicznych godzin powracał przed pulpit świetnie zachowanego reliktu spitfire'a lub hurricane'a z silnikiem rolls-royce'a, tak niezawodnym jak zawsze.

W pewną pogodną majową niedzielę silnik spitfire'a, którego pilotował podczas pokazów lotniczych w Essex, działał bez zarzutu. W samolocie, który był w eksploatacji od dwudziestu siedmiu lat, zacięło się podwozie i nie mógł normalnie lądować. Staś skierował maszynę na las za pasem startowym, mając nadzieję, że drzewa zamortyzują siłę uderzenia. Wielu pilotów myśliwców przeżyło takie wypadki i potem opowiadali o nich. On nie przeżył.

Rozdział 10

W trakcie tygodni bezpośrednio po śmierci Stasia, Anabel, która rozpaczała po nim tak, jak nie rozpaczała po nikim innym do tej pory i miała przeczucie, że Staś okaże się ostatnim mężczyzną w jej życiu, postanowiła zbliżyć do siebie to, co zostało jeszcze z rodziny.

Uparła się, aby Daisy i Ram spędzili lato w domu w pobliżu Honfleur, który Staś kupił jej siedem lat wcześniej. Zauważywszy, że Ram nie jest sobą, że funkcjonuje bez zwykłej sobie skuteczności, namówiła go, aby wziął urlop z pracy na cały czerwiec, lipiec i sierpień. Jednakże, będąc osobą obdarzoną zdrowym rozsądkiem, Anabel zdawała sobie sprawę, że trzy osoby pogrążone w żałobie nie powinny być same, więc upewniła się, że w tym wielkim domu stale będą mieli jakichś gości. Zaprosiła przyjaciół zarówno ze swego życia londyńskiego, jak i z wakacyjnego świata francuskiego, ludzi, którzy zaprzętą ich uwagę i wniosą trochę rozrywki do smutnego domu.

Anabel świadoma była tego, że Daisy odczuła tę stratę znacznie silniej niż Ram. To ona stała się teraz całkowitą sierotą, nawet Masha nie żyła już od dwóch lat. Kiedy Daisy pojechała odwiedzić Dani, licząc na jakąś ulgę, bliźniaczka intuicyjnie wyczuła jej rozpacz, mimo iż Daisy tuliła ją i głaskała z uśmiechem na ustach. Dani była tak wstrząśnięta, że tylko cicho płakała.

– Day, nie rób – powiedziała, odsuwając się i Daisy w końcu pozwoliła jej pobiec przez ogrody do przyjaciół.

Ram nareszcie był księciem Valenskim. Odziedziczył nie tylko londyński dom wraz z jego antykami, z wyjątkiem zwierząt Faberge, które Staś zostawił Anabel, podobnie jak część udziałów w firmie Rolls-Royce'a, ale stał się też właścicielem wszystkich kucyków w stajniach w Trouville i w księstwie Kent oraz połowy majątku Stasia, zarówno u Rolls-Royce'a, jak i w szwajcarskim złocie. Drugą połowę, w całości zainwestowaną w Rolls-Royce'a, Staś przeznaczył dla Daisy. Kilka tygodni po widowisku na Belgrave Square przekonało go, iż Daisy nie powinna sama decydować o swoich sprawach, póki nie ukończy trzydziestu lat, więc mianował Rama, tego godnego zaufania chłopca, współnadzorcą jej majątku, wraz z Bank of England.

Ram był bogaty i podejmował decyzje. Mimo to dręczyło go poczucie, że ojciec, umierając tak nagle, pozostał nietknięty, że Staś nadal był prawdziwym księciem Valenskim. We wszystkim tym było poczucie jakiejś nie dokończonej

sprawy, czegoś nie zrobionego, czegoś co jeszcze pozostawało do wygrania.

Tego lata w domu Anabel, La Maree, do posiłku nigdy nie siadało mniej niż osiem osób, a często było ich ponad tuzin. Wszyscy znajomi Anabel przyjmowali jej zaproszenia z radością. Wraz z przybywającymi latami, a zbliżała się do ukończenia czterdziestu ośmiu, wytworzyła wokół siebie atmosferę jeszcze bardziej wypełnioną intymnością niż niegdyś, a to dlatego, że coraz więcej ludzi znajdowało w niej idealną powierniczkę. Nosiła ich tajemnice jak bezcenne perły, ukryte w dekolcie cienkiej sukni, tak aby ich ledwo widoczne pobłyskiwanie dowodziło, że tam są, a one dodawały jej wiecznie młodego uroku i sprawiały, że wszyscy czuli się w jej towarzystwie jeszcze lepiej. Jeden z przyjaciół, który ostatnio odrzucił wiarę katolicką, powiedział, że czuje się tak oczyszczony z grzechów po rozmowie z nią, jakby właśnie odbył spowiedź, tyle że – i to było w tym najpiękniejsze – nie musiał jej obiecywać, że nie zgrzeszy ponownie.

La Maree był domem, dla opisanego którego język nie ma odpowiedniego słowa, z wyjątkiem – jednego – czarujący. Na świecie z pewnością jest wiele wspaniałych domów stojących na porośniętych drzewami wzgórzach, z widokiem na morze, ale nikt, komu zdarzyło się spędzić choć trochę czasu w La Maree, nie mógł uniknąć napiętnowania na całe życie jego dziwną, poetycką, nostalgiczną i subtelnie tajemniczą atmosferą.

Stał on za wysokim murem i akrami przerośniętych ogrodów, przy Côte de Grace, mocno zacienionej, wąskiej drodze, prowadzącej stromo w górę z Honfleur w kierunku Deauville. Ze wszystkich jego okien, z wyjątkiem frontowych, roztaczał się widok na całe ujście Sekwany, z portem Le Havre wyraźnie widocznym w opalizującym oddaleniu. Na tyłach domu znajdował się pokryty żwirem taras, z którego płatanina przyjemnie pachnących lasów opadała aż do granic dwóch gospodarstw wiejskich w dole. Przez lasy przebiegał labirynt krzyżujących się ścieżek. Za gospodarstwami było morze, a na nim zmieniająca się bez przerwy, ale stale obecna, wesoła flotylla statków rybackich i łódek turystów, które wpływały i wypływały z portu w Honfleur. Dalej w głębi morza widać było przepływające tam i z powrotem transatlantyki i statki handlowe. Taras wychodził dokładnie na zachód i wieczorem, kiedy słońce znikało za horyzontem, a światła Le Havre stawały się widoczne, nadchodziła chwila, która miała w sobie taką siłę, niemal nie do zniesienia, która sprawiała, że ludzie obniżali głos lub wręcz milkli.

La Maree był dowodem na to, że magia naprawdę istniała. Dom wyrósł z prastarego wiejskiego domostwa, rozrastając się po trochu na przestrzeni wieków i w momencie, kiedy Anabel stała się jego właścicielką, miał trzynaście różnych

poziomów dachu, a każdy pokryty był strzechą, z której wiosną nasiona pozostawione w słomie, kiełkowały i wyrastały jako dzikie kwiaty. Niektóre części domu miały trzy piętra; skrzydło kuchenne, które było najstarszą częścią domu, było parterowe; ale wszystkie zróżnicowane części tej konstrukcji łączył fakt, iż były wykonane z wyeksponowanych belek i gipsu, a każdą pokrywała falista warstwa bluszczu o dużych liściach, zwanego la vigne vierge, który jesienią robił się jaskrawo-czerwony. Ten ogromny dom wyglądał bardziej jak jakaś roślina, niż jak budynek, a gdy było się w środku, miało się uczucie bycia częścią żywej, oddychającej przestrzeni, na którą składało się zarówno wnętrze, jak i otoczenie zewnętrzne. Wysokie okna były przez cały dzień szeroko otwarte do słońca, a Anabel wychodziła wcześnie, aby nazbierać kosz jaskrów, różnych ziół, róż, astrów, łubinu, ostróżek, dalii, wrzosów oraz pied d'alouettes, staromodnych kwiatków widocznych na obrazach Bruegla, a następnie zapełniała nimi wazon z jeszcze większą wyobraźnią i hojnością niż robiła to w Londynie, gdzie w wyborze kwiatów uzależniona była od zaopatrzenia zaprzyjaźnionej kwiaciarni.

Chociaż Anabel chciała, aby jej goście spędzali swój czas w La Maree w nieformalny, wakacyjny sposób, wystrój i wyposażenie domu nadawały pewną formalność. Każda sypialnia miała ściany wysłane świetnie wyplecionym adamaszkiem, pełnym kolorów, z tkanym motywem kwietnym, od podłogi do samego sufitu. Takim samym materiałem, jaki pokrywał ściany, udekorowane były duże łóżka i wysokie okna. Pokój Daisy miał kolor morskiej zieleni, pokój Anabel był różowo-kremowy, a Ram mieszkał w niebieskiej sypialni. Główny salon domu był niesamowicie wysoki, a w jednym z rogów kręcone schody prowadziły cztery metry w górę, na balkon biegnący wzdłuż trzech ścian. W tyle balkonu ustawiono regały, pozostawiając między nimi liczne, niewidoczne z dołu wgłębienia, w których wygodne kanapy pozwalały spędzić choćby i cały dzień na lekturze postarzałych tomów. Księgozbiór istniał już wówczas, gdy Staś kupił dom jako niespodziankę dla Anabel. Odpowiadał mu, ponieważ położony był niedaleko Trouville, gdzie nadal miał stajnie, do których niegdyś zawiózł Francescę. Przyciągała go również legenda, którą znali wszyscy w Honfleur, a która mówiła, że poprzednia właścicielka domu, madame Colette de Joinville schroniła jedenastu brytyjskich żołnierzy po bitwie pod Dunkierką. Kiedy nie udało się im dotrzeć na plażę, z której mieli być ewakuowani, jej przyjaciele z ruchu oporu przyprowadzili ich do niej. Decydując się na ogromne ryzyko osobiste, przetrzymała ich na strychu przez dziewięć miesięcy, to jest do czasu, kiedy przy pomocy działaczy podziemia mogli przedostać się do Hiszpanii, skąd powrócili do Anglii, aby kontynuować

walkę.

Wkrótce życie w La Maree ułożyło się według pewnego codziennego schematu: późne śniadanie przy długim drewnianym stole w obszernej kuchni, na które każdy schodził wtedy kiedy miał ochotę, w szlafroku lub peniuarze, a po którym Daisy i Anabel, z solidnymi koszami na rękach, udawały się na zakupy świeżej żywności do Honfleur. Przed lunchem, który trwał dwie godziny, wypijano kieliszek cherry na tarasie, a po nim, również na tarasie, pito kawę. Potem każdy robił co chciał: polowano na antyki, zwiedzano zabytki, ucinano sobie drzemkę lub udawano się na spacer w wiejskim krajobrazie. Później koktajle, kolacja, parę partyjek pokera lub gra w kości, po czym wczesne pójście do łóżka kończyło leniwy dzień.

Daisy stwierdziła, że najlepiej czuła się sama ze swoim szkicownikiem, w którym rysowała niezwykle malownicze domy Le Vieux Bassin w Honfleur, ulubione obiekty malarzy od stu pięćdziesięciu lat lub też próbowała uwiecznić na papierze trzy parasolowate sosny, które strzegły La Maree od strony oceanu.

Podczas kąpieli Daisy stwierdziła, że po wielu dniach spędzonych na świeżym powietrzu opalona była na kolor świeżo upieczonego rogalika. Zdała sobie sprawę, że nie nawykła przyglądać się sobie nagiej. Z zafascynowaniem wpatrywała się w ciekawy kontrast między białymi piersiami a opalonymi ramionami z białymi śladami po ramiączkach trykotowej koszulki; niżej była znowu biała, aż do miejsca gdzie kończyły się szorty, za to nogi były jeszcze bardziej opalone niż reszta ciała. Obracała się przed lustrem, częściowo rozbawiona komicznym efektem, jaki dawała ta różnica kolorów – jak na łaciatym koniu – a częściowo podziwiając nowy, pełny kształt wyraźnie rozdzielonych piersi i gładkie, długie boki. Seksualnie Daisy była nieco opóźniona, jak na jej piętnaście lat i parę miesięcy. Jej życie było surowo strzeżone i zdominowane przez ojca, który nie pozwalał jej na kontakty z chłopcami w jej wieku. Jej szkolne przyjaciółki należały do tych panienek, których płciowość ograniczała się jeszcze do sympatii dla koni i psów. Często bywała świadoma fizycznych pożądań, ale albo je dławiała, albo wyładowywała w sporcie. Z zaciekawieniem pogładziła jasnoblond włosy na łonie, ale szybko cofnęła rękę, ujrawszy w lustrze co robi. Były bardziej miękkie niż włosy na głowie, pomyślała Daisy, dziwnie zawstydzona i szybko ubrała się w swój letni strój: znoszone, obcisłe szorty, w których grała w tenisa poprzedniego lata i jakoś nie pomyślała, żeby zastąpić je nowymi oraz jedną z trykotowych koszulek bez rękawów, które kupiła w Honfleur. Chodziła z rozpuszczonymi włosami i nieraz po leśnych wędrownkach znajdowała kawałki gałązek albo owady wplątane w loki. Ram gwałtownie krytykował jej wygląd.

– Na miłość boską, Anabel, nic mogłabyś porozmawiać z nią o tym, jak chodzi ubrana? Wygląda jak jakaś dzikuska. To nie tylko ohydne, to jest, do cholery, wręcz nieprzyzwoite. Nie mogę na nią patrzeć! Nie wywiązujesz się z obowiązków wobec tej dziewczyny, dziwię się, że pozwalasz jej bezkarnie robić z siebie taką świnię!

– Ram, przestań, uspokój się. Honfleur to miejscowość wypoczynkowa, wszyscy ubierają się tutaj jak Daisy – łagodnie złąła go Anabel. – To ty powinieneś się rozluźnić i poczuć ducha tutejszego życia. Czyżbyś przywiózł ze sobą nastrój boiska w Eton?

Ram nawet nie raczył się uśmiechnąć i z godnością wyszedł, sztywny z wściekłości. Urażona Anabel smutnie potrząsnęła głową, kiedy zniknął. Za każdym razem, kiedy Daisy próbowała z nim porozmawiać, pomyślała Anabel, Ram wynajdywał jakiś temat do nieprzyjemnego komentarza, aż w końcu dziewczyna przestała zaliczać go do swoich rozmówców. A przy tym Anabel nie mogła nic zrobić, poza subtelnymi próbami dotarcia do Rama... zakładała, że był to dziwny sposób, w jaki reagował na śmierć Stasia, ten gniew, to... prawie... okrucieństwo.

Parę dni później podczas śniadania, kiedy Ram niemądrze postanowił przejrzeć gazetę zanim zabierze się do jajek na bekonie, Tezeusz sprzątnął mu wszystko z talerza. Ram zamierzył się na niego pięścią, ale Tezeusza już dawno nie było.

– Do ciężkiej cholery, Daisy, musimy pozbyć się tego twojego przekłętego, zapchlonego kundla! Twarz Rama ściągnięta była piorunującą furią. – Zabiję tę kreaturę, jak tylko go złapię!

– Dotknij go tylko, a ja zabiję ciebie! – wykrzyknęła Daisy.

– Dzieci, dzieci – wymamrotała Anabel bez skutku.

– Ostrzegam cię, Daisy, nie będę tolerował tego ohydneho zwierzaka – ciągnął Ram. – To już nie są żarty.

Daisy podała mu swój talerz.

– Proszę, zjedz moje śniadanie, to dokładnie to samo co zjadł Tezeusz... Ram, sam stworzyłeś mi pokusę, powinieneś go już znać. I on wcale nie jest brudny! Proszę. Nie złość się już.

– Nie jestem już głodny. Ram odepchnął wyciągnięty talerz. – I mam dość twoich wymówek na temat tego wstrętnego zwierzaka. Trzymaj go lepiej z daleka ode mnie. Nagle wstał od stołu i poszedł do swojego pokoju.

– O Boże, o Boże – westchnęła Anabel. Gdyby ludzie potrafili być bardziej mili dla siebie. Ze wszystkich ludzkich grzechów nieuprzejmość była tym, który dla Anabel był rzeczywiście niewybaczalny.

Pod koniec pierwszego tygodnia lipca Anabel ze szczególną niecierpliwością wyczekiwała przyjazdu swoich przyjaciół – Guya i Isabelle de Luciny, którzy mieli przywieźć dzieci: Valerie, która była młodsza od Daisy o niewiele więcej niż rok i Jean-Marka, który miał prawie osiemnaście lat. Miała nadzieję, że może ich obecność sprawi, że Daisy zarzuci swoje samotne wyprawy. Pamiętała Jean-Marka jako silnego piętnastolatka, nieco niskiego i przysadzistego, ale przyjemnego i wygadanego.

Z trudnością poznała wysokiego, atrakcyjnego Francuza o ładnych, brązowych oczach, który wysiadł z samochodu i szedł z powitalnym gestem w kierunku miejsca, gdzie stała. Miał tak wytworne i uprzejme maniere, jak to tylko możliwe w przypadku prawie dorosłego, starannie wychowanego francuskiego młodzieńca i Anabel była złośliwie rozbawiona, kiedy widziała, jak ten opanowany i raczej dostojny młodzieniaszek zakochiwał się w Daisy tak akrobatycznie i tak dramatycznie, jakby otrzymał cios w głowę w niemym filmie. Chodził za nią wszędzie, często bliżej niż Tezeusz; dosłownie nie był w stanie odwrócić od niej wzroku, co sprawiało mu pewną trudność podczas posiłków, ponieważ jadł nie patrząc na talerz i nie słyszał ani słowa z tego, co mówili inni, nawet kiedy proszono go o podanie soli. Z początku Daisy wydawała się być bardziej zainteresowana jego siostrą Valerie niż Jean-Markiem, który upierał się, aby towarzyszyć im do Honfleur każdego rana, kiedy wybierały się na zakupy i nosił koszyk Daisy, ale z czasem zaczęła odpowiadać na zachowanie młodego człowieka z jakąś złośliwą przyjemnością, która pojawiła się u niej po raz pierwszy od wielu tygodni.

– Naprawdę, Jean-Marc, myślę, że będę musiała podjąć jakieś prawne kroki. Jest w tobie coś dziwnie domagającego się adopcji – powiedziała mu któregoś dnia po lunchu, kiedy tłumek gości odpoczywał na tarasie, z wyjątkiem tego młodego człowieka, który czynił wysiłki, aby przysunąć swoje drewniane krzeselko, pokryte płótnem w paski, bliżej leżaka Daisy. Wszyscy słyszeli tę uwagę i Isabelle de Luciny oraz Anabel wymieniły pełne nadziei spojrzenia.

Pod wpływem adoracji Jean-Marka, przy kolacji pojawiła się nowa Daisy, Daisy, która znalazła czas, aby przebrać się w minispódniczkę i cienki, letni sweter, a po kolacji zaofiarowała swoją pomoc przy nalewaniu kawy, zadaniu dorosłych, które od czasu do czasu próbowała spełnić bez najmniejszego zainteresowania, ale które tym razem wykonała z prawdziwym wdziękiem. Kiedy Guy de Luciny powiedział nowej Daisy komplement, przyjęła te słowa z pozą znacznie starszej kobiety, zwracając swe czarne oczy w kierunku Jeana-Marka w spojrzeniu, które

wydawało się być jednocześnie zuchwałe i ponętne, jakby chciała zapytać dlaczego czekał aż ojciec wypowie słowa, które zaprzętały jego umysł.

Teraz Daisy pozwalała Jean-Markowi towarzyszyć sobie podczas wycieczek do Honfleur, gdzie robiła szkice i kilkakrotnie oboje spóźnili się na lunch. Wracali z wypiekami od słońca i trzęsąc się ze śmiechu z kawałów, które według ich zapewnień dla innych byłyby niezrozumiałe.

Wieczorem w dniu święta narodowego, 14 lipca, na ulicach wszystkich miast Francji odbywają się tańce. W Honfleur plac przed ratuszem zmienia się w salę balową i wszyscy, mieszkańcy miasta, turyści i właściciele domów w okolicy, zjawiają się, aby tańczyć z każdym, kto ich poprosi, bez względu na to czy jest to znajomy, czy nie. Daisy miała na sobie najlepszą sukienkę z londyńskiego butików o nazwie Mexicana, długą, poważną, delikatną suknię. Ciasno dopasowany stanik i długie, obszerne rękawy wykonane były z kawałków koronki na przemian z kawałkami drobno plisowanej bawełny. Koronki i bawełna tworzyły wysoki, kryzowany kołnierz. Jaskraworóżowa, atłasowa szarfa z dużą kokardą z boku ściśle opasywała jej talię, a spod niej wynurzała się plisowana, bawełniana spódnica, której dół wykończony był szerokim pasem koronki sięgającym do podłogi. Wierzchnią warstwę włosów podzieliła na sześć części i we wszystkie wplotła białe jedwabne wstążki, które na końcu każdego warkocza zawiązane były w kokardę.

Niewinność poważnej, białej sukni i białych wstążek w warkoczach silnie kontrastowała z prostymi, gęstymi brwiami i podnieconymi czarnymi oczami Daisy. Jej pełne usta wzbogaciły się o nową dojrzałość i po raz pierwszy w życiu czuła upajającą, głęboką pewność, że tego dnia będzie nie kwestionowaną centralną postacią grupy, a to było kluczem do romantycznego wieczoru. Stała się rzeczywiście zadziwiająco kobietą; jednym posunięciem wchłonęła i ucieleśniła ducha La Maree. Nikt z gości nie mógł się powstrzymać od patrzenia na nią. Zupełnie, pomyślała z radością Anabel, jakby wszyscy zmienili się w grupę ogłupiałych Jean-Marków, wszyscy, z wyjątkiem Rama, którego dezaprobata dla przyrodniej siostry wydawała się być uwydatniona przez jej sukces. Stał z boku z nieprzyjemnym wyrazem orlej twarzy, a w szarych oczach miał chłód, jakiego nigdy nie miewał nawet jego ojciec.

Anabel cieszyła się, że Daisy zawsze miała dość odwagi. Potrzeba sporo odwagi, aby być piękną kobietą, pomyślała. Wspaniała uroda w opinii Anabel była niewieścim odpowiednikiem pójścia na wojnę i musiała stworzyć kobiecie wiele niechcianych sytuacji, których mogłaby uniknąć. A Daisy już prawie była piękną kobietą, pozostał jej tylko rok, może dwa wieki dziewczęcego, pomyślała Anabel z

żalem... i z odrobiną zazdrości.

Wszyscy obecni w domu, około czternastu osób, pojechali do miasta, aby wziąć udział w tańcach i obejrzeć sztuczne ognie. Daisy, tak wyróżniająca się od otoczenia, jak panna młoda i tak żywa jak tradycyjna muzyka guinguette, która nie wymaga specjalnych umiejętności tanecznych innych niż wirowanie, szybko przechodziła z ramion rybaka do miejscowego malarza, do burmistrza Honfleur do Jean-Marka; z ramion rzeźnika do ramion marynarzy z okrętów francuskiej Marynarki Wojennej, zakotwiczonych w porcie, i z powrotem do Jean-Marka. Trzymała się z dumą, jak młode drzewo w pierwszym roku kwitnienia, jej srebrne włosy fruwały i fruwały, nawet warkocze nie zapobiegły poplątaniu się ich w tańcu. Usta miała rozchylone w uśmiechu czystej, nieprzemyślanej i nienarzuconej przyjemności. Policzki były zaczerwienione głębszym odcieniem różu, a czarne oczy sprawiały, że jasna, krążąca sylwetka w białej sukni była nadziemsko porywająca. Muzyki nie przerywano do późnej nocy, a Daisy choć raz zatańczyła z każdym mężczyzną w Honfleur, z wyjątkiem Rama, który w ogóle nie tańczył i wolał stać na obrzeżu roztańczonego, potracającego się tłumu, z założonymi rękami, oczami pełnymi nieszczęścia i z dziwnie wrogim wyrazem twarzy. W końcu Anabel i Isabelle de Luciny udało się przekonać wszystkich, że czas wracać do domu, choćby z litości nad członkami orkiestry, którzy zaczynali wyglądać tak, jakby gotowi byli natychmiast wrócić w roli więźniów do Bastylii, żeby tylko nie kazano im grać jeszcze jednej melodii.

Następnego ranka wszyscy spóźnili się na śniadanie. Jean-Marc w ogóle nie zszedł na nie. I dopiero, kiedy nie pokazał się też na lunchu, matka poszła do jego pokoju, by go obudzić. Zastała puste łóżko i liścik leżący na poduszce, zaadresowany do niej.

Droga mamo!

Wczoraj wieczorem przeprowadziłem z Ramem dyskusję, po której nie mogę pozostać tutaj ani minuty dłużej. Dzisiaj po południu będę już w Paryżu. Mam klucze od mieszkania, więc się nie martw. Przekaż, proszę, moje przeprosiny Anabel i podziękuj jej w moim imieniu za czas, jaki mogłem tu spędzić. Wołałbym nie wdawać się w dalsze wyjaśnienia, ale naprawdę nie mogę zostać. Nie denerwuj się.

Kocham Cię, Jean-Marc Zdziwiona Isabelle udała się z liścikiem do Anabel.

– Ma chérie, czy ty coś z tego rozumiesz?

– Ram? Nic z tego nie rozumiem. Jakim cudem Ram mógł mieć z tym coś wspólnego? Gdyby pokłócił się z Daisy, nie byłabym ani trochę zaskoczona zniknięciem biednego Jean-Marka. Ale Ram?

– Zapytam go – powiedziała Isabelle z poważnym matczynym podenerwowaniem. Wraz z Anabel rozpoczęły przeszukiwanie domu.

Tego dnia przed lunchem Daisy wybrała się ze szkicownikiem do jednego ze swoich ulubionych, tajemnych miejsc w lesie, słodko pachnącego gaju eukaliptusowego, grubo wyścielonego aromatycznymi liśćmi, z którego rozciągał się niczym nie zakłócony widok na wiejski dom. Często rysowała tu godzinami, wsłuchując się w ledwo dochodzące hałasy z pobliza stodoły daleko w dole, dokładnie ukryta przed całym światem. Po triumfie, jaki odniosła poprzedniego wieczoru, czuła się ospała i zbyt rozleniwiona, aby wziąć się do pracy, w związku z czym wyciągnęła się na liściach i zasnęła na parę godzin. Obudził ją dźwięk kroków i trzask łamanych patyków na leśnych ścieżkach. Zaciekawiona wyrzała ze swojej kryjówki i zobaczyła Rama zbliżającego się szybkim krokiem.

– Ram, jestem tutaj – zawołała ciągle śpiąca.

Ram wszedł do gaju i stanął przed nią, nawet się nie przywitawszy. Daisy spojrzała w górę na niego i roześmiała się.

– Jeśli przyszedłeś podziwiać mój widok, właśnie go zasłaniasz.

Gwałtownie opadł na liście obok niej i stanowczym ruchem, w milczeniu, wyrwał szkicownik z jej rąk. Następnie wziął jej bezcenne ołówki, połamał wszystkie na pół i z wściekłością wyrzucił kawałki. Daisy zaniemówiła i patrzyła na niego w niedowierzaniu.

– Pozbyłem się Jean-Marka, więc nie będziesz musiała więcej wysilać się i nadszkakiwać mu jak jakaś flądra! – wybuchnął tłumiąc podniesiony głos. – To przedstawienie wczoraj wieczorem przebrało miarę, nigdy w życiu nie widziałem czegoś tak ohydneho, tak upadającego, po tym jak śliniłaś się na widok każdego marynarza, każdego rybaka, każdego cholernego rolnika. Z pewnością przyznali ci tytuł pierwszej kokietki Honfleur!

– Co? – Daisy nie miała pojęcia, o czym on mówi.

– Nie udawaj, wiem, że doskonale rozumiesz, o co mi chodzi, wystrojona, przyciskająca się do miejscowych idiotów, wszystko dla wszystkich! A jeśli chodzi o twojego ukochanego, twojego drogiego Jean-Marka, powiedziałem mu, że być może we Francji odwiedziny przyjaciół połączone z uwiedzeniem podopiecznej gospodarzy są rzeczą normalną, ale tylko śmierdząca, zepsuta świnia może

dopuścić się takiego świństwa.

– Uwiedzeniem? Ależ ty chyba postradałeś zmysły. Och, Ram, pozwoliłam mu tylko pocałować się w policzek, pomaga mi rozerwać się, to wszystko, przysięgam. Dlaczego miałby być moim najukochańszym? Mylisz się – odpowiedziała Daisy, z oburzeniem wpatrując się w Rama, a w jej głosie brzmiała prawda i zaskoczenie.

Ram siedział ze wzrokiem wbitym w ziemię i uparcie trwał w zazdrośnym gniewie z wyrazem niedowierzania na twarzy.

– Spójrz na mnie, Ram – rozkazała Daisy. – Czy wyglądam tak, jakbym cię okłamywała? – wyciągnęła rękę i chciała odwrócić jego głowę w swoim kierunku, ale w momencie gdy go dotknęła, cofnął się wydając z siebie zwierzęcy dźwięk protestu.

– Nie, nie, to po prostu niesprawiedliwe – krzyknęła Daisy.

I niewinnie, z braku doświadczenia, pod wpływem impulsu kładącego jej załagodzić ból na ukochanej, posępnej twarzy, z prostotą pocałowała go w usta.

Gest ten pozbawił Rama resztek rozsądku. Z jękiem chwycił ją w ramiona i wtulił głowę w jej włosy. Całował je raz po raz i trząsał się cały z tłumionej emocji: w połowie gniewu i w połowie pożądania. Przez chwilę próbował powstrzymać się od pocałowania jej w usta, ale czerwony wicher zmysłowości pchnął go ku nim.

Zrezygnował z wewnętrznych zahamowań i wpił się w jej usta, całując je tak, jakby właśnie umierał z pragnienia, a one były soczystym owocem. Zaskoczona Daisy niewinnie i niezręcznie też próbowała go całować, oddając się radości, jaką sprawiła jej świadomość, że Ram, którego nie przestała kochać od momentu kiedy go pierwszy raz ujrzała. Ram, który zawsze był tajemnym bohaterem jej snów. Ram, którego beznadziejnie błagała o uśmiech lub odezwanie się, trzymał ją mocno w ramionach, był dla niej miły i dobry, całował ją.

Poddała się uczuciu zadowolenia ze spełnionych lat tęsknoty i nie myślała o niczym. Daisy, której nigdy przedtem nie pocałowano w usta, odkrywała usta drugiej osoby, szorstkość ogolonych policzków, twardość zębów, wilgoć języka. Odwzajemniała pocałunki, jakby każdy z nich mógł przywrócić beztrudne życie, którym się cieszyła i w którym znajdowała rozkosz, przywrócić szczęście, t jakby jeden pocałunek mógł sprawić, że ono powróci.

Po tylu latach oczekiwania, Daisy tak kompletnie oddała się radości bycia obejmowaną i całowaną przez Rama, że nie zdawała sobie sprawy, że rozpiął guziki jej cienkiej bluzki... aż do momentu kiedy poczuła, iż jego usta przesuwają się w dół, do sutków jej piersi. Wypełniło ją rozkoszne uczucie, jakiego jeszcze nie знаła – jego ukochane wargi pociągały czułe, wrażliwe pączki – uczucie zbyt

nowe, tak upajająco nowe i miłe, że łzy napłynęły jej do oczu. W ułamku sekundy Daisy przeżyła wszystkie rozkosze fizycznej zmysłowości, których do tego dnia nie potrafiła sobie uzmysłowić, bo do tej pory szczytem cielesnej przyjemności był galop w słoneczny poranek. Blade, jasnoróżowe sutki stawały się twardsze i różowiały w miarę jak je całował, trzymając każdą pierś w dłoni. Odrzuciła głowę do tyłu poddając się jego wargom i palcom, czując dotyk jego włosów na ramieniu, nic nie słysząc, o niczym nie myśląc, wyłącznie czując. Była oszołomiona, niemal sparaliżowana elektrycznymi uderzeniami pożądania, które porażały jej ciało, kiedy nagle powróciła do rzeczywistości. Ram manipulował przy pasku jej szortów, usiłując je zdjąć. Odepchnęła go od siebie najmocniej jak mogła, ale on zaangażował całą swoją siłę przeciwko jej nagłej panice i rozbudzonej świadomości. Walczyła z nim i ze straszliwą gonitwą myśli. Co się stało? Jak to się stało? Co się jeszcze stanie? W krótkim czasie, pomimo ogromnego wysiłku, była naga, prezentując biało-brązowe ciało w całej okazałości przerażonego piękna.

– Nie! Nie! – z trudem chwytiała powietrze. – Proszę cię, nie!

Ale Ram był głuchy i na błagania, i na szloch. Jego twarz miała wygląd tak nieludzki jak włócznia, kiedy pochylił się nad jej ciałem. Teraz już nikt i nic nie mogło go powstrzymać. W ekstazie chuci rozepchnął jej uda, szybko, jednym ruchem odnalazł otwór, na który musiał trafić i wtargnął w nią, brutalnie przebijając się przez delikatną tkanę; była dziewicą, ale on musiał ją pojąć, bo inaczej umarłby z gniewu i pragnienia.

Umysł Daisy przestał funkcjonować. W jej mózgu wybuchały czerwone, białe i czarne błyski, jak sztuczne ognie dzień wcześniej. Nawet kiedy jęczała, nawet kiedy chrząkała w gwałtownym proteście, kurczowo trzymała się jego napierającego ciała, ponieważ bardziej niż czegokolwiek pragnęła upewnienia się, że ten okrutny nieznajomy to Ram, jej Ram. Tylko absolutna pewność tego mogła uratować ją przed unicestwieniem.

Kiedy było po wszystkim, mężczyzna popłakiwał, a dziewczyna obejmowała go i pocieszała, całując jego ciemne włosy, szepcząc „uspokój się, uspokój” i trzymając się go kurczowo jak ktoś, kto właśnie uszedł z życiem z nawałnicy. Do jej szyi kleiły się liście eukaliptusa, nozdrza pierwszy raz w życiu czuły mieszany zapach potu i spermy, a na udach miała krew, którą próbowała zetrzeć kartkami wyrwanymi ze szkicownika. Kiedy Daisy spojrzała na głowę Rama ukrytą w jej ramionach, z jej oczu posypały się gęste, czarne błyski. Choć instynktownie starała się rozproszyć jego wątpliwości, sama tonęła w mrocznej otchłani doświadczeń, zupełnie obcych życiu, które do tej pory wydawało się jasne i proste. Daisy

przepelniona była świeżo nabytą znajomością fizycznego pożądania, ale łączyła się ona z takim zawstydzeniem, jakiego nigdy przedtem nie czuła. I umysł, i ciało wypełniał ostry ból konfliktu i urazy. Miała ochotę gryźć, kopać i krzyczeć aż pod niebo. Zemdleć. Uciec. Chciała wrócić do miejsca, gdzie była jeszcze godzinę temu, ale wiedziała, że nie było powrotu. Gdzieś w głębi coś w niej zadźwięczało, jakby ktoś potracił strunę wielkiej wiolonczeli na nutę odległego, tajemniczego, ale nieomylnego ostrzeżenia.

Kiedy w końcu wrócili do domu, zachodzące słońce świeciło tak jaskrawo, że częściowo oślepiało każdego, kto spojrzał w kierunku lasów między domem a horyzontem. Reszta rodziny de Luciny, nie znalazłszy ani Rama, ani żadnego satysfakcjonującego wyjaśnienia nagłego zniknięcia Jean-Marka, pospieszenie spakowała się i wyjechała do Paryża. Anabel była w salonie, kiedy Ram i Daisy wyłonili się z lasu w odstępach metra jedno od drugiego. Daisy odwróciła się i wbiegła do domu, ale Rama zatrzymała Anabel, kiedy zaczął wchodzić na schody.

– Ram! Szukaliśmy cię wszędzie. Na miłość boską, co się stało z Jean-Markiem? – zażądała wyjaśnienia.

– Coś, o czym nie chcę rozmawiać.

– Co za tupet. Jakimś sposobem wypłoszyłeś go stąd, więc radzę ci podać poważny powód.

– Anabel, mówię ci, że lepiej zostawić to w spokoju. Wstała poruszona aż do niezwykłego gniewu.

– Więc, co się, do diabła, stało?

– Jeśli nalegasz, Jean-Marc wygłosił pewne obrzydliwie niestosowne uwagi na temat Daisy, więc powiedziałem mu, że nie jest gentlemanem.

– Och, Jezus, Maria, Ram, wyrażasz się jak ktoś z osiemnastego wieku. Niestosowne uwagi? O czym ty, do cholery, mówisz? Co takiego powiedział?

– Posłuchaj, po prostu nie zgadzam się, aby Daisy obrażano, to wszystko. Najwyraźniej Jean-Marc uważa, że angielskie dziewczęta są niezłym towarem, a Daisy w szczególności.

– Nigdy niczego takiego nie powiedział! – krzyknęła Anabel.

– Nie było cię przy tym. Poczulałabyś do niego taką samą odrazę jak ja – chłodno upierał się Ram.

– Och, co za kłopotliwa sytuacja! Prawdopodobnie chciał powiedzieć coś zupełnie innego niż myślałeś. A poza tym, od kiedy jesteś orędownikiem Daisy? A teraz wszyscy wyjechali trzy dni wcześniej niż planowali, i to po takiej

niepotrzebnej scenie. Życzyłabym sobie, Ram, żebyś nabrał trochę poczucia humoru – powiedziała Anabel z nietypową dla niej cierpliwością.

– Fakt, że uciekł z podwiniętym ogonem, mówi sam za siebie – odpowiedział nieczuły Ram.

Anabel spojrzała na zegarek i przestraszyła się.

– Ram, nie zdajesz sobie sprawy, że nadal mamy dom pełen gości i już pora na drinki? Przynajmniej zrób z siebie jakiś użytek, zbiegnij do miasta i przynieś mi trochę lodu, lodówka nawala, jakby właśnie dzisiaj brakowało zamieszania... poważnie, Ram, mam tego dość!

Kiedy wyszedł, aby wykonać polecenie, pomyślała, iż bez względu na to, jak trudny był od kiedy go znała, nigdy jeszcze nie była tak rozgniewana na Rama, jak teraz. Ani on nie był nigdy tak obojętny na jej uczucia, doszła do wniosku po zastanowieniu.

Kiedy jednak Anabel spojrzała na stół nakryty do kolacji półtorej godziny później, musiała przyznać przed samą sobą, że cokolwiek zmieniło się w atmosferze La Maree po wyjeździe Jean-Marka i jego rodziny, wyszło to na dobre, choć poprzedzone tak nieprzyjemnym dniem. Był to najmiłszy wieczór, jaki zapamiętała z całego lata. Wszyscy wydawali się być wyjątkowo uprzejmi, pełni dobrej woli, w jowialnych humorach i nie zostało to spowodowane trzema butelkami szampana, które Ram przyniósł wraz z lodem. Może, pomyślała w zadumie, była to zasługa Rama, który wreszcie odprężył się i pozbył tego okrutnego, niewybaczającego wyrazu twarzy, do którego ze smutkiem już się przyzwyczaiła. Grał rolę gospodarza z urokiem i wdziękiem, co Anabel, sama będąc wytrawną gospodynią, w pełni doceniała. I choć tylko jego szare oczy przypominały w nim ojca, coś ze Stasia było w sposobie, w jaki dominował przy stole, powstrzymując się przed całkowitym przejęciem panowania nad towarzystwem i pozwalając wszystkim gościom błyszczeć. Posiadał dar zachowywania się, który dowodził, że czuł się jak u siebie w domu, a który charakteryzował Stasia, gdziekolwiek pojechał. Był miły i szarmancki dla wszystkich pań, a w towarzystwie panów wydawał się bardziej dojrzały niż dwudziestodwulatek, niemal im równy, a jednocześnie zachował błyskotliwą, młodzieńczą wesołość, którą obserwowała ze wzruszeniem, pomimo nie mijającego gniewu. Wyrażanie prostej radości było tak niepodobne do Rama, że nie wierzyła własnym oczom. Zaś Daisy, choć miała zaczerwienione policzki i rozgorączkowane spojrzenie, była jakaś zamknięta w sobie. Anabel postanowiła, że musi pamiętać, aby porozmawiać z nią na temat zbyt długiego przebywania na

słońcu: czy chciała mieć skórę spaloną jak kawałek dermy zanim osiągnie trzydziestkę? Tego wieczoru Daisy nie zaproponowała, że rozleje kawę i chętnie zostawiła to Anabel. Jej kapryśne zachowanie, z jakim traktowała biednego Jean-Marka, znikło. Wydawała się być zdezorientowana i bardzo daleka, jakby jej zwykła energia wyczerpała się. Nic dziwnego, doszła do wniosku Anabel. Te dzikie, nieprzerwane tańce do późna w noc poprzedniego dnia musiały się odbić na młodej dziewczynie. Nie zdziwiła się, kiedy Daisy oznajmiła, że idzie się położyć, jak tylko późna kolacja dobiegła końca.

Zamknąwszy się w swojej morskoniebieskiej kryjówce Daisy opadła na łóżko. Przeżywała taką konsternację umysłu, ciała i ducha, że tylko z największym wysiłkiem dotrwała do końca kolacji. Przydarzyło się jej tak wiele, że nie była w stanie logicznie o tym myśleć. W jej odczuciu, nadal leżała w gaju eukaliptusowym i nadal słyszała Rama wymawiającego jej imię. Jej świeżo obudzonym ciałem wstrząsały niekontrolowane drgania. Drżała od palców u nóg aż po czubek głowy. Rozplotła włosy i zaczęła je energicznie rozczesywać, zdjęła sukienkę i szeroko otworzyła okna, mając nadzieję, że widok Le Havre'u połyskującego z daleka wpłynie na nią kojąco, ale delikatna mgiełka czyniła powietrze zbyt miękkim, gwiazdy wisiały nad morzem za nisko, a świerszcze cykały w sposób, jakiego do tej pory nie zauważyła, w sposób, który z trudem znosiła. Nie rozumiała, dlaczego dorośli stale pytali, jak się spało. Tej nocy Daisy dołączyła do sporego grona tych, którym zdarzyło się spędzić bezsenną noc. Francuzi nazywają je „białymi nocami”. Była to noc wypełniona myślami, od których nie mogła się uwolnić. Rzecz, która się stała... Ram z pewnością nie miał takiego zamiaru! Żałował, przecież płakał, przecież w kółko powtarzał, że jest mu przykro. To jasne, że to się nigdy więcej nie powtórzy. To jasne, że nikt nie może się dowiedzieć. Te dręczące myśli mieszały się i wirowały na przemian z rozmyślaniami nad wargami Rama i słowami o miłości. Przecież powiedział jej, że ją kocha. Przecież powiedział jej, że zawsze ją kochał. Najpierw atakowała ją jedna myśl, po niej druga, następnie boleśnie splatały się i krążyły po jej umyśle, dopóki błogosławione słońce nie wzeszło i nie dotknęło czubków sosen za jej oknem i wiedziała, że może wstać, odszukać Tezeusza, który teraz sypiał poza jej pokojem i wziąć go na długi spacer przed śniadaniem.

Ram jeszcze nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy. Czuł się tak, jakby dopiero tego dnia stał się sobą. Otrzymał pełne dziedzictwo. Wreszcie został prawdziwym księciem Valenskim, ze wszystkimi przywilejami, jakie łączyły się z tym tytułem.

Oczywiste było, że Daisy była przeznaczona dla niego, tak jak wszystko, co należało do ojca, było przeznaczone dla niego. Kiedy patrzył na minione tygodnie, rozumiał, że postępował jak głupiec, będąc zagniewanym, zimnym i nieuprzejmym dla niej, podczas gdy to tylko drobna niesprawiedliwość nieposiadania Daisy powodowała uczucia niepełności i niepewnego szczęścia.

To, że Daisy była jego przyrodnią siostrą, po prostu nie miało znaczenia. Żadne bariery nie mogą istnieć, kiedy dwoje ludzi nie wychowuje się razem, mówił sobie Ram. Dlaczego nawet nie pomyślał o istnieniu Daisy aż do ukończenia czternastu lat? Nie było im pisane dzielić rodzinne ciepło, wyświechtane dowcipy, sycącą zażyłość przeciętnych ludzi. Widywali się tylko od czasu do czasu na wakacjach, dzieliła ich różnica wieku i zainteresowań. W gruncie rzeczy, uśmiechnął się do siebie, byli tak bliscy stania się urodzonymi wrogami, jak było to możliwe w przypadku dwojga dzieci tego samego ojca. Zwykłe zasady zwykłych ludzi nie dotyczyły jego i z całą pewnością nie miał zamiaru przejmować się nimi, dokładnie tak, jak kiedyś nie obchodziły one jego ojca. Musiał, oczywiście, zyskać pewność, że inni, a zwłaszcza Anabel, która w jego opinii była z gruntu konwencjonalna, pomimo faktu, iż była utrzymanką ojca, nie będą się wtrącać w sprawy, które ich nie dotyczą, jego sprawy. Był tak ogromnie szczęśliwy, tak podniosłe świadom wszystkiego tego, czym był i czym dopiero miał zostać, wszystkiego, co nareszcie należało do niego, że i on spędził bezsenność.

– Wybierzmy się do stajni, musimy zdecydować co zrobimy z kucykami do polo – Ram zaproponował Daisy następnego ranka.

Byli sami w kuchni. Nawet kucharz jeszcze spal i sami zrobili sobie śniadanie, oboje niespodziewanie nieśmiali i zadowoleni, że mogli zająć się smaženiem jajek i szukaniem słoika z dżemem truskawkowym, który kucharz zawsze gdzieś chował.

– Myślałam, że nie masz zamiaru podejmować żadnych decyzji w związku z nimi. Tak powiedziałaś Anabel.

– To było przedtem... ale nie mogę utrzymywać wszystkich, nie tylko koni, ale i ludzi obżerających się w Trouville, więc muszę coś z tym zrobić. Albo je zostawię, albo sprzedam, ale najpierw powinniśmy się im przyjrzeć.

– Będę gotowa za piętnaście minut. Czy mógłbyś zostawić notkę dla Anabel? Daisy pobiegła na górę, aby przebrać się w strój do konnej jazdy, a serce waliło jej jak szalone.

Byli nieobecni przez cały dzień, jak wagarowicze. Godzinami jeździli po zielonych polach, przesiadając się z jednego kuczka na drugiego, aż w końcu, wyczerpani, padli pod drzewem, aby zjeść lunch składający się z długich,

łagodnych posmarowanych masłem rzodkiewek i chrupiących kanapek z szynką i serem, w które zaopatrzyła ich żona zarządcy stajni.

Ostatecznie Ram zdecydował, iż skoro nie gra w polo, wystawi wszystkie kuce na aukcję przy pierwszej nadarzającej się okazji. Trzymanie ich dla zwykłych przejażdżek nie miało sensu; były zbyt starannie hodowane; zbyt nerwowe jak na jego gust; wolał większe konie, będąc dobrym jeźdźcem, a Daisy niedawno stała się właścicielką jasnego gniadosza o czarnej grzywie i ogonie, który pozostał w stajni w Londynie, a który zupełnie jej wystarczył.

Przez cały, długi dzień, a także podczas drogi powrotnej żadne z nich nie wspomniało o tym, co zaszło w lesie. Ale kiedy znaleźli się na podjeździe przed La Maree, Ram zdjął jedną rękę z kierownicy i ciężko, z władczym gestem położył na jej udzie.

– Pocałuję cię w to miejsce, dokładnie w to miejsce, dzisiaj – przemówił obcesowo.

Nie śmiała na niego spojrzeć. Całe jej ciało czerwieniało ze wstydu. Uczucia, które przez cały dzień wrzały tuż pod powierzchnią i które pozostawały pod kontrolą tylko dzięki nieustannemu fizycznemu wysiłkowi, jaki sobie narzuciła, zaczynały się przelewać.

– Nie, Ram! – powiedziała niskim głosem, który usunął z jego pola widzenia wszystko, łącznie z gośćmi, którzy grali w badmintona w ogrodzie.

– Cicho – rozkazał i posłuchała go, wynalazłszy skądś uśmiech na powitanie innych, sztuczny uśmiech doświadczonej osoby, o który nawet się nie podejrzewała, towarzyski uśmiech dopasowany do towarzyskiego głosu.

Tego wieczoru, kiedy pogaszono wszystkie światła w domu, Ram zapukał do pokoju Daisy i wszedł, nie czekając na zaproszenie. Zamknął drzwi na klucz. Daisy siedziała przy oknie, z podciągniętymi nogami, które obejmowała rękami, a brodę miała opartą na kolanach, robiąc wrażenie, iż pozostawała w tej pozycji od dłuższego czasu. Podeszedł do niej i odgarnął włosy z jej policzka. Nie ruszając się odwróciła ku niemu twarz, aby mógł widzieć jej oczy.

– Nie wolno nam, Ram – powiedziała.

– Daisy, jesteś jeszcze dzieckiem. Dla nas nie istnieją żadne przymusy czy zakazy, poza tym że musimy się kochać nawzajem.

– Ale nie tak... nie to, co zrobiłeś wczoraj... Ram, tylko... słodycz, po prostu bądźmy razem – w jej głosie nadzieja mieszała się z błaganiem.

– Kochana Daisy – odrzekł – po prostu bądźmy razem.

Objął jej szczupłe ciało obiema rękami i zaniósł ją do łóżka.

Leżała skulona, sztywna, opierając się cicho, speszona. Kiedy pocałował ją pierwszy raz, zaciskała usta i spróbowała odwrócić głowę, ale nie pozwolił jej. Bardzo delikatnie, bardzo czule, ale z absolutnym przekonaniem, rozdzielił jej wargi końcem języka. Teraz, kiedy ją zdobył, mógł ją posiąść powoli, z całą pewnością. Oddech zatrzymał się jej w gardle, kiedy jego język naparł na jej zaciśnięte zęby, po czym zauważyła, że wycofał się, aby okrążyć wargi, dopóki nie poczuła w ustach palącego ognia. Stopniowo, wbrew samej sobie, zaczęła rozluźniać się w miarę jak jego język przesunął się w górę po jej szyi, aby dotrzeć do ucha.

– Daisy, moja Daisy – wyszeptał do jej ucha głosem tak miękkim, że ledwo go słyszała.

Z żalonym westchnieniem zarzuciła ramiona na jego szyję i przycisnęła go do siebie zcałych sił. Och, jaka była szczęśliwa dzięki temu, nic więcej, tylko ta bliskość, to drogie uczucie. Czowała się chroniona, osłaniana, bezpieczna od wszystkiego i wszystkich. Było to poczucie bezpieczeństwa, które, wydawało się jej, utraciła na zawsze w momencie, gdy powiedziano jej o śmierci ojca.

– Obejmij mnie mocno – poprosiła. – Po prostu obejmij mnie mocno, trzymaj mnie tylko w objęciach. Ram, obiecaj mi, obiecaj mi...

– Tak, Daisy, tak – odpowiedział Ram, którego palce ukradkiem rozwiązywały tasiemki jej peniuaru. – Tak, będę cię obejmował, kochanie, będę cię obejmował.

Poczuwszy zarys jej małych, jędrnych piersi pod ostrożnymi, zdradzieckimi rękami, leciutko muskał koniuszki sutków, dopóki nie urosły pod jego dotykiem i nie stały się tak bardzo wrażliwe, iż wiedział, że może pochylić głowę i ssać je, a ona już go nie poprosi, żeby ją objął. Wypełnił swoje usta delikatnymi rozetkami, pamiętając ich jasnorożowy kolor, nadal delikatnie, nadal czule, dopóki nie położyła się swobodnie, poddając się z nowym zdziwieniem spazmom przeszywającym całe jej ciało, od każdego sutka do sromu, jak gdyby nagle uaktywniły się jakieś krytyczne nerwy, połączenie, o istnieniu którego nic dotąd nie wiedziała.

Ram był w stanie erekcji od momentu, kiedy zbliżył się do Daisy przy oknie, ale wiedział, że nie może dopuścić do tego, aby jego sztywny penis dotknął jakiegokolwiek części jej ciała, zanim doprowadzi ją, krok po kroku, do pożądania. Teraz wziął w ręce jej dłoń.

– Daisy, chcę, żebyś poczuła jak bardzo cię kocham.

Poprowadził jej rękę do penisa i zamknął jej dłoń wokół drżącego organu.

Błyskawicznie cofnęła rękę, zaszokowana, porażona straszliwą trwogą. Nie próbował jej zmusić, aby go ponownie dotknęła, ale pokrył jej usta głębokimi, długimi, gorącymi pocałunkami, dopóki nie poczuł, że jej wargi rozchylają się z własnej woli, dopóki jej język nie dokonał wstępnej próby odszukania i dotknięcia jego języka.

Przez pół godziny całował jej usta i ssał jej sutki i wówczas poczuł, że zaczyna poruszać udami w rytmie znanym od zarania dziejów... Wtedy wyszeptał znowu:

– Daisy, dotknij mnie... poczujesz jak bardzo cię kocham...

proszę cię... dotknij mnie – i znowu wziął ją za rękę.

Tym razem była zbyt zamroczona swoją własną zmysłowością, aby się opierać. Wziął jej gorące palce i usiłował pokazać im, jak mają ścisnąć jego boleśnie obrzmiałego penisa, kiedy zrozumiał, iż przeliczył się co do swojej żądz. Dotyk palców Daisy uświadomił mu, że jest bliski orgazmu. Ram chwycił swego penisa jedną ręką i brutalnie wepchnął go w nią w momencie, kiedy opanowały go spazmy. Przygryzł język, żeby nie krzyknąć na cały, cichy, dom. Oszołomiona i obolała, czuła, że dygocze w silnych, cichych wstrząsach.

Po krótkiej chwili, przez którą leżał dysząc, ponownie ją pocałował.

– Teraz będę cię obejmował, moja mała Daisy – wymamrotał i leżał bez ruchu w półśnie, ściskając ją w ramionach przez długie, spokojne minuty. Daisy nie śmiała ruszyć się ani przemówić. Była współwinna. Pozwoliła, aby jej to zrobił. Gdyby zaprotestowała, wpadłby w jedną z tych jego nagłych furii, albo, co jeszcze gorsze, odwrócił się od niej i zostawił ją zupełnie samą. A ona nie mogła już więcej być sama. Uprzednio wierzyła, że wszystkim, czego chciała od ramion Rama, była ochrona, poczucie bezpieczeństwa i tego, że ktoś ją kocha, ale teraz... nie wiedziała, czego chce. Ukradkiem przycisnęła usta do jego nagiego ramienia i w tym samym momencie oboje słyszeli, że ktoś otwiera, a następnie zamyka drzwi w korytarzu.

– Lepiej będzie, jak pójdę – wyszeptał Ram.

– Tak.

Pospiesznie pocałował ją na pożegnanie i opuścił, uniesioną, bez tchu, płonąca, chorą z pożądania, chorą ze wstydu.

Następnego dnia po lunchu Anabel oznajmiła Daisy, że tak wielu gości, których zaprosiła na przyszły tydzień, potwierdziło swój przyjazd, że będzie musiała dzielić z kimś pokój, skoro są w nim dwa łóżka.

– Nawet mi się nie śniło, że wszyscy powiedzą tak, ale teraz już jest za późno.

Spodoba ci się współlokatorka, mam nadzieję... To Amerykanka, Kiki Kavanaugh, córka mojej starej przyjaciółki. Jej matka też jest Amerykanką. Kiedy ją poznałam nazywała się Eleonor Williams. Wyszła za producenta samochodów z Detroit.

– Ja też jestem pół-Amerykanką, Anabel, chociaż się nią nie czuję.

– Czy dużo z tego pamiętasz? – zapytała Anabel, uderzona nutą patosu w głosie dziewczyny, którego dotychczas nie słyszała.

– Bardzo mało. Głównie uczucie bycia z mamą, z Dani i z Mashą... i coś jak senne wspomnienie o tym, jak tam było, wysokie fale na plaży, lasy i jasność, nigdy nie widziałam takiej jasności w Anglii. Żałuję, że nie pamiętam więcej. Mam wrażenie, że moje życie zostało podzielone na dwie części.

W jej głosie pobrzmiwała tęsknota, wspomnienie nieskomplikowanej słodczy. Anabel gorzko żałowała, że zapytała Daisy, czy pamięta swoje amerykańskie lata. Dziewczyna wyglądała na jeszcze bardziej znużoną niż poprzedniego dnia przy kolacji, chociaż w jej wieku niełatwo było dopatrzeć się oznak zmęczenia.

Śmierć Stasia przyniosła czas, który wszyscy musieli przeżyć, nie można było ominąć go i po prostu żyć dalej, jakby się nic nie stało. Osobiście Anabel musiała wykorzystać do maksimum wszystkie zdolności emocjonalne, aby dom pozostawał pełny i tętniący życiem. Tak naprawdę miała ochotę wczołgać się do pustego pokoju i pozwolić nieutulonemu żalowi zapanować nad sobą, ale nie mogła sobie na to pozwolić, głównie ze względu na dobro Daisy. Nie zamieniły więcej ani słowa, siedząc na ogrodowych meblach pokrytych płótnem w paski na tarasie, plecami do morza, które o tej porze dnia zbyt raziło, aby można było na nie patrzeć. Anabel miała dar kojącego milczenia i nigdy nie pytała innych, o czym myślą, prosta kombinacja, która była jedną z wielu jej zalet, tak lubianych przez mężczyzn i tak niezrozumiałych dla większości kobiet.

Rozdział 11

Przez cały następny tydzień Ram przychodził wieczorem do pokoju Daisy. Teraz, kiedy ją posiadał, uczucia, które tłumił dłużej niż był tego świadom, zostały uwolnione. Ekspłodowały w silnym wybuchu w formie obsesyjnego obłędu. Nie był w stanie myśleć o niczym poza Daisy. Nareszcie miał ją dla siebie, nareszcie ojciec nie miał do niej pierwszeństwa, nareszcie mógł z nią postępować zgodnie z własnym życzeniem.

Wieczorami czekał, kiedy opustoszeje korytarz i wówczas przekradał się do jej pokoju. Jak tylko zamknął za sobą drzwi, przestawało go obchodzić, czy wszystkie światła w domu zostały pogaszone. Z chwilą, gdy ujrzał tajemniczą, czułą biel jej piersi i brzucha, gdy poczuł zapach przydymionej, słodkiej woni jej włosów, gdy znalazł się w objęciach jej bursztynowych ramion, rozpalala się w nim taka konieczność posiadania jej, że całe zrozumienie, cała ostrożność i wszelkie pozostałości rozwagi opuszczały go. A ona była mu podporządkowana, zupełnie nie panując nad dziwną mieszaniną marzenia o tym, aby ją całował oraz lęku przed tym, co nieuniknienie czekało ją później. Co wieczór przeżywała katusze czekając na niego, przekonana, że tym razem wystarczy jej silnej woli, aby go powstrzymać, ale nigdy jej się to nie udało.

Daisy nie przeżywała fizycznej przyjemności i była na tyle naiwna i niedoświadczona, że nie zdawała sobie sprawy, że mogłoby być inaczej. A nawet gdyby wiedziała, nie poprosiłaby o to, ponieważ wówczas jej udział w tym, co robił byłby większy niż jego wysiłek, jaki wkładał w zmuszenie jej. Skupiała się tylko na pocałunkach, objęciach i byciu obejmowaną i robiła co mogła, aby nie myśleć o reszcie. Ale po wszystkim przychodził czas na karę: mgliste cierpienie przyprawiające o zawroty głowy i silna frustracja, które męczyły przez całe długie, upalne dni.

W przeciwieństwie do Rama Daisy czuła nieznośną winę i chociaż była zbyt niewinna, aby potrafić nazwać rzecz po imieniu, męczyła się z powodu przygniatającego wycieńczenia i czarnego smutku. Ale jednocześnie czuła rozdzierający pociąg do Rama, pociąg tak samo silny jak jej wina. Kochała go, od kiedy skończyła sześć lat i nie wiedziała, jak uwolnić się od jego obezwładniającego wpływu. Wina i lęk przed pozostaniem bez nikogo bliskiego; nikogo należącego do niej, walczyły w niej dzień po dniu, czyniąc ją coraz nieszczęśliwszą, skonsternowaną, niezdolną do przemyślenia wszystkiego... do

myślenia w ogóle.

– Daisy, pojedźmy na jeden dzień do Deauville, tylko we dwie, na zakupy. Butiki są pełne jesiennej odzieży... zobaczymy co słyhać u Diora, St. Laurenta i Courregesa... tak wyrosłaś, że potrzebujesz nowych rzeczy – powiedziała Anabel, z niepokojem wypatrując na twarzy Daisy dowodów na to, że dzieje się z nią coś niedobrego.

– Nie jestem w nastroju do kupowania czegokolwiek, Anabel... jestem tak wykończona, że nie wydaje mi się, że dałabym radę przymierzać rzeczy.

– W takim razie mam świetny pomysł. Od dawna miałam ochotę wypróbować to centrum rekreacji przy drewnianym deptaku, podobno wspaniale poprawia samopoczucie... terapia odmładzająca. Najpierw aplikują ci bicz wodny z morskiej wody, potem biczowanie dla polepszenia krążenia, potem moczysz się w wannie z pieniącą się, gorącą morską wodą, potem długi masaż, a w końcu owijają cię ręcznikami jak niemowlę i sadzają w fotelu na tarasie na pół godziny. Wychodzi się przed porą na herbatę, więc mogłybyśmy prosto stamtąd pojechać gdzieś na herbatę i czekoladowe ekierki. Może spróbujemy?

– Dla mnie brzmi to jak tortury wodne – obojętnie odpowiedziała Daisy. Nie poddając się, Anabel zaproponowała przejażdżkę do – Pont-l'Évêque, aby kupić ser, który otrzymywał nagrody od trzynastego wieku, a nawet obiad w Ferme St. Simeon u stóp wzgórza, gdzie niegdyś przyjeżdżali impresjoniści i które w minionych latach było ulubionym miejscem Daisy przy specjalnych okazjach. Ale Daisy odrzuciła wszystkie sugestie Anabel, zawsze wynajdując jakiś pretekst. Nie chciała być ze swoim sekretem i Anabel. Bała się, że Anabel, tak wrażliwa na nastroje, mogłaby domyślić się prawdy. A jeszcze bardziej obawiała się, że sama mogłaby przyznać się Anabel. A wtedy... co by ją czekało ze strony Rama?

Pewnego popołudnia, zrozpaczona i niespokojna, Daisy schowała się w jednej z wnęk na balkonie salonu z zamiarem poczytania Balzaka w oryginale. Pani West, nauczycielka języka francuskiego w szkole lady Alden, doradziła go wszystkim dziewczętom jako wakacyjną lekturę. Zanim zdążyła przeczytać trzy strony zakurzonego tomu, nie rozumiejąc przy tym ani słowa, Ram odkrył jej kryjówkę.

– Szukałem cię w lesie – powiedział z wymówką w głosie. – Dlaczego siedzisz tutaj, na dworze jest cudownie.

– Chciałam być sama.

– Chcę z tobą porozmawiać. Zdecydowałem, co zrobić z domem w Londynie. Jest dla nas o wiele za duży... nawet ojciec nie potrzebował w gruncie rzeczy aż takiej przestrzeni, a poza tym ceny na domy są teraz bardzo dobre. Mam zamiar go

sprzedać i kupić jakiś bardziej sensowny dom; taki, którego prowadzenie nie wymaga więcej niż trzech czy czterech służących. Uważam, że powinniśmy zamieszkać w Mayfair, na ulicy Upper Brook lub South Audley, gdzieś w tej okolicy.

– Masz na myśli... zamieszkać razem? – patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Naturalnie. Musisz gdzieś mieszkać. Uważasz, że jesteś na tyle dorosła, że możesz mieszkać sama?

– Aleja myślałam, spodziewałam się... że zamieszkam z Anabel, Ram, nie z tobą – wyjaśniła z taką godnością dorosłej osoby, na jaką było ją stać.

– Niemożliwe. Nie pozwolę na to. Za parę miesięcy Anabel znowu znajdzie sobie jakiegoś człowieka, który z nią zamieszka i nie możesz być narażona na coś takiego.

– Ram! Jak możesz mówić coś tak nieludzkiego i ohydneho... Anabel jest dla mnie jak matka!

– To tylko dowodzi, że mam rację... jesteś jeszcze o wiele za dziecinna, żeby zrozumieć, że Anabel jest utrzymanką bogatych mężczyzn... zawsze była i zawsze będzie.

– To nieprawda! Jak możesz być taki okropny?

– To dlaczego ojciec nigdy się z nią nie ożenił?

Daisy zawahała się, nie umiejąc odpowiedzieć na to pytanie. Rozpaczliwie zmieniła temat.

– A co ze służącymi? Co masz zamiar z nimi zrobić?

– Odeślę ich na emeryturę, oczywiście – odpowiedział Ram obojętnym głosem.

– Są o wiele za starzy, wszyscy, co do ostatniego, zniedołężniałego starca, a rozumowanie, że jesteśmy skazani na trzymanie ich u siebie, chodzących na trzęsących się nogach, dopóki kolejno nie padną trupem w spiżarni, nie ma żadnego uzasadnienia. Byli jedną ze zwariowanych ekstrawagancji ojca, tak samo jak władowanie wszystkich pieniędzy w Rolls-Royce'a dla sentymentalnych powodów.. Wycofuję się z Rolls-Royce'a, Daisy i twoje pieniądze wycofuję również. Najwyższy czas, żeby zaczęły pracować... i czas wywieźć ich jak najwięcej z Anglii!

– Ram, nie! Nie możesz sprzedać moich udziałów... tata zostawił je mnie i nie mam zamiaru ich sprzedawać.

– Daisy – sensownie odezwał się Ram – rynek nie jest miejscem dla więzi uczuciowych. Zarządzam twoim majątkiem i jeżeli zechcę sprzedać twoje udziały,

mogę to zrobić.

– I naprawdę zrobiłbyś mi to? Wbrew mojej woli? – wybuchnęła na niego.

Udziały w Rolls-Roysie nagle wydały jej się wszystkim, co pozostało jej jako pewne oparcie, jedyna prawdziwa, namacalna pamiątka po ojcowskiej trosce, po jego serdecznej opiece; jedynym dowodem na to, że coś ją jeszcze wiązało z przeszłością, którą Ram tak gwałtownie burzył.

– Och, do diabła z tym – warkliwie odezwał się Ram – zatrzymaj sobie te udziały, jeśli to tyle znaczy dla ciebie.

– A mój koń? Gdzie będę go trzymać? – zapytała Daisy, rozpaczliwie poszukując w pamięci innych trwałych elementów swego życia, których mogła zostać pozbawiona jednym słowem Rama.

– Znajdziemy jakąś stajnię w pobliżu naszego nowego domu, nie martw się. Możesz mieć nawet dwa tuziny białych koni, jeśli zechcesz, Daisy, a także psiarnię pełną ogarów – odpowiedział Ram, zadowolony, że Daisy zaczyna brakować powodów, dla których nie mogliby razem mieszkać.

– A twoje mieszkanie – odezwała się niepewnie – byłeś z niego taki zadowolony.

– Jest dużo za małe dla nas dwojga. Pozbędę się go w mgnieniu oka i to z korzyścią. Obrazy ojca, sprzedane u Sotheby'ego, dadzą fortunę, pomimo że postanowiłem zatrzymać dwa Rembrandty i meble. Mój Boże, czy ty masz pojęcie, za ile sprzedaje się dzisiaj takie podpisane dzieła francuskie? Nie mówiąc już o ikonach, tylko ich sprzedaż przyniesie fortunę.

– A więc zamierzasz sprzedać wszystko... wszystko, co kocham, wszystko, z czym się wychowałam? – Z trudem łapała oddech, a w oczach miała przerażenie.

Miała ochotę odwrócić się od Rama i rozplakać, ale wiedziała, że miał prawo zrobić ze swoją własnością co zechce. Wziął ją w ramiona i z całych sił przycisnął do siebie.

– Będziemy razem, tylko we dwoje, bez żadnych starych służących, podsłuchujących, wtrącających się i traktujących cię jak dziecko, przecież chcesz tego, prawda?

Nie odpowiedziała, łapiąc powietrze z oburzenia, a Ram wziął jej milczenie za zgodę. Wsunął rękę pod bluzkę i mocno chwycił jej pierś, a kciukiem zaczął okręcać sutek. Pomimo jej wściekłości, sutek stwardniał, a on podciągnął bluzkę wyżej i wpił się w niego ustami, ssąc z rozpaczliwym, spiesznym pożądaniem. Jego druga ręka sięgała pod szorty, poszukując dolnego owłosienia, a końce palców próbowały odnaleźć jej szczególne ciepło. Daisy zeszywniała, kiedy usłyszała

ciche kroki na schodach prowadzących na balkon, ale głuchy na wszystko Ram jeszcze mocniej ciągnął za sutek, jakby chciał połknąć ją jednym tchem. Z nadludzką siłą, o posiadaniu której nie miała pojęcia, Daisy odepchnęła się od niego, odskoczyła najdalej jak mogła na kanapie i przerażona patrzyła w kierunku schodów, obciągając bluzkę. Oszołomiony Ram w końcu zrozumiał i kiedy Anabel zbliżyła się do nich, niosąc wazon z kwiatami, siedzieli dobry metr jedno od drugiego, a Daisy pogrążona była w lekturze Balzaka.

– Dzieci! Przestraszyliście mnie! Myślałam, że jestem sama. Spójrzcie tylko, czyż te róże królowej Elżbiety nie są wspaniałe? Daisy, to do twojego pokoju. Kavanaughowie przyjeżdżają jutro wcześniej rano, więc wypełniam dom kwiatami dla nich.

– Jezu! Tylko nie więcej ludzi. To zaczyna przypominać przytułek – powiedział Ram z obrzydzeniem.

– Polubisz ich – spokojnie odrzekła Anabel, nie przywiązując szczególnej wagi do tego, czy rzeczywiście polubi, czy nie.

Sądząc po ich wyglądzie przypuszczała, że pewnie znowu się kłócili. Cokolwiek to było, musieli poradzić sobie z tym sami.

Tego wieczoru po kolacji, tak szybko jak tylko mogła, Daisy poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Nieco później Ram kilkakrotnie pukał, za każdym razem głośniejsz, szepcząc jej imię. Trwała w oporze, wpatrując się w drzwi, nie otwierając i nie odpowiadając mu. Dopiero kiedy usłyszała, że odchodzi, pozwoliła sobie załkać ze strachu.

Następnego ranka Daisy wcześniej wybiegła z La Maree, włożywszy do kieszeni spory kawałek chleba i pomarańcze. Krążyła po wiejskich drogach Honfleur z Tezeuszem, którego krótko trzymała na smyczy, aby nie uciekł za jakąś kurą lub do jednego z gospodarstw w okolicy.

Miała przeczucie, że w odosobnionym towarzystwie ukochanego pieska uda jej się schronić w czasach, kiedy życie było proste, kiedy ustanawiano dla niej zasady, kiedy знаła swoje granice i spokojnie żyła w ich obrębie. Ale po upływie paru godzin, kiedy słońce było już wysoko, zdała sobie sprawę, że Anabel z pewnością spodziewa się jej powrotu przed lunchem. Był to dzień przyjazdu nowych gości, Eleanory Kavanaugh i jej córki o jakimś głupim imieniu, którą, według Anabel, miała polubić. Myśl o spotkaniu nowych znajomych wydawała jej się w tej chwili nie do zniesienia, ale przynajmniej ta dziewczyna będzie spała w jej pokoju, a to oznaczało wytchnienie, jakiego sama nie mogłaby sobie zapewnić.

O przyjeździe pań Kavanaugh dowiedziano się, kiedy przed domem zaparkował wielki, ciemnobrunatny daimler, a szofer w liberii zaczął wnosić tuzin walizek do środka. „O, cholera jasna”, pomyślała Daisy obserwując tę scenę. Było to najostrożniejsze wyrażenie oburzenia, jakie знаła. Anabel nie wspomniała, że one udają się na oficjalną wizytę na rodzinne wyspy. Czy one uważają, że reprezentują rodzinę królewską? Opuściła wzrok na zakurzone tenisówki, przyciasne szorty i znoszoną koszulkę trykotową. Zdawała sobie sprawę, że jej fryzura musiała przypominać gniazdo sępa. Przy odrobinie szczęścia, doszła do wniosku, powinny zostać zaproszone na taras na kieliszek sherry, a to da jej dość czasu, aby doprowadzić się do porządku, nim spotka się z nimi.

Nie widząc nikogo, Daisy wbiegła po schodach i cicho podeszła pod drzwi swojego pokoju. Nie słyszała żadnego hałasu wewnątrz, nie było odgłosów rozpakowywania walizek, więc zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi i zamarła. Omal nie straciła równowagi na widok dziewczyny skulonej przy jej oknie i patrzącej na morze. Za późno. Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na Daisy z rozbawieniem.

– Chyba nie jesteś Daisy?

– Czemu nie?

– Daisy jest małą dziewczynką, ma piętnaście lat, czy coś koło tego.

– A ile ty masz lat?

– Prawie siedemnaście.

– Hm, nie wyglądasz na tyle.

Kiki Kavanaugh nie była imponująco wyrosnięta. Sto pięćdziesiąt sześć centymetrów niewieściego zuchwalstwa. Miała figlarne brwi, twarz młodej kotki, świadomej, iż uratowano ją ze śmietnika oraz krótkie, podskakujące, potargane, niegdyś brązowe włosy, w których niedawno zrobiła sobie zielone pasemka a la Zandra Rhodes. Jej oczy miały kolor umbry, ciemnego brązu z żółtawymi przebłyskami, były to oczy zabłąkanego dziecka, ale i diabelskiego nasienia. Ślicznego kształtu głowę zdobiły małe, doskonałe, nieomal spiczaste uszy.

Ubrana była w coś, co mogło być albo ukraińską suknią ślubną, albo kreacją stworzoną przez nowobogacką księżniczkę afgańską, a co uszyte było z czerwonego, fałdowanego lnu, bogato haftowane, wykończone złotą koronką oraz licznymi frędzlami, a tu i ówdzie ciasno przewiązane sznurami różnokolorowych koralików.

Brakowało tylko obrączek z dzwoneczkami.

– Kimkolwiek jesteś, wyglądasz absolutnie wytwornie – zjawą oceniła Daisy. –

Próbowałam przekonać mamę, że czas już wrócić do klasycznego wyglądu, ale nie chce o tym nawet słyszeć, w końcu co ja mogę wiedzieć w porównaniu z królową Grosse Pointe? Poczekaj aż cię zobaczy, gorzko pożałuje, że pozwoliła mi zachować tę fryzurę.

– Nie można tego... zmienić z powrotem?

– Wystarczy spróbować, żeby wyłysieć, będę musiała poczekać aż odrosną. O, rany! Przecież nie mogę wyjść i pokazać się ludziom w takim stanie. Pożyczylabyś mi coś do włożenia, szorty i koszulkę? I trochę swoich włosów?

Kiki chodziła wokół Daisy z prawdziwym podziwem. Nawet stare buty wydawały jej się idealne dla tego, odrzuconego przez nią, stylu.

– Będą na ciebie o wiele za duże... oczywiście, że ci pożyczę, ale utopisz się w nich – odpowiedziała Daisy, oczarowana Cyganką, która właśnie rozbiła obóz w jej pokoju.

– Och, nie przejmuj się. Zawsze się tak zachowuję, kiedy widzę kogoś, kto jest tak bosko wysoki, ma naturalne, srebrne blond włosy i jest tak absolutnie, niesamowicie piękny; szlag mnie wtedy trafia, za parę minut mi to przejdzie. To znaczy, w zasadzie mam całkiem zdrową jaźń, ale jeśli chodzi o facetów, wszystkie te nimfy odsyłają mnie na koniec kolejki. Lubisz słowo „facet”? Właśnie nauczyłam się go w Anglii i wydaje mi się, że to strasznie pożyteczne określenie – popatrzyła na Daisy z łubuzerskim, dociekliwym uśmiechem.

– Lady Alden nie uznaje słowa „facet”, kategorycznie, więc musi to być dobry wyraz. Za używanie go dostawałyśmy linijką.

– Linijką! Najsurowsza kara? Nie, nie kara cielesna... czy jak tam. Więc tak jesteście karane? Jak oni śmiają? Ale wobec tego, rzeczywiście musisz być Daisy.

– Co bym robiła w tym pokoju, gdybym nią nie była?

– Myślałam... eee... nieważne. Nie, poprawka. Przysięgam sobie nigdy więcej nie mówić „nieważne”. Gra to ludziom na nerwach, a i tak zmuszają cię do powiedzenia tego. Uważałam, że Daisy to okropnie głupie imię, chorobliwie pierwotne, anachronizm. Ale teraz wiem, że dla ciebie jest najlepsze, skoro jesteś ona... czy nią?

– Nią.

– Zlituj się, Boże, jak przychodzi do gramatyki to muszę strzelać. Zrozum, że miałam przed oczami wizerunek małej dziewczynki o imieniu Daisy, jak przystało na księżniczkę, a tymczasem mam przed sobą cholerną boginię. Mówię ci, że to wystarczy, żebym była złośliwa, ale kto mógłby być złośliwy wobec ciebie? Słuchaj, wiesz czego nienawidzę najbardziej na świecie? – Daisy nie spuszczała z

niej oczu. Właśnie zauważyła, że Kiki miała na zielono pomalowane paznokcie, rzęsy i powieki.

– Ci szalenie dobrze ubrani ludzie z *Vogue* utrzymują, że wystarczają im do życia jedynie trzy cudowne, stare spódnice, które uszyli na miarę przed piętnastoma latami – u Maina oczywiście, u kogóżby innego? – tudzież trzy kaszmirowe swetry;

tylko tylko, że dorzucają co najmniej jeden jubilerski dodatek w roku. na przykład parę bezcennych, antycznych chińskich kapci; wiesz, że to wszystko to wstrętne blaga, ale jak możesz to udowodnić? Cholera, zawsze muszę coś poplątać – przerwała swoje wywody w nagłym przygnębieniu.

– Nie przebieraj się, nie ruszaj się. nie rozpaczaj – powiedziała Daisy, raptem przypomniawszy sobie rolę liderki u lady Alden.

– Zaraz wracam.

Wróciła po pięciu minutach z włosami zaczesanymi na czubku głowy, poprzebijanymi szpilkami, do których poprzyczepiała purpurowe kwiatki pnąca porastającego ściany domu. Miała na sobie mini sukienkę z błyszczącego, srebrnego papieru, którą kupiła za trzy funty u Biby. Nadawała się do włożenia tylko jeden raz i do tego dnia nie miała odwagi wyjąć jej z szafy.

– Masz jakieś klejnoty od Paco Rabanne'a? – zapytała.

– Każdy je ma. Chwileczkę.

Kiki pogrzebała w jednej z siedmiu waliz i wyciągnęła metalową rzeźbę na szyję, należąca do ery kosmicznej i przypominającą wielkie, starannie opracowane lustro, coś jak pas cnoty dla górnej części ciała.

– Kolczyki?

– Nie, to byłoby chyba za dużo. Pójdę po prostu na bosaka, ten sam efekt, a mniej zachodu.

– Ty nie możesz mieć piętnastu lat – stanowczo stwierdziła Kiki, wciąż pełna podziwu.

– Jestem za mądra jak na mój wiek. Chodź, przyprawimy tych starych ludzi o szok, którego nigdy nie zapomną.

Podczas tygodniowego pobytu pań Kavanaugh, Ram po raz pierwszy w życiu poczuł, że jego ogólna gorycz do świata zmieniła się w fantazjowanie na temat morderstwa... to jest zamordowania Kiki.

Jej matka mogłaby go uprzedzić, że nie da się tego uczynić bez srebrnej kuli. Kiki, pełna animuszu, sprytna i szelmowska figlarka, lubiła zabawiać się w sposób,

dzięki któremu, pomimo jej inteligencji, cztery najlepsze szkoły z internatami w Stanach Zjednoczonych nie raczyły „zaprosić” jej do wpisania się na następny rok. Przetrwiała niewymieralne nadszarpnięcie nietykalności, jaką cieszyła się od najwcześniejszego dzieciństwa; nadszarpnięcie, które mogło zostać spowodowane świadomością – i to od kołyski – że należała do jedynej arystokracji w Grosse Pointe, do której warto było należeć; a także nadszarpnięcie, które mogło nastąpić na skutek faktu, iż była długo wyczekiwaną córką w rodzinie, w której było trzech starszych braci. Przetrwiała dzięki nieugiętej, wrodzonej uczciwości. Kiki mówiła prawdę, sobie i innym. Była to zaleta tak rzadka, że niemal czyniła z niej ekscentryczkę. Jej uczciwość szła w parze z impulsywnością, a ponieważ między nią i Daisy było niewiele ponad półtora roku różnicy, natychmiast stworzyły dobraną dwójkę. Pasowały do siebie: obie uwielbiały wyzwania, bawiąc się wprowadzaniem w życie najbardziej nierealnych pomysłów. Podczas gdy Kiki miała znacznie więcej obycia w świecie i doświadczenia, Daisy była śmielsza i bardziej zdecydowana z nich dwóch; jeśli Kiki była rozpuszczona, czy też jak sama wolała to nazywać „bosko zepsuta”, Daisy była zwyczajnie uparta. Najbardziej różniły się jeśli chodzi o uczuciowe przywiązanie. Kiki przyznawała się do wielu i żadne z nich nie stanowiło dla niej najmniejszego problemu. Ojca, braci, a szczególnie matkę przyjmowała jako coś naturalnego i znajdowała ich wszystkich zabawnymi. Dla Daisy było to zagadkowe i oszałamiające podejście.

Jednak podczas tygodniowego pobytu Kiki i jej matki w La Maree, bardzo mało czasu spędziły na poważnych rozmowach. Jak źrebice puszczane wolno na pastwisku, były zbyt zajęte poznawaniem nowego wzajemnego koleżeństwa. Po długiej nocy nieprzerwanego snu Daisy nagle poczuła dawną radosną energię, jakby odzyskała młodość, nie kwestionowaną, nie zakłóconą młodość, która popychała je obie do wypraw do Honfleur, aby poprzekomarzać się z rybakami, opić się Coca-Colą, której Anabel nie tolerowała w domu, kupić pospolitą kiełbasę z czosnkiem, którą zjadały na ulicy, odgryzając ogromne kawałki i rozmawiając z pełnymi ustami. Złapały taksówkę i pojechały na herbatkę do Deauville, po czym dumnie paradowały po hallach największych hoteli, jak spacerujące aktorki, w hippisowskich, wyfiokowanych fryzurach, bawiąc się oburzonymi spojrzeniami starszych dam w statecznych, śmiesznie drogich kostiumach Chanel. Bawiło je liczenie, jak wiele kobiet uda im się sprowokować w danym hotelu danego dnia. Bezustannie zamieniały się ciuchami, przekonawszy się, że Kiki mogła nosić szorty i koszulki Daisy, jeżeli podtrzymała je paskiem i podwinęła w pasie. Podobnie ubrane, biegały po plaży w Trouville, doprowadzając spokojne rodzinne

grupki do wydawania grubiańskich okrzyków. Z wynajętego pawilonu na plaży chodziły pływać w zimnych północnych wodach i często spóźniały się na posiłki w La Maree, nie racząc nawet podać żadnego powodu. Wyjaśniały to jedynie Anabel, która wcale tego nie żądała, szczęśliwa, że jej nadzieje na znalezienie przyjaciółki dla Daisy zostały spełnione.

Kiki narzekała tylko na jedno.

– Ten twój brat musi mnie rzeczywiście nie cierpieć. Flirtuję z nim jak głupia. Zapraszałam go na nasze wycieczki, ale to wszystko nic nie daje, a to, przysięgam ci, zdarza mi się bardzo rzadko. Jeśli w ogóle! Czy on ma coś przeciwko Amerykanom? Czy to z powodu moich zielonych włosów? Czy on jest homo? Nie rozumiem tego.

– Och, Ram jest beznadziejny, daj sobie z tym spokój, to przez wyższość Eton nad innymi, która w nim siedzi. Ta jego opryskliwość nie jest zamierzona... już taki jest – wymijająco odpowiedziała Daisy.

Zastanawiała się, czy Kiki naprawdę nie dostrzega jak bardzo jest zazdrosny. Oczywiście, że nie. Robiła wszystko co mogła, żeby nie znaleźć się z Ramem sam na sam, więc niby jakim cudem Kiki miała wyobrazić sobie, że jednocześnie kurczowo lgnie do niego. Obserwowała go podczas kolacji przy stole. Wpatrywał się w nią z powiekami nabrzmiętymi, jak te na rzeźbie rycerza poległego dawno temu na wyprawie krzyżowej. W jego zaciętej twarzy widoczne były tylko cieniutkie paseczki źrenic, kiedy siedział po drugiej stronie stołu, ale Daisy czuła, że usiłuje ją do siebie przyciągnąć.

Kilka razy przyłapał ją samą na schodach i kiedy gotów był zasypać ją pocałunkami, dźwięk kroków Kiki, wiernie podążającej za nią, zmuszał go do rezygnacji. Ram był jednocześnie zły i szalony w swojej bezsilności, ale Daisy udawało się nie odstępować Kiki ani na krok. W głębi ducha zdawała sobie sprawę, że to zabezpieczenie nie potrwa długo, ale postanowiła wykorzystać je do maksimum póki istnieje. Potrzebowała trochę czasu z dala od Rama, potrzebowała go tak bardzo, że gotowa była zaryzykować karę, jaka musiała ją spotkać, kiedy zostanie sama. Każdego wieczoru, długo po tym jak Kiki zasnęła, Daisy leżała rozmyślając i próbując uporządkować swoje uczucia, ale bez skutku. Ciągłe na nowo analizowała swoją długą miłość do Rama, fakt, że potrzebowała Rama i z każdym dniem nabierała coraz więcej przekonania, że to co Ram jej zrobił było zwyczajnie złe i zwyczajnie niesłuszne, bez względu na to, co on o tym myśli. Pewnego razu dopuściła do siebie myśl, że może powinna poradzić się Kiki, ale kiedy uprzytomniła sobie, jakich słów musiałaby użyć, zrozumiała, że było to

niemożliwe. Ten ciężar musiała dźwigać sama, w niesławie, śmiertelnej, nieuniknionej niesławie, niesławie na zawsze.

W końcu nadszedł dzień wyjazdu pań Kavanaugh na Lazurowe Wybrzeże na spotkanie z ojcem Kiki, który miał tam przylecieć z Detroit via Paryż. Planowały zatrzymać się w Limoges i resztę drogi pokonać samochodem w ciągu dwóch długich dni. Za kilka tygodni Kiki miała rozpocząć studia na pierwszym roku Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Cruz. Chociaż nie ukończyła szkoły średniej, jej wyniki okazały się zadowalające dla Santa Cruz i została zaakceptowana przez ten najbardziej liberalny i wolnomyślicielski z uniwersytetów. Rodzice starannie zaplanowali tę letnią podróż, aby spędzić z córką jak najwięcej czasu, nim „stracą ją na rzecz wyższego wykształcenia”, jak określała to bliska płaczu Eleanor Kavanaugh. Spełnienie prośby Daisy i Anabel i pozostanie na dłużej w La Maree kosztem sprawienia zawodu ojcu było wykluczone.

– Daisy, obiecuję ci, że będziesz mogła spędzić Boże Narodzenie z Kiki w Stanach Zjednoczonych – oznajmiła Anabel zasmuconym przyjaciółkom.

– Do Bożego Narodzenia są jeszcze całe wieki. Dlaczego Daisy nie mogłaby też przenieść się do Santa Cruz? – buntowniczo zapytała Kiki.

– Ma jeszcze rok nauki u lady Alden, zanim w ogóle będzie mogła pomyśleć o egzaminach wstępnych – cierpliwie odpowiedziała Anabel.

– O rany, o rany! Wybacz mi, Anabel, czuję się jak kochanka wykiwana przez szczęśliwą gwiazdę, czy coś w tym rodzaju – powiedziała Kiki.

– Raczej nie wyglądasz na takową – uprzejmie zaśmiała się Anabel.

Szczerze polubiła tę nieprawdopodobną dziewczynę, tę dziwną córkę starej przyjaciółki Eleanor, która, przed związaniem się przez małżeństwo z przemysłem motoryzacyjnym, była dobrze wychowaną amerykańską panienką.

Tej nocy, kiedy Ram zapukał do drzwi, Daisy natychmiast mu otworzyła. Dopiero po wyjeździe Kiki zdała sobie sprawę, że podczas tego zwariowanego tygodnia podjęła decyzję co do swojej przyszłości, czego początkowo nie była nawet świadoma. Ale teraz czuła potrzebę – tak przejmującą, jak pragnienie po długim dniu spędzonym na pustej łodzi – powrotu do utraconego życia wieku dziecięcego, potrzebę stania się tak czystą i cnotliwą, jak była w dniu czternastego lipca. Była spokojna, zdeterminowana, opanowana i przekonana, że cel ten wart jest każdego poświęcenia. Konsternacja minęła. Może się obejść bez Rama. Jego opieka była nieskończenie gorsza niż samotne życie na tym świecie. Po raz pierwszy od śmierci ojca wszystkie zakamarki jej umysłu były jasne i wolne od wątpliwości.

Ram wszedł i zamknął drzwi na klucz. Pospiesznie spróbował wziąć Daisy w ramiona, ale ona cofnęła się do siedziska przy oknie. Nie przebrała się jeszcze, była nadal w tej samej bawełnianej żółtej sukience, którą miała na sobie przy kolacji, a w pokoju paliły się wszystkie lampy.

– Usiądź, Ram. Muszę ci coś powiedzieć.

– To może poczekać.

– Nie. Ani sekundy dłużej. Ram, to co robiliśmy musi się skończyć... nigdy więcej. Jestem twoją siostrą. Ty jesteś moim bratem. Nie zrobię tego nigdy więcej, bo nie wolno nam i nie lubię tego.

– To ta dziwka Kiki... powiedziałaś jej, tak? – odezwał się głosem, w którym dominowała chęć zemsty.

– Ani słowa. Nikt nie wie i nikt nigdy się nie dowie, obiecuję ci to. Ale koniec z tym.

– Daisy, pleciesz jak jakaś głupia arystokratka... „koniec z tym”... jak można to w ogóle skończyć? Kochamy się. Należysz do mnie, mała idiotko i wiesz o tym.

– Nie należę do nikogo, tylko do siebie. Możesz sobie robić co chcesz, możesz sprzedać wszystko co tata kochał, możesz żyć jak ci się podoba, aleja zamierzam zostać z Anabel na Eaton Square... jestem pewna, że mnie przygarnie... i koniec. Już cię nie potrzebuję!

Ram podszedł bliżej i położył swoją wielką dłoń na jej ręce, tuż pod ramieniem, palcami sprawiając jej ból. Siedziała w milczeniu jak posąg z marmuru. Było dość światła, aby mógł spojrzeć prosto i głęboko w jej aksamitne oczy. To, co w nich zobaczył: zwykle, nieugięte przekonanie, oczywiste i mocne, rozwścieczyło go.

– Zabierz rękę, Ram.

Słowa te, ponownie wypowiedziane ze spokojem i opanowaniem, które tak rozpaczliwie starała się zachować, podziały na niego jak prowokacja. Zacisnął silne, kościste ręce na jej ramionach i poderwał ją na nogi, jakby była niezdyscyplinowanym zwierzęciem, któremu należy się nauczka. Ale ona stała w uścisku nieustraszona, patrząc mu prosto o oczy. Z bezlitosną siłą Ram przyciągnął Daisy do siebie i pocałował w usta. Jej wargi nie zareagowały na dotyk jego ust. Ledwo oddychała. Przywłaszczył sobie jej usta i wpił się w nie z wyrachowaną umiejętnością, zapanowawszy nad gniewem. Zasypał ją długimi, wyśmienitymi, bezpiecznymi pocałunkami, do których jeszcze tydzień temu tak bardzo tęskniła. Ale ona pozostawała bierna i obojętna, a jej usta zamknięte i chłodne pod jego doświadczonymi wargami. Poglaskał jej włosy mocną, wymagającą ręką i wyszeptał do ucha:

– Daisy, Daisy, jeśli nie chcesz nic więcej, nic nie zrobię... tylko pocałunki i bliskość... obiecuję... przysięgam.

A jednak, kiedy przycisnął ją do siebie i zasypał jej policzki gorącymi pocałunkami, poczuła jak jego penis unosi się i niebezpiecznie naciska na jej brzuch. W gwałtownym przypiływie energii Daisy odskoczyła od niego.

– Nic z tego, Ram. Nie ufam ci. Nie chcę cię! Nie chcę niczego od ciebie... ani pocałunków, ani objąć. Koniec z kłamliwymi słowami.

Po prostu wyjdź z mojego pokoju.

Mówiła cicho ze względu na domowników, ale w jej głosie było napięcie i raniący wstęret.

Cofała się przed nim, dopóki nie doszła do przeciwległej ściany, a wówczas on zbliżył się do niej z twarzą wykrzywioną i obrzmiałą od chuci, z oczami zamglonymi intensywnym pragnieniem posiadania jej. Ram nie panował już nad sobą. Przycisnął Daisy do ściany swoim ciężarem, a brutalnym gestem ręki podniósł sukienkę i pchnął twardego penisa dotykając majtek. Drugą ręką chwycił jej piersi w takim zapamiętaniu, że posiniaczył delikatne, młode sutki.

– Nie śmiałyś, gdyby tata żył, ty ohydny tchórze!

Ram uderzył ją w twarz otwartą dłonią. Poczowała, że zębami przygryza sobie wewnętrzną stronę policzka. Krew zaczęła spływać na język. Uderzył ją znowu, i jeszcze raz, a kiedy w panice spróbowała nabrać powietrza, żeby krzyknąć przykrył jej usta ręką i zaciągnął ją na łóżko. Nawet wykorzystując wszystkie posiadane zasoby siły, Daisy nie była w stanie zerwać jego ręki z ust w trakcie niedługich, ale odrażających chwil jakie nastąpiły. Przełykając ślinę, aby się nie zakrztusić, Daisy czuła jak zrywa z niej majtki. Musiał znów dwukrotnie ją uderzyć, nim udało mu się kolanami rozsunąć jej uda. Rozpoczęła się paląca, zgrzytliwa wieczność koszmaru, gdy raz po raz wpychał w nią penisa w niehumaniczny sposób, typowy dla szaleńca, przy czym ona nie była ani otwarta, ani wilgotna. Kiedy zrobił swoje, po prostu wyszedł. Daisy leżała bezwładna, krwawiąc z ust, tak zmaltretowana i wyniszczona, że minęły długie minuty, nim upragnione łzy napłynęły jej do oczu. Dopiero wtedy, obolała, ale świadoma, Daisy wstała z łóżka i poszła zbudzić Anabel.

Anabel przyniosła jej ciepłą wodę i miękkie ręczniki, powstrzymała krwawienie i tuląc ją do siebie słuchała, jak Daisy opowiadała jej wszystko kilkakrotnie, dopóki ostatecznie nie uspokoiła się na tyle, by zasnąć na jej łóżku. I wtedy Anabel ulżyła sobie w szlochu pełnym udręki i wściekłości. Zawiodła Stasia, zawiodła Daisy. Zbrodnia Rama musiała pozostać tajemnicą, co pozbawiało ją możliwości zemsty,

jaka jej się należała. Nigdy nie odezwie się do niego... dla niej będzie już na zawsze martwy... ale nie było sposobu zmuszenia go do odpowiedzi za to. Co się stało, już się nie odstanie... Przeklinała samą siebie, swoją ślepotę, swoje nadzieje, swoją ufność.

Jak tylko się rozjaśniło, zadzwoniła do hotelu w Limoges, gdzie panie Kavanaugh spędzały noc przed podróżą na południe.

– Eleanor, mówi Anabel. Nie zadawaj mi żadnych pytań, ale czy myślisz, że Daisy mogłaby zostać przyjęta do Santa Cruz?

– W tym roku? Nie jest za młoda? – Eleanor Kavanaugh odpowiedziała z typowym dla siebie podejściem do spraw życiowych.

– To nie problem wieku... chodzi mi o to, czy byłaby w stanie zdać egzamin. To bardzo ważne, Eleanor, gdyby tak nie było, nie pozwoliłabym jej jechać tam tak wcześnie.

– Jestem przekonana, że mogłaby zdać wstępne testy, Anabel. Jej wykształcenie jest bardziej zaawansowane niż wiedza amerykańskiej siedemnastolatki, dzięki skandalicznemu programowi nauczania w naszych szkołach średnich. Słuchaj, dowiem się, czy są jeszcze miejsca i gdzie mogłaby zdawać ten egzamin, dobrze?

– Czy mogłabyś zrobić to jutro... to znaczy dzisiaj? Nie odkładaj tego do powrotu do domu – błagała Anabel.

– Możesz na mnie liczyć. – Eleanor nie należała do osób, które lubią zadawać dużo pytań. – Jak tylko otworzą biuro przyjęć w Kalifornii, zadzwonię do nich, a potem zadzwonię do ciebie i będziesz mogła przesłać im papiery Daisy.

– Niech cię Bóg błogosławi, Eleanor.

– Anabel, przecież jesteśmy starymi przyjaciółkami, prawda? Nie zapomniałam o tym... i nie martw się. Daisy dostanie się do Santa Cruz, gwarantuję ci to. Jakkolwiek by było, zmusiłam ich do przyjęcia Kiki, prawda? Wiedz tylko, że nie jest to Harvard.

Ale jest prawie dziesięć tysięcy kilometrów od Rama, pomyślała Anabel odkładając słuchawkę.

Rozdział 12

– Ręcznie tkane! – oświadczyła Kiki z podnieceniem.

– Co? – Daisy uniosła głowę znad informatora z przedmiotami, jakie wykładano na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Cruz.

Kiki pogrążona była w myślach przez dobre pół godziny i w końcu niechętnie spojrziała na nie rozpakowane walizki w kącie ich pokoju w akademiku.

– To jest to! To jest klucz! Ręczna robota, ręcznie przędzone, używane, kradzione czy wymieniane, ale nade wszystko i przede wszystkim, ręcznie tkane. Chodzi mi o to, że nie możemy wyglądać jak dwie łajzy, prawda?

– Myślałam, że będę miała spokój z mundurkami po odejściu od lady Alden. Chyba nie powiesz mi, że znowu będę musiała je nosić tutaj? A w ogóle to dlaczego to takie ważne, jak się będziemy ubierać? – dociekała Daisy. – Myślałam, że tutaj nie ma to znaczenia.

– Daisy, po prostu jeszcze nie rozumiesz – cierpliwie westchnęła Kiki. – Kiedy wiesz, jak się ubrać odpowiednio do otoczenia lub wydarzenia, kiedy to ustalisz, reszta przychodzi sama. Jeżeli spędzasz dużo czasu w jednej szkole, to nie musisz się o to martwić, ale gdybyś chodziła do tylu szkół co ja, zdawałabyś sobie sprawę, że przetrwasz i pozostaniesz sobą tylko pod warunkiem, że dopasujesz się do otoczenia. Obie jesteśmy raczej niepozorne i obie wolałybyśmy spędzić następne cztery lata w pewnym incognito... bez twojego tytułu księżniczki i bez mojego miana dziedziczki z Grosse Pointe, więc od początku musimy się zdecydować na ręcznie tkane rzeczy, nawet jeśli drapią.

– Zgoda. A teraz może spróbowałabyś zdecydować się na wybór przedmiotów? To samo nie przyjdzie – powiedziała Daisy, jednoznacznie pomachując w jej kierunku informatorem.

– Są zajęcia z surfingu, które wydają się być wielce interesujące. A także wiosłowanie na kajaku, obsługa roweru i tańce jazzowe. Ale jedyne, do czego nie mam najmniejszych wątpliwości, to skoki na trampolinie.

– Kiki, jesteś niemożliwa. Żaden z nich nie jest zaliczany przy wyborze przedmiotu kierunkowego.

– Cholera.

– Ja biorę garncarstwo, rysunek, wykonywanie odbitek i malarstwo, wszystkie potrzebne przy specjalizacji w sztuce – powiedziała Daisy z zadowoloną miną. – A ponieważ musimy spełnić wymaganie zwane naukami społecznymi, powinnyśmy

obie zdecydować się na psychoanalizę. Och, do diabła, tu piszą, że musimy też chodzić na cywilizację zachodnią, przedmiot obowiązkowy na pierwszym roku.

– Zapiszę się na wszystko, żeby tylko tu zostać. Mam wrażenie, że znalazłyśmy się w raju – powiedziała Kiki, z błogością wyglądając przez okno.

– Słuchaj, weźmy razem tropienie śladów. Musimy mieć jakieś zajęcia fizyczne... oj, pudło, to też się nie liczy.

– Daj mi ten informator – zażądała Kiki. – Oho! Pracownia sceny teatralnej pasuje do wymagań w naukach humanistycznych, może to? Będziemy miały okazję zagrania w sztuce, chyba na specjalizację wybiore dramaturgię.

– Świetnie. To sprawę wykształcenia mamy ustaloną – powiedziała zadowolona Daisy. – A teraz chodźmy na zakupy. Czy może zafundujemy sobie własny warsztat tkacki?

Daisy zupełnie płynnie poradziła sobie z egzaminem przed komisją uniwersytecką; zastosowanie linijki lady Alden nie poszło na marne. Po czym Santa Cruz z przyjemnością powitało piętnastoipółletnią studentkę z Londynu.

Kiki i Daisy dzieliły pokój w Cowell, pierwszym i największym kompleksie akademików, jaki otwarto w Santa Cruz, uczelni będącej najurokliwszą z wielkich sieci uniwersytetów. Oddany został w roku 1965, zaledwie dwa lata wcześniej niż Daisy i Kiki zostały częścią tej eksperymentalnej instytucji, wzniesionej na dwu tysiącach bajecznie cudownych akrów nad zatoką Monterey, sto dwadzieścia kilometrów na południe od San Francisco.

Gość jadący w kierunku uniwersytetu od wiktoriańskiej, nadmorskiej strony Santa Cruz dostaje zawrotów głowy od bogatego, sielankowego, niezakłóconego widoku otwartych przestrzeni pól i gęstych lasów byłego rancha, do dziś chronionego przez stare płoty, cętkowanego piecami do wypalania wapna i udekorowanego paroma prastarymi zabudowaniami gospodarskimi. Na uniwersytet składały się poszczególne uczelnie, zorganizowane na wzór Oxfordu i Cambridge w ich pojęciu społeczności, ale zaprojektowane przez największych współczesnych architektów Stanów Zjednoczonych. Uczelnie te są tak sprytnie ukryte za drzewami, że można ich nie zauważyć, czego nie da się powiedzieć o biegających z jednych zajęć na drugie studentach, wesołych chłopcach z brodami, którzy mogliby być wykorzystani w kostiumowym filmie o drwalach i bogatych, nawet jeśli zaniedbanych, dziewczynach.

Daisy i Kiki szalały po Santa Cruz, uczęszczając na zajęcia, które przy wyborze wydawały się być łatwiejsze niż okazało się to w rzeczywistości i pracując

znacznie więcej niż planowały, ale jednocześnie wciągając się coraz bardziej w otwierający się przed nimi świat sztuki i teatru.

Daisy odkryła, że jej zdolności rysunkowe, z których dotąd robiła użytek tylko szkicując dla Dani lub w samotnym odosobnieniu, w gruncie rzeczy stanowiły rzeczywisty talent, o wiele większy dar niż mogła przypuszczać, prawdziwy potencjał. Bez reszty oddała się rysowaniu i malowaniu, akwarelom, pastelom i obrazom olejnym, nigdy nie ulegając pokusie stylu abstrakcyjno-ekspresjonistycznego, pozostając wierną temu, co robiła najlepiej: realistycznym i wrażliwym portretem, studiom natury i oczywiście rysowaniu koni. Kiki znalazła ujście dla swojej krzykliwej, dociekliwej i uczciwej jaźni w teatrze, gdzie mogła swobodnie robić i mówić co chciała, bez wywoływania zaskoczenia u kolegów. Wszyscy byli pochłonięci „autoekspresją”, co bardzo odpowiadało Kiki. Nareszcie miała „wesołe życie”, którego wszędzie poszukiwała, a w Santa Cruz miało ono w dodatku dać jej zaliczenie.

Kiki była marnotrawczynią, jeśli chodzi o jej drobne, delikatne ciało. Miała mnóstwo romansów i nic sobie nie robiła z zasady cnoty wpajanej w Grosse Pointe, dobrego imienia czy opinii publicznej. Nie interesowały ją żadne opinie na temat jej zachowania, z wyjątkiem jej własnej, przy czym jej osobisty kodeks usatysfakcjonowany był jej własną wspaniałomyślnością i absolutną szczerością. Miała talent do zakochiwania się w niewłaściwych mężczyznach, ale rozkoszowała się swoimi błędami i wycofywała się, zanim zraniła kogokolwiek poza sobą. Z grzesznym rozbawieniem obserwowała wysiłki niektórych osób próbujących zmusić ją do poczucia winy. Przyjemność była najważniejsza... dlaczego ludzie nie potrafili się do tego przyznać... skorzystać z przyjemności, a potem zebrać się i poszukać następnej przygody? Dlaczego człowiek musiał uczyć się na własnych błędach? I tak zawsze znajduje się jakiś następny do popełnienia.

Daisy i Kiki mieszkały w jednym pokoju przez wszystkie lata spędzone w Santa Cruz, często gadając do późna w nocy i dzieląc się przeżyciami. Jednak Kiki, której anteny tworzyły całą sieć nad jej narwaną głową, wiedziała, że były jakieś wielkie obszary w przyjaciółce, których nie rozumiała. Nawet na ostatnim roku Daisy była pewnego rodzaju zagadką, a Kiki nie miała zbyt wiele cierpliwości do zagadek.

– Daisy – zaproponowała pewnego dnia zimą 1971 roku, pod koniec studiów – pomyśl o łechtaczce.

– Przed lunchem?

– Dlaczego, zapytuję cię, dlaczego jest tam gdzie jest? Dokładnie ukryta, praktycznie niewidoczna, niemożliwa do odnalezienia bez przewodnictwa, którego

osobiście mam dosyć.

– Myślałam, że po prostu mówisz im, co chcesz żeby zrobili, a oni to robią – odpowiedziała Daisy bez entuzjazmu. Skarga przyjaciółki nie była jej zupełnie obca.

– Niby dlaczego mam im wręczać cholerny atlas drogowy? Mężczyzna nie musi pokazywać kobiecie, gdzie jest jego kutas. To niesprawiedliwe!

– A gdzie, myślisz, należałoby ją przenieść? – rozsądnie dociekała Daisy. – Na czubek nosa?

– Nie rezygnuję z seksu – szybko odpowiedziała jej Kiki – ale naprawdę konieczna jest reforma.

– Hmm. – Daisy cierpliwie czekała na prawdziwy cel tej rozmowy. Kiedy Kiki zaczynała mówić o lechtaczce, zawsze musiało to do czegoś prowadzić.

– Skoro już o tym mówimy, Daisy, jest jedna rzecz, której u ciebie nie rozumiem.

– Tylko jedna?

– Tak... jak to możliwe, że ciągle jesteś dziewicą? Wszyscy o tobie mówią... chyba wiesz o tym? Nazywają cię Valensky-Muśnięty-Policzek.

– Wiem. To takie nieamerykańskie. Wstydzisz się za mnie, prawda? – zaśmiała się Daisy.

– Coś w tym rodzaju. Czy zdajesz sobie sprawę, że za parę miesięcy skończysz dziewiętnaście lat? I ciągle dziewica? Zostawmy to nieamerykańskie... to jest niezdrowe. Naprawdę, Daisy, mówię poważnie.

– Czekam na tego jedyne – odpowiedziała Daisy, podenerwowana.

– Gównu prawda. Tańczysz z Markiem Horowitzem, który jest zadurzony do szaleństwa w Janet, tyle, że ona nie cierpi tańczyć; jeździsz konno z Genem, homoseksualnym Caballero; idziesz do kina z każdym, pod warunkiem że w dużej grupie; pozwalasz, aby Tim Ross postawił ci pizzę, a on jest w tobie tak zakochany, że czuje się zaszczycony możliwością zapłacenia za twoją pepperoni; jedziesz do San Francisco na chińską kuchnię z trzema dziewczynami, na miłość boską, a mimo to dosłownie każdy z atrakcyjnych chłopców w szkole podrywał cię! I nie liczę nawet mężczyzn, których poznałaś, kiedy pojechałaś ze mną do domu na wakacje... najbardziej wzięci kawalerowie Grosse Pointe zostali przez ciebie odrzuceni, moja droga, nie wyłączając moich biednych braci, tych słodkich drani. A poza tym co z mężczyznami, których spotykasz, kiedy jeździsz na lato do Anabel? Widziałam listy, jakie pisują do ciebie, a na które ty nawet nie raczysz odpowiedzieć. Co się z tobą dzieje? – skończyła Kiki wzięwszy się pod boki pod

wystrzępionym poncho, a jej ostro zakończone uszy były zaróżowione od oburzenia.

– Daisy spojrzała na nią i nagle spoważniała. Kiki grała na tę nutę od ponad dwóch lat i najwyraźniej dręczyło ją to wystarczająco, aby zrobić z tego sprawę. A kiedy Kiki robiła z czegoś sprawę, była zdolna nawet ściągnąć Napoleona z Elby.

– W porządku, masz rację. Nie chcę się angażować w związek z żadnym mężczyzną. Nie chcę, aby ktokolwiek miał nade mną władzę. Nie chcę, aby ktokolwiek myślał, że ma prawo do jakiegokolwiek części mnie. Nie chcę, żeby jakiś mężczyzna czuł się aż tak mi bliski. Nie cierpię, kiedy uważają, że mają prawo pocałować mnie tylko dlatego, że razem spędziliśmy wieczór... nikt ich... do diabła, nie prosił... kto im pozwolił, jak śmiały zachowywać się tak, jakbym była im coś winna.

– Hej, powoli... uspokój się... mówimy o dwu różnych rzeczach. Zbliżenie się do faceta ma ci sprawiać przyjemność... czy nigdy nie powiedziano ci tego, kiedy dorastałaś? Czy to, co ja mówiłam nigdy do ciebie nie dotarło?

– Ale mnie to nie sprawia przyjemności... nie chcę próbować... po prostu tak już jest. Do tej pory powinnaś już się z tym pogodzić – powiedziała Daisy tonem kończącym rozmowę.

– Masz rację. Powinnam. Ale nie godzę się.

– Cóż, próbuj dalej – poradziła jej Daisy.

Od przyjazdu do Santa Cruz Daisy była otoczona romantycznymi uczuciami, jakie wzbudzała u różnych młodych mężczyzn, z tym że ich romantyczne przeżycia nie zasługiwały na większe współczucie z jej strony niż utrata koszuli, która zginęła im w pralni. Nikomu, absolutnie nikomu nie wolno było mieć choćby najdrobniejszej nadziei na posiadanie jej. Druzgotała ich uczucia bez żadnych skrupułów. Nie była za nie odpowiedzialna i skoro chcieli być nieszczęśliwi z jej powodu, proszę bardzo. Moment, w którym ktoś z kim wyszła próbował zwykły pocałunek w policzek zmienić w większe objęcie, był momentem, w którym kończyła się ich znajomość. Zawsze byli inni, gotowi zająć jego miejsce.

Nim Daisy ukończyła dziewiętnaście lat, jej uroda stała się jeszcze wyraźniejsza. Miękkie, posrebrzane włosy, które rzadko ścinała, jeśli nie liczyć niecałego centymetra koniuszków przycinanych od czasu do czasu, sięgały jej prawie do pasa. Jakkolwiek próbowała utrzymać je w ładzie plotąc warkocz, związując i podwiązując je na różne sposoby, nie dało się nic zrobić, aby uniknąć pęczków, kosmyków i loków krótszych włosów łaskoczących jej kark, skronie i uszy i tworzących aureolę otaczającą twarz. Jej skóra nadal utrzymała ciepło

dojrzałej brzoskwini, które odziedziczyła po Francesce i pokoleniach pięknych kobiet z San Gimignano, a mężczyźni czuli się przeszyci jej oczami jak włócznią. Tak wielkie oczy, ze źrenicami o takiej czerni, jak źrenice Daisy były wręcz niemożliwe do zgłębienia, a jednak mężczyźni w Santa Cruz nigdy nie zaprzestali próbować. Odrobinę osobliwości, która była przeciwwagą dla jej urody, stanowiły brwi, niezwykle proste i zdecydowane ponad tajemniczymi oczami. W miarę dorastania jej pełne, słowiańskie usta, jedyna cecha, poza włosami, którą niewątpliwie odziedziczyła po Stasiu, stały się jeszcze bardziej wyraziste. W Santa Cruz jeszcze podrosła i osiągnęła swój ostateczny wzrost stu siedemdziesięciu centymetrów. Nie uległa pokusom uczelnianej stołówki i była tak szczupła i gibka jak zawsze. Codziennie jeździła konno i, jak przystało na amazonkę, miała pełne i wdzięczne ręce, uda i łydki. Piersi nieco jej urosły przez cztery lata, ale nadal były uniesione i kształtne.

Zarówno Daisy, jak i Kiki ubierały się tak, jak postanowiły na początku studiów: dzinsy i ręcznie tkane bluzki, jedne i drugie znoszone do granic możliwości. Obie razem, znane jako Valensky i Kav, stały się legendą w miasteczku akademickim, gdzie prawie wszyscy byli ekscentrykami, a to z powodu kontrastu ich osobowości i wyglądu, nie mówiąc o Tezeuszu, który spał z nimi w pokoju i towarzyszył Daisy na wszystkich zajęciach. Na skutek protestów innych studentów, jedynym miejscem, do którego nie miał wstępu, była jadalnia.

Pomimo łączącej je intymnej przyjaźni, Daisy nigdy nie powiedziała Kiki o Dani, do której dwa razy w tygodniu wysyłała dokładnie dopracowane rysunki. Czasami przedstawiały one sceny z jej własnego życia, a czasem scenę z życia Dani lub jej wychowawców, których Daisy zdążyła dobrze poznać. Bywało, że Daisy zadawała sobie pytanie, czy nie powinna opowiedzieć Kiki o istnieniu bliźniaczki, ale mijał rok po roku i właściwy moment ciągle nie nadchodził. Nawet jeszcze teraz czuła moc zakazu narzuconego przez ojca, który pojmowała jako absolutny, nie wiedząc i nie zadając sobie pytania, dlaczego był konieczny. Im dłużej trwał, tym bardziej wydawał się być wiążący, a jego moc potęgował dodatkowo fakt, iż nigdy nie został przedyskutowany czy wyjaśniony. Przerazające tabu, które musi być zachowane, aby uniknąć konsekwencji nie do pomyślenia, trudnych do wyobrażenia, ale całkowicie realnych.

Jedyną żyjącą osobą na świecie, która wiedziała o Dani była Anabel, ale Daisy nie rozmawiała o siostrze nawet z nią. Po nagłej śmierci Stasia Anabel zapewniła Daisy, że Danielle ma dobrą opiekę. Jednak gdzieś w głębi ducha Daisy wiedziała, że istnienie Dani było sekretem, który była zobowiązana zatrzymać dla siebie. Ona

urodziła się pierwsza, nic nie zmieniło tego faktu i Dani niezmiennie była obiektem jej nie zachwianej lojalności i poczucia odpowiedzialności. W momentach szczególnej radości często widywała Dani – sobowtóra, drugą siebie, bardziej własne dziecko niż siostrę bawiącą się w ogrodzie lub śpiewającą proste piosenki, których zdołała się nauczyć i gorące łzy napływały jej do oczu, bo zdawała sobie sprawę, jak wiele omijało bliźniaczkę. Nigdy nie będzie jej dane poznać całej tej nowej wiedzy i przeżyć. Jedyłą pociechą była myśl, że Dani była tak szczęśliwa, jak tylko być mogła i że Queen Ann's School rzeczywiście stała się jej domem, a personel i inni pacjenci, jej rodziną.

Daisy nie mogła regularnie odwiedzać Dani, mieszkając w Santa Cruz, ale na dłuższe przerwy w zajęciach w okolicy Bożego Narodzenia i Wielkanocy zawsze leciała do Anglii, aby się z nią zobaczyć. Letnie wakacje spędzała z Anabel w La Maree, skąd samolotem docierała do Dani w parę godzin. Podczas każdej wizyty Daisy personel robił obu siostrom zdjęcia i liczne odbitki, uzbierane przez trzynaście lat wisiały na korkowej tablicy w pokoju Dani. Często z ogromną dumą wskazywała na nie koleżankom i wychowawcom: „Widzisz Day? Widzisz Dani?” „Śliczne?” – pytała raz po raz wiedząc, że odpowiedzą: „Tak, tak, śliczna Dani, śliczna Day!”

Przez parę lat studiów Daisy otrzymywała listy od Rama, ponieważ jemu przesyłano wszystkie rachunki za jej naukę, podróże, odzież i on je regulował. Poza tym właśnie od niego dostawała czeki na życie. Daisy nie mogła tych listów rwać lub wyrzucać nie przeczytanych. Niestety, sprawy finansowe sprawiały, że nadal miał ją w garści i nie mogła się doczekać, kiedy ukończy uniwersytet, znajdzie pracę i stanie się całkowicie samowystarczalna.

W latach 1967 i 1968 listy Rama były zupełnie bezosobowe i zawiadaniały jedynie o opłaceniu różnych rachunków z zysków z jej akcji. Ale później zaczął wtrącać do swojej korespondencji niepokojąco intymne zdania. Kiedy stało się to po raz pierwszy, po wyjaśnieniu spraw finansowych, napisał: „Mam nadzieję, że nie będę karany do końca życia za swoje zachowanie w przeszłości. Bezustannie przeklinam samego siebie za to, co mogło być jedynie przypadkiem przejściowego obłąkania. " Następny z kwartalnych listów jeszcze bardziej wytrącał z równowagi: „Daisy, nigdy nie wybaczyłem sobie tego, co ci zrobiłem. Nie mogę przestać myśleć o tym, jak bardzo cię kochałem i nadal Kocham. Gdybyś tylko napisała i powiedziała, że mi przebaczasz... i że teraz jesteś już w stanie zrozumieć, że dosłownie doprowadziłaś mnie do szału, uwolniłabyś mnie od ogromnego ciężaru". Ten list przeraził Daisy nie na żarty. Zupełnie jakby Ram wyciągnął rękę i

próbował jej dotknąć. Rozglądała się po pokoju dzielonym z Kiki, który wydawał się być jedynym bezpiecznym schronieniem, drżąc na myśl, że Ram wdarł się i tutaj, jeśli nawet tylko za pośrednictwem listu.

Otwierając pierwszy list Rama w 1969 roku miała nadzieję, że brak odpowiedzi na dwa poprzednie każe mu powrócić do spraw czysto finansowych. Wręcz przeciwnie. Pisał: „Rozumiem dlaczego nie czujesz się jeszcze gotowa odpowiedzieć mi, Daisy, ale to nie zmienia moich uczuć do ciebie, ani faktu, iż wiem, że któregoś dnia muszę doczekać się szansy zdobycia twojego przebaczenia i to osobiście. Bez względu na to co myślisz, nadal jestem twoim bratem, zawsze nim będę i nic nie może tego zmienić, tak jak nic nie może zmienić moich wspomnień. Czy naprawdę potrafisz zapomnieć gaj eukaliptusowy? Czy naprawdę nie masz żadnych uczuć dla kogoś, kto kocha cię tak bardzo?”

Kiedy przyszedł następny list od Rama, Daisy nawet go nie otworzyła przed wyrzuceniem do dużego kubła na śmieci w barze kawowym. To samo zrobiła ze wszystkimi kolejnymi – nie chciała ich nawet w koszu przy swoim biurku. Pojawienie się każdego z nich w skrzynce na listy robiło na niej takie wrażenie, jak widok zwiniętego węża. Jej strach przed Ramem i wstręt do niego rosły z każdym rokiem, a jego błagalne słowa przyprawiały ją o wymioty, a także – przy całej ich pokorze – o poczucie zagrożenia.

Długie godziny introspekcji pozwoliły Daisy zrozumieć, że jej przedwczesne doświadczenia seksualne możliwe były tylko w rezultacie niedokończony żałoby po ojcu, która wtrąciła ją w stan cierpienia nad utratą części samej siebie. Rzuciła się w ramiona Rama, aby poczuć się znowu całością. Nigdy nie przestała go winić za to, nigdy nie przestała zapewniać samą siebie, że to nie była jej wina, lecz jego. Wiedziała, że nie ma powodu czuć się winną, a jednak poczucie winy ją nie opuszczało, ale wywoływało gniew, który sprawiał, że nie miała zamiaru ponownie angażować się seksualnie. Daisy otoczyła się murem i broniła się przed uczuciami seksualnymi, niosąc ze sobą ból, zażenowanie i wstyd. Wiedziała, że zachowuje się nieracjonalnie, ale jej stanu emocjonalnego nie można było rozstrzygnąć przy pomocy logiki.

Tak wypełniła sobie kalendarz zajęciami, że pochłaniały niemal całą jej energię. Poza codziennymi wykładami i regularnymi przejażdżkami, jej czas wypełniała też działalność w zespole odpowiedzialnym za dekorację sceny do niezliczonych spektakli wystawianych przez różnorodne grupy teatralne uniwersytetu Santa Cruz. Była tak pełna zapału i zawsze chętna do podejmowania na ochotnika nowych zadań, że coraz więcej pracy spadało na jej barki, aż w końcu, jesienią na drugim

roku, odpowiadała za wszystkie projekty scenograficzne. Prowadziła też zespół malarzy i techników scenicznych, tak oddany swojej wymagającej szefowej, że nazwano go „wasalami Valenskiej”. W trakcie studiów Daisy stworzyła liczne scenografie, które w wysoce profesjonalny sposób łączyły w sobie prostotę z iluzją. Poznała także różnorakie pracownice, których działalność składa się na przygotowanie spektaklu: oświetlenie, wznoszenie dekoracji, projektowanie kostiumów. Niezależnie od tego pracowała nad swoją specjalnością, którą było projektowanie scenografii. Pokochała scenę teatralną tak samo jak Kiki. Kiki, która stała się tak olśniewającą osobowością grając w jednej sztuce po drugiej, że większość ludzi, z wyjątkiem Daisy, widziała w niej barwną i pobłyskującą postać, pozwalając blaskowi przysłonić ewentualne zastanowienie się nad szczegółami składającymi się na jej charakter. Podczas gdy Kiki występowała przed publicznością, Daisy realizowała swoje poświęcenie dla sceny w pracy nad różnymi materiałami i sprawdzaniu, co można z nich wykreować. Z prawdziwą radością patrzyła na świeżo pomalowaną kotarę rozłożoną na trawie ogrodu rzeźb w piątej uczelni, którą później przekształcała przy pomocy mebli i rekwizytów w zaskakującą rzeczywistość. Z nie mniejszą przyjemnością opracowywała scenografię dla grupy baletowej, stosując jedynie przesłonę z długich sznurów ozdób choinkowych i odpowiednie ustawienie reflektorów. Nie wiedząc, jaki rodzaj pracy uda jej się ostatecznie znaleźć w teatrze, Daisy postanowiła opanować przed końcem roku tyle technik teatralnych, ile tylko było możliwe.

Wczesną jesienią, na drugim roku studiów Daisy była zaabsorbowana projektowaniem kostiumów do futurystycznej wersji *Burzy*, kiedy wpadła podniecona Kiki krzycząc:

– Hej, Daisy, gdzie jesteś? – Wbiegła do pokoju. – O, jak to dobrze, że jesteś. Posłuchaj tylko, właśnie dostałam list od Zipa Simona, szefa reklamy w firmie taty. Przyjeżdża w przyszłym tygodniu i jesteśmy zaproszone!

– A co dyrektor United Motors chce mieć wspólnego z takimi pokornymi, choć powszechnie uznawanymi za cudowne, panienkami jak my? A w ogóle to przerwałeś mi pracę. Jak, według ciebie, powinien być ubrany Prospero na statku kosmicznym?

– W kombinezon kosmiczny... odłóż to na chwilę... Już dawno mówiłam ci, że Zip obiecał mi, że kiedy tylko następnym razem będą kręcili jakąś reklamę telewizyjną gdzieś w okolicy, pozwoli popatrzeć... I właśnie mają ją kręcić w przyszłym tygodniu w Monterey. Ma wprowadzić na rynek nowy model Skyhawk. Wiesz, ten samochód, który był taką straszną tajemnicą.

– Reklama telewizyjna! Co za ohyda! Przestań się wygłupiać, Kiki – powiedziała Daisy lekceważąco.

Studenci Santa Cruz składali przysięgę, iż nie będą oglądać telewizji, z wyjątkiem paru ekscentrycznych osób, które śledziły „A świat się kręci” i uparcie twierdziły, że były dumne z tego nawyku. Jeśli chodziło o reklamy, wszystkie reklamy telewizyjne, nie znały one granic. Kiki, jako dziedziczka fortuny w Detroit, często była w kłopotliwej sytuacji, kiedy musiała słuchać wyniosłych i zupełnie niepraktycznych opinii swoich kolegów z roku na temat amerykańskiego przemysłu generalnie, a reklamy telewizyjnej w szczególności.

– Daisy Valensky! – odezwała się z oburzeniem. – Czy nie jest ci wiadomo, że Marshall McLuhan powiedział, iż historycy i archeolodzy odkryją pewnego dnia, że reklamy naszych czasów są najbogatszymi i najbardziej wiernymi odbiciami całej gamy codziennych zajęć, stworzonymi kiedykolwiek przez jakiegokolwiek społeczeństwo?

– Zmyślasz!

– Wcale nie! Zapamiętałam to, bo mam już powyżej uszu tego gadania tutaj... opowieści o wieżach z kości słoniowej... poczekaj, aż przyjdzie im znaleźć pracę, wtedy się przekonają. Och, daj spokój, Daisy, może i ty się czegoś nauczysz, jak popatrzysz jak się robi reklamę.

– No, cóż, zawsze można się czegoś nauczyć... na przykład, jak czegoś nie robić.

– Och, jesteś cholernie łaskawa. Jesteś w Santa Cruz tak długo, że mózg ci zaczyna zanikać.

– Oto słowa prawdziwej córki arystokraty z Detroit.

– Elitarna świnią!

– Kapitalistyczna maciora!

– Ja pierwsza powiedziałam świnią, więc wygrałam – powiedziała Kiki, wyraźnie zadowolona ze zwycięstwa w od dawna rozgrywanej grze obelg.

* * *

Tydzień później, na historycznym Cannery Row w Monterey, niecałą godzinę jazdy samochodem z Santa Cruz, podeszły obie do odgradzonej linkami części ulicy, wokół której zebrał się już tłumek gapiów. Gigantyczna ciężarówka z napisem „Cinemobile” stała zaparkowana nie opodal. Było też wielkie Winnebago i ciężarówka z nowym Shyhawkim, przykrytym grubym płótnem. Starszy model

Skyhawk w idealnym stanie stał na ulicy.

Kiki i Daisy ostrożnie przepchnęły się przez tłum aż do lin i przyjrzały się planowi reklamy.

– Nic tu się nie dzieje – zauważyła Daisy.

– Dziwne – wyszeptała Kiki, patrząc na tłum ludzi wewnątrz lin, zamarych w oddzielnych grupach.

Dwie z tych grup składały się z tradycyjnie ubranych mężczyzn w ciemnych garniturach i krawatach, jednocześnie mruczących coś pod nosem. Wskazała na nich wszystkowiedzącym gestem.

– Nasi chłopcy z agencji, a tamci muszą być od klienta, dawni ludzie taty.

– A to musi być ekipa – powiedziała Daisy wskazując na mieszaninę mężczyzn i kobiet ubranych w tak zszargane dżinsy, że nie wyglądałoby na gości z zewnątrz w miasteczku akademickim, popijających kawę z plastikowych kubeczków i leniwie przeżuwających pączki, jakby byli na urlopie.

Obie dziewczyny z większym zainteresowaniem spojrzały na dwoje ludzi, stojących osobno i przynajmniej dających jakieś oznaki ruchu. Byli nimi wysoki, rudy mężczyzna oraz młoda, tłuściutka, bardzo wyszukanie ubrana kobieta.

– Coś mi się tu nie zgadza – zgryźliwie odezwała się Kiki. – Widziałam już zdjęcia do reklam i wiem, że nie powinni tak po prostu stać.

– Słuchaj, nie ty tu rządzisz – przypomniała jej Daisy.

– Taak. Ale Zip Simon rządzi. Hej, Zip! Tutaj! – Kiki zawołała bez wahania, z pewnością siebie córki klienta, która może przegrać tylko z pewnością siebie żony klienta.

Niski, łysy mężczyzna oderwał się od grupy w garniturach i podszedł, aby je przeprowadzić za liny, strzeżone przez policjantów.

– Kiki, jak się masz, mała? – objął ją. – Kim jest twoja przyjaciółka?

– Daisy Valensky.

Zip Simon westchnął przygnębionym głosem.

– Cóż, dziewczęta, zdaje się, że jednak nie zobaczycie produkcji reklamy. Mamy duży, duży kłopot. Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

North jest, cholera, najlepszym reżyserem w branży i nie może przystąpić do zdjęć. To katastrofa.

– Jaka katastrofa? Ktoś zachorował? – zapytała Kiki.

– Niestety, nie... to byłoby jeszcze do zniesienia. Planowaliśmy tę pieprzoną, przepraszam, Kiki, reklamę od miesiąca, a teraz zostajemy bez planu.

– Dlaczego? – spytała Kiki.

– Przechodzi pieprzoną renowację, oto dlaczego. North skorzystał z usług biura organizującego plan i te dranie pokazały nam idealne zdjęcia, Cannery Row w pełnym rozkwicie. Jak przyjechaliśmy na miejsce, okazało się, że zrobili z niego biuro studiów projektowych, a w całym tym cholernym mieście nie ma ani jednego budynku, który wyglądałby na stary. Cholera! Przepraszam Kiki, proszę wybaczyć mój język, przyjaciółko Kiki.

– Dlaczego musi wyglądać staro? – dopytywała się Daisy.

– Bo tak jest w scenopisie – powiedział, jakby to miało im wyjaśnić wszystko co chcą wiedzieć.

– Co to jest scenopis? – zapytała Daisy. Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Taka ignorancja była wręcz niemożliwa. Ale z drugiej strony była jeszcze jedną osobą, przed którą mógł ponarzekać.

– Scenopis, przyjaciółko Kiki, to taki duży arkusz papieru z rysunkiem obrazkowym i chmurkami unoszącymi się z ust ludzi, z wpisanymi w nie słowami. Zrozumiano? Dla nas, prostych ludzi reklamy scenopis jest jak Biblia. A w scenopisie widzisz stary kabriolet Skyhawk zaparkowany przed restauracją w Cannery Row czterdzieści lat temu, rozumiesz, i para w kostiumach z tamtego czasu wychodzi i odjeżdża, potem masz jakiś śmieszny obrazek, który przechodzi w nowy model Skyhawk przed tym samym lokalem oraz parę we współczesnych strojach, która wychodzi i odjeżdża i wówczas słyszysz głos lektora, posłuchaj tylko: „The United Motors Skyhawk – najlepszy samochód, jakim można jeździć!”

– To cudowne! – zapiszczała Kiki.

– To jest perełka... proste, ale wymowne... i mamy zamiar nakręcić tę samą scenę w całym kraju w historycznych, malowniczych miejscach... a przynajmniej mieliśmy... A teraz, kto wie?

– Ale dlaczego nie możecie odnowocześnić budynku... zbudować dekoracji? – zaciekała się Daisy.

– Ponieważ nie mamy na to czasu. Jutro nowy samochód musi być w samolocie w drodze powrotnej do fabryki w Detroit na odsłonięcie podczas przyjęcia dla udziałowców. To wielkie wydarzenie, nawet nie pytajcie, ilu ludzi jest zaproszonych. I jeśli nie zrobimy tych zdjęć dzisiaj, to pierwsze zdjęcia w plenerze będziemy mieli zawalone. Czy harakiri jest bolesne?

– Och, Zip, nie bądź taki surowy dla siebie, to nie ty nawaliłeś z załatwieniem planu – czule powiedziała Kiki.

– Miałem na myśli popętnienie harakiri na Nortcie, nie na sobie.

– Który to jest North? – zapytała zaciekawiona Daisy.

Zip Simon wskazał rudego mężczyznę. – To jest ten sukinsyn, a ta panienska z nim, to jego producentka, Bootsie Jacobs.

North rozmawiał cicho oddalony ponad sto metrów od Simona, więc nie można było usłyszeć ani słowa.

– Bootsie, to było tak lekkomyślne, jak pozwolenie facetowi od ucha, nosa i gardła, aby zajrzał do dupy z latarką i stwierdził przyczynę zaczerwienienia gardła.

– To biuro organizacji planu przestanie istnieć w przyszłym tygodniu – powiedziała, poprawiając swój schludny wygląd. – Żeby tak manipulować zdjęciami sprzed dwóch lat! Dwóch lat! Zaraz, zaraz, North, to moja wina, że nie upewniłam się. Nikomu nie wolno ufać... wiem o tym, to nigdy nie zawodzi, zwłaszcza kiedy ma się klienta i jego mafię, a także agencję z jej zasrańcami, wszystkich gapiących się na uliczne przedstawienie. Wspaniale! Przecież ich jest tu dwa razy tyle co nas, nawet jeśli nie liczyć modelek, fryzjerek, charakteryzatorów... kazałam im wszystkim nie wystawiać nosa z Winnebago. Mamy dość kłopotów i bez tego... – w jej łamiącym się głosie zaczynała brzmieć panika. – Gdyby przynajmniej pozwolili nam zatrzymać tego nowego Skyhawk na parę dni, moglibyśmy pojechać do studia EUE w Burbank i tam zrobić zdjęcia, ale to jest absolutnie niemożliwe.

– Lepiej zastanów się, jak z tego wybrnąć – powiedział rozgniewany North. – To twoje zadanie, nie moje.

Frederick Gordon North był najlepszym reżyserem reklam telewizyjnych w Stanach Zjednoczonych. Był tego świadom. I byli tego świadomi wszyscy w tej branży. Co więcej, wyznaczał honorariumienne o tysiąc dolarów wyższe niż którykolwiek z innych czołowych reżyserów reklam i otrzymywał je, pracując tyle dni w roku, na ile miał ochotę. Podczas gdy takie osobistości jak Avedon, Steve Horn i Bob Giraldi, żądały od czterech do pięciu tysięcy dolarów dziennego honorarium reżyserskiego, North dostawał sześć. Nawet Howard Zeiff nigdy nie zażądał takiej sumy, choć tuż przed przejściem do reżyserowania filmów fabularnych był nie kwestionowanym królem reklamy.

Dlaczego gotowi byli płacić tak dużo? Dlaczego agencja reżyserów reklam płaciła Northowi tysiąc dolarów więcej niż innym niemal równie dobrym reżyserom? Każdy miał na to inną odpowiedź. Jedni mówili o jego „oku”, sposobie, w jaki widział jak będzie to wyglądało na ekranie, z odrobinę większą oryginalnością, odrobinę lepszą jakością wizualną niż ktokolwiek inny. Inni mówili o jego sposobie pracy z aktorami, dzięki któremu przechodzili oni samych siebie. Byli też tacy, którzy utrzymywali, iż działo się to w związku z jego niezrównanie

udoskonalonym zastosowaniem oświetlenia, a także tacy, który przypisywali to faktowi, iż w ciągu trzydziestu sekund był w stanie przekazać więcej treści niż inni reżyserzy w pełnometrażowym filmie.

Prawda polegała na tym, że wypruwał z siebie żyły. North był gotów na wszystko, żeby tylko zrobić dobrą reklamę, nawet jeśli wymagało to wyprucia żył z siebie i ze wszystkich ludzi, z którymi pracował. Nigdy nie miał sekretnego zamiaru zostania reżyserem „prawdziwych” filmów, jak miało to miejsce w przypadku większości reżyserów reklam, ani nie wzdychał za najwspanialszą fotografią artystyczną. Dla Fredericka Gordona Northa absolutnie najdoskonalszą formą artystyczną była właśnie reklama telewizyjna, bez względu na to czy trwała trzydzieści, sześćdziesiąt, czy tylko dziesięć sekund i ta zaleta bezgranicznego oddania sprawiała, że klienci przypodchlebiali mu się. Jego praca musiała być, oczywiście, perfekcyjna technicznie, ale nie w tym była przynęta... haczykiem był, od początku, zapach i widok krwi.

Daisy przestała przyglądać się Northowi i jego producentce i zwróciła się do Zipa Simona.

– Przepraszam, ale czy ma pan jeszcze inne problemy poza planem?

– Nie, tylko ten drobiazg – gorzko odpowiedział Simon. – Ale nie jesteśmy w stanie zbudować planu na jutro, a poza tym samochód wyjeżdża z samego rana, nawet gdybyśmy pracowali przez całą noc.

– Ja mogę to zrobić – powiedziała Daisy.

– Jasne. Dwie minuty temu nie wiedziałas nawet, co to jest scenopis, przyjaciółko Kiki.

– Nazywam się Daisy Valensky i prowadzę pracownię projektu scenicznego na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Cruz – odrzekła Daisy z godnością. – Dysponuję grupą czterdziestu najlepszych pracowników, którzy mogą tu być za godzinę. Wystarczy, że wykonam jeden telefon. Będą pracować przez całą noc.

– Czy to wszystko prawda? – Simon zapytał Kiki.

– Oczywiście! To profesjoniści, na miłość boską, Zip – powiedziała Kiki, z nieomylną władczością córki swojego ojca, sugerującą pewną wyższość, której Daisy nie znała, a którą Kiki potrafiła wykorzystać w odpowiednim czasie i w odpowiedni sposób.

– Ach, do diabła, Daisy, porozmawiajmy z Northern. Warto spróbować... w tej sytuacji warto spróbować czegokolwiek.

Zip Simon był tak wściekły, że gotów był zaryzykować podsuniecie tego nonsensownego pomysłu nawet Frederickowi Gordonowi Northowi. Zdjęć i tak nie

można już było bardziej spieprzyć.

North i Bootsie Jacobs z nieukrywaną podejrzliwością obserwowali ich, kiedy się zbliżali. Zip Simon, wiceprezes do spraw reklamy w United Motors nie kontaktował się z reżyserem swoich reklam bez konieczności. A w takiej chwili w towarzystwie dwóch hippisek był szczególnie niemile widziany.

– North, to jest Kiki Kavanaugh, córka mojego szefa, a twojego klienta i jej przyjaciółka, Daisy... eee... Valensky.

North zmarszczył brwi. Jeśli było coś gorszego niż obecność klienta na planie, to była to obecność córki klienta. Zaraz potem była obecność przyjaciółki córki klienta.

– Cześć. Przepraszam, że nie mamy dzisiaj czasu na pogawędkę.

Miło było was poznać. – Odwrócił się i odszedł, zostawiając po sobie wrażenie najwyższej obojętności i gniewnych niebieskich oczu.

Daisy popukała go po ramieniu.

– Panie North, mogę sprawić, że to miejsce będzie wyglądało tak, jak pan sobie zażyczy, na jutro, albo i wcześniej.

Odwrócił się i rzucił jej spojrzenie mrożącej ironii.

– Kto panią wpuścił na plan?

– Słuchaj, ta mała jest kierowniczką dekoracji sceny czy czegoś w tym rodzaju na uczelni Kiki. Ma tysiące wariatów, gotowych zbudować ci plan.

– Dzieci? – North zapytał Daisy.

– Ludzi. Dobrych ludzi. Którzy lubią pracować.

– Nie obchodzi mnie, kim są. Poważnie wierzysz, że możesz z tego budynku zrobić fasadę Cannery Row sprzed pięćdziesięciu lat przed ósmą jutro rano? – Z oburzeniem wskazał na nowiuteńką cegłę, lśniącą farbę, duże, nowoczesne okna.

– Na pewno warto spróbować – śmiało odpowiedziała Daisy.

Mówiąc to zuchwale patrzyła na Northa. Miał szokująco rude włosy, lisio chytry człowiek z długim, ostrym nosem, wielkimi, cętkowanymi, niebieskimi oczami, które mówiły jej, że jakkolwiek źle to wygląda, nie może skończyć się niepowodzeniem. Miał wyraźne, ostre rysy. W jego powierzchowności nie było nic niejasnego, okrągłego czy choćby spokojnego. Zwrócił się do Bootsie i zapytał chłodno:

– Jak myślisz?

– Złamałibyśmy mniej więcej szesnaście przepisów związkowych, które pamiętam i prawdopodobnie szesnaście innych, które w tej chwili nie przychodzą mi do głowy. Korzystanie z nie związkowej siły roboczej byłoby najdrobniejszym

wykroczeniem, choć ono samo wróży poważne kłopoty. A poza tym, co ma to dać? Przecież zajmują się tym czysto amatorsko. Chyba się zabiję – ponuro powiedziała Bootsie.

– A może pozwolilibyście nam wziąć się do pracy? – niecierpliwie zaproponowała Daisy.

– North – Zip Simon odezwał się gniewnie – nie załatwiłeś nic. Przynajmniej jest jakaś szansa, że uda nam się coś zrobić nim będę musiał załadować nowego Skyhawk na jutrzejszy samolot. Nic mnie nie obchodzi, czy sfilmujesz ten cholerny samochód do góry nogami, bokiem, czy wiszący na drzewie, twoja sprawa, ale masz to zrobić! Po to cię zatrudniłem. Nie mam zamiaru wrócić do Detroit i powiedzieć szefowi, że „tak się złożyło”, że plan akurat zmodernizowano i nie było nic, co mogliśmy zrobić. Pani Kavanaugh twierdzi, że ta młoda dama może pomóc, więc niech pomoże! Chyba, że masz jakiś lepszy pomysł. – Jego łysa głowa zrobiła się niemal purpurowa ze zdenerwowania.

Bootsie spojrzała przelotnie na Northa.

– Idź, wezwij swoją ekipę – zwróciła się do Daisy.

Jeśli Zip Simon obawiał się kłopotów, jak nie zrobią filmu, to co, jego zdaniem, czekało ją, gdyby w ogóle nie doszło do zdjęć? Bez końca błagała agencję o zgodę na wybudowanie atrapy Cannery Row na miejscu w fabryce, aby uniknąć trudności, ale nie, oni musieli mieć autentyk, pieprzony autentyk, i uparli się wysłać ekipę samolotem na drugi koniec kraju, żeby zrobić to na historycznych ulicach. Głupi, staromodny pomysł, ale w końcu jak wielu klientów zamawiało minutowe reklamy w tych czasach? I oto zjawiała się narzucająca swoją wolę córka klienta z jej pomocnymi sugestiami. Jeżeli ta wątpliwa szansa zawiedzie, czyż nie będzie to częściowo wina córki klienta, a nie tylko jej samej? Kto wie, z właściwym oświetleniem, odpowiednimi filtrami, niezmiennym lekkim powiewem... kto wie?

Daisy była już w drodze do telefonu.

Santa Cruz nie miało drużyny futbolowej, ale za to miało piekielnie rozbudowany wydział sztuki teatralnej. A Daisy dobrze wiedziała, że mają magazyn z kotarami, rekwizytami i różnymi innymi drobiazgami ze starych przedstawień *Camino Real*, *Tramwaju zwanego pożądaniem* i *Skamieniałego lasu*. Poleciała swoim ludziom przywieźć wszystko, nieważne czy będą uważali, że się przyda, czy nie, i to szybko. Kazała im stawić się w komplecie, nie tylko z malarzami scenicznymi, stolarzami i rekwizytorami, ale i z pomocnikami scenicznymi, oświetleniowcami, a nawet garderobianymi i charakteryzatorami.

Każdy mógł pomóc, nawet Kiki.

Zaroili się na planie ze wszystkim, co znajdowało się w magazynie, nie wyłączając farb i narzędzi, tak szczerze podnieceni okazją do pracy przy prawdziwej reklamie telewizyjnej, jakby ich idealistyczne widzimisię nigdy nie kazało im być ponad całą tę instytucję.

Półtorej godziny po telefonie Daisy zameldowali się u szefowej gotowi do całonocnej pracy. Dyrektor artystyczny z agencji reklamowej wręczył Daisy zdjęcia zniszczonego planu, a ona wydawała krótkie polecenia i dysponowała swoimi siłami przez długie godziny, aż do świtu. Zip Simon, dyrektor artystyczny i Bootsie nie kładli się całą noc, obserwując pracę, a obsada i ekipa położyły się spać. North flegmatycznie udał się do hotelu na kolację i wieczorny odpoczynek. Dostawcy żywności serwowali przekąski przez całą noc, a o świcie wszystko było gotowe. Nie istniejące już Monterey pojawiło się z powrotem, jeżeli nie absolutnie autentyczne co do najdrobniejszego szczegółu, to w każdym razie oddając ducha i nastrój starych fotografii. Było zbudowane tandetnie i byle silniejszy podmuch mógł je zdmuchnąć, ale jednak było. I nadawało się do użytku.

Wycieńczona, ale zbyt uradowana sukcesem i zbyt ciekawa tego, co się działo, aby odjechać, Daisy pozostała na planie przez cały czas zdjęć, niewiele z tego wszystkiego rozumiejąc. Było to tak różne od wystawienia przedstawienia, jak wystawienie przedstawienia jest różne od meczu koszykówki. Obserwowała, jak wczorajsze, popijające kawę towarzystwo zmieniło się w ekipę, jakiej jeszcze nie widziała, o tak bliskich więzach jak członkowie prymitywnego szczepu, pracującą wspólnie z taką precyzją, jaką zapewnić może tylko ogromna dyscyplina, z taką opanowaną fachowością, jakiej nie wyobrażała sobie u pracowników technicznych. Wszyscy byli satelitami Northa, który panował nad całym planem z siłą hipnotycznej energii, prowadząc próby z aktorami i nieustannie przekazując uwagi dziewczynie, która siedziała na pudle i wyglądała, jakby była przykuta do potężnego zegarka wiszącego na jej szyi.

– Tutaj mamy cztery sekundy – zwrócił się do niej. – Ile już zużyłem?

– Trzy i pół.

– Krzyknij, jak będą cztery.

Obserwując go Daisy doszła do wniosku, że ten człowiek, tuż po trzydziestce, wysoki, szczupły, napięty, był sponiewieranym poskramiaczem lwów. Nie zraziłaby go klatka pełna grzechotników, jeżozwierzy i niedźwiedzi polarnych, nie mówiąc o lwach. Niezależnie od problemu, osaczającego, polującego na zdobycz i groźnie warczącego, North nie rozstawał się ze swoim biczem i krzeselkiem,

choćby były niewidoczne i od momentu kiedy zaczął pracę, każda osoba przebywająca na planie była święcie przekonana, że ani na chwilę z nikogo nie spuszcza oka, nawet kiedy ogląda plan przez obiektyw kamery.

Ludzie klienta i ludzie z agencji zachowywali dystans podyktowany szacunkiem, coraz to spoglądając na zegarki, ale zachłystywali się elektrycznym napięciem przekleństw, szaleństwa, oświecających błysków, temperamentu, swobodnie otwieranych żył. Pracowali w przemyśle rozrywkowym, przynajmniej tak im się wydawało, ale nie zdawali sobie sprawy, że jeżeli chodzi o Northa, nie miał on nic wspólnego z przemysłem rozrywkowym, ale był wszystkim w reklamie.

Ekipa pracowała z czujnością i jednoczesnym spokojem, tak jak robią to ludzie świadomi swoich umiejętności i tego, kiedy są potrzebni, a kiedy nie. Żargon pracowników technicznych był obcy dla Daisy, nawet przy jej wiedzy na temat sztuki scenicznej, więc wiele wskazówek Northa dla aktorów brzmiało dla niej dziwnie.

– Cztery sekundy – Daisy wymamrotała do Kiki – co można zrobić w cztery sekundy?

– Sprzedać samochody – figlarnie odpowiedziała Kiki.

Słyszała Northa powtarzającego w kółko i w kółko „Gotowi... i... start!” Słowo „i” przeciągane było w sposób niemal przekraczający granice wytrzymałości. Wiele razy wydawało się jej, że wszystko poszło dobrze, ale on nigdy nie był zadowolony, po czym, niespodziewanie – był. Przymilał się, ostrzegał, zachęcał, rósł i kurczył się, stawał się gwałtownie zły, a potem nagle uprzejmy i spokojny, domagał się ciszy wrzeszcząc przerażającym głosem, a moment później, patrząc w obiektyw kamery i rozmawiając z kamerzystami, był tak swobodny jakby był sam na ulicy. W pewnym momencie, przeczesując wzrokiem plan, trafił na jej spojrzenie, niespodziewanie, wstrząsająco.

Zwracając się do pary we współczesnych strojach, która właśnie miała wsiąść do nowego Skyhawka, powiedział:

– Dobrze, teraz chodzi o to, że masz zamiar zabrać ją do domu i dać jej buzi. Sam nie byłem nigdzie od 1965 roku, ale chyba nie myślę się co do intencji.

Być może ta wskazówka brzmiała dziwnie, a jednak aktorzy przeistoczyli się w parę zakochanych, podczas kiedy przedtem byli po prostu parą.

Wszyscy pracowali bez przerwy, nawet bez lunchu, bo byli pod naciskiem konieczności odesłania Skyhawka do Detroit. Przyczepe, która miała zawieźć samochód do samolotu opóźniano do granic możliwości, aż w końcu samochód,

ponownie okryty płótnem, odjechał. Dopiero wtedy North ogłosił przerwę.

Daisy przypuszczała, że po lunchu na planie zapanuje odprężenie, skoro wykorzystali Skyhawk w pełni, tak długo jak go mieli, ale napięta presja czasu wcale nie zelżała. Przy zdjęciach do reklam czas zawsze jest wrogiem, nigdy nie jest go dość, zarówno North, jak i Bootsie musieli być z powrotem w Nowym Jorku następnego dnia po południu, aby spotkać się i przedyskutować produkcję kolejnej reklamy z następnym klientem.

W końcu North powiedział wolno. – Dobrze, kończymy.

Obsługa techniczna zaczęła demontować sprzęt, modelki zniknęły w Winnebago wraz z pomocnikami, a wielkie reflektory, kamery, sprzęt dźwiękowców oraz inne przyrządy szybko załadowano do Cinemobile. Przypominało to zwijanie cyrku i Daisy zrobiło się smutno, kiedy życie powróciło do codziennego rytmu, życie, które mierzono w sekundach i półsekundach przez caluteńki dzień.

– Hej, wyjeżdżają bez pożegnania – stwierdziła Kiki ze zdziwieniem.

– Nie, idą tutaj – powiedziała Daisy. – Jak mogliby ci nie podziękować. – North i Bootsie zbliżyli się do nich prawie biegiem.

– Upewnij się, że plan zostanie sprzątnięty i wszystko będzie wyglądało tak jak przedtem.

– Hmm... oczywiście – odpowiedziała Daisy.

– Przepraszam, ale nie możemy się spóźnić na samolot – szybko wyrzuciła z siebie Bootsie. – Byłaś naprawdę wspaniała, Daisy. Byłaby z ciebie świetna asystentka producenta, gdyby cię ta praca kiedyś zainteresowała.

– Dziękuję, ale nie, dziękuję – odrzekła Daisy.

– Chodź, Boot, nie mamy czasu na rozmowę – niecierpliwie przerwał North. – Do zobaczenia.

– Wziął Bootsie pod ramię i pociągnął ją w kierunku czekającego samochodu. Kiedy ruszyli, Bootsie powiedziała:

– Mogłeś się zdobyć na trochę więcej uprzejmości dla nich, w końcu naprawdę nam pomogły, na miłość boską!

– Nie potrzebowalibyśmy ich, gdybyś porządnie wykonała swoją robotę – North odpowiedział chłodno.

Nikt, ale to nikt nie robi na nim wrażenia, chyba że wchodząc mu w drogę, psiakrew, pomyślała zagniewana Bootsie. A wówczas lepiej być ostrożnym.

Cztery miesiące później, w lutym 1971 roku, zaledwie cztery miesiące przed końcem studiów, Daisy otrzymała list od Anabel.

Najdroższa Daisy!

Czyż to nie straszne! Jestem tak zszokowana tą wiadomością. Prawdę mówiąc, wyobrażam sobie jak Minister Lotnictwa musiał się czuć, kiedy przemawiał wczoraj w parlamencie... , , w najdzikszych snach, w najgorszych koszmarach nie przypuszczałem, że może być aż tak źle jak jest. " Mogę sobie tylko wyobrazić jak ty się czujesz... Rolls-Royce w stanie upadłości! To po prostu nie wydaje się możliwe... jeszcze trzy miesiące temu rząd obiecywał firmie ogromne sumy pieniędzy... ale kiedy zajrzeli do księgowości! Jestem oczywiście splukana, idiotka ze mnie, jeśli chodzi o finanse, ale mam nadzieję, że Ram dawno wycofał przynajmniej twoje pieniądze. Przykro mi o tym mówić, ale kiedy radził mi sprzedać udziały, uważałam, że jest za młody, aby zmieniać inwestycje Stasia, ale teraz za późno już o tym myśleć. Czy wiesz, w co włożył twoje pieniądze? Wiem, że pewnie nie powinnam zadawać tego pytania, ale wierz mi, kochana Daisy, mam powód. Chociaż twój ojciec i ja nigdy nie pobraliśmy się, czułam się odpowiedzialna za utrzymanie Danielle. Z udziałów, które mi zostawił płaciłam wszystkie rachunki po jego śmierci. Kiedy stały się bezwartościowe, udałam się do Rama. Daisy, wiem co teraz myślisz, ale to była jedyna rzecz, jaką mogłam zrobić. Musiałam mu powiedzieć... w końcu jest także jego przyrodnią siostrą. Przekonanie go o jej istnieniu okazało się praktycznie niemożliwe. I w końcu odmówił jakiegokolwiek pomocy! Powiedział, że skoro Staś nigdy nie uznał za stosowne zawracać mu głowę Dani, widać nie życzył sobie, aby o niej wiedział... Powiedział nawet, że jeśli o niego chodzi, ona zwyczajnie nie jest realna. Nie czuje się za nią w żaden sposób odpowiedzialny. A tymczasem sam tarza się w pieniądzach, dosłownie tarza się! Kategorycznie odmówił dołożenia choćby szylinga do rachunków za jej szkołę. Wybacz mi, Daisy, że mu powiedziałam, ale byłam pewna, że pomoże. Głupia, powinnam była wiedzieć.

W każdym razie będę musiała drastycznie ograniczyć wydatki. Sprzedaję dom na Eaton Square i przenoszę się na stałe do La Maree. Posiadam jeszcze parę drobniejszych inwestycji, zamierzam sprzedać obrazy oraz zwierzęta Faberge, wszystko razem zainwestować w coś bezpiecznego i żyć z tego do końca moich dni. Nawet skromny dochód powinien wystarczyć, zwłaszcza że niektórzy z przyjaciół będą mnie teraz odwiedzać na zasadzie odpłatności. Cóż, kochanie, może następnego lata coś niecoś się wyjaśni.

Ale nie mój los jest tu problemem, jakoś dam sobie radę, ale co się stanie z Danielle?

Szkoła przesała mi kwartalne rachunki opiewające na pięć tysięcy dolarów

amerykańskich i okazuje się, że w żaden sposób nie mogę zebrać takiej sumy pieniędzy. Wprost nie mogę w to uwierzyć! To mniej niż kiedyś wydawałam na bieliznę, bez najmniejszego zastanowienia. Jak łatwo popadamy w próżność. Ale niewątpliwie było to wspaniałe, póki trwało. Nie zapominaj o tym.

A teraz wróćmy do sprawy. Czy możesz przejąć część, a prawdę mówiąc, większość rachunków Queen Anne 's? Mam szczerą nadzieję, że Ram dokonał w twoim imieniu mądrej inwestycji. Ale dość tego. Jeszcze nigdy w życiu nie poświęciłam pieniądzom tylu myśli i nigdy o nich nie pisałam. Okazuje się, że jestem lekkomyślna... Jak ludzie mogą być bankierami? I pomyśleć, że muszę spędzać całe popołudnia z agentem nieruchomości z powodu Eaton Square! Stwierdziłam, że sprzedaż tego domu przychodzi mi o wiele łatwiej niż się spodziewałam... myśl o przebywaniu w La Maree przez cały rok jest ogromnie pocieszająca. Oczywiście przyjedziesz na Wielkanoc, prawda, kochanie moje? Może wszystkie jabłonie będą w kwiatach, tak jak w zeszłym roku... ale to było wczesną wiosną.

Moje najdroższe kochanie na zawsze. Je t'embrasse tres fort!

Anabel Daisy musiała przeczytać list trzy razy, nim pojęła jego sens. Od tygodni nie zaglądała do gazet, więc była to dla niej pierwsza wiadomość o bankructwie firmy Rolls-Royce. W listach, które przeczytała nim zaczęła je wyrzucać, Ram nigdy nie wspomniał, że powinna się pozbyć tych akcji i cały czas żyła w przekonaniu, że warte były mniej więcej tyle samo co w chwili śmierci ojca, a wówczas było to około dziesięciu milionów dolarów.

Daisy ze zdumieniem stwierdziła, że nie ma pojęcia, gdzie są jej pieniądze. Mimo że zerwała korespondencję z Ramem, nadal była zależna od niego finansowo. Co miał jej do powiedzenia w listach, które brzydziła się otworzyć?

Daisy usiadła przy biurku i napisała krótką notkę do Rama, prosząc o dokładne wyjaśnienie swojej sytuacji materialnej, a potem napisała znacznie dłuższy list do Anabel, wyrażając ubolewanie z powodu zmian, jakie zaszły w jej życiu, a jednocześnie zapewniając, że nie powinna się martwić o przyszłe koszty utrzymania Danielle. Od tego momentu przejmuje pełną odpowiedzialność za siostrę. Było absolutnie wykluczone, aby Anabel miała robić z siebie żebraczkę dla Dani... Jej wspaniałomyślność była już i tak przeogromna. Nie miała dotąd pojęcia, skąd pochodziły pieniądze na Dani, w przeciwnym razie dawno przejęłaby opiekę nad nią. Doskonale rozumie, dlaczego Anabel musiała powiedzieć Ramowi. Jeśli chodzi o Wielkanoc w La Maree, nawet nie przyszłoby jej do głowy pomyśleć o czymś innym.

Wysłała oba listy i szybko ruszyła do sali teatralnej. Była już spóźniona na próbę kostiumową *Hamleta*, wystawianego w konwencji pantomimy, jazzu i tańca. Wszystkie role grały dziewczyny, a Elsinore przeniesiono na wyspę Lesbos.

Czekając na odpowiedź Rama, Daisy żyła w nieustannym niepokoju, ale opanowała go i poświęciła się pracy. Pięć dni później otrzymała telegram.

W CIĄGU MINIONEGO ROKU TRZY RAZY PISAŁEM PROSZĄC O ZGODĘ NA SPRZEDAŻ TWOICH UDZIAŁÓW. NIE BYŁO ODPOWIEDZI. WIĘC ZAŁOŻYŁEM, IŻ UPARŁAŚ SIĘ JE ZATRZYMAĆ. NIESTETY, FIRMA JEST TERAZ NACJONALIZOWANA, UDZIAŁY SĄ BEZWARTOŚCIOWE, CHYBA ŻE RZĄD ZWRÓCI DŁUGI, CO JEST WĄTPLIWE, GDYŻ TWOJE UDZIAŁY NIE BYŁY PREFEROWANE. PRZEKAZYWAŁEM PIENIĄDZE Z WŁASNEGO KONTA NA POKRYCIE TWOICH WYDATKÓW PRZEZ MINIONE CZTERNAŚCIE MIESIĘCY, PONIEWAŻ DOCHODY Z ROLLSA BYŁY NIEWYSTARCZAJĄCE. MAM ZAMIAR NADAL WSPOMAGAĆ CIĘ W TEN SPOSÓB. PRZYJM TO JAKO NATURALNE Z PUNKTU WIDZENIA NASZYCH STOSUNKÓW. RAM.

Daisy upuściła telegram na podłogę i pobiegła do publicznej toalety. Czuła się tak, jakby ktoś zaskoczył ją we śnie, zadając potężne ciosy w głowę. Wbiegła do kabiny w momencie, gdy zaczynała wymiotować. Objęła chłodną miskę, jakby była jedynym już schronieniem na Ziemi. Po ustąpieniu ostatnich, suchych mdłości, jeszcze przez chwilę klęczała w ubikacji, szczęśliwie pustej, kurczowo trzymając się przyjaznej porcelany. Ciągłe czuła, że coś podchodzi jej do gardła; solidna bryła obrzydzenia i paniki, jakby embrion przylegał do jej dróg oddechowych, tak jak zwykle przylega do macicy. Obolałe mięśnie żołądka ścisnęły jeszcze jeden skurcz, ale nie przyniósł ulgi. Nie było już nic do zwrócenia, nawet odrobiny żółci. Poczucie bezpiecznego i przyzwoitego życia wyparowało wraz ze śmiercionośnymi oparami depeszy Rama. Czuła się tak jakby spadła w głąbię jednego z tych ciemnych miejsc, nieznośnie smutnych, wypełnionych niebezpieczeństwem, groźbą i lękiem przed nieznanym, miejsc, w których żyła przez tak długi czas po zniknięciu matki, po utracie Dani, po śmierci ojca. Wszystkie największe i nagłe straty jej życia zdawały się skupiać znowu w świeżo otrzymanej wiadomości. Wszystkie osiągnięte sukcesy, wszystkie konsekwentne odmowy podporządkowania się kontroli, stały się płytkie i banalne wobec świadomości, że to Ram dawał jej wszystko, za co rzekomo płaciła z własnych środków. Była teraz jego dłużniczką, a jej udziały nie były nic warte. Czemu po prostu ich nie sprzedał bez jej zgody? Zarządzając jej majątkiem mógł to zrobić i

przecież musiał wiedzieć, co się działo u Rolls-Royce'a. Czy istniała możliwość, że świadomie dopuścił do tego, aby postawić ją w sytuacji, w której teraz się znalazła? Tego nie dowie się nigdy, pomyślała, a poza tym nie ma to już znaczenia. Jakoś będzie musiała dać sobie radę. Wraz z tą myślą powrócił jej duch walki. Podniosła się, choć mięśnie i kości miała tak zdrętwiałe iż zdawało się, że przeszkadzają sobie nawzajem i podeszła do jednej z umywalek, aby umyć zęby i opłukać twarz zimną wodą. Ujrzała w lustrze własne oczy i wysiłkiem woli postanowiła nadać im wyraz niepokonanych. Wyszła z toalety i poszła do swojego pokoju pomyśleć.

Miała jeszcze cztery miesiące do dyplomu i szansę na pracę. Oznaczało to, powiedziała sobie Daisy, że nie ukończy studiów, nie stać jej było na luksus czasu. Pozostała jej jedna, jedyna cenna rzecz. Lazurytowe jajko przechowywane w pudełku w najniższej szufladzie bieliźniarki; jajko, które przekazała jej Masha będąc na łożu śmierci przed sześcioma laty; jajko, które, według Mashy, ojciec podarował matce na wiadomość iż jest w ciąży. Nadszedł czas na sprzedanie jajka; powinno wystarczyć na opłaty za Danielle na rok, może trochę więcej.

Wiedziała na temat teatru wystarczająco dużo, aby zdawać sobie sprawę, że praktycznie nie ma żadnej szansy na znalezienie w nim pracy, a jeżeli już, to w jakimś eksperymentalnym teatrzyku, w którym zarobi tyle co nic. Jedyna wzmianka o pracy jaką słyszała w ciągu minionych czterech lat, padła ostatniej jesieni, kiedy to Bootsie oznajmiła jej, że mogłaby zostać niezłą asystentką producenta. Bez względu na to, na czym dokładnie to polegało z pewnością było bardziej opłacalne niż teatr. Trzeba dowiedzieć się, jak brzmi nazwa tej agencji reklamowej od Kiki lub od tego miłego grubaska Zipa Simona, który pracuje dla pana Kavanaugha, zadzwonić do jak-jej-tam-było i poprosić o pracę. Co mam do stracenia? – pomyślała Daisy. Najgorsze co mogą powiedzieć, to „nie”. A być może powiedzą „tak”. Nawet jeżeli nigdy nie powiedzieli „dziękuję”.

Rozdział 13

– Ludzie od pokarmu dla kotów znowu dzwonili – powiedział z nadzieją Arnie Greene, dyrektor studia reklam Fredericka Gordona Northa.

– I? – zapytał North.

– Tym razem chcę sześć kawalków, trzydzieści sekund każdy, duży, duży kosztorys. Łatwe w wykonaniu, wprost nie można nie zarobić dużo kochanych pieniędzy.

– Ile razy ci mówiłem, Arnie? Żaden pokarm dla kotów! Żaden kosztorys nie jest wystarczająco duży, żeby mnie zmusić do kręcenia tego. Nie mogę na to patrzeć.

– A co mam powiedzieć tym z Weight Watchers? Chcą, żebyśmy się włączyli do ich przetargu.

– Możesz im powiedzieć, żeby się wypchali. Widziałem ich scenopis: spaghetti, cheeseburgery, kruche ciasto z truskawkami w kąpiąco jadalnych zbliżeniach ze spikerem przekonującym, że jeśli przyłączysz się do Weight Watchers, nie będziesz musiał wyrzec się ulubionych dań, a mimo to przełamiesz zwyczaj jedzenia tłustych rzeczy. I te sadystyczne dranie mają zamiar pokazywać to wieczorem po kolacji, właśnie wtedy kiedy zaczynają się orgie przy lodówkach. Nie mam nic przeciwko temu z humanitarnego punktu widzenia, ale uważam, że sama koncepcja jest z gruntu zła i póki mogę wybierać, wolę nie robić Weight Watchers.

Arnie Greene westchnął załóżnie. Do niego należało zawieranie finansowych transakcji studia i odrzucił już więcej ofert pracy niż North mógł wykonać bez rozszerzenia obecnych rozmiarów firmy, a jednak ciągle nie cierpiał odsyłać potencjalnych klientów z kwitkiem.

– Gdzie jest Daisy? – zapytał rozglądając się po sali konferencyjnej.

– Wyszła załatwić Empire State Building do reklamy lakieru do włosów Revlonu i na tym kończy tydzień, chyba nie zapomniałeś, że dziś piątek? – odpowiedział North. – A po co ci ona?

– Ma rachunki dostawców żywności. Zabrała je wczoraj do domu, żeby sprawdzić. Twierdzi, że coś nam dopisali. Nie pozwoliła mi ich uregulować, dopóki nie znajdzie co. Naprawdę, North, ona popada w paranoję, bez przerwy upiera się, że naciągają nas na żydowskich rybach. Tłumaczę jej, że musimy podawać klientom wędzonego łososa na lunch; przyjeżdżając aż z Chicago, liczą

na wędzonego łososia. Już cztery lata, a ona ciągle sprawdza te rachunki.

– Dzięki temu siedzi w domu – szorstko odpowiedział North.

Irytował się, bez żadnego konkretnego powodu, na myśl, że Daisy uparcie trwała w postanowieniu, aby czas wolny po ciężkiej pracy, w której dawała z siebie wszystko, spędzać martwiąc się o rachunki. Irytowało go to prawie tak jak weekendy, które często udawało jej się spędzać w wiejskiej enklawie miłośników koni. Dał wolną rękę Bootsie Jacobs, a ona zatrudniła asystentkę producenta, która okazała się być jakąś białoruską księżniczką otoczoną odrażającymi znajomymi z wyższych sfer. Gdyby nie to, że była tak cholernie dobra w tym co robiła, nigdy nie dałby jej stanowiska Bootsie, kiedy się zwolniło. Któż mógł się spodziewać, że Bootsie pozwoli sobie na brzuch? I zechce urodzić dzieciaka? Ale w końcu była mężatką od dziesięciu lat, więc miała prawo.

– North – powiedział Arnie podając dwa rachunki – podpisz je, proszę, i nawet nie fatyguj się ich sprawdzać.

North podpisał dwa przekazy alimentacyjne z ponurą miną. Arnie co miesiąc odbywał rytuał niefatygowania się.

– Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego ożeniłem się z dwiema najpiękniejszymi modelkami w Nowym Jorku i dlaczego obie przed upływem roku zmieniły się w znerwicowane wariatki i dlaczego teraz muszę je utrzymywać?

– Czemu mnie pytasz, czy wyglądam na psychiatrę?

– Jesteś tak podobny do psychiatry, któremu zadałem te same pytania, że mógłbyś być jego bratem... i może rzeczywiście nim jesteś, jeśli o mnie chodzi.

– No... i co miał do powiedzenia?

– Wyszedłem, zanim się dowiedziałem.

– Dlaczego?

– Zadawał za dużo osobistych pytań.

– Tak, to zrozumiałe.

Frederick Gordon North znany był wyłącznie jako North, ponieważ nie życzył sobie, aby używano któregokolwiek z imion, narzuconych mu przez rodziców dumnych ze swego starego, stosunkowo zamożnego rodu z Connecticut. Co za tym idzie zdrobnienia w rodzaju Fred, Freddy, Rick, Ricky i Gordy również nie wchodziły w rachubę. Nieśmiała próba nadania mu przezwiska Flash, które najbardziej pasowałoby do niego, przetrwała tylko jeden dzień. Rodzice uparcie nazywali go Frederick, ale był Northern nawet dla braci i sióstr, którzy zresztą mieli okazję zwracać się tak do niego tylko z okazji Bożego Narodzenia i Święta Dziękczynienia, ponieważ nie byli specjalnie zżytą rodziną, a on był najmniej

rodzinny z nich wszystkich.

Prawie od urodzenia był samotnikiem i przez lata nauki w Andover, a później w Yale, dał się zmusić jedynie do udziału w obowiązkowych zajęciach dodatkowych. Pierwszą rzeczą, jakiej zdecydował się poświęcić swoje serce samotnika była szkoła teatralna dla absolwentów Yale. Cel, jaki sobie postawił był jasny, chciał reżyserować: Szekspira, O’Neilla, Ibsena może nawet coś niewielkiego Tennessee Williamsa. Ale wyznaczył sobie drogę nie zdając sobie sprawy z własnej, wewnętrznej potrzeby utrzymywania szybkiego tempa. Przygotowanie spektaklu teatralnego zajmuje miesiące, a złośliwie skondensowany zasięg percepcji Northa wymagał szybszych rezultatów.

Krótko po uzyskaniu dyplomu spotkał doświadczonego kamerzystę reklamowego trzeciej kategorii, który zgodził się wypróbować go jako reżysera reklamy o tak niskim kosztorysie, że chcąc uzyskać jakiś dochód musiał zatrudnić ekipę i reżysera nie należących do związków zawodowych, na wytargowanych stawkach.

Ta pierwsza reklama, trzydziestosekundowy przerywnik lokalnego programu wykonany dla sieci sklepów z przecenioną odzieżą, porwała Northa tak zdecydowanie, jakby była to szansa współpracy z Lordem Olivierem w Old Vic. Znalazł swoje *metier*, swój środek przekazu, którego rytm współgrał z jego pulsem, biciem serca i wewnętrznym okiem. Przekonawszy się co naprawdę chce robić, North bezlitośnie machnął rękę na największe arcydzieła światowej dramaturgii i skierował się prosto na Madison Avenue, gdzie spędził cztery lata opanowując sztuczki techniczne pod okiem Steve’a Elliota, dziekana reżyserów reklam, skrzypka, operatora buldożerów, człowieka renesansu. Steve wraz z bratem Mikiem znalazł się wśród pierwszych ludzi, którzy otrzymali uprawnienia operatorskie we wczesnych latach pięćdziesiątych. Bracia Elliot założyli Elliot, Unger and Elliot – firmę, która później przekształciła się w EUE/Screen Gems, ówczesnego i dzisiejszego giganta przemysłu produkcji reklam.

W wieku dwudziestu pięciu lat North rozpoczął życie na własną rękę, przez pierwszych sześć miesięcy żyjąc z oszczędności wykorzystując wszystkie kontakty jakie nawiązał w EUE, dopóki nie zdobył kilku drobnych zleceń. Mając zaledwie trzydzieści lat osiągnął szczyt. Kiedy Daisy zaczynała dla niego pracować, miała ledwo skończone dziewiętnaście lat, a on trzydzieści dwa. Był jędzowatym, kłótliwym, niecierpliwym perfekcjonistą o nadzwyczajnym talencie i równie zadziwiającym wdzięku, który okazywał jedynie od czasu do czasu, w trakcie nieuniknionych kontaktów towarzyskich z najważniejszymi klientami i znacznie

częściej, w trakcie rozmyślnych kontaktów cielesnych z długą kawalkadą ślicznych kobiet, z których dwie mylnie ocenił i poślubił. W małżeństwie nie udzielał się bardziej niż wówczas, gdy ojciec zapisał go do drużyny harcerskiej, ale przynajmniej udało mu się uniknąć posiadania dzieci, co Arnie Greene często przypominał mu przy okazji podpisywania czeków alimentacyjnych.

– Przynajmniej nie płacisz na utrzymanie dziecka, odpukaj w niemalowane.

Upewniwszy się, że pan Jones, nadzorca platformy widokowej Empire State Building nie będzie stwarzał już problemów, Daisy udała się do mieszkania, które dzieliła z Kiki w śródmiejskiej dzielnicy SoHo.

Nadejście wiosny miało w sobie coś, co wprawiło ją w nastrój wspomnień, którego nie stonowała nawet podróż metrem. Trudno jej było uwierzyć, że od wyjazdu z Santra Cruz minęły już cztery lata.

Bootsie Jacobs natychmiast odpowiedziała na jej list. Nie tylko mieli zajęcie dla jeszcze jednego asystenta producenta, ale wręcz rozpaczliwie go potrzebowali. Kiedy Daisy poznała tajniki tego zajęcia, przekonała się, że ta desperacja była ciągła i w pełni uzasadniona, jako że mało kto wytrzymywał tę niesamowicie wymagającą i marnie płatną pracę dłużej niż dwa miesiące. Ona jednak nie miała wyboru. Nie należąc do związków zarabiała sto siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo, pracując co najmniej dwanaście godzin dziennie, ale wystarczało to na życie i pozwalało oszczędzić pieniądze na rachunki Danielle, pod warunkiem ograniczenia potrzeb prawie do zera. Był to styl życia, który doskonaliła tak długo, dopóki nie przybrał wręcz artystycznej formy. Oczywiście, bez trzydziestu tysięcy dolarów, jakie otrzymała za lazurytowe jajko, nie byłaby w stanie pokryć rachunków bez znalezienia dodatkowego źródła dochodów. Dzięki Bogu, myślała Daisy, za dzieci na kucykach.

Pamiętała jak to się zaczęło. Jock Middleton, który grywał w polo z jej ojcem, otrzymał list od Anabel z prośbą o dopilnowanie Daisy w Nowym Jorku. Zaproponował jej spędzenie weekendu z jego rodziną w Far Hills, rejonie New Jersey zwariowanym na punkcie koni, który właściwie powinien należeć do Kentucky. Daisy zapakowała swój strój jeździecki w nadziei, że może znajdzie się jakiś koń odpowiedni dla niej i spędziła przemiłą sobotę, jeżdżąc konno z wnukami państwa Middleton. Przy wystawnej kolacji tego wieczoru pani Middleton przedstawiała ją wszystkim jako księżniczkę Daisy Valensky. W niedzielę Daisy naszkicowała najstarszego wnuka państwa Middleton na jego kucyku jako prezent

dziękczynny i podpisała się tak, jak zawsze podpisywała się pod swoimi pracami, po prostu „Daisy”.

Parę tygodni później otrzymała list od pani Middleton. Rysunek tak bardzo się podobał, że ciekawa była czy Daisy zgodziłaby się wykonać podobny portret dziesięcioletniej córki sąsiadki, Penny Davis? Pani Davis gotowa była zapłacić pięćset dolarów za rysunek lub sześćset pięćdziesiąt za akwarelę. Pani Middleton wyjaśniała, że niechętnie zgodziła się wspominać o pieniądzach córce księcia Stasia Valensky'ego, ale pani Davis nalegała. Pani Middleton czerwieniła się ze wstydu czyniąc taką komercyjną propozycję, ale sąsiadka nie dawała jej ani sekundy spokoju. Wystarczyło, że Daisy powie nie i więcej nie będzie jej zawracała głowy.

Daisy pospieszyła do telefonu, aby przyjąć propozycję żalując, że nie może zasugerować portretu olejnego i zażądać stu dolarów więcej. Nie, lepiej nie... nie miała pieniędzy na kupno farby olejnej i płótna.

Każdy dobrze wykształcony, zdolny artysta potrafi narysować konia, ale tylko osoba obdarzona dodatkowymi umiejętnościami jest w stanie uchwycić ruchy, pozy, różnice anatomiczne i zróżnicowanie kolorów, tak aby jeden koń wyglądał zupełnie inaczej niż drugi. Daisy rysowała konie i jeździła na nich przez większość życia. Jeśli chodzi o dzieci, rysowała je również, i to tysiącami, przez wszystkie te lata, kiedy wykonywała rysunki dla Dani. Ponadto uczęszczała na zaawansowany kurs malarstwa portretowego w Santa Cruz. Szkic wnuka Middletonów ujawnił wrodzony głęboki talent, który miał nadać jej jeździeckim portretom żywotną jakość sympatii i bezpośredniości.

Kiedy Daisy stawiała się w domu państwa Davis, większym i bardziej luksusowym Monticello, została przedstawiona Penny Davis, która była już ubrana w swój najlepszy strój jeździecki. Daisy spojrzała na sztywny wyraz twarzy dziewczynki i jej spozregawcze oczy.

– Pomyślałam, że zjemy razem lunch, nim pani zacznie, księżniczko Valensky – powiedziała pani Davis. – Pewnie ma pani ochotę na krwawą mary po podróży tutaj.

– To bardzo miłe z pani strony, ale tak naprawdę najpierw wolałabym pojeździć z Penny – odpowiedziała Daisy.

Nie zamierzała pracować z modelką, która nie tylko była przygnębiająco nieśmiała, ale w dodatku nie miała najmniejszej ochoty na pozowanie do portretu.

– Ale co z lunchem?

– Damy sobie radę. Penny, może przebrałabyś się w dzinsy i pokazała mi

stajnie?

Kiedy dziewczynka wróciła, wyglądając odrobinę mniej skrępowanie, Daisy wyszeptała do niej:

– Czy tu gdzieś w pobliżu jest McDonald's?

Penny szybko obejrzała się, żeby sprawdzić czy matka mogła to słyszeć.

– Jest tylko pięć minut stąd, jeśli przejechać konno przez wieś. Ale nie wolno mi tam bywać.

– Ale mnie wolno. A ty jesteś przede mną zaproszona. Chodźmy!

Oczy dziewczynki rozbliły, kiedy patrzyła zaskoczona na Daisy.

– Czy naprawdę jesteś księżniczką?

– Jasne. Ale dla ciebie jestem Daisy.

– Czy księżniczki lubią McDonalda?

– Nawet królowie lubią McDonalda. Chodź, Penny, zabieram cię na ucztę do wielkiego Maca.

Penny poprowadziła przez pola i płoty. Po dziesięciu minutach i podwójnej firmowej porcji Daisy wiedziała, że Penny uważa pozowanie do portretów za nudne. A co gorsza, kto chciałby do końca życia oglądać własny portret z aparatem ortodontycznym na zębach?

– Penny, obiecuję ci, przysięgam, że nie namaluję aparatu. Ścisłe rzecz biorąc, namaluję cię tak jak będziesz wyglądała po zdjęciu aparatu... ze wspaniałym uśmiechem. Poza tym, pomyśl o tym inaczej: na takim portrecie koń jest tak samo ważny jak człowiek. Za rok czy dwa będziesz zmuszona sprzedać Pinto, bo przecież rośniesz, ale będziesz ją miała na obrazie na wieczną pamiątkę. Hej, chcesz jeszcze jedną porcję... boja tak. Dobra, może uda mi się ich namówić, żeby dali nam więcej sosu.

– A oni tam w domu mają pstrąga w galarecie na lunch.

– No, no, no! Ciekawe co ma być na kolację?

– Pieczona kaczka... bardzo wystawnie... mama zaprosiła niemal wszystkich znajomych.

– No cóż – filozoficznie zareagowała Daisy. – Lepsza już kaczka niż pstrąg.

Tego popołudnia dziewczynka chętnie i swobodnie pozowała, a Daisy wykonała kilkadziesiąt szkiców, pracując nad uchwyceniem naturalnych, spontanicznych gestów i charakterystycznych cech Penny Davis. Zrobiła jej także sporo zdjęć polaroidem wypożyczonym ze studia. Miały posłużyć jej jako wizualne wsparcie do akwareli, którą planowała namalować w domu. Szkicując dłonie Penny trzymające lejce, błogosławiła zajęcia z anatomii, na które uczęszczała, tak

jak po raz kolejny błogosławiła ograniczenia istniejące przy wykonywaniu portretów jeźdźców, które wykluczały całą gamę pól i pozycji. Szkicowała rozluźniona, bez napięcia, nie martwiąc się o perfekcję, ale próbując oddać więź panującą między dzieckiem i jego kucykiem.

W niedzielę, w drodze powrotnej z posiadłości państwa Davisów, wieziona przez ich szofera, Daisy przypomniła sobie, że podczas wystawnej sobotniej kolacji pani Davis, tak jak poprzednio pani Middleton, uroczyście i poważnie przedstawiała ją jako księżniczkę Daisy Valensky. Po czterech latach w Santa Cruz, gdzie żyła po prostu jako Valensky, Daisy niemal zapomniała o posiadanym tytule. Bez wątpienia, był to atrybut powodzenia, przynajmniej w świecie właścicieli koni. Ponieważ portrety dzieci na koniach były najbardziej opłacalnym sposobem, w jaki mogła spożytkować swój talent, Daisy zaciskała zęby i wykorzystywała finansową wartość tytułu księżniczki co do grosza. Kiedy skończyła akwarelę Penny Davis, podpisała ją wyraźnie i czytelnie „Księżniczka Daisy Valensky”. Dawało to sześćset pięćdziesiąt dolarów dla Danielle.

Wiadomość o jej talencie powoli rozeszła się, wędrując z ust do ust i po szkicu dla państwa Middletonów i propozycji pani Davis, Daisy zaczęła otrzymywać zamówienia na portrety dzieci na kucykach. Jej ceny stale rosły. Teraz, po czterech latach, Daisy mogła już sobie pozwolić na zażądanie dwóch tysięcy pięciuset dolarów za akwarelę. Pieniądze te zaczęły napływać tuż przed wyczerpaniem się gotówki za jajko Faberge i były na wagę różnicy między posiadaniem środków pozwalających na utrzymanie Danielle a przymusem zwrócenia się do Rama z prośbą o płacenie za nią, bez względu na to, czego by to wymagało. Daisy nigdy nie przyznała się Anabel, skąd pochodziły jej pieniądze, ponieważ nie chciała przyznać się, że po bankructwie Rolls-Royce'a została bez grosza. Nie zdradziła również nikomu w studiu, dlaczego tak często lata na weekendy do Upperville w Virginii, Unionville w Pensylwanii i posiadłości w pobliżu Keeneland w stanie Kentucky. Wiedziała, że uchodzi wśród nich za pełnoprawnego członka towarzyskiej elity właścicieli stajni, ale sumiennie wykonując swoje obowiązki uważała, że nie powinno ich obchodzić co robi w wolnym czasie. Naturalnie Kiki, która widziała ją wieczorami wykańczającą akwarele, wiedziała o jej zajęciu, a w pewnych kręgach posiadanie portretu własnego dziecka na kucyku, autorstwa księżniczki Daisy Valensky stało się symbolem statusu społecznego.

Zmuszona do opuszczenia Santa Cruz i podjęcia pracy, Daisy w końcu powiedziała Kiki o Danielle. Nie było innego sposobu na wyjaśnienie, dlaczego

rzuca studia zaledwie na cztery miesiące przed ich końcem, niż powiedzenie prawdy, albo przynajmniej jej części.

Pamiętała tę scenę, kiedy opowiadała dziwną i smutną historię, wywołując wszelkiego rodzaju reakcje na ujmującej, łobuzerskiej twarzy Kiki. Niewiara, zaskoczenie, współczucie, oburzenie i ciekawość następowały niemal błyskawicznie jedno po drugim. Daisy przewidywała dwa pytania, o których wiedziała, że przyjaciółka musi je zadać, gdy tylko pojmie realia całej tej historii.

– Ale dlaczego Ram odmawia utrzymywania Danielle?

– To jego sposób na odegranie się na mnie. Swego czasu poważnie i nieodwołalnie pokłóciliśmy się na temat spraw rodzinnych i nic nie może tego zmienić czy też sprawić, że się zaprzyjaźnimy. Możesz mi wierzyć, to jest skończone. A zresztą, on i tak nie uważa Dani za swoją siostrę, nigdy jej nawet nie widział. To wykluczone.

– Więc pozwól, że ja ci pomogę. – Kiki, ostrzeżona tonem Daisy, zrozumiała, że nie należy wścibiać nosa w charakter kłótni rodzinnej.

– Wiedziałam, że w końcu to powiesz. Po pierwsze muszę zrobić to sama, ponieważ będzie to rzecz permanentna i nawet ty, przy całej swojej hojności, nie możesz brać na siebie czyichś krewnych na nieokreślony czas. Ale nie jestem aż tak dumna, żeby odmówić kilkusetdolarowej pożyczki do momentu, kiedy dostanę pierwszą wypłatę.

Ale nie przewidziała ostatniej reakcji Kiki.

– Ja też rzucam uczelnię, pojedziemy razem – oświadczyła, kiedy Daisy udało się wytłumaczyć, że nie zgadza się, aby przejęła na siebie utrzymywanie Dani.

– Nigdy. Wykluczone. Nie ma mowy! Nie zgadzam się być powodem, dla którego nie zdobędziesz w końcu jakiegoś dyplomu. Twoja matka nigdy by mi tego nie wybaczyła. Ale wynajmę jakieś mieszkanie wystarczająco duże dla nas obu i jak tylko skończysz rok, powitam cię z otwartymi ramionami i połową rachunku za wynajem, także wstecz. To tylko cztery miesiące. Umowa stoi?

– Chryste, ależ jesteś apodyktyczna – poskarżyła się Kiki. – Ale ja płacę za meble? Przynajmniej tyle?

– Połowę.

– Zapewne będą pochodzić z Armii Zbawienia?

– Chyba że namówisz matkę, żeby przysłała nam co nieco ze swoich niepotrzebnych rzeczy. Każdy, kto przemeblowuje dom raz do roku musi mieć zbywające sprzęty. Cała rzecz polega na tym, że będziemy przyjmować darowizny, tak jak każda zasługująca na nie organizacja, ale nie przyjmujemy żadnych

pieniędzy, bo to daje ludziom prawo do narzucania nam postępowania. Zrozumiałaś?

– A będziemy mogły przyjąć pieniądze z okazji Bożego Narodzenia i urodzin?

– Zdecydowanie. I nigdy nie pójdziemy na kolację z kimś, kto nie będzie za nią płacił. Nie ma mowy o jakichś tam „każdy płaci za siebie”. Wspólnie przywrócimy lata pięćdziesiąte.

Wchodząc na trzecie piętro nędznego budynku na rogu Prince Street i Greene Street, w którym wynajmowały mieszkanie, Daisy poczuła zapach świeżo upieczonego ciasta. Dzisiaj mamy bułeczki z cynamonem, pomyślała. Jeszcze piętnaście lat wcześniej SoHo uważane było za handlową dzielnicę ruin numer jeden. Teraz było wrzącym, dumnym przyczółkiem artystycznej cyganerii, rozwijającym się miasteczkiem artystów, gdzie obowiązywała moda poplamionych farbą kombinezonów, bez względu na to – jak zauważyła Kiki – czy miało się kiedyś pędzel w rękę, czy nie.

Ale w końcu to właśnie Kiki dokonała odkrycia, że garderobę należy dostosowywać do otoczenia w miejscu pobytu. W rezultacie śmierci babki, która nie mogła nastąpić w bardziej odpowiednim momencie, Kiki stała się wystarczająco zamożna, aby zostać stałą odtwórczynią głównych ról, producentką i właścicielką prywatnego teatru o nazwie Hash House, który nie miał nic wspólnego z Broadwayem. Innymi słowy, SoHo widziało w niej połączenie Ethel Barrymore i Sary Bernhardt. Ubierała się odpowiednio do spektaklu, nad którym w danej chwili pracowała. Ostatnia premiera, *The Lament of the Pale Purple Faggot*, przyciągała sporo widzów, zwłaszcza w weekendy, kiedy to mieszkańcy lepszych dzielnic przyjeżdżali zobaczyć co słyhać u ludzi sztuki. Obsadziwszy się w roli jedynej zaufanej kobiety protagonisty, Kiki od paru tygodni paradowała w lawendowym kostiumie gimnastycznym, różowych rajstopach oraz fiołkoworóżowym boa i wyglądała w tym tak dobrze, że budziła powszechny podziw.

Daisy przekreśliła klucz, otworzyła drzwi i rozejrzała się. W mieszkaniu nie było nikogo. Oznaczało to, że Kiki nie wróciła jeszcze z teatru oraz że najprawdopodobniej zabrała ze sobą Tezeusza. Łaskawie godził się spędzać dni leżąc na twardej poduszce u stóp Kiki lub łażąc za nią po całym teatrze. Szalał z radości, kiedy Daisy wracała do domu, ale zabieranie go na plan było wykluczone. Stół dostawców żywności zostałby opustoszozony zanim pierwszy zaspany pomocnik sceniczny zdążyłby rano poprosić o kanapkę.

Mieszkanie Daisy i Kiki w SoHo nie było jednym z ogromnych poddaszy,

tworzonych przez wielu artystów w miejsce nadzianych żelazem i naśladowujących styl pałacowy budowli. Było to mieszkanie średnich rozmiarów w nędznym budynku, który wyróżniał się dzięki istnieniu niewielkiej galerii sztuki na parterze. Ale było spore; wystarczająco duże, aby pomieścić przestronny pokój dzienny, trzy sypialnie, atelier Daisy, stosunkowo sporą kuchnię i dwie łazienki, w których, niestety, od dawna nie wymieniano rur. Jeśli chodzi o wystrój, można go było określić jedynie jako zmienny. Czasami znajdowały się tam przedmioty z przedstawień Kiki; drobiazgi od okolicznych handlarzy rupieciami; a także eleganckie meble z Grosse Pointe. Jedynymi trwałymi elementami były kominek, materiały, których Daisy używała przy pracy, w miarę przyzwoite łóżka i malowidło ścienne, jakim jeden z ich przyjaciół udekorował pokój dzienny w przypływie natchnienia: scenka pasterska, w której Tezeusz popełnia wszelkiego rodzaju przestępstwa na terenie licznych gospodarstw wiejskich. Ani Daisy, ani Kiki nie miały instynktu gospodyń i kiedy nie były zaproszone na kolację do lokalu, a to zdarzało się rzadko, kupowały sobie coś do zjedzenia w pobliskich delikatesach. Kiedy miały ochotę na śniadanie, udawały się do straganu za rogiem, na którym sprzedawano pączki i kawę za pięćdziesiąt pięć centów i, nie wiadomo dlaczego, orzechy kokosowe.

Daisy usiadła z westchnieniem ulgi na najnowszej kanapie, pokrytej brązową satyną i solidnie wypchanej, którą niedawno przysłała im matka Kiki. Za każdym razem, kiedy otrzymywały taką przesyłkę, natychmiast sprzedawały stare meble. Eleanor Kavanaugh dziwiła się, że potrzebowały tak ogromnej ilości rzeczy, ale powtarzała z dezaprobatą, że prawdopodobnie Kiki robi z nich użytek w tym swoim teatrze... Dzięki Bogu, babcia Lewis zmarła nie dowiedziawszy się, na co pójdą jej pieniądze. Chociaż, gdyby żyła nie byłoby... Och, nieważne, wystarczyło nie wtajemniczać jej we wszystkie okropne szczegóły.

– Jest naprawdę zachwycona – stwierdziła Kiki. – Wiem, że chwali się mną w klubie... nazywa mnie patronką sztuk pięknych.

Chwilę później Daisy wstała z wygodnej kanapy i zdjęła kurtkę baseballową. Kupiła ją, gdy tylko zaczęła pracować jako asystentka producenta dla Northa. Pierwszego ranka pojawiła się w najnowszych, świeżo wyprasowanych dżinsach, najlepszym kaszmirowym golfie i żakiecie w kratę, który wykonano dla niej przed laty w Londynie.

- O, nie! – zasyczała Bootsie na widok Daisy.
- Co się stało? – zapytała zaalarmowana Daisy.
- Chryste, czy musisz nosić takie starocie?

– To mój najstarszy żakiet.

– Właśnie o to mi chodzi, głuptasie. To cuchnie. A poza wykonywaniem obowiązków musisz także poświęcić jak najwięcej czasu na zaprzyjaźnienie się z ekipą, żeby mieć pewność, że powiedzą ci wszystko, co powinnaś wiedzieć. Ja zdecydowanie nie mam na to czasu. Będziesz zasypywać ich pytaniami od rana do wieczora i będziesz zależna od ich dobrej woli. Są słodcy jak miód jeśli widzą, że ktoś potrzebuje ich pomocy, a w tej chwili na pewno nie wyglądasz jak pracująca dziewczyna, która tej pracy potrzebuje. Ten żakiet świadczy o tym, że jeździsz konno, że jeździsz od lat, że gdzieś tam masz także lepsze stroje jeździeckie, których najprawdopodobniej stale używasz. A oni są przewrażliwieni na tym tle. Więc pozbądź się go!

– Ale ty też jesteś ubrana modnie i w drogie rzeczy – zaproponowała Daisy.

– Ja jestem producentką, dziecino, mogę nosić co mi się podoba.

– Mając teraz pracę Bootsie, płatną czterysta dolarów tygodniowo, Daisy nadal wkładała kurtkę baseballową od czasu do czasu. Przypominała jej pierwsze szalone miesiące, kiedy, zgodnie z przewidywaniami Bootsie, biegała od jednego pomocnika scenicznego do drugiego, od dźwiękowca do asystenta operatora, od fryzjerki do scenografa, od rekwizytora do realizatora scenariusza, zadając pytania, które teraz wydawały się głupie i zapisując wszystkie odpowiedzi w małym notesie. Ta kurtka zdobywała jej przyjaciół, pomagała nawiązać dialog, stwarzała niezliczone okazje do wspólnego, nostalgicznego wspomnienia ulubionej drużyny. Dzięki niej stała się jednym z nich, wtedy kiedy rozpaczliwie tego potrzebowała.

Spojrzała na zegarek. Za godzinę zostanie zabrana na kolację do La Grenouille, a po niej na premierę nowego musicalu Hala Prince'a. Jej gospodyni pani Hamilton Short mieszkała w ogromnej posiadłości w Middleburgu i miała troje dzieci, z których żadne nie zostało namalowane przez Daisy... na razie. Godziny Kopciuszka, pomyślała i niechętnie wstała i poszła do swojego pokoju, aby rozpocząć przeistaczanie się z pracującej kobiety w księżniczkę, a w gruncie rzeczy z pracującej kobiety w pracującą kobietę.

Ram skończył trzydzieści lat. Mieszkał w idealnym domu na Hill Street, o krok od Berkeley Square, w domu urządzonym przez Davida Hicksa z surowym kawalerskim przepychem. Był członkiem White's Club, absolutnie najekskluzywniejszego klubu brytyjskich gentlemanów, do którego dostać się można było z najwyższą trudnością, a także członkiem Mark's Club, prywatnej restauracji, w której bywała najdoskonalsza i najbardziej uprzywilejowana młoda

elita Londynu. Garnitury, z których każdy kosztował dziewięćset dolarów, szyte były przez firmę H. Huntsman and Sons, najlepszego krawca w Anglii, podobnie jak wszystkie stroje jeździeckie. Uważany był za jednego z najlepszych strzelców na Wyspach Brytyjskich i posiadał dwie dubeltówki, wykonane dla niego na miarę przez firmę James Purdey and Sons, która istniała już w czasach króla Jerzego III. Wykonanie ich trwało trzy lata i kosztowały razem tysiąc pięćset dolarów, ale warte były, zdaniem. Rama, oczekiwania. Jego buty pochodziły oczywiście od Lobba i kosztowały od dwustu pięćdziesięciu dolarów za parę wżwyż, zależnie od fasonu i jakości skóry. Jego głównym zainteresowaniem było kolekcjonowanie rzadkich książek, a nieco mniej ważnym – nabywanie awangardowych rzeźb. Nosił białe jedwabne pizamy oblamowane stonowanym kolorem wina burgundzkiego, grube jedwabne szlafroki i koszule z najlepszej bawełny z Sea Island, wszystkie szyte na zamówienie w firmie Turnbull and Asser. Te szyte przez firmę Sułka uważał za wulgarne. Nigdy nie wychodził z domu bez parasola z Swaine, Adeney, Brigg and Sons. Zrobiony był z czarnego jedwabiu, a rączka i trzonek wyrzeźbione były z jednego kawałka wyjątkowej jakości amerykańskiego orzecha białego. Postanowił darować sobie kapelusze, może za dziesięć lat, ale na razie nie, z wyjątkiem wędkowania, jazdy konnej i żeglowania, a ciemne włosy strzygł w kameralnej atmosferze wiekowych, wyłożonych drewnem pomieszczeń u Trumpera na Curzon Street. Kolacje jadał poza domem, z wyjątkiem niedziel.

Imię Rama często pojawiało się w przesłodzonych rubrykach towarzyskich pisanych przez „Jennifer”, a drukowanych przez magazyny *Harper's* i *Queen*. Jennifer niezmiennie opisywała go jako „szczególnie przystojnego i absolutnie czarującego księcia George'a Edwarda Woodhilla Valensky'ego”. Równie często wspomniano go w świadomie złośliwej rubryce Nigela Dempstera w *Daily Mail*, gdzie czasami nazywany był „ostatnim, śmiemy mieć nadzieję, z Białorusinów”, chociaż Ram nie robił tajemnicy z faktu, iż postanowił nie wstępować do Ligi Monarchistycznej, prowadzonej przez markizę z Bristolu. Nie widział żadnego interesu w przynależności do grupy, którą traktował jako zasadniczo frywolną, ani też nie zależało mu na ocieraniu się o arcyksiężęta na wygnaniu, którzy, nawet gdyby mogli okazać się krewniakami, niemal na pewno byliby w potrzebie. Jego zmysł interesu pozwolił mu zwielokrotnić majątek. Ram był pełnoprawnym partnerem w truście inwestycyjnym Lion Management Ltd. , który odniósł imponujący sukces w nadzorowaniu decyzji o przeznaczeniu ogromnych sum pieniędzy z funduszy emerytalnych związków zawodowych i korporacji na wymagające śmiałej wyobraźni i rentowne inwestycje międzynarodowe.

Kiedy nabrał ochoty na spędzenie weekendu w którejś z wiejskich posiadłości, jakie, pomimo podatków, nadal istnieją w Wielkiej Brytanii, wystarczyło, że podniósł słuchawkę i zadzwonił do jednego z paniątek, których znał z Eton. Było równie wiele uduchowionych i godnych pożądaniami młodych piękności roku 1975, które z radością zaprosiłyby go do swych łóżek. Ram należał do niewielkiej grupy bogatych i dobrze urodzonych młodych mężczyzn, których nazwiska pojawiały się na wszystkich listach najatrakcyjniejszych kawalerów do wzięcia w Anglii.

Jednakże jego status w społeczeństwie brytyjskim nie miał nic wspólnego ani z pieniędzmi, ani z tytułem. Był on zasługą nieodzownej rzeczy, której akurat nigdy nie pożył w młodości – ziemi. A ziemię odziedziczył po rodzinie ze strony matki, rodzinie, której dorastając właściwie nie uznawał. Matka była jedynym dzieckiem w nie posiadającej tytułu rodzinie Woodhillów z Woodhill Manor w księstwie Devon. Byli to spokojni właściciele ziemscy, którzy żyli w tym samym miejscu od czasów podboju normańskiego i z góry patrzyli z pasterską pewnością siebie na wszystkich parweniuszy, bez względu na to czy byli nowo kreowanymi lordami, których tytuły nie sięgały wstecz dalej niż do osiemnastego wieku, czy też magnatami handlowymi, których majątkom Anglia zawdzięczała swą wielkość w erze wiktoriańskiej. Dla Woodhillów, wszyscy oni byli „straszliwie nowymi” ludźmi.

Wszyscy byli zgodni, że najważniejszą rzeczą w przypadku Valensky'ego był fakt, iż po śmierci dziadka odziedziczył Woodhill Manor, wraz z dziewięciuset akrami wiejskiej posiadłości. To właśnie prawo własności do tego kawałka Anglii czyniło Rama tak samo wartościowym kawalerem jak księżę Michael z Kentu; Nicholas Soames, wnuk Sir Winstona Churchilla; markiz z Blandford, który pewnego dnia miał stać się dwunastym księciem Marlborough; oraz Harry Somerset, następca księcia Beaufort. Bez Woodhill Manor i jego ładnych pól majątek i tytuł Rama zawsze byłyby nieco „zagraniczne”, ale wsparte uspokajającą trwałością pozycji Woodhill Manor w hrabstwie, zasługiwały na pełne uznanie.

Ram codziennie stawiał się w swoim miejskim biurze i ciężko pracował. Do domu wracał piechotą, uważając spacer za niezbędną dawkę ruchu, przebierał się do kolacji, oddawał się rozrywce zaplanowanej na dany wieczór, wypijał trochę alkoholu, wracał do domu o przyzwoitej godzinie i szedł do łóżka. Z rzadka korzystał z telefonu, aby załatwić sobie weekend na wsi i tylko od czasu do czasu prosił jakąś młodą kobietę o wpuszczenie do łóżka. Jeśli już mu się to zdarzyło, nigdy nie ponawiał prośby, nie chcąc zachęcać do kłopotliwego przywiązania lub czynić fałszywych nadziei. Gdyby miał kota, to by go skopał.

W okolicy trzydziestych urodzin Ram postanowił, że powinien zastanowić się nad poślubieniem jakiejś odpowiedniej osoby. Nie od razu, ale z czasem. Rozglądając się po sali klubu White's, gdzie zaprosił na kolację swojego partnera, zauważył jak bardzo wieczorna atmosfera klubu różniła się od tłocznej, wesołej pory lunchu. Zajętych było niewiele stolików, a często siedzieli przy nich samotni starsi panowie, o wiele za bardzo zainteresowani swoim winem i posiłkiem, żeby zrobić na nim wrażenie przyzwoitych. Ram nie życzył sobie takiego losu. Zaczął rozważać kandydaty liczyh panien do wzięcia w rzetelny, pozbawiony humoru, praktyczny sposób, typowy dla jego postawy obserwatora z zewnątrz.

Ram doskonale zdawał sobie sprawę, że nawet będąc bardzo atrakcyjnym kawalerem, nie był zbyt lubiany. Nie wiedział dlaczego, ale nie przypisywał temu specjalnego znaczenia. Jedni spędzają czas ciesząc się sympatią, inni mają ważniejsze rzeczy do zrobienia. Tak czy inaczej, darzono go sporym szacunkiem i to było dla niego ważne, najważniejsze.

Za każdym razem kiedy zdjęcie Daisy pojawiało się w *Vogue* lub jakichkolwiek innych pismach angielskich, francuskich czy amerykańskich, które wyrywkowo śledziły jej sobotnio – niedzielne wypadu na imprezy jeździeckie, Ram spoglądał na nie z gorzką dezaprobatą. Nieodparcie brzydziła go jej praca dla Northa. Była to dziedzina, którą uważał za trywialną, pospolitą i zasługującą na pogardę. Jego zdaniem Daisy zasługiwała na większą dyskryminację w życiu towarzyskim. Kiedy ktoś ze znajomych zaczynał wypytywać go o nią, z bólem oświadczał, że jest tylko przyrodnią siostrą, nie płynie w niej ani trochę brytyjskiej krwi i że nic nie wie o jej życiu towarzyskim, które zresztą w ogóle go nie obchodzi. Gdyby nie sny o Daisy, sny o miłości: beznadziejnej, nieprzemijającej, trawiącej, niszczącej i nigdy nie słabnącej miłości, nieustannie męczącej go tydzień po tygodniu, rok po roku, byłby w stanie sam uwierzyć w to co mówił znajomym. Jakże pragnął jej śmierci!

Rozdział 14

Sale konferencyjne zwykle są zaprojektowane tak, aby robić wrażenie, ale niewiele z nich było tak wymownych, pomyślała Daisy, jak ta w studiu Fredericka Gordona Northa. Zawsze bawiło ją rozglądanie się po niej i podziwianie celowej przestrzenności i pozbawionej ozdób surowości umyślnie nieciekawej, gołej ściany z cegieł wybielonych wapnem i gołej drewnianej podłogi, pokrytej czarnym błyszczącym lakierem. Nikt, kto ma choć trochę wrażliwości nie mógł nie poddać się powściągliwemu luksusowi chromowych krzeseł Knolla pokrytych cynowym zamszem oraz ascetycznej bryle wielkiego gołego owalnego stołu konferencyjnego z białego marmuru. Ze swojego miejsca przy stole North mógł posługiwać się ukrytą konsoletą i przez naciśnięcie odpowiedniego przycisku sygnalizować operatorowi w kabinie na zewnątrz, kiedy ma wygasić światła na sali, opuścić ekran z sufitu i kiedy zacząć wyświetlać film. Było to urządzenie, które rzadko zawodziło w zmuszeniu najbardziej obytych klientów do poprawienia się na krzesłach i skupienia uwagi. Sala konferencyjna znajdowała się na najwyższym piętrze trzykondygnacyjnego budynku, który kiedyś służył jako szkoła muzyczna, a położony był na wysokości numerów osiemdziesiątych, między Alejami Pierwszą i Drugą. Przed siedmiu laty North kupił go i zaadaptował na jedno z niewielu prywatnych studiów reklam w mieście. Parter i pierwsze piętro składały się na jedno wielkie studio dźwiękowe, które można było wykorzystać na tysiąc sposobów. Tylko najwyższe piętro służyło jako biura. North był również właścicielem kamer, reflektorów i całego pozostałego sprzętu. Ponieważ niemal wszyscy reżyserzy reklam musieli wliczyć koszty wynajmu studia i sprzętu przy każdym przetargu na zlecenie, a większość agencji reklamowych żądała co najmniej trzech ofert na każde zamówienie, jakie składano, North zawsze był w stanie złożyć korzystniejszą ofertę i zdobyć każdą reklamę, na której mu zależało, a przy tym gwarantował spory profit, pomimo swych wysokich honorariów..

Jesienią 1975 roku, sześć miesięcy po zdjęciach do reklamy lakieru do włosów, w sali konferencyjnej odbywała się ważna narada. Przed przystąpieniem do pracy nad przeciętną reklamą North spotykał się zwykle tylko z Daisy i Arnie Greenem, ale tego dnia zażądał obecności wszystkich ważniejszych pracowników studia, aby odbyć pierwszą sesję poświęconą planom związanym z reklamą Coca-Coli, która miała ukazać się z okazji świąt Bożego Narodzenia.

W tym czasie Daisy знаła wszystkich zgromadzonych tak dobrze, że czuła się

jakby byli wręcz przedłużeniem jej samej. I tak, był tam Hubie Troy, niezależny projektant sceniczny, z którym North współpracował tak często, że właściwie można go było traktować jak jednego z członków personelu; dwaj młodzi asystenci producenta podlegli Daisy, obaj niedawni absolwenci Uniwersytetu Princeton, którzy opanowawszy tajniki zawodu, czy przynajmniej dokonawszy próby ich opanowania, poszukają sobie lepiej płatnej pracy; Alix Updike, jej asystentka odpowiedzialna za garderobę i obsadę, wysoka, spokojnie ubierająca się, skromna dziewczyna, która kiedyś kierowała rubryką poświęconą bieliźnie w piśmie *Glamour*; oraz Wingo Sparks, dwudziestodwuletni kamerzysta na pełnym etacie, ubrany w drelichowe nieprasowane spodnie, jakie nosili studenci Ivy League i wyplamioną bluzę tenisową, wystrzępioną w sześciu miejscach. Daisy była pewna, że sam powyciągał z niej nitki.

Wingo był absolwentem Harvardu, synem jednego z najwybitniejszych kamerzystów i bratankiem drugiego z nich. Gdyby nie te koneksje rodzinne, nie byłby w stanie dostać się do związku kamerzystów, tak szczerze kontrolowanego jak średniowieczne cechy. Odpracował konieczne pięć lat jako asystent wuja nim otrzymał własną legitymację związkową. North niezmiennie wolał pracować z młodymi ludźmi, ponieważ byli podatni na jego nawet najdziwsze nowatorskie pomysły i chociaż jako właściciel całego przedsięwzięcia miał prawo osobiście obsługiwać kamerę bez konieczności posiadania legitymacji związkowej, nie lubił czuć się odpowiedzialny za różnorodne decyzje techniczne będąc w zapale filmowania, kiedy to musiał skoncentrować się na aktorach i mieć kontrolę nad całością planu.

Pełen uczucia wzrok Daisy spoczął na Arniem Greenie, dyrektorze generalnym, który spędziwszy większą część życia zawodowego w zatrudniających czterysta osób studiach EUE, teraz stał się częścią „butik” Northa. A jednak wielu liczących się dyrektorów w branży wolało współpracować z małymi firmami i choć Daisy wiedziała, że Arnie nienawidzi określenia „butik”, słowa, które było absolutnie nieodpowiednie dla studia minimetrażowych filmów, przyjęło się ono w całym środowisku związanym z produkcją reklam.

W końcu wzrok Daisy padł na przesadnie elegancką postać, etatowego pełnomocnika Northa, o przezwisku Nick-the-Greek który pracował w komisji załatwiającej nowe zlecenia. Z tego co Daisy wiedziała, Nick był jedynym człowiekiem na tym stanowisku w Nowym Jorku, który trafił do branży reklamowej przez rzut wilgotną piłką baseballową. W połowie lat sześćdziesiątych, kiedy wszystkie agencje reklamowe posiadały własne drużyny i zawzięcie

konkurowały ze sobą, autor tekstów reklamowych w Doyle, Dane Bernbach dowiedział się o pewnym portorykańskim uczniu szkoły średniej, który cieszył się mianem najlepszego rzucającego zawodnika na północ od 125 Ulicy. Po szkole przyjął go na okres próbny do pracy w agencji tylko po to, by go pozyskać dla drużyny. Ale Manuel bystrym okiem przyjrzał się działaniu agencji i spodobała mu się ona o wiele bardziej niż perspektywa życia w hiszpańskiej dzielnicy Harlem. Wysoki, przystojny nastolatek ochrzcił się Nick-the-Greek i oto teraz zarabiał ponad sto tysięcy dolarów rocznie, nosił garnitury w cenie siedmiuset dolarów każdy, codziennie spacerkiem udawał się na lunch do „21” i zdobywał najcenniejsze zlecenia z taką łatwością, z jaką gad łapie muchy językiem. Z klientami obchodził się tak delikatnie jak karnak z królewskim słoniem podczas polowania na lwy w Indiach.

W chwili kiedy North zamierzał przywołać wszystkich do porządku, Nick zabrał głos.

– Drodzy *companeros*, mam tu wyniki ostatniego sondażu Gallupa – powiedział wyjmując wycinki z *New York Timesa* i pokazując je.

– Streszczaj się, Nick – powiedział Arnie wiedząc, że gdy Nick-the-Greek zacznie mówić, zwykle traci się mnóstwo czasu.

– Chwileczkę! Nie zrozumiałeś. To dotyczy nas wszystkich, Arnie. Ci z was, którzy cierpicie na Żydowską Winę, Włoski Wstyd lub Amerykańską Degradację Klasową, usiądźcie spokojnie, por favor i posłuchajcie uważnie. Ten sondaż dotyczy uczciwości i etyki w różnych zawodach, widzianej oczami reprezentantów społeczeństwa amerykańskiego.

– To nie ma nic wspólnego z Coca-Colą, Nick – niecierpliwie wtrącił się North. – Więc może poszedłbyś powalczyć? Nie masz jakiegoś głodnego bogatego, potencjalnie intratnego klienta, którego powinieneś zaprosić na lunch? *Vamonos*, mamy robotę do wykonania.

– Ale dopiero jak wysłuchacie moich dobrych wiadomości – powiedział Nick, który, tak jak wszyscy pełnomocnicy, uważał za punkt honoru zrobić z siebie o wiele większą osobistość od pracodawcy, który go zatrudniał.

Pełnomocnicy Nowego Jorku, mafia supersprytnych, ultramodnych sprzedawców, uważali, że byli tym w porównaniu z rzeczywistymi producentami reklam, czym rosyjskie charty są dla stadka kundli.

– Tak więc kler, posłuchajcie tylko, pierwsze miejsce w sondażu.

Następnie są lekarze i inżynierowie. Z dwudziestu zawodów, dwudziestu, przedostatnia pozycja przypadła czemuś co nazwano „uprawiający reklamę”. To

oznacza nas, *companeros*, zarówno chłopców, jak i dziewczęta. Czterdzieści trzy procent pieprzonej amerykańskiej publiczności dało nam bardzo, bardzo niską ocenę, za – przypomnę – „wzorce uczciwości i etyki”. Jedyni ludzie, których umieszczono niżej to sprzedawcy samochodów! Nawet urzędnicy państwowi są wyżej niż my! Czy nikt z was nie uważa, że powinniśmy zaprotestować? Urządzić marsz na Waszyngton, zamieścić reklamy w gazetach i wyjaśnić, jacy jesteśmy czyści, uczciwi, patriotyczni i zwyczajnie po domowemu dobrzy? Moim zdaniem nie wolno nam siedzieć tutaj i dać się tak postponować. Ludzie, nie ma w was ani trochę dumy? Ani moralnego oburzenia? Czy naprawdę nic to was, do cholery, nie obchodzi? Tego nie można tak po prostu zostawić.

Jego nienaganne zęby lśniły na tle śniadej twarzy, kiedy stał z pozornym spokojem słuchając wybuchu pohukiwania, okrzyków i gwizdów, które wypełniły salę.

– Nick, jako człowiek, który cierpi z powodu Greckiego Pożaru, chociaż nigdy nie był w Atenach, będziesz musiał okazać oburzenie za nas wszystkich. Wynoś się! Główni kelnerzy świata nie mogą się już ciebie doczekać – stanowczo polecił North.

Po wyjściu pełnomocnika, Arnie Greene odezwał się z urazą:

– Jak to się dzieje, że jest tak dużo procesów sądowych o niewłaściwe leczenie, skoro lekarze plasują się tak wysoko?

– I tak nikt nie przywiązuje żadnej wagi do sondaży Gallupa. – Na moment na twarzy Northa pojawił się chytry uśmiech. – Daj spokój, Arnie. Teraz, kiedy nasz piękniś wybył, porozmawiajmy może dla odmiany o reklamie. I ostrzegam was, każdy, kto nie będzie robił notatek, pożałuje tego. Jest to dziewięćdziesięciosekundowa reklama, przy której dzieło Maxa Rhinehardta będzie wyglądało jak chałtura. Co więcej, Luke Hammerstein stawia na humor, a ponadto mają zamiar nie pokazywać produktu, co sprawi, że będzie to coś zupełnie innego, niż to co robią wszyscy inni.

– Nie pokazywać produktu? – Arnie Greene zapytał z takim zdziwieniem, że głos mu zapiszczał.

– Nie, nie pokazywać go i nie wspominać o nim przez całe przekłete półtorej minuty! A pod sam koniec usłyszymy Helen Hayes mówiącą „Bez względu na to, jak twoja rodzina spędziła Wigilię Bożego Narodzenia, Coca-Cola życzy wam świątecznych dni przez cały rok”.

– Czy wspominałeś coś o humorze? – zapytała Daisy.

– Owszem, Luke nazywa to „drugą stroną Bożego Narodzenia” i jest poważnie

podniecony swoim pomysłem. Luke przekonał Coke do zrezygnowania z dużego montażu typu świąteczne kolacje w całej Ameryce, mieszane narodowości, czyli typowa środkowoamerykańska scena ziejąca nudą, a w miejsce tego udało mu się sprzedać im swój pomysł. Czy nie mówiłem wam zawsze, że jest najlepszym dyrektorem artystycznym w świecie?

– Tak, tylko że wy dwaj zwykle nie potraficie razem pracować. Bez przerwy skaczecie sobie do oczu – powiedziała Daisy, nadal nie całkiem przekonana.

– Fakt. – Nort spojrzał na nią, niezadowolony, że mu przerwała. – Luke jest moim bliskim przyjacielem, ale jest przekonany, i niestety, przekonanie to podziela większość ludzi w agencji, że ogólne pojęcie jest tym, co sprzedaje towar i że to pojęcie zaczyna się i kończy na – agencji. Jeśli o nich chodzi, reżyser po prostu realizuje i ożywia to pojęcie. Moim zdaniem zarówno pomysł, jak i sposób w jaki go realizuję, dają właściwy rezultat... poziom mojego gustu, jeśli możecie wybaczyć mi to wyrażenie. Dlatego się kłócimy. Ja chcę być doceniony za mój wkład, Luke chce być doceniony za swój i niestety, dodane jeden do drugiego tworzą cholernie dużo więcej niż sto procent. Ale ta reklama to czysty przypadek. Luke potrzebuje mojej pomocy. I wie o tym! Z tym scenopisem, jaki tu mają, to może być tylko albo łagodny chichot, albo pieprzona klasyka. – Ostre rysy twarzy Northa, jego nos, który kończył się tak gwałtownie, nawet piegi, wszystko wydawało się drzeć z zapału.

North już słyszał szum tłumu pod namiotem cyrkowym, był już prawie gotowy na chwilę, kiedy wejdzie do klatki i pokaże tym potworom, kto tu rządzi. Daisy widziała go już w tym stanie, i to wiele razy, ale po raz pierwszy zobaczyła go tak podnieconego wyzwaniem.

– Czy można zapytać co to jest „druga strona Bożego Narodzenia”? – zapytał Wingo, jak zwykle cedząc słowa.

– To jest właśnie gówno, które ma największe powodzenie, trzydzieści sekund za kulisami przedstawienia o narodzinach Chrystusa w szkole podstawowej, trzydzieści sekund z ośmioosobową rodziną pakującą się do pięcioosobowego samochodu z nieporęcznymi prezentami, nartami i czym tam jeszcze i w końcu trzydzieści sekund zwykłego, odrażającego dramatu ubierania przeklętej choinki i różnych innych możliwych niepowodzeń. Zaczyna docierać? I delikatna, delikatna sprzedaż. Coka nie chce wtrącać się w specjalne programy świąteczne CBS-u, i dlatego, Arnie, nie pokazujemy produktu.

– Czy kręcimy coś w plenerze? – zapytał Hubie, cały czas szkicujący coś w bloku, z którym się nie rozstawał.

– Nie, dzięki Bogu, całość robimy w studiu. Hubie, masz nie jedno-, nie dwu-, ale trój – policz dobrze – trójścienne plany do zbudowania. Nikt nie widział trójściennych planów w użyciu od roku, więc znikaj, wiesz co masz robić. Weź kserokopię scenopisu.

– Chcę mieć wszystko w średniej klasie, ale ładne i autentyczne, tak cholernie autentyczne, żeby czuć zapach choinki, zapach dzieciaków za kulisami, a nawet zapach samochodu, w którym siedzi za dużo ludzi.

Po wyjściu Hubiego North spojrzał surowo na pozostałych członków swego audytorium i kontynuował:

– Daisy i Alix, uważajcie teraz. Obsada będzie miała tutaj naprawdę zasadnicze znaczenie, wiecie jak zwykle wyglądają reklamy Coca-Coli, wszyscy od stóp do głów przesadnie amerykańscy, za dużo zębów, tak dużo blond włosów, że modelki mogłyby na nowo zaludnić Skandynawię. Tego nie chcę. To ma być inne, nie sprzedajemy Coki, aby was uczynić popularnymi czy szczęśliwymi, sprzedajemy te śmieszno-straszne głupstwa, które zawsze robimy w okolicy świąt i mówimy ludziom, że może powinni spróbować śmiać się z tego. Więc nie obsadzajcie typowo amerykańskiej królowej balu maturalnego. Większość ludzi i tak popada w depresję w okresie Bożego Narodzenia na widok całego tego przepychu. Do dziecięcej sceny narodzenia Chrystusa nie chcę Jamie'ego z popularnego serialu czy małego Rusty'ego z pasty do zębów Crest, chcę mieć prawdziwe dzieciaki, krótkowzroczne, grube, z krostami, zasmarkane. Róbcie odskoki na bok przy obsadzie, nie patrzcie tylko na wprost, pochylajcie się, najniżej jak możecie. Nie patrzcie tak na mnie. Myślicie, że nie wiem, jak bardzo utrudni to pracę? Cholera, dziewczyny, jeżeli dzieciak nie potrafi usiedzieć spokojnie, skupić się i robić co mu się każe, to wychodzą z tego domowe, amatorskie zdjęcia. To ryzyko, które decyduję się podjąć, bo to ma wyglądać jak prawdziwy świąteczny spektakl w prawdziwej szkole, nie jak raj reklamy telewizyjnej.

– North – odezwała się podejrzliwie Daisy – to wszystko naprawdę jest w scenopisie, jesteś pewny, że chcesz przygarbione dzieci? Coca-Cola zawsze stawia na ludzi wyglądających dużo ładniej niż ci w prawdziwym życiu.

– Daisy, mogłabyś zrobić mi małą przysługę? Przestań mi się przeciwstawiać – odciął się poważnie rozgniewany. – Ten scenopis wymaga tuzina dzieci, dobrze przemieszanych, trojga czarnych, pięciorga białych, wszystkich kolorów włosów, dwojga o urodzie orientalnej i dwojga o południowoamerykańskiej. Do pozostałych trzydziestosekundowych scen będziecie potrzebowały dziewięć osób do ubierania drzewka i osiem jako rodzinę w samochodzie, plus psa, dużego i naprawdę groźnie

wyglądającego, potężne, śliniące się, obrośnięte psisko... żaden ładny piesek... a także dziewięciomiesięczne dziecko. Znajdźcie mi najspokojniejsze dzieci – na świecie... pamiętajcie, że nie możemy trzymać ich zbyt długo w światłach, więc może być potrzebna rezerwowa dwunastka. Sprawdźcie to. Ale przyprowadźcie mi choć jedną znajomą twarz, a łby wam poukreca! To ma być kolęda bożonarodzeniowa Dickensa pośród bożonarodzeniowych reklam.

Arnie Greene podniósł oczy ku niebu. Wiedział co może się zdarzyć, kiedy North jest naprawdę podniecony pracą. Żeby nie wiem jak zapewniał, że pracuje w reklamie, a nie w przemyśle rozrywkowym, mogli bez końca dyskutować nad kosztorysem, żeby wypracować dokładnie to, czego chciał, a i wtedy nie ustępował nawet na centymetr. Nie znał znaczenia słowa „nieźle”. Cóż, jest właścicielem, w tym roku zarobią wystarczająco, żeby mógł się trochę pobawić.

– Wingo – Nort zwrócił się do młodego kamerzysty – w trzech studiach w Hollywood kręcone są w tej chwili filmy. Możesz mieć kłopoty ze skompletowaniem takiej ekipy jakiej potrzebujemy, więc rusz tyłek i zacznij wydzwaniać. Powiedz im, że to jest robota na cztery dni, a zaczynamy równo za dziesięć dni.

– Cztery dni... od kiedy przestały nam wystarczać trzy na zrobienie dziewięćdziesięciu sekund? – zakwestionował decyzję Wingo.

– Z dziećmi, psami i niemowlętami? Przeciągnie się do czwartego dnia, to nieuniknione. A jeżeli powiesz, że trzy dni, czwartego mogą mieć już coś innego. Jakby ci się podobało, gdybyś stracił ekipę przed końcem roboty?

– Sama myśl – powiedział Wingo – nie jest zbyt atrakcyjna.

– Więc co tu jeszcze robisz?

– Świetne pytanie – powiedział pogodnie, wstając z krzesła. – To wszystko brzmi o wiele łatwiej niż będzie wyglądało w wykonaniu, North, ale przynajmniej Luke nie zażądał od nas „wyglądu Roberta Altmana”, choć oczywiście nie wątpię, że i to byś mu obiecał.

Nim Wingo doszedł do drzwi North dosięgnął go jeszcze jednym bodźcem.

– Wingo, młody człowieku, jedna z sekretarek powiedziała mi, że ta twoja dama o imieniu Maureen wydzwaniała do ciebie co dziesięć minut. Może byś zadzwonił do niej, żeby się od nas odczepiła?

– Przykro mi, ale dziś rano nie mam czasu na towarzyskie pogawędki, szefie – odpowiedział Wingo i cicho zamknął za sobą drzwi.

– Ten chłopak daleko zajdzie – powiedział North z satysfakcją. – Podoba mi się jego pieprzone samozaparcie.

– Jasne, że ci się podoba, pomyślała Daisy, u mężczyzny. Ale gdyby tylko kobieta tego spróbowała, nie tylko zagroził jej ukłuceniem łba, ale wydrzesz jej serce i zjesz je na śniadanie.

– Daisy – powiedział North – jutro idziemy do agencji na spotkanie z Lukiem i jego ludźmi. Czy myślisz, że mogłabyś postarać się wyglądać jak dama, a przynajmniej jak kobieta? – Z nieomylną dezaprobatą spojrział na zwyczajowy, roboczy strój Daisy.

– Zrobię wszystko co mogę, ale nie daję żadnej gwarancji, nie przy pieniądzach, jakie mi płacisz – odcięła się Daisy.

Nigdy nie przestało ją irytować, że choć była „producentką” reklam i kierowała koordynacją wszystkich szczegółów podczas wszystkich zdjęć, ponieważ jej fachu nie chroniły związki zawodowe, zarabiała mniej niż wszyscy inni. North jak zwykle zignorował jej uwagę, odmawiając przyjęcia do wiadomości, że strój Daisy nie był wcale zły.

Krótko po wciągnięciu się do nowych obowiązków zorientowała się, że ponieważ zawsze był ktoś, kto potrzebował jej pomocy w rozwiązaniu jakiegoś problemu, dzinsy i robocza bluza sprawiały, iż niełatwo było wypatrzeć ją wśród ubranych w drelichy członków ekipy. Dopasowała sobie strój, który miał trzy zalety: był tani, praktyczny i świetnie widoczny. Przy chłodnej pogodzie nosiła marynarskie spodnie z grubego płótna, w jakie marynarka amerykańska wyposażona była w czasie drugiej wojny światowej, z trzynastoma guzikami. Latem chodziła w białych marynarskich spodniach z rozszerzonym dołem nogawek. Do tych spodni miała z tuzin chłopięcych bluz rugby w tak liczne paski i w tak jaskrawych kolorach, jakie tylko udało jej się znaleźć. W wielkim brudnym studiu zawsze chodziła w tenisówkach i grubych, białych skarpetach, a włosy spletała w jeden gruby warkocz, który co prawda opadał jej na jedno z ramion, ale przynajmniej nie zasłaniał twarzy.

Jeśli życzysz sobie damy, North, pomyślała, to zaprezentuję ci taką damę, że oczy ci zbieleją. Narada skończyła się, kiedy Daisy planowała w co się ubierze następnego dnia; staromodny kostium, wysokie obcasy i staranny kok, a także rękawiczki, ty skończony draniu.

Narzekając na Northa w myślach Daisy niezmiennie nie mogła wyjść z podziwu, kiedy zdradzał jeden nowy pomysł po drugim i zdawał się mieć niewyczerpane ich zasoby poukładane w głowie. Największą pochwałą, na jaką potrafił się zdobyć po zakończeniu pracy nad skomplikowaną i trudną reklamą było: „Prawdopodobnie da to efekt”. A jednak dla tych paru słów, jak amazonka

przygotowująca się do olimpiady, skłonna była spróbować skoku przez każdy płot, nie zważając na jego wysokość. Była w stanie zrozumieć, myślała w chwilach bezstronności, dlaczego tak wiele modelek z uporem powtarzało jak piorunująco, niebiańsko atrakcyjny był jej szef, ale w końcu one nie znały go tak dobrze jak ona. Jak miały sobie wyobrazić, że był twardym człowiekiem, pozbawionym ludzkiego ciepła? Ale przy tym wszystkim Daisy nie była w stanie powstrzymać się aby nie zrobić wszystkiego, żeby tylko zadowolić go swoim poświęceniem dla pracy. Przez minione lata opanowała swoje zadania, nabrała wprawy i teraz z prawdziwą przyjemnością przystępowała do pracy, do każdego wypełnionego, przygotowanego, dobrze zorganizowanego dnia zdjęć składającego się z mnóstwa elementów, które bez niej nie stworzyłyby całości. Szczyciła się momentami olśniewającego natchnienia, pozwalającymi jej wybrnąć z nieuniknionych nagłych komplikacji, które zdawały się być na porządku dziennym podczas każdego nagrania. Przy całej swojej skromności wiedziała, że jest bardzo, bardzo dobra w tym co robi. Szlag by go trafił, żeby chociaż raz to przyznał!

Nieczęsto zdarza się, aby twórczy ludzie, którzy robią reklamy telewizyjne, mieli okazję do złamania przepisów. Zwykle pracują zamknięci prawie całkowicie w świecie, w którym ciekła zaprawa murarska może zniszczyć życie kobiety, podczas gdy idealnie białe zęby mogą zagwarantować jej miłość i szczęście; w świecie, w którym poranek jej męża może zostać zepsuty przez filiżankę zbyt słabej kawy, a jednak jego męskość oceniana jest zależnie od ulubionego gatunku piwa; zamieszkiwali wszechświat, w którym gęste, falujące włosy są największym życiowym skarbem, a spocone pachy nieustannie czającym się niebezpieczeństwem; terytorium, na którym najlepsi przyjaciele istnieją tylko po to, aby wygłosić krytyczne uwagi, a wybór takiego a nie innego tamponu stanowi różnicę między beztróską, atletyczną egzystencją a życiem w stanie bezustannego niepokoju. Jest to świat pełen zagrożeń, w którym jedyną prawdziwą nadzieją jest właściwe ubezpieczenie na życie lub komplet wzmocnionych stałą opon radialnych; świat nie kończącego się wysiłku fizycznego, w którym przemile kobiety żyją z wyrokiem dożywocia spędzanego na przygotowywaniu nieskazitelnie czystych podłóg i sedesów, a nawet idealnie czystych brudów do prania; świat, w którym ludzie uzależnieni są od zażywanego żelaza, zapewniającego im żywotność, nie bardzo wyglądają na wiek uprawniający do głosowania; w którym w najlepiej zaopatrzonej apteczce z pewnością zabraknie tego jedyne leku, który mógłby sprawić, że ból głowy lub zwykłe przeziębienie staną się nie tylko znośne, ale wręcz przyjemne. Świat ten, przestając być

przerazającym, zapelnia się zwodnym tłumem zbyt bogatych ludzi spędzających niemożliwie rozkoszne chwile w jakichś bardzo odległych zakątkach globu, a wszystko to dzięki płynowi po goleniu lub odpowiedniej pasteli do powiek. W krainie reklamy wykorzystanie sprośności do sprzedania zapalniczek do papierosów nie jest niczym złym, w końcu nie mogli mieć na myśli niczego nieprzyzwoitego, kiedy radzili „tylko Bic wypełni cię ogniem”, nieprawdaż? Ale reklamy biustonoszy nie mogą pokazywać kobiet w stanikach, pępki nie istnieją, a ciężarna kobieta może nigdy nie okazywać chęci na kontakt fizyczny z mężczyzną, nawet z własnym mężem. Jest nawet przepis zabraniający kobiecie ssać palec wskazujący przed kamerą. Śpiewające koty zapewniały sprzedaż pokarmu dla kotów lepiej niż jakakolwiek inna reklama, a twórczy ludzie reklamy tworzyli swoje dziełka oblani zimnym potem z powodu lęku i niepewności, nie wiedząc czy nowy pomysł zrobi z nich bohaterów, czy też stracą przez niego pracę. Wraz z rosnącą popularnością reklam dziesięciosekundowych i przy wynikach badań dowodzących, że widzowie nie zapamiętują reklam z więcej niż jedną informacją oraz cenach za jedną sekundę programu w godzinach największej oglądalności sięgających setek tysięcy dolarów, możliwość popełnienia kosztownego błędu wielokrotniała, a wraz z nią rosła skłonność do unikania ryzyka.

Luke Hammerstein namówił swych szefów, aby zgodzili się na jego intuicję w przypadku świątecznej reklamy Coca-Coli, a intuicja mogła oznaczać klęskę. Gdyby ktoś powiedział Luke'owi Hammersteinowi, kiedy był szalonym, wyróżniającym się absolwentem szalonej i wyróżniającej się Szkoły Sztuk Pięknych na 23 Ulicy w Nowym Jorku, że pewnego dnia będzie całkiem zwyczajnie wysyłał swoje najoryginalniejsze pomysły, aby stanęły przed starannie dobranym gronem w Audience Survey, Inc. , zanim nawet podejmie decyzję czy z nich skorzystać, czy nie, przyjąłby to z szyderstwem i gniewem. Ale wówczas były wczesne lata sześćdziesiąte, kiedy to cudowne dzieci w edwardiańskich ubrankach były wychwytywane przez duże agencje reklamowe i bezpośrednio po szkole zaczynały pracę jako asystenci reżyserów w czasach reklam typu zbudujmy-igloo-na-pustyni-Mojave-i-zobaczmy-czy-się-stopi, których koszty nie odgrywały roli. Wielu z tych cudownych chłopców nie przetrwało nowych warunków lat siedemdziesiątych, w których trzeba było liczyć się z pieniędzmi i włożyć o wiele więcej wysiłku w sprzedaż. Luke przewidział zmianę ducha reklam na długo zanim nastąpiła i natychmiast zmienił swoje wymuskane stroje na szyte na miarę garnitury z dopasowanymi kamizelkami, zaczął nosić porządne niebieskie koszule z wykrochmalonymi kołnierzykami i francuskimi mankietami oraz wpinać szpilkę

w krawat, a także zapuścił idealnie przystryżoną bródkę w stylu van Dyke'a, która jego ascetycznym rysom dodała nieco autorytetu. Dystygowana prezencja młodego wykładowcy z Oxfordu zastąpiła wdzięki, jakie rozwinął w sobie awansując w zawrotnym tempie z asystenta dyrektora artystycznego na dyrektora artystycznego, a następnie na kierownika artystycznego i w końcu szefa pionu artystycznego, w którym podlegało mu pięćdziesięciu ludzi i poprzez który nadzorował osiemdziesiąt milionów dolarów rocznego budżetu. Luke Hammerstein, jedyny syn w konserwatywnej niemiecko-żydowskiej rodzinie inwestorów i bankowców był prawdziwą gwiazdą na Madison Avenue, nawet jeżeli jego matka, uważając reklamę za rzecz niepotrzebną i pospolitą, nigdy w to nie uwierzyła.

Luke zorientował się od samego początku, że jeśli chce się awansować z pozycji dyrektora artystycznego agencji reklamowej, trzeba być nie tylko dobrym dyrektorem, ale także źródłem oryginalnych pomysłów, autorem tekstów, sprzedawcą i ekspertem w dziedzinie środków masowego przekazu i badań socjologicznych.

Luke przechodził twórczą rewolucję w momencie kiedy w agencjach dominacja autorów słów przeszła na autorów obrazu. Wywindował się na pozycję o ogromnej potędze. Ale żadna potęga nie utrzyma się przy życiu na Medison Avenue, jeżeli nie sprzeda swojego wyrobu. Szansa zrobienia reklamy Coca-Coli bez konieczności zapewnienia sprzedaży produktu sprawiła, iż Luke był rozluźniony i tak podniecony jak zawsze.

Luke prawie nigdy nie brał udziału w zdjęciach do zwykłych reklam, ale podczas czterech długich dni, jakie zajęło nakręcenie reklamy świątecznej, codziennie zjawiał się w studiu Northa w towarzystwie głównego księgowego, asystenta głównego księgowego, autora tekstu oraz dyrektora artystycznego, którzy byli głęboko zaangażowani w produkcję reklamy Luke'a na długo zanim udało mu się namówić na nią klienta. Jego agencyjna grupka zjawiała się dopiero o 10. 45, chociaż wykonawcy i ekipa musieli być na planie już o ósmej rano. Znając już zwyczaje twórców reklam, Luke wiedział, że do pierwszego ujęcia może dojść dopiero około jedenastej. Wedle słów pewnego wiekopomnego autora reklam opisującego pierwsze trzy godziny każdego dnia zdjęciowego:

„Reklamę kręcimy w taki sposób, jak kiedyś wznosiliśmy piramidy... wszystko zostało udoskonalone z wyjątkiem sprzętu... dwóch facetów dźwiga rzeczy na plecach, jakby przechodzili przez drogę w Birmie... trzeba podciągać i popychać”.

Klienci, czyli ludzie z Coca-Coli też byli licznie obecni. Czasami tylko sześciu,

ale w okolicy lunchu niezmiennie nawet dwunastu. Choć Daisy miała już do czynienia z kilkudziesięcioma sesjami zdjęciowymi, podczas których kontyngent agencji i klientów, „wygłodniałych pożeraczy”, jak nazywał ich North, był liczniejszy niż cała grupa pracujących nad reklamą, tym razem wykonawcy, ekipa i obserwatorzy tworzyli taki tłum, że wielkie studio zdawało się być tak ciasne, jak nigdy przedtem.

Spoglądając wstecz, mając już to wszystko za sobą, Daisy nie była pewna, co stanowiło jej największe osiągnięcie w całym tym przedsięwzięciu. Czy był to jej chytry sposób na zaangażowanie „prawdziwych” dzieci, które tak naprawdę były zawodowymi modelkami? Razem z Alix spędziły cztery dni poszukując pechowych modeli wśród dzieci, które musiały zaprzestać pracy z powodu złamanych kończyn, wczesnego wysypu trądziku młodzieńczego, poważnych problemów z nadwagą, wypadniętych zębów, aparatów ortodontycznych, czy też wyrastania z wcześniejszego wdzięku, a wszystko to mogło zajść w ciągu jednego miesiąca. Zdarzały się też prozaiczne problemy z dyscypliną u dzieci, które uważane były za trudne. Wyłowiła grono prawdziwych przegranych, z których żaden nie byłby w stanie sprzedać ani jednego opakowania płatków owsianych, choćby były pokryte nie wiadomo iloma warstwami cukru. Wmówienie Northowi, że te odrzutki sprowadzone na plan są prawdziwe kosztowało wiele wysiłku, ale bez ich podstaw zawodowego przeszkolenia scena narodzin Chrystusa nie zostałaby nakręcona nie tylko w czasie półtoradniowej katorgi, bo tyle czasu ostatecznie zajęła, ale nawet przez tydzień, a może i miesiąc.

A może, zadawała sobie pytanie, największą satysfakcją powinno być zaangażowanie Tezeusza do roli psa w scenie z samochodem? Skoro North zażądał niesfornego psa, Daisy doszła do wniosku, że nie ma powodu, aby nie mogła zarobić pieniędzy, które w przeciwnym wypadku trafią do jakiegoś uznanego psiego modela. Były to dwa miesiące jej części czynszu za mieszkanie i jak zwykle koszty utrzymania Dani nie pozwalały nic zaoszczędzić. Zatrudniła Kiki jako jego opiekuna w ciągu dnia, ale wyłuszczyła surowe wymagania:

– Trzymaj go cały czas na smyczy, dopóki North nie przywoła go gestem ręki. A to dopiero wtedy kiedy cała rodzina załaduje się w końcu do samochodu... jedno z dzieci z płaczem przypomni „zapomnieliśmy o moim psie”. Wtedy go spuścisz.

North obejrzał Tezeusza z typową wyniosłością.

– Gdzie znalazłaś tego stwora, Daisy? Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

– Nie martw się, ma wyśmienite referencje.

– Ale chciałem bardziej denerwującego psa, czegoś naprawdę brzydkiego. Czegoś ohydniejszego – narzekał.

– Gwarantuję, że ten pies będzie denerwujący – zapewniła go Daisy. Ponieważ starannie pochowała kawałki surowej polędwicy w różnych kieszeniach kostiumów, które mieli włożyć wszyscy wykonawcy tej sceny, wybierając tylko rzeczy z zapinanymi kieszeniami, była spokojna, że Tezeusz spisze się doskonale. Mając zawsze wrzącą krew myśliwego, będzie atakował biednych ludzi, spuszczone ze smyczy w potencjalnym raju ogara.

Tezeusz jej nie zawiódł. Ujęcie za ujęciem, wpadał do przepelnionego samochodu i przepychał się między ośmioma członkami „rodziny”, wpychając nos w najbardziej intymne miejsca, łaskocząc ich machającym ogonem po wściekłych twarzach i miłośnie trącał ich łapami w bezceremonialnym delirium zagubienia i podboju. Wszędzie naokoło pachniało mięso... ale gdzie ono było? Pod koniec każdego ujęcia podbiegała Kiki, aby odprowadzić go na smyczy i dawała mu kawałek wołowiny z torebki, którą wcześniej wręczyła jej Daisy, żeby psa nie zameczyć... nigdy dosyć, aby nie poczuł się najedzony, ale dość, aby utrzymać jego apetyt na odpowiednim poziomie.

Gdzieś w połowie dnia North powiedział z podziwem. – To najgorzej zachowujący się kundel, jakiego w życiu widziałem. Doprowadza ich do szału... świetnie, Alix, świetnie! – Ale oczywiście, pomyślała Daisy, nie raczy pochwalić mnie za obsadzenie własnego psa, skubaniec! North był jeszcze bardziej zadowolony, kiedy modelka grająca matkę rodziny okazała się być uczulona na Tezeusza i nie mogła przestać kichać.

– Wpisz to w scenopis – powiedział autorowi tekstu. Przez następnych dwadzieścia dziewięć ujęć, między kichnięciami, kobieta musiała powtarzać: „Wiecie, że przez tego psa kicham!”, a jej nieznośny kilkunastoletni syn odpowiadał: „Och, mam, to tylko psychosomatyczne!” Nie było wątpliwości, że Tezeusz był gwiazdą trzydziestu sekund, które wszyscy nazywali "Z wizytą do babci".

Ostatniego dnia zdjęć, kiedy doszli do sceny ubierania drzewka, dziecięcy duch zabawy ogarnął nawet najbardziej wojowniczo nastrojonych członków ekipy. Zaczęli podsuwać kwestie i sytuacje, których wcale nie było w scenopisie.

– To zaczyna wyglądać jak Teatr Sztuki Żydowskiej – powiedział North. – Kochani, mam tu już dość problemów... zapewniam was, że nic nam nie wyjdzie dobrze, więc moglibyście łaskawie uspokoić się? – Okazał się być prorokiem. Nic im nie szło. Dopiero po czterdziestu pięciu podejściach udało się przepalić korki od

świąteł na choince tylko na planie, bez przepalenia również korków poza nim, co pogrążyło całe studio w kompletnej ciemności.

Długo po tym, jak reklama Coca-Coli zdobyła Clio, odpowiednika Oscara w dziedzinie reklam; długo po tym, jak zdobyła bardzo prestiżową roczną nagrodę nowojorskiego Klubu Reżyserów; długo po tym, jak zaprezentowana została na festiwalach reklam na całym świecie, wróciwszy z nagrodami z Wenecji, Corku, Tokio i Paryża, Kiki nie miała wątpliwości, co było szczytowym momentem tamtych czterech dni. Czymże były wszystkie te nagrody w porównaniu z momentem, w którym poznała Luke'a Hammersteina?

Kiki tak bardzo żałowała biednego Tezeusza, który przez cały dzień węszył za schowanym mięsem, że gdy tylko ogłoszono koniec zdjęć, spuściła go ze smyczy.

– Przepraszam, opiekunko psa – Luke zwrócił się do niej – czy zdajesz sobie sprawę, że twój zwierzak urzęduje właśnie na stole dostawców żywności, wywołując konsternację i stwarzając groźbę głodu?

– Nie martw się o tę żywność – powiedziała Kiki. – Jeżeli jesteś głodny, to zaproszę cię na kolację. Jeżeli nie jesteś głodny, moglibyśmy pojechać do mnie i porozmawiać. Luke Hammerstein był muskularnym mężczyzną średniego wzrostu. Miał zielone oczy, które były jednocześnie zuchwałe i rozmarzone, wyniosłe i uprzejme. Jego powieki były melancholijne, a maniery osobliwe.

– Jezu – powiedział Luke – czy ty mnie podrywasz?

– Postąpiłbyś rozsądnie tak to traktując. Nie należę do tych, co się tylko zabawiają – powiedziała Kiki z nie ukrywanym podziwem w swoich oczach koloru umbry.

– A co z psem?

– Nieważne... opiekowałam się nim tylko dla przyjaciółki. Idziemy?

– Kiki nadal była diabolicznym obdartusem, cygańskim elfem, jakim była kiedy poznały się z Daisy osiem lat temu, ale teraz była bardziej agresywna, bardziej pewna siebie. Jej wybryki były nieszkodliwe, frywolność i folgowanie sobie niegroźne, ale unikała momentu powagi, jakby dopuszczenie do niego miało zamienić ją w słup soli. Nie przypominała sobie, aby zdarzyło jej się spotkać kogoś takiego jak Luke, od kiedy opuściła dom rodziców. Podniosła rękę i pogłaskała jego spiczastą, jedwabną brodę. Jakie możliwości, jakie zmaterializowane marzenia, jakie lubieżne potencjały kryły się za tym!

– Nie wiem... – zawahał się Luke. Przez cały dzień Kiki była tylko częścią scenerii na planie i nagle zmieniła się w dominującą kobietę, która miała wobec

niego specyficzne plany i nie próbowała tego ukryć. Prawdę mówiąc, ubrana w czarne spodnie wsunięte w czarne kozaczki i w prostą czarną koszulę, na które Kiki zdecydowała się do tej służalczej roli tego dnia, przypominała mu pomocnika rozbójnika, czy też może rozbójniczki.

Wszystkie sondáže, jakie ostatnio czytał, wskazywały, że kiedy kobieta robi pierwszy krok, ma to pożądaný efekt erotyczny u mężczyzn.

– Czy mam wybór? – zapytał.

– Raczej nie – odpowiedziała Kiki głosem despotycznej przynęty– Chyba nie w... a zresztą, co mam do stracenia.

– Nic, co wolałbyś zachować – odpowiedziała Kiki z tym swoim niskim śmiechem, który był tak świeży i budzący pożądanie jak powiew wiosennego powietrza. Kilka metrów dalej Daisy zastanawiała się, kto czyni więcej szkód, Tezeusz czy Kiki. Sądząc po wyrazie twarzy Luke'a zdecydowała, że było już za późno, aby go uratować... a poza tym, był dorosłym człowiekiem i powinien dać sobie sam radę... ale za to miała jeszcze szansę uratować tyle jedzenia, żeby nakarmić ekipę, która pracowała dużo dłużej niż zwykle i spodziewała się dostać kolację, a także zapłatę za nadgodziny. Jednym wprawnym ruchem założyła Tezeuszowi obrożę i odciągnęła go od półmisków z pieczenia wołową, wołowiną z puszki i szynką.

– Jezu, Daisy, nie masz dość rozsądku, żeby trzymać się z daleka od tego nikczemnego zwierzaka? – zapytał North przechodząc obok.

– Tezeusz, mój kochany pieseczku – powiedziała Daisy, ręką dając mu znak, którego nauczyła go dziesięć lat temu – idź, daj wujkowi Northowi miłego dużego buziaka.

* * *

Daisy została zaproszona do Middleburga, do Hamiltona i Topsy Short na weekend po zdjęciach do reklamy Coca-Coli. Kiedy zastanawiała się co spakować, zdała sobie sprawę jak ważne może to być... musi być... dla niej. Daisy rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy. Koniarze porozjeżdżali się tego lata po całym świecie i od miesięcy nie miała zamówienia na portret dziecka na koniu. Pani Short napomknęła w nęcący sposób, w jaki niektórzy bogaci, potencjalni patroni drażnią artystów, że jeśli będzie zadowolona z niewielkiego rysunku najstarszej córki, weźmie pod uwagę zamówienie portretów olejnych wszystkich trojga dzieci, które byłyby jej prezentem urodzinowym dla męża. A to, przeliczyła

Daisy, byłoby zajęcie, które powinno przynieść sześć tysięcy dolarów, chociaż jego ukończenie zajęłoby kilka miesięcy, ponieważ nie ma zbyt wiele wolnego czasu.

Ale nie było najmniejszej wątpliwości, że pilnie musiała zarobić jakieś pieniądze. Za miesiąc musi opłacić kwartalną należność za opiekę nad Danielle. Opłaty za Queen Ann's School wzrosły przez lata bardziej niż sumy, jakie Daisy otrzymywała za obrazy czy też to, co zostawało jej z pensji. Stała opieka nad Danielle kosztowała ją teraz dwadzieścia trzy tysiące dolarów rocznie i od ośmiu miesięcy nie mogła sobie pozwolić na to, aby polecieć do Anglii i odwiedzić bliźniaczkę. Chociaż nadal starała się regularnie posyłać Dani swoje rysunki, czasami miała tyle pracy, że zmuszona była zastąpić je pocztówkami kupowanymi w SoHo, w sklepie zwanym „Untitled Arts Postcards”, pocztówkami, o których wiedziała, że spodobają się Dani: były to oryginalne ilustracje z „Alicji w krainie czarów”, motyle Odilon Redon, zabawna figurka strusia z Muzeum Sztuki w Filadelfii, trzy scenki z kotem Fossem z „Bezsensownych piosenek i opowiadań” Edwarda Leara, dziwne bajkowe obrazki Anny Anderson, które ilustrowały „Wodne dzieci” Charlesa Kingsleya.

I teraz, kiedy potrzebowała rady, Kiki była raczej mało pomocna. Od wczorajszego spotkania z Lukem Hammersteinem bez przerwy zachowywała się jak umysłowo chory niewieści satyr.

– Kiki – sprzeciwiła się – widziałam jak wczoraj podrywałaś Luke'a Hammersteina, nie możesz się tak zachowywać, to tak nie po kobiecemu...

– Moja droga Daisy – wzniosie odpowiedziała Kiki – udało się i tylko to się liczy. A przy okazji, twój język zdradza żalostny efekt związku z tym facetem, którego nazywasz Nick-the-Greek, jeśli wolno mi zauważyć.

– Co to znaczy „udało się”? – podejrzliwie powiedziała Daisy. – Dokąd wyście wczoraj poszli?

– Na kolację – twarz Kiki wyrażała mieszaninę wesołości i tajemniczego humoru.

– I?

– Księżniczko Valensky, fakt, że będąc w zaawansowanym wieku dwudziestu czterech lat miałaś tylko dwa romanse z nieśmiałyymi, niewymagającymi i łatwymi w pożyciu, z natury biernymi mężczyznami, raczej nie czyni z ciebie osoby, z którą należy się konsultować w romantycznych sprawach. Odpowiem ci na pytanie, kiedy będzie coś więcej do powiedzenia.

Podczas lat spędzonych w Nowym Jorku dzięki temu, że przekonała samą siebie, iż powinna pokonać swoje uczucia związane z życiem płciowym, Daisy

pozwoliła paru najbardziej uporczywym konkurentom na przespanie się z nią. Stwierdziła, że potrafi odwzajemnić im się fizycznie, ale nie emocjonalnie i wszystkie te związki były bez znaczenia i krótkotrwałe.

– Miałam trzy romanse – gniewnie powiedziała Daisy. – A jeden z nich z twoim własnym kuzynem.

– Ale chyba dokładnie opisałam panów? – zapytała Kiki.

– Nie powiedziałaś, że wszyscy byli bardzo atrakcyjni.

– Dobrze, poprawka. Byli, choć nie w moim typie. Z drugiej strony, Luke Hammerstein...

– Oszczędź mi tego. Naprawdę, Kiki. Pomóż mi. Mam tylko godzinę na spakowanie się. O szóstej przyjeżdża samochód, który mnie zawiezie na lotnisko... odrzutowiec Shortów startuje punkt siódma. Więc co, twoim zdaniem, powinnam włożyć w sobotę wieczorem? To zaproszenie typu „Nie przejmuj się strojem, moja droga, to tylko skromna kolacyjka na sześćdziesiąt osób”. W Middleburgu uważają, że ubieranie się do kolacji jest „pretensjonalne”, więc idą na kompromis, wiesz, jedwabne bluzki, długie, tweedowe spódnice, babcine perły, wszystko bardzo drogie i o odpowiednim stopniu braku gustu. Wiesz, że mnie to nie bawi... i nie bawiłoby, nawet gdyby mnie było na to stać – powiedziała zaniepokojonym tonem.

Kiedy zaczęła spędzać weekendy z właścicielami stadnin, była zmuszona do wypracowania własnego stylu. Nie było sposobu, aby mogła sobie pozwolić na modne wieczorowe stroje, więc stała się zwolenniczką starych rzeczy, unikając starych butików z wytwornymi strojami, na które mogły sobie pozwolić tylko Bette Middler czy Streisand; unikając prawie nowych sklepów, przeładowanych zeszłorocznymi rzeczami autorstwa znanych projektantów, już niemodnymi; i unikając także pchlich targów, na których znalezienie choć jednej rzeczy w przyzwoitym stanie graniczyło z cudem.

Cała jej garderoba pochodziła z londyńskich wyprzedaży organizowanych przez kościoły, na odwiedzenie których znajdowała czas za każdym razem, kiedy odwiedzała Dani. Wspecjalizowała się w wynajdywaniu angielskich i francuskich oryginalnych projektów, najchętniej mających ponad czterdzieści lat, strojów, które zaprojektowane zostały w słynących z wyjątkowo eleganckiej mody w latach dwudziestych i trzydziestych. Studiowała je po triumfalnym powrocie, bo nigdy nie wydała na nic więcej niż trzydzieści pięć dolarów.

Daisy zaprowadziła Kiki do trzeciej sypialni ich mieszkania, gdzie trzymała garderobę, której nie wkładała do pracy, powieszoną na poziomej rurze biegnącej wzdłuż jednej ze ścian pokoju.

Obie stały tam i przeglądały wiszące stroje.

– Nie byłoby to takie trudne, gdybyś miała normalne rzeczy jak inni ludzie – westchnęła Kiki.

– Ach... tak... masz oczywiście rację. Ale to jest po prostu zbyt drogie i zbyt nudne, choć przyznaję", że uczyniłoby to życie łatwiejszym – odpowiedziała Daisy.

– Vionnet? – zapytała Kiki.

– Za bardzo strojna – z żalem powiedziała Daisy, biorąc w palce fioletową suknię z satyny, ściętą ukośnie, pochodzącą z 1926 roku. – A co myślisz o tej Lucien Lelong w paski?

– Szczerze mówiąc, nigdy mi się w niej specjalnie nie podobałaś. Paski zebry nie podkreślają twojej zasadniczej aury nimfy, bez względu na to jak dobrze jest wykonana. A może czarny zamszowy kostium Chanel? Może i ma czterdzieści lat, ale wygląda, jakby go uszyto wczoraj – odpowiedziała Kiki.

– To nie jest odpowiednia pora roku na zamsz, zwłaszcza na wsi.

– Zaraz, zaraz, zauważyłam herbacianą piżamę Dove... mówiłaś, że pochodzi z 1925 roku? Popatrz tylko, Daisy, cyklamenowy brokat i zielony szyfon z czarnym, szyfonowym żakietem, to bomba!

– Nadaje się do Locust Valley, może do Saratogi, ale zdecydowanie nie do Middleburga.

– Czyli wyklucza to także tę białą, satynową piżamę od Revillona?

– Obawiam się, że tak. O, cholera!

Kiki ostrożnie przesuwiała wieszaki i tęsknie wzdychała nad skarbami Daisy... były na nią za długie, a miała na nie taką chrapkę.

– O! – Daisy podskoczyła. – Jak mogłam zapomnieć? Jak zwykle, Schiaparelli na ratunek. – Triumfalnie podniosła kostium z późnych lat trzydziestych, kiedy to Schiaparelli zasłynął z projektów, które wybiegały czterdzieści lat w przyszłość. Był to tweedowy żakiet koloru zielonej sałaty, z klapami zdobionymi cekinami, a do tego sztruksowe spodnie w ciemniejszym odcieniu zieleni. – W sam raz, nie uważasz?

– Niebiański... prawdziwy numer typu odpierdol się, jak w „odpierdol się, Short, wiem, że to jest tweed i wiem, że to są cekiny i wiem, że nie podejrzywałaś, że można je nosić razem, ale teraz już wiesz".

– Cała sprawa w paru słowach. Naprawdę potrzebuję tego zamówienia, więc powinnam wyglądać jakbym go nie potrzebowała.

– Więc lepiej pożycz znowu moje sztuczne szmaragdy.

– Szmaragdy z zielonymi cekinami?

– Zwłaszcza z zielonymi cekinami!

Rozdział 15

Ze wszystkich potencjalnych różnic w ludzkich gustach, zwyczajach, zainteresowaniach, szczególnych upodobaniach, jedną z najsilniejszych jest ta, która różni ludzi kochających konie od tych, których one nie obchodzą. Ludzie mogą kochać koty lub psy bez uczucia, że istnieją na innej płaszczyźnie niż ci, którym te zwierzęta są obojętne, ale właściciele koni nie tylko nie raczą nawet spróbować zrozumieć ludzi, dla których nie znaczą one nic, ale sama myśl o tym, że tacy ludzie istnieją, i w dodatku stanowią ogromną większość, sprawia, że martwią się o przyszłość ludzkiej rasy. Koniarze mogą być głowami państw lub bezrobotnymi w życiu codziennym, ale konie są ich pasją, tak jak Jerozolima była pasją dla wojownika w jakiejś antycznej krucjacie. Kult konia jako ich idola jest takim centralnym punktem życia, jak kokaina dla innych czy oklaski dla jeszcze innych. Być może nie wszystkim wiadomo, że najstarszym dziełem sztuk pięknych znanym archeologom jest sześćoipółcentymetrowa rzeźba konia, wykonana z kła jakiegoś mamuta, arcydzieło pełne wdzięku, które liczy sobie trzydzieści dwa tysiące lat, ale jest to fakt, który tylko koniarze uznają za ważny i wart zainteresowania. To normalne, że ludzie zamieszkujący jaskinię CroMagnon w epoce lodowcowej podziwiali konia dwadzieścia pięć tysięcy lat przed świtem naszej cywilizacji... normalne i wcale nie zaskakujące, ponieważ wierzą oni, iż koń jest najwspanialszym osiągnięciem natury, jeśli nie liczyć człowieka.

– Głupia, durna, kretyńska bestio! – cicho powiedział Patrick Shannon do swojego konia. Nie chciał być usłyszany. Odbывał prywatną naukę jazdy konnej na ujeżdżalni na świeżym powietrzu w Peapack, w stanie New Jersey, zaledwie godzinę i piętnaście minut od Manhattanu. Od miesiąca jego szofer przywoził go do tej szkółki każdego wieczoru, jak tylko skończył wypełniony zajęciami dzień pracy jako prezes i główny zarządzający Supracorp, korporacji wartej dwa miliardy dolarów. Oznaczało to zrezygnowanie z jakiegokolwiek życia towarzyskiego, a także z meczów squasha po pracy w klubie uniwersyteckim, które były niemal jedyną możliwością rozładowania napięcia, uwielbianym wytchnieniem, które zarzucił na rzecz rozwścieczającej, idiotycznej, poniżającej pogoni za czymś, w czym i tak nigdy nie będzie naprawdę dobry. Mając trzydzieści osiem lat Patrick Shannon był naturalnym sportowcem, który miał talent do piłki, każdej piłki... Ponieważ wychowywał się w sierocińcu, miał mnóstwo okazji do kontaktu z piłkami, ale żadnego, absolutnie żadnego z końmi. Nienawidził tych stworów!

Śliniły się, parskały i obrażały się, odwracały głowy i próbowały uszczypnąć go w nogi swoimi brzydkimi, dużymi zębami, cofały się jak głupiutkie dziewczątka, kiedy zobaczyły coś, co im się nie podobało, chodziły bokiem, kiedy miały iść na wprost, zatrzymywały się bez pociągnięcia lejców, żeby pogryźć trawę i nie ruszały, kiedy się je kopało.

Pachniały ładnie... tylko tyle mógł im przyznać. Końskie gówno było najładniej pachnącym gównem, jakie widział.

Kolejność wypadków, które wsadziły Patricka Shannona na koński grzbiet, była jasna. Postanowił poświęcić się zdobyciu dla Supracorp firmy handlującej nieruchomościami, której jedynym właścicielem był Hamilton Short. Ham Short zaproponował, aby Shannon przyjechał w następnym miesiącu na weekend do Middleburga w stanie Wirginia, skoro stara się o jego firmę. Short zakładając, że Shannon jeździ konno, wspominał o „małej przejażdżce konnej”. Shannon umówił się na weekend i kiedy było już za późno, zdał sobie sprawę, iż nie przyznał się, że nie umie jeździć.

Nie wiedział jak zwariowani są właściciele koni, ale z pewnością wiedział o nich dość, aby domyślić się, że dla nich jedynym usprawiedliwieniem faktu, iż świetnie zbudowany mężczyzna nigdy nie dosiadł konia, byłyby połamane nogi, i miał absolutną rację. Jazda konna, od momentu kiedy przyjął zaproszenie Shorta, stała się wyzwaniem, które ustępowało tylko temu, co kochał najbardziej – ryzyku.

Pat Shannon był urodzonym ryzykantem, który rozumiał, że zdolność poradzenia sobie ze zdarzającymi się od czasu do czasu niepowodzeniami była witalną częścią udanego ryzyka. Ale jego niepowodzenia, bardzo nieliczne, miały zawsze miejsce w pracy i nigdy nie były rezultatem niedostatecznego wysiłku czy przygotowania. Skoro było jasne, że nauczanie się jazdy konnej jest możliwe, nauczy się.

Short powiedział, że ma „całkiem przyjemne trasy” w swojej posiadłości. Shannon polecił jednej z sekretarek sprawdzić to i dowiedział się, że posiadłość nazywa się Fairfax Plantation, zajmuje tysiąc osiemset akrów, posiada własny pas startowy dla odrzutowców, jest domem dla dwudziestki służących i warta jest co najmniej cztery miliony dolarów.

Shannon nie musiał być nadzwyczajnie mądry, żeby zrozumieć, iż jeśli ma odbyć przyjemną przejażdżkę po prawie dwóch tysiącach akrów, przyjdzie mu spędzić w siodle całkiem długie godziny. A Shannon był mądry, i to naprawdę wyjątkowo mądry. A mądrego Irlandczyka należy zaliczać do najmądrzejszych ludzi, jakich ludzka rasa może wyłonić. To właśnie najbardziej ulubiony Irlandczyk

Shannona, George Bernard Shaw, powiedział: „Całe życie pełne szczęścia! Żaden żyjący człowiek nie zniósłby tego; byłoby to piekło na ziemi”. Pat Shannon ponuro przypomniał sobie te słowa, dając koniowi sygnał, że ma zacwałować po raz pięćdziesiąty tego wieczoru.

– Robisz postępy – Chuck Byers powiedział sucho, tonem, który wykluczał doszukanie się śladu aprobaty. Nigdy przedtem nie miał takiego ucznia. I miał nadzieję, że już nie będzie miał. Shannon powiedział mu, że chciał nauczyć się jeździć konno. W porządku... wielu ludzi chciało. Ale nikt przed nim nie zażądał opanowania umiejętności jazdy kłusem pod koniec pierwszej lekcji, cwałem pod koniec drugiej i galopowania pod koniec trzeciej.

Byers powiedział mu, że to niemożliwe, że w najlepszym wypadku złamie jakąś kość i zmusił Shannona do podpisania dokumentu stwierdzającego, że stadnina nie jest odpowiedzialna za żadne urazy jeźdźcy, a Shannon jest odpowiedzialny za ewentualne urazy konia. Ale ten drań pogalopował po trzech lekcjach, choć Byers widząc go idącego do samochodu, nie miał wątpliwości, że czuł morderczy ból w każdym mięśniu.

Ten facet to demon, pomyślał Byers. Po trzeciej lekcji przysłał ekipę elektryków, aby zainstalowali oświetlenie ujeżdżalni, by móc jeździć do późnego wieczora i zażądał codziennych trzygodzinnych lekcji, płacąc za nie tyle, że Byers musiał się zgodzić, pomimo sprzeciwów rodziny. Przestał widywać żonę i dzieci, od kiedy Shannon rozpoczął to szaleństwo.

Coś w sposobie, w jaki Shannon, nie mając niczyjego wsparcia, zawziął się na opanowanie jazdy, sprawiało, że Byers czuł niepokonowaną niechęć do tego człowieka. Dla Byersa jazda konna była ostatnim reliktem rycerskości w świecie, magicznym królestwem, które łączyło przeszłość z teraźniejszością, tak jak nic innego nie mogło tego zrobić, sportem, który był jednocześnie jego religią i miłością. Jego niezadowolenie rosło w miarę jak obserwował niesamowite postępy Shannona, postępy w sensie mechanicznym, bez najmniejszego śladu poddania się urokowi konia. Ten sukinsyn zachowywał się tak, jakby przyzwoita jazda konna była po prostu jeszcze jednym środkiem lokomocji. I nie było mowy o tradycyjnej, półgodzinnej rozmowie po zakończeniu lekcji. Nie, ten człowiek mówił tylko dobranoc i znikał w tym dużym, czarnym cadillacu, w którym jego znudzony szofer czytał przez cały czas oczekiwania, i szybko odjeżdżał w kierunku miasta. Byers był dumnym, wrażliwym człowiekiem i wiedział, że jest traktowany jak zwykłe udogodnienie. Był przekonany, że ten człowiek wolałby mieć do czynienia z robotem, gdyby robot mógł nauczyć go jazdy konnej. Nie zdawał sobie sprawy, a

Shannon nigdy mu tego nie powiedział, że Pat Shannon nie traktował jazdy konnej jako ludzkiego zajęcia, które czyniło ludzki kontakt z instruktorem koniecznym. Było to zwykłe wyzwanie, które zdecydował się podjąć, przeszkoda, którą musiał pokonać, nieunikniona niedogodność, którą chciał mieć za sobą. Podchodził do tego z pełnym skupieniem, jakby pracował skuty łańcuchem w kamieniołomach, pod czujnym okiem strażnika. Nie cierpiał tych godzin spędzanych na ujeżdżalni, dokładnie tak, jak Byers nie cierpiał uczenia go.

Przez cały miniony miesiąc zdarzyła im się tylko jedna wymiana zdań nie związana z instruktorem. Byers zauważył, że Shannon mocno utykał w nowych butach od M. J. Knouda, bardzo szacownej firmy, która produkowała także eleganckie stroje do jazdy konnej.

– Coś nie tak z butami, panie Shannon? – zauważył Byers, nie bez złośliwości.

– Kostka mi krwawi – powiedział Shannon obojętnym tonem. – To pewnie normalne nim się rozchodzi nowe buty.

– Niekoniecznie. Nie wszyscy podchodzą do tego tak jak pan.

– Jaki rozmiarnosisz, Byers?

– Czterdzieści dwa.

– Ja też. Sprzedasz mi swoje buty?

– Co? Nie, panie Shannon, nie byłby pan zadowolony z tych butów.

– Tak się składa, że ja... są dokładnie tym, czego potrzebuję. Piękna skóra i porządnie rozchodzone. Nosimy ten sam numer i jestem pewny, że nie jest to twoja jedyna para.

– Właśnie jest.

– Jestem gotów zapłacić ile zechcesz, ale chcę mieć twoje buty, Byers. Zapłacę ci dwa razy tyle, ile cię kosztowały, do diabła, trzy razy tyle.

– Jest pan tego absolutnie pewny, panie Shannon? – Byers nie okazywał urazy.

– Mój Boże, nie są przecież uświęconymi przedmiotami, człowieku, tylko zwykłymi butami. O co tyle zamieszania? – domagał się Patrick, nie zdając sobie sprawy z niegrzecznego zachowania. Od trzech godzin znosił silny ból, choć nigdy by się do tego nie przyznał.

– Są pańskie – grzecznie powiedział Byers. – Za darmo. – Bywał już w swoim życiu w różnych sytuacjach, ale nigdy nie targował się o cenę używanych butów.

– Dzięki, Byers – powiedział Patrick. – Jestem naprawdę bardzo wdzięczny. – Jeśli o niego chodziło, było to głupstwo, choć nie miałby mu za złe, gdyby na tym zarobił. Interes jest interesem. Nie miał pojęcia o kulcie otaczającym wyposażenie stajni, o trosce jaką otaczane były wszystkie skórzane akcesoria należące do

jeździeckiego świata.

Wręczając znoszoną parę butów Byers pomyślał, do diabła z tobą, Shannon. za kogo ty się masz, do jasnej cholery?

Była to myśl, którą wielu ludzi posyłało pod adresem Shannona w ciągu całego jego życia, ale wszyscy oni ostatecznie dochodzili do wniosku, że kimkolwiek by był we własnym mniemaniu, okazywał się być dokładnie taki. Z tego powodu nie zdobył sympatii mnóstwa ludzi; i gdyby zechciał zastanowić się nad tym, nie byłby zaskoczony. Zwłaszcza że i tak zapomniał nazwiska ich wszystkich wspinając się na szczyt. Zaprzysiężony nonkonformista, absolutnie apolityczny, zgodnie z najgłębszym instynktem. Jego sukces polegał na odrzuceniu czyichkolwiek planów i realizowaniu wyłącznie tych wybranych przez samego siebie, bez żadnych konsultacji.

W świecie biznesu było tylko paru ludzi, których Patrick Shannon uważał za równych sobie. Nikt, choćby najpotężniejszy, kto odziedziczył interes, nie mógł należeć do jego elity. Musieli to być ludzie, którzy osiągnęli to osobiście. Bóg jeden wiedział, że tak było w jego przypadku.

W domu dziecka, w którym się wychował, zdobył stypendium w St. Anthony's, mało liczącym się prywatnym liceum dla chłopców-katolików, przygotowującym młodzież do wyższych studiów. Stypendium to fundowane było przez byłego ucznia, a wówczas starszego, bezdzielnego milionera, dla pozbawionego rodziców chłopca, który miał świetne wyniki i w nauce, i w sporcie.

W St. Anthony's Patrick z miejsca zorientował się, że trafił na swój pierwszy świat wart podbicia. Znalazł się wśród chłopców Wschodniego Wybrzeża pochodzących z rodzin plasujących się powyżej średniej klasy i wszystko, z czym się stykał było mu obce; ich punkty odniesienia, a także rzeczy, które przyjmowali jako naturalne były dla niego zupełnie nieznanym obszarem.

Przez pierwsze dwa lata obserwował, słuchał i uczył się, zawsze czując się lepiej wśród dorosłych wchodzących w skład szkolnej hierarchii niż wśród rówieśników. Jego odpowiedzi były zawsze poprawne, wyuczone; tak oceniały je zakonnice; i na szczęście w szkole obowiązywały mundurki, więc wszyscy chłopcy wyglądali tak samo. Nabral przekonania, że ciut przykrótco ostrzyżone czarne włosy, agresywność na boisku futbolowym czy baseballowym spotykały się z aprobatą i, mimo iż uwielbiał wysiłek umysłowy, opłacało się oszczędzać wykazanie się inteligencją na okazję zaliczeń i egzaminów, zamiast popisywać się nią w klasie.

W klasie przedmaturalnej był już gotów do ujawnienia się nie tylko w sporcie. Pat Shannon starannie wyznaczył chłopców, z którymi chciał się zaprzyjaźnić, wybierając z całej klasy sześciu, którzy wykazywali doskonałość nie tylko w wynikach, ale i w charakterze. Pod koniec czteroletniej nauki w St. Anthony's miał sześciu przyjaciół, którzy mieli nimi pozostać na zawsze. Lojalność była jego religią. Gdyby którykolwiek z przyjaciół poprosił go, aby stawił się w Singapurze pojutrze w południe, niczego nie wyjaśniając, Pat byłby tam. A oni zrobiliby to samo dla niego. Nie mając własnej rodziny, stworzył sobie rodzinę z obcych ludzi. Będąc twardym człowiekiem, w głębi duszy był kochającą istotą. Tyle że poprzez swą siłę ukrywał tę miłość przed wszystkimi, z wyjątkiem kilku osób.

Był wysokim chłopcem o mocnych kościach, szybkim jak lampart. Włosy i oczy nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do jego etnicznego pochodzenia; były klasycznie irlandzko ciemne, granatowoczarne włosy, ciemnoniebieskie oczy i bardzo jasna cera, która łatwo się czerwieniła. Miał wysokie czoło i oczy szeroko rozstawione pod grubymi brwiami, a jego szczery uśmiech był tak porywający, że łatwo było, choć mogło się to okazać niebezpieczne, zapomnieć jak bardzo był inteligentny.

W ostatnim roku nauki był przewodniczącym klasy, kapitanem drużyny futbolowej i prymusem we wszystkich przedmiotach. Zdobył stypendium w Tulane, który ukończył w ciągu trzech lat, dzięki uczęszczaniu na dodatkowe zajęcia, doksztalcaniu się w czasie każdych wakacji w szkołach letnich i ograniczeniu zajęć sportowych do futbolu. W wieku dwudziestu trzech lat Patrick Shannon był absolwentem wydziału biznesu Uniwersytetu Harvard i był gotów do podboju świata.

Na tydzień przed ukończeniem studiów zatrudniony został przez Nata Temple'a, człowieka, który stworzył Supracorp dziesięciolecia wcześniej. Shannon dał sobie dziesięć lat na osiągnięcie pozycji bliskiej szczytu struktury korporacji. Pierwsze trzy lata poświęcił bez reszty pracy. Pat Shannon doskonale zdawał sobie sprawę, po wizytach u przyjaciół, że zdobycie dobrego życia wymaga czasu i pieniędzy, a tych, według własnych obliczeń, nie spodziewał się mieć w nadmiarze przed ukończeniem dwudziestu sześciu lat. Chociaż czuł niecierpliwość, chcąc cieszyć się różnymi życiowymi przyjemnościami, samodyscyplina i wrodzona motywacja dały mu dość sił, aby trzymać się planu. Nigdy nie brał pod uwagę ożenienia się z pieniędzmi, spotkał wiele siostr swoich szkolnych kolegów, które mogły mu je zapewnić, ale nie potrafił dopatrzeć się żadnego plusa takiego rozwiązania. Musiał osiągnąć to sam, ta potrzeba udowodnienia samemu sobie, że potrafi, była

silniejsza niż jakiegokolwiek znane mu dotychczas uczucie, a każde zwycięstwo prowadziło do następnego wyzwania, które trzeba było podjąć. Na trasie wspinaczki Shannona nie było żadnego płaskowzgórza, żadnego miejsca na odpoczynek, z którego można by obejrzeć się wstecz i z zadowoleniem podziwiać odniesione zwycięstwo, wygraną grę, ukończone dzieło.

W wieku trzydziestu ośmiu lat był przesiąknięty sukcesami. Nat Tempie, człowiek, który pierwszy odkrył jego potencjał, trzy lata temu przeszedł na emeryturę, choć pozostał przewodniczącym zarządu Supracorp, pozostawiając zarządzanie korporacją Shannonowi, a ten od momentu objęcia tego stanowiska rozpoczął rozbudowę interesu, który ostatnio podwoił dochody. Jego własne pobory wraz z premiami wynosiły ponad trzy czwarte miliona dolarów rocznie.

Wielu potężnych i zasobnych ludzi spośród właścicieli akcji Supracorp nadal nie było pewnych czy go aprobują. Miał wrogów, i to czujnych, którzy nie cierpieli stanowczości, z jaką Nat Tempie popierał go i umieścił na swoim miejscu, którzy zazdrościli mu jego młodości i osiągnięć, byli też ludzie, którzy nie lubili żadnego rodzaju ryzyka. Ci wrogowie w tej chwili siedzieli cicho, ale czekali i obserwowali, gotowi pozbyć się Shannona, jeśli tylko stworzy im taką okazję.

Shannon zdobył wszystkie materialne rzeczy, które zwykle wiążą się z tego rodzaju sukcesem: mieszkanie na United Nations Plaża, urządzone przez Johna Saladino w stylu, jak to wyjaśnił Shannonowi „eleganckiej alienacji”, stylu, o którym Shannon przekonał się, choć zbyt późno, że go nie lubi, chociaż podziwiał jego abstrakt; członkostwo w klubach Century, River i University; dom w East Hampton, z którego z braku czasu prawie nie korzystał; i nieunikniony rozwód z kobietą, z którą nie powinien był się ożenić: piękną z wysokich sfer, która miała ten matowy, zmysłowy, lepki, znawczy głos, którego inne kobiety nie lubią i któremu nie ufają, i mają rację.

Nie mieli dzieci. Być może gdyby mieli, nie doszłoby do rozwodu, ponieważ Shannon, choć nie był religijny, nigdy nie zapomniał samotności, w jakiej rósł nie mając rodziców. Kiedy krótkotrwałe małżeństwo się skończyło, pozwolił sobie tylko na serię drugorzędnych kobiet, które posiadał z tak intensywną, całkowitą i czysto fizyczną gruntownością, że robiło to wrażenie, jakby trawił je nagły ogień spowodowany przez nieostrożnie zapaloną zapalną. Ostateczność zakochania się, ewentualny ból z tym związany był tym, czego bez trudu unikał. Czuł, że miłość była tak dużym ryzykiem, że nawet on wolał go nie podejmować.

Supracorp ze swoją siecią przedsiębiorstw, kosmetykami, perfumami, żywnością, pismami, alkoholem, stacjami telewizyjnymi i nieruchomościami, była

jego niemowlęciem. Jego dziećmi byli chłopcy z Police Athletic League, z którymi spędzał tak dużo czasu każdego weekendu, jak mógł. Kiedy przebywał z tymi chłopcami, dawało się zauważyć bezkrytyczną, niewymagającą, nieskończoną miłość emanującą od niego. Dla chłopców przebywanie z nim było jak krótki powiew od morza w dzień o bezchmurnym niebie. Czynił ich świadomymi różnych możliwości w życiu, starał się przekazać im tak dużo, jak potrafił, z wiedzy, którą sam posiadał, niezależnie od tego czy była to rada jak uderzyć piłkę, jak puszczać latawce czy też jak kalkulować dywidendy. Lata nie zmieniły jego uśmiechu: nadal był szeroki, nadal był zwycięski, a jego oczy nadal miały ten błękit, który zwiastuje wygraną, tyle że teraz miał głębokie, pionowe bruzdy po obu stronach ust oraz głębokie poziome bruzdy na wysokim czole, na które zawsze opadały mu czarne włosy, choćby je nie wiadomo jak często odgarniał.

Patrick Shannon tak rzucił się naprzód, że niezauważenie przemknął przez młodość i nigdy nie będzie w stanie uchwycić, choćby w pamięci, okresu życia, który dla niego po prostu nie zaistniał. Nigdy nie był prawdziwie młody. Nigdy się nie bawił. Nigdy nie miał czasu na nieodpowiedzialność lub bez troską swobodę. Ale wystarczało, mówił sobie, że osiągnął sukces, zdobył moc, pieniądze, informacje i niewielką grupę przyjaciół, nie zbierając jednak owoców tęsknoty za rozrywką i zabawą.

A co więcej, teraz potrafił, jako tako jeździć na tym cholernym koniu.

Kiedy Hamilton Short, cwany, twardy manipulator nieruchomościami zarobił swój pierwszy, drugi i trzeci milion dolarów, zainwestował je w akcje skarbu państwa i zapomniał o nich. Mając czterdzieści dwa lata, wydatny brzuch i łysinę, a także bezpiecznie za sobą dziesiąty milion, nie miał zbyt wielkiego kłopotu z namówieniem Topsy Mullins, nieśmiałej i cikliwej osiemnastolatki z szacownej, ale zbiedniałej rodziny z Virginii, aby wyszła za niego. Przez następne osiem lat, podczas gdy w związku z interesami Shortowie mieszkali w Dallas, w Miami i w Chicago, ona urodziła troje dzieci, same dziewczynki, a on robił kolejne miliony; wedle własnych, niedokładnych obliczeń wart był dwadzieścia pięć milionów, a interes w handlu nieruchomościami kwitł jak nigdy.

Topsy uczęszczała do znanej szkoły, popularnej wśród koniarzy, za ostatnie pieniądze rodziny i spotkała w niej mnóstwo dziewcząt z bogatych, liczących się towarzysko rodzin Nowego Jorku i Long Island. Śledziła ich kariery w magazynach mody i na kolumnach towarzyskich z dręczącą zazdrością. Wyszła za mąż dla pieniędzy i wszystkim, co jej to dało były trzy cięższe i przelotne znajomości

w – dla niej – prowincjonalnych miastach. Jedynym sposobem na to, aby należeć do wytwornego świata było zostać uznaną za wytworną w Nowym Jorku, inne miasta nie istniały na wąskim horyzoncie Topsy.

Aczkolwiek miała doskonałe pojęcie o tym, jak trudno jest nowo przybyłym zaistnieć w nowojorskim życiu, zwłaszcza nowo przybyłej osobie, która poszczycić się może zaledwie kilkoma szkolnymi przyjaźniami, a i to wyblakłymi i której mąż raczej nie nadaje się na ozdobę przyjęcia. Postanowiła zaatakować Nowy Jork z rodzinnego terytorium, z Virginii, gdzie jej rodzina była znana i poważana. Zdecydowała, że posiadłość w samym sercu blisko czterystu kilometrów kwadratowych zwanych Northern Virginia's Hunt Country, będzie odpowiedzią; zdejmie przekleństwo z nowych pieniędzy. Kiedy informowała Hama, że nadszedł czas, aby kupili posiadłość w Middleburgu, mieście o ośmiuset trzydziestu trzech mieszkańcach, nierówno, choć wygodnie dzielących się na milionerów i służących, w jej głosie brzmiało coś więcej niż niepokój. Słyszał nieomyłne ostrzeżenie, że tylko duża, bardzo duża posiadłość w Middleburgu zagwarantuje, że małżeństwo Hama Shorta będzie nadal trwało w komfortowy, uporządkowany, wygodny sposób, który przyzwyczył się przyjmować jako naturalny.

Topsy miała dwadzieścia sześć lat, a jej obiecująca uroda rozwinęła się w prawdziwą piękność. Osiem lat małżeństwa, podczas których tylko urodzenie dzieci przeszkodziło jej w koncentrowaniu się na sobie, wypolerowały jej urodę o kasztanowych włosach i piwnych oczach aż do pełnego blasku. Duże piersi, szerokie biodra i cienka talia, które ujęły Shorta na samym początku, były tak pociągające jak zawsze. Nawet jeśli teraz rzadko zdarzało mu się je podziwiać, zdecydowanie wolał unikać kłopotów rodzinnych. Nie był zmysłowym człowiekiem, szybki stosunek raz na tydzień lub dwa zupełnie mu wystarczył, ale wymagał spokoju i ciszy w domu, gdy pracował nad kolejnymi milionami. Było mu wszystko jedno czy będzie to Middleburg czy Miami, jeżeli tylko Topsy przestanie narzekać na brak życia towarzyskiego.

Na szczęście w ciągu następnych dwu lat Ham Short kontynuował powiększanie swojej fortuny, bo odnowienie Fairfax Plantation tak pochłaniało pieniądze jak wieloryb plankton.

Fairfax, późnokolonialna rezydencja, wybudowana została w latach pięćdziesiątych osiemnastego wieku przez mistrzów tego rzemiosła sprowadzonych z Anglii przez pierwszego Olivera Fairfaxa, który, jak wielu zamożnych mieszkańców Virginii w tamtych czasach, miał wyrobiony gust, jeśli chodziło o architekturę i wystarczającą wiedzę, aby zdawać sobie sprawę, że wykonawstwo

jakiego potrzebował, mógł znaleźć tylko w Anglii. Niestety, ostatni Oliver Fairfax żył o wiele dłużej niż rodzinna fortuna i kiedy Shortowie kupili Fairfax Plantation, chyliła się ona ku ruinie. Ale nic, może z wyjątkiem pożaru, nie mogło zniszczyć wspaniale rzeźbionego drewna wypełniającego dom, które legendarny William Buckland wykonał z czystej, dojrzałej, białej sosny, ściętego w idealnie dobranym momencie orzecha włoskiego i topoli. Wszystkie pochodziły z własnych lasów plantacji, podobnie jak cegły, które wypalono z gliny wykopanej na szerokich polach. Ciesielka Bucklanda w stylu Andrei Palladio, równa tej znajdującej się w każdym bogatym domu w Anglii, wzbogacona została meblami z Chinese Chippendale, Hepplewhite i Sheraton, pokrytymi reprodukcjami najświetniejszych materiałów późnego okresu kolonialnego. Cuda wnętrza, a dekorator Topsy Short specjalizację robił w Instant Museum Quality, przyćmiewały ogrody, którym nie mogło zaszkodzić żadne zaniedbanie, ponieważ ich piękno leżało głównie w surowym, klasycznym rozplanowaniu wolno rosnących bukszpanowych żywopłotów, które przez minione dwieście dwadzieścia lat osiągnęły obecne majestatyczne proporcje. Topsy Short musiała zadowolić się świadomością, iż jej konie pasą się na rozległych polach za domem, choć wołałaby widzieć je z pomieszczeń frontowych rezydencji, jak miało to miejsce w przypadku jej licznych sąsiadów.

– Ojej – mawiała z zazdrością – konie tej starej Liz Whitney Tippet mogą bez trudu wsunąć nosy do jej salonu.

– Cóż, wykop bukszpan – zasugerował obojętnie Ham.

– Co? Mój architekt krajobrazowy zabiłby mnie. Są historyczne. Nie ma drugich takich, nawet w Upperville, Warrenton czy Leesburg. Powiedział mi, że nawet Bunny Mellon nie ma starszego bukszpanu – powiedziała, przywołując nazwisko prawie niewidywanej królowej Hunt Country.

– Więc nie wykopuj tego cholernego bukszpanu.

Ham Short, mistrz we wszystkim czego się podejmował, miał na głowie ważniejsze sprawy niż żywopłoty. Oferta Supracorp była interesująca, wysoce interesująca. Jeśli zgodzi się na małżeństwo swojej świetnie prosperującej firmy handlu nieruchomościami z jeszcze lepiej prosperującym dwumiliardowym przedsięwzięciem, akcje jakie otrzyma sprawią, że zamiast pracować nad trzydziestym milionem, będzie mógł zacząć zastanawiać się nad sześćdziesiątym. A ponadto uwolni go to od codziennej działalności w czymś, co w zasadzie było przedstawieniem jednego aktora. Miał tylko córki, nie było kogo wprowadzać do rodzinnego interesu, więc dałoby mu to czas, aby zacząć żyć jak gentleman, bo

Topsy od dawna próbowała udawać, że jej mąż nim jest. Ale z drugiej strony, czy był gotów oddać kontrolę? Czy nie więcej satysfakcji daje posiadanie własnej firmy i zarządzanie nią zgodnie z własnym życzeniem? Dlaczego miałby stać się jeszcze jednym nabytkiem korporacji Supracorp, jeszcze jednym szefem wydziału pod Patrickiem Shannonem? Czy naprawdę chciał żyć jak gentleman, zainteresować się lokalną społecznością i zacząć okazywać sympatię koniom? Być może nadchodzący weekend i szansa poznania Shannona jako gościa dostarczą odpowiedzi na niektóre z pytań, jakie sobie zadawał, wahając się czy sprzedać, czy też nie sprzedawać. Właśnie z tego powodu poprosił Topsy, aby ograniczyła listę gości.

– Kto przyjeżdża na ten weekend? – zapytał nagle Ham.

– Hemmingowie i Stantonowie z Charlottensville, Dempseyowie z Keeneland, a także księżniczka Daisy Valensky, która ma wykonać szkic Cindy. Ten twój Shannon, oczywiście, i... pewni ludzie z Nowego Jorku.

Ham Short znał trzy pierwsze małżeństwa, wszyscy koniarze.

– Jacy ludzie z Nowego Jorku? – zapytał leniwie.

Z oczami pełnymi mieszaniny przerażenia i wyczekiwania Topsy odpowiedziała: – Robin i Vanessa Valarian.

– Ten krawiec? A po jakiego diabła ich potrzebujesz? – obojętnie zapytał Ham, nie zauważwszy podniecenia żony.

– Och, Ham, sama nie wiem jak to znoszę – żałośnie lamentowała Topsy. – Przynosisz nam wstyd. Valarianowie są... och, jak mam cię przekonać, żebyś zrozumiał... są najszykowniejszym małżeństwem w Nowym Jorku! Bywają absolutnie wszędzie i spotykają absolutnie wszystkich. Trochę znałam Vanesę w szkole... była trzy klasy przede mną... wpadłam na nią, kiedy ostatnim razem pojechałam do Nowego Jorku po zakupy, wypiliśmy drinka, ale nie byłam pewna, że przyjmą zaproszenie.

– Czemu nie mieliby przyjąć, czyżbyśmy nie byli wystarczająco dobrzy dla krawca i jego żony? – zaoponował.

– Nie jesteśmy szykowni, Ham, jesteśmy tylko bogaci i nawet nie tak bogaci jak są naprawdę bogaci ludzie! – powiedziała z oskarżającym tonem w głosie. – Nie masz co tak parskać... trzeba być wartym ponad dwieście milionów, żeby być naprawdę bogatym... czytuję wszystkie listy najbogatszych... wiesz równie dobrze jak ja, że jesteśmy malutcy w porównaniu z... och, nieważne! – Zerwała się z krzesła, na którym siedziała i zaczęła macać chińską wazę, przy kupnie której uparł się jej dekorator... zdzierstwo, dwa tysiące osiemset dolarów.

– Nie szykowni? A kto, do diabła powiedział, że musimy być szykowni? Gównu to wszystkich obchodzi. Co to ma w ogóle znaczyć, do diabła... kto wybrał Valarianów, aby decydowali?

– tym razem Ham był urażony. Dumny był ze swoich pieniędzy i nie lubił, kiedy mu przypomiano, że choć bogaty, ciągle jeszcze nie mógł bawić się z dużymi chłopcami.

– Och, Ham, naprawdę! To po prostu znaczy, że oni są w... w, do cholery, tak jak my nigdy nie będziemy! Zapraszani są na każde porządne przyjęcie i *Vogue*, *House & Garden* i *Architectural Digest* poświęcają niezliczone strony ich mieszkani

– Opowiedz mi o swoim życiu – poprosiła z niekwestionowanym zainteresowaniem. – Jak się żyje, mieszkając przez większą część roku w Middleburgu? Bosko czy ponuro?

– Gdybym nie mogła wpaść do Nowego Jorku co parę tygodni, nie wytrzymałabym tego – przyznała Topsy. – Urodziłam się w Virginii, ale chyba mam nowojorską duszę. Tam jest po prostu za spokojnie... ale Ham to uwielbia.

– A Ham musi mieć to, co uwielbia?

– Mniej więcej.

Vanessa wstała i zamknęła drzwi biblioteki. – Uważam, że to zbrodnia, że ktoś tak pysznie piękny jak ty marnuje się wśród koni – powiedziała Topsy, siadając obok niej na kanapie. Topsy zaczerwieniła się z zakłopotania i zaskoczenia. W szkole Vanessa była przywódczynią, w którą zapatrzona była połowa dziewczyn w klasie Topsy... już wtedy Vanessa zdawała się mieć doświadczenie, o jakim reszta nastolatków nawet nie marzyła.

– Dziękuję – wymamrotała, pociągając wino.

– To tylko prawda. Czy wiesz, że wpadłaś mi w oko dawno temu, w szkole? Nigdy nie zapomnę jak wyglądałaś z tymi cudownymi czerwonobrazowymi włosami... teraz są tylko ciut ciemniejsze... i nawet te ohydne mundurki, które musiałyśmy nosić nie były w stanie ukryć faktu, że będziesz miała idealną figurę... Zazdroszczę ci... jestem tak cholernie chuda... nie wiem co bym dała za parę zaokrągleń. Czy nigdy nie zauważyłaś, że cię obserwowałam, maleńka?

Topsy ledwo była w stanie zaprzeczyć pokręceniem głową.

– Cóż, pewnie miałaś ważniejsze sprawy na głowie... patrzyłam na ciebie podczas posiłków... to znaczy spoglądałam.

Vanessa zaśmiała się i spokojnie wzięła w ręce jedną z dłoni Topsy, po czym wpatrywała się w nią z takim opanowaniem, jakby była wróżką. Nagle pochyliła się i ucałowała dłoń Topsy ciepłymi, rozchylonymi ustami, zaśmiała się i wypuściła dłoń, jakby się w ogóle nic nie stało. Nic więcej nie zaszło, ale od tamtego popołudnia Topsy bez przerwy zastanawiała się, co mogło nastąpić po tym i niezmiennie tłumaczyła sobie, że nic nie mogło nastąpić i że po prostu zachowuje się głupio.

– Ham – powiedziała wracając do teraźniejszości – proszę cię, nie kłóćmy się. Jestem wystarczająco zdenerwowana tym weekendem.

– Dobrze, kochanie... nie wiem o co w tym wszystkim chodzi, ale jeśli ma cię to uszczęśliwić, to niech tak będzie. I jeśli chcesz znać moje zdanie, ci Valarianowie będą pod dostatecznym wrażeniem Hemmingów, Stantonów, Dempseyów i

Patricka Shannona, a także, jak jej tam było, tej księżniczki, więc może przestałabyś się zachowywać jakbyś miała zamiar rozbić tę wazę? Jest, oczywiście, ubezpieczona, ale nie mam ochoty walczyć o odszkodowanie!

* * *

W sobotnie przedpołudnie wszyscy goście Topsy Short zgromadzili się w stajniach. Topsy nadzorowała odpowiednie dobranie koni do jeźdźców i tylko fakt, że jeździła konno całe życie pozwalał jej wykonać to zadanie, okazując na zewnątrz absolutny spokój. Znajdowała się pod wpływem emocji, analizowania której unikała, ale była bardziej nieswoja, bardziej wypełniona przewidywaniami niż kiedykolwiek. Sama miała zostać w domu, aby dotrzymać towarzystwa Vanessie, ponieważ przy śniadaniu, ze śmiechem, w którym brzmiał samozachwyty, Vanessa oświadczyła, że zawsze bała się koni, nawet już w szkole. Sprawiała, że wyznanie to zabrzmiało jak coś wartościowego.

Patrick Shannon pewnie siedział w siodle ogromnego, czarnego wałacha, ale był zbyt skupiony, aby być częścią ruchliwej, wesołej sceny jaka miała miejsce wokół niego. Po raz pierwszy siedział na koniu w towarzystwie innych jeźdźców, a nie tylko instruktora. Pochłonięty był przypominaniem sobie każdego szczegółu każdej lekcji, starając się odizolować od tupania i parskania innych koni, od denerwującego uporu, z jakim wchodziły jeden drugiemu w drogę. Usiłował trzymać swego żywego konia na brzegu grupy koni i jeźdźców, mając nadzieję, że zwierzę nie jest tak zdenerwowane jak on i zastanawiając się czy to prawda, że koń poznaje samopoczucie jeźdźcy po dotyku do lejców.

Młoda Cindy Short dosiadała ładnego kucyka, a Daisy przypadła duża, kasztanowa klacz, która dwa lata wcześniej osiągnęła cenę czterdziestu tysięcy dolarów na lipcowej aukcji w Keeneland znanej w całym świecie. Po wspólnym śniadaniu z Cindy i spędzeniu porannych godzin w stajni, Daisy szybko się z nią zaprzyjaźniła. Jeżdżąc konno Daisy ubierała się z bezprzykładną poprawnością. Włosy zaplotła w ścisłe warkocze i ukryła pod tradycyjną czapkę krytą czarnym aksamitem, która jest tym dla jeźdźców, czym kask dla budowniczych. Założyła też siatkę na włosy, która miała zabezpieczyć końce warkoczy przed zaczepianiem się o gałęzie.

Ham Short chciał pochwalić się przed gośćmi jeździeckimi umiejętnościami córki.

– Cindy – zawołał – ruszaj pierwsza, pojedziemy za tobą.

Cindy, która cierpliwie odgrywała znaną sobie rolę dziecka na pokaz, kopnęła kucyka i ruszyła, a po chwili przeszła w cwał. Daisy, chcąc przyjrzeć się jej w czasie jazdy, dała jej chwilę na popisanie się umiejętnościami, po czym ruszyła za pulchną sylwetką. Daisy dosiadała swojej rasowej klaczy z takim cudownym spokojem, że wyglądała szlachetnie i elegancko w rześki poranek Virginii... pomimo faktu, że Tezeusz ruszył za nią tuż przy końskich.

kopytach, biegnąc tym swoim na pół pijanym sposobem poruszania się.

Obserwując Daisy znikającą za niewielkim wzniesieniem, Patrick Shannon poczuł nagle przecucie, czym mogła być jazda konna. Kimkolwiek ona jest, pomyślał, oto jest prawdziwa kobieta. Podbijając przez całe życie swoje światy, wyostrzył sobie oko na ludzi, którzy potrafią bez wysiłku robić rzeczy, jakie zwykle należą do absolutnie najtrudniejszych. Niewiele wiedział o balecie, ale rozpoznawał dobrą tancerkę po swoim zdziwieniu na widok najwyraźniej bez wysiłku czynionych ruchów. Smukłe, proste plecy Daisy, jej idealnie odprężone ramiona i ręce, niedbały, pewny siebie sposób trzymania głowy, kiedy odjeżdżała, wypełniły go podziwem... i goryczą. Był przenikliwie świadom wspaniałej oszczędności jej ruchów, ruchów, którym poświęcił miniony miesiąc, pocąc się, przeklinając i krwawiąc. Żeby być w stanie panować nad koniem przy pomocy niedostrzegalnych nacisków rąk, kolan i łydek, tak aby ta cholerna, głupia bestia ruszyła nie spacerkiem, nie klusem, nie wolnym cwałem, ale szybkim cwałem, i to bez żadnego wysiłku... Cholera, trzeba się z tym urodzić, pomyślał, to musi być człowiekowi dane, wręczone, jak jeszcze jeden talent, który tacy ludzie tylko doskonałą.

Patrick Shannon nigdy nie pozwalał sobie na porównywanie swojego ponurego i samotnego dzieciństwa z życiem ludzi, w świecie, w którym sam teraz był taką potęgą. Ale od czasu do czasu podświadomie, kiedy znalazł się w sytuacji, której jeszcze nie opanował, stawał się na krótko, ale oszałamiająco świadom straty; w ułamku sekundy ponownie przeżywał późną i trudną zmianę z pozbawionego ogłady chłopca, który zjawił się ze stypendium w szkole, w człowieka jakim był dzisiaj. Inni jego koledzy w St. Anthony's, w Tulane, w Harvardzie, w większości mieli szczęśliwe dzieciństwo, i było to widoczne, być może nie dla nich samych, ale na pewno dla niego, bo nie był jednym z nich i nigdy nie mógł być.

Łatwość tego, powiedział sobie, podczas gdy chwilowa gorycz mijała; na tym polega cały sekret. Postanowił się odprężyć i w tym momencie wolno podjechał do niego Ham na swoim koniu.

– Czy będziesz miał coś przeciwko temu, żebyśmy nie doganiali innych? –

zapytał Ham. – Jeżdżę w siodle western... trochę przypomina krzesło bujane... nie miałem czasu uczyć się jazdy w angielskim stylu, jeśli o mnie chodzi, nie warto to zachodu.

Patrick spojrział na swego gospodarza, niesamowicie wystrojonego, w kowbojskich butach, siedzącego głęboko w siodle western na dużym kucu.

– Cokolwiek sobie życzysz – odpowiedział. Ham Short zastanawiał się, dlaczego Shannon wyglądał na takiego zdziwionego.

Czy człowiek nie miał prawa jeździć w taki sposób, w jaki wolał, na miłość boską?

Vanessa Valarian i Topsy wracały do domu w milczeniu, zakłóconym jedynie przez ogólne uwagi Vanessy na temat pogody, położenia domu, krajobrazu; uwagi, które Topsy ledwo słyszała. Kiedy doszły do podjazdu przed domem, Vanessa złapała Topsy za nadgarstek.

– Pokaż mi dom – zażądała niskim żarliwym głosem, który był jej największą zaletą. Była tak delikatna jak kawałek jedwabiu, tak szczupła i smukła, że suknie jej męża nigdy nie wyglądały tak dobrze na zawodowych modelkach jak na niej. Potrafiła wykorzystywać swoją urodę, która polegała głównie na absolutnie białej skórze i kontrastującej z nią czerni włosów, ściętych na pazia, z prostą grzywką sięgającą do brwi. To niemodne uczesanie w stylu księcia Valianta, „włosy na podpis”, jak nazwały to magazyny mody, było tylko częścią jej osobistego stylu, który czynił jej sylwetkę idealną. Innymi były szeroka, kanciasta szczęka, mocno umalowane i jakby trochę orientalne oczy, jaskrawa, czerwona szminka na szerokich ustach, nie speszony uśmiech, który widoczny był na wszystkich jej zdjęciach, jakie opublikowano. Miała dziwnie śliczne ręce, długie i smukłe, tak subtelne i silne, jakby była rzeźbiarką lub pianistką, z tym że paznokcie miała zawsze krótko obcięte i na eleganckich palcach nigdy nie nosiła żadnych pierścionków. Vanessa nigdy nie szła na kompromis i nigdy nie zmieniała swojego wyglądu. Ze swoim długim nosem obnosiła się, jakby był dowodem na królewskie urodzenie. Na ten łagodny dzień w Virginii włożyła cienką, wcale nie prostą sukienkę z czarnego kaszmiru, wielkie, złote kolczyki i osiem bransoletek Davida Webba, zestaw który celowo wybrała ze względu na jego niestosowność z powodu sposobu, w jaki klócił się z otoczeniem. Był to efekt, który tworzyła z przyjemnością.

Pełna niepokoju Topsy poprowadziła ją przez aż do przesady eleganckie pokoje, w których trofea myśliwskie Hepplewhite, beczkowate krzesła Sheraton i

portrety Sully zgromadzone zostały z zamierzoną wystawnością. Zaczęła zapominać, jakie meble należały do jakiego okresu, przejeżdżała się przy najprostszyc nazwiskach, dosłownie drżała wchodząc do kolejnych pokoi nie dlatego, że obawiała się, iż mogą nie być w idealnym stanie, ale ponieważ tak mocno świadoma była eleganckiej, czarnej obecności Vanessy u swojego boku. Ani razu jej nie dotknęła, ale też nigdy nie odstępowała jej na dystans, jaki normalnie ludzie zachowują między sobą. Była tak samo zdenerwowana jak przed swoim pierwszym tańcem.

– Jest uroczy – oświadczyła Vanessa – i pasuje do ciebie... Nowy Jork wygląda w porównaniu z nim tak surowo. A teraz, moja mała Topsy, nie uważasz, że czas, żebyś pokazała mi piętro? Ciekawa jestem twojej sypialni... pomieszczenia towarzyskie domu nigdy nie są tak ciekawe jak pokoje prywatne, nie uważasz? Czy może jestem zbyt wścibska? Ale widziałam już tak dużo cudów, że jestem chora z zazdrości. Następnym razem jak przyjedziesz odwiedzić nas w mieście... a mam nadzieję, że nastąpi to szybko, to zrozumiesz.

Topsy wstrzymała oddech w nagłej radości. Magiczne słowa... obietnica, wizyta!

W sypialni Topsy Vanessa usiadła na brzegu dużego łóża z czterema filarami i baldachimem, pokrytego i udekorowanego trzystu metrami brzoskwiniowego jedwabiu, który Topsy wymusiła na swoim niechętnym temu dekoratorze.

– A to jest letto matrimoniale? – zapytała Vanessa wskazując na obficie przykryte łóże.

– Letto... ach... rozumiem. Nie, Ham śpi w swoim pokoju. Lubi pracować do późna i zaczyna wydzwaniać bardzo wcześnie.

– I przychodzi odwiedzić żonę w jej łóżku, czy też ona idzie do niego? – niewzruszenie ciągnęła Vanessa.

– Czemu... eee...

– Och, Topsy, jaka jesteś kochana... znowu się rumienisz, tak jak w Nowym Jorku. Och, wiem, kiedy ktoś to mówi, człowiek czerwieni się jeszcze bardziej... ale nie mogłam się oprzeć. Usiądź tutaj... nie mogę rozmawiać z tobą, kiedy jesteś kilometr ode mnie. – Vanessa klepała kape, dopóki Topsy, niemal wbrew własnej woli, nie usiadła tuż koło niej. Vanessa wzięła ją za rękę i okręcała jej dłoń jednym ze swoich eleganckich, gotyckich palców. – Zastanawiałam się, czy nas zaprosisz... Po tym co zaszło w Nowym Jorku obawiałam się, że może boisz się mnie... nie? To się cieszę... bardzo się cieszę. Myślałam o tobie każdego dnia... myślałam, że bardzo łatwo mogłybyśmy zostać bardzo, bardzo bliskimi przyjaciółkami... czy

chciałabyś tego, mała Topsy? – Leniwie polizała koniuszek palca wskazującego i szybkim ruchem delikatnie dotknęła środka dłoni Topsy mokrym palcem. Kiedy Topsy szybko nabrała powietrza na ten nieomylny, jasny znak, ale nie wycofała ręki, uniosła jej dłoń i włożyła jeden z palców Topsy do ust, ssąc go – czule od podstawy aż do czubka paznokcia. Topsy jęknęła. – To jest miłe, prawda? Pamiętasz, jak pierwszy raz pocałowałam twoją dłoń... pamiętasz, jaka byłaś zaskoczona? A pamiętasz, co ci jeszcze powiedziałam... że miałam na ciebie oko już lata temu?

Topsy przytaknęła w milczeniu.

Silna i szybka jak mężczyzna Vanessa objęła Topsy ręką w talii, a jednocześnie pochyliła się i delikatnie pocałowała ją w szyję, tuż nad obojczykiem. – Kochana, nie zrobię niczego, co nie sprawiłoby ci przyjemności... nie bój się mnie... nie boisz się, prawda? To dobrze. – Vanessa szybko podbiegła do drzwi sypialni w samych pończochach, zamknęła je i prędko wróciła na łóżko, gdzie Topsy na pół siedziała, na pół leżała na plecach, z dzikim wyrazem niechętnego pokusy w oczach. – Jaka jesteś cudowna... ciągle jeszcze jesteś w butach. – Vanessa zaśmiała się niskim głosem. – Pozbądźmy się przynajmniej butów... – Pochyliła się i zdjęła buty z nóg Topsy. – Zamknij oczy – wyszeptała Vanessa – i pozwól mi być dobrą dla ciebie... potrzebujesz kogoś, kto byłby dobry dla ciebie, prawda, maleńka... kogoś, kto po prostu zechce sprawić, że poczujesz wszystkie te rzeczy, o przeżyciu których zawsze marzyłaś, ale nigdy ich nie czułaś... och, tak, tak przypuszczałam... wystarczyło mi spojrzeć na ciebie i wiedziałam, że jesteś gotowa na mnie. – Mówiąc to zręcznie rozpięła bluzkę Topsy, a następnie zwolniła haczyk, który z przodu zapinał jej biustonosz. Topsy miała prześliczne, miękkie, okrągłe piersi ze sterczącymi, brązowymi sutkami, zaskakująco ciemnymi na jej białym i obfitym ciele. – Och, jaka ty jesteś piękna! Cudowna... wiedziałam o tym – wyszeptała Vanessa, lekko przeciągając palcem z ciemnoczerwonym paznokciem po brzegu na pół otwartych ust Topsy. Uważnie przyjrzała się swojej ofierze, nie chcąc niczego zrobić zbyt gwałtownie. Przesuwała ciepłymi, zręcznymi palcami od szyi dziewczyny w dół, a potem wokół obu piersi, wywołując rozkoszne uczucie, ale trzymając się z daleka od sutków, które już wyraźnie rosły i twardniały. Lubieżna w najdoskonalszym znaczeniu tego słowa, skłonna była nieskończenie długo czekać na swoją przyjemność, a nic nie podniecało jej tak jak inicjacja kobiety, o której wiedziała, że nigdy nie doświadczyła rozdzierającej rozkoszy, jaką jej sprawi.

– Topsy, to wszystko jest tylko dla ciebie... ja nie chcę niczego... nie musisz się

ruszać nawet o centymetr... leż spokojnie i pozwól mi patrzeć na siebie... – Rozpinając pasek spódniczki i zdejmując ją delikatnym ruchem, jednocześnie znowu ssła palce Topsy, włożyła dwa do swoich szerokich ust i lizała je doświadczonym językiem. Topsy zadrżała, nie mogąc uwierzyć, że czuje takie podniecenie zaledwie po dotknięciu piersi i palców. Odprężyła się, kiedy Vanessa powiedziała jej, że nie musi nic robić... nie wiedziałyby co zrobić. Teraz Vanessa wzięła jej sutki pięcioma bieglými, pieszczącými, czutými palcami i delikatnie doprowadziła do tego, że stały się dwoma twardymi przedmiotami. Dopiero kiedy Topsy westchnęła, nie mogąc dłużej się powstrzymać, Vanessa w końcu zacisnęła wargi na jednym z sutków, jakby leniwie liżąc czubkiem języka najpierw jeden gorący sutek, potem drugi. Spędziła długie, długie minuty, w ogóle nie odsuwając się od nich, ciągnąc je, kąpiąc je szybkimi ruchami całego języka, dopóki nie doprowadziła ich do stanu tuż przed bólem. Dopiero wtedy wyciągnęła ręce i zdjęła resztę rzeczy z Topsy.

Oczy dziewczyny były nadal zamknięte, zauważyła Vanessa rozbierając się. Dobrze, w ten sposób było łatwiej... pierwszy raz. Ułożyła głowę Topsy w jednej smukłej, silnej ręce, a palcami drugiej, tak leciutko jak to możliwe, czyniąc ich dotyk ledwo zauważalnym, a jednak niesamowicie podniecającym, przejechała przez jej ciało, aż do początku kępkę gęstych włosów łonowych. Kiedy nie było najmniejszej oznaki protestu ze strony Topsy, Vanessa ruszyła się z wdziękiem, z którego słynęła, siadła w rozkroku na ciele kobiety, z kolanami przy pełnych biodrach Topsy. Odchyliła się i oparła na piętach i poświęciła się przesuwaniu palców po pięknych udach i łydkach Topsy aż do czubków różowych palców, a później z powrotem, z determinacją unikając łonowych loków. Zauważyła, że ręce Topsy odżyły; jedna z nich sięgnęła i chwyciła jej rękę, po czym pociągnęła ją do wzgórka Wenery, który dziewczyna wypinała ku niej. Vanessa wyrwała rękę i wyszeptwała. – Nie, nie, jeszcze nie... jeszcze nie jesteś gotowa... – i zaczęła pieścić miękką skórę po wewnętrznej stronie ud Topsy, sięgając palcami wyżej i wyżej, dopóki nie dotarły do brzegu włosów łonowych. Topsy jęknęła błagalnie i rozsunęła nogi. Vanessa dojrzała gładki połysk wilgoci w zapraszających wargach. Jej własny srom był tak ciężki i przekrwiony, że z trudem powstrzymywała się przed wsunięciem go w dziewczynę, ale przemogła się, kucnęła niżej, aby dmuchnąć w gęste włosy Topsy, rozdmuchując kręcone loki, dopóki nie ujrzała jej spuchniętej lechtaczki. Wówczas wprowadziła znowu do akcji język, zwijając go, wkładając i wyjmując, tam i z powrotem, w mały organ, czasami ssąc całymi ustami, a czasem tylko liżąc, lekkim, przelotnym dotykiem.

– Pierdol mnie, na miłość boską... pierdol mnie! – mamrotała Topsy, nie mogąc już dłużej tego znieść.

Vanessa złączyła razem trzy palce prawej ręki i wsunęła je kilkanaście centymetrów w głąb żądnych warg. Topsy frenetycznie wyprężyła ciało ku górze, a Vanessa klęcząc, pochylila się i wzięła cały srom dziewczyny w swoje gorące, chciwe, szerokie usta, ssąc rytmicznie łechtaczkę, podczas gdy jej trzy palce nadal wsuwały się i wysuwały w pochwie Topsy, raz na głębokość kilku centymetrów, a raz tak głęboko, jak dało się je wsunąć. Topsy czuła tylko intensywną rozkosz; palce w jej pochwie miały twardość i wypukłość, jakiej nigdy nie miał gładki penis i ssanie, och, to drażniące ssanie, było jak coś, w co nigdy nie wierzyła, że jest możliwe. Czuła, iż robi pauzę przed orgazmem, pauzowała, pauzowała, a potem nagle, pospiesznie wcisnęła się w usta Vanessy i ogarnął ją rozszerzający się krąg spazmów, który doprowadził ją do krzyku w niedowierzającej rezygnacji.

Kiedy wciąż jeszcze drżała i łapała powietrze otwartymi ustami, Vanessa rzuciła się na nią całym ciałem, po raz pierwszy całując ją w suche, otwarte usta, przyciskając własny srom, pokryty czarnymi włosami, do wzgórza łonowego Topsy, biorąc jej pełne, okrągłe pośladki w dwie ręce i pocierając je nieustępliwie, dopóki nie doprowadziła się szybko do mistrzowskiego orgazmu, od którego tak długo się powstrzymywała.

Minęły minuty, długie minuty, nim Topsy usiadła, z zawrotem głowy, ale wciąż świadoma przemijającego czasu.

– Za dziesięć minut wrócę na lunch... i Ham będzie mnie szukał. Jak ja muszę wyglądać?

– Wyglądasz cudownie – powiedziała Vanessa, wślizgując się w ubranie. – Czy masz gdzieś tutaj pas i pończochy?

– Kiedyś je kupiłam... dla Hama... ale nie dokonały żadnego cudu. Czemu pytasz?

– Włożyłabyś je dla mnie? Bez majtek? Na cały dzień, cały wieczór, na cały jutrzejszy dzień? Tak, żebyś mogła popatrzeć na ciebie i pomyśleć, że mogłabym dotknąć cię pod ubraniem... tak, że ty będziesz mogła popatrzeć na mnie i będziesz wiedziała, o czym myślę?

– Och!

– Założysz?

– Tak, o Boże, tak!

Kiedy wszyscy goście Shortów zgromadzili się na drinka przed lunchem, Robin

Valarian podszedł do żony i objął ją ramieniem.

– Czy miałeś przyjemną przejażdżkę, aniele? – zapytała go, unosząc nos i szeroko otwierając orientalne oczy.

– Cudowną... to naprawdę ogromna szkoda, że zaczęłaś się bać koni, moje biedne maleństwo. Dawniej tak dobrze jeździłaś. A jak udało się twoje polowanie?

– Świetnie, po prostu świetnie.

– Miałem taką nadzieję. Niemal ci zazdroszczę.

Daisy zjadła lunch z Cindy i jej siostrami w ich pokoju zabaw, a następnie spędziła popołudnie szkicując dziewczynkę na jej kucyku. Młodsze dziewczynki, z których jedna miała siedem lat, a druga pięć, z szacunkiem obserwowały ją, ale po chwili znudzone wyszły. Pracowała z pełnym poświęceniem aż do momentu, kiedy Cindy odmówiła dalszego pozowania i wówczas oddała się największej przyjemności, jaką oferowały weekendy u koniarzy: samotnej przejażdżce, tylko w towarzystwie Tezeusza. Te godziny, kiedy była sama, galopowała, wolna, pozostawiona samej sobie, o niczym nie myśląca i szczęśliwa, były luksusem, na który inaczej nie mogłaby sobie pozwolić, więc stała się specjalistką w korzystaniu z nich w sposób, który nie wpływał na czas pracy. W zapadającym zmierzchu niechętnie pokłusowała z powrotem do stajni, a później udała się do swojego pokoju, żeby się wykąpać i przebrać do kolacji.

To była rzecz, którą najmniej lubiła podczas tych weekendów, pomyślała zdejmując z siebie strój jeździecki, obowiązkowe kolacje w towarzystwie wszystkich gości, obowiązkowe konwersacje, obowiązkowa postawa księżniczki, jakiej gospodyni się po niej spodziewała, a raczej wymagała od niej. Kiki często zastanawiała się dlaczego ich tak nie lubiła i dlaczego wobec tego znosiła je, tylko po to, żeby sprzedać swoje prace. „Ja byłabym zachwycona, gdybym była księżniczką”, powiedziała surowo, potrząsając głową w kierunku Daisy. Nigdy nie potrafiłaby wyjaśnić, nawet Kiki, że sama nie bardzo rozumiała, dlaczego gdzieś w głębi czuła się jak oszustka podszywająca się pod osobę niejakiej księżniczki Daisy Valensky, tak jakby nie miała żadnego prawa do tego tytułu. Musiała przyznać, że w nowoczesnym świecie tytuły wyszły z mody, z wyjątkiem krajów wciąż jeszcze rządzonych przez monarchów, ale mimo to wielu ludzi w wielu krajach nadal używało ich bez złego samopoczucia, jakie ona czuła.

Wchodząc do gorącej kąpieli Daisy nagle zdała sobie sprawę, być może pod wpływem nagłego przyjemnego szoku, jaki sprawiło jej objęcie wody, że była smutna tym znanym sobie smutkiem, który nachodził ją od czasu do czasu,

smutkiem, z którym walczyła nie znając jego źródeł. Miewała okresy depresji, których nadejście objawiało jej się jak pierwsza mgła znad morza, przyciemniająca światło, jak więc przeciągnięta w głębi umysłu, która wkrótce miała narobić straszego zamieszania w jej życiu. W takim nastroju, kiedy była w domu, kuliła się pod wszystkimi kocami, jakie znalazła, w grubych, wełnianych skarpetach na nogach i leżała, wstrząsana dreszczami przez długie godziny zastanawiając się, dlaczego przyszłość nie zapowiada niczego dobrego i próbując wyobrazić sobie sytuację, miejsce lub wydarzenie, które skusiłoby ją do powrotu do rzeczywistości. Zawsze miała przy sobie Tezeusza, z którym bawiła się, a potem bardzo mocno tuliła go do siebie.

Kiedykolwiek próbowała pochwycić ten smutek, rozebrać go i zbadać, natychmiast wpadała w sieć niemile widzianych pytań, na które nie mógł jej odpowiedzieć nikt z żyjących.

Co by było, gdyby miała oboje rodziców tak jak większość ludzi? Co by było, gdyby jej matka jak większość kobiet, które żyją w separacji z mężami, wyjaśniła jej w dzieciństwie, dlaczego ukrywały się w Big Sur, nie widując nieznajomych, nie mając żadnego kontaktu z zewnętrznym światem? Nawet gdyby wyjaśnienie to nie miało wówczas dla niej zbyt wiele sensu, mogło okazać się satysfakcjonujące na jakiś czas, do momentu kiedy dojrzeje na tyle, aby je zrozumieć. Co by było, gdyby ojciec powiedział jej któregoś dnia, dlaczego mógł z nią spędzać tak mało czasu i wyjeżdżał tak nagle, rok po roku, pozwalając jej żyć w stałym lęku, że już nigdy nie wróci, pomimo listów, jakie do niej pisywał? Co by było, gdyby matka, która była zdecydowanie zbyt niejasnym wspomnieniem bezpieczeństwa i miłości, nie wyjechała bez pożegnania i nie znikła w morzu pewnego słonecznego popołudnia? Co by było, gdyby ojciec pozwolił Dani zamieszkać z nią, zamiast przybijać rygorystyczną, hermetyczną pieczęć milczenia o jej istnieniu? I co by było, gdyby Staś nie zmarł, kiedy miała piętnaście lat, gdyby żył do dzisiaj i chronił ją samym swoim istnieniem? Co by było, gdyby Ram był prawdziwym starszym bratem, troskliwym i dobrym, kimś, do kogo mogłaby udać się ze swoimi problemami, a nie chorym szaleńcem, o czym wiedziała tylko ona i Anabel?

Daisy wyszła z wanny i zaczęła się ubierać. Kiedy rozczesywała włosy, spojrzała na sztuczne szmaragdy Kiki, które leżały na toalecie. Naszyjnik i obrączki będą świetne jako dodatek do tweedowego żakietu z jego fryzowanymi klapami, ale kolczyki nic nie dadzą, bo będą niewidoczne pod włosami. Znalazła spinki do włosów i wkręciła je w wisiorki wykończone namiastkami diamentów. Naturalnie na wieczór zostawi włosy luźno rozpuszczone, skoro przez cały dzień

chodziła w warkoczach. Cudowna, posrebrzana burza włosów, w którą wcisnęła kolczyki, opadała faliście. Jej spodnium od Shiaparellego sprawiało, że wyglądała jak młody Robin Hood, Robin Hood, który pofatygował się aż do Paryża, aby obrabować bogatych. Kończąc ubieranie przez chwilę popatrzyła w lustro, jakby miała do czynienia z płochliwym koniem i powiedziała głośno! Daisy Valensky. zastanawianie się „co by było gdyby” nic nie da. Jest, jak jest.

Patrick Shannon rozpoznał w niej dziewczynę, którą obserwował jeżdżącą tego ranka tylko po sposobie w jaki trzymała głowę, kiedy weszła do salonu. Gdyby nie to, myślałby, że to ktoś nowo przybyły, ponieważ nie widział jej ani przy śniadaniu, ani przy lunchu. Kiedy weszła do pokoju, w którym zgromadzeni już byli inni goście, wydawało się, że na krótki moment zamarł czas, na ułamek sekundy zamilkły rozmowy, które zaraz wznowiono.

Daisy nie знаła nikogo z obecnych, więc Topsy oprowadziła ją po salonie, przedstawiając wszystkich. Kiedy podeszły do Patricka, pomyślał, że wie kim jest, powinien był się domyślić. Chociaż nie poświęcał ani trochę czasu wiadomościom o znanych osobistościach, podobnie jak wszyscy, świadom był jej istnienia. Pamiętał nawet, choć jak przez mgłę, jej zdjęcie jako małego dziecka na okładce tygodnika *Life*, kiedy był nastolatkiem.

Uścisnęli sobie ręce z niedbałymi uśmiechami. Daisy zaabsorbowana była próbując spamiętać wszystkie nazwiska, bo przecież w przyszłości mogli zostać jej ewentualnymi klientami, a Shannon usiłował ją określić. Był człowiekiem, który lubił natychmiast umiejscawiać nowych znajomych, określać ich, aby wiedzieć jaką pozycję zajmowali w stosunku do niego. Zdążył już odrzucić koniarzy jako nie znaczących w jego schematach, Vanessę i Robina Valariana oznaczył etykietkami ludzi, z którymi nigdy nie robi żadnego interesu i nabrał przekonania, że Ham Short był człowiekiem, z którym mógł lukratywnie i dobrze pracować, podobał mu się jego styl. Kiedy Daisy odwróciła się, aby zostać przedstawioną Dempseyom, pomyślał, jeszcze jeden motylek, rozpieszczony, drażliwy, oczekujący pobjaźania i pochlebstwa, próżny. Dobrze zapamiętał lekcję, jaką dała mu żona... znał ten typ kobiety.

Podczas kolacji jego ocena zyskała potwierdzenie, kiedy słuchał rozmowy między Daisy, siedzącą po jego prawej stronie, a Davem Hemmingiem i Charliem Dempseyem.

– Nigdy nie zapomnę twojego ojca grającego w prestiżowym turnieju w Monterey w latach trzydziestych – Charlie Dempsey zwrócił się do Daisy. – Nie pamiętam dokładnie roku, ale wiem, że grał z trójką, Erie Pedley, z Santa Barbara z

jedynką, Tommy Hitchcock z dwójką i Winston Guest z czwórką... moim zdaniem najlepsza drużyna, jaka kiedykolwiek dosiadała koni.

– Bzdura, Charlie – Dave Hemming przerwał mu przez stół. – Najlepszą drużyną, jaka dosiadała koni byli Guest, Cecil Smoth i Pedley, plus Hitchcock z trójką, przy całym szacunku dla Stasia.

– Jestem pewna, że obaj macie rację – uśmiechnęła się Daisy. – Ale nikt, nawet Cecil Smith, nie potrafił tak jeździć jak mój ojciec.

Przez ostatnich parę lat przyzwyczaiła się już do tych konwersacji. Niemal wszyscy ponad pięćdziesięcioletni ludzie związani z końmi mieli swoje własne wspomnienia o jej ojcu i lubiła słuchać, kiedy o nim rozmawiali... przywracało go to na chwilę, nawet jeśli przytaczali bardzo dawne wspomnienia, jeszcze sprzed jej narodzin.

Podczas gdy znana jej sprzeczka ciągnęła się dalej, Daisy zwróciła się do Shannona.

– Czy pan też jest entuzjastą polo, panie Shannon? – zapytała uprzejmie.

– Nie mam o nim zielonego pojęcia – odpowiedział.

– To brzmi odświeżająco.

Myślał, że się z nim droczy. – A czym pani się zajmuje, księżniczko Valensky, kiedy nie jest pani arbitrem w dyskusjach na temat arkanów gry, którą rozegrano czterdzieści pięć lat temu?

– Och, tym i owym. Przez weekend będę szkicować Cindy na jej kucyku.

– Dla przyjemności?

– Mniej więcej. – Daisy uważała, że koniecznie powinna ukrywać prawdziwy, komercyjny charakter jej obecności na tych przyjęciach. Fakt, że była tam, aby zarobić tak potrzebne jej pieniądze, fakt, że spędzała te wieczory ostrożnie i obojętnie próbując się dowiedzieć czy ktoś ze współbiesiadników nie miał dzieci, które mogłyby w perspektywie stać się jej obiektami, fakt, że po prostu przeprowadzała polowanie, najłatwiej było ukryć pod maską dyletantki. Jej zawodowi lepiej służyły wieści przekazywane z ust do ust niż autoreklama.

– Czy poluje pan w tych okolicach, panie Shannon?

– Poluję? Tutaj? Nie. – Mój Boże, pomyślał Patrick. Chyba po miesiącu nauki w szkółce jazdy konnej nikt nie mógł spodziewać się po nim, że będzie skakał przez płoty?

– Więc gdzie pan poluje? – ciągnęła, pewna siebie Daisy.

– W ogóle nie poluję – krótko odpowiedział Patrick.

– Ależ z pewnością poluje... polował... nie? Więc czemu pan to zarzucił?

Patrick spojrział w jej oczy, spodziewając się ujrzeć w nich złośliwość, ale dojrzał tylko błysk płomienia świecy na czarnym aksamicie. Płomienie, stojące na stole chryzantemy, odbicia ciężkich sreber i irlandzkich kryształów... wszystko zdawało się iluminować jej urodę, którą dorównywała, albo nawet przewyższała każdy blask w pokoju. Ale wydało mu się, że usłyszał sardoniczny ton w jej pełnym rozbawienia przesłuchaniu.

– Zapewniam panią, że nie poluję, nigdy nie polowałem i nie zamierzam nigdy polować – odpowiedział jej z chłodno kontrolowaną grzecznością.

– Ale... pańskie buty... – wymamrotała Daisy skonsternowana.

– Co z nimi? – zapytał oschle.

– Nic – odpowiedziała szybko.

– Nie... chcę wiedzieć. Co z moimi butami? – Teraz był już pewien, że nabija się z niego.

– Więc, tylko... och, to nieważne, naprawdę, głupio zrobiłam, że zauważyłam...

– plątała się Daisy unikając jego wzroku.

– Buty? – nieprzejednanie dopytywał się Patrick.

Teraz Daisy się rozgniewała. Jeżeli ten człowiek ma zamiar traktować ją jak świadka na procesie o morderstwo, to może mu powiedzieć.

– Panie Shannon, pana buty są czarne z brązowymi nosami. Tylko myśliwy, to znaczy ważna osoba, jak Pomocnik Łowczego lub sam Łowczy ma prawo do noszenia takich butów. Jeśli pan nie poluje, pana buty powinny być całe w jednym kolorze.

– Do diabła!

– Ktoś powinien był panu powiedzieć – szybko dodała.

– Czy chce pani przez to powiedzieć, że jest to jedna z tych rzeczy, o których każdy powinien wiedzieć?

– To naprawdę nieważne – Daisy odpowiedziała tak chłodno, jak umiała.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie podpucha? – powiedział żądłoco, skupiając swą wściekłość na Chucku Byersie, który dał mu buty bez żadnego wyjaśnienia.

– To niesłychane – powiedziała, tracąc opanowanie.

– To dlaczego nikt inny nic nie wspominał... jeździłem prawie cały dzień – oskarżył ją poważnym tonem.

– Założyli, tak jak ja, że pan poluje. To bardzo proste.

– Nie jeżdżę tak dobrze, żeby ktokolwiek z odrobiną rozsądku mógł sobie wyobrazić, że poluję – odpowiedział z wściekłością.

– Więc może okazywali takt, a może domyślali się, że to pana rozwścieczy i nie

chcieli narażać się na pańską dziką furję? Dlaczego rozgniewał się pan na mnie? Nie ja sprzedałam panu te buty – Daisy odwróciła się do Charliego Dempseya i zaczęła rozmawiać z nim o polo.

Patrick Shannon pozostawiony samemu sobie kipiał gniewem podejrzewając, że wszyscy ludzie, z którymi jeździł tego dnia musieli dziwić się jego butom, ale byli zbyt uprzejmi, aby go o nie zapytać... i bez wątpienia śmiali się z niego za jego plecami.

Shannon nie lubił czuć się jak koński zad.

Rozdział 16

W mieszkaniu Valarianów był tylko jeden intymny pokój, tylko jeden pokój, który nie był obfotografowany w związku z nie kończącymi się przeróbkami Robina, który odnawiał wnętrze dwupoziomowego mieszkania przy Park Avenue co dwa lata. Był to pokój, w którym spędzali razem trochę czasu, w którym oddawali się ukochanemu rytuałowi, nim przebrali się do wyjścia lub do przyjęcia gości u siebie, co czynili dosłownie każdego dnia tygodnia. Codziennie o szóstej Robin i Vanessa spotykali się w tym prywatnym pokoju, który miał ściany i podłogę pokryte grubym dywanem koloru wigonii, miedziany sufit w kształcie kopuły, a w nim wgłębienia, z których ciepłe światło padało na liczne orchidee rosnące w podwieszanych koszykach. W środku pokoju, który poza tym był pusty, znajdowało się pokryte dywanem podium, a na nim gigantyczna, owalna wanna... wanna wielkości przeciętnej łazienki, z czarnego włókna szklanego. Była piętnaście centymetrów głębsza niż normalne wanny i miała cztery wytryski wody z lśniącego chromu, które tworzyły wiry wody o temperaturze osiągającej nawet ponad czterdzieści stopni. Nadzy w kującej wodzie, z lśniącymi, zdrowymi, zadbanymi ciałami, leżeli i popijali zimne, wytrawne białe wino, wymieniając uwagi na temat przemijającego dnia i różnych zajęć. To tam wzmacniali mocne więzy, dzięki którym trzymali się razem.

Jak wielu poślubionych homoseksualistów, tworzyli silne, solidniejsze i trwalsze małżeństwo niż prawie wszystkie pary heteroseksualne, jakie znali. Nie ma związku tak oddanego wspólnym i indywidualnym sukcesom, jak homoseksualny mąż szczęśliwie poślubiony z żoną lesbijką, żadna miłość nie dorówna ich ścisłemu, chronionemu, bliskiemu związkowi. Razem osiągnęli ogromne korzyści, które byłyby dla nich niedostępne poza małżeństwem, a najważniejszą z nich było, iż nie groziło im życie osoby samotnej, które w przypadku każdego atrakcyjnego mężczyzny i kobiety po trzydziestce, prowadzi do ożywionych wątpliwości na temat ich preferencji ze strony niemal każdego, kto się z nimi styka. Razem tworzyli tę jedność, „poślubioną parę”, która znacznie łatwiej wchłania się w jakąkolwiek społeczność niż osoby samotne lub małżeństwa homoseksualistów tej samej płci: zapewniali swoim gospodyniom ten najbardziej pożądany dodatek do każdego przyjęcia, świetnie dobraną parę.

Razem zapewniali sobie nawzajem tradycyjny, nieskończenie bezpieczny dom, w którym Robin miał swobodę oddawania się talentowi tworzenia oświecających

blaskiem, barokowych wnętrz oraz mających coraz więcej przepychu kompozycji kwiatowych. To on wyszukiwał i szkolił idealnych służących, a z kolei Vanessa organizowała dokładnie przemyślane przyjęcia, które skutecznie wykorzystywała do wspomagania kariery Robina. I w końcu, nie będąc zazdrośni o siebie, jak mogłoby to mieć miejsce w przypadku kochanków, oboje byli wolni w zaspokajaniu swoich gustów seksualnych, ciesząc się dodatkową świadomością, iż jest ktoś, kto czeka w pełnej gotowości, aby wysłuchać zwierzeń na ten temat, poradzić, wesprzeć, wydeptać ścieżkę, nawet zastawić pułapkę, a jeśli trzeba, przytulić i pocieszyć.

Małżeństwo dało im *entree* do elit społecznych i dobrobyt na poziomie, jaki byłby dla nich niedostępny, gdyby pozostali w wolnym stanie. Jako „Valarianowie” jadali kolacje w Białym Domu, pływali największymi jachtami, byli gośćmi w najbardziej historycznych wiejskich posiadłościach Anglii i Irlandii, jako para bez skazy, będąca ponad skandale, choć może nie całkiem ponad plotki... ale kto przejmował się plotkami w tych czasach?

Jako „Valarianowie” byli na zawsze uwolnieni od odium homoseksualizmu; jako małżeństwo bezkarnie poruszali się w najszerszych kręgach znanych osobistości, podczas gdy wśród swoich nie tylko podziwiani byli za mistrzostwo we wprowadzaniu ludzi w błąd, ale także chwaleni za spryt w dobraniu się w parę i świetne korzystanie ze wzajemnej pomocy. Pojęli sekret, który tak rzadko jest rozumiany w tym surowym i nagim stanie; fakt, że dla tych, którzy odnoszą sukcesy w tym świecie nie istnieje płęć... po prostu albo odnosi się sukces, albo nie. Jedyne ważne pytanie brzmi: jesteś czy nie jesteś jednym z nas?

Istnieje ogromna różnorodność kombinacji w małżeństwach homoseksualistów: biseksualny mąż, którego Robin nazywa zawsze „Jazz-Tango”, a który przez pierwsze lata małżeństwa od czasu do czasu znajduje w tym przyjemność z własną żoną i prawie zawsze zostaje ojcem zadziwiająco ślicznych dzieci; mąż będący prawdziwym homoseksualistą i żona, którą przeraża seks w każdej formie; i lesbijka z biernym, niemal nijakim mężem. Valarianowie należeli do tego rodzaju par, w których małżonkowie mają do opowiedzenia sobie najwięcej historii, ponieważ Robin był tak samo aktywny seksualnie jak jego żona.

Robin Valarian prawdziwie kochał Vanesę, a ona prawdziwie kochała jego, oboje wypełniała niespokojna czułość. Kiedy był przeziębiony, co godzinę przynosiła mu witaminę C i dopilnowywała, aby ją połknął. Kiedy ona miała za sobą męczący dzień, masował jej kark nawet przez godzinę, dopóki nie zamruczała w odprężeniu, a potem szedł do kuchni, dokładnie mówił kucharzowi co ma

umieścić na tacy, po czym przynosił ją osobiście, sadzał Vanessę wygodnie wśród poduszek na łóżku i upierał się, aby zjadła. Wspólne życie, jakie sobie ułożyli było czymś żywym, rosnącym, głęboko zakorzenionym, czymś, co w pełni polegało na obopólnym wkładzie. Vanessa często cytowała Rilkego: „Miłość, która polega na tym, że dwie samotne istoty chronią, otaczają troską i czcią jedna drugą”.

Poza sferą miłości byli dla siebie najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Robin podziwiał jej energię, jej dziką pogoń za tym, czego chciała i był szczególnie wdzięczny za jej rolę w swojej karierze. Miała ogromne poczucie stylu, który był bezpośrednią pochodną jej osobowości, a który przenosiła na jego modne, ale przeciętne projekty. Jego zdolności jako projektanta były ograniczone: wiedział, co zrobić, żeby kobiety wyglądały ślicznie i kobieco... specjalizował się w sukniach koktajlowych i wieczorowych, opierając się w dużej mierze na powabie kryz i szeleście tafty, ale tak naprawdę nigdy w życiu nie miał pomysłu na oryginalny projekt. Owszem, rok po roku, bogate kobiety z całego kraju kupowały drogie stroje Robina Valariana, robione na zamówienie. Działo się tak częściowo dlatego, że cieszył się wyjątkową sympatią dziennikarzy zajmujących się modą i lubiących bywać na przyjęciach wydawanych przez jedyne w swoim rodzaju małżeństwo. Podstawowym powodem, dla którego jego rzeczy tak dobrze się sprzedawały był fakt, iż Vanessa z buńczucznym diabelskim sprytem prezentowała jego sukienki, , na zdjęciach w otoczeniu ludzi znanych z dobrego gustu i wysokiej pozycji, że dodatek „Valariana” zaczął oznaczać, iż każda kobieta z górnej warstwy klasy średniej czuła się trochę jakby była Vanessą, przyjmując wyzwanie stania się fantazyjnie, niemiłosiernie, uderzająco szykowną.

Ich dwupoziomowe mieszkanie odzwierciedlało siłę ich więzów. To nie zachłanność sprawiała, że wszystkie stoły zastawiali gęsto bibelotami, lecz niepohamowany instynkt gniazda, budowy mieszkania na skalę zamku. Każdy przedmiot, jaki razem wybrali i przynieśli do domu był potwierdzeniem ich oddania jedno dla drugiego, bez względu czy był to zestaw misek Pyrexu, czy też droga srebrna syrena autorstwa Tony'ego Duquette'a. Obowiązywała u nich pewna świętość obrusów, sreber i porcelany, zwykle znana tylko nowożeńcom. Na długo zanim weszło w modę zainteresowanie mężczyzn sprawami domowymi, Robin Valarian dumny był ze swoich zdolności w urządzaniu domu. W przeciwieństwie do bogini dekoracji wnętrz o nazwisku Sister Parish, której słowami przewodnimi były luksus i dyscyplina, Valarianowie wierzyli w luksus i luksus. Każda poduszka na parterze zdobiona była lamówkami albo frędzlami, każdy abażur pokryty jedwabiem, wszystkie zasłony podwójne, podpięte i zdobione kokardami,

wszystkie ściany bogate w co najmniej dwanaście warstw drogiego lakieru, ewentualnie pokryte kosztowną tapetą z materiału, każda kanapa przesadnie wypchana, obszerna i doskonale wygodna, tak aby goście czuli się tak wygodnie i przytulnie jak niemowlęta w kołyskach, a złudzenie to skłaniało ich do bardziej swobodnego plotkowania niż w nie tak miękko wyścielonym otoczeniu. Valarianom nie zdarzyło się wydać przyjęcia, na którym jakaś reputacja nie zostałaby stworzona, podczas gdy inna była rujnowana.

Ta para, broniąc fortecy swego małżeństwa z rygorystyczną lojalnością braterstwa krwi, oszczędziła sobie dwuznacznych, zmiennych nastrojów kochanków, uniknęła przewidywalnych ograniczeń narzucanych przez monogamię, a jednocześnie cieszyła się wszystkimi przywilejami stanu małżeńskiego.

Vanessa Valarian subtelnie, ale z poświęceniem praktykowała sztukę robienia przysług. Już dawno rozwinęła prywatną teorię, że przysługa zrobiona właściwej osobie we właściwym czasie, bez żadnych ukrytych motywów lub bezpośrednio z tym związanych nadziei na rewanż, wcześniej czy później okaże się pożytecznym lub wręcz zasadniczym elementem znakomitej mozaiki jej życia... Doświadczenie nauczyło ją, że najlepszym momentem do tego była chwila, kiedy osoba, której robiła przysługę, niczego się po niej nie spodziewała, kiedy przysługa zdawała się płynąć ze szczerzej dobroci serca i uznania wyjątkowych zalet danej osoby. Bardzo rzadko zdarzało jej się zrobić przysługę komuś, kto się o nią zwrócił; jej przysługi musiały wyglądać na niespodziewane i nie do zapomnienia. Osoba, której decydowała się zrobić przysługę nie potrzebowała żadnej rekomendacji poza jej własną intuicją, która mówiła jej kto pnie się w górę, a kto traci grunt pod nogami, kto ma potencjał, który nie został jeszcze ujawniony, a kim nie warto było zawracać sobie głowy. Jak wyśmienity zawodnik jazdy na nartach wodnych, potrafiła wyczuć dużą falę nim osiągnęła pełną wysokość, potrafiła wskoczyć na deskę, zanim inne kobiety w jej świecie zdążyły zauważyć wielkość i potęgę fali.

Kiedy Topsy Short wspomniała, że Daisy szkicuje Cindy na próbę i że Topsy może rozważyć zamówienie portretu olejnego całej trójki dzieci na kucykach, Vanessa zwęszyła okazję. Obserwowała Daisy poprzedniego wieczoru podczas kolacji. Z miejsca zorientowała się, w przeciwieństwie do wszystkich innych, że zielony Schiaparelli miał co najmniej czterdzieści lat, że szmaragdy były sztuczne i że dziewczyna, w taki czy inny sposób, była podatna na ciosy. Jak mogła być tak podatna przy swoim tytule, przy swojej części prawdopodobnie bajecznej fortuny ojca wydawało się niewytłumaczalne, ale Vanessa to wiedziała.

– Może obejrzałybyśmy jej szkice nim wyjedzie do Nowego Jorku? –

zasugerowała.

– Och, wątpię, żeby jej się to spodobało – odpowiedziała Topsy. – Powiedziała mi kiedy ją zapraszałam, że będą to tylko wstępne studia, coś jak stenogram. Prześle mi gotowy szkic za parę tygodni.

– Co za różnica, czy jej się to spodoba, mała Topsy? Rzućmy okiem... to może być zabawne.

Daisy niechętnie pozwoliła obejrzeć swój szkicownik. Było w nim około tuzina rysunków szybko naszkicowanych uproszczoną linią i tylko profesjonalny artysta mógłby dopatrzeć się w nich ewentualnego ostatecznego efektu.

Topsy milczała z wyrazem rozczarowania na twarzy, ale Vanessa od razu dojrzała skalę talentu Daisy.

– Dobra jesteś, ale oczywiście wiesz o tym – zwróciła się do Daisy. – Topsy, popełnisz błąd roku, jeżeli nie poprosisz księżniczki Daisy, żeby namalowała wszystkie trzy dziewczynki. Za dwa lata będziesz musiała zapłacić dwa razy tyle za każdą jej pracę... jeśli w ogóle znajdzie dla ciebie czas.

– Eee... nie jestem pewna... a co będzie, jeżeli Hamowi się nie spodoba – Topsy spojrzała na Vanessę z podziwem. Jak miała myśleć o podejmowaniu decyzji na temat obrazów, kiedy czuła jak pod spódnicą jej szorstkie uda lekko pocierają jedno o drugie, aż do bólu, drząc w oczekiwaniu na dotyk cudownych rąk Vanessy?

– Nie wyobrażam sobie niczego, co by mogło mu się bardziej podobać... a jeśli nie zrobisz tego zaraz... zwróć uwagę, Topsy!... nie będziesz miała wspomnienia dziewczynek z czasów nim zaczęły dorastać... są właśnie w idealnym wieku. Na twoim miejscu nie wahałabym się ani sekundy. Kazałabym sobie namalować naprawdę duży obraz olejny... to znaczy jako schedę – powiedziała patrząc na Daisy. – Jeśli masz czas podjąć się takiego zadania?

– Mogłabym znaleźć czas – powiedziała myśląc, iż gotowa jest malować całymi nocami przez następny miesiąc, aby tylko skończyć przed nadejściem kolejnego rachunku z Anglii.

– A więc załatwione. Zrobiłam ci wielką przysługę, Topsy i chciałabym, żebyś o tym pamiętała. Któregoś dnia będziesz mnie błogosławić.

– Dziękuję, pani Valarian – szybko odpowiedziała Daisy.

Vanessa dopatrzyła się ukrywanej ulgi w twarzy Daisy. A więc jednak potrzebowała pieniędzy. Dziwne.

– Pani mi dziękuje? To Topsy powinna mi podziękować... ma cholernie dużo szczęścia, że pani się zgodziła – odpowiedziała Vanessa ze szczerym, dużym, szerokim uśmiechem, który zawsze towarzyszył egzekucji obiecującej przysługi,

celowość zrobienia której czuła całym instynktem. Daisy Valensky była teraz jej dłużniczką. – Następnym razem jak będę w Anglii powiem Ramowi jak bardzo, moim zdaniem, jesteś utalentowana. Jest naszym wielkim przyjacielem... uwielbiamy pani brata.

– Dziękuję pani, pani Valarian – automatycznie powtórzyła Daisy. Poczowała chłód, jakby ktoś wbił stal w jej serce.

– Powiem ci, czego potrzebujesz, Luke'u Hammerstein – słodko oświadczyła Kiki – kogoś, kto przewróci twoje życie do góry nogami.

– Ta ostatnia wystawa była tego bliska – powiedział Luke w momencie kiedy znaleźli stolik w Ballroom.

– Myślałam, że będzie ci się podobać... jak wielu ludzi widziało reprodukcje gipsorytów z jaskiń Quebecu?

– Był to niewątpliwie pierwszy raz. Podoba mi się, że ich autorzy wykonują je w SoHo, aby pokazać je w Quebecu. Jest to ten rodzaj – wymiany kulturalnej, która może coś zrobić, aby pomóc stosunkom, jakie zawsze mieliśmy z Kanadą.

– Taak... poważnie martwię się o Kanadę.

– Naprawdę?

– Oczywiście. W samym centrum Detroit jest tunel, który prowadzi prosto do Kanady. Kiedy byliśmy dziećmi, razem z braćmi wierciliśmy ojcu dziurę w brzuchu, żeby nas tam zabrał. Wydawało się to takie romantyczne.

– A było?

– Jasne, że nie... to tylko dowód, że nie wie się nic o Detroit... ani o Kanadzie.

– Nie wszyscy mają szczęście.

– Znowu się ze mnie nabijasz – powiedziała Kiki, zabawnie unosząc brwi aż do falujących włosów, które chwilowo miały naturalny kolor brązu.

– Przepraszam, ale nie mogę się powstrzymać. Jesteś jak Beatrice z *Wiele hałasu o nic...* pamiętasz, urodziła się w „godzinie wesołości”?

– A zdobyła faceta pod koniec?

– Nigdy nie dajesz za wygraną, co? – Luke miał powodzenie u niewiast od kiedy skończył dwanaście lat, ale nie spotkał jeszcze żadnej tak szczerzej co do intencji wobec niego jak Kiki Kavanaugh. Czy była kompendium wszystkich kunsztów i przebiegłości znanych kobietom, czy też tym, na co wyglądała, niewinną, zmysłową kobietą, która chciała pożyć sobie na całego... z nim jako partnerem? Luke przyzwyczał się do nowego pokolenia kobiet, ale Kiki była jak Czerwone Berety w wojnie płci. Wytrącała go z równowagi, musiał to przyznać. Prawdę mówiąc grał teraz trudnego do zdobycia, tak jak zwykle robi to kobieta... to

odwrócenie ról było niezłą zabawą.

– Potrzebuję drinka, na miłość boską... jestem wykończony – powiedział. Oboje nieśli kosze wypełnione popołudniowymi zakupami.

– Próbowaleś kiedyś mocnego jabłecznika? – zapytała Kiki. Był jej ulubionym napojem, tuż za kawą po irlandzku z lodem.

– Nie, jeszcze nie, ale możesz zamówić, bo przecież i tak masz zamiar to zrobić.

Z pewnym poirytowaniem spojrzął na koszyki, które postawili na białych kafelkach podłogi. Kiki kupiła, jeśli dobrze pamiętał, zdobione morelowe atlasowe przykrycie na butelkę z gorącą wodą w sklepie o nazwie Harriet Love, rzeźbę zielonej żaby, wykonaną z neonowych rurek w galerii Niech Zawsze Będzie Neon, dwie atlasowe szaty o dwuznacznej nazwie „gościnne kimona”, dwie butelki Soave Bolla i jedną Wild Turkey w sklepie monopolowym, na wystawie którego widniało ostrzeżenie NIE PROWADZIMY SPRZEDAŻY WINA W PÓLLITROWYCH BUTELKACH, oraz drobiazg jubilerski, który go denerwował, serce z kości słoniowej ze zwisającym czerwonym kamieniem, jak kropla krwi. W SoHo nawet biżuteria ma swoje nazwy, pomyślał... ten przedmiot nazywał się „Moje serce otrzymało zbyt wiele kopniaków”. A to było jeszcze nic w porównaniu z zakupami, jakie zrobiła w delikatesach Dean i Deluca, ogromnym sklepie spożywczym, w którym kosze przepelnione główkami czosnku, jabłkami, cytrynami, czarną rzodkwią, orzechami włoskimi i śliwkowatymi, suszonymi jukami witały klientów przy wejściu, a drogie garnki i patelnie zwisały ze świetlika dwa piętra wyżej. Tam wpadła w amok. Kawałek pate en croute i kaczka w galarecie, jedno i drugie dwadzieścia cztery dolary za kilogram, z lady na której stały dwa tuziny różnych pasztetów; słoik wrzosowego miodu z Holandii; biały ser i Petit St. Marcellin, mały serek obłożony liśćmi kasztana; trzy różne rodzaje salami, jedno z Hiszpanii, jedno z Włoch i jedno z Francji; pół kilograma szkockiego wędzonego łososia; słoik ostrego marynowanego piżmiana, pół kilograma szynki Black Forest; tuzin świeżo pieczonych rogalików; połówka najlepszego gatunku brie; i z koszy z pieczywem, które wisały w każdej części sklepu, wybrała jedną plecioną chałkę, cztery bagietki i bochenek ciemnego pumpernikla. Potem dołożyła opakowanie chleba Dovedale Butter Shortbread z angielskiej firmy założonej w 1707 roku oraz kilka tabliczek gorzkiej czekolady z Ghirardelli Chocolate Company w San Leandro w Kalifornii. Zestaw produktów, które kupiła okazał się być dla niego wysoce dwuznaczny.

Niejednokrotnie bywał już w SoHo, ponieważ żaden znany mu człowiek

reklamy nie przegapiłby okazji obejrzenia nowych prac wystawianych w galeriach, ale zwykle ograniczał się do krótkich wizyt pod numerem 420 Broadwayu, gdzie najważniejsi handlarze sztuki z centrum jak Leo Castelli, Sonnabend i Andre Emmerich, mieli swoje filie.

Tego dnia zobaczył SoHo, jakiego jeszcze nie widział, SoHo ludzi, którzy tu mieszkali, SoHo, w którym bracia Porcelli mieli świeże flaczki na wystawie swojego sklepu mięsnego; w którym dzieciak prowadzący rower zaczepił Kiki na rogu i zapytał: „Proszę pani, mogłaby pani pomóc mi przejść na drugą stronę?”; w którym szyld reklamujący PERSKI POKARM DLA KOTÓW wywieszony był na wystawie sklepu spożywczego „M & D”, nędznego, staromodnego sklepiku, który wyposażony był jednak w zamrażarkę wypełnioną drogimi lodami Haagen-Dazs i półki, na których solone orzeszki sąsiadowały z obrazami religijnymi i dziesięcioma rodzajami jogurtu; SoHo, w którym, w sklepie Mandala Workshop można było kupić symbol reprezentujący wysiłki Junga zmierzające do scalenia swojej osobowości, wykonany z robótki szydełkowej i witraży. To SoHo pełne było kontrastów. J. Volpe, mechanik sąsiadował z galerią, która oferowała odbitki „erotycznej żywności”; sklepy z armaturą oraz A&P Cordage Co. ze sprzętem żeglarskim znajdowały się tuż obok galerii Jacka z akwarelami Ertego i Jeana Cocteau.

Kiki spojrzała na Luke'a przenikliwie. SoHo przyprawiło go o szok... znała objawy. Planowała kolację w restauracji The Ballroom, ale ogromne malowidło ścienne naprzeciwko ich stolika pogorszyłoby tylko jego złe samopoczucie, ponieważ eksponowało ono w żywy, fotograficznie realistyczny sposób, dziewiętnastu najwybitniejszych artystów i mieszkańców SoHo, a wśród nich Larry'ego Riversa i Roberta Indiana.

– Wiem, czego ci potrzeba – oświadczyła Luke'owi.

– Co teraz?

– Chińska kuchnia.

– Na Boga, masz rację! To jedyna rzecz, jaką mógłbym przełknąć. Skąd wiedziałaś?

– Jesteś Żydem... to proste... kiedy Żydzi przeżywają szok kulturowy, jedyną rzeczą, jaka może im pomóc, są zakupy w delikatesach lub chińska kuchnia. My, ludzie niemożeszowego wyznania, poprawiamy sobie samopoczucie siedząc i obserwując jak pali się jasne pieczywo.

– Chyba jak zmienia się w grzanek?

– Nie, pali się, jak polano spalane w kominku w Wigilię Bożego Narodzenia.

Chodź, pójdziemy do Oh-Ho-So. To po drugiej stronie ulicy.

Ponieważ do tej pory nikt nie przyjął ich zamówienia, wzięli koszyki, wyszli z The Ballroom, przeszli przez ulicę i chwiejnym krokiem podeszli do baru w chińskiej restauracji: najbardziej zapraszającego z barów, z mnóstwem wytartych, krytych aksamitem kanapek i krzeseł z rzeźbionego drewna, każde inne, stojących wokół stolików ze składowiska wiktoriańskich pozostałości, a gdy tych zabrakło, z podniszczonych stolików spod maszyn do szycia.

W świetle z grającej szafy w oczach Kiki koloru umbry pobłyskiwały opale, żółte brylanty i radość.

– Pan wypije podwójną Wild Turkey z lodem – powiedziała kelnerowi – a ja poproszę sok jabłkowy. A teraz porozmawiajmy o tamtym wieczorze. Dlaczego nie chciałeś się przespać? Naprawdę byłeś zbyt zmęczony? – zapytała Luke'a z najbardziej sprośnym ze swych uśmiechów.

– Cholera... jak tylko trochę mnie rozpieścisz, jak prawdziwa kobieta, zaraz stajesz się agresywna. Pozwól przynajmniej, że najpierw zjem swój omlet, dobrze?

– Chodzi mi tylko o to, że ja nie byłam zmęczona... chociaż musiałam zajmować się Tezeuszem przez cały dzień. Więc dlaczego? Czy jesteś nieśmiały... czekasz z tym do trzeciej randki... czy masz skrupuły religijne?

– Po omlecie – przypomniał jej łagodnie. Miał równowagę sił. Luke był w pełni świadom swoich sił, więc nie przejmował się okazując słabości. Nigdy nie spotkał kobiety, która by mu dorównywała... była to jego skrzętnie ukrywana duma. Trzy starsze siostry wyposażyły go w więcej wiedzy na temat kobiet, niż potrzebował, mawiał kiedyś, choć zdawał sobie sprawę, że w ostatnich latach słowa te nabrały zabarwienia wojowniczego. Zauważył, że Kiki ocenia go wprawnym spojrzeniem krupiera z Monte Carlo, nie, jeszcze lepiej, szefa kasyna w Vegas. Uśmiechnął się do niej lekko i szyderczo.

– Wiesz co mi przypominasz? – odezwała się z żarem. – Te krypto-greckie głowy w Met z pięćsetnego roku przed Chrystusem... wszystkie one mają taki sam kołtuński, pyszałkowy, tajemniczy uśmiech... i za mało przyzwoitości aby być uczciwym... zarozumiałość, która przetrwała trzy tysiące lat.

– Po omlecie.

– Dobrze... ale wtedy... radzę ci uważać!

– Czy zawsze ostrzegasz swoje przyszłe ofiary?

– Staram się być w porządku. Mężczyźni są, na wiele sposobów, o wiele delikatniejsi niż kobiety.

Luke westchnął patrząc na nią, usiłując zrobić na Kiki wrażenie, że jest niczym

innym jak stosem prezentów, które sprawiają, że świerzbią ją ręce, aby je rozpakować.

– Dobra, porozmawiajmy o innych. Opowiedz mi o swojej matce – zasugerowała Kiki.

– Moja matka jest superkonserwatywna. Nigdy niczego nie zmienia w mieszkaniu. Do tej pory mamy meble z lat trzydziestych.

– Moja matka zmienia wystrój co roku. Po prostu kupujemy meble z lat trzydziestych.

– Matka ostrzegła mnie, że jeżeli ożenię się z piękną dziewczyną niemojżeszowego wyznania, pewnego dnia okaże się, że to zwykła *shiksa*... *shiksa*, to jedyne słowo w nowohebrajskim jakie zna.

– Moja uważa, że najlepszym sposobem na pochwalenie się sobolami jest pokazanie się w nich w japońskiej restauracji pierwszego dnia po otrzymaniu ich od kuśnierza. Zamawia sukiyaki przyrządzane przy stoliku i nie zdejmuje futra przez cały posiłek. Trzeba je potem wietrzyć prawie przez tydzień, ale przynajmniej futro wie, kto jest szefem. A poza tym przypuszczam, że jest antysemitką.

– Moja matka jest taką antysemitką, że kiedy jej klub postanowił przyjmować także rosyjskich Żydów, nie tylko niemieckich, odeszła z niego.

– Z moją matką jest jeszcze gorzej. Przeszła kurs ratowania życia metodą usta-usta na wypadek gdyby ojciec miał atak serca, a potem jak była któregoś dnia w banku jakiś człowiek na jej oczach dostał ataku serca, ale nawet nie spróbowała go ratować, ponieważ wyglądał tak odrażająco, że bała się, iż może zarazić się od niego jakimś świństwem... i zmarł leżąc u jej nóg.

– Jezu! Naprawdę? – powiedział zafascynowany Luke. Kiki wygrywała grę pod tytułem matka.

– Nie, ale przytrafiło się to właścicielce nieruchomości – przyznała Kiki.

– Moja matka nie zna żadnych właścicielek nieruchomości – powiedział Luke z chłodnym uśmiechem.

– Nigdy się nie przeprowadzaliście? Musisz mieć kontakt z handlarzami nieruchomości, jeżeli chcesz kupić dom.

– Moja matka nie wierzy w przeprowadzki... to takie *noweau*. Ma tylko...

– Mieszkanie na Park Avenue i dom w... Pound Ridge... i jeszcze w Westhampton... nie, East Hampton, zgadza się?

– Prawie... skąd masz takie niezłe informacje?

– Tak sobie wykombinowałam. Wydaje się, że mamy tę samą matkę, tylko że

one o tym nie wiedzą.

– Czy zdajesz sobie sprawę – markotnie powiedział Luke – że pięć razy więcej ludzi kupuje puszki dla zwierząt niż dla niemowląt. Czyż to nie jest przerażające?

– Nie, głuptasie. Dzieje się tak, ponieważ niemowlęta rosną i jedzą to co ludzie, za to zwierzęta jedzą pokarm dla zwierząt przez całe swoje życie.

– Nie jesteś tak całkiem głupia – niechętnie przyznał Luke. Większość ludzi reagowała na tę statystykę dotyczącą pokarmu dla zwierząt z niezawodnym oburzeniem.

– Może powinniśmy wziąć się za rękę? – Kiki zapytała z nadzieją.

– Nie przy homarze po kantońsku! – powiedział oburzony.

– Brakuje ci pasji – ostrzegła Kiki, tęsknie patrząc na jego usta... męskie usta umieszczone między wąsami a brodą miały w sobie coś, co sprawiało, że wyglądały znacznie bardziej jadalne, niż gdyby otaczała je skóra.

– Mówisz to tylko po to, żebym ci udowodnił, że nie jestem nudny. Nic z tego.

– Luke zajął się homarem ze spokojnym zadowoleniem. Kiki patrzyła na niego z konsternacją. Nie szło dobrze. Większość mężczyzn, jak uczyło ją długie doświadczenie, była bezbronna wobec dobrze rozwiniętego, bezwstydного ataku. Zakłopotani, skonsternowani, poddawali się pochlebstwu, a kiedy poddali się temu, byli o krok od poddania się jej. Luke sprawiał, że czuła się nieswojo... miała uczucie, że gdzieś po drodze popełniła jakiś błąd, ale zaczęła z nim jak zaczynała z tuzinami innych i sieć została już zarzucona. Może rzeczywiście był po prostu głodny. Może wtedy rzeczywiście był po prostu zmęczony. Pod nieobecność Daisy, która wyjechała na weekend i mając prowiant, który kupiła na jutrzejsze śniadanie i lunch, miała jeszcze mnóstwo czasu, żeby popracować nad tym niespodziewanie upartym klientem. Naprawdę musiała go mieć.

– Czy mógłby pan podać nam gorącą herbatę – zwróciła się do przechodzącego kelnera. – I trochę optymistycznych przepowiedni?

W piątek po weekendzie w Middleburgu, Daisy zastała wyjątkowy spokój w wytwórni. North wyjechał na tygodniowy urlop, pierwszy od ponad roku, więc nie było w planach żadnych narad produkcyjnych aż do połowy przyszłego tygodnia. Miała miliony drobnych rzeczy do zrobienia w biurze, ale była zachwycona kiedy Nick-the-Greek i Wingo Sparks zaprosili ją na lunch. Zwykle zjadała lunch przy swoim biurku, z kanapką w jednej ręce, a słuchawką telefonu w drugiej.

Kiedy kelner przyniósł im dania, Nick powiedział obojętnym tonem: – Więc jak ci idzie praca, dziecko? Dajesz sobie radę? Chodzi mi o to, że wszyscy wiemy, iż

niełatwo jest pracować dla Northa. Czasami mam wrażenie, że on nie zdaje sobie sprawy, ile ty jesteś warta.

– Pochwały nie należą do jego ulubionych zachowań, ale kiedy nie ma piany na ustach, wiem, że spisałam się nieźle – powiedziała Daisy ze wzruszeniem ramion.

– A więc zgadzasz się na ten rodzaj aprobaty? – zapytał Wingo.

– Czemu nie? Czy jest w tym coś złego? – Daisy nie miała zamiaru narzekać przed swoimi współpracownikami.

– Bardzo dużo – powiedział Nick. – To tak jakby zadowolić się okruchami ze stołu bogacza, *campesina*, i ja, Nick-the-Greek niniejszym oświadczam ci, że to nie jest dość.

– O co ci chodzi, Nick? – Daisy zapytała z ciekawością. – Dostajesz swoje honoraria i trudno je nazwać okruchami.

– Chcesz jej powiedzieć, Wingo? – zapytał Nick młodego kamerzystę.

– Jasne, posłuchaj, Daisy, rozmawialiśmy z Nickiem. Obaj myślimy, że moglibyśmy zacząć interes na własną rękę. Nick jest najlepszy w tym co robi w tym mieście... wie gdzie szukać zamówień tych, co chcą jakoś Northa, ale nie chcą płacić cen Northa. North traktuje mnie jak zwykłego kamerzystę, ale ja potrafię też robić to co on... mnóstwo facetów jest jednocześnie kamerzystami i reżyserami. Zdobyćcie uprawnień kamerzysty zajęło mi pięć lat... ale reżyserem mogę zostać choćby jutro, po prostu mówiąc, że nim jestem. I jestem dobry...

– Skąd wiesz? – zakwestionowała Daisy.

– Obserwuję go już wystarczająco długo... rozgryzłem jego triki... i umówmy się, reżyserowanie reklamy to nie taka znowu sztuka.

– Powiem ci, co wymyśliliśmy – Nick przerwał Wingo. – Chcemy otworzyć własną wytwórnię, ale z tobą... jako partnerką i producentką. Nie musisz inwestować ani centa, ale będziesz otrzymywała trzecią część zysku. W chwili kiedy uwolnię się od Northa, sprzedam Wingo... mam już szereg rzeczy na oku. Zależy nam na tobie, bo jesteś najlepszą producentką... pracujesz więcej niż inni, potrafisz namawiać ludzi, żeby zrobili dla ciebie wszystko, pilnujesz pieniędzy jak swoich własnych, wszystko sprawdzasz po dwa razy... a więc, szczęśliwa damo, masz darmowy wjazd do tego interesu.

– Ty, Wingo i ja mielibyśmy tak po prostu wstać i wyjść... likwidując tym samym ekipę?

– To nie byłoby całkiem tak – zaprotestował Wingo. – North może znaleźć innych ludzi na nasze miejsca... z czasem... nikt nie jest niezastąpiony.

– Tak, z czasem... a w tym czasie będzie unieruchomiony na jak długo?

Przecież ty mówisz o zrujnowaniu go, Nick – powiedziała Daisy z rosnącym gniewem.

– I co z tego, do cholery? – bez przejęcia zapytał Nick. – Tak już bywa w tej branży.

– Nick – zapytała Daisy – kto dał ci pierwszą szansę sprawdzenia się w zawodzie... kto wyciągnął cię z tej agencji reklamowej i nauczył wszystkiego? Kto ci pokazał gdzie się ubierać, kto pomógł ci poluzować twoje naturalne chutzpah i akceptował twoje wydatki w czasie tych pierwszych miesięcy, kiedy nic ci jeszcze nie wychodziło? North, prawda? A ty Wingo, kto zatrudnił cię na etacie kamerzysty, zamiast korzystać z wolnych strzelców, jak prawie wszyscy inni? Przez ile dni w roku miałbyś pracę, gdybyś był po prostu jednym z wolnych strzelców? I kto był jedyną osobą gotową podjąć ryzyko z chłopakiem, który dopiero co otrzymał uprawnienia? Większość reżyserów stawia na doświadczenie... wolą nie tykać żółtodziobów... niepotrzebny kłopot. I jakim cudem masz się za takiego doskonałego reżysera, jeżeli wiesz o tym tylko tyle, ile widziałeś podczas pracy Northa? Czy nie rozumiesz, że nie masz pojęcia dlaczego on to robi czy też skąd czerpie pomysły? Idealnym dowodem jest to, że jesteś przekonany, że wyreżyserowanie reklamy jest łatwe... być może jest... zły reklamy, czy założymy nawet przyzwoitej reklamy. Ale dobrej reklamy? Reklamy, która nie wywołuje absolutnej nienawiści, kiedy przerywa ci twój ulubiony program? Reklamy, która nie przyprawia cię o wymioty, tylko dlatego, że jest tak strasznie banalna? Reklamy, która jest tak dobra, że pamiętasz ją jeszcze po tygodniu? Albo nawet po miesiącu, chociaż w tym czasie widziałeś tysiące innych? A co więcej, nie masz zielonego pojęcia o obsadzie. Alix i ja wybieramy tylko ewentualne możliwości. North decyduje o obsadzie, a to jest podstawa sukcesu każdej reklamy.

– Do cholery, Daisy, jeżeli masz zamiar opowiadać o lojalności... – Nick przerwał z obrzydzeniem.

– Tak, do cholery, masz rację, mówię o lojalności. Pamiętam dzień, kiedy upiłeś się i tak brutalnie dobierałeś się do dyrektorki z BBD&O, że straciliśmy pracę, pamiętam dzień, kiedy tak pilno ci było, żeby dorwać się do piwa, że oddałeś udział firmie Y&R, bez skonsultowania się z Arniem i każdego dnia pracy traciliśmy pieniądze, pamiętam też dzień... a właściwie dni, kiedy North dostawał szału podczas zdjęć, ponieważ klient bez przerwy interweniował, a ty pojawiłeś się za późno, żeby wziąć go na lunch i pozwolić Northowi popracować spokojnie choć przez parę godzin, pamiętam...

– Zamknij się, do jasnej cholery, Daisy – powiedział Nick, który wyglądał

jakby miał się za chwilę rozchorować.

– Na pewno nie... Chodzi mi o to, że we wszystkie te dni North był wściekły, ale nie szukał nikogo innego na twoje miejsce...

– trzymał cię, ponieważ miał wobec ciebie zobowiązania, a poza tym częściej jesteś dobry niż zły... ale jak już jesteś zły, to jesteś okropny!

– Ale North jest taki brutalny w stosunku do ciebie... – zaczął się bronić Wingo.

– To mój problem – odcięła się – i nie potrzebuję waszego współczucia. Jest brutalny, bo nigdy nie pracuje inaczej niż pod napięciem. Nie ma ani minuty, kiedy nie jest pod presją czasu. Jeśli ktoś coś spieprzy, to spieprzy... i on wie o tym. Do mnie należy dopilnowanie, aby było jak najmniej zamieszania. W tej brutalności nie ma niczego osobistego. Jestem przedłużeniem jego pracy i nie musi udawać wobec mnie Sir Waltera Raleigha. Prawdę mówiąc, wy dwaj też jesteście tylko przedłużeniami jego pracy. Nick, gdybyś nie sprzedawał Northa, być może musiałbyś zacząć zarabiać na życie. Wingo, ciekawe jak wyglądałaby produkcja, gdybyś nie miał Northa sprawdzającego każde ujęcie nim przekręcisz kilkadziesiąt centymetrów filmu? Obaj nieźle przejechaliście się na jego grzbiecie. Nie mówię, że nie masz talentu, Wingo... ale nie jesteś po prostu gotowy, aby być i kamerzystą i reżyserem, a to że razem z Nickiem chcieliście to zrobić za jego plecami i okraść go, po tym wszystkim co dla was zrobił jeśli chodzi o naukę, doświadczenie i zaufanie... i jeszcze próbowaliście pociągnąć mnie za sobą... to najniższy rodzaj wdzięczności.

– Nick – nieprzyjemnie odezwał się Wingo – najwyraźniej popełniliśmy duży błąd, jeśli chodzi o naszą książeczkę... ona po prostu nie ma tego, co jest konieczne, aby ruszyć na własną rękę. Daisy, drugi raz taka szansa ci się nie trafi.

– Może następnym razem ktoś mnie poprosi o obrabowanie banku... kto wie, może będę miała szczęście. A teraz posłuchajcie, mędrcy, nie zjadłam ani kęsa z tego lunchu, na który mnie zaprosiliście i odechciało mi się już jeść. Wracam do wytwórni i do pracy. Jeśli o mnie chodzi, to wspaniałe spotkanie nigdy nie miało miejsca. Wyście mnie o nic nie prosili, a ja nie powiedziałam wam, co o tym myślę. Możecie sobie robić co chcecie. Zapomniałam o całej sprawie. Osobiście mam nadzieję, że zostaniemy razem na długi czas. Nie jesteśmy złą ekipą... wszyscy razem. Ale. z drugiej strony, jeśli odejdziecie, życzę wam powodzenia! Przewiduję wiele cudownych dni dla was dwu filmujących atak półtorametrowego hemoroidu. Do zobaczenia!

Po wyjściu Daisy Nick spojrział na Wingo. – Żałuję, że nie mogę powiedzieć, że to suka.

Wingo miał wyraz twarzy człowieka, który właśnie o mało nie został przejechany przez autobus. – Nie możesz i ja też nie mogę. Ja żałuję, że nie mogę powiedzieć, że ona nie miała racji.

* * *

Kiedy Daisy wróciła do domu tego wieczoru, zastała Kiki przeglądającą egzemplarz *SoHo Weekly News*. – Daisy, czy masz randkę jutro wieczorem?

– Wiesz, że mam... twój kuzyn specjalnie przyjeżdża do miasta, żeby zaprosić mnie na kolację.

– Och, słusznie, zapomniałam... więc jeszcze się nie poddał, jeśli chodzi o ciebie, co?

– Henry? Nie wydaje mi się, żeby rozumiał po angielsku. Powiedziałam „nie” już tyle razy, że robi się to nudne, ale na Boga, on jest zawzięty. Jest taki słodki, że nie chciałabym zranić jego uczuć. Powtarzam mu, że nie powinien się ze mną widywać, bo to jest jak obcinanie psiego ogona po kawałeczku... byłoby lepiej zrobić to jednym, mocnym cięciem... przepraszam cię, Tezeusz, pieseczku... ale on nie zwraca na to żadnej uwagi. Dlaczego pytasz?

– Och, myślałam, że mogłybyśmy gdzieś się wybrać... jest pokaz stepowania w Performing Garage i wieczór poetycki w kościele św. Marka, La Mama dla odmiany wystawia Brechta, no i jeszcze Muzyka Kuchenek Mikrofalowych w Three Mercer... różne imprezy – ponuro powiedziała Kiki.

– Jezu! Co ci jest? Mierzyłaś temperaturę? Co cię boli? – pytała Daisy, patrząc ze zmartwieniem na przyjaciółkę. Kiki siedziała skulona na kanapie, w starym, wschodnim kaftanie, otoczona scenariuszami, Ustami i pismami.

– Nie bądź głupia... nic mi nie jest... po prostu myślałam, że powinniśmy poważnie zainwestować w kulturalne wzbogacenie się, to wszystko. Ja mam przynajmniej swój teatr, nawet jeśli chwilowo wygląda to niewesoło, ale ty, co ty robisz poza tym, że przez cały dzień myślisz tylko o rzeczach, które mają przyprawić miliony kobiet o atak niepokoju? – zjadliwie zapytała Kiki. – To, plus ci koniarze, zrobi z ciebie kulturalną idiotkę, jeśli nie będziesz ostrożna.

– Trzymajmy się lepiej faktów – powiedziała Daisy, ignorując jej słowa. – Od kiedy Santa Cruz przez omyłkę dała ci dyplom, nigdy nie interesowałaś się kulturą. Oznacza to, że w piątkowy wieczór nie masz randki po raz pierwszy od ośmiu lat i wpadasz w panikę. To jest bez sensu, i wiesz o tym. Jest co najmniej tuzin facetów, do których mogłabyś zadzwonić i którzy podskoczyliby...

– Nie chcę ich! – powiedziała Kiki, a w jej głosie brzmiało więcej konsternacji niż nieugiętej postawy.

– Kogo chcesz?

Kiki uparcie milczała.

– Zagramy w zgadywanke? Kogóż to może chcieć moja Kiki? Dla kogóż to wypełniła lodówkę w zeszłą sobotę tak, że musiałyśmy jeść pasztet i ser przez cały tydzień na śniadanie, żeby się ich pozbyć, któż był na tyle niegrzeczny...

– Och, przestań, Daisy! Robisz się taka zgniła – warknęła Kiki.

– Luke nadal nie dzwoni – otwarcie powiedziała Daisy.

– Nie, nie dzwoni. Chciałabym go zabić. Jak śmie mi to robić? Po prostu nie rozumiem tego! Nikt tak ze mną nie postępuje, nikt! – Całe ciało Kiki kuliło się i drżało pod kaftanem, jakby powstrzymywała się od skoczenia i walenia pięściami w podłogę jak małe dziecko w napadzie złego humoru.

– Nikt, z wyjątkiem Luke'a Hammersteina.

– Owszem, niestety, zgadza się – gorzko powiedziała Kiki.

– Kiki, daj spokój, współczuję ci! Ale musisz przyjrzeć się faktom, jeśli chcesz je zmienić.

– Och, oszczędź mi tego... Miss Samotnych Serc znów w natarciu.

– A znasz jeszcze kogoś, z kim mogłabyś o tym porozmawiać?

– Daisy Valensky, gdzieś pod tą zabójczą urodą, masz w sobie coś z pierwszej klasy suki. Wiesz, że nie mam – powiedziała Kiki, ściskając Tezeusza w desperackim uścisku.

– Uważam, że masz rację – powiedziała Daisy z uśmiechem zadowolenia. – To zdaje się mój dzień na powtarzanie tego jak jakiegoś starego sloganu z lat... pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych?... nieważne... ale nie jesteś jedyną osobą, która jest ze mnie niezadowolona dzisiaj. I wiesz co? Gównu mnie to obchodzi.

– Och, uspokój się i posłuchaj. Ten sukinsyn odrzucił moje zaloty, i to nie raz, ale dwa razy. Jak może być jakiegokolwiek usprawiedliwienie czegoś takiego? Czy myślisz, że jest impotentem? Czy myślisz, że może cierpi na jakąś nieuleczalną chorobę weneryczną, o której nie chce mi powiedzieć? Czy myślisz, że... o, Boże... czy myślisz, że on się w kims kocha? O, Jezu... założę się, że to jest to... to nie może być nic innego! – Kiki uniosła ręce i przykryła usta, kontemplując tę najgorszą z możliwości.

– Gdyby był zakochany, wiedziałabym o tym. On i North są bardzo blisko... zorientowałabym się jakoś... ta wytwórnia jest jak komuna, tego rodzaju plotka dawno by wypłynęła. Kiki, to bardzo proste i sama jesteś temu winna.

Zadzwoił telefon i Daisy podniosła słuchawkę. – Cześć. Och, cześć, Luke, mówi Daisy. – Kiki rzuciła się do telefonu, ale Daisy cofnęła się, trzymając mocno słuchawkę na długim sznurze. – Nie, przykro mi, nie ma jej. Nie mam pojęcia... może być w tuzinie różnych miejsc... prawdę mówiąc, nie widziałam jej właściwie przez cały tydzień, tyle że mijałyśmy się wychodząc lub wracając... ale przekażę jej wiadomość. – Kiki dawała jej szaleńcze znaki, ale Daisy robiła tylko miny, patrzyła na nią okrutnym wzrokiem i machała wolną ręką. – Dobrze, poproszę ją, żeby do ciebie zadzwoniła, jak tylko będzie mogła. Zostawię ją na samym wierzchu innych wiadomości... zaczynam się czuć jak telefonistka. Nie wiem czemu Kiki nie zainstaluje automatycznej sekretarki albo czegoś w tym rodzaju. Nie, wszystko w porządku... Nie mam nic przeciwko temu... przynajmniej jesteś naszym klientem, Luke, czego nie mogę powiedzieć o wszystkich innych. Do widzenia, Luke.

– Daisy! Jak mogłaś? – krzyknęła Kiki, jak tylko Daisy odłożyła słuchawkę.

– Tak się to robi!

– Chyba żartujesz. To najstarsza zagrywka ze wszystkich. Nikt już tego nie robi.

– Robią to wszystkie kobiety, które urodziły się z odrobiną rozumu. Szkoda, że nie znałaś lepiej Anabel.

– Ale nigdy w życiu nie odgrywałam trudnej do zdobycia – zabełkotała Kiki – i miałam więcej mężczyzn, niż ktokolwiek kogo znam.

– Mężczyzn, na których w gruncie rzeczy ci nie zależało. Od lat obserwuję cię w akcji; wszystko podane na tacy biednemu frajerowi i wchodzi prosto do twojej wielkiej ślicznej pajęczyny, zadowolony, że dokonał podboju i zanim się zorientuje, co się stało, już go nie ma, ponieważ pod całym tym numerem kryje się fakt, że on cię nic nie obchodzi... robisz to po prostu dla frajdy, żeby poklepać i połaskotać, a on to wyczuwa, przynajmniej podświadomie i wpada w szal, nie z powodu tego, że jesteś dostępna, ale ponieważ w zasadzie jesteś niedostępna. Rzucam ci wyzwanie, przytocz imię chociaż jednego faceta, przez którego cierpiałaś... do tej pory.

– Niby dlaczego miałabym pozwalać mężczyźnie sprawiać mi cierpienie? Nie widzę w tym niczego dobrego. – Kiki buntowniczo pociągnęła nosem.

– Ja też nie. Cierpienie pozbawia godności. Ale fakt, że starannie unikałaś sytuacji, w której mogłabyś cierpieć, jest dokładnie tym, o co mi chodzi. Zawsze decydowałaś się na związki, które z zasady nie miały żadnego znaczenia; dobry seks, mnóstwo śmiechu, ale nic takiego znaczącego, jeśli wybaczysz ten frazes. Przykro mi, przykro mi, ale to prawda i wiesz o tym. A teraz zjawia się człowiek,

który mógłby coś znaczyć dla ciebie, a ty nie wiesz, jak go podejść.

– Odgrywasz starą scenę w nowej obsadzie i tym razem nie działa. Więc wypróbuj nowy scenariusz. Luke jest mądrzejszy od ciebie, jakkolwiek trudno byłoby ci się z tym pogodzić. Rozpracował cię, już wie, że przyzwyczajona jesteś do postępowania z mężczyznami według swoich reguł i nie pozwoli, abyś jego potraktowała tak samo. Co innego robi, jeśli nie gra z tobą w trudnego do zdobycia? Odczekał pięć dni, nim zadzwonił? Więc teraz ty nie odezwiesz się do niego przez tydzień... może dłużej. A kiedy w końcu znowu się z nim spotkasz, będziesz zupełnie nową Kiki.

– Za późno, już wszystko zepsułam – smętnie powiedziała Kiki. – To znaczy, naprawdę dałam mu do zrozumienia, że jestem... i całe to żarcie! Mogłabym poderżnąć sobie gardło! I, Daisy, tak go uwielbiam...

– Pierwsze wrażenie można zmienić. Przecież jesteś aktorką, prawda? To proste... rzuciłaś mu się w ramiona, ponieważ nie miałaś nic lepszego do roboty akurat w tamtym, konkretnym tygodniu. Ale od tamtego czasu wiele się zmieniło. Nigdy nie wchodzi w szczegóły na temat tego, co się zmieniło... niech sobie wyobrazi. Teraz nie jesteś zainteresowana angażowaniem się w to. Jesteś chłodna, powściągliwa i rozwścieczająco bezceremonialna. Nie możesz przyjąć jego pierwszych dwóch zaproszeń, ale nie zatrząskujesz przed nim drzwiami... jesteś przyjacielska... ściśle biorąc, zachowujesz się tak, jakby tamte dwa pierwsze spotkania nigdy nie miały miejsca. Tylko nie przesadz. Bądź sobą, ale nie narzucaj się. Niech spróbuje to rozgryźć! To się nazywa zakładanie przynęty.

– To się chyba nazywa łapanie w pułapkę – wymamrotała Kiki, promieniejąc z podziwu. – Daisy... mogę to zrobić... wiem, że mogę. Ale co będzie, jeśli się nie uda?

– Wtedy będziesz musiała zrezygnować. Lepiej przekonać się o tym od razu niż po miesiącach nicowania się dla faceta. „Mężczyźni umierali od czasu do czasu i robaki ich pożerały, ale nie z miłości”.

– Betty Friedan?

– Szekspir... *Jak wam się podoba.*

– Och, co on mógł wiedzieć.

– Wiedziałam, że nie potrzebujesz kulturalnego wzbogacenia.

– Wystawiłam w zeszłym roku *Wieczór Trzech Króli*... nie pamiętasz... na deskorolkach.

– Czy ktokolwiek kto miał szczęście znaleźć się tam, mógłby zapomnieć ten nieśmiertelny wieczór? Słuchaj, nie zniosę już zjadania pozostałości po sobotnich

zakupach. Trochę się odświeżę i pójdziemy na pizzę. Dobrze?

– Dobra. – Kiki już chodziła po pokoju jak wyrośnięty elf, wyprostowana, z niemal niewidocznym, co nieco rozbawionym, co nieco zamyślonym wyrazem twarzy, podczas gdy jej ciało nieomylnie wyrażało polecenie „nie dotykaj mnie”. Daisy rzuciła jej spojrzenie pełne podziwu i cicho wyszła z pokoju. Kiki wołała być sama, kiedy wcielała się w rolę. Daisy celowo nie spieszyła się myjąc ręce i nagle poczuła, że spada ze szczytów, na jakie wzniosła się tego dnia, w kolejną dziwną czeluść smutku, jak ta w której znalazła się tydzień wcześniej w Middleburgu u Shortów. Przez cały dzień wznosiła się na wyżyny, kiedy Wingo i Nick-the-Greek zmuszeni zostali do wysłuchania co myśli o ich sekretnych planach; i kiedy Kiki zmuszona została do wysłuchania jej porad.

Ale nagle, sam na sam ze sobą, poczuła w przerażający sposób, że jej życie składa się z niejednorodnych, dziwnych, drobnych fragmentów, które nie tworzą niczego namacalnego. Jej praca w wytwórni, choć trudna, nie dawała gwarancji ciągłości; z każdą nową reklamą osiągnięcia i triumfalna walka poprzedniego tygodnia zastępowane były bieżącymi trudnościami. To, że North powstrzymywał się od gniewu, nie mogło zastąpić autentycznego docenienia, bez względu na to, co mówiła przy lunchu. Czowała, że uczestniczy w nie kończącej się grze doganiania, bezustannego dowodzenia własnej wartości, ciągle i ciągle od nowa. Jeśli chodzi o malowanie: jej walka o nowe zamówienia była na łasce kapryśnych patronów, którzy często traktowali jej szkice i akwarele jako jeden krok wyżej niż portret wykonany w zawodowym atelier fotograficznym. A jej nijakie uzasadnienia na temat życia miłosnego były jeszcze bardziej niespełnione niż przyznała to Kiki. Powodem, dla którego mogła z taką mądrością wypowiadać się o tym, że Kiki odmawia znalezienia się w sytuacjach mogących okazać się groźnymi, była cecha, którą znała aż za dobrze, element zakorzeniony znacznie głębiej w jej własnej wrażliwości niż w figlarnych emocjach Kiki. Myśl o spędzeniu jeszcze jednego wieczoru na opędzaniu się od biednego, drogiego, głupawego Henry'ego Kavanaugha była pośepna. Zaczyna się od tego, że nie powinna była pozwolić mu kochać się z nią. Nigdy nie była zakochana... było to aż tak proste, a przy tym stanowiło niewyczerpane źródło złego samopoczucia i depresji, jak stan podgorączkowy, który nigdy nie mija. Pomyślała o Kiki, ćwiczącej w pokoju obok zachowanie trudnej do zdobycia dziewczyny... to była jedyna stabilna rzecz w jej życiu, przyjaźń z tą wspaniałą, dobrą wariatką. Nic co mogłaby zrobić dla Kiki nie odplaci jej za wsparcie emocjonalne i niezachwiane oddanie, jakimi obdarowywała Daisy przez wszystkie lata od śmierci ojca.

Tezeusz wszedł do łazienki i wyczuł jej nastrój. Położył przednie łapy na jej ramionach, tak jak robił to kiedy była mała, i polizał ją po nosie. – Mój kochany piesek – powiedziała Daisy i zdała sobie sprawę, że płacze. Zlizywał jej łzy. Do cholery, Daisy, powiedziała sobie, zachowujesz się zawsze, jakbyś znała odpowiedzi na wszystkie pytania świata, więc przestań uważać się nad sobą. Dość! Nie jest tak źle... Po prostu nie daj się.

Rozdział 17

– Halo, Ham?

– Tak?

– Mówi Pat Shannon... co słysząc?

– Wszystko świetnie. – Ham Short uśmiechnął się. Ten, kto pierwszy wykonuje telefon w rozgrywkach między firmami i korporacjami, wyklada karty na stół. Lubił ludzi, którzy dzwoniли osobiście. Nic nie urażało go tak jak czyjaś sekretarka, która dzwoniła i trzymała go czekającego aż połączy go ze swoim szefem. Niezmiennie odkładał wówczas słuchawkę, chyba że czegoś chciał.

– Może przyjechałbyś do Nowego Jorku, kiedykolwiek będzie ci wygodnie, i spędziłbyś jeden dzień ze mną w Supracorp. Chciałbym, żebyś nas lepiej poznał.

– Co powiesz na jutro?

– Doskonale. Wyślemy jeden z samolotów firmy po ciebie.

– Do diabła z waszymi samolotami... latam wyłącznie moim Aero-Commanderem... jest wyposażony we wszystko co lubię.

– Jak z westernu?

– Żebyś wiedział, do cholery... ma wszystko z wyjątkiem własnej instalacji destylacyjnej i zewnętrznego klopa.

– Samochód z kierowcą będzie czekał na ciebie. Jak myślisz, o której przylecisz?

– Punktualnie o dziewiątej, przy czym może być różnica godziny, zależy to od zezwolenia na lądowanie.

– Do zobaczenia jutro. Nie mogę się już doczekać.

– Jasne.

Nowojorskie biura Supracorp zajmowały całe pięć pięter pod numerem 630 przy Piątej Alei, gdzie ogromna, wykonana z brązu statua Atlasa, niosącego na ramionach kulę ziemską, pilnuje wielkich drzwi. Ham Short wysiadł z windy na dziesiątym piętrze i znalazł się w świetle zaprojektowanym przez Everett Brown, która łączyła dramatyzm z ogromnymi przestrzeniami. Recepcjonistka siedziała za sześciometrowym, półkolistym biurkiem, wykonanym z lśniącego, białego dębu, które stało naprzeciw pokrytej lustrami ściany. Po obu stronach ogromnego pokoju recepcyjnego stały, sięgające od podłogi do sufitu, kolumny z nierdzewnej stali i pleksiglasu, w których wystawione były produkty Supracorp.

Ham podał swoje nazwisko recepcjonistce i odwrócił się, aby obejrzeć

zawartość kolumn. Nie minęły dwie minuty, kiedy został zaskoczony widokiem Pata Shannona, bez marynarki, z przekrzywionym krawatem i rozpiętym kołnierzykiem, który przyszedł, aby go powitać. Przeszli szerokimi korytarzami, wyłożonymi ciemnobrązowymi dywanami, tak dobrze oświetlonymi i przepelnionymi energią, że Ham poczuł się jakby był w statku kosmicznym. Shannon przeprowadził go do własnego biura przez duży pokój, ze ścianami wyłożonymi żółtym lnem, w którym trzy kobiety były zajęte rozmowami telefonicznymi lub pisaniem na maszynie, a każda siedziała przy osobnym, palisandrowym biurku. Ham, spodziewając się jeszcze większego, doskonalszego, wygodniejszego choć nie zenującego bogactwa niż to, które właśnie obejrzał, był zaskoczony, kiedy znalazł się w pokoju, mogącym być częścią domu na ranczo w Santa Fe. Shannon wskazał na dwa mocno wypchane, przyjemnie zużyte krzesła kryte skórą i nalał Hamowi filiżankę kawy z termosu stojącego na niskim sosnowym stoliku.

– O co tu chodzi? Bez marynarki do bez marynarki przez trzy pokolenia? – zapytał Short.

Rysy po obu stronach ust Shannona pogłębiły się w rozbawieniu.

– Nie potrafię zrozumieć, jak człowiek może wykonać całodzienną pracę w marynarce. A jeśli chodzi o trzy pokolenia, tego nie dowiem się nigdy. Masz do czynienia z autentycznym sierotą, Ham.

– Nie spodziewaj się, że rzucę ci się w ramiona ze współczuciem. Opuściłem dom mając dwanaście lat... zawsze żałowałem, że nie byłem sierotą. I nadal żałuję... utrzymuję dwunastu nieudaczników w rodzinnym Arkansas – powiedział Ham, ciągle jeszcze rozglądając się po pokoju. Ściany były pomalowane na spokojny, jasnoszary kolor. Był skromnie umeblowany, z paroma starymi, nie nadzwyczajnymi meblami sosnowymi i kilkoma dywanami Navaho wiszącymi na ścianach. Drzwi pokrywały kafelki z cegły suszonej na słońcu. Było jasne, że pokój został zaprojektowany przez człowieka, który z niego korzystał i wyłącznie dla jego wygody i nawet Ham Short był pod jego wrażeniem. Ten brak pretensjonalności miał o wiele większe znaczenie niż cudownie urządzone gabinet. Nie było w nim nawet sztuki... tylko parę dużych kawałków kwarcu i trochę koców amerykańskich Indian. Ham, wyglądając przez trzy duże, pozbawione zasłon okna i podziwiając widok wieżyc katedry św. Patryka dokładnie po drugiej stronie ulicy, pomyślał, że musi to być jedno z najdroższych biur na świecie.

– Co wiesz na temat Supracorp, Ham? – Pat Shannon wyglądał jeszcze młodziej niż w Middleburgu. Nieformalność rozpiętej koszuli, oczywista wygoda z

jaką siedział w swoim starym fotelu, brak jakiegokolwiek próby pozorowania intensywności skupienia się na Hamie, błysk wesołości w oczach, wszystko to sprawiało, że Ham czuł się jakby był na spotkaniu z dobrym przyjacielem, a nie z człowiekiem, z którym odbył zaledwie wstępną rozmowę na temat interesów. Przypomniawszy sobie, patrząc na muskularny kark Patricka i szczerzy, irlandzki uśmiech tego człowieka, że był diabelnie dobrym zawodnikiem, kiedy grał na skrzydle dla Tulane. Ham Short miał świetne samopoczucie.

– Tylko to, co wyczytałem w *The Wall Street Journal*. Prawdopodobnie mniej niż jedną dziesiątą tego, co musieliście dowiedzieć się o moim skromnym przedsięwzięciu.

– Ty i twoje skromne przedsięwzięcie bardzo nas interesujecie, Ham.

– Tak przypuszczałem. Dlaczego wybrałeś właśnie mnie? – Short był równie ostrożny, jak ujęty wyróżnieniem.

– To oczywiste, że chcemy się dostać do centrów handlowych. Mamy już wydział nieruchomości, który jest w dobrym stanie i rozrasta się. Jest wiele przedsiębiorstw zajmujących się handlem nieruchomościami, które mogliśmy wybrać zamiast twojego. Ale chcieliśmy zdobyć Hama Shorta tak samo, a prawdę mówiąc, bardziej niż twoją firmę. Podziwiamy sposób, w jaki rozbudowałeś swój interes, podoba nam się twoja inteligencja, podobają nam się twoje metody, podoba nam się sposób, w jaki działasz i podobają nam się twoje wyniki. Potrzebujemy takiego człowieka jak ty.

– Nie pozostawiasz żadnych niedomówień, co?

– To zajmuje zbyt wiele czasu. Długie zaloty nie są potrzebne, kiedy dwóch ludzi pragnie tego samego. Ale wchodzenie w szczegóły nie miałyby sensu, gdybyś ty nie był tym równie zainteresowany, dlatego cię tutaj zaprosiłem... żebyś zobaczył o co tu chodzi. Jeśli wykupimy twoją firmę, Ham, to nie tylko podwoisz swój majątek – w ciągu paru lat, jako jeden z największych właścicieli udziałów w Supracorp, ale będziesz członkiem zarządu, a my będziemy mogli skorzystać z twoich przemyśleń w kierowaniu wszystkimi wydziałami. Do diabła, Ham, rzucamy się na twoją inteligencję jak sępy. I, oczywiście, nadal będziesz zarządzał swoją firmą, ale przy możliwości korzystania z naszych kredytów i zysków, gotowych do zainwestowania.

– Odpowiadałbym przed tobą? – Short stwierdził kategorycznie.

– Tak. A ja odpowiadam przed właścicielami udziałów.

– Hmm. – Ham Short lubił Shannona, ale nigdy w życiu nikomu nie podlegał. A z drugiej strony, od dawna intrygowało go działanie wielkich, zróżnicowanych

konglomeratów. Czuł, że jest w stanie rozpostrzeć skrzydła nad czymś znacznie większym niż zwykle centrum handlowe.

– Chodź... przejdźmy się. – Pat Shannon wiedział, jaką gorzką pigułkę właśnie zaserwował Shortowi do przełknięcia i nie chciał zostawiać mu zbyt wiele czasu na zastanawianie się nad jej smakiem. Z drugiej jednak strony, musiało to zostać powiedziane, i im szybciej tym lepiej. Na szczycie było miejsce tylko dla jednego człowieka. Wyprowadził Hama ze swego gabinetu, tym razem zatrzymując się na krótko i przedstawiając go swoim trzem sekretarkom.

– Niektóre nasze wydziały mają swoją bazę tutaj – wyjaśnił Shannon, kiedy ruszyli wzdłuż korytarza. – Lexington Pharmaceutical, które było pierwszym dzieckiem Nata Temple'a, znajduje się piętro wyżej... czy słyszałeś kiedyś opowieść o tym, jak cała ta firma powstała ze zwykłego syropu na kaszel? Nat Tempie ugotował go na starej kuchence na drzewo swojej matki i stał się pierwszą osobą, która stworzyła konkurencję dla braci Smith. Teraz Lexington produkuje wszystko, od cudownych leków po... Cześć, Jim. – Shannon zatrzymał człowieka, którego mijali. – Ham, to jest Jim Golden, jeden z wiceprezesów Lexington Pharmaceutical. Jim, to jest Ham Short.

– Miło mi, panie Short. Pat, jak było w Paryżu? Kiedy wróciłeś?

– Wczoraj. A w Paryżu było jak zwykle... dwa dni pełne spotkań. Choiseul and O'Hara, nasz wydział importu win i wódek, ma tam swoją bazę – wyjaśnił Hamowi. – Musiałem wypić butelkę wody z każdego rocznika. Chcemy kupić duże naturalne źródło wody, ale to które najbardziej przypadło mi do gustu, nie jest na sprzedaż... należy do rządu.

– Doszedłeś do siebie po zmianie czasu? – z ciekawością zapytał Ham.

– Prawie zupełnie. Kiedy tam jestem, każę im przestawić wszystkie zegarki na czas nowojorski i żyję według tego czasu aż do wyjazdu, więc nie odczuwam żadnej zmiany. Wczoraj, parę godzin po przylocie, musiałem wygłosić gościnny wykład w New York Society of Security Analysts, a wieczorem była premiera musicalu na Broadwayu, do którego mamy prawa filmowe, zaprosiłem na nią paru senatorów z Waszyngtonu, więc musiałem być przytomny.

– A co z posiłkami? Czy twoi Francuzi nie gubią się w tym?

– Już się przyzwyczaili. Nie narzekają, więc zakładam, że nie mają nic przeciwko temu. Kiedy latam do Japonii, a mamy tam czterystuosobowe biuro, robię to samo.

– I oni też nie narzekają? – zapytał Ham podejrzliwie.

– W każdym razie nie okazują tego. Ale nie przebywam tam dłużej niż trzy dni,

więc jakoś to wytrzymują. Zajrzyjmy teraz do Troy Communications. To jest nasz wydział rozrywki. Studio filmowe i wytwórnia programów telewizyjnych mieszczą się, oczywiście, na wybrzeżu, ale wydawnictwo książek w miękkiej oprawie znajduje się tutaj, dwa piętra wyżej i główne biura naszych czterech radiostacji i stacji telewizyjnych też są w tym gmachu. Myślmy o rozpoczęciu wydawania publikacji w twardej oprawie w przyszłym roku.

– Myślałem, że działalność wydawnicza, to interes wyłącznie dla gentlemanów, a i to przymierający – powiedział Ham.

– Już nie, Ham – zarówno Shannon jak i Jim Golden roześmieli się. – Gdyby przymierał, możesz być pewny, że Supracorp nie zajmowałaby się tym. Mamy tylko jeden wydział, który marnie działa: Elstree Cosmetics.

– Elstree? To ta angielska firma? Wydaje mi się, że moja matka stosowała Elstree.

– Na tym właśnie polega problem. Jest bardziej antyczna, sędziwa i szacowna niż Yardley czy Roger et Gallet. Matki wszystkich używały ich kosmetyków, ale nie używają ich niczyje córki. Wykupiliśmy Elstree prawie dwa lata temu i do tej pory nie udało nam się tego zmienić. Elstree straciła ponad trzydzieści milionów w zeszłym roku. Mam zamiar osobiście zaangażować się w nową kampanię reklamową. Zmieniamy projekt całej serii, znowu.

– Pat – powiedział Jim Golden – wiem, że jesteś zajęty, ale jak będziesz miał chwilę czasu, mógłbyś wstąpić do gabinetu Dana?

– Jakiś problem?

– Duży, duży problem.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie wcześniej? Załatwmy to od razu – powiedział Shannon ze zniecierpliwieniem. Idąc szybko, poprowadził Hama i Goldeną, mijając windy i wbiegając po dwa stopnie po schodach awaryjnych na wyższe piętro. Szybko przebiegł labirynt eleganckich korytarzy i wszedł do gabinetu Dana Camdena, prezesa Lexington Pharmaceutical. Ham Short był zafascynowany, kiedy zwrócił uwagę, iż wielki gabinet, z takim samym widokiem jak pokój Shannona, był wyposażony w przytłaczającą mieszaninę złotawego adamaszku i osiemnastowiecznych antyków. Miał tak silne uczucie, iż jest w domu w Fairfax Plantation, że nie miał wątpliwości, iż antyki były autentyczne. Wychodząc zza wielkiego biurka chippendale, niski mężczyzna w okularach powitał ich w aurze niepokoju i troski. Prawie natychmiast zwrócił ich uwagę na duży, biały kwadrat leżący na jego biurku.

– Pat, to jest jedna z pierwszych ukończonych próbek. Moim zdaniem ostatnia

warstwa nie jest tak dobra, jak myśleli chłopcy z laboratorium. Sześć miesięcy doświadczeń i nie mogą zrobić tego dobrze! Pierwsze pięć warstw jest w porządku, dokładnie zgadzają się ze specyfikacją. Do tego miejsca wszystko jest w porządku. Moglibyśmy wymazać konkurencję z mapy, tylko że ta ostatnia, najważniejsza warstwa nie działa. Pozwól, że sformułuję to inaczej, działa, ale niedostatecznie, abyśmy mogli reklamować jej działanie tak jak planowaliśmy.

– Masz trochę wody? – spokojnie zapytał Pat.

– Tutaj... pracuję nad tym przez całe rano. – Trzej mężczyźni stale kapali wodą, kropla po kropli, na wierzchnią warstwę białego kwadratu. Wszyscy patrzyli na duży zegar na biurku, gdy cierpliwie, ostrożnie, pochylali się nad biurkiem z ogromną koncentracją przez długie minuty. Ham Short usiadł i obserwował pełne skupienia twarze trzech mężczyzn. Wzrok Patricka Shannona ani na chwilę nie oderwał się od zadania. Ham zaczął przysypiać.

– Proszę! – wykrzyknął w końcu Dan Camden. Ham podskoczył, usiadł prosto i ujrzał mężczyznę pokazującego oskarżającym palcem na małą wilgotną kroplę na idealnie wypolerowanym drewnie biurka. – To przynajmniej dwie lub dwie i pół minuty za wcześnie.

– Cholera – powiedział Shannon cicho. – Dan, zapewniłeś mnie zaledwie dziesięć dni temu, że testy wypadają dobrze i wiesz, że na zebraniu poinformowałem udziałowców, iż mamy zamiar zdobyć tym nowym produktem ogromną część rynku. Mamy nie tylko wartą trzy miliony pracę laboratorium, która nie dała spodziewanego – efektu, mówimy nie tylko o dobrze przygotowanej kampanii w środkach masowego przekazu w dwudziestu największych miastach, którą trzeba będzie odłożyć, mówimy o nadziejach, które pozwoliłeś mi zaprezentować naszym udziałowcom, z których żaden o nich nie zapomni. – Mówił cicho i spokojnie, ale czerwona plama, którą Ham dojrzał na jego karku, zdradzała kontrolowany gniew.

– Pat, jestem tym tak samo zdenerwowany jak ty – zaprotestował Camden, z irytacją wycierając okulary.

– Nie całkiem. Ty musisz skonfrontować się tylko ze mną, a ja jestem w stanie zrozumieć, że laboratorium mogło coś spierdolić... i tak się składa, że rozumiem. Ale ja muszę sobie poradzić z tymi żądnymi krwi udziałowcami i polegałem na twojej radzie i na twojej dokumentacji. Następnym razem nie dawaj mi zielonego światła, dopóki nie będziesz absolutnie pewny. Osobiście pewny. Nie wierz nikomu na słowo.

– Główny chemik...

– Nawet głównemu lekarzowi. Zrozumiano? Chcę, żebyś ściągnął tych ludzi z laboratorium w Jersey, mają być w moim gabinecie punktualnie o czwartej, więc upewnij się, że będą wszyscy i nikogo nie zabraknie, Dan. Wtedy to przedyskutujemy. Do zobaczenia później.

Odwrócił się od prezesa gigantycznej firmy farmaceutycznej, który z powrotem pochłonięty był białym kwadratem na swoim biurku.

– Chodź, Ham, mamy jeszcze sporo zwiedzania.

– O co tu chodziło? – zapytał Ham jak tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu sekretarek w przechodnim pokoju. – Czy to jakiś nowy wynalazek?

– Jak zacznie działać, a musi, stanie się najbardziej miękką jednorazową pieluszką na rynku. Ale nie będzie się sprzedawać, dopóki matka nie będzie mogła przewijać dziecka znacznie rzadziej. Musimy uzyskać dodatkowe trzy minuty odporności w zewnętrznej warstwie i dopiero wtedy możemy wypuścić Pampersy, żeby zaczęły zarabiać pieniądze. – Pat, mówiąc z determinacją, zaciskał szczęki.

– Hmmm – Ham chrząknął.

– Przenieśmy się teraz wyżej, do Troy Communications. Oprowadzę cię szybko, a potem zjemy lunch.

– Dobrze. – Lunch był dobrym pomysłem, i to im szybciej, tym lepiej.

– Nieco później tego popołudnia Ham umówiony był ze swoim bankierem od inwestycji i zamierzał zasięgnąć jego opinii o Shannonie... osobistej opinii.

– To pirat – powiedział Reginald Stein.

– Nie odniosłem takiego wrażenia – skomentował Ham Short.

– Posłuchaj, Ham, to cholerny hazardzista z parowca, przynajmniej w połowie. Jest zbyt otwarty, podejmuje zbyt wiele ryzyka, jak na mój gust, i jestem właścicielem zbyt wielu udziałów w Supracorp, żeby nie martwić się o niego.

– Ale popatrz jak ta korporacja się rozrasta – zaprotestował Ham.

– Wiem, wiem, trudno temu zaprzeczyć, ale wszyscy to robią, Ham. Mamy tłuste lata dla pewnego rodzaju interesów, a Supracorp ma ich wiele. Ale tym, co mnie tak bardzo niepokoi jest ryzyko spadku koniunktury, a wiesz Ham, tak samo dobrze jak ja, że takie ryzyko zawsze istnieje. Shannon podejmuje ryzyko, którego nie musi podejmować... i to mi się nie podoba. Nie przejmuje się zabezpieczeniem, a ja tak. I ty też powinienes, mój przyjacielu. – Bankier zrobił pauzę. – Ham, dlaczego mnie o to pytasz?

– Bez szczególnego powodu, zwykła ciekawość.

Teraz już Ham Short wiedział z całą pewnością, że nie chciał mieć nic do czynienia z interesem, który nie tylko ryzykował spadek koniunktury, ale który

problem przesiąkania niemowlęcych siuszków traktował jak sprawę życia lub śmierci. Miał w swoim życiu dość problemów związanych z przeciekami i bez tego – nie wyłączając kłopotów z kanalizacją – aby angażować się w brudne pieluchy. Był zbyt stary i zbyt bogaty. Nie potrzebował tego rodzaju komplikacji. Być może Pat Shannon mógł znieść cienie udziałowców unoszące się nad jego codziennym życiem, ale Ham Short nie zamierzał podporządkować się komukolwiek. Nawet Topsy.

– Pani Gibbons, jutro na śniadanie proszę mi podać tylko przepiórcze jajka – Ram poinstruował swoją gospodynię po późnej kolacji w piątek wieczorem w Woodhill Manor.

– Tak jest, proszę pana – odpowiedziała tęga, szanująca się kobieta. Królowa Elżbieta też jadła tylko przepiórcze jaja z gospodarstwa w księstwie Windsor. Pani Gibbons, na szczęście, była świadkiem niewielu zmian w ciągu czterdziestu lat spędzonych w Woodhill, ale zaczynała, choć niechętnie, aprobować wnuka i dziedzica swojego pana.

Ten rzadki, samotny weekend w Devon był dla Rama koniecznym lekarstwem. W planach miał rekonwalescencję i medytację. Przez całą zimę pracował wyjątkowo ciężko i wracał do domu znacznie później niż zwykle. Decyzja, aby zacząć szukać żony zmusiła go do przyjmowania zaproszeń na liczne weekendy i przyjęcia, które normalnie byłby odrzucił, ale musiał mieć przegląd kandydatek nim dokona logicznego i rozsądnego wyboru.

Teraz wiedział przynajmniej, czego nie chce, chociaż nadal nie znalazł nikogo, kto by mu choć trochę odpowiadał. Starannie szykując się do pójścia do łóżka, jeszcze raz zastanawiał się nad kandydatkami, które odrzucił. Było wśród nich sporo takich, które należały do grupy zwanej „Sloane Rangers”, od modnego Sloan Square w Chelsea. Były to mądre, młode, towarzyskie kobiety, które spędzały dni robiąc zakupy, chodząc do fryzjera i wymieniając sekrety przy lunchu w San Lorenzo w Beauchamp Place, ścisła klika, która nosiła nieformalne umundurowanie składające się z blezerów, gładkich lub w czarno-białą szachownicę, jedwabnych koszul i wełnianych spódnic St. Laurenta i starannie wypastowanych kozaczków. Ram uznał je za wysoce niesympatyczne. O wiele za dobrze znały się nawzajem, o wiele za dużo sobie opowiadały i były całkiem zwyczajnie zbyt doświadczone, aby być dla niego pociągającymi. A dokonawszy dokładnego przeglądu aktualnego grona debiutantek, piękności, które włączyły się do życia towarzyskiego minionej wiosny, nie był oczarowany żadną Amandą, Samanthą, Alexandrą, Arabellą, Tabithą, Melissą, Clarissą, Sabriną, Victorią czy

Mirandą, które stanowiły światową elitę i mając zaledwie osiemnaście lat już „znały wszystkich”. Zasnął, podczas gdy psychicznie odrzucał każdą dziewczynę, jaką poznał w ciągu ostatnich czterech miesięcy.

Następnego ranka Ram wziął jedną ze swoich dubeltówek i pieszo opuścił dom. Zamierzał sprawdzić ogrodzenia, jeśli nawet symbolicznie, ponieważ raczej trudno było dotrzeć do każdego miejsca na dziewięciuset akrach ziemi i należało to do jego rządcy i służby. Ram lubił jednak spacerować po swojej posiadłości.

W powietrzu było coś, nawet o tak wczesnej porze roku, jak początek lutego, co nie będąc jeszcze zielenią, jakoś już nią pachniało, choć nie dla Rama. Pograżony był bowiem w myślach na temat artykułu, jaki niedawno czytał, a w którym Quentin Crewe wyjaśniał, że gdyby człowiek zarabiał 250 funtów od dnia ukrzyżowania i oszczędzał wszystko co do szylinga, i tak nie byłby tak bogaty jak książęta Westminster czy Buccleuch lub książę Cadogan. Było dziewiętnastu książąt, pomyślał Ram, z których każdy był właścicielem ponad dziesięciu tysięcy akrów... tak, ziemia nadal była w Anglii tym, co stanowiło główny majątek. Pod warunkiem, że nie została odebrana przez rząd w formie podatku. Brytyjski majątek prywatny mógł nie przetrwać dłużej niż do końca jego życia... może nawet nie tak długo. Ram dawno temu przewidział taką możliwość i tak wiele zainwestował za granicą, że gdyby nawet musiał opuścić Anglię i wszystko co w niej posiada, byłby nadal bardzo zamożnym człowiekiem.

Czy jego żona powinna być bogata? Niekoniecznie, dzięki jego umiejętności przewidywania. Czy powinna mieć absolutnie nieskazitelne pochodzenie? Tak... wymagało tego zwykle poczucie własnej wartości. Czy powinna być dziewicą? Znowu tak. I choć, niewątpliwie, było to nieco staromodne pojęcie w tych czasach, Ram czuł nieugiętą potrzebę znalezienia niewinnej dziewczyny, osoby, która nie była obiektem zainteresowania podczas londyńskiego sezonu towarzyskiego, dziewczyny, która nie była jeszcze w pełni uformowana i która będzie go podziwiała i czcić, będzie odpowiednią żoną.

Odwrócił się, aby spojrzeć na Woodhill Manor, dom pamiętający okres elżbietański, rozbudowany za czasów królowej Anny i poszerzony ponownie o skrzydło mające pochodzenie edwardiariskie, które, dzięki zastosowaniu szarego wapienia i wykładanego kamieniami dachu, uzupełniało uroczą, harmonijną całość. Nie był to naprawdę wspaniały dom, gdyby oceniać go w kategorii tradycyjnych angielskich posiadłości wiejskich, ale miał coś, czego nie można było kupić za współczesne pieniądze: spokój, grację i ponadczasowość.

Wyczuł taką samą jakość – choć w znacznie większym stopniu, podczas

niedawnej podróży do Niemiec, związanej z nową inwestycją, jakiej dokonał w ogromnej fabryce łożysk kulkowych. Został tam zaproszony na sobotę i niedzielę do bawarskiego zamku. *schloss*, który należał do jego gospodarzy od trzynastego wieku i w którym dwadzieścia dwa pokolenia zdołały spędzić niezakłócone życie, pomimo wojen, plag i innych tego typu historycznych nieprzyjemności. Te Niemcy, Niemcy Furstenburgów i Windisch-Graetzów, Hohenlohe-Langenbergów i Hohenzollern-Sigmariganów, a także Matternichów, te Niemcy Jaśnie Oświeconych, Ich Królewskich Wysokości i Ich Eminencji, przemawiały do jakichś wrodzonych instynktów Rama. Nie tylko doceniał prostolinijność i otwartość bogactwa swoich gospodarzy, ale podobał mu się również nacisk, z jakim stykał się wszędzie pośród szlacheckich rodów, na poważne, wrażliwe podejście do znaczenia interesów w ich życiu. Byli to praktyczni, surowi, dumni ludzie, którzy nie pozwalali starożytności swoich nazwisk powstrzymać ich przed czerpaniem ile się da z lasów, winnic, przed powiększaniem rodzinnych interesów i inwestowaniem w innych krajach. Kiedy jadł lunch ze swoim gospodarzem i gospodynią, na ścieżce po drugiej stronie trawnika zobaczył dwie dziewczynki, prawdopodobnie nie mające więcej lat niż jedenaście lub trzynaście, w towarzystwie stajennego, który jechał obok konno.

– Nasze córki – powiedział książę, wskazując na okno obojętnym gestem ręki, który nie ukrywał jak był z nich dumny, pomimo iż natychmiast powrócił do wyjaśniania dlaczego nikt, kto znajduje się na liście w Części Pierwszej *Almanachu de Gotha* nie może poślubić nikogo, umieszczonego w Pierwszej lub Drugiej Części bez utraty swych królewskich prerogatyw. Wywód ten nie dotarł do Rama, ponieważ oczyma wyobraźni kontemplował przelotną wizję dwóch blondynek, tak czystych i nietkniętych, jakby były figurami na arrasie.

A jednak nie widział się jako mąż jakiegokolwiek niemieckiej dziewczyny. Było to wykluczone, ponieważ jakkolwiek dobrze byłaby wychowana i zabezpieczona, jak nienaganny mógłby być jej angielski, jak stary ród, z którego mogła pochodzić, jak wspaniałe mogła mieć osiągnięcia, pozostawało faktem, że byłaby cudzoziemką. Dla takich ludzi jak Fulfordowie z Great Fulford Devon, Crasterowie z Craster West House w Northumberland, dla innych nieutytułowanych rodzin angielskich, jak Monsonowie, Elwe'owie, Henage'owie, Dymoke'owie... on, bezpośredni potomek Rurika, Wielkiego Księcia Nowogrodu i Kijowa, założyciela Cesarstwa Rosji... on, książę George Edward Woodhill Valensky, nadal był w pewnym stopniu cudzoziemcem.

Ram wzruszył ramionami i poszedł dalej. Do faktu, że jego angielskość nie

została jeszcze umocniona na tyle, aby mógł pozwolić sobie na nieangielską żonę, podchodził bez urazy. Jego prywatnym zdaniem nawet królowa Victoria nie była w stanie wymazać stygmatu na narodowości księcia Alberta.

Poświęcając jeszcze jedną myśl wspomnieniu krótkiego widoku dwu młodych, niemieckich księżniczek, zdał sobie sprawę, że tracił czas prowadząc poszukiwania w Londynie, oceniając wchodzące w życie młode kobiety. Chociaż, zapytane przez kogokolwiek, zawsze twierdziły, że oficjalnie nie dorosły jeszcze do małżeństwa i chociaż londyński sezon towarzyski został zdegradowany do zwykłej okazji do „poszerzenia grona przyjaciół”, Ram nie był taki głupi. Bogaty mąż był bardziej poszukiwany w dzisiejszej, biedniejszej od podatków Anglii, niż był we wczorajszej. Był przekonany, że czasy, kiedy pierwszą rzeczą o jaką otwarcie pytano przyszłego małżonka, i to niezależnie od płci, była wielkość posiadanego lub spodziewanego majątku, należały do przeszłości. Taka zdrowa uczciwość zeszała do podziemia wraz z przeminięciem dni, nie tak jeszcze dawnych, kiedy Jane Austen traktowała dokładną sumę funtów zarabianą w ciągu roku jako podstawową część charakterystyki swoich bohaterów.

Ram zawsze świadom był znaczenia pieniędzy. Nie przypominał sobie, aby zdarzyło się chociaż raz, że był zbyt dziecinny, aby zdawać sobie sprawę, że jego ojciec był bogaty, a matka i jej drugi mąż nie. Nie wierzył również, że inni ludzie poświęcają pieniądзом mniej uwagi niż on. Oni po prostu ukrywali swoją fascynację, co on właściwie też czynił, z wyjątkiem czasu spędzanego w pracy. Kiedy dziewczyna protestowała, że rola wyróżniającej się debutantki jest najgorszą rzeczą jaką mogłaby ją spotkać, że tak naprawdę pragnie studiować historię Rosji lub Chin lub odbyć podróż statkiem dookoła świata, że wszystko czego chce jest być młodą i beztruską i nigdy nie myśleć o takich rzeczach jak dochody, uważane to było za rzecz modną i nowoczesną. Ale Ram wiedział swoje. Jej kariera, jakakolwiek by była, pójdzie w zapomnienie, kiedy zjawi się odpowiedni młody człowiek z odpowiednią sumą pieniędzy. To tego pragnęły wszystkie, z wyjątkiem niewielu rzadkich, dziwnych kobiet, które zawsze żyły jakby obok realnego świata, świata, który z pewnością umierał, niemniej jednak z punktu widzenia angielskich warstw wyższych, był najlepszym ze wszystkich światów.

Rozważając ze zmiennym nastrojem przypadki pewnych osiemnastoletnich piękności do wzięcia – Jane Bonham Carter, prawnuczki premiera Herberta Asquitha, która zdążyła już znaleźć azyl na wydziałach ekonomii – i filozofii Uniwersytetu Londyńskiego; Sabriny Cruiness, zarabiającej na życie w

przerazająco nieodpowiedni sposób, jeśli to, co Ram przeczytał było zgodne z prawdą, jako guwernantka Tatum O'Neal – nagle zdał sobie sprawę, że powinien szukać w świecie siedemnastolatek. Wiek osiemnastu lat niósł ze sobą zbyt wiele uświadomienia, uporczywości, zawzięcia, samoorientacji, aby być odpowiedni dla żony. Kończąc osiemnaście lat dziewczyna była już zrujnowana, pomyślał Ram, odłamując gałązkę młodego dębu i oglądając pączki, ale właściwie ich nie widząc.

Sarah Fane, Sarah Fane? Nazwisko przyszło mu do głowy i dopiero po minucie przypomniał sobie, że tydzień wcześniej przy służbowym lunchu, jej ojciec lord John Fane opowiadał mu o swojej córce. Narzekał, ponieważ upierała się przy pójściu na bal urodzinowy królowej Charlotty w maju, czy też ponieważ odmawiała udziału w tym balu? Ram nie mógł sobie przypomnieć – nie słuchał zbyt uważnie – ale pamiętał, że był zdziwiony, iż rozmowa zeszła na ten temat. Wydawało się, że widział ją tak niedawno, jako czternastoletnie dziecko, kiedy spędził weekend w domu lorda Johna w Yorkshire... musiało to być w połowie sierpnia, bo zjechali się tam na otwarcie sezonu polowania na szkockie kuropatwy.

Czy mogły minąć już trzy lata? Pamiętał wysoką, nieśmiałą, milczącą dziewczynę z niebieskimi, czystymi oczami i długimi, prostymi blond włosami, opadającymi jej na twarz i otoczoną jakąś dziwną aurą. Trzymała się prosto, nie garbiąc się jakby chciała być niewidzialna, jak można było spodziewać się po dorastających młodych ludziach, ale miała ładny chód, pewnie stawiając nogi na wrzosowisku Fane'ów, idąc w dyskretnej odległości za myśliwymi. Cóż, niezależnie od tego jakie plany miała na sezon, zaczynał się on dopiero imprezą zwaną Private View w Royal Academy w pierwszy piątek maja. Ram postanowił dowiedzieć się więcej o Sarze Fane... to znaczy Czcigodnej Sarze Fane. Prawdopodobnie okaże się jeszcze jednym rozczarowaniem, zdecydowana zostać modelką fotografa lub cordon bleu chef... ale nosiła się dobrze i wszelkie obliczenia wskazywały, że nie miała jeszcze osiemnastu lat. Zrobi sobie notatkę po powrocie do domu. Warto to sprawdzić. W końcu jej dziadek był hrabią.

Rozdział 18

– Po prostu nie podoba mi się, Kiki, nie możesz tego zrozumieć? – Daisy podeszła do okna i wyjrzała na Prince Street, zatłoczoną już turystami z centrum, którzy spędzali ten dzień 1976 roku spacerując po SoHo. Było dość ciepło, a wyboje po zimie 1975 roku były dwa razy większe niż przedtem i o połowę mniejsze niż będą następnej wiosny, ale nic nie wskazywało na to, aby władze miejskie zamierzały naprawić jezdnię. Być może, pomyślała, już uznano je za atrakcję turystyczną.

– Daisy, spójrz na to w ten sposób – błagała ją Kiki. – Zrobisz im przysługę zjawiając się na ich przyjęciu w jego sukni... prawdopodobnie będziesz fotografowana, a to dobra reklama dla Robina Valariana.

– Nie mam do tego wszystkiego zaufania – uparcie powtórzyła Daisy.

– Do sukni? Ależ jest śliczna – zaprotestowała Kiki.

– Nie, przyznaję, że suknia jest ładna, choć nie w moim stylu. Chodzi mi o to, że chyba nie uważasz, iż kawałek szyfonu i takie pióra, ukradzione niemal co do szczegółu z ostatniej kolekcji St. Laurenta będą wyglądały równie dobrze za trzydzieści pięć lat, co? Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że czuję pajęczynę, tkaną z czystego złota, ale jednak pajęczynę. Pewnie myślisz, że wpadam w paranoję? – oskarżyła Kiki.

– Może trochę. Dzięki Vanessie w ciągu minionego roku dostałaś dwa zamówienia, ten duży portret olejny trzech córek Shortów i drugi obraz olejny, który robiłaś w Boże Narodzenie, z dwoma chłopcami Hemmingwayów. To ona przekonała cię, że powinnaś podnieść cenę na swoje akwarele o pięćset dolarów, ona uparła się, żeby podarować ci kilka sukienek, ona zapraszała cię na niezliczone przyjęcia... przyznaję ci to. A spójrz co otrzymała w zamian.

– Co takiego? Dokładnie dlatego jej nie ufam. Nie jest kobietą, która robi dobre uczynki z czystej przyjemności. Znam ją lepiej niż ty, Kiki, kochana... powiedz, co ja jej daję?

– Ach... – Kiki chwilowo zabrakło słów.

– Jeszcze jednego gościa na przyjęciu? Chyba nie przypuszczasz, że to wystarczy, prawda?

– Cóż... owszem, jeśli kolekcjonuje się znajomych, a ona to robi.

– Daj spokój, Kiki, nie jestem aż tak ważna, ani tak czarująca, ani tak... cokolwiek.

– Nie doceniasz się... Kiedy wreszcie przestaniesz! Słuchaj, nie pokazujesz się zbyt często w Nowym Jorku, bo przez cały tydzień jesteś zajęta, a w weekendy wyjeżdżasz pracować nad swoimi portretami, więc niewątpliwie masz zaletę rzadkości. A to coś znaczy dla Vanessy! – Brwi Kiki uniosły się do najbardziej demonicznych szczytów. Doprowadzało ją do wściekłości, że Daisy nigdy nie wykorzystywała tego, co posiadała będąc tym, kim była, że nie potrafiła wyciągnąć korzyści z ogromnych możliwości swojej urody i tytułu, że nie wskakiwała do tego wielkiego, amerykańskiego pociągu dla znanych osobistości, który gotów był ją zabrać. – Daisy, nie jesteś Kopciuszkiem, wiesz, masz swoje prawa.

– A ty jesteś romantyczką... nadal wierzysz w bajki... nie, odwołuję to, jesteś straszliwą cyniczką, która chce, żebym robiła majątek na przypadkowym urodzeniu. Nawet Serge Obolensky nie używa już swojego tytułu.

– Cóż, on nie musi sprzedawać portretów właścicielom stadnin... i wielu innym. I Obolenscy nadal nazywani są księżniczką i księciem.

– Kiki, czy mogłybyśmy przestać dzielić arystokratyczne włosy na czworo i zaczęły zastanawiać się, co mam zabrać ze sobą do Wenecji? Jak myślisz, jaka pogoda jest w Wenecji we wrześniu?

– Zmienna – autorytatywnie odpowiedziała Kiki.

– Luke powinien ci zdrowo dać w kość.

– Nie da się nabrać na erotyczne numery – po filistersku powiedziała Kiki.

– Tak? Więc na co da się nabrać?

– Uściski, pocałunki, dotyk... sprawianie przyjemności, okazywanie troski... i...

– Pierdolenie się?

– Naprawdę, Daisy, ależ jesteś brutalna! Prawdę mówiąc... skoro się upierasz, on zdecydowanie lubi... kochać się – powiedziała Kiki, sztywna jak córka pastora w samym środku epoki wiktoriańskiej.

– Litości, litości! To teraz jesteś purystką... teraz, kiedy go masz... masz go, prawda? – zapytała Daisy z cieniem niepokoju.

– Po prostu nie wiem. – Drobna, koścista twarz Kiki wyglądała jak mordka skonfundowanego kotka. – Zrobiłam wszystko, co mi kazałaś. Zaprasza mnie bez przerwy, ale zgadzam się tylko raz na jakiś czas... czasem naprawdę rzadko... wymyśliłam bajeczkę o innych mężczyznach, która brzmi tak prawdziwie, że sama w nią wierzę i codziennie jestem coraz bardziej zakochana w tym sukinsynie. Ale on mnie zwodzi! – Uderzyła drobnymi piąstkami Tezeusza, który polizał jej rękę. Lubiał jak go tak uderzano. – Czy myślisz, że nie powinnam była iść z nim do łóżka... czy to był błąd?

– Oczywiście, że nie. To byłby koniec świata, gdyby dziewczyna mogła zdobyć chłopaka powstrzymując się od seksu. Zupełnie nie to miałam na myśli, kiedy radziłam ci, abyś była zasadniczo niedostępna. Zasadniczo nie oznacza seksualnie, głuptasie... oznacza coś znacznie głębszego. W twojej duszy.

– Myślę, że moja dusza jest dostępna – powiedziała Kiki przygnębiająco – i on wie o tym. Czy dusza może stwardnieć tak samo jak serce?

– Czy masz doradcę duchowego?

– Oczywiście, że nie.

– Więc może powinnaś zacząć go szukać. Dobra, dosyć tego! Które z twoich rzeczy mogę pożyczyć?

Arnie Greene, dyrektor Northa, był nieszczęśliwy. Odradzał Northowi przyjęcie pracy dla Pan Arnu. Było to duże zamówienie, ale zdjęcia w Wenecji oznaczały, że Nort, Daisy i Wingo będą poza wytwórnią prawie przez tydzień i nie wezmą udziału w naradach produkcyjnych z innymi klientami przez cały ten czas, a fakt ten mógł spowodować kilkudniową lukę w ich rozkładzie zajęć po powrocie.

– Czy to nie zajmie więcej czasu niż jest naprawdę warte? – zapytał Northa, kiedy Nick-the-Greek przyniósł propozycję i poprosił go o przygotowanie oferty.

– Prawdopodobnie – odpowiedział North. – Ale z różnych dziwnych powodów nie byłem jeszcze w Wenecji i chciałbym tam dotrzeć zanim zatonie.

Arnie westchnął. Gdyby to od niego zależało, North nigdy nie miałby zdjęć dalej niż w Central Parku. Niechętnie pogodził się z faktem, iż jeśli scenopis wymaga stad gołębi, Piazza San Marco i gondoli, nie da się tego zrobić nad stawem w Central Parku... może są tam gołębie, ale nie piazza. Z melancholią zastanawiał się czy praca z gondolami dostarczała tylu nieprzewidzianych niespodzianek, co z dziećmi czy zwierzętami. Negocjując umowę zrobił wszystko, aby nawet najbardziej niekompetentny gondolier miał zapewnioną pracę w nadgodzinach. Do diabła, załatwił nawet ubezpieczenie na wypadek, gdyby któryś z gondolierów utonął. Arnie wziął także pod uwagę wszystko, co do czego miał niejasne podejrzenia. Jeśli chodzi o *La Dolce Vita*, założył, że miejscowi technicy, garderobiani i charakteryzatorzy, wszyscy sprowadzeni z Rzymu, zażądadają dwugodzinnej przerwy na lunch, wliczył koszty zajęcia się tłumami i gołębim gównem, obliczył ile kosztować będzie podróż Northa, Daisy, Winga i sześciu modelek tam i z powrotem, zawsze pierwszą klasą, diety na utrzymanie dla wszystkich podczas pobytu w Gritti Palace, które pokryłyby jego komorne za prawie rok, upewnił się, że każda pozycja na pięciostronicowej liście, jaką każdy

producent reklam musi przedłożyć w agencji, była wyceniona tak precyzyjnie, jak tylko mogli to zrobić z Daisy, z plusem. Wykonali dobrą robotę. Nawet gdyby coś nie wyszło i North miał kłopot, umowa zapewniała tyle pieniędzy, że musiało ich wystarczyć na jakieś nagłe potrzeby... tak robiło się zawsze. Na szczęście nie byli odpowiedzialni finansowo za opóźnienia spowodowane przez pogodę. Gdyby musiał martwić się jeszcze o pogodę, do dwóch wrzodów, które już miał, doszłyby następne trzy.

– W porządku, ale na miłość boską, North, nie wpadnij do kanaru. Ta woda przyprawi cię co najmniej o zapalenie wątroby.

– Arnio, czy ja kiedykolwiek wpadłem do kanaru?

– Dopiero co powiedziałeś, że nigdy nie byłeś w Wenecji. I nie jedz skorupiaków na surowo... one też powodują zapalenie wątroby.

– Czy mogę przyglądać się zachodowi słońca, czy nadweręża to oczy?

– Nikt mnie nie docenia.

– Nieprawda. – North spojrzał na Arniego przyjaźnie. – Ale za dużo się martwisz.

– Przecież zawsze coś musi nie wyjść, prawda?

– Jasne... gdyby tak nie było, równie dobrze moglibyśmy robić dziurki do guzików. Ale wiesz, że Daisy sobie poradzi, cokolwiek by się działo. Przecież za to jej płacimy, nie?

Kiedy odebrali bagaż na lotnisku Marco Polo, przeszli odprawę celną i załadowali wszystko do vaporetto, weneckiego odpowiednika autobusu, było już zbyt ciemno i zbyt późno, aby Daisy i North mogli coś zwiedzić. Wingo i sześcioro modeli, trzech mężczyzn i trzy dziewczyny, mieli dolecieć następnego dnia, ponieważ North zdecydował się polecieć dzień wcześniej, aby spokojnie zwiedzić zabytki Wenecji. Daisy miała zamiar skorzystać z dodatkowego dnia i dokonać ostatniego przeglądu planów, porozumieć się z miejscową policją na temat kontroli nad tłumem gapiów i upewnić się, że wszystko będzie gotowe dla ekipy technicznej, garderobianych, charakteryzatorów i fryzjerów, którzy mieli przyjechać następnego popołudnia.

Wenecja była szokiem uchwytnym dla ucha, pomyślała Daisy, wyglądając z okna swojego pokoju hotelowego wprost na Grand Canal, jeszcze słysząc chlupnięcia niewielkich fal wody o burty vaporetto. Bez względu na to, ile przeczytałoby się o Wenecji i od jak dawna wiedziało się, że jest położona na wodzie, rzeczywistość okazywała się absolutnym zaskoczeniem. Wyobrażenie

sobie Wenecji było niemożliwe. Mimo iż zainspirowała tysiące obrazów, trzeba było znaleźć się w niej, aby stała się czymś realnym, a nawet wówczas wydawała się nieprawdopodobna. Tak jakby Alicja przeszła przez lustro i wkroczyła do krainy cudów, świata zabaw, nierealnego, tak romantycznego, że było to prawie głupie. Miasto tak wielkich zbiorów sztuki, prawdopodobnie umierające i upadające od wielu lat, a jednak stale żywe, niewyczerpany temat tylu stron prozy, że nic już nie można było o nim powiedzieć. A jednak miliony słów nie wysączyły ani kropli jego magii. Jak ambitnymi istotami byli ludzie, pomimo wszystko, skoro choćby spróbowali stworzyć takie miasto!

Na drugim brzegu kanału, w sercu rozświetlonej księżycem nocy, niewyraźnie widziała kopułę Santa Maria della Salute, wybitnego arcydzieła weneckiego baroku. Fakt, że była dokładnie tam, gdzie być powinna wydawał się być czymś graniczącym z cudem i niespodziewanym... Daisy nie byłaby zaskoczona, gdyby znikła do rana, ani gdyby stała niewzruszenie długo po tym, jak Nowy Jork i Londyn obrócić się w gruzy.

Jutro o siódmej rano musi być na nogach i zacząć pracę – Daisy zdała sobie sprawę z przerażeniem, kiedy odwróciła się w stronę pokoju o wysokim suficie, z satyną w białe i niebieskie paski pokrywającą ściany i różowymi zasłonami. Oznaczało to nie więcej niż pięć godzin snu. Na szczęście udało jej się zdrzemnąć podczas podróży. North siedział na przednim siedzeniu kabiny pierwszej klasy, gdzie miał dość miejsca, aby wyciągnąć nogi, a Daisy usiadła na wolnym miejscu kilka rzędów dalej, aby mu nie przeszkadzać. Wiedziała, że przed tak trudnymi zdjęciami, na jakie te się zapowiadały, lubił zamykać się w sobie jeszcze bardziej niż zwykle, zbierając energię, którą miał tryskać przez następnych parę dni. Przygotowując się do pójścia do łóżka Daisy zastanawiała się czy uda jej się, tak jak knuła, wrócić do Nowego Jorku przez Londyn, aby móc zobaczyć się z Dani. Nie mogła pojechać do Europy na Boże Narodzenie w tym roku. Dwa duże obrazy olejne i sześć akwarel pozwoliły tylko pokryć rachunki Danielle, więc Daisy zmuszona była wybrać raczej zarabianie pieniędzy niż wydawanie ich na podróż. Minęło już naprawdę za dużo czasu, kiedy widziała Danielle czy Anabel. Zdecydowała się nie prosić Northa o kilka dodatkowych dni wolnych dopóki zdjęcia nie będą bliskie ukończenia. Wtedy, tak niedaleko od Londynu, nie będzie mógł odmówić, a zmiana biletu przy minimalnych kosztach nie powinna stanowić problemu.

Bardzo zmęczona, Daisy ściągnęła prastare dzinsy, koszulkę i kurtkę Brytyjskiego Oddziału Komandosów kupioną za pięćdziesiąt centów na wencie

dobroczynej w Londynie przed pięcioma laty, w których odbyła podróż i których nie zdjęła z siebie od wyjazdu z Nowego Jorku. Wzięła prysznic, długi, niespieszny prysznic, zupełnie inny niż szybkie, „robocze” prysznice, do jakich przyzwyczała się w domu, które dzięki wadliwej instalacji kanalizacyjnej, czym podzieliła się z Kiki, sprawiały tyle przyjemności co opatrzone znakiem firmowym produkty Water Pik. Jej bieliznę nocną zamówioną z katalogu Montgomery Ward stanowiła staromodna, prosta tunika z różowej bawełny, z tasiemką ściąganą pod stanikiem i z paskiem. Zamiast dopasowanych spodenek, Daisy miała purpurowe szorty koszykarskie, a jej męski szlafrok z szerokim kołnierzem pochodził z firmy Sułka i uszyty był z ciemnoczerwonego, wzorzystego jedwabiu i był w zupełnie dobrym stanie, nawet po dwudziestu pięciu latach, choć dół ciągnął się po podłodze, co wcale nie było zamierzone. Z umysłem wypełnionym rozważaniami na temat różnych praktycznych drobiazgów i przeżyć, jakie czekały ją w Wenecji, Daisy zapadła w płytki, niespokojny sen pełen urywanych marzeń.

Kiedy jej podróżny budzik zadzwonił, z przyjemnością wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna, a sny znikły w obiecującym, załamującym się w wodzie świetle poranka. Oślepiąca, niemal sparaliżowana ciekawością, wpatrywała się w widok, dopóki nie udało jej się otrząsnąć z zamyślenia. To szaleństwo, pomyślała, wymagać od kogoś, żeby tu pracował. Powinni byli przyjechać tydzień wcześniej, żeby się zaaklimatyzować w tym pięknie. Ale być może nie wystarczyłby nawet miesiąc. Z goryczą zazdrościła Northowi dnia zwiedzania i obiecała sobie ubierając się błyskawicznie, że sprawdzi i załatwi wszystko tak szybko, że będzie miała chociaż parę godzin, aby przejść się samotnie po mieście nim przyjadą inni.

Późnym popołudniem, kiedy North wrócił w końcu do hotelu, zastał Daisy czekającą na niego przy wejściu.

– Wszystko gotowe? – zapytał.

– Nie całkiem.

– Dlaczego? Jeżeli wszystko nie jest zapięte na ostatni guzik, to dlaczego siedzisz sobie w hallu? Nie ma czegoś, co powinnaś zrobić?

Daisy wstała z rękami na ustach, szeroko rozstawionymi stopami i powracającą energią.

– Przestań, North. – Podniosła rękę jak policjant drogowy. – Wydaje się, że mamy mały problem.

– Ty i te twoje problemy – powiedział obojętnie. – Nogi mnie bołą. – Ruszył w kierunku recepcji, żeby wziąć klucz. Poszła za nim i poklepała go po ramieniu.

– North?

– O co chodzi, do diabła? Naprawdę, Daisy, czy zajmowanie się drobiazgami nie należy do twoich obowiązków? Och, dobrze, powiedz mi... brakuje zezwolenia, gondola pomalowana jest na zły kolor, jedna z modelek ma pryszcz? Improvizuj... ile razy ci mówiłem? Improvizuj, Daisy. Jeżeli powiedziałem to raz, to tak jakbym powiedział tysiąc razy, ty zajmij się wszystkimi drobiazgami, a ja się postaram, żeby wszystko poszło dobrze jak zacznę pracę.

– Czy myślisz, że mógłbyś zmusić Alitalię do powrotu do pracy?

– Niby czemu mamy się martwić o Alitalię... pracujemy dla Pan Amu. Jezu, Daisy, nie masz za grosz poczucia proporcji – powiedział, odwracając się z rozdrażnieniem.

Powiedziała cicho za jego plecami: – Żadne inne linie też nie lądują we Włoszech, North. Strajk solidarnościowy. – Odwrócił się na pięcie. – Wingo i modele nie mają jak się tu dostać.

– I co z tego? – powiedział z odnowioną irytacją. – Zdarzały się gorsze rzeczy. Nie skontaktowałaś się z modelami w Rzymie? Jeżeli nie mogę skorzystać z dziewczyn, które wybrałem, skorzystam z innych i jestem w stanie poradzić sobie bez Wingo. W Rzymie jest pełno kamerzystów... i pięknych kobiet.

– Pociągi też strajkują – miękko powiedziała Daisy.

– Każ im przyjechać samochodem, do cholery! Jeżeli teraz wyjadą, dotrą tu do jutra. Gdyby wyjechali, kiedy dowiedziałaś się o strajku, byłiby tu już teraz – dodał oskarżająco.

– Technicy też ogłosili strajk. Nie mamy ekipy, North. W całych Włoszech nie ma nikogo, kto potrafi obsługiwać ten sprzęt, który zresztą utknął gdzieś między Rzymem i nami. Nie mamy kamery, nie mamy mikrofonów, nie mamy reflektorów, nie mamy klapsa, nie mamy ruchomej platformy, nawet stopera... nada! Dlatego nie ściągnęłam modelek z Rzymu.

– Dobra, bardzo zabawnie, bardzo sprytnie. A czy nie przyszło ci do głowy, że moglibyśmy pojechać do Francji lub do Szwajcarii i tam zrobić zdjęcia? Przygotuj się do wyjazdu – warknął North.

– Zdjęcia Piazza San Marco, gołębie i gondole we Francji lub Szwajcarii? – słodko zapytała Daisy.

– Do cholery jasnej, zadzwoń do Nowego Jorku! Wiesz, że w agencji mogą zmienić scenopis nawet w ciągu godziny, jeżeli muszą...

– Strajk – Daisy zwolniła, rozkoszując się wypowiedzianiem każdego słowa – niestety, rozszerzył się też na sieć telefoniczną i telegraficzną. Chyba że niektóre z

tych ptaków na zewnątrz to gołębie pocztowe... W przeciwnym wypadku jesteśmy załatwieni.

– Ależ to szaleństwo! Daisy, nie starasz się! Zadzwoń i wynajmij samochód. Wynajmij motorówkę, dostaniemy się na suchy ląd, pojedziemy do najbliższej granicy i stamtąd zadzwonimy do – owego Jorku. Niech oni znajdą inne miejsca na zdjęcia... Pan Am lata wszędzie. Czemu, do diabła, musiałaś czekać na mój powrót, żebym wymyślił coś tak prostego? Czemu nie jesteś spakowana? Co się z tobą dzieje... jesteś coraz gorsza.

– Pracownicy wypożyczalni samochodów strajkują. Podobnie jak związek gondolierów oraz vaporetto – powiedziała Daisy, a jej czarne oczy tak pociemniały, że błysk radości i rozbawienia głęboko w żrenicach został niemal ukryty.

– Cholera! Daisy, oni nie mogą mi tego zrobić!

– Powiem im, że tak uważasz – powiedziała Daisy – jak tylko wrócę do pracy.

– To jest... to jest... niecywilizowane! – krzyknął North, wymachując rękami w eleganckim hallu hotelu, który był rezydencją doży w szesnastym wieku.

– Może spróbujemy podejść do tego filozoficznie, North? Wygląda, że nie możemy nic na to poradzić – spokojnie zasugerowała Daisy.

Daisy była całkowicie oczarowana wydarzeniami tego dnia. Kiedy wszystkie drogi wyjścia zostały zablokowane i telefon przestał działać, zaszła do hallu, aby być na bieżąco z wiadomościami o rozprzestrzeniającym się strajku, jakie przekazywała recepcja, w której słuchano komunikatów radiowych. Dzień z każdą chwilą stawał się coraz przyjemniejszy. Poczula w sobie coś, czego początkowo nie potrafiła określić, a ostatecznie rozpoznała jako leniuchowanie... pamiętała jak czuje się leniuchujący z czasów wakacji studenckich. Dwie osoby z czarującym troskliwego personelu hotelu, który opiekował się każdym z setki gości, przyłączyły się do jej świątecznego nastroju... ponieważ jutro, kto wie, może i oni zaczną strajkować? pogoda była w sam raz na strajk, jak ktoś z nich powiedział Daisy. W pełni się z tym zgadzała. Jeżeli była jedyna rzecz na świecie, o jakiej mogłaby marzyć w Wenecji, było to parę dni poza czasem. A portier zapewnił ją, że goście Gritti Palace nigdy nie głodują. Nawet gdyby zostali skazani na dania bufetowe, dyrekcja hotelu była przygotowana. W najgorszym razie principessa będzie musiała sama pościelić sobie łóżko.

– Filozoficznie? – North był wściekły. To nie wydarzenia zmuszały jego do zmian, ale on wydarzenia. – Jesteśmy zamknięci tutaj, jakby to było średniowiecze, a ty mówisz filozoficznie?

– Jest jeszcze jedno wyjście – nieśmiało odezwała się Daisy.

– Jakie, na miłość boską! – zawył.

– Moglibyśmy... popływać.

North odwrócił się z gniewem i spojrzał na swoją obłąkaną producentkę. Pod jego spojrzeniem Daisy zapiszczała hamując śmiech, a po chwili wydawała dźwięk jak czajnik z gwizdkiem, który ma się zagotować.

– Arnie... – zabelkotała nim wstrząsnęły nią niepoahamowane spazmy rozbawienia. – Arnie... jego twarz!

Widok żalobnego wyrazu twarzy Arniego Greene'a, który już przewidywał nieuniknione zapalenie wątroby, pojawiła się przed oczami Northa i wolno, niechętnie, ale niepoahamowanie wybuchnął śmiechem.

Portier i bagażowy popatrzyli na dwoje Amerykanów, wstrząsanych spazmami wesołości i wymienili uśmiechy i wzruszenie ramion. Młoda principessa, pomyślał recepcjonista, ubrana była raczej dziwnie jak na córkę księcia Stasia Valensky'ego, który był wiernym gościem aż do śmierci. Zawsze przyjeżdżał do Wenecji na tydzień lub dwa we wrześniu, po zakończeniu sezonu polo w Deauville. Tegoż ranka zeszła na dół w męskich białych spodniach i piłkarskiej, purpurowo-białej koszulce. Ale może była to nowa moda?

– Zaplanowałaś to wszystko, prawda? – dyszał North, uspokajając się.

– Nie było to łatwe – skromnie przyznała Daisy.

– Cały kraj zamarł po to, żebyś ty mogła mieć wolny dzień... nieźle.

– Jestem skuteczna, przyznaję ci to, ale nie mogłabym zrobić takiego numeru w Nowym Jorku... zbyt wiele taksówek na specjalne wezwanie.

– Sprawdziłaś gondole na specjalne wezwanie?

– Chłopak w łodzi z wiosłami był najlepszą rzeczą jaką znalazłam.

– Gdzie idziemy? Muszę się napić nim zastrajkują barmani. – Northowi kręciło się w głowie. Kombinacja dnia w Wenecji z kompletnym zawaleniem się systemu wspierającego, którego sprawne działanie uważał za naturalne, sprawiła iż poczuł się jak dziecko wypuszczone ze szkoły tuż przed egzaminem.

– Bar Harry'ego? – zasugerowała Daisy.

– Mówisz, że jako turyści?

– Oczywiście... ale najpierw muszę się przebrać. A tobie przyda się kąpiel. Spotkamy się tu na dole za godzinę. Wydaje mi się, że możemy pójść tam piechotą... mam plan miasta.

– Chodziłem przez cały dzień. Powiedz chłopakowi w łódce, żeby poczekał.

– Tak jest, szefie.

North bezwiednie uśmiechnął się do Daisy. Przypuszczał, że rzeczywiście nie

było niczego konkretnego, o co mógłby mieć do niej pretensje... przynajmniej dopóki sam nie dowie się czegoś więcej o tym strajku.

Wróciwszy do pokoju Daisy wahała się nad wyborem sukienki spośród tych, które zabrała ze sobą na wypadek, gdyby doszło do sytuacji, w której roboczy strój byłby niewystarczający. Czuła się zupełnie niedołączna, tak nieważka, jak kosmonauta.

Wybrała najbardziej drobiazgowo wykonaną rzecz, jaką posiadała, suknię Vionnet z połowy lat dwudziestych. Kiki uparła się, żeby zabrała ze sobą tę kreację z górą nie okrywającą ramion, bardziej skąpą niż halka, skośnie wykrojoną z czarnego aksamitu. Miała możliwie najgłębszy, okrągły dekolot podtrzymywany tylko przez cienkie ramiączka z kryształowych koralików. Czarny aksamit haftowany był takimi samymi koralikami, które szerokimi, fantastycznymi kółkami opadały tworząc owalny kształt, jak długi naszyjnik, a dół składał się z dwóch falistych części po obu stronach ciała Daisy, momentami ukazując jej kolana z przodu. Była to suknia, która swego czasu musiała wywołać skandal. Czarny aksamit we wrześnie? Czemu nie, pomyślała Daisy rozplątując warkocze. Styl sukienki wymagał wyrafinowanej fryzury, ale nie miała wyrafinowanych włosów, stwierdziła Daisy, podczas gdy weneckie promienie słoneczne wplątały się w blond kosmyki. Uniosła je obiema rękami, wyciągnęła ręce na całą długość i zaczęła energicznie kręcić głową tam i z powrotem. Co robić, co robić? Nie była w nastroju do koka, ani do warkocza... była w kryształowym nastroju. W końcu zrobiła przedziałek pośrodku, znalazła parometrową srebrną wstążkę, którą zatrzymała po reklamie Hallmarka i przewiązała ją tak, że odsuwała najbardziej niesforne loki z twarzy i pozwalała reszcie spływać luźno. Narzuciła zieloną pelerynę przetykaną srebrem wykonaną w tym samym czasie co suknia przez nieznaną już firmę Cheruit, po czym zeszła do hallu, bardziej romantyczna niż jakakolwiek bohaterka namalowana przez Tiepolo czy Giovanni Belliniego.

North już czekał, gotowy do wyjścia. Zwykle nie pił, ale tym razem pilnie potrzebował drinka. Przecież uważa się, że alkohol stanowi remedium w przypadku depresji, prawda? Takie remedium mogło być pomocne w zwalczaniu emocji, która niebezpiecznie swobodnie unosiła się w atmosferze tego wieczoru. Musiał zostać ściągnięty z powrotem na ziemię, ale zaczynało się od tego, że w pobliżu nie było cholerniej ziemi... tylko pobłyskujące odbicia w kanale, które wszystko czyniły chwiejnym. Gdzie jest Daisy, do diabła? Dlaczego każe mu czekać? Nie przypominał sobie, żeby musiał czekać na Daisy od dnia, w którym ją zatrudnił.

– *Dio! Che bellissima! Bellissima!* – usłyszał bagażowego za sobą.

– *Bellissima!* – powtórzyli portier, przechodzący kelner i dwóch mężczyzn siedzących w hallu.

– O! – powiedział North patrząc na Daisy. Teraz naprawdę potrzebował drinka.

– Mimosa, panienko, czy może Bellini? – sugerował kelner. North rozejrzał się po długiej, wąskiej, sławnej sali.

– A czy podajecie martini? To znaczy wytrawne martini? – zapytał, jakby powątpiewając.

– Założę się piętnaście do jednego, proszę pana. Z lodem?

– Podwójne, Daisy?

– Co to jest mimosa? – zapytała kelnera.

– Szampan i świeży sok pomarańczowy, panienko.

– Och, tak, poproszę. – Wydawało się, że kelner nie miał zamiaru odejść. Po prostu stał wpatrzony w Daisy, a każdy centymetr jego pomarszczonej twarzy wyrażał czysty podziw.

– Proszę podać nam drinki od razu – beznamiętnie powiedział North, psując magiczny moment i sprawiając, że kelner pospiesznie odszedł.

– Więc... – odezwał się North, wkładając w tę sylabę odkrycie, niedowierzanie i wyzwanie.

– Więc? – zapytała Daisy z nieco udawaną niewinnością. – Co to znaczy? Czy uważasz, że ponieważ nikt w Wenecji nie zdaje się być przejęty, oznacza to, że nie ma żadnego strajku?

– Więc tak wyglądasz, kiedy nie pracujesz, a więc musisz nieźle udawać w wytwórni, a więc tak naprawdę wiem o tobie cholernie mało, więc potrafisz się tak odstawić jak ci się trafi okazja.

– Więc? – Daisy pogodnie wzruszyła ramionami. – Co w tym złego?

– Właśnie próbuję zrozumieć. Wiem, że coś jest.

– North, North, daj się temu porwać.

– A cóż to ma znaczyć, do diabła?

– Nie wiem, ale brzmi dobrze w tym czasie i w tym miejscu. Jak twoje martini?

– Bez zarzutu – odpowiedział niechętnie. Było to najlepsze martini, jakie w życiu miał w ustach. – A jak twój sok pomarańczowy?

– Niebiański, czysta rozkosz, przepyszny, wymarzony, wyśniony, rewelacyjny...

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że masz ochotę na jeszcze jeden?

– Skąd wiesz?

– Coś mi powiedziało... tknęło... mniej niż aluzja... jakiś znak.

– Bardzo dobrze, North. Kiedy kierujesz się znakami, osiągasz cel.

– Cel, jaki cel?

– Poryw.

– Rozumiem.

– Przypuszczałam, że zrozumiesz. Zawsze uważałam cię za łatwego do rozszyfrowania – powiedziała Daisy bez troski, kręcąc kieliszkiem szampana w palcach.

– Daj sobie spokój z tymi afrontami... to twoja gra po godzinach pracy. Cholernie delikatne pochwały.

– Uważam, że pochlebstwo jest lepkie.

– Dziwię się tylko, że nie powiedziałas tego, kiedy inni oskarżali mnie o głupotę. Ty mnie broniłaś.

– Nie masz racji. Bronię cię, kiedy inni mówią, że jesteś absolutnym gównem. – Daisy uśmiechnęła się anielsko.

– Jezu! Poczekaj aż wrócimy na stały ląd! Kelner, proszę przynieść siatkę na motyle dla pani i jeszcze dwa drinki.

– Świetnie się bawię – oświadczyła Daisy.

– Ja też – powiedział North, przestraszony i na nowo podejrzliwy.

– To trochę dziwne uczucie, prawda?

– Bardzo. Ale nie przypuszczam, żeby miało dokonać jakichś nieodwracalnych szkód. Chyba że się do niego przyzwyczaimy, oczywiście – odpowiedział w zamyśleniu.

– Chcesz powiedzieć, że rozrywka to rozrywka, ale prawdziwe życie nie powinno być zabawne, a przynajmniej nie aż tak?

– Dokładnie tak. Nie jesteś tak zupełnie pozbawiona poczucia wartości. To właśnie mówię ludziom, kiedy bronię ciebie. Twierdzą, że Daisy Valensky jest niczym innym jak tylko ciężko pracującą pszczołą, która nigdy nie pozwala sobie na zabawę, a ja cię bronię. Mówię, że z tego co wiedzą, nie mogą mieć pewności, że nie korzystasz gdzieś z rozrywki... nie powinni sądzić po pozorach.

– Ty naprawdę jesteś gównem, North – powiedziała Daisy wesołym głosem.

– Wiedziałem, że tak naprawdę mnie nie cierpisz.

– Dlaczego mnie nie zwolnisz? – zasugerowała Daisy.

– Jestem zbyt leniwy. A poza tym jestem gównem pewnego rodzaju. To znaczy nie jestem takim waszym zwykłym prostakiem życzliwego usposobienia.

– Nie jesteś nawet zwykłym prostakiem złego usposobienia.

– Prowokowanie mnie nic ci nie da... Radziłaś zachowywać się filozoficznie,

- Czy mogę wejść? – zapytał North.
- Nie, ale możesz zadzwonić.
- Ale powiedziałem: „Czy mogę wejść?” – powtórzył North.
- Och, tak, dobrze, w takim razie zadzwoń koniecznie.

Zniecierpliwiony, wsunął palec pod jej brodę i uniół jej głowę ku sobie, ale opuściła powieki i nadal unikała jego wzroku. – Telefony strajkują, więc jak mam do ciebie zadzwonić? – zapytał North.

– Fakt. Ale mógłbyś zapukać do moich drzwi – powiedziała Daisy, próbując zyskać na czasie.

- Powiedziałem „Czy mogę wejść”? – znowu powtórzył North.
- Dlaczego?

– Ponieważ... – Jego twarz straciła zwykłą ostrość w przyćmionym świetle korytarza. Jego postawa pozostała zuchwała, jego twardość nadal objawiała się w ułożeniu ramion, ale znana aura nieposkromionego uporu Northa, jego gotowości do walki, złagodniała, jakby światło księżyca zaczęło ją rozpraszać.

– Och, cóż... w takim razie... myślę, że tak – powiedziała Daisy otwierając kluczem drzwi.

- To rozsądne – zapewnił ją.
- Rozsądne?
- Przestać kwestionować wszystko co powiem.
- Przestań mówić mi, co mam robić – postawiła się Daisy.
- Dobrze. – North wziął ją w ramiona i pochylił się do jej warg. – Od tej chwili

będę ci rozkazywał.

– Po czym poznam różnicę? – zapytała w panice Daisy, odchylając się od niego.

- Jakoś ją poznasz.
- Czekaj!
- Dlaczego?
- Nie jestem pewna czy to dobry pomysł.

– To ja jestem od pomysłów... i jest to naturalne. – Podniósł ją i zaniósł do łoża, tak szerokiego jak barka. – Ty, Daisy, jesteś od szczegółów... ja zaangażuję się w większe, twórcze wysiłki. – Pocałował ją trzymając jej głowę w obu rękach.

– North? – powiedziała podciągając się na poduszkach.

– Tak? – odpowiedział zajęty delikatnym zdejmowaniem kryształowych ramiączek z jej ramion.

- Czy to błąd?

– Nie, nie przypuszczam, ale najpierw musimy to zrobić, żeby się przekonać...
och, nigdy mi nie powiedziałaś, że jesteś taka smaczna.

– Nigdy nie pytałeś.

– Mój błąd.

W jego głosie brzmiała groza kiedy wymamrotał: – Gdzie ty się chowałaś przez te wszystkie lata? – Takiego tonu Daisy jeszcze nigdy nie słyszała u tego człowieka, którego dosadne, krótkie polecenia działały jak bicz wprawiający ją w ruch. North, który zawsze wyrzucał z siebie tylko wojownicze instrukcje, dotknął czubków jej piersi tak delikatnie, z taką czcią jak archeolog, zaskoczony i wzruszony odkryciem od dawna pogrzebanej statui Wenus. Światło odbijające się w Grand Canal łagodziło jego ostre rysy i na pół zamkniętymi oczami usiłowała się dopatrzeć szorstkości i tłumionego ognia, z których go znała. Ale wydawało się, że wszystkie ostre kandy uległy wygładzeniu, a on sam zmienił się w czułego, uśmiechniętego, nieznanego jej kochanka, który pokrywał ją długimi, słodkimi, wręcz troskliwymi pocałunkami, a jednocześnie przesunął ręce w dół, ku jej talii i objął nimi ciepłe, subtelne zaokrąglenie w miejscu gdzie zaczynały się jej uda. Przyciągnął ją bliżej i leżeli twarzą przy twarzy.

– Mogę? – wyszeptał i poczekał aż przytaknie, nim zaczął ją rozbierać. Potem zdjął wszystko z siebie i stał patrząc na nią z uśmiechem objawienia na ustach, a jego nagie ciało było ładniejsze niż mogła się spodziewać... Nagle pojęła, że widywała je w wyobraźni, być może już od dnia kiedy pierwszy raz go spotkała.

Pod wpływem podniecenia tym odkryciem przyciągnęła go do siebie i w końcu ośmieliła się pocałować jego spiczasty nos, oczy, uszy, policzki, wszystkie te miejsca, które od lat tak niespokojnie obserwowała próbując przewidzieć jego rozkazy i usiłując dotrzymać jego oszalałego tempa, zawsze napięta w gotowości dostarczenia tego, o co mógłby poprosić. I nagle – poprzez nagość – stali się sobie równi, a pod jej wargami było tylko ciepło i nowa, tak jej droga, bliskość. Przeżywając pospieszną, niesamowitą przyjemność, Daisy pomyślała, on mnie lubi, a próbuje mnie, traktuje po ludzku, chyba go jednak obchodzę. Zaskakując samą siebie, rozłożyła ramiona i objęła go za szyję, przytulając się mocno, najmocniej jak mogła, usiłując zatrzymać go w uścisku, aby tylko nie zmienił się znowu w Northa jakiego znała do tej pory. Minuta po minucie zaczynała wierzyć, że ten nowy kochanek nie zniknie.

Wyczuwając, że Daisy powoli wyzbywa się lęków i zahamowań, North zaczął ją pieścić bardziej zdecydowanie i bardziej natarczywie. Pozwolił sobie na uczenie się jej ciała centymetr za centymetrem, a ponieważ przez dłuższą chwilę nie

zauważył ani śladu protestu, rozsunał jej zapraszające uda. Ale nim wszedł w nią, ponownie zapytał szeptem: – Mogę? – Tak, tak, tak.

– Nadal żadnej zmiany? – North zapytał portiera w hallu.

– Nie, signor, przykro mi, ale nic się nie dzieje, podobno te strajki nie kończą się tak szybko jak się zaczynają. Jednakże nie zdarza się to często... taki poważny strajk, zapewniam pana.

– Cóż, takie jest życie w świecie rozrywki. – North uśmiechnął się z odprężeniem widocznym w całym szczupłym ciele. – Czy zauważyliście dokąd poszła pani Valensky? Nie ma jej w pokoju.

– Ach, principessa, tak, przed chwilą wyszła, signor. Powiedziała, że musi zapłacić chłopcu w łodzi. Przynajmniej wydaje mi się, że to powiedziała. Może był to jakiś cygański chłopak. Tak czy inaczej, zaproponowałem, że zrobię to za nią, ale uparła się.

– Mój Boże! – usta Northa zadrgały od śmiechu. – Ona naprawdę kazała mu czekać... powinienem był się domyślić.

– Signor?

– Nic. Pójdę jej poszukać. – Szybko ruszył do wyjścia i wpadł na Daisy, która właśnie wracała.

– Chyba nie próbowałaś uciec, co? – zapytał.

– Odciełam tylko nasze ostatnie połączenie z cywilizacją.

– Zaspałem – poinformował ją.

– Zauważyłam. Bardzo ciekawie wyglądasz jak śpisz. Jesteś zupełnie inny niż kiedy nie śpisz.

– Jak wyglądam? – zapytał ostrożnie.

– To raczej jak nie wyglądasz... bez niepokoju, bez wojowniczości, bez wybuchowości, bez gniewu i furii, bez zabezpieczenia przed ciosami, bez...

– Wykorzystujesz mnie – powiedział, próbując jej przerwać.

– Och, mam nadzieję! Zawsze tego chciałam... było to jedno z pragnień mojego serca. W takich przypadkach przekonałam się, że zawsze lepiej jest zbudzić się wcześniej.

– A ile ty wiesz o tego rodzaju przypadkach? – szepnął.

– O wiele za mało cię znam, żeby ci to powiedzieć – odpowiedziała wesoło, jednocześnie uśmiechając się do niego, z zuchwałym błyskiem w oczach. Chwycił ją za kark, ku dyskretnej radości personelu w hallu i pociągnął do okna.

– Niech ci się przyjrzę, do cholery. Jak mam zajrzeć ci w oczy, skoro są tak czarne?

– Pewnie nie możesz – powiedziała triumfalnie, a jej ciemnozłote brwi ułożyły się w prostą linię. – Ale jeśli chodzi o ciebie, ty biedny, przezroczysty, rudogłowy, niebieskooki człowieku, mogę zajrzeć do twojego mózgu, i to aż na wylot!

– Gówno prawda. Nikt nie ma wglądu do mojego mózgu.

– Chcesz się założyć?

– Nie przed śniadaniem – powiedział pospiesznie. – A w ogóle, to nie masz czegoś ciekawszego do zajęcia myśli? Czy zdajesz sobie sprawę, że nic jeszcze nie widziałaś, poza barem Harry'ego?

– I sufitem w pokoju numer piętnaście Gritti Palace... w półmroku – dodała ze wspominającym uśmiechem, który sprawił, że znów nią potrząsnął.

– Zjedźmy szybkie śniadanie i pójdźmy na spacer.

– Jestem już po śniadaniu, ale popatrzę jak tyjesz – z wdziękiem oświadczyła Daisy.

– Dlaczego mam dziwne uczucie, że masz się za mądrzejszą ode mnie? – zamruczał.

– To jest pytanie z gatunku tych, na które odpowiedzi musisz poszukać we własnej duszy – roześmiała się Daisy.

– Widzisz, znowu to robisz!

Daisy i North mieli uczucie, że struktura świata została odsunięta na bok i zastąpiona przez inny świat z przepyszny, zmatowiałym rogiem obfitości nieprzewidywalnych przyjemności, jakby przez przemijające stulecia Wenecja czekała tylko na nich. Czuli, że jakiś cud sprawił, iż zostali odarci z obronnych postaw, które składały się na charakter i zamienieni w wędrujące dzieci. Wszyscy, poczynając od sklepikarzy, a kończąc na kotach w wąskich calles, byli współsprawcami, godzącymi się na wspólne zamknięcie w tym skierowanym ku morzu relikcie, w tym najbardziej uczuciowym ze wszystkich miast świata. Ich poczucie życia, silne, gorąckrwiste i pełne optymizmu, nigdy jeszcze nie skupiało się na każdym poszczególnym momencie, jak w tym hojnie ofiarowanym świecie, w którym znane pojęcia czasu, przestrzeni i światła zostały rozmyte przez cierpliwe czary wieków i zmienione w coś lepszego, niż wszystko, co oboje do tej pory znali.

Ciemny kościół, niespodziewanie rozświetlony przez arcydzieło, wiklinowy stolik w kawiarni, wygięty w łuk mostek nad kanałem, szczekający pies, różowo-pomarańczowo-lawendowe fasady spłowiałych, nadal królewskich palazzos, rytmiczny dźwięk dzwonów w Campanille o zmierzchu, hamburger w barze Florentine, walce wiedeńskie grane u Quadriego, czy rzut oka na podwórkowy

ogródek, w którym wyrosnięte róże nadal kwitły w Campo San Barnaba, wszystko to zmieszane było razem w jeden błogi sen, podczas gdy oni chodzili, jedli, rozmawiali i kochali się, budząc się każdego ranka z lękiem, że strajk może się skończyć, lękiem natychmiast usuwanym przez widok Grand Canale, na którym widoczne były tylko prywatne łodzie i barki handlowe.

Sypianie z Northern wreszcie nauczyło Daisy, co to znaczy pożądać mężczyzny i być przez niego fizycznie zaspokojoną. Ale wieczór po wieczorze, pijana od przyjemności, zdawała sobie sprawę, że nadal ma jakieś opory, których on wydawał się nie być świadom. To coś, zamknięte w jej sercu jak w klatce, błagające o uwolnienie, to coś co tęskniło za prawdziwą wolnością, pełniejszą niż fizyczna, ciągle w niej tkwiło, napięte i nieugięte, nawet wówczas gdy byli sobie najbliżsi. Boleśnie pragnęła, aby to – cokolwiek to było – wybuchło w niej płomieniem, a jednak trwało solidnie zamknięte za kratami jej rezerwy. Wiedziała, że North dla niej zmienił swą kłótniawą, trudną i gwałtowną powierzchowność i przynosił jej chwile żaru, ale jak bardzo by się starał, jednak znała go takim jak zawsze, jako przeciwnika, w tej chwili kochanego, ale przeciwnika, nawet podczas tych dni jakby wyrzeźbionych w czasie.

Czy to zasadniczy charakter Northa, jego zasadnicza odrębność nie pozwalały mu poczuć pełnego scalenia z drugą osobą, na którym jej tak zależało? Zadawała sobie pytanie co takiego było w nim – czy też może w niej samej – co nie pozwalało jej poddać się absolutnej intymności. Może tak jak ona czuła się oszustką, kiedy traktowano ją jak księżniczkę, tak samo oboje byli oszustami traktując się jak kochankowie? A może – tłumaczyła sobie – było jeszcze za wcześnie, może za szybko wykonali ten skok od wieloletnich roboczych stosunków do stania się parą kochanków, zaledwie po paru godzinach niespodziewanego flirtu.

Daisy była zaniepokojona czymś niedefiniowalnym w nowym sposobie, w jaki zachowywali się wobec siebie, czymś, co wydawało się być iluzoryczne, przejściowe, czymś co mogło zostać zniszczone przez jakieś mało istotne zdarzenie. Zapadając pomału w sen pomyślała, że być może zawsze tak jest na początku. Może rozwinie się to w coś więcej później. Ale jeśli nie było już niczego więcej, czy to powinno wystarczyć?

W trakcie mijających dni Daisy czuła się niczym łąka kwiatów w letnie popołudnie, brzęcząca i bucząca nieustannym, radosnym szczęściem. Zastanawiała się co tworzyli razem z Northern. Czy było to po prostu kilka dni w innym wymiarze czasu? Tak dobrze znała jego ruchy w dowodzeniu, jego czujność, znała

jego ulubione słowa i powiedzenia, jego gesty i miny. Teraz знаła go jako pierwszego mężczyznę, który nauczył jej ciała prawdziwej zmysłowości. Ale co wiedzieli o sobie na poważniejszym poziomie, poziomie głębokiego i trwałego związku? Czy on chciał to wiedzieć? Czy ona chciała?

W ich rozmowach była jakaś aluzja oczekiwań, niespokojnego wyczekiwania, jak podczas pogawędki przed uniesieniem kurtyny w teatrze. Ale nie miała wątpliwości, że nie nadszedł jeszcze czas na zwierzenie się z jej starannie ukrywanych sekretów... może nadejdzie jutro, może pojutrze... a może nigdy. Może nie miało wyjść z tego to, za czym tak tęskniła, może przeznaczeniem jej sekretów było pozostać w ukryciu... nie wiedziała. Nie była w stanie tego ocenić, a obecne radosne przeżycia uniemożliwiały jej poświęcenie temu tematowi więcej niż jednej lub dwóch myśli przed zaśnięciem.

Zawsze wydawało się, w ich prywatnej pogodzie, że właśnie był pierwszy najpiękniejszy dzień wiosny, ten dzień, w którym ludzie w końcu zdają sobie sprawę, że to naprawdę jest już wiosna, albo też dzień tuż przedtem nim powiedzą z westchnieniem, „Och, to już lato”. Przeżywali idyllę drżącą na krawędzi przekształcenia się w... Daisy nie potrafiła dokończyć myśli, tak jak nie mogła się nią podzielić z Northern. Kruchość, przelotność zmysłowości, stała się dla niej jasna w momencie kiedy pierwszy raz ją przeżyła.

W ciągu tego tygodnia przydarzyły jej się też liczne harmonie urody. Wenecja inspirowała ją do dorównania swojemu czarowi, do włożenia sukienki Normana Hartnella, zaprojektowanej w końcu lat dwudziestych, której nigdy nie ośmieliła się włożyć w Nowym Jorku, „malowniczej szaty”, jak ją nazwano, różowego, szyfonowego stanika pod narzutą orchideowej tafty i spódnicy z jasnoniebieskiej tafty z brzegiem bogato zdobionym ręcznie malowanymi kwiatami. W ciągu dnia, chodząc w marynarskich spodniach i koszulach rugby, obciążała ręce prymitywnymi bransoletkami, kupowanymi za trzy dolary, ale wieczorem miała kwiaty wplecione we włosy.

Kiedy słońce, niezmiennie odbite od wody, przyciemniało piegi Northa i czyniło jego niebieskie oczy jeszcze bardziej niebieskimi, nadawało ciepłemu kolorowi skóry Daisy miedziowego zabarwienia i połysku, który tak mocno kontrastował z jej włosami, że ludzie otwarcie pokazywali ją sobie palcami na ulicy.

Chociaż Daisy i North zjadali lunch w jakiegokolwiek tratterii, jaką spotkali podczas zwiedzania, na kolację zawsze szli do baru Harry'ego, który zmienia się w zaprzyjaźniony klub dla każdego kto odwiedzi go dwukrotnie. Bywali tam,

oczywiście, inni turyści, ale znacznie więcej było weneccjan, którzy od roku 1931 wpadali do Harry'ego przynajmniej raz dziennie, aby dowiedzieć się, co słyhać w świecie, którym dla nich była, po prostu i wyłącznie, Wenecja. Weneccjanie, którzy opanowali chłodną, lakierowaną elegancję należącą do starożytnych pokoleń i nauczyli się, że wszystko powinno być traktowane powierzchownie.

Pewnego wieczoru, tydzień po przyjeździe, Daisy wysypała sól na różowy obrus. Oboje z Northern sięgnęli i jednocześnie rzucili szczyptę przez ramię.

– Zdajesz sobie sprawę, że to przesąd? – zapytał North.

– Oczywiście. Wcale nie jest powiedziane, że coś złego musi się zdarzyć, jeśli się tego nie robi. – Oboje automatycznie postukali w drewniane krzesła.

– Czysty atawizm – zapewnił ją North.

– Prymitywny rytuał – zgodziła się Daisy.

– Jeśli nie ma pod ręką drewna, możesz postukać się w głowę... też się liczy – zaproponował. – Lub skorzystać z mojej.

– Och, wiem. Ale nie wolno czekać dłużej niż trzy sekundy.

– Przechodzę pod drabinami – powiedział North tonem kogoś, kto wie znacznie więcej, niż jest skłonny przyznać.

– Wolę nawet nie myśleć o rozbitych lustrach – licytowała się Daisy. – Ani o kapeluszach na łózkach czy gwizdaniu w garderobie, czy czarnych kotach.

– Tylko sól i drewno? – zapytał sceptycznie.

– I życzenie na widok spadającej gwiazdy. Można wypowiadać też życzenia przy księżycu w nowiu, ale tylko jeżeli ujrzy się go przez lewe ramię, nie planując tego.

– Nie wiedziałem o tym.

– To jedno z najważniejszych. – Daisy wyjaśniła tonem wyrażającym znajomość rzeczy, owijając palec łokiem jego rudych włosów. – Liczą się też życzenia wypowiedziane na widok samolotu, jeśli myślisz, że to gwiazda, ale pod warunkiem, że jesteś w samochodzie poruszającym się w tym samym kierunku, co samolot.

– Zapamiętam to – powiedział North, a w jego głosie brzmiała skrucha, nostalgia opadających liści, smutny, jesienny ton, który nie pojawił się nigdy przedtem.

– Coś jest nie tak? – zapytała.

– Absolutnie nic. Wszystko jest w idealnym porządku.

– Tak.. . wiem co masz na myśli. – Daisy była zatroskana. – Na tym polega problem.

* * *

– Następnego ranka, kiedy jeszcze spali, zadzwonił telefon na nocnej szafce.

– Chyba nie zamawiałaś budzenia, kochanie, co? – Nort wymamrotał z dezorientacją po kilku dzwonekach, które wyrwały oboje ze snu.

– Nie, nie – westchnęła Daisy, sięgając z gniewną rezygnacją po słuchawkę.

– Nie odbieraj! – mocno przycisnął jej dłoń ręką.

– North... wiesz, co to musi oznaczać – Daisy powiedziała niecierpliwie.

– Zostaw! Możemy mieć jeszcze jeden dzień. – Dokładnie wsłuchiwała się w jego głos, rozdarta między potrzebą odcięcia się od świata i natychmiastową, nieuchronną reakcją na nieustające dzwonienie telefonu. Daisy dokonała oceny tego, co usłyszała i podniosła słuchawkę, uśmiechając się do niego z miłością, żalem i zrozumieniem, tak mieszanymi, że zawisły chmurą nad jej uczuciami, tak gorzko-słodką, że głos jej zadrżał.

– Cześć, Arnie. Nie, nie, nie zbudziłeś mnie... i tak musiałam odebrać telefon.

Rozdział 19

Ram doszedł do wniosku po długich rozważaniach, że Sarah Fane była jednocześnie czymś więcej i czymś mniej niż spodziewał się, kiedy pierwszy raz postanowił sprawdzić ją jako kandydatkę na żonę, kilka miesięcy wcześniej, wczesną wiosną 1976 roku. Zadowalała go raczej bardziej niż powinna mieć do tego prawo, ponieważ nie spełniała wszystkich jego wymagań, jakie stawiał żonie. To prawda, że otrzymała najstaranniejsze wychowanie i przyzwyczajona była trzymać się dzielnie jako debiutantka w wielkim świecie jaki znała, a jaki manifestował się polowaniami, łowieniem ryb i strzelaniem na wsi. Pod tym względem znajdował ją bez zarzutu, ani zbyt doświadczoną, ani zbyt prowincjonalną. A jednak, wedle kalkulacji Rama, wedle jakiegokolwiek rozsądnej analizy tego czego każda kobieta, nie mówiąc już o młodej dziewczynie, mogła spodziewać się po zainteresowaniu tak znakomitego kawalera jakim był on, powinna być przygotowana na to, „by go czcić, czego Miss Fane, Czcigodna Miss Fane nie robiła. Przynajmniej nie w sposób zauważalny.

Była flirciarką. Cholernie twardą, zimną, wyrachowaną flirciarką. I była pięknnością, cholerną twardą, zimną, zachwycającą blond pięknnością z rodzaju, jaki zawsze zwany był „Angielska Róża”, rodzaju, którego nieskazitelna perfekcja rysów, którego delikatna różowo-biała cera, którego czarujące usta i szczerze oczy zmusiły wielu mężczyzn do przeklęcia fałszu słodkiej powierzchowności, pod którą krył się temperament i wola godne królowej Wiktorii. Ram zastanawiał się, jak mógł przypuszczać, że Sarah Fane zamierzała nie brać udziału w wydarzeniach sezonu. Miała zamiar być na wszystkich, nie tylko na balu urodzinowym królowej Charlotty, na który włożyła długą białą suknię i długie białe rękawiczki, ale także na przyjęciach w Royal Ascot i w Henley. Była zaproszona na każdą prywatną potańcówkę, jaka miała miejsce od maja do lipca. Po zakończeniu sezonu tańców planowała wyjazd do Goodwood na Tydzień Wyścigów, do Cowes na Regaty i do Dublina na Międzynarodowy Pokaz Koni. Kiedy Ram zauważył, że Regaty w Cowes i pokaz w Dublinie przez kilka dni odbywać się będą jednocześnie, uśmiechnęła się tylko ślicznie i wyjaśniła, że miała zamiar uczestniczyć w trzech czwartych każdego z tych wydarzeń, wyjeżdżając z Isle of Wight do Irlandii tuż po balu Royal Yacht Squadron. – Szkoda byłoby ominąć Dublin, Ram, teraz kiedy rodzice wreszcie przyznali, że jestem na tyle dorosła, że mogę jechać – powiedziała z czarującym uśmiechem, o którym Ram chętnie powiedziałby, że był

wyćwiczony; uśmiechem, który, musiał przyznać, był zarówno niewinny, jak i nie rozpieszczony. Jej uroda należała do rodzaju, który nigdy nie zmienia się w zwykłą dekoracyjność, wręcz przeciwnie, z wiekiem staje się wielce dystyngowany... i ona wiedziała o tym.

Sarah Fane minione trzy lata spędziła w Villa Brillantmont, szkole podyplomowej w Lozannie, która nadal zapewnia szybko zanikającej mniejszości dziewcząt z wyższych sfer świetne wykształcenie, doskonałą znajomość francuskiego i przyjaciół wybranych spośród najbogatszych rodów na całym świecie. Jeśli chodziło o Rama, był po prostu rodzajem kwarantanny, która chroniła Sarę od przesadnego zaprezentowania się Londynowi.

Brillantmont potwierdziła opinię Sary, że dziewczęta dzielą się na dwie kategorie: te, które chciały wyrwać się ze szkoły i znaleźć Podniecającą, świetną pracę i te, którym zależało wyłącznie na uwolnieniu się od przyzwoitek i przeżyciu przyprawiającej o zawrót głowy romantycznej przygody. Uważała, że obie te kategorie były równie zwodnicze. Jednakże zachwycona była faktem, że nie rozumiały tak jasno jak ona, że pierwszym krokiem w jakimkolwiek przyszłym życiu było odpowiednie małżeństwo. Dla jednych było to zaledwie małżeństwo do przyjęcia, dla innych dobre małżeństwo. Myśląc o sobie rozważała wyłącznie wyjątkowe małżeństwo, nawet jeśli wziąć pod uwagę, że każdego roku zawierano zaledwie kilka wyjątkowych małżeństw. Podliczyła swoje zalety, bez fałszywej skromności i doszła do wniosku, że zasługuje na najlepsze.

Sarah Fane gardziła stosunkową biedą stopniowo obejmującą angielskie wyższe warstwy. Czuli się osobiście urażona faktem, iż urodziła się w społeczeństwie, które dosłownie przeszło bezkrwawą rewolucję, społeczeństwie socjalistycznym, które nazywało się monarchią.

Ale, mówiła sobie, nie było sensu czuć się rozdrażnioną. Lata siedemdziesiąte nie znikną tylko dlatego, że znajdowała je ohydny. Trik polegał na ominięciu ich, ucieczce od nich, na zapewnieniu sobie życia, które byłoby możliwie najbliższe życiu jakie powinna prowadzić, zgodnie ze swoim urodzeniem.

Sarah uważnie śledziła z Brillantmont wydarzenia każdego sezonu londyńskiego, czekając na nadejście jej roku. Doszła do wniosku, że najlepsze małżeństwa zawierały dziewczyny, które pokazywały się po raz pierwszy, kiedy były jeszcze nowością. Wyrażenie „podebiutantka” przyprawiało ją o atak rewulsji... czy mogło być coś bardziej odrażającego? Trafienie w moment. Tajemnica polegała na trafieniu w moment, pomyślała siedząc przy swoim biurku i przeglądając listę gości zaproszonych na jej bal. Odłożyła pióro i zaczęła liczyć

miesiące. Miała całą wiosnę i lato 1976 roku łącznie z wrześniem, jeśli pojedzie na północ na wspaniałe szkockie bale i oczywiście do Londynu na mały sezon, który trwał niemal aż do Bożego Narodzenia. Później następował gremialny wyjazd na wieś. Z nadejściem wiosny roku 1977 główne zainteresowanie zaczęło skupiać się na nowym pokoleniu dziewcząt. Czyli zostawało jej po prostu dziewięć lub dziesięć miesięcy najświetniejszego okresu jej panowania jako debutantki.

Ten coraz rzadszy i wykretny gatunek, angielscy kawalerowie do wzięcia, z ogromnym majątkiem i solidnym pochodzeniem, często czekali, nawet już po czterdziestce, nim dali się zaprowadzić przed ołtarz. Niektórzy, zbyt wielu, nie żenili się w ogóle. Nie byli głupcami, pomyślała, zaciskając w chwilowym grymasie delikatne, różowe usta na nieskazitelnych zębach. Nigdy nie tracili stylu: mężczyzna mógł mieć sześćdziesiąt pięć lat, być brzydki, złego charakteru i nudny, ale nadal był gratką, jeśli tylko miał odpowiednią pozycję w świecie. Jeśli chodziło o kawalerów, których uważano za wyjątkowych głównie dlatego, że byli czyimiś spadkobiercami, dla niej się nie nadawali, ponieważ utrzymywali się, i to był fakt, z czeków bez pokrycia i żyli nadziejami. Nie pociągali jej również właściciele starożytnych nazwisk, którzy łączyli się w syndykaty, aby otworzyć błyskotliwe restauracje lub dyskoteki. Młody lord jako zarządca knajpy robił na niej wrażenie perspektywy nie do przyjęcia, tak zły jak ci, którzy z powodów finansowych zostawali fotografami lub producentami filmowymi i udawali, że był to tylko kapryśny żart. W jej oczach poważnie redukowało to ich wartość, nawet jeśli odnosili sukces na skalę światową. Nie byłaby również szczęśliwa jako gospodyni wielkiego domu, pozwalająca publice przychodzić i zwiedzać go, mając na głowie jedynie sprawy typu naprawy dachu. To była zabawa dla naiwnych. Po co być markizą, jeśli jest się zdaną tylko na uboczne atrakcje?

Odsuwając listę na bok Sarah zadawała sobie pytanie, co myśli o Ramie Valenskym. Od czasu kiedy wprosił się na wizytę podczas weekendu, okazywał pewne oznaki pojawiającego się przywiązania, ale nie były one wystarczające, aby mogła uważać go za zdeklarowanego konkurenta. Od siedmiu lub ośmiu lat należał do najatrakcyjniejszych kawalerów w całym kraju, ale do tej pory bez trudu unikał schwycenia. Był z pewnością przystojny, na swój stalowy, smukły, arystokratyczny sposób, z inteligentnymi, szarymi oczami, które patrzyły na nią z przenikliwym zainteresowaniem, ale i z chłodną aprobatą.

Nie mogła powstrzymać się przed uczuciem przyjemności, kiedy widziała samą siebie, z całą swoją nieskazitelną urodą, odbijającą się w wyrazie wyważonej aprobaty na jego ciemnej, orlej twarzy. Wyróżniał się jeszcze jedną poważną

zaletą: podzielała jego sposób podejścia do życia. On też chciał wykorzystać do maksimum to, co pozostało jeszcze ludziom ich rodzaju. Podobał jej się sposób, w jaki trzymał dubeltówkę, leniwie, pod czujnym kątem, ani nie za nerwowo, ani niezbyt obojętnie. Tańczył niezle, jak na człowieka, który nie lubi tańczyć i świetnie jeździł konno. I był prawdziwym gentlemanem. Nie miał, oczywiście, poczucia humoru, ale na dłużej łatwiej było dać sobie radę z ludźmi pozbawionymi poczucia humoru. Sarah Fane miała niewiele wyrozumiałości dla humoru, którego sama nie potrzebowała.

Z czysto obiektywnego punktu widzenia, a Sarah Fane była wyjątkowo obiektywna, istniało jeszcze bardzo wiele innych pozytywnych rzeczy dotyczących Rama. Był w idealnym wieku: mając trzydzieści dwa lata był gotów do życia rodzinnego. Na podstawie mruknięć ojca i różnych luźnych uwag oceniała, że jego majątek, wielkość którego była często tematem spekulacji i plotek, musi być raczej solidny. Sarah miała szacunek dla zmysłu pieniężnego ojca, a był on tak dobrze poinformowany o sytuacji finansowej Rama, jak tylko było to możliwe, ponieważ prowadzili sporo wspólnych interesów. Jej matka była rodzinnym ekspertem w dziedzinie genealogii i sugerowała, w swój ogólny, ale elokwentny sposób, że Valensky, choć ma obcojęzyczne nazwisko, był całkiem niezłego urodzenia, zwłaszcza że należał do tej części rodziny, która nosiła nazwisko Woodhill. Może nieco ortodoksyjny, ale nie do pogardzenia i w końcu nie należy wybrzydzać, zwłaszcza że jego ojciec, Staś Valensky, latał z jej ojcem podczas wojny. Jej matka nie mogłaby wyrazić większej aprobaty, gdyby mówiła o następcy tronu. Co więcej, znana była z wątpliwości nawet co do House of Windsor, kiedy wpadała w genealogiczną pasję. I świetnie się składało, że jego ojciec nie żył. W przypadku Rama człowiek dokładnie wiedział na czym stoi, jeśli chodziło o szacunek i obowiązki wobec zmarłych, podczas gdy wielu innych potencjalnych kandydatów nie potrafiło się od nich uwolnić.

Nie wiedziała nic o jego zmysłowości, pomyślała z roztargnieniem. Sprawę zmysłowości zawsze odkładała na nieokreślony czas w przyszłości. Obawiała się mocy zmysłowości i szanowała ją myśląc o niej, jak o bezcennej monecie w grze zwanej życiem, którą nie należało grać, chyba że miało się pewność, iż jest to ostatnia moneta jaką należy wydać, aby zapewnić sobie przyszłość. Zmysłowość, niewłaściwie traktowana, była wyraźnie odpowiedzialna za nieudane małżeństwa. Dzięki Bogu ona nie miała problemu ze zmysłowością, i to nigdy. Jej zdaniem niekontrolowana zmysłowość była dla ludzi, którzy nie mogli pozwolić sobie na luksusy.

Ram Valensky jest chyba najlepszym celem, zdecydowała Sarah Fane. Jej i każdej innej dziewczyny, która miała nadzieję wyjść tak dobrze za mąż, jak ona zamierzała. Ale daleko mu było do wystawionej na strzał kaczki. Zachowywał się raczej jak natarczywie ciekawy, biorący miarę orzeł. Pomyślawszy o tym postanowiła nie prosić go o towarzyszenie jej na bal urodzinowy królowej Charlotty. Wiedziała, że spodziewa się, iż zostanie o to poproszony, tak jak był zapraszany rok po roku przez inne mające nadzieję dziewczyny. Cudownie szczerzy wyraz wymalował się na jej czystych rysach i rozświetlił jej śliczne, czyste, niebieskie oczy, kiedy wyobrażała sobie reakcję Rama na wiadomość, że zostanie wykluczony z pierwszego ważnego wydarzenia roku. Był to najlepszy pomysł, na jaki wpadła tego ranka, powiedziała sobie i powróciła do listy z odnowionym zapalem.

Niechętnie, dobrze ukrywając oburzenie, Ram zaczynał szanować Sarę Fane. Miał podejrzenia co do każdego jej ruchu, ale nic co zrobiła czy powiedziała nie zdradzało lodowcowo-twardej kalkulacji jej ruchów.

Jej zachowanie wobec niego było godne podziwu. Zamiast wzruszenia i wdzięczenia się, jakiego miał prawo spodziewać się po młodej i niedoświadczonej dziewczynie, na którą zwrócił uwagę człowiek jego postury i powabu, ona prezentowała niezachwiany obraz spokojnego, słonecznego czaru. Traktowała go prawie, choć nie całkiem, jak przyjaciela ojca, młodszego niż inni, ale mimo to nie nadzwyczajnie interesującego dla niej. Podziękowała mu za kwiaty na karcie dziękczynnej, dając do zrozumienia, że z pewnością nie były jedynymi kwiatami jakie otrzymała tego dnia, a jednak jej podziękowania nie ograniczały się do banału. Pozwalała mu zabierać się do teatru i do restauracji prawie tak często, jak poprosił, jednak zawsze spotykali inne pary, więc nigdy nie mógł być z nią sam. „Ależ, Ram, mój drogi, zawsze tak jest w czasie sezonu... przecież wiesz o tym” – delikatnie zrobiła mu wymówkę na osobności, kiedy zaprotestował, że niespecjalnie lubi być częścią wszechobecnego tłumu. Od tej pory przyjmował młode towarzystwo, jakim się otaczała, bez najmniejszego objawu zniecierpliwienia. Znam tę jej grę, myślał, kiedy droczyła się z jakimś młodym człowiekiem przy pomocy swego klasycznego uśmiechu lub przepysznego odymania ust, ale po jakimś czasie zaczął mieć coraz więcej wątpliwości co do tego, czy naprawdę ją znał. Ram zdecydował, że mądrzej będzie pokazywać się także z innymi młodymi kobietami: było wiele takich, które zapraszał i którym towarzyszył podczas miesięcy sezonu i traktował je z taką samą, dokładnie taką

samą, ostrożnością, powściągliwą, lordowską wykwinnością, z jaką traktował zawsze Sarę.

Czcigodna Sarah Fane miała cudowny sezon. Wszystkie magazyny i gazety zgadzały się, że była jedną z najpiękniejszych debiutantek roku, a jej nazwisko wymieniane było jako ewentualnej panny młodej dla księcia Charlesa, pomimo faktu, iż traktował ją bez większego, choć i bez mniejszego zainteresowania niż inne młode panny. Ale poszukiwanie panny młodej dla księcia Charlesa było niezmiennym, narodowym sposobem spędzania czasu. Minał kwiecień i maj, nadszedł czerwiec, nie przynosząc najmniejszej zmiany w wesołej, pogodnej postawie Sary, która w dalszym ciągu bawiła na kolejnych przyjęciach i potańcówkach, zawsze nienagannie ubrana w rzeczy, które wybierane były tak, aby podkreślić jej różowo-białą piękność. Zamiast pastelów, które były niemal obowiązkowe dla debiutantek, ona skłaniała się ku głębokiemu, przykurzonemu błękitowi i bogatej szmaragdowej zieleni. Nosila ostro wykrojone, ale niezbyt wyrafinowane sukienki, nad którymi jej białe ramiona lśniły ze szczególnym wdziękiem. Nigdy nie rozmawiała z Ramem o nie kończących się przyjęciach, na jakie była zapraszana, chyba że, od czasu do czasu prosiła go, aby z nią poszedł. Jej uprzejma powściągliwość była znacznie bardziej rozwścieczająca, niż mogłaby być największa nawet doza informacji. Czekał, kiedy się pochwali, ale czekał na próżno. Czekał, że zrobi jakąś wzmiankę na temat innych dziewcząt, z którymi się spotykał, ale znowu czekał na darmo. Była groźnym przeciwnikiem, przyznał w końcu przed samym sobą. Wolałby znaleźć sobie żonę, która nie byłaby aż tak pewna siebie, a jednak pochlebiało mu kiedy myślał o wyborze, teraz już dokonanym, tak wyjątkowej młodej kobiety. Zaczynało wyglądać na rzecz nieuniknioną, że zamiast nieuformowanej dziewczyny, która natychmiast oddałaby się w jego ręce, wybrał kobietę, która znała własną wartość i postanowiła drogo się sprzedać.

Fane Hall był miejscem balu Sary, na który żywność dostarczyła czcigodna firma Searcy Tansleya. Była to kolacja połączona z tańcami pod licznymi starannie rozstawionymi namiotami, widocznymi po wszystkich stronach różowego majestatu wielkiego domu w stylu Tudorów. Pewna liczba młodych ludzi zaproszona została do spędzenia nocy w domu, a pozostali, jeśli nie wracali do Londynu, rozmieszczeni zostali w domach różnych sąsiadów. Cała ceremonia była tak skomplikowana i zaplanowana z takimi szczegółami, jak uroczystość koronacji, ale Sarah obserwowała to wszystko po prostu ze śmiechem, jakby nie miała z tym nic wspólnego. Jej bal miał być przyjęciem, jakie rzadko już wydawano w

uproszczonych, skąpych latach siedemdziesiątych, przyjęciem, które będzie przyjemnym powrotem do dawnych, dobrych czasów. Fane'owie mogli sobie na to pozwolić, myślano, i postanowili dołożyć jeszcze jedną warstwę do respektu, którego blask otaczał Sarę.

Wybrano pierwszy weekend lipca, po wszystkich egzaminach na uniwersytecie i po egzaminach wstępnych, więc bal uświęcił sam szczyt sezonu, kiedy całą angielską dobrze urodzoną młodzież zwolniono z akademickich więzień.

Sara królowała na swoim balu w pozbawionej ramiączek sukni z białego jedwabiu, przewiązanej satynowymi wstążkami pod biustem, w talii i z dodatkowymi wstążkami dwukrotnie zwięzającymi niesamowicie obfitą spódnicę, tak że opadała trzema falującymi warstwami. Na ładnej, zgrabnej głowie miała tiarę babki; na ustach ten sam uprzejmy, zadowolony, niekłamany uśmiech dla księcia i dla innej debutantki. Wokół siebie roztaczała aurę wielkiej tradycji arystokracji, bez sztywności czy zakłopotania; obnosiła się ze swoją nieskazitelną pięknnością, jakby była do niej tak przyzwyczajona, że nic nigdy nie było w stanie jej przyćmić lub osłabić. Tak jak każda debutantka była królową swego balu, ale w powietrzu było coś, co jej rządy przesunęło do królestwa legend, coś, co mówiło wszystkim obecnym, że bal Sary Fane przejdzie do historii wielkich debiutów. Tego wieczoru osiągnęła swoje szczyty, tańczyła z ponad dwustu mężczyznami, wirując i wirując, z niezmiernym wdziękiem, nigdy nie tracąc kontroli nad wydarzeniem. Ramowi udało się złapać ją tylko na chwilę czy dwie, więc spędził wieczór tańcząc z wieloma innymi dziewczętami, przyciągając przyjazną uwagę zarówno matek, jak i córek. Niemal kusilo go, żeby oświadczyć się jej tego wieczoru, ale powstrzymał się. Zdecydował, że w wieczór takiego zwycięstwa, takiego wysokiego mniemania o sobie, jego oświadczynom nie przyznano by wartości, na jaką zasługi wały. Byłoby to po prostu zbyt wiele kremu na torcie dla Sary Fane. Pozwoli jej cieszyć się udziałem w sezonie. Dobrze jej zrobi, jak podocieka jeszcze przez parę miesięcy, dlaczego nadal faworyzował ją w okazywaniu swojej uwagi, ale nic nie mówił.

– Daj mi jakiś przykład – poprosiła Kiki. Był niedzielny poranek, w mieszkaniu Luke'a, a ściślej mówiąc, w łóżku Luke'a i tak naprawdę Kiki nie chciała żadnego przykładu, chciała, aby Luke znowu ją pocałował. Luke znowu ją pocałował.

– Na przykład... – powiedział. – Jezu, nigdy nie jesteś tak pyszna jak rano, zanim umyjesz zęby... „poranne usta”, uwielbiam to! A później patrzysz w kamerę tymi swoimi dużymi oczami kotki i z lisią, skoncentrowaną zmysłowością wokół nosa i warg i poza kamerą słyszemy twój głos „Jaki mężczyzna chce całować

zapach mięty, kiedy się obudzi? Trochę Scope poprzedniego wieczoru... oto mój sekret". I wtedy całuję cię znowu i mówię, „Miam, Miam... nie śmieję wstawać z łóżka".

– Ależ to wspaniałe! Czemu nie możesz tego użyć? – zapytała Kiki. – Nawet ja mam po tym ochotę kupić Scope, więc musi to być dobry pomysł.

– To świetny pomysł, ale nigdy nie zostałyby wyświetlony. Sponsor nie życzy sobie zwierzęcej zmysłowości, sieć telewizyjna się na to nie zgodzi, a widzowie byliby zaszokowani. A poza tym to prawdopodobnie nieprawda, a w reklamie musimy starać się o prawdę.

– Chcesz przez to powiedzieć, że powinnam umyć zęby? – zapytała Kiki, zaniepokojona.

– Nie, kochana idiotko, tylko że nie każdy mężczyzna musi być dziwakiem, jeśli chodzi o poranne usta, jakim ja jestem.

– Znowu ją pocałował. – Nie można twierdzić, że Scope działa przez całą noc, a przy tym jeśli ma się parę w łóżku, jedno z nich musi cierpieć na nadkwasotę, lub na zatkane zatoki, a drugie powinno być Florence Nightingale, nie mogą być parą szczęśliwych kochanków, którzy właśnie się obudzili... Ameryka nie jest na to gotowa.

– Ale to jest prawdziwe – zaprotestowała Kiki.

– Prawdziwość nie jest powodem, dla którego kręcimy reklamy. Gdybyśmy chcieli „prawdziwe”, robilibyśmy filmy dokumentalne – wymamrotał, całując ją w pachę. – Zdaje mi się, że poranną pachę lubię jeszcze bardziej niż poranne usta.

– Daj mi jeszcze jeden przykład – zamruczała Kiki.

– Pewna kobieta mówi prosto do kamery „Nienawidzę Howarda Cosella!" Potem powtarza to następna kobieta, i następna, dopóki ekran nie podzieli się na szesnaście części, wypełniony różnymi typami kobiet, a wszystkie one mówią z rosnącą histerią; „Nienawidzę Howarda Cosella!" I wówczas słyszysz głos spikerki, spokojny kobiecy głos: „Masz dosyć poniedziałkowych wieczorów z futbolem? Wypróbuj Bufferin. On się nie zamknie, ale ty poczujesz się lepiej".

– A cóż w tym jest złego? Nie mówisz niczego nieprawdziwego.

– Nie, ale za to Howard Cosell mógłby wytoczyć sprawę, a sieć telewizyjna nie wyświetli tego podczas meczu, kiedy mogłoby być najbardziej efektywne, a żaden kibic Howarda Cosella już nigdy nie kupi Bufferinu.

– Howard Cosell ma kibiców?

– Nigdy żadnego nie spotkałem, ale pewnie ma – markotnie powiedział Luke.

– A gdybyś tak zaangażował Howarda Cosella, żeby powiedział: „Wypróbujcie

Bufferin. Ja się nie zamknę, ale ty poczujesz się lepiej"? – zaciekawiała się Kiki. – Założę się, że zrobiłby to... prawdopodobnie marzy o tym, żeby zostać rzecznikiem tak jak Don Meredith i Frank jak-mu-tam.

– Kiki – powiedział Luke niemal siadając z podniecenia. – Mysie że właśnie podkradliśmy zlecenie Bufferinu!

Tylko spokojnie – ostudziła go Kiki. – Jest niedziela, a w niedzielę nie kradnie się zleceń. – Luke z powrotem wszedł pod kołdrę i kontynuował listę swoich wymarzonych reklam.

– Mam też świetny pomysł na tampax. Bierzesz kogoś takiego jak Katharine Hepburn lub Bette Davies, osobę z autorytetem, znaną ze znajomości tematu i po prostu stawiasz ją przed kamerą, a ona mówi coś w rodzaju: „Gdyby kobiety nie miały menstruacji, ludzka rasa w ogóle by nie istniała, więc może powinniśmy przestać wstydzić się tego i zdać sobie sprawę jakie to cudowne, że kobiety mają jajniki, które co miesiąc wytwarzają jajo, a skoro tak, zastosowanie tampaxu w przypadku nie zapłodnionego jaja jest jedynym rozsądnym wyjściem, ponieważ tampax jest wygodny i świetnie spełnia zadanie. ”

– Hmmm – odezwała się Kiki.

– Tak, widzisz, nawet ty jesteś zaszokowana. Kobiety nie wspominają w telewizji o menstruacji czy jajnikach, pochwach czy innych narządach... może tylko z wyjątkiem soap operas, w których zawsze wywlekają wszystko w szpitalu... tym centrum usuwania macic... to jest największe pieprzone tabu... mimo iż w soapach swobodnie omawia się szczegóły, w reklamie można użyć najwyżej cienkiej aluzji w rodzaju „trudne dni”. Jesteśmy ostatnim bastionem ojców purytan.

– Moje biedactwo... musisz czuć się strasznie skołowany.

– Czasami, ale zwykle staram się nie myśleć o tym, co chciałbym zrobić, a za to wykonywać swoją pracę najlepiej jak umiem. Takie jest życie – odpowiedział mrukliwie.

Kiki objęła Luke'a ramionami i ścisnęła go najmocniej jak mogła.

– Posłuchaj, to coś więcej niż tylko życie, głuptasie. Nie zdajesz sobie sprawy, że bez reklamy nie byłoby żadnych gazet, pism, telewizji, wyłącznie publikacje rządowe? To właśnie reklama wspomaga przeróżne wiadomości i rozrywkę, więc nie spuszczaaj nosa na kwintę. Wykonujesz robotę, która musi być wykonana i robisz to lepiej niż ktokolwiek inny!

– Zapomniałem, że rozmawiam z urodzoną kapitalistką – zaśmiał się Luke. – Jestem tak przyzwyczajony do dziewczyn, które gardzą reklamą, że miło jest posłuchać przedstawicielki Grosse Pointe.

Kiki trzymała go mocno w objęciach i spróbowała nim potrząsać, ale okazał się za ciężki, aby mogła spowodować satysfakcjonujący ruch, więc zasyczała tylko: – Ani trochę wdzięczności. Ani trochę klasy. Ani trochę taktu. Jak można w ogóle wspominać inne dziewczyny w takiej chwili... wstaję z łóżka, Luke'u Hammerstein, ty ośle.

– Ach, nie wstawaj... przepraszam, żartowałem tylko, naprawdę.

– Chce mi się siusiu – oświadczyła hardo.

– A co powiesz na to? Piękna dziewczyna, zawsze świetnie, supennodnie ubrana, mówi: „Przepraszam, ale chce mi się siusiu”, a inna piękna dziewczyna – są na lunchu w La Grenouille – mówi: „Jaki papier toaletowy preferujesz?”, a pierwsza odpowiada: „Lady Scott, oczywiście... skoro nawet najwięksi ludzie muszą siusiać, dlaczego nie robić tego ze stylem”.

– Genialne. Myślę, że powinieneś uczyć angielskiego w Hazardzie. Masz chory umysł, Luke'u Hammerstein, chory.

– Dlatego, że wspomniałem Grosse Pointe? – zapytał złośliwie.

– Pocałuj się w dupę! – z gniewem odpowiedziała Kiki.

– Nie w twojej obecności.

– Przypuszczam, że to miał być komplement? – Była naprawdę zirytowana.

– Tak, do cholery. A teraz idź się wysiusiać, i to szybko. I przypadkiem nie myj zębów! – przeciągnął się na łóżku z leniwym zadowoleniem. Miał tylko jeden problem. Czy najpierw bułeczki, topiony serek i wędzony łosoś, a potem pieprzonko, czy też najpierw pieprzonko, a potem bułeczki? Nawet Majmonides nie byłby w stanie podjąć takiej decyzji.

– Co się dzieje, Tezeusz? – Daisy zapytała psa, drapiąc go za uszami w sposób szczególnie przez niego ulubiony. – Powiedz mi, co się dzieje?

– Gdyby mnie tu nie było – odezwała się Kiki – rozumiałabym, że musisz jego wypytywać, ale skoro jestem obecna, wspaniała i mądra, czuję się urażona.

– Myślałam, że jesteś zbyt zajęta przemalowywaniem paznokci, aby rozmawiać.

– Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. – Kiki pochyliła się nad palcami zmywając ciemnoczerwony, prawie brązowy lakier w jakim ostatnio gustowała. – Ile manicurzystek trzyma język za zębami?

– Nigdy nie byłam u manicurzystki, więc skąd mam wiedzieć? Myślałam, że być może wykonują te zabiegi w błogiej ciszy.

– Sama myjesz głowę, sama dbasz o paznokcie, nic dziwnego, że musisz prosić psa o radę – parsknęła Kiki.

– No i jak mam z tobą rozmawiać? – zapytała Daisy, nie bez racji – Jesteś tak szczęśliwa i podniecona, że nie możesz być zdolna do inteligentnego myślenia. Wszystko widzisz oczami prawdziwej miłości i nie zauważasz żadnych wypaczeń... twój zmysł percepcji jest jak pod narkozą, twoja zdolność dokonywania ocen jest sparaliżowana, pozbawiono cię wolnej woli i poruszasz się w obszarach, które potrafisz zrozumieć jako jedyna osoba na świecie... Tezeusz przynajmniej nie jest zakochany.

– Od powrotu z Wenecji – powiedziała Kiki, głośno myśląc – mamy listopad, więc od jakichś dwóch miesięcy, nie jesteś sobą. Mój zmysł percepcji, jak widzisz, jest tak samo sprawny jak zawsze, pod warunkiem że nie zadajesz pytań na temat Luke'a. Jesteś średnio nieszczęśliwa, ociupinkę wstrząśnięta, minimalnie zadowolona z siebie; poważne, niewiele dające, ostrożnie sentymentalne oddanie dla Northa. Dlaczego nie zapytałaś mnie o radę nim związałaś się z człowiekiem, który jest twoim szefem?

– Telefony strajkowały – przypomniała jej Daisy.

– Wykręty, wykręty. Jaki jest dokładny status tego związku, jeśli mogę użyć tego słowa dla określenia czegoś tak uświęconego?

– Zmienny – odpowiedziała Daisy.

– Zmienny związek? Chcesz przez to powiedzieć, że jest w nim coś niewłaściwego, coś złowieszczonego?

– O, Boże, Kiki, znowu niczego nie rozumiałaś. Zmienny tak jak wiatr, który najpierw wieje od wschodu, a potem od zachodu, zmienny jak mgła, która się unosi i znowu opada, zmienny, bo nie jestem pewna właściwego kierunku, zmienny jak wędrujące piaski.

Kiki uważnie spojrzała na Daisy. Schudła, pomyślała sobie, choć z pewnością wcale tego nie potrzebowała, a poza tym ucierpiał na tym jej nastrój. Co prawda nie miewała napadów wściekłości, ale była ostatnio napięta jak struna... Zbyt wiele czasu spędzała szczotkując i wyprowadzając Tezeusza, a zbyt mało z Northern, przynajmniej w opinii Kiki.

– Mogłabyś być bardziej konkretna? – zapytała Kiki otwierając buteleczkę jasnorożowego lakieru i zaczynając malować paznokcie.

– Trudno to wytłumaczyć na jednym, konkretnym przykładzie. Wiedziałam, że po powrocie wszystko musi się zmienić. W końcu sytuacja w Wenecji daleka była od normalnej... podejrzewam, że North nigdy w życiu nie miał tyle wolnego czasu. I oczywiście miałam rację... wszystko zważyło się naraz... musieliśmy pracować – dwukrotnie więcej niż zwykle, żeby odrobić stracony tydzień, ale byłam w stanie to

zrozumieć... siedzę w tym przecież po uszy; do diabła, beze mnie nie daliby sobie rady. I pracowało nam się doskonale. W obecności innych traktował mnie tak samo jak zawsze... na pewno wolę uniknąć złośliwych spojrzeń Nicka, Wingo i innych... a kiedy jesteśmy sami jest... zabawny... pożąda mnie fizycznie... jest kochający... wydaje mi się...

– Ale... – popędzała Kiki.

– Ale... nie posuwa się to ani trochę dalej.

– Dalej nie rozumiem, na czym polega ta zmienność.

– Jest kochający w sposób, w którym jest coś, co nie gra, coś, co nie prowadzi do niczego, coś zawieszzonego, niekompletnego, coś niejednolitego, coś przejściowego...

– Czy to coś jest w tobie, czy w nim? – z przebiegłością zapytała Kiki. Daisy przestała gładzić puch niepuszystego Tezeusza i zastanowiła się nad pytaniem, jakby do tej pory nie przyszło jej nigdy do głowy.

– Myślę... że w nas obojgu, skoro już zadałeś to pytanie – odpowiedziała wolno, z nutą zaskoczenia.

– Więc nie masz na co narzekać. Nie, odwołuję to, masz prawo narzekać! Co ze mnie za przyjaciółka, jeżeli nie pozwolę ci się wyżalić. Więc proszę bardzo, wal śmiało!

Daisy podniosła wzrok i zauważyła, że Kiki wygląda bardzo dziwnie. Zawsze rozwichrzone włosy miała gładko przylizane wokół twarzy, nawet grzywka była starannie rozczesana na czole. Oczy wydawały się dwa razy mniejsze bez zwykłego, przesadnego makijażu. Rzęsy zaledwie musnęła tuszem, a odcień szminki dokładnie dobrała do koloru lakieru do paznokci. Jej cygańskie przymioty były ledwo widoczne, a w ich miejsce pojawiło się nieśmiałe, spokojne, kontrolowane i nieco skrupowane zachowanie, kiedy siedziała susząc paznokcie. Miała na sobie tylko bieliznę. I to też było bardzo dziwne. Od kiedy to Kiki zaczęła nosić półhalki i staniki?

– Mów dalej, jeżeli teraz mi się nie wyżalisz, będę rozczarowana – ponownie ponagliła Kiki.

– Mam jakieś wewnętrzne przeczucie...

– Tak? Och, nie krępuj się, Daisy, przecież wiesz, że jestem dobra w przeczuciach.

– To jest... bez przerwy zastanawiam się, czy doszłoby do czegokolwiek, gdyby nie było tego strajku? Czy to wszystko wynikło po prostu z okoliczności? Pracuję dla Northa już od czterech lat i nigdy przedtem nawet nie flirtowaliśmy. Gdyby

było – coś przed Wenecją, wiedziałabym o tym, prawda? Może to zwykła przygoda?

– To nie jest ani skarga, ani przeczucie... to kolejny wykręt. Doszło do tego i trwa to nadal. Chyba zgodzisz się, że gdyby znalazł się w Wenecji odizolowany z kimś na kim mu nie zależy, nic by się nie stało?

– Chyba tak. Ale z drugiej strony, w tej magicznej atmosferze każdy mógł zrobić na nim dobre wrażenie.

– Daisy! Przestań, w tej chwili! – Kiki była wściekła na przyjaciółkę. Nawet ze swoim wieloletnim doświadczeniem nie mogła uwierzyć, że ktoś tak piękny może mieć o sobie tak niskie mniemanie jak Daisy Valensky.

– Masz rację... znowu to robię, do cholery! Ale parę dni temu zaszło coś, o czym nie mogę przestać myśleć. Leżeliśmy w mieszkaniu Northa, przed chwilą skończyliśmy się kochać, leżałam i pragnęłam, żeby mnie pogłaskał, przytulił, wiesz... objął... a on odsunął się niespokojnie i powiedział tym swoim obcym, leniwym głosem... niekoniecznie znudzonym... może troszeczkę... powiedział: „Daisy, rozerwij mnie”.

– Co za sukinsyn!

– Dokładnie to samo pomyślałam! Nie chcę go więcej widzieć poza pracą.

Przyjaciółki spojrzały sobie prosto w oczy, doskonale rozumiejąc jedna drugą.

– Co mu odpowiedziałas? – zapytała rozgorączkowana Kiki.

– Nic... Było mi niedobrze. Po prostu wstałam, ubrałam się i wróciłam do domu.

– Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś?

– Na początku wydawało mi się, że przywiązuję do tego zbyt wielką wagę, że podchodzę do tego z przewrażliwieniem i brakiem poczucia humoru... że to zwykłe głupstwo – w zamyśleniu odpowiedziała Daisy.

– Tak, ale głupstwo, któremu należy poświęcić dużo uwagi, takie właśnie głupstwa składają się na twoje życie i są wielce wymowne, jeśli chodzi o jego życie – powiedziała Kiki, tak poruszona, że rozmazała lakier na paznokciach. – Jak można mówić o przywiązaniu „zbyt dużej” wagi, kiedy on zwraca się do ciebie, jakbyś była tylko jakimś zabawnym udogodnieniem? Dziewczyną w haremie, panienczką, lalką, którą nakręca się, żeby odegrała wesołą melodyjkę? Nic dziwnego, że North jest po dwóch rozwodach... ten skurwysyn gównie wie o kobietach. – Serce Kiki pękało ze współczucia dla Daisy.

– – Żałuję, że muszę zmienić temat, ale zdaje się, że Luke ma przyjechać po ciebie za pięć minut? Nawet nie jesteś jeszcze w pełnym makijażu... ani w

sukience. Nie zdążysz.

Przerażona Kiki sięgnęła do szafy i wyjęła z niej plastikową torbę od Saksa. Otworzyła ją i zwinnie włożyła na siebie prostą, staromodną i drogą sukienkę z jasnokremowej flaneli ze skórzanym, granatowo-kremowym, plecionym paskiem. Na stopy w pończochach wsunęła granatowe wieczorowe pantofelki z krytymi palcami i piętami, a na szyję włożyła skromny sznur pereł. Odwróciła się i wyzywająco popatrzyła na Daisy.

– A cóż to jest? – zapytała Daisy z niedowierzaniem.

– Mollie Parnis – bez namysłu odpowiedziała Kiki.

– Nie masz zamiaru przygotować się do wyjścia? – zapytała Daisy. Widziała już Kiki w przeróżnych strojach, ale tym razem nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Owszem.

– Ktoś zmarł? Idziecie na pogrzeb?

– Nie.

– Jakaś dziewczyna wstępuje do klasztoru i zaprosiła was, żebyście byli świadkami tego?

– Nie.

– Zostaliście zaproszeni do Białego Domu?

– To też nie.

– Bal kostiumowy, a ty przebrałaś się za grzeczną dziewczynkę?

– Ciepło. Luke zabiera mnie do Pound Ridge... Na spotkanie z jego matką – powiedziała Kiki z lekkim uśmiechem.

– Wielkie nieba! – krzyknęła Daisy i podskoczyła z takim podnieceniem, że zrzuciła na pół śpiącego Tezeusza na podłogę.

– Możesz odśpiewać Alleluja! – Kiki zapiszczała i odtańczyła triumfalny taniec.

– Ale nie możesz, po prostu nie możesz tak iść!

– Czemu nie? Ta sukienka idealnie się nadaje... jego matka jest ultrakonserwatywna.

– Ponieważ natychmiast się zdradzisz. Na kim chciałabyś zrobić większe – wrażenie, na Luke'u czy na jego matce? Jeżeli tak się' ubierzesz, będzie wiedział, że starasz się o aprobatę matki, a to bywa fatalne w przypadku tak równych i nowoczesnych facetów jak Luke. Powinnaś wyglądać jakby nigdy nic. Nie przebieraj się za narzeczoną, skoro nawet nie poprosił cię jeszcze o rękę, na miłość boską. Och, ty głuptasie... wyłazi z ciebie Grosse Pointe. Luke zdechnie ze

śmiechu.

– O szlag by to trafił... masz rację – rozpaczliwie jęknęła Kiki. – Ale co mam wobec tego włożyć? Nie mam niczego ani trochę odpowiedniego. – Mogła posłużyć jako klasyczny przykład konsternacji nurkując w głąb szafy i w panice wyrzucając jedną wspaniałą kreację za drugą na podłogę.

– Spodnie? Może te ładne spodnie Holly'ego Harpa z czarnej krepy? – zasugerowała Daisy.

– Są poplamione farbą. Malując wczoraj dekorację zapomniałam, że mam je na sobie.

– To może inne? Wełniane?

– Wszystkie są w pralni. Och, Daisy, czemu jestem taką nieudacznicą? Dlaczego to się zawsze przytrafia mnie? On będzie tutaj lada minuta – rozpaczła Kiki.

– Nie ruszaj się przez sekundę – Daisy przyjrzała się Kiki uważnie. – Dobra, zdejm te perły, stanik i rajstopy, włóż z powrotem sukienkę. Dobrze, teraz włóż te błyszczące buty na trójkątnym, trzydziestocentymetrowym korku. Masz szczęście, że opalenizna nie zlazła ci z nóg. A teraz rozepnij sukienkę do pasa. Nie... to za dużo, zapnij z powrotem dwa guziki. Może być, jeszcze widać piersi, ale tylko odrobinę. Masz tu pasek...

– Daisy, to jest obroża Tezeusza – zaprotestowała Kiki.

– Zamknij się i zobacz czy obejmie cię w pasie – szybko wtrąciła Daisy. – Cholera, za krótka, szkoda, byłaby idealna. Pasek, pasek... – mamrotała przeglądając swoje szuflady; w końcu znalazła długi pas szyfonu, do którego kiedyś dopasowała ogromną klamrę z imitacji brylantu, pochodzącą z lat dwudziestych, którą kupiła w sklepie z używanymi rzeczami. Po chwili dalszych poszukiwań znalazła mały, czerwony, jedwabny kwiatek.

Odezwał się dzwonek u drzwi. – Idź, pomaluj oczy – rozkazała Daisy. – Zajmę się Lukiem. Nie spiesz się i nie denerwuj, bo ręce będą ci drżały – Daisy poinstruowała Kiki, po czym wepchnęła ją do łazienki i zamknęła za nią drzwi.

Luke wpadł do pokoju wyrzucając z siebie słowa powitania dla Daisy i dla Tezeusza. Daisy, przyzwyczajona do jego roztargnionego i jakby rozmarzonego zachowania, nie miała wątpliwości, że był zdenerwowany. Nawet powieki drżały mu w sposób nietypowy dla melancholika, a poza tym bez przerwy gładził brodę i strzepywał niewidzialne kłaczki z rękawów.

– Gdzie jest Kiki?

– Ubiera się – odpowiedziała Daisy z godnością.

– Przypuszczam, że ma na sobie te wściekle zielone pończochy i jakiś jaskrawo kolorowy szal Majów? – zapytał Luke.

– – Chyba coś w tym rodzaju.

Odwrócił się i wyglądał przez okno, palcami stukając w ścianę. – Moja matka nie cierpi jak się spóźniam – zauważył.

– Zaraz wyjdzie. Jakie plany macie na dzisiaj?

– W zasadzie coś w rodzaju rodzinnej kolacji. Ściślej mówiąc, moja babka też tam będzie – powiedział niepewnie.

– Kolacja trzech pokoleń, co? – dopytywała się Daisy.

– A także kilka ciotek i kilku wujów, którzy wprosilili się jak usłyszeli, że przyprowadzę swoją dziewczynę.

– Nigdy przedtem nie zaprosiłeś dziewczyny na kolację do domu? – zapytała zdziwiona.

– Nie zdarzyło mi się to od czasu szkoły średniej. – Luke posłał Daisy szybkie, przerażone i pełne gorączkowej determinacji spojrzenie, które powiedziało jej wszystko, co chciała wiedzieć.

– Przepraszam cię na chwilę, Luke, pójdę tam i spróbuję namówić Kiki, żeby się pospieszyła – powiedziała. W drodze do łazienki sięgnęła do szafy Kiki i wyjęła z niej granatowe pantofelki Ferragamo na płaskim obcasie oraz granatowo-kremowy pasek, który Kiki miała na sobie przedtem. Z wahaniem popatrzyła na rajstopy i stanik rzucone na podłogę. Wzięła rajstopy, a stanik zostawiła. Nie ma co przesadzać. Cicho otworzyła drzwi łazienki. Kiki miała już normalny makijaż na oczach. – Zdejm te okropne korki – powiedziała Daisy, jednocześnie rozwiązując czerwony, szyfonowy pas i zdejmując kwiatek.

– Co?

– Zmiana programu. Nie prosz, żebym ci wyjaśniła. Nie ma na to czasu. Masz pasek. Czy te perły były prawdziwe?

– Oczywiście... to perły mamy.

– Dobrze, włóż je z powrotem. Zapnij jeszcze jeden guzik i pokaż mi się. Rozczesz trochę włosy, żeby nie były zbyt przylizane. Wyglądasz... bosko. Możesz pożyczyć sobie ten ciepły sweter... nie masz nawet żadnego przyzwoitego płaszcza jesiennego.

– Biała kaszmirowa kamizelka? Daisy, dna pamięta czasy sprzed studiów, chodziłaś w niej jako dziecko w Londynie!

– Każdy może kupić byle sweter, ale prastary, żółkniejący kaszmir... oni to rozumieją.

– Jacy „oni”?

– Nieważne. Luke denerwuje się, bo powinniście już wyjść. Nie, poczekaj... ciągle czegoś ci brakuje... – Daisy wpięła czerwony kwiatek w pasek. Odsunęła się, żeby ocenić efekt. – Podmalowana, elegancka, kosztowna, delikatnie seksowna i patriotyczna... czy mogą żądać czegoś więcej?

– Mogłabym być Żydówką – posepnie powiedziała Kiki.

– Nie mogą liczyć na cuda.

– Znowu „oni”... zaczynasz mnie denerwować – powiedziała poirytowana Kiki, przeglądając się w lustrze.

– To też nie zaszkodzi, spodoba im się, że jesteś zdenerwowana... nie ma w tym nic złego. Idź już. – Daisy odciągnęła Kiki od lustra i popchnęła ją w kierunku pokoju. Usłyszała szybkie, przyciszone słowa powitania, a potem drzwi wejściowe zatrzasnęły się za Kiki i Lukiem. Wolno przeszła do pustego pokoju. Tezeusz stał z pytająco przekrzywionym łbem, jednym białym uchem podniesionym, a drugim opuszczonym.

– Pewnie się zastanawiasz, co się dzieje – przemówiła do niego lekko drżącym głosem. – Czy możesz odpowiedzieć na to pytanie? Dlaczego, dlaczego ja nie potrafię sobie odpowiedzieć?

Rozdział 20

– Co to, do cholery, znaczy, że sponsor przyjeżdża! – North wrzeszczał do słuchawki. – Luke, wiesz tak samo dobrze jak ja, że to niemożliwe. Kampania jest już gotowa... dlaczego miałby teraz przyjeżdżać? Dlaczego miałby w ogóle przyjeżdżać?

– Posłuchaj, North, nie złość się na mnie. Ktokolwiek, reprezentujący zleceniodawcę jest ostatnią osobą, jaką życzyłbym sobie widzieć przy stole, przecież wiesz o tym – z żarem powiedział Luke. – Ale to niesłychane, żeby taki facet upierał się przy własnej obecności. Mógłbym w to jeszcze uwierzyć w przypadku jakiejś drobnej firmy, ale prezes Supracorp? Powinien być zdecydowanie ponad to, do diabła.

– Co to kogo obchodzi czy jest ponad, czy poniżej... problem polega na tym, że odbiera nam naszą swobodę! – krzyczał North.

– North, wydaje ci się, że masz swobodę tylko dlatego, że chcesz w to wierzyć. A tak naprawdę nikt z nas nie ma swobody... Niestety, sponsor ma prawo decydować o tym, jak chce wydać swoje pieniądze. To on ma swobodę. Cała moja swoboda polega na doradzeniu mu w jaki sposób je wydawać, a cała twoja swoboda polega na robieniu reklam najlepiej jak umiesz.

– Oszczędź mi tego filozoficznego gówna. Chodzi mi o to, że będzie wścibiał nos w rzeczy, o których nie ma pieprzonego pojęcia, będzie uważał, że jest mądrzejszy od nas i nawet jeśli mu się spodoba to co zrobiliśmy, zmieni to dla samej przyjemności wtrącenia się w coś, co – nie jest jego sprawą. Ten drań potraktuje nas jakby zwiedzał slumsy! Prawdopodobnie doprowadził już do załamania nerwowego wszystkich podwładnych i teraz szuka nowych ofiar do wykończenia... Znam takie typy.

– Nie znasz Patricka Shannona.

– A ty go znasz?

– Nie, ale słyszałem, że jest twardy, wymagający i diabelnie inteligentny.

– Świetnie – gorzko powiedział North. – To jest dokładnie to czego nie cierpię w trakcie narad nad produkcją. My dwaj stwarzamy wystarczająco dużo trudności. Nie potrzebujemy więcej twardości, wymagania i inteligencji.

– Słuchaj, jestem po twojej stronie. Ale przecież nie mogę mu powiedzieć, że nie życzymy sobie jego obecności, prawda?

– Mógłbyś spróbować.

– Sam spróbuj, North. To ty masz podobno tyle swobody.

– Do jutra. – Nort odłożył słuchawkę i zamyślił się nad tą nową okolicznością. To, że prawdziwy sponsor z krwi i kości, ten legendarny kac pierwszych dni radia i telewizji, miał zstąpić z wyżyn Olimpu i wziąć udział w komercyjnej naradzie poświęconej produkcji było obrzydliwe! North dokładnie znał miejsce sponsorów: byli niecielesnymi, niewidzialnymi jednostkami, raczej grupami ludzi niż indywidualnymi osobami, które żyły gdzieś w obłokach wielkich korporacji, w ogromnych gabinetach zarządów ze wspaniałym widokiem na rzekę Hudson i kiwały lub kręciły głowami wysłuchawszy propozycji kampanii reklamowej, przygotowanej i prowadzonej przez maluczkich.

Nie zwracali sobie głowy zastanawianiem się nad działaniem maszyny, nie byli mechanikami troszczącymi się o cadillaca, jako jego superbogaci pasażerowie trzymali się z daleka od tego. Jakimś cudem byli w stanie przekazać szoferowi pożądaną kierunek jazdy, ale na tym kończyło się ich zainteresowanie samochodem. A przynajmniej tak być powinno, na Boga! Do sponsora należała jedynie decyzja czy program będzie zawierał „pauzę” na jego wystąpienie, będzie „zaprezentowany” przez niego, „umożliwiony” przez niego lub będzie tylko przekazywał „słowo” od niego.

Pomysł osobistego pojawienia się sponsora w osobie Patricka Shannona wydawał się być koszmarem. Do jakiego paskudztwa mogło to doprowadzić? Może chciał osobiście wystąpić jak ci handlarze w reklamach używanych samochodów... może Pat Shannon był drugim Calem Worthingtonem. Co z tego, że kampania wokół Elstree zapowiadała się jako wielomilionowe przedsięwzięcie w środkach masowego przekazu... Ten klaun Shannon powinien zostawić to zmartwienie wysokopłatnym zawodowcom. A teraz nie wiadomo nawet, na ile chciał się w to zaangażować. Sama propozycja uczestniczenia w naradzie była pogwałceniem wszelkich reguł, zwłaszcza w sytuacji gdy Luke i ludzie od reklamy w Elstree wreszcie uzgodnili warunki przyzwoitej kampanii. Każdy kto włączy się w nią teraz, przyniesie wyłącznie kłopoty. Poważne kłopoty.

– Daisy – warknął w słuchawkę wewnętrznego telefonu. – Natychmiast przyjdź do mojego gabinetu. – Skoro na zebraniu miał być Shannon, North chciał mieć na nim wszystkich swoich ludzi. Odpowiedzialnością za to obciąży Daisy. Sam miał inne ważne rzeczy do zrobienia.

Daisy dokonała ostatniego przeglądu wielkiej sali konferencyjnej. Najbardziej niezwykle zebranie, które miało się zacząć lada minuta wywołało już tyle

konsternacji i drażliwości, iż postanowiła upewnić się, że ludzie, którzy się spotkają będą mieli przynajmniej dosyć popielniczek, ołówków i karafek z zimną wodą, nawet jeśli nic ponadto nie pójdzie gładko. Był to dobry pomysł, ponieważ zapomniano rozłożyć papier do robienia notatek. Jeśli uczestnicy takiej przedprodukcyjnej narady nie mogli zająć się machinalnym rysowaniem, szybko skakali sobie z pazurami do oczu, pomyślała Daisy, spiesząc do sekretarki Northa z prośbą o przyniesienie dużej ilości czystych kartek papieru.

Mając jeszcze chwilę Daisy udała się do własnego biura, aby ostatni raz spojrzeć w lustro. Wszystko wydawało się być w porządku. Udało jej się uczynić siebie niemal niewidoczną. Włosy mocno splotła w jeden gruby warkocz, który ukryła w obszernym kołnierzu roboczej białej koszuli i spuściła na plecy. Na koszulę nałożyła celowo zbyt luźny kombinezon stolarski, a biały, płócienny kapelusz marynarski nasunęła tak nisko na czoło, że skutecznie zakrywał oczy. Była zadowolona mając nadzieję, że dzięki bielonym cegłom w sali konferencyjnej, zleje się z otoczeniem.

Daisy w żaden sposób nie mogła uniknąć obecności na zebraniu, ale przynajmniej była prawie pewna, że Patrick Shannon nie powinien rozpoznać w niej kobiety, którą spotkał na przyjęciu u Shortów w Middleburgu, kobiety, która – pozornie złośliwie – doprowadziła go do wściekłości, do takiego gniewu, że obawiała się iż sama jej obecność przyczyni się do zaostrzenia i tak gorących temperamentów uczestników narady.

Hałas wznoszącej się windy powiedział Daisy, że spotkanie powinno się już zacząć. Luke Hammerstein pojawił się pierwszy, przyprawdzając ze sobą pięciu podwładnych. Daisy stała z boku, kiedy pokój zaczął się wypełniać. North nie zwolnił nikogo z tej konferencji na szczycie i Arnie Greene, Nick-the-Greek, Hubble Troy, Wingo Sparks, dwóch asystentów Daisy oraz Alix Updike stawili się o czasie. Niezły pokaz mody, pomyślała Daisy wypatrzywszy znakomite miejsce dla siebie obok Nicka, za którego indyczą figurą mogła schować się jak płaskowyż w dolinie za wysokim wzgórzem. Zakładała, że wszystkie oczy zatrzymają się na Nicku, który wzbudzi tyle zaintrygowania, że nie posuną się dalej.

Punktualnie o czasie wszedł Patrick Shannon w towarzystwie pięciu osób, które szybko przedstawił: Hilly Bijur, prezes wydziału Elstree w Supracorp, Jared Turner, dyrektor do spraw handlowych, Candice Bloom, rzecznik prasowy w Elstree, Helen Strauss, szefowa reklamy i Patty Jacobson, dyrektorka działu produkcji.

Nim wszyscy znaleźli krzesła, Daisy zdążyła wyrzeć ze swojej strategicznej

pozycji i przyjrzeć się Patrickowi Shannonowi, który bez wahania usiadł naprzeciwko Northa. Po raz pierwszy ujrzała Northa w towarzystwie człowieka, który z pewnością mu dorównywał. Nawet nie patrząc czuła, że Shannon dominuje nad całą salą. Wszyscy, bez względu na zajmowane miejsce, zwracali się ku niemu, jakby był magnesem. Być może ich uszy nastawione ku niemu czyniły takie wrażenie, pomyślała, jednocześnie tłumiąc chichot wywołany nonsensownością tej uroczystej okazji. Pojawienie się Shannona w tym pokoju było tak niepotrzebne, że nie przypuszczała, aby Luke i North traktowali je poważnie... i z odpowiednim zapalem. Jeśli ten nadęty facet chciał zrobić wrażenie, że „twórczo” wpływa na reklamę swojej firmy, czemu by mu nie dogodzić, zastanawiała się. Nic nie różniło go od wszystkich innych pracodawców Northa. Niezmiennie w trakcie zdjęć prosili, aby pozwolić im zajrzeć w wizjer kamery przed ujęciem. North zawsze godził się, by patrzyli jeden raz, choć oni i tak nie wiedzieli, co widzą i jakie znaczenie będzie to miało dla filmu i ograniczali się do poważnego przytaknięcia i aprobaty tego, co od samego początku miał zamiar zrobić.

A jednak... Shannon wszedł na salę pewnym, zdecydowanym krokiem kapitana przechadzającego się po pokładzie własnego statku, który wciągnie flagę z trupią czaszką i skrzyżowanymi puszczelami jak tylko wypłynie bezpiecznie w morze, podejrzewała Daisy. Był piratem, niebieskookim, czarnym, irlandzkim bandytą o zmierzwionych włosach, nieprawdopodobnie ucharakteryzowanym na księcia przemysłu.

Zebranie rozpoczęło się, kiedy Luke wstał. Nie okazywał tego, ale był niesamowicie zły, że musi jeszcze raz omówić pracę, nad którą przeprowadzili już wielotygodniowe dyskusje i którą właściwie sfinalizowali, ale Shannon zadzwonił do niego i zażądał wprowadzenia wszystkich w szczegóły na początku konferencji.

Luke zaczął mówić dosadnie, głosem, który natychmiast zmusił ich do uwagi. Jednym z wymagań, jakie niosły ze sobą wszystkie jego poprzednie zajęcia, nim doprowadziły go do aktualnej pozycji, było „mówienie” o reklamach tak dramatycznie, że dosłownie widziało się je bez zdjęć.

– Elstree ma kłopoty z ogólną koncepcją. Archaizm, przeżytek, ulubiony produkt babci. Wiedzieliśmy, że na tym polega problem.

W zeszłym roku inna agencja wystartowała z założeniem, które od początku było przegrane; użyli czystości składników jako głównego argumentu przy sprzedaży. Nie wyszło... dlatego Elstree zwróciło się do naszej agencji. Czystość nie wystarczy w świecie, gdzie działa mnóstwo producentów kosmetyków, którzy wysuwają takie same argumenty, przy wcale nie gorszym uzasadnieniu – przerwał i

przyjrzał się zebranym. Słuchali go bardzo uważnie.

– Słowiła szlacheckość i czystość już nie działają! Opanujemy najbardziej lukratywny rynek w dzisiejszych czasach: pracująca kobieta... dynamiczna, podejmująca ryzyko i zarabiająca.

– Luke sięgnął po ogromne, lśniące zdjęcie kobiecej twarzy i pokazał je swoim słuchaczom. – Oto Pat Stephens, nowa dziewczyna dla Elstree. Reklamy pokażą ją w różnych sytuacjach, jakich nigdy jeszcze nie wykorzystano w przemyśle kosmetycznym czy perfumeryjnym... Wykona akrobacje pilotując mały samolot, zobaczymy ją w stanie nieważkości w komorze pod ciśnieniem podczas przygotowań do lotu w kosmos, a także biorącą udział w wyścigu Indy 500 za kierownicą specjalnego samochodu, który robi dla nas General Motors. Pat zawsze będzie w jakimś kostiumie i hełmie. W trakcie ostatnich trzynastu sekund każdej reklamy, mówiąc o Elstree, nagle zdejmie hełm i w końcu zobaczymy jej twarz, robiącą nieodparte wrażenie żywotności i siły... pociągającą, podniecającą, ognistą, a ponad wszystko młodą... należącą nie tylko do kobiety dnia dzisiejszego, ale także do kobiety jutra.

Daisy starała się ocenić zdjęcie tak obiektywnie jak potrafiła. Dziewczyna miała wyraźne rysy, ale ugrzeczniony sposób w jaki była ostrzyżona i ogólnie amerykańska prezencja sprawiały, że w jej urodzie brakowało niuansów, pomyślała Daisy. Miała aż nadto zębów i kości policzkowych... ale gdzie urok?

– Mamy zamiar podpisać dwuletni kontrakt z Pat, tak aby nikt inny nie mógł jej wykorzystać – kontynuował Luke. – Stanie się ona żyjącym symbolem zwykłej terażniejszości Elstree. W ciągu miesiąca, a może i prędzej, wszyscy zapomną, że Elstree produkuje od stu lat, ponieważ będą ją kojarzyć z Pat, funkcjonującą obecnie i sięgającą w przyszłość.

Usiadł wśród oklasków rozpoczętych przez Nicka, który wcześniej otrzymał odpowiednie polecenie. Po chwili zapadła cisza. Patrick Shannon skinął głową w kierunku ludzi z Supracorp.

– Panie Hilly, Jared... pozostali państwo... przede wszystkim chciałbym przeprosić za wproszenie się tutaj. Wiem, że nie ma zwyczaju zwoływania takich szerokich zebrań wszystkich zainteresowanych osób, ale nie mam czasu na korzystanie z normalnych kanałów, a także nie mam czasu na przejmowanie się uczuciami innych. Jak państwu wiadomo, choć panowie Hammerstein i North mogą nie być tego świadomi, od miesięcy nieustannie podróżuję; jeszcze dzisiaj muszę wyjechać do Tokio – zrobił przerwę, która posłużyła mu do odnotowania przytaknięć, jakich spodziewał się od ludzi, których losy brał w swoje ręce. –

Kiedy wróciłem do biura przed kilkoma dniami, na biurku znalazłem sprawozdanie na temat kampanii, która jest gotowa do startu; po raz pierwszy zobaczyłem wówczas zdjęcie dziewczyny Elstree.

– Chcieliśmy, aby Danillo sfotografował ją z nową fryzurą i zajęło mu to więcej czasu niż przypuszczaliśmy – szybko wyjaśniła Helen Strauss.

Shannon mocno uderzył ręką w zdjęcie. – Ona wygląda jak laleczka kowbojów w Dallas. – Uwaga ta spotkała się z nerwowym śmiechem. Sponsorzy uprawnieni byli do okazywania poczucia humoru.

– To nie jest zabawne, panie i panowie. Ja nie żartuję. Ta mała jest niebrzydka, ale to zły wybór. Ta kampania się nie uda. – Salę wypełnił szok, wszyscy zamarli i wstrzymali oddech. Shannon ciągnął dalej: – Jestem przekonany, że nie muszę podkreślać, iż Elstree straciła w zeszłym roku trzydzieści milionów dolarów... mowa tu o przemyśle perfumeryjnym. Moi konkurenci świętują zwycięstwo.

Wydam wiele kolejnych milionów, aby odmienić los firmy... poprzez nowe zapachy, nowe opakowania i nową kampanię reklamową.

Pomimo wielkich rozmiarów Supracorp, Elstree nie może pozwolić sobie na więcej strat, ponieważ właściciele akcji tego nie rozumieją, powtarzam, nie rozumieją. Mają diabelnie mniej cierpliwości niż ja.

Shannon przerwał, ale nikt z obecnych nie zamierzał zabrać głosu. Wziął zbliżenie twarzy Pat Stephens i uniósł je w górę. Ta dziewczyna i pan Hammerstein zmieniają oblicze Elstree, ale nie sprzedadzą, podkreślam to słowo, nie sprzedadzą kosmetyków czy zapachów. Po prostu nie wierzę, że kobiety będą mogły utożsamiać się z tą dziewczyną czy z sytuacjami, w jakich chcecie ją pokazać. Musiało to brzmieć oryginalnie i świeżo, kiedy podejmowaliście tę decyzję, ale czy uważacie, że można uznać za choćby minimalnie wiarygodne, że taka twarda sztuka będzie stosowała róż i tusz pod tymi swoimi hełmami? Jestem cholernie pewny, że nie będzie uperfumowana w tej kosmicznej kapsule, czy czymś tam, do diabła – przerwał i nim odezwał się znowu, upuścił zdjęcie na podłogę.

– Uważam, że nadszedł czas romantycznej sprzedaży perfum, sprzedaży z klasą i z kobiecością. Pracująca kobieta nic nie traci na kobiecości tylko dlatego, że sama zarabia pieniądze. Ta trzpiotka, którą chcecie wynająć dla Elstree, może i jest czymś tam wyobrażeniem współczesnej kobiety, ale przykro mi, nie jest moim.

Luke w końcu musiał zaprotestować.

– Proszę przyjrzeć się kampanii Charliego, panie Shannon – przemówił spokojnie. – Odniosła bajeczny sukces dla Revlonu, a cała promocja sprzedaży opierała się na fakcie, że dziewczyna z niezwykle długimi nogami odbywała

dalekie podróże po całym świecie... prostolinijna, niespecjalnie piękna, ale za to z :
dodiabła-ze-wszystkim-kochani-potrafię-dać-sobie-radę powierzchownością.

– To właśnie jedna z moich obiekcji, panie Hammerstein – sprzeciwił się Patrick Shannon. – Charlie ma już trzy lata... i ta kampania wkrótce stanie się przeżytkiem. A poza tym nie chcę naśladować Charliego... nawet Charliego w roku dwutysięcznym – zacisnął szerokie usta w sposób dobrze znany swoim podwładnym.

– Pat... – zaczęła Helen Strauss. W końcu to ona odpowiedzialna była za reklamę, a przynajmniej powinna być odpowiedzialna.

– Nie, Helen, nie kupię tej kampanii. W żadnej formie.

– Czy chciał pan porozmawiać jeszcze o czymś, panie Shannon?

– grzecznie zapytał North. Twarz drżała mu ze zniecierpliwienia spowodowanego całym tym burzliwym wydarzeniem, ale zdawał sobie sprawę, że nie jest nawet w części tak zdenerwowany jak agencja i ludzie z Supracorp. On tylko robił reklamy, oni musieli je tworzyć.

– Nie wyrzucam rzeczy, jeśli nie mam pomysłu na zastąpienie ich nowymi, panie North – powiedział Shannon. Zdjął marynarkę, starannie podwinął rękawy koszuli i przeciągnął się; duży mężczyzna na zupełnym luzie w sali pełnej ludzi, którzy właśnie dowiedzieli się, że ich wielomiesięczna praca była na nic. Daisy usłyszała jak Nick-the-Greek szepcze z zachwytem „O, cholera”. Niemal była w stanie wyczuć, jak zastanawia się, czy nie powinien przestać nosić kamizelki, które tak uwielbiał.

– Od kiedy zobaczyłem to zdjęcie, dużo myślałem – kontynuował Shannon. – Naturalny wygląd jest nadal najważniejszy; naturalna blondynka w dalszym ciągu może sprzedać więcej niż brunetka. Chcę, żebyście państwo znaleźli mi naturalną blondynkę i pokazali ją w naturalnych sytuacjach. Ma mieć klasę, ciepło i żar, które wydają się być możliwe do osiągnięcia. Chcę prawdziwej kobiety, nie jakiejś Dziewczyny Elstree... ale za to musi zgodzić się na występowanie pod własnym nazwiskiem. Gdyby Candy Bergen nie była zobowiązana do pracy dla Shulton i ich nowych perfum, powiedziałbym, że to jest dziewczyna jakiej potrzebujemy, ale jest już za późno, aby ją pozyskać.

– A więc chodzi panu o wsparcie kogoś sławnego? – zapytał Luke, starając się mówić bez niedowierzania w głosie. To był najstarszy pomysł w historii reklamy. Wykorzystano go przecież już w czasach królowej Wiktorii, na miłość boską.

– Czemu nie, do diabła? Pamięta pan „Jest zaręczona, jest śliczna, używa Pondska”? Podstawy nie zmieniły się od tego czasu, panie Hammerstein. Ani ludzka

natura. Nie obiecuję, że będę oryginalny... po prostu inny. – Shannon uśmiechnął się z figlarnym, bandyckim wyrazem oczu, jakimś korsarskim błyskiem, który powiedział wszystkim z Supracorp, że podjął nieodwracalną decyzję.

Przez parę sekund Luke nie mógł wydobyć z siebie głosu, oczyma wyobraźni widząc swoją dziewczynę przyszłości zdegradowaną do głupawo uśmiechającej się debutantki z białą satyną zarzuconą na uprzywilejowane ramiona, sprzedającą jakiś podrzędny krem dla mas. Odpowiedział zachowując spokojny głos, choć wymagało to sporego wysiłku. – Czy nie obawia się pan, że istnieje niebezpieczeństwo, iż takie podejście zostanie przyjęte jako snobistyczne i przestarzałe?

– Nie mówię o debutantkach, panie Hammerstein... wspomniałem Pondsę tylko jako przykład. Mówię o gwiazdzie. Ludzie uwielbiają dzisiaj gwiazdy bardziej niż kiedykolwiek. Chcę, żebyście wykreowali gwiazdę lub znaleźli gwiazdę, która zostanie Dziewczyną Elstree. Proszę tylko pamiętać... to nie może być chłopak.

Do tej chwili Hilly Bijur powstrzymywał się od interwencji, chociaż był prezesem Elstree. Niech Helen Strauss podźwignie ten ciężar. Ale teraz postanowił odzyskać inicjatywę, którą stracił po wtrąceniu się Patricka Shannona.

– Masz rację, jeśli chodzi o blondynkę – zwrócił się do swego szefa ignorując Luke'a, który właśnie miał przemówić. – Udało mi się podejrzeć ściśle tajne sprawozdanie Clairol, które twierdzi, iż skłonność do blondynek jest większa niż kiedykolwiek przedtem...

i to nie do pasemek, ale pełnych blond włosów, bardziej blond niż do tej pory.

Luke i North spojrzeli na siebie z obrzydzeniem. Nad zebraniem zapanowali cytujący sprawozdania i oszaleli na punkcie prezencji amatorzy i nie mogli nic na to poradzić. Nick-the-Greek kulił się w swoim fotelu z konsternacją. Każdy wtrącał swoje trzy grosze, a on jeszcze się nie odezwał. Nie lubił kiedy go ignorowano. Skoro North uparł się, aby wziął udział w tym cholernym zamieszaniu, powinien mieć coś do powiedzenia. Pomimo nieskazitelnego wyglądu zewnętrznego, Nick nie wyzbył się pewnego zwyczaju z dzieciństwa spędzonego w hiszpańskim Harlemie. W każdym idealnie skrojonym garniturze miał specjalną kieszonkę, w której zawsze nosił ostry scyzoryk, a ściślej mówiąc, nóż sprężynowy. Dzięki niemu był mniej nerwowy. Teraz sięgnął po swój niebezpieczny amulet i cicho go otworzył. Cała ta idiotyczna gadanina o blondynkach... chcą blondynkę, dostaną blondynkę... od Nicka.

Jednym szybkim ruchem obrócił swoje potężne ciało, zerwał marynarski kapelusz Daisy, wyciągnął warkocz z ukrycia i przeciął wstążkę, którą był mocno

związany. Nim zdążyła się ruszyć, obiema rękami pospiesznie rozplatał warkocz, dopóki jej gęste włosy nie znalazły się w jego dłoniach. Daisy opierała się, z niedowierzaniem łapiąc powietrze, ale działał tak szybko, że nie bardzo była pewna co się dzieje. Nick wstał, pociągając za sobą Daisy, ponieważ miał w rękach każdy jej włos i powiedział głośno: – Czy o to panu chodzi, panie Shannon? – Triumfalnie powiewał włosami Daisy, jakby machał flagą Iwo Jima.

– Cholera! – wybełkotała Daisy. – Nick! Puść mnie! Przestań!

– Co ty wyrabiasz, do diabła? – ostro zaareagował North.

– Co się dzieje? – pytał Hilly Bijur, podczas gdy Wingo Sparks skręcał się ze złośliwego śmiechu.

– Wy, chłopcy, nie odróżniacie byle gówna od prawdziwej blondynki, to wszystko – głośno upierał się Nick, nie puszczając Daisy. – Myślicie, że tak łatwo je znaleźć?

– Nick, puść ją! – powiedział Luke, zdecydowanie przerywając zamieszanie. Nick rozejrzał się wokół z obojętnym poczuciem racji, ale puścił Daisy i pozwolił jej z powrotem usiąść. Kopała go z całej siły w kostki żalując, że nie ma na nogach butów o ostrych nosach zamiast tenisówek. – Ty draniu! – zasyczała w jego kierunku, nieskutecznie rozglądając się w poszukiwaniu swego amerykańskiego kapelusza.

– Przepraszam, czy mógłbym jeszcze raz spojrzeć na tę panią? – zapytał Patrick Shannon kiedy tumult przycichł.

– Nie! – powiedziała Daisy.

– Panie Shannon, ta młoda dama to moja producentka, Daisy Valensky. Pracuje tutaj, pracuje dla mnie i tak się składa, że jest blondynką. Czy moglibyśmy kontynuować dyskusję i ustalić coś, nim będzie pan musiał wyjechać do Japonii? – niecierpliwie odezwał się North.

– Chcę ją jeszcze raz zobaczyć, North – zażądał Shannon.

– Daisy? – zapytał North. – Czy masz coś przeciwko temu?

– Owszem, mam – odpowiedziała z oburzeniem. – Znajdźcie sobie jakieś inne blondynki do oglądania... zadzwońcie do agencji modelek, zostawcie mnie w spokoju.

– Daisy, uspokój się. Nie przejmuj się, to nic takiego. Pan Shannon po prostu chce jeszcze raz na ciebie popatrzeć... jedno spojrzenie cię nie zabije – upierał się rozgniewany North. Sponsorzy... wszyscy klienci... prawdę mówiąc... stanowili własne prawa... wszyscy idioci, bez wyjątku... ale zdarzały się sytuacje, kiedy należało uczynić im zadość.

– Popatrzeć na co, do cholery! – wymamrotała Daisy, próbując uczynić włosy mniej rzucające się w oczy przez wepchnięcie ich za uszy. Spojrzała na Shannona i zaczerwieniła się, zarówno z gniewu, jak i zażenowania.

– Pamiętam cię – powiedział obojętnie.

– To miłe – odezwała się usiłując mówić ze spokojną uprzejmością. Pomimo gniewu, incydent jaki miał miejsce podczas ich spotkania, był poważnym ostrzeżeniem, że ten wysoko mierzący, ryzykancki mistrz konstrukcji wznoszonych w świecie przemysłowców, mógł okazać się raczej nieuprzejmy, jeśli czuł się urażony.

– Ma twarz, której się nie zapomina – Shannon oznajmił zgromadzonym niewzruszonym tonem.

– Bardzo piękną – dodał szybko Hilly Bijur. – Bardzo piękną... dziękujemy, pani... eee... dziękujemy bardzo.

– Powiedziałem – odezwał się Patrick Shannon, mówiąc spokojnie, ale tonem, który natychmiast zwrócił ich wagę – że takiej twarzy się nie zapomina.

– Oczywiście, Pat, masz rację – poruszony Hilly Bijur pospieszył z potwierdzeniem. – Teraz, kiedy już wiemy o co ci chodzi, w ciągu jednego lub dwóch dni Helen znajdzie nam z tuzin odpowiednich dziewcząt. Skontaktuje się ze wszystkimi agencjami w mieście, prawda, Helen? Lub też pozostawimy to Luke'owi... albo...

– poplątał się, nie do końca pewny, do kogo należy załatwianie obsady.

– Chwileczkę... jedną chwilę... jest również księżniczką. – Shannon tym razem mówił szybko, z wyrazem nagłej podnieci na twarzy.

– Wybij to sobie z głowy, Shannon. Już ci mówiłem, że ona pracuje dla mnie – wybuchnął North, podskakując jak szczapa na rozpalonym ogniu. Zmienił się w nieopanowanego rudzielca, rezygnując z zachowania neutralnej postawy.

– Blondynka... twarz... tytuł – mówił do siebie Shannon.

– Księżniczka Daisy... tak... tak... to brzmi świetnie.

– Panie Shannon, to nie jest kolejny odcinek *Narodzin gwiazdy* – powiedział North ze wzrastającą surowością.

– Może się nadawać... może się doskonale nadawać – stwierdził Shannon, jakby był sam w pokoju.

– Zaraz, to nie w porządku... to był mój pomysł! – krzyknął Nick-the-Greek.

– Helen – poleciał Shannon. – Natychmiast wyślij ją do fotografa, żebyśmy tym razem wiedzieli, z czym mamy do czynienia. Wygląda jak to, czego chcę, ale nie mogę mieć pewności, dopóki nie zobaczę zdjęcia. – Wstał, gotów do opuszczenia

zebrania.

Hilly Bijur pospieszył ze wsparciem opinii Shannona, zanim szef zdążył wyjść. Kiedy Shannon wkładał marynarkę, Bijur powiedział szybko: – Podoba mi się to, Pat, masz rację. Księżniczka Daisy?... Czy North nie powiedział Daisy Valensky? Valensky? Chwileczkę! To znaczy, że jej matką była Francesca Vernon. I, na miłość boską, jej ojcem był Staś Valensky... czy nikt z was nie pamięta? O rany, przecież ta dama zapewni prawdziwy ruch w interesie! – Uspokoił się, dumny z popisania się dobrą pamięcią, nawet nie zauważając faktu, że odciął się od kampanii reklamowej, którą wcześniej zaaprobował.

– Powiedz im, że żądasz stu tysięcy rocznie – Nick wyszeptał do Daisy, nadal siedzącej bez słowa na swoim miejscu. – I nie mów, że nigdy niczego dla ciebie nie zrobiłem... ponadto, pobrudziłaś mi skarpety.

– Będziemy musieli zmienić opakowania – martwił się Jared Turner, jak zwykle pod wpływem obsesji na punkcie wprowadzania – towarów na rynek. – Księżniczka Daisy, to nie brzmi zbyt współcześnie.

– To opóźni rozpoczęcie dystrybucji prawie o rok! – narzekała Patsy Jacobson. – I co w tym czasie powiem sklepom? – Był to koszmar dla dyrektora do spraw produkcji.

– Czy mogę prosić o trochę spokoju! – krzyknął North, ale zamilkł ujrawszy jak Daisy wyskakuje z fotela i rusza szybkim krokiem dookoła stołu. Stała za dyrektorem artystycznym Luke'a, który zdążył już napisać grubym pisakiem „Księżniczka Daisy” na kartce papieru. Chwyciła kartkę ze stołu, podarła ją na cztery części i włożyła do kieszeni.

– Panie Shannon – powiedziała głosem, w którym wyraźnie brzmiała wściekłość. – Nie jestem na sprzedaż! Nie mam najmniejszego zamiaru pozwolić panu wykorzystać moje włosy, moją twarz lub moje nazwisko przy sprzedaży pańskich produktów. Jak pan śmie traktować mnie tak, jakbym była pańską własnością? Jest pan szalony, niegrzeczny i absolutnie niewrażliwy... wy wszyscy... i...

– szybkim ruchem chwyciła pisaki, które dyrektor artystyczny ułożył w równym rzędki i rzuciła je na stół, gdzie hałaśliwie podskakiwały jak petardy. – Proponuję, żebyście wszyscy, dranie, wzięli po jednym i wsadzili tam gdzie słońce nie dochodzi! – po czym zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Nawet nie wiedziałem, że Daisy zna to wyrażenie – zdziwił się Arnie Greene.

– Zwykle tak się nie wyraża, chyba że coś się nie uda na planie – zgodził się Nick, nadal pokrzywdzony kradzieżą jego pomysłu.

– Jest straszliwie obraźliwa – w zamyśleniu stwierdziła Candice Bloom. Jeśli przyjdzie jej pracować z tą dziewczyną, będą kłopoty ze stosunkami międzyludzkimi.

North usiadł wygodniej i złośliwie uśmiechał się do Shannona.

Lubował się w windykacji. – Mówiłem ci, że Daisy jest zwykłą pracującą dziewczyną. Chyba nie wygląda na to, żeby bardzo chciała zostać modelką, co? Będziesz musiał ją usprawiedliwić.

– Nie mam najmniejszego zamiaru usprawiedliwiać jej – odpowiedział pewny siebie Shannon. – Będzie Dziewczyną Elstree.

– Daisy nie ma zwyczaju zmieniać zdania. Radzę ci nie liczyć na to – z zadowoloną miną odciął się North.

– Och, ale ja mam – powiedział Shannon. – Hilly, wstrzymaj wszystkie decyzje dotyczące Elstree do mojego powrotu z Japonii. Tym razem zrobimy to dobrze.

– Daisy jest bezcenna w moim studiu – żarliwie powiedział North. – Nie próbuj żadnych numerów.

– Patrick Shannon posłał Northowi swój piracki uśmiech, ten szeroki, zuchowaty, irlandzki grymas, który wywoływał alarm u wszystkich pracowników Supracorp.

– Ośmielisz się założyć?

Tuż przed Bożym Narodzeniem 1976 roku Ram zdecydował, że przyszedł czas na jednoznaczne załatwienie sprawy Sary Fane. Nacieszyła się już sezonem, nie była jeszcze zareczona, ale wkrótce miała wyjechać na objazd wiejskich rezydencji, więc bezpiecznie będzie osiągnąć jakieś porozumienie nim opuści miasto.

– Chcę, żebyś jutro zjadła ze mną kolację – powiedział przez telefon. – Ale sama, nie przyprowadzaj żadnych przyjaciół.

– Ale Ram, na jutro jestem zaproszona na mały koktajl do Lucindy Curzon.

– Więc musisz wybrać, Sarah – powiedział spokojnym tonem.

Wrodzone poczucie czasu zaszeptało jej do ucha. – Skoro tak mówisz, właściwie mogę wpaść do Lucindy przed spotkaniem z tobą, czemu nie? – powiedziała z subtelną nutą delikatnej niechęci.

– Właśnie, czemu nie? – odpowiedział myśląc, że jej tupet zasługiwał na podziw.

Następnego wieczoru jedli kolację w Mark's Club na Charles Street w Mayfair. Za wysokimi, nie oznakowanymi drzwiami miejskiej kamienicy, w której mieści się Mark's znajduje się kilka sal restauracyjnych. Ram zarezerwował stolik w

pierwszej i największej z nich, z której mogli widzieć wszystkich wchodzących i wychodzących. Świadomie nie wybrał spokojniejszego stolika w rogu tego wysoce ekskluzywnego lokalu, którego właścicielem był Mark Birley. Ram wolał spędzić pierwszą część wieczoru w oświetlonym świecami pomieszczeniu o bogatym wystroju, z kanapami wyściełanymi turkusowym aksamitem i ścianami pokrytymi grubą terakotą, prawie całkowicie ukrytą pod kapryśnie rozwieszonymi kwadratowymi, owalnymi i okrągłymi wiktoriańskimi obrazami zwierząt, oprawionymi w złote ślimacznice.

Chociaż Sarah podporządkowała mu się i nie zaprosiła nikogo ze swoich przyjaciół, wspólnie znali niemal wszystkich gości obecnych tego wieczoru u Marka, w związku z czym słowa powitań kilkadziesiąt razy zakłóciły im posiłek; ale Ram to przewidział. Kiedy dopili kawę, zapytał: – Co zrobisz, jeżeli jeszcze ktoś podejdzie i powie ci, że jesteś debiutantką roku?

– Zacznę wyć – oświadczyła, z powodzeniem zachowując jednocześnie delikatną i czarująco skromną pozę. – Wstanę i będę wyć, dopóki nie wezwą policji, żeby mnie wyprowadziła.

– Wobec tego może pojedziemy do mnie na brandy? – Przez cały wieczór w uszach dźwięczała im dręcząca melodia wyważonego, formalnego menueta, menueta, w takt którego oboje tańczyli przez wiele miesięcy. Nagle, wraz z zaproszeniem Rama, muzyka ucichła. Coś zachwiało się, zawahało w powietrzu między nimi. Myśli Sary wypełniły wspomnienia licznych pięknych i zaszczycanych zalotami dziewcząt; wiedziała, że bywał z nimi. Za każdym razem kiedy widziała go z nimi, był wobec nich tak samo troskliwy jak wobec niej. Popatrzyła na niego w zamyśleniu. Nie miała wątpliwości na co liczył, jeśli przyjmie zaproszenie.

– Mam ogromną ochotę na brandy, ale...

– Czy to znaczy tak, czy nie, droga Saro?

– Cóż... nie możemy tu siedzieć bez końca... więc przypuszczam... ojej, dlaczego by nie?

– Masz absolutnie cudowny dom, Ram – powiedziała po obejrzeniu parteru.

– Pozwól, że oprowadzę cię po piętach.

– Nie, wolę nie – odpowiedziała ostro, szybko narzucając na ramiona nietykalność, jak niewidzialną pelerynę.

Uśmiechnął się smutno. – Udajesz świętoszkę?

Uządliło ją to. – Co za idiotyzm! Jestem po prostu zmęczona, Ram. Możesz mnie odwiedzić do domu? Proszę. Brandy była wyśmienita.

– Nie, Sarah, kochanie, nie odwiozę cię do domu. Kocham cię, Sarah.

Stała bez ruchu przy kominku i obserwowała go, nie reagując na to co powiedział.

– Chcę się z tobą ożenić – kontynuował. Nadal milczała. W jego ustach, pomyślała, było coś niedostępnego. – Sarah – powtórzył podchodząc bliżej, ale nie dotykając jej. – Wyjdiesz za mnie?

Potrzebował sporo czasu, żeby przejść do rzeczy, pomyślała sobie. Czy powinna go zbyć i poczekać aż oświadczy się ponownie? Nie, lepiej będzie ukoronować sezon zaręczynami roku. W przyszłym roku światło reflektorów skupi się na innej debutantce, ale jeśli będzie księżniczką Valensky, nie będzie musiała przejmować się jakąś tam debutantką. Ułożyła idealne wargi w idealnie pozbawiony wymowy uśmiech, ale nie ruszyła się dopóki nie pochylił się ku niej.

Całując ją westchnął: – Pierwszy raz... – Wiedziała, że rzeczywiście całowali się po raz pierwszy, sami i w usta. Do tej pory tylko od czasu do czasu nadstawiała mu gładką skórę policzków, w bezosobowym, publicznym podziękowaniu. Rozgrywała trudną, nieustępliwą, mistrzowską grę.

Pocałował ją jeszcze raz, i jeszcze raz z rosnącym głodem, a Czcigodna Sarah Fane nie wiedziała, czy podniecenie jakie czuje bierze się z faktu, że wreszcie usidlila Rama Valensky'ego, czy też ze zmysłowości, którą do tej pory z taką łatwością zwalczała.

– Chodź teraz ze mną na górę, moje kochanie, chodź ze mną – prosił całując jej usta.

– Nie... Ram, proszę cię... nie mogę... jeszcze nigdy nie...

– Oczywiście, że nie, Sarah, moja cudowna Sarah... ale będziesz moją żoną, więc teraz już możesz.

– Ram, nie. Nie mogę... nie mogę...

Puścił ją tak nagle, że zachwiała się lekko i musiała złapać się kominka. Odsunął się i stał uśmiechając się do niej z pogardą w oczach.

– Nawet nie powiedziałaś mi, że mnie kochasz, Sarah... zdajesz sobie z tego sprawę? A może mnie nie kochasz, może nie jesteś gotowa zdecydować się? Obserwowałem cię, moja droga... myślisz, że nie wiem, jak lubisz flirtować? Czy to cię bawi, kiedy doprowadzasz człowieka do oświadczyn i nawet nie raczysz mu odpowiedzieć, jeśli nie liczyć minimalnego, łaskawego skinienia głową? Nie bez przyjemności obserwowałem, jak grałaś niewinną kokietkę, nietykalną i nieskazitelną arystokratkę; każda wyrachowana sekunda, wszystko co robisz musi przyczynić się do powiększenia chwały Sary Fane. – Jego oskarżające, sardoniczne

oczy zaczęły ją trochę przerażać, ale jednocześnie czuła się poruszona widząc, że Ram traci opanowanie. Owszem, zdolność do postąpienia w taki sposób z mężczyzną była podniecająca. Nie była w stanie powstrzymać się od uśmiechu wyrażającego zadowolenie z siebie. Ram zauważył go, jednym szybkim krokiem zbliżył się do niej i chwycił ją za rękę.

– A więc rzeczywiście uważasz, że możesz zrobić ze mnie głupca – powiedział, nagle rozwścieczony w sposób, który ją zaskoczył.

– A więc na tym polega twój marny plan, a więc to wypełnia ten twój manipulujący, egocentryczny umysł... jeszcze jeden podbój Sary, jeszcze jedna wygrana rywalizacja... prawdopodobnie jutro będziesz się tym chełpić. – Mocniej zacisnął palce na jej ręce i triumf, jaki odczuwała przed chwilą zaczął zniknąć. Wiedziała, że – musi zagrać ostatnim asem. Czyż nie zachowywała go dokładnie na taki właśnie moment?

– Ram, przestań! Nie dałeś mi nawet szansy powiedzenia, że cię kocham. Jesteś niesprawiedliwy, mylisz się co do mnie...

– Naprawdę? Naprawdę? – wyszeptał gorącym, wściekłym głosem, jakby jej słowa nic dla niego nie znaczyły. – Zwyczajna kpina... oto jak się cały czas zachowujesz... zwyczajna kpina, jakie to proste... – Puścił jej rękę i stał przed nią rozgniewany. Wszystko co zyska wychodząc za Rama Valensky'ego będzie jednym wielkim balem, przynajmniej tak uważa, złotym balem, usianym drogocenną biżuterią. Wyciągała rękę do tego i do niego.

– Na górę – wyszeptała drżącym głosem. Ram chwycił ją silnymi rękami i poprowadził potykającą się do schodów. Znowu ścisnął jej rękę aż do bólu, ale owładnięta żądzą i konsternacją, lękiem i podnieceniem, Sarah pamiętała tylko słowa amerykańskiej koleżanki szkolnej: „Zawsze cementuj korzystną sytuację”. Nagle Sarah dokładnie zrozumiała co to znaczy.

O Boże, dlaczego zajęło mu to tyle czasu, zastanawiała się Sarah Fane w agonii. Nikt nigdy jej nie powiedział, że to będzie takie długie i bolesne... tak obrzydliwie bolesne... wymagające wysiłku i haniebnego. I tak ciche, ani słowa. Gdzie był romans, którego się spodziewała, gdzie przyjemność? Był tylko wstyd. Została pogrążona we wstrętym śnie, takim, który bezsensownie trwa bez końca, unieruchomiona pod ciężarem człowieka do takiego stopnia nie panującego nad sobą, że nie mogła nic na to poradzić. Jego twarde wargi i silne ręce nie dawały jej ani chwili wytchnienia, a nad sobą słyszała tylko jego nierówny oddech. W tym odrażającym cierpieniu od czasu do czasu próbowała protestować, ale nie słyszał

jej, nie chciał jej słyszeć. Jego oddech stawał się coraz głośniejszy, aż do momentu kiedy wydawało jej się, że musi przejść w krzyk, ale wówczas wszystko zaczynało się od początku, cichł i ponownie osiągał crescendo. W półmroku widziała jego mocno zaciśnięte powieki, ale ręce wplótł w jej włosy i tak ciągnął za jasne kosmyki, że w końcu zapłakała z bólu. Och... to już na pewno koniec... nikt nie może przeżyć tak długiego łapania powietrza i takiego wysiłku. Błagam, błagam, niech to się szybko skończy.

– Daisy! Daisy! – zawył Ram w półmrok. – Daisy, kocham cię!

Czerpiąc siły z gwałtownego gniewu Sarah Fane wyrwała mu się i stanęła zagubiona w mieszaninie upokorzenia, rosnącej wściekłości i niewiarygodnej, a jednak niewątpliwej świadomości i patrzyła na kreaturę na łóżku, oszalałą, płaczącą, ohydną kreaturę, która schowała zhańbioną głowę w poduszkę, kreaturę, którą będzie musiała zniszczyć za to, co jej zrobiła. ■' •

Rozdział 21

Kiedy Valarianowie zaprosili Daisy na wyczarterowany jacht na początku stycznia 1977 roku, odmówiła. Perspektywa spędzenia pięciu dni w zamknięciu z Robinem, Vanessą i ich serdecznymi przyjaciółmi podczas rejsu po Morzu Karaibskim kojarzyła jej się z pobytem w bardzo wytwornym więzieniu. Niemal słyszała światową, zarozumiałą wymianę plotek i ukrytych złośliwości, mogła policzyć nie kończące się gry w trik-traka, wyobrazić sobie skrzynki białego wina i wody Perrier, które zostaną wypite i w przybliżeniu określić, ile razy dziennie każda z kobiet zmieni strój i biżuterię. Wszystkiego tego nienawidziła, ale Vanessa była nieustępliwie natrętna i Daisy w końcu nie widziała sposobu na wykręcenie się bez sprawienia prawdziwej urazy. Daisy nigdy nie widziała Vanessy tak bliskiej ogromnego gniewu.

– Nie chcę więcej słyszeć żadnego nie – powiedziała ostatecznie. – Zaprosiłam Topsy i Hama Shortów... tak się składa, że on jest twoim wielbicielem, a poza tym na pokładzie będzie jeszcze kilka innych osób, które mają dzieci do namalowania, nie licząc innych gości. Chociaż sama nie wiem dlaczego, do diabła, muszę cię kusić ewentualnymi zamówieniami. Naprawdę, Daisy, sprawiasz, że zaczynam czuć, że mnie wykorzystujesz. Czy nie uważasz, że moje stwierdzenie, iż Robin i ja liczymy na przyjemność przebywania w twoim towarzystwie, powinno być wystarczającym powodem przyjęcia zaproszenia?

Pamiętając jak wiele Vanessie rzeczywiście zawdzięcza, Daisy zmuszona była wyrazić zgodę. Studio da sobie radę bez niej przez parę dni; prawdę mówiąc, ostatni raz była na urlopie tak dawno temu, że już tego nie pamiętała. A przede wszystkim nie mogła zaryzykować utraty źródła dochodów, czym Vanessa wyraźnie zagroziła.

Siedząc z Hamem i Topsy w ich samolocie o nazwie Aero Commander w drodze do Nassau, gdzie mieli zaokrętować się na jachcie, który Valarianowie wyczarterowali i przekształcili przy pomocy różnych przedmiotów w pływającą podobiznę nowojorskiego mieszkania, Daisy doszła do wniosku, że właściwie był to dobry moment na wyjazd. Od tej sceny, kiedy zbuntowała się przeciwko pomysłowi uczynienia z niej Dziewczyny Elstree, czuła, że jest w stanie niezgody prawie ze wszystkimi kolegami w studiu. North uważał, że pozwoliła sobie na zbyt wiele, obrażając ważnego klienta i w rezultacie atmosfera w pracy była napięta i ciężka. Kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania, Daisy pomyślała, że

właściwie nie czuje już gniewu, ani nawet autentycznej irytacji z powodu sposobu, w jaki potraktowali ją ludzie z Supracorp pogardliwie zakładając, że była blond rzeczą, która pozwoli im sprzedać ich produkty. Przecież bez jej zgody i tak byli bezsilni, i wiedzieli o tym. Tym co powodowało, iż czuła głębokie ukłucie przestrogi, przestrogi, nadal obecnej w całym jej ciele, była perspektywa stania się Księżniczką Daisy w przerażająco wyeksponowanej roli zwanej „osobą publiczną”; autentyczny lęk przed byciem przyjmowaną jako konkretna osobowość z tytułem Księżniczki Daisy, która – w imię sprzedaży produktów Elstree – będzie fotografowana i manipulowana w reklamach telewizyjnych i prasowych oraz na wystawach sklepowych, dopóki ta jej książęćność nie wypali trwałego znamienia w świadomości klientów na Zachodzie. Do tej pory, przez całe dorosłe życie, udawało jej się prześliznąć, unikać rozgłosu, ukryć się.

W Santa Cruz nigdy nie uważano jej za kogoś innego niż dziewczyna o nazwisku Valensky. W studiu Northa jakiegokolwiek zainteresowanie innych jej tytułem i pochodzeniem dawno przeminęło i pojawiało się tylko od czasu do czasu w formie żartu. Dla wszystkich współpracowników była po prostu producentką Daisy, która wiedziała, gdzie każdy z nich powinien się znajdować, kiedy, a także dlaczego... oraz która urządzała prawdziwe piekło, jeśli nie spisali się tak jak powinni. Księżniczką Daisy była tylko w dobrze strzeżonych enklawach hodowców koni, a tam chroniły ją skojarzenia z ojcem, o którym doskonale pamiętano i którego ceniono. Hodowcy koni byli bezpieczni.

Propozycja Patricka Shannona, aby uczynić z niej osobę publiczną i eksploatować ją jako księżniczkę Daisy, dotknęła najwrażliwszego nerwu, rozbudziła lęki, z którymi dotychczas walczyła w cieniu, rok po roku, nie rozumiejąc dlaczego tak nią owładnęły. Wiedziała tylko, że planowali przypiąć jej etykietkę, oznaczyć ją nalepką Niejakiej Księżniczki Daisy, a pozwalając im na to musiałyby zrezygnować z czegoś znacznie cenniejszego niż stosunkowa anonimowość, którą udało jej się zachować przez tak długi czas. Poza tym musiałyby też zrezygnować z czegoś, co Daisy określała jako bezpieczeństwo. Życie na pozycji osoby publicznej mogło okazać się niebezpieczne... Nie musiała szukać żadnych logicznych wyjaśnień, aby mieć pewność, że ma rację.

Łódź motorowa przewiozła Topsy, Hama i Daisy na jacht, na którym czekała na nich Vanessa. Pokazała Shortom drogę do ich kwatery, a Daisy zaprowadziła do luksusowej kabiny średniej wielkości, wykończoną żółtobiałym płótnem. Była w doskonałym humorze.

– Dzięki Bogu, wszyscy są już na pokładzie. Powiem kapitanowi, że może ruszać jak tylko będzie gotowy – powiedziała. – Powystawiamy się wszyscy do słońca na pokładzie... nie? Jesteś zbyt śpiąca? Dobrze, wobec tego drinki będą podane w głównym salonie o siódmej. Cieszę się, że tu jesteś, kochana – Vanessa uścisnęła Daisy w bezosobowy sposób. Jak przystało na lesbijkę z klasą, nigdy w życiu nie popełniła błędu uczynienia najmniejszego seksualnego gestu wobec innej kobiety, chyba że była przekonana, iż będzie przyjęty z życzliwością. Nie ośmieliłaby się naprzykrzać Daisy, nawet gdyby znalazły się na bezludnej wyspie... chyba że ratunek nie nadszedłby co najmniej przez miesiąc.

Delikatne kołysanie jachtu, wyrwanie się z Nowego Jorku, coraz czystsze powietrze w kabinie w miarę oddalania się od brzegu, wszystko to razem sprawiło, że Daisy wstała po drzemce wypoczęta i odświeżona jak po krótkiej podróży. Kiedy się obudziła, kabinę wypełniało światło czerwieniejącego, tropikalnego słońca, światło tak nieskazitelne w swojej czystości i intensywności, która brała się z odbicia od otwartej, błękitnej wody, że wydawało się iż dosłownie opiera się nadchodzącemu zmrokowi. Leżała na łóżku, imitacji łoża z baldachimem, w której samo łóżko było przymocowane do podłogi, a zasłony do sufitu, i w zamyśleniu doszła do wniosku, że dobrze jej zrobi jak spędzi trochę czasu z dala od miasta, gdzie przez cały tydzień byłaby sama. Kiki wyjechała na dwutygodniowy urlop z Lukiem do jego małego domku w północnym Connecticut. Wyglądała jak nieoswojony puszek do pudru, kiedy wrzucała rzeczy do walizki, ze swobodą osoby świadomej, iż nie będzie obiektem obserwacji potencjalnej teściowej. Tezeusz na jachcie był wręcz trudny do wyobrażenia, więc został z właścicielką mieszkania, z którą zdążył się serdecznie zaprzyjaźnić.

Daisy wzięła prysznic i ubrała się, ale jeszcze było za wcześnie, aby dołączyć do innych. Dzięki Bogu, powinni być w swoich kabinach, starannie dobierając stroje, którymi mieli się nawzajem delectować.

Poszła na dziób jachtu i stała tam sama, oddając się powiewowi, który wydawał się tańczyć z nią. Promienie słoneczne krystalizowały jej włosy, zmieniając je w las pasków karmelu, przypominających dziecięcą delicję okresu Bożego Narodzenia. Duży jacht wznosił się i łagodnie opadał, prując fale, teraz już oddalony o wiele mil morskich od portu w Nassau. Przypominał jej się Patrick Shannon, ten zarozumiały, nieznośny człowiek, ale stwierdziła, że prawie przestała gniewać się na niego. W końcu udowodniła mu, że nie może decydować o jej życiu, bez względu na to jak ulegali mu inni. A co z Northern, on także – równie poważnie jak Shannon – potraktował ją – jak gdyby nie zasługiwała na więcej człowieczeństwa

niż pionek w szachach, w tej konfrontacji ze sponsorem... jakby była częścią wyposażenia studia, posiadającym drobiazgiem, z którym nie miał ochoty się rozstać. Daisy wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. Przekonała się, że North też ją nie obchodzi. Do diabła z nimi wszystkimi. Jej oczy wypełniły morze i niebo, była odprężona.

Została na pokładzie dopóki nie nabrała przekonania, że była bez wątpienia spóźniona na koktajle. Wówczas, tak niechętnie jak kiedyś odrabiała matematykę u lady Alden, ale wiedząc, że nie da się tego uniknąć, wyruszyła na poszukiwanie głównego salonu. Minęła duże pomieszczenie, w którym załoga nakrywała stoły do kolacji. Tuż za nim była jeszcze większa sala, w której dojrzała sylwetki kilkunastu ludzi. Po drugiej stronie jachtu znajdowała się ściana z ogromnymi oknami i krwawe, pirotechniczne promienie zachodzącego słońca oślepiały ją więc nie mogła rozpoznać twarzy. Kiedy pchnęła drzwi, w ostrym blasku zmaterializowała się Vanessa, wzięła ją za rękę i oślepioną, poprowadziła do pokoju. Zbliżyła się do nich sylwetka mężczyzny, więc Vanessa przekazała mu rękę Daisy i szybko zniknęła.

– Cześć, Daisy.

Głos Rama.

Zatoczyła się do tyłu. Ram podtrzymał ją zgrabnie, łapiąc ją za rękę i próbując pocałować w czubek głowy, ale kiedy jego usta zbliżyły się do niej, gwałtownie odchyliła się w tył. Nie była w stanie zdobyć się na mowę, na krzyk, czy na jakikolwiek ruch, z wyjątkiem ucieczki. Znowu zrobiła krok w tył i obróciła się gotowa rzucić się biegiem, ale w tym momencie silna ręka mocno chwyciła ją w taliu Vanessa, trzymając ją w marynarskim uścisku, uparcie popychała ją do przodu. Puls czasu – jak linia energetyczna trafiona przez piorun – osłabł, stał się nieregularny, aż w końcu nieomal zanikł, a po chwili, na dźwięk głosu Vanessy, czas zaczął znowu bić, ale wolno i niepewnie. Inni goście przyglądali im się, nic nie rozumiejąc, ale nagle byli zaintrygowani i zaszuchani. Głos Vanessy, ten czarująco płomienny głos, zabrzmiał głośno kiedy zwróciła się do wszystkich niosąc ochronę milczeniu Daisy, odciągając uwagę od brutalnego lęku w jej oczach.

– No widzisz, Ram, mówiłam ci, że przyjedzie – triumfalnie powiedziała Vanessa. – Zawsze twierdziłam, że kłótnie rodzinne są śmiesznie głupie, prawda Robinie, najdroższy... i kiedy Ram zwierzył nam się, że nie widział swojej siostrzyczki od lat, powiedziałam sobie, to straszna głupota, wręcz zwykły absurd. Wiedziałam, że moja droga Daisy nie może czuć jakiejś dziecinnej urazy aż tak

długo, bez względu na jej powód. Ram z całą pewnością nie ma żadnych pretensji, więc kiedy pojechaliśmy na sylwestra do Londynu, wszyscy razem zaplanowaliśmy tę niespodziankę, to ponowne połączenie rodziny. A teraz, kochana moja, czyż nie jesteś zadowolona, że to zrobiłam? W końcu, ilu braci można mieć w ciągu życia? Z całego rodu Valenskich zostaliście tylko ty i Ram, i przysięgam sobie, że znowu was zaprzyjaźnię. Kochani! Wypijmy wszyscy za zakończone nieporozumienia i za same dobre rzeczy... chodźcie tu, Ham, Topsy, Jim, Sally i reszta... toast! – Puściwszy Daisy uniosła w górę kieliszek i ruszyła do innych gości. Serdeczne postukiwanie kieliszków przełamało złowieszczy krąg, który otaczał Daisy, zamkniętą w paraliżującej czeluści horroru.

– Dlaczego? – zasyczała, zagłuszana przez toast.

– Zwykle ponowne spotkanie – odpowiedział Ram, z nieruchomymi, głodnymi oczami, nie wysiliwszy się nawet na zwykły, towarzyski uśmiech.

– Dlaczego? Co ta suka tobie zawdzięcza?

– Nic – z łatwością skłamał. Ram przekonał swoich partnerów do pożyczania Valarianom pieniędzy na otworzenie nowej linii produkcyjnej, która miała szyć odzież o cenach dostępnych dla przeciętnie zamożnych kobiet. Było to bardzo kosztowne przedsięwzięcie, na ogromną skalę.

– Nie wierzę ci!

– Nieważne w co wierzysz. Jesteś tutaj... raczej trudno ci będzie uciec. – Oczami wodził po jej twarzy. Był tak drżąco drapieżny jak świder wiertniczy w kopalni króla Salomona. Mówił nie wiedząc co – mówi i nie obchodziło go to. Nie musiał jej poskramiać. Była słaba, słabsza niż sama przypuszczała, a on silny; i tylko to się liczyło. Daisy szybko odwróciła się, aby odejść. Położył przytrzymującą rękę na jej ramieniu. Odwróciła się w szale obrzydzenia. Wypełniała ją czysta pogarda, kiedy spojrzała prosto w jego skąpe oczy.

– Nigdy, przenigdy mnie nie dotykaj, Ram, ostrzegam cię – splunęła na niego. Z jej oczu płynęła kwaśna, czarna nienawiść.

Była sztywna z namiętnej rewulsji. Wolno puścił jej rękę, ale nadal nie spuszczał z niej oczu. Przez krótki moment stali sparaliżowani intensywnością uczuć.

– Daisy! Ram! Podano kolację... nie słyszeliście stewarda?

– Vanessa wskazała na ogólny ruch w kierunku sąsiedniego pokoju.

Daisy automatycznie poszła za innymi.

Nakryte zostały dwa okrągłe stoły, i to nie w marynarski sposób Robina, lecz konchami z pełnego srebra oraz rzadką koralową, biało-niebieską chińską

porcelaną eksportową, którą zachowywał na wyjątkowe zimowe wieczory w mieście; była to zastawa pierwszorzędnej jakości. Przed wszystkimi krzesłami stały okrągłe, czerwone, lakierowane tacki, a na nich rzadko spotykane talerze K'ang Hsi, czarne i srebrne pałeczki, a także pojedyncze, zielono-białe orchidee w czarnych, porcelanowych wazonikach. Między tackami artystycznie rozłożono kolekcję starożytnych broni orientalnych, sztylety ujmująco przemieszane były z osiemnastowiecznymi kotami Famille Noire różnej wielkości. Pośrodku każdego stołu stała płaska miska Famille Noire wypełniona ogromnymi kwiatami pomarańczowych lilii tygrysich, z których Robin poobcinał główki słupków, ponieważ pyłek z nich przy dotknięciu powodował plamy nie do usunięcia.

Vanessa nie posunęła się w swej zuchwałości do posadzenia Daisy i Rama przy tym samym stole. Partnerem Daisy podczas kolacji był siedzący po jej lewej stronie Ham Short. Sparaliżowana szokiem i rosnącą paniką nie była w stanie zacząć posiłku od zjedzenia pierwszego dania, którym były przyprawiane imbirem, mielone gołębice. Ham próbował zająć jej uwagę opowiadaniem o bezwartościowych krewnych w stanie Arkansas, ale równie dobrze mógł mówić do martwej dziewczyny, usadzonej obok niego. Siedziała z oczami wpatrzonymi w miskę z liliami tygrysimi, aż w końcu Ham odwrócił się do sąsiadki po jego lewej stronie. Kiedy podano drugie danie, Daisy wykonała nieśmiałą próbę sięgnięcia po pałeczki, ale nim je dotknęła, zdała sobie sprawę, że nie da rady posługiwać się nimi przy obecnej koordynacji ruchów, a gdyby nawet to się udało, smak czegokolwiek w ustach przyprawiłby ją o wymioty. Jej towarzysze przy stole, zmuszeni jej milczącą obecnością do ogólnej rozmowy, taktownie uznali, że lepiej będzie udawać, że ignorują to fascynujące zjawisko, co nie przeszkodziło im ukrycie obserwować ją i zbierać cudownie skandalizujące wrażenia, o których będą opowiadać niesamowite historie gdy tylko opuszczą pokład jachtu. Podawano jedno wykwintne danie po drugim, wszystkie przygotowane przez zatrudnionego przez Valarianów na czas rejsu kucharza, który specjalizował się w pięciu różnych kuchniach, ale Daisy przez całą kolację niczego nie tknęła i do nikogo się nie odezwała. Ham Short, który ją uwielbiał, zdominował konwersację i ciągnął ją tak, aby nikt nie zwrócił się do niej z jakimś pytaniem. W pewnym momencie wziął ją za dłoń nieruchomo leżącą na stole i ścisnął wyrażając w ten sposób wsparcie. Choć odpowiedziała leciutkim uściskiem, nie spuściła niewidzących oczu z lilii tygrysich.

Vanessa z pewnością posunęła się za daleko tego wieczoru, niejedna z obecnych kobiet dyskretnie sygnalizowała drugiej, podczas gdy nie kończąca się

kolacja toczyła się, jakby Daisy była niewidzialna. Ram, przyzwyczajony dojadania poza domem, zaprezentował całą swoją normalną, przystojną, nieugięciem poprawną powierzchowność niekwestionowanego gentlemana. Jadł ze smakiem i uprzejmie rozmawiał o Henrym Moore z damą po prawej stronie, a o zasługach różnych producentów siodeł z Topsy, po lewej. Nie uniknął dobrze ukrytego wykroczenia. Od czasu do czasu, przez ułamek sekundy, rozglądał się po sali i poszukiwał łupu jak ptak żywiący się padliną, ale nikt tego nie zauważył. Natomiast Daisy miała wrażenie, że ściany salonu zbliżają się do siebie jak w komorze z echem. Głosy pamięci, brzydkie i niebezpieczne, dochodziły z oddali, raz głośniejsze, raz ciszsze, a ludzie wokół wydawali się tak odlegli i niewyraźni jak duża ryba ospale ruszająca płetwami za ścianą akwarium.

Po kolacji Vanessa przeprowadziła towarzystwo z powrotem do głównego salonu. Daisy czekała na ten moment i jak tylko Vanessa wstała, wyskoczyła z krzesła i pobiegła do drzwi prowadzących na pokład. Chociaż ruszała się szybko, czuła się tak jakby całe ciało było odrętwiałe i niezdolne do niczego z powodu tej bezradności, tego spowolnienia i osłabienia, które zwykle wywołuje koszmarny sen. Minęła główny salon biegnąc w kierunku swojej luksusowej kabiny, kiedy złapał ją Ram.

– Stój! Musimy porozmawiać. To bardzo ważne! – wykrzyczał, ale nie próbował jej dotknąć.

Daisy zatrzymała się. Uważał, iż mają sobie coś do powiedzenia! Było to tak niesamowite, że wszystkie emocje przysłoniło zwyczajne niedowierzanie. Czuła się w miarę bezpieczna, widząc stewarda z tacą z brandy i kieliszkami i mając tylko niecały metr do drzwi głównego salonu. Widziała w środku ludzi, szumiących jak muchy w butelce, ale na pokładzie było spokojnie i wiał ciepły, lekki wiatr. Złapała się burty obiema rękami i odwróciła się twarzą do Rama, stając w taki sposób, aby znaleźć się w pewnej odległości od niego.

– Nic nie jest wystarczająco ważne, żebyśmy mieli o tym rozmawiać, nigdy – powiedziała przez wysuszone wargi.

– Anabel – powiedział spokojnie, z sępią czujnością. – Anabel.

– Anabel? Ona nie ma nic wspólnego z tobą. Czy kiedyś przestaniesz łączyć? Nie dalej niż tydzień temu dostałam od niej list.

– I oczywiście nie powiedziała ci. – Ram był tak bardzo pewny siebie. Nie miało to nawet formy pytania.

Daisy zbladła i mocniej chwyciła się burty. On znał jakiś fakt, o którym ona nie wiedziała. Rozpoznała nieomylny objaw tłumionej przyjemności na jego twarzy.

– Co z Anabel? – wyszeptała, jakby szept mógł złagodzić jego odpowiedź.

– Ma białaczkę.

– Nie wierzę ci!

– Owszem, wierzysz. Wiesz, że mówię prawdę.

– Dlaczego sama mi nie powiedziała? Niby dlaczego miałyby powiedzieć tobie?

– automatycznie dopytywała się Daisy, podczas gdy szok wywołany jego słowami wsiąkł w nią i otoczył jej serce jak eksplozja spiczastych kawałków szkła.

– Ponieważ uważała, że masz dość własnych kłopotów, utrzymując siostrę. Potrzebowała pieniędzy na leczenie, ale po prostu wołała, żebyś nie wiedziała, że jest w potrzebie. Wie, że i tak ledwo wiążesz koniec z końcem, więc przyszła do mnie.

– O, Boże drogi, nie Anabel – jęknęła Daisy. Jedyna osoba, która była dla niej prawie jak matka, droga przyjaciółka, doradczyni i powiernica jej młodości, Anabel, której obecność w jej życiu ocieplała je roześmianą miłością, a jednocześnie nadawała mu jakości do dziś dającej poczucie posiadania domu, Anabel, która chroniła ją od pełnego sieroctwa.

– Lekarze powiedzieli jej, że przy odrobinie szczęścia i opiece może żyć przez wiele lat. To chroniczna białaczka, nie ostra. Nie ma jeszcze sześćdziesięciu lat... może przeżyć resztę życia stosunkowo wygodnie i bezpiecznie, ale... pozostaje sprawa pieniędzy.

– Ty masz pieniądze!

– Anabel wyrzuciła mnie ze swojego domu dziesięć lat temu, mówiąc że nie chce mnie więcej widzieć ani słyszeć o mnie. Nigdy nie zmieniła tej decyzji, z wyjątkiem niedawnej prośby o pieniądze. Nie uważam, żebym miał jakikolwiek powód, żeby coś jej dawać, chyba że zechcę być hojny. Anabel jest tylko zwykłą utrzymanką mojego ojca. Zostawił jej pokaźny majątek, któremu, odrzucając moją radę, pozwoliła przeciec między palcami. Trzymała swoje udziały w Rollsie tak długo jak ty. Nie mam współczucia dla ludzi, którzy nie potrafią zatroszczyć się o własne pieniądze.

– Anabel była dla ciebie taka dobra! – Daisy nieomal wykrzyczała, ale on zignorował jej słowa.

– Jeśli zechcę jej pomóc, będzie to oznaczało zdecydowanie się na duże, nieprzewidywalne wydatki na przestrzeni nieokreślonego czasu... to raczej nie jest posunięcie ostrożnego człowieka. Oczywiście, nie będzie już w stanie utrzymać La Maree zapraszając płatnych gości... nie będzie miała dość energii. Za sprzedaż domu dostanie trochę pieniędzy, ale nie starczą jej na długo, bo poza tym nie ma

wielu źródeł dochodu. A potem będzie problem dachu nad głową, albo w domu starców, albo w mieszkaniu, to będzie zależało od jej kondycji. Będzie potrzebowała pomocy, jeśli nie od razu, to po jakimś czasie. I będą regularne rachunki za lekarzy. Może to potrwać dziesięć, piętnaście... może dwadzieścia lat. Nie ma sposobu, aby Anabel mogła za to wszystko zapłacić... te koszty trzeba będzie pokrywać w miarę jak się pojawiają.

Daisy z wysiłkiem próbowała skupić się na tych praktycznych aspektach, podczas gdy z każdym słowem szklane ostrza wbijały się głębiej w jej serce.

– Dlaczego miałyby sprzedawać La Maree? Wiesz tak samo dobrze jak ja, że skoro Anabel może żyć jeszcze lata, nie ma miejsca, w którym mogłaby czuć się tak szczęśliwa. Masz dość pieniędzy, żeby pomóc jej bez zastanawiania się... przecież gdzieś będzie musiała mieszkać... skoro zwróciła się do ciebie o pomoc, dlaczego miałyby być zmuszona do sprzedaży? Pomożesz jej, prawda? – straciła głos widząc w jego twarzy zamyśloną prawość.

– Nie czuję żadnego zobowiązania moralnego do podjęcia się finansowej odpowiedzialności za Anabel. Żadnego. Ale mam propozycję, która może rozwiązać problem. Od lat drażnią mnie doniesienia przyjaciół, którzy jeżdżą do Stanów Zjednoczonych na polowania, o twoich wizytach u ich gospodarzy i staraniach o zamówienia na te twoje malunki. W przeciwieństwie do nich wiem, oczywiście, na co potrzebne ci są te pieniądze. Podejmę się utrzymania Anabel tak długo jak będzie żyła tylko pod warunkiem, – że osiągniemy absolutne porozumienie: rzucisz tę lichą pracę i nic niewarte zajęcie na boku z portretami i wrócisz do Londynu.

– Ty doprawdy jesteś obłąkany – cicho wyszeptała Daisy.

– Bzdura. Nie chcę niczego w zamian za lata poważnych wydatków; chcę tylko, żebyś żyła tak jak powinna żyć moja niezamężna siostra, w godny i szacowny sposób. Jestem nawet gotów pozwolić Anabel zatrzymać La Maree, skoro masz dla niej tyle sentymentu. I naturalnie przejmę na siebie także utrzymanie twojej siostry.

– Byłabym twoją więźniarką!

– Co za nonsens. Nie bądź taka melodramatyczna. Po prostu chcę, żebyś zajęła należne ci miejsce w kraju, w którym społeczeństwo ma jeszcze jakieś znaczenie. Twoje życie w Nowym Jorku jest obrzydliwe... wulgarny świat pełen wulgarnych ludzi. Tak się składa, że czuję się zażenowany wśród przyjaciół. Proponuję ci opiekę i zabezpieczenie. Nie chcę od ciebie niczego... mam własne życie – mówił opanowanym i przekonującym głosem, ale Daisy dojrzała, że jego oczy ani na moment nie przestały atakować jej twarzy i całego ciała. Jak włamywacz

skradający się kocimi ruchami, chwytają i kradły. Chuć widoczna była na jego cienkich, ładnych wargach jak warstwa pudru. Doświadczyla już jego szaleństwa; nic się nie zmieniło, tylko tym razem wiedziała, z kim ma do czynienia.

– Każde twoje słowo to łgarstwo! Będziesz mnie prześladował tak jak kiedyś... cuchniesz tym na odległość! Twierdzisz, że moje życie w Nowym Jorku jest obrzydliwe... ja twierdzę, że gdyby mój ojciec żył, zabiłby cię, wiesz o tym – zaczęła mówić niebezpiecznie podniesionym głosem.

– Zamknij się, zamknij się! Usłyszają cię!

– Dlaczego miałabym się zamknąć? Żeby cię nie skompromitować? Nie zdajesz sobie sprawy, że gównu mnie to obchodzi... ciągle jeszcze masz nadzieję, że możesz mnie zmusić do postępowania wbrew własnej woli?

– Anabel... – znowu zaczął.

– Szantaż – wściekła zwróciła się do niego. – Jak możesz żyć pogrążony w takich brudach? – Odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła do głównego salonu. Otworzyła drzwi i na sekundę stanęła, łapiąc powietrze otwartymi ustami, rozglądając się za Vanessą. Kiedy dojrzała ją przy stoliku do trik-traka, poszła prosto do niej i sprawiając ból położyła rękę na jej ramieniu.

– Chcę z tobą porozmawiać.

– Daisy, kochanie, poczekaj aż skończymy grę, hmmm?

– Teraz – w głosie Daisy brzmiało tak wyraźne zdenerwowanie, że Vanessa zerwała się na równe nogi. – Na zewnątrz – rozkazała Daisy. Vanessa poszła za nią, uśmiechając się szeroko i machając rękami do kilku osób, które skierowały na nią zaintrygowane spojrzenia.

– Daisy, o co chodzi... jak śmiesz?

– Vanessa, każ kapitanowi zawrócić tę łódź i wysadź mnie na ląd.

– To niemożliwe. Uspokój się...

– Odebrałaś już swój dług. Cokolwiek byłam ci winna, już zapłaciłam. Vanessa... ostrzegam cię.

Vanessa, doświadczona bystra Vanessa, nie musiała się zastanawiać. Niemal niekontrolowana groźba, jaką dostrzegła na twarzy Daisy, mogła prowadzić tylko do kłopotów. A w cudownie wyważonym życiu Vanessy, życiu tak wypełnionym uroczymi, ale niebezpiecznymi sekretami, ryzyko i jego konsekwencje powinny być jak najszybciej eliminowane.

Co też Ram mógł jej zrobić, zastanawiała się, śpiesząc na mostek, aby porozmawiać z kapitanem. Jakże chciałaby wiedzieć.

– Co to jest? – Patrick Shannon zapytał sekretarkę siadając za biurkiem.

Właśnie wrócił z Tokio i spodziewał się, jak zwykle, zastać swoje biurko puste tak jak je zostawił. Każda z trzech sekretarek powinna mieć przygotowane teczki ze sprawami, którymi należy się zająć, ale jeszcze nie posłał po nie.

– Pan Bijur prosił mnie, żebym położyła je w miejscu, w którym od razu pan je zauważy.

Shannon sięgnął po zdjęcia, z których każde miało dołączoną karteczkę.

– Wszystkie są księżniczkami, panie Shannon. Pan Bijur założył, że zechce pan też zobaczyć ich drzewa genealogiczne. Są dwie Belgijki, jedna Francuzka i trzy Niemki. Prosił, żeby panu powiedzieć, że sprawdził wszystkie białe księżniczki na świecie i tylko te są naprawdę piękne. Księżniczki Caroline i Yasmin nie oddzwoniły do niego, więc nadal próbuje skontaktować się z nimi.

– O Boże, o Boże – zawył ze śmiechem. – Ten sukinsyn musiał się nieźle napracować... biedny Hilly... czy on nie wie, że gdy mówię, iż takiej twarzy nie da się zapomnieć, to nie mam na myśli zwykłej urody? Pani Bridy, proszę mnie połączyć z Daisy Valensky w studiu Northa. Jeśli jej tam nie ma, proszę się dowiedzieć, gdzie jest i znaleźć ją zanim zajmie się pani innymi telefonami.

– Daisy stała podparwszy się pod boki i surowo patrzyła na swoje dwie asystentki.

– Chcecie mi powiedzieć, że pomocnik sceniczny poszedł do Central Parku i odpiłował gałązkę z drzewa, choć żadna z was nie kazała mu tego zrobić? To niemożliwe, żeby sam wpadł na taki pomysł. Czy, do diabła, nie zdajecie sobie sprawy, że pięć osób próbowało go aresztować? Omal nie doszło do rozruchów.

– To była tylko mała gałązka.

– Nie było na niej nawet liści.

– Była nam pilnie potrzebna... to drzewo na ulicy było zbyt gołe.

– Nie chcę żadnych wyjaśnień – powiedziała Daisy. – Jeśli to się jeszcze kiedykolwiek powtórzy, obie wróćcie do okradania grobów.

– Daisy, telefon – powiedziała jedna z nich, wdzięczna za przerwanie rozmowy.

– Studio – Daisy zawsze tak odbierała telefon.

– Księżniczko Valensky, mówi Patrick Shannon.

– Jak było w Tokio? – powiedziała neutralnym tonem, obserwując asystentki wymykające się najdyskretniej jak umiały.

– Stanowczo za daleko. Słuchaj, nie miałem możliwości przeprosić cię za sposób, w jaki odezwałem się do ciebie, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem.

– Ani kiedy widzieliśmy się pierwszy raz.

– Wyjęłaś mi to z ust... mam uczucie, że z jakiegoś powodu początek naszej

znajomości nie bardzo nam się udało... dobrze, przyznaję, nawet dwukrotnie... i chciałbym to zmienić. Czy mam szansę namówienia cię na wspólną kolację? Obiecuję, że ani słowem nie wspomnę o Elstree. To nie jest próba zmuszenia cię do zmiany decyzji. Nie śmiałybym być aż tak oczywisty... lub też przebiegły.

– Taka przyjacielska kolacyjka?

– Właśnie. Nie lubię zostawiać po sobie wrażenia grubianina.

– Ale przyznajesz, że jesteś agresywny? – słodko zapytała Daisy.

– Agresywny... tak, ale nie grubiański. Czy znajdziesz czas któregoś dnia w tym tygodniu?

– Myślę, że da się coś zrobić – powiedziała Daisy.

– Który wieczór ci odpowiada? Nie mam jeszcze żadnych planów na ten tydzień, więc możesz wybrać dzień.

– Dzisiaj – powiedziała bez sekundy wahania. Na moment zapanowała cisza.

– Och, oczywiście. Dzisiaj.

– Róg Prince i Greene. Południowo-wschodni róg, trzecie piętro. Będę na ciebie czekała o ósmej. Nie przejmuj się ostrzeżeniem „Uwaga, groźny pies”. Nie gryzie, jeśli mu nie każę... z reguły. Daisy odłożyła słuchawkę nim zdążył powiedzieć do widzenia.

– Ginger – zwróciła się do sekretarki Northa. – Jeśli North się pokaże, powiedz mu, że wzięłam sobie wolne popołudnie. Jak zapyta dlaczego, powiedz mu, że nie wyjaśniłam. Jeżeli inni będą mnie potrzebowali, powiedz im, że muszą dać sobie radę sami. Gdyby ktoś dzwonił, powiedz, że jestem nieosiągalna. Jeśli ktoś cię zapyta co się, do diabła, dzieje, powiedz, że nie wiesz.

– Z przyjemnością – zapewniła ją Ginger. – Mamy randkę, co?

– Niedokładnie.

Daisy dokładnie wiedziała czego szuka. Nie było jeszcze sezonu, bez względu na planowane wahania mody, bez względu na skoki w gustach od stylu klasycznego do seksownego, w którym Bill Blass skromnie nie zaprojektowałby kolekcji wspaniałych czarnych sukienek, których dowcipna, podstępna dyskrecja łączyła szczyt dobrego gustu zamożnej damy ze szczytem seksowności damy o nieco lżejszych obyczajach. Czasami osiąga to dzięki siatce i szyfonowi, a czasami dzięki koronce i jedwabowi, połączonym z tak mistrzowską kombinacją namacalnych zalet każdej tkaniny, że nie sposób stwierdzić, kiedy przechodzi jedna w drugą. Daisy w końcu znalazła kreację Billa Blassa jakiej szukała, na drugim piętrze u Bendela, a wychodząc zatrzymała się w dziale butów Jerry'ego Millera na

pierwszym piętze o nazwie Shoe Biz i kupiła parę sandałów na wysokich obcasach z cienkiego, czarnego jedwabiu, z drobnymi, kryształowymi klamerkami. W sąsiednim stoisku wypatrzyła parę zwykłych, szarych rajstop i wyszła ze sklepu na Zachodniej 57 Ulicy wydawszy o dolara czy dwa więcej niż wynosiło jej trzytygodniowe wynagrodzenie.

Nierozważnie wróciła do domu taksówką zamiast metrem i jak tylko rozwiesiła sukienkę, umyła włosy pod prysznicem. Nawet stosując suszarkę o bardzo silnym podmuchu, musiała je suszyć co najmniej przez godzinę i kiedy skończyła bolały ją ręce. Tezeusz wrócił do domu po krótkim pobycie u właścicielki mieszkania i siedział skulony pod kanapą. Jediną rzeczą na świecie, jakiej się bał, było odrażające wycie suszarki. Na szczęście Kiki nie wróciła jeszcze z wycieczki z Lukiem. Daisy nie miałyby ochoty odpowiadać na pytania o jej nadzwyczajne przygotowania do czekającego ją wieczoru. Nie byłaby zachwycona wścibską Kiki zastanawiającą się, dlaczego sprzątała i wrzucała różne rzeczy do szaf, dopóki pokój nie zaczął wyglądać porządnie, a nawet elegancko, dzięki ostatniej przesyłce Eleanory Kavanaugh, zawierającej drogą, białą meblę z wikliny, pokrytą drukowanym materiałem w kwiaty, który wyglądał jak staw z liliami namalowany przez Moneta i kosztował czterdzieści dolarów za metr. Niecierpliwie przekopowała szuflady Kiki i w końcu znalazła czarną, jedwabną torebkę wieczorową, na którą liczyła. Kiki naprawdę powinna bardziej dbać o swoje rzeczy, pomyślała Daisy, nerwowo zaczynając się ubierać.

Punktualnie o ósmej odezwał się dzwonek u drzwi. Kiedy Daisy otworzyła, uśmiech na twarzy Patricka Shannona zamarł.

Daisy przygotowała się do tego wieczoru przywiązując drobiazgową uwagę do każdego szczegółu swojego wyglądu, ale nie była w stanie ocenić całości poprzez obiektywne spojrzenie na siebie. Jediną rzeczą jakiej była pewna, to desperacki wydatek na sukienkę Blassa, a także fakt, że włosy ułożyła w najbardziej klasyczną fryzurę jaką знаła. Zaryzykowała inwestując w to dużo pieniędzy, ale stawka była tak wysoka, że nie mogła niczego pozostawić przypadkowi. Każdy z jej strojów pochodzących z wyprzedaży, choćby najwyśmieniciej wykonany, mógł sprawić, że wyglądałaby ekscentrycznie. Musiała wyglądać solidnie bogato. Było to aż tak proste.

Mnóstwo razy słyszała jak Nick-the-Greek wyjaśniał, iż North mógł żądać znacznie wyższych honorariów niż inni reżyserzy w branży, ponieważ miał tak wielu klientów, że dla wszystkich nie wystarczało mu czasu... Więc nie potrzebując pieniędzy, żądał ich. Jeżeli miała zostać Dziewczyną Elstree, a Daisy wiedziała już,

że musi przyjąć tę pracę, bez względu na to ile będzie ją to kosztować, musi upewnić się, że zarobki wystarczą na utrzymanie zarówno Anabel, jak i Danielle przez długie lata w przyszłości. Nie mogła zgodzić się na stawki modelek, nawet na tysiąc dolarów dziennie, których żądały niektóre czołowe modelki. Musi to przynieść więcej pieniędzy, dużo więcej. Pieniądze były jej jedynym zabezpieczeniem przed duchowym zagrożeniem emanującym od Rama jak odór. Była to jedyna tarcza wystarczająco solidna, aby jej zaufać.

Kobietą, która przywitała Shannona nie była fantastyczna dziewczyna, którą poznał ubraną w zielone cekiny i zamsz, ze sztucznymi szmaragdami wpiętymi w długie włosy, ani rozczochna, wściekła, śmieszna postać w kombinezonie stolarskim, ale najbardziej nieprawdopodobnie piękna istota, jaką zdarzyło mu się widzieć. Dosłownie zachłysnął się powietrzem na jej widok. Ciężki, nisko spleciony kok, w który Daisy zebrała wszystkie włosy, podkreślał długość i kształt szyi, a także dumne uniesienie głowy.

Przy włosach odgarniętych z twarzy wyjątkowa cera Daisy przypominała dojrzalą brzoskwinie. Jej szerokie, proste brwi nad oczami i pełne, wyraźnie zaznaczone usta były uwydatnione, ale przygasłyby pod wpływem cudu, jaki stanowiły rozpuszczone włosy. Góra sukienki wykonana była z prześwitującej czarnej koronki, która kończyła się na szczupłej, przepasanej talii aby przejść w obszerną, szeleszczącą, czarną spódnicę. Z całości wyłaniały się w prostym majestacie jej białe ręce i ramiona, nie zdobione żadną biżuterią.

– Nie masz zamiaru wejść? – zapytała Daisy z wdzięcznym uśmiechem, któremu uparcie nie pozwoliła przekształcić się w uśmiech satysfakcji. Najwyraźniej udało jej się osiągnąć efekt jakiego pragnęła, skoro test sugerował, że Patrick Shannon nie był w stanie normalnie funkcjonować. A nie był.

W milczeniu wszedł do mieszkania i stanął na środku pokoju. Tak ostrożnie jakby przemawiała do lunatyka, Daisy zapytała:

– Może usiądziesz i wypijesz drinka? – Shannon usiadł.

– Wódka, whisky, białe wino? – Shannon przytaknął na wszystkie propozycje nie spuszczać z niej oczu. Nie chcąc przerywać jego koncentracji, nalała obojgu białe wino, przyniosła kieliszki i usiadła obok niego. W końcu odezwał się, automatycznie wypowiadając pierwszą myśl, jaka przyszła mu do skołowanej głowy.

– Masz ładne mieszkanie.

Odpowiedziała poważnie: – Mieszkamy tu od czterech lat. To całkiem zabawna dzielnica.

Ujrawszy słabe ściągnięcie linii wokół jego ust Daisy wiedziała, iż świadom był tego ile różnorodnych, romantycznych związków mogło kryć się pod słowem „mieszkamy”.

– Mieszkam z Kiki Kavanaugh – spokojnie kontynuowała. – Być może znasz jej ojca... jest prezesem United Motors. Nie? Kiki spędza ten tydzień w domu – powiedziała. – Ja też miałam pojechać... wujek Jerry, to znaczy ojciec Kiki, obchodzi urodziny, a traktują mnie jak członka rodziny, ale uważałam, że nie byłabym w porządku opuszczając studio. Moje asystentki nie są tak niezawodne, jakbym chciała i dopiero co wróciłam z Nassau.

– Twoja praca – ostrożnie zapytał Shannon. – Czy to coś nowego? Kiedy byliśmy w Middleburgu ktoś napomknął, że jesteś malarką... a przynajmniej miałem takie wrażenie.

– Ach, to... To tylko moje hobby. Kocham dzieci i kocham konie, a także kocham malować, więc czasami robię sobie przyjemność łącząc wszystkie trzy – powiedziała Daisy z udaną obojętnością. – A dla Northa pracuję od skończenia szkoły... o wiele zabawniej jest robić coś, nie uważasz? W przeciwnym wypadku życie staje się samopobłażające... Trzeba walczyć, żeby nie dać się ponieść prądowi. Studio jest idealnym wyjściem. Nie ma tygodnia podobnego do innego, ciągle mamy nowe problemy, nowe kryzysy, nowe rozwiązania i nigdy ani sekundy na nudę.

Uśmiechnęła się z takim samozadowoleniem jak Maria Antonina opowiadająca o swoich krowach, jednocześnie przez moment błagalnie mrugając do świętego patrona Kiki, tego bóstwa wszystkich tych, którzy kłamią w dobrej sprawie i udzielają sobie rozgrzeszenia.

Shannon spojrzał na nią pytająco. – To śmieszne, wyobrażałem sobie, że taki zawód jak twój wymaga ogromnej sprawności i bardzo długich godzin ciężkiej pracy.

– Ależ oczywiście, że tak – powiedziała Daisy cedząc słowa. – Ale na tym polega cała przyjemność... to takie wyzwanie! Czy lubiłbyś pracę, która nie byłaby wyzwaniem? – Daisy z rozmarzeniem oparła się o poduszki w wodne lilie przyjmując pozę, którą przekonała Shannona, iż długie godziny ciężkiej pracy muszą być nieuniknionym wyborem bogatej dziewczyny, której nie brakuje inteligencji.

– Rozumiem, że z Northern pracuje się dobrze?

– Jeśli to się zmieni, natychmiast odejdę – swobodnie odpowiedziała Daisy, wyobrażając sobie sardoniczne prychnięcie Northa, gdyby to słyszał. – Nie możesz

wyrabiać sobie osądu na podstawie tego, co zrobił Nick-the-Greek... ten, który zawziął się, aby rozpuścić moje włosy... on jest trochę barbarzyński, brakuje mu finezji, ale mimo to uwielbiam go... po prostu poniosło go.

– Powiedziałbym, że ciebie też.

– Och, tak. Znana jestem z porywczego charakteru. – Przywołała ten szczególny uśmiech ludzi dumnych ze swoich wad, ponieważ sami są tak ważni, że nikt nie śmie ich strofować. Prawdę mówiąc, pomyślała Daisy, był to uśmiech, który zapożyczyła od Northa.

Usłyszeli skrobanie do jednych z drzwi mieszkania, a potem odgłos ciała ocierającego się o nie. Daisy wymamrotała: – Przepraszam – i poszła w kierunku drzwi kołyszając suknią, z plecami kompletnie gołymi pod czarną koronką. Patrick Shannon wiódł za nią zdumionymi oczami.

– Przestań, Tezeusz – krzyknęła przez drzwi.

– Czy to ten twój groźny pies? Chciałbym go poznać, albo ją, jeśli tak się składa. – Był niesamowicie ciekaw wszystkiego, co dotyczyło tej wyjątkowej istoty, Daisy. Wyobrażał sobie, że jej – ulubionym psem obronnym będzie przerasowany afgan lub pudel.

– Jest nerwowo w obecności obcych ludzi – Daisy ostrzegła, ale otworzyła drzwi.

Tezeusz postawił uszy jak flagi i cicho wszedł do pokoju swoim chodem pijanego marynarza. Shannon wstał na widok dużego zwierzęcia o szorstkiej sierści, która stanowiła mieszaninę szarych, brązowych i niebieskich włosów. Tezeusz posłał Shannonowi podejrzliwe, potajemne spojrzenie spode łba i ruszył obok niego do ulubionej poduszki na podłodze. Kiedy zbliżył się do gościa, ku zdziwieniu Daisy, zmienił kierunek, stanął na tylnych łapach i skoczył na Shannona w bezwstydnym popisie obwąchiwania, lizania, poznawania. Roześmiany Shannon zaczął uspokajać psa, łaskocząc go, drapiąc, klepiąc i przewracając, czym zjednał sobie dozgonną przyjaźń Tezeusza.

– To dziwne – chłodno powiedziała Daisy. – Zwykle nawet nie podchodzi do obcych. Jesteś pewny, że nie masz czegoś do jedzenia w kieszeniach?

– Psy mnie lubią... psy i dzieci.

– A to, przypuszczam, ma tradycyjnie być znakiem, że takiemu człowiekowi można zaufać? – zapytała, wyprowadzając psa z pokoju z niespotykaną stanowczością, którą odczuł jedynie Tezeusz, ponieważ osiągnęła ją dzięki niewidocznym ruchom silnego nadgarstka.

– Podobno – krzyknął w jej stronę.

Daisy wróciła krocząc z taką godnością, że wprawiła go w zakłopotanie, przywodząc na myśl sale tronowe, koronacyjne klejnoty i honorową zmianę wart.

– Nie tknąłeś drinka – powiedziała. – Czy mogę ci służyć czymś jeszcze?

– A może pójdziemy na kolację? – zaproponował, opuszczając głowę i z zaskoczeniem patrząc na pełny kieliszek. Skąd się tu wziął? Prawdziwie obronny pies. Prawdziwa współlokatorka. Co ona jeszcze ukrywała? – Samochód z kierowcą czeka na dole. Przynajmniej mam nadzieję, że jeszcze tam są, jeśli wziąć pod uwagę tę dzielnicę.

– Och, jest absolutnie bezpieczna. Ochronia nas mafia... połowa ich dziadków nadal mieszka o parę ulic stąd... SoHo jest dzielnicą o najmniejszej przestępczości w całym mieście. – Daisy beztrąsko zmieniła ulicę półslumsów w dziwnie zaludnioną rajska wyspę.

Le Cirque jest takim rodzajem dużej i drogiej restauracji nowojorskiej, jaki naprawdę rozumieją tylko pewni nowojorczyści. I nie chodzi tu o dobrą kuchnię, jak to ma miejsce w przypadku świetnych restauracji, ani o wystrój, jak to ma miejsce w przypadku innych, ani o przystojnych i szykownych ludzi. Chodzi o możliwość. Bywają w niej tylko możni, którzy przychodzą tu, aby sprawdzić swą możliwość przy przydzielonym stoliku i cieszyć się swoją możliwością w towarzystwie innych możnych. Le Cirque jest dość atrakcyjnym lokalem o kosztownym wystroju, z malowidłami ściennymi w manierze Watteau – Fragonard, przedstawiającymi mały w kostiumach, grubymi lnianymi obrusami na stołach oraz ujmującym oświetleniem płynącym z kiści kinkietów w kształcie tulipanów. Kuchnia jest zdecydowanie, żeby nie powiedzieć beznamietnie, francuska. Równie dobrze mogłaby być hiszpańska lub włoska, ponieważ wszyscy jadający tu goście zamawiają cielecinę albo rybę, przyrządzone w możliwie najprostszy sposób... zgodnie z dietą ludzi szczupłych i wrzodowców... dietą możliwości. Odwiedzając Nowy Jork można jadać lunch i kolacje w Le Cirque przez cały tydzień, jeśli trafi się na gospodarzy, którzy chcą popisać się swoją możliwością. Z drugiej strony, mając gospodarza, który jest prawdziwym smakoszem lub nieodpartym wielbicielem zabawnej atmosfery, można nie usłyszeć najmniejszej wzmianki o Le Cirque.

Daisy jeszcze tam nie była. North nie chadzał do tego typu lokali, ponieważ był przeciwny ubieraniu się w garnitur i krawat przed jakimkolwiek posiłkiem, chyba że Nickowi udało się przekonać go, iż powinien uczynić tę uprzejmość ważnemu klientowi. Henry Kavanaugh, który ciągle był najwytrwalszym konkurentem Daisy, też nigdy nie wpadł na pomysł zabrania jej tam. W godzinach lunchu Le Cirque

gościł głównie możnych wydawców, w porze kolacji, możnych korporacji, ale nie miał nic wspólnego z możliwością młodzieży z Grosse Pointe.

Tego wieczoru Patrick Shannon zarezerwował jeden z najlepszych stolików z wygodnymi kanapami po prawej stronie od wejścia. Daisy wyczuła możliwość w powietrzu gdy tylko weszli. Płynnie przeszła do swojego miejsca wiedząc, że patrzą na nią wszyscy obecni, choć ona nie zwracała na nich uwagi. Jej wspomnienia przepełnionej możliwością atmosfery Connaught czyniły ją nieczułą na uroki zwykłej restauracji, a nawet największy tłum gapiów nie mógł onieśmielić córki Stasia Valensky'ego, tak bardzo przyzwyczajonej do podświadomej sensacji, jaką wywoływało jej pojawienie się w towarzystwie ojca w niedzielne poranki wiele, wiele lat temu.

Rozejrzała się wokół ze spokojną aprobatą. – Ładnie tu – powiedziała ze swobodną wesołością, wdychając namacalną atmosferę składającą się z mgiełki samozadowolenia, pewności siebie, szczerze oceniających spojrzeń ludzi, którzy czuli się wystarczająco pewnie, aby w gapieniu się nie widzieć niczego niewłaściwego, a także ze wzajemnych gratulacji – za samą obecność w tym miejscu – jakie płynęły od stolika do stolika, tworząc niemal widzialny namiot w perfumowanym powietrzu. Daisy była strasznie głodna, ale złożyła spartańsko skromne zamówienie, typowe dla ludzi, którzy mieli do czynienia z tak wieloma jadłospisami, jednym bardziej wyszukany od drugiego, że jedzenie stało się prawie, choć jeszcze nie całkiem, nudne.

Po raz pierwszy od wielu lat Pat Shannon miał trudności z nawiązaniem rozmowy. Daisy wydawała się czuć doskonale, leniwie rozglądając się po sali i nie odzywając się do niego. Dlaczego nie gaworzyła, czemu nie flirtowała, nie próbowała wciągnąć go do rozmowy o samym sobie, jak każda inna przyzwoita, szanująca się kobieta?

Podczas gdy Daisy jadła zimną zupę ogórkową w postaci kremu, Shannon opowiedział jej o swojej podróży do Tokio. Zadała właściwe pytanie, pomyślał, ale wydawała się być... skrepowana, czy znudzona, czy może zamknięta w sobie? Żadne z tych słów nie oddawało nieco obojętnego, choć ugrzecznionego sposobu w jaki dawała do zrozumienia, że sprawy koncernów japońskich były przesadnie merkantylne.

Kiedy byli przy filecie z soli Veronique, kilku znajomych Shannona przeszło koło nich w drodze do wyjścia. Pozdrowili go w taki przewlekłe serdeczny sposób, który stanowczo kazał mu przedstawić ich Daisy. Co za diabeł, pomyślał Shannon, skusił tego dupka Harmswortha, żeby pocałować ją w rękę... jego, urodzonego i

wychowanego na środkowym zachodzie, nawet jeśli teraz był właścicielem połowy Chicago? I dlaczego Zellerbach posłał mu takie znaczące spojrzenie na pożegnanie, jakby Shannon właśnie wygrał dziesięciobój?

Daisy odchyliła się nie ulegając pokusie oparcia się o miękkie poduszki kanapki. Siedziała wyprostowana, ale nie sztywna udowadniając, że podczas gdy inni pochylają się nad talerzami lub wygodnie rozsiadają się przy stole, ona odebrała taką szkołę zachowania królewskiej pozy, że stała się jej drugą naturą. Błogosławiła przykład ze starego filmu, który oglądała kilka dni wcześniej.

Shannon przejął prowadzenie rozmowy pytając ją gdzie studiowała, ale nawet wówczas gdy opisywała nagie szczegóły, delikatnie nie okazywała entuzjazmu dla wspomnień z czasów studenckich. Temat Hama i Topsy Shortów, jedynych wspólnych przyjaciół jakich mieli, też nie wydał jej się urzekający, choć akurat tę opinię Shannon podzielał. W momencie gdy Daisy rozważała, szybko odrzucony, pomysł zamówienia sera – zmusiła się do rezygnacji z deseru, ponieważ zamożne kobiety nie jadają deserów – przy ich stoliku zatrzymały się dwa małżeństwa, znajomi Shannona. Kobiety, z obrzydzeniem pomyślał Shannon, dosłownie płaszczyły się przed Daisy. Bo jak można inaczej określić fakt, iż zapytały ją gdzie kupiła tę boską sukienkę i kto uczesał jej boskie włosy? Ludzie miewali ohydne sposoby wyciągania informacji z innych, powiedział sobie, podczas gdy Daisy udzielała im odpowiedzi, nie ukrywając przejawów łagodnej, automatycznej przyjemności, jak osoba przyzwyczajona do takich, wyrażających podziw, pytań i przypisując kok wykonany w domu salonowi Suga.

Kiedy kelner przyniósł mu pływającą wyspę, deser składający się z kremu z mleka i jajek oraz pływającej w nim piany z ubitych białek, Shannon zdał sobie sprawę, że był bliski wybuchu. Jego obietnica niewspominania o sprawach służbowych wydawała się retrospektywnie absurdalna. Co oni tu robili, jako najbardziej oglądana para, skupiając na sobie ciekawość całego cholernego lokalu, jeśli nie doprowadzi to do ponowienia jego propozycji związanej z Elstree? Oczyma wyobraźni ujrzał tuzin kolacji, podczas których, nie chcąc wywołać gniewu Daisy, pozwalała kampanii Elstree, dzień po dniu, ponieść katastrofalne fiasko. W ostatniej próbie powstrzymania się od rozdrażnienia jej straszliwego temperamentu, zadał jej pytanie, które miał na końcu języka od momentu kiedy opuścili jej mieszkanie.

– Skąd masz ogara?

Odwróciła się do niego, z błyskiem zaniepokojenia w czarnych oczach. – A jak poznałeś, że Tezeusz jest ogarem? – zapytała.

- O, cholera! – jęknął.
- Jak? Nazwałam go psem obronnym.
- To Lucy... – zaczął niewyraźnie mówić ze śmiechem.
- Kto to jest Lucy... twoja jasnowidząca? Jeszcze nikt w tym mieście nigdy nie rozpoznał ogara – powiedziała z błyskiem waleczności w oczach.
- Nie, moja suka, też ogar – przyznał się.
- Aha... człowiek, który wzbudza naturalne zaufanie u psów i dzieci. A więc to wywahał, eau-de-dama-ogara. Dlaczego mi od razu nie powiedziałeś?
- Sam nie wiem.
- Nie wiesz? Jeszcze nie spotkałam właściciela ogara, który nie spytałby mnie natychmiast, jakim mieszkańcem jest Tezeusz.
- Jakim? . . .
- Nie próbuj zmieniać tematu.
- Chyba usiłowałam zrobić na tobie wrażenie – powiedział Shannon, a jego ciemnoniebieskie oczy pod czarnymi brwiami rzuciły jej wyzwanie do psoty. – Ale zdaje się, że sknoćłem to, prawda?
- Niekoniecznie – powiedziała Daisy, posyłając mu pierwszy prowokacyjny uśmiech tego wieczoru. Postanowiła nie dręczyć go. Był człowiekiem, któremu z pewnością nie spodobałoby się jeszcze jedno zażenowanie. – Skoro pytasz, Tezeusz jest mieszkańcem wilczura irlandzkiego oraz charta z jednej strony i ogara z drugiej, z domieszką charta wyścigowego i owczarka. A Lucy?
- Cętkowany chart i wilczur, ale nie mam pewności co do reszty... ale więcej ma z charta. Ale także trochę z kundla.
- One wszystkie mają. Czy polujesz z nią piechotą?
- Lucy gania wszystko co się rusza, ale woli bezkrwawe sporty. Pewnego dnia o mało nie umarła ze strachu jak zabiła zająca. Musiała wpaść na niego przypadkowo.
- Musiałam wytresować biednego Tezeusza w chodzeniu przy nodze albo trzymać go na smyczy. Nie mogę pozwolić mu polować... jest najbardziej sfrustrowanym ogarem w niewoli – powiedziała Daisy ze smutkiem.
- Może powinni się... spotkać? – powiedział Shannon.
- A co zrobisz ze szczeniakami? – zapytała Daisy.
- Pozwolę ci wybrać jednego i podzielę się tym co dostanę za pozostałe – jak tylko to powiedział, zrobiło mu się głupio. Czy wypadało rozmawiać o pieniądzach z tą wszechwładną kobietą?
- To bardzo hojnie z twojej strony – powiedziała Daisy wznosząc brwi w

leciutkim grymasie lekceważenia. – Ale nie chcę brać odpowiedzialności za szczenię. Ty zatrzymaj najładniejsze i wpłać pieniądze na jakiś cel charytatywny. – Na chwilę zamilkła, a potem dodała z uśmiechem: – Zwykle nie wtrącam się w romantyczne życie Tezeusza... całkiem nieźle sam daje sobie radę... ale skoro Lucy też jest ogarem, umówienie ich na randkę może okazać się niezłym pomysłem.

Ośmielony jej uprzejmością w sprawach kynologicznych, Shannon zdecydował się zaryzykować rozmowę na temat Elstree z tą dumną i tak łatwo obrażającą się istotą. Im dłużej patrzył na jej perfekcyjny profil i obserwował błogą harmonię jej ruchów, im dłużej słuchał jej niskiego i czarującego głosu, tym bardziej był przekonany, że była w stanie przywrócić wiarę w dziedziczną arystokrację w każdym kraju, łącznie z czerwonymi Chinami, a co było jeszcze ważniejsze, sprzedać spore ilości kosmetyków i perfum amerykańskim kobietom.

– Daisy – zaczął, ale zamilkł. Jej serce, walące na myśl o tym, że ma sama poruszyć sprawę Elstree, zaczęło bić znacznie wolniej. Poznała po sposobie w jaki wypowiedział jej imię, że za chwilę zacznie negocjacje.

– Tak, Shannon? – odezwała się zapraszająco i rzuciła mu spojrzenie kojarzące się z kaskadą opadających ciemnych gwiazd.

– Daisy, wiem, że obiecałem nie rozmawiać o tym, ale chciałbym, żebyś jeszcze przemyślała problem zrobienia reklam dla Elstree. Obiecałem, że nie będę wywierał żadnych nacisków na ciebie, ale przyszło mi do głowy, że być może nie spojrziałaś na to z punktu widzenia wyzwania... wcześniej wspomniałaś, że uwielbiasz wyzwania... Może gdybyś rozważyła ten problem w takim świetle...

– Już rozważyłam. Powiem więcej, zastanawiałam się nad tym bardzo długo i bardzo poważnie.

– I?...

– Shannon, jeśli podpiszę kontrakt na zagranie roli księżniczki Daisy dla Elstree, będę musiała pogodzić się z rezygnacją z wielu rzeczy, które bardzo sobie cenię. Pierwszą i najważniejszą jest prywatne życie bez rozgłosu; następną – niechęć do zarabiania na tytule; kolejną będzie prawie na pewno praca, ponieważ nie dam rady wywiązać się dobrze z obu zajęć. Będę musiała poświęcić swobodę robienia co chcę i kiedy chcę, bez niczyjego wtrącania się. Och, przecież to jest Księżniczka Daisy, to jest Dziewczyna Elstree... nie cierpię kiedy pokazują mnie palcem i gapią się na mnie. Stracę całą anonimowość, którą chroniałam przez tyle lat. – Odmalowywała szczegółowy obraz przyszłości niemal chrapliwym głosem. – Stanę się jeszcze jednym słowem używanym w domowych zaciszach... zakładając, że kampania się powiedzie... a od tego nie ma odwrotu.

– Czyli odpowiedź brzmi nie – powiedział.

– Odpowiedź brzmi tak. – Nie czekała na jego reakcję. – Żądam miliona dolarów i kontraktu na trzy lata, w trakcie których będziesz mógł wykorzystywać moją twarz, moje nazwisko i tak dużo moich naturalnych blond włosów ile będziesz chciał dla sprzedaży Elstree, i to na wszystkie sposoby, od reklam poczynając, a na domach towarowych kończąc. Ale: milion dolarów ma być rozłożony na trzy raty, pierwsza przy podpisaniu umowy, reszta na przestrzeni trzech lat, bez względu na to czy kampania się uda, czy nie, nawet jeśli zrezygnujesz z symbolu Księżniczki Daisy, bo nie – będzie się sprzedawał, a także w sytuacji gdybyś znowu zmienił agencję reklamową, a oni wymyśliliby coś innego. W przeciwnym razie nie mamy o czym rozmawiać.

Milion dolarów, pomyślał Shannon, a ja nawet nie wiem jak ona wychodzi na zdjęciach.

– Albo – powiedziała Daisy – zapomnij o całej sprawie.

– Zgoda – wtrącił pospiesznie. – Jak to się stało, że zmieniłaś decyzję?

– Z powodów osobistych – odpowiedziała Daisy z dyskretnym, tajemniczym uśmiechem i wielką falą przerażenia i triumfu, które sprawiły, że poczuła serce w gardle.

Rozdział 22

Northa rozbawiło to na niecałe trzy minuty. Rozbawiło tak, jak mógłby go rozbawić zaprzyjaźniony, puszysty kotek, któremu przyszłoby do głowy parsknąć na niego. Czemu by nie pozwolić mu zmęczyć się, stosując taktykę przypadkowego pogłaskania grzbietu ręką w rękawiczce? Ale kiedy Daisy po raz drugi cierpliwie wyjaśniała swoje plany, nie minęły nawet trzy minuty nim zrozumiał, że mówi poważnie.

– Nie pleć głupstw – powiedział surowo ze zmarszczonymi brwiami. – Nie możesz tego zrobić, nie masz zielonego pojęcia o pracy modelki, ani o lansowaniu czegoś... będziesz w tym okropna... ten cały pomysł jest idiotyczny. Nie wiedziałem, że możesz być tak nierozsądna i zdecydować się na taki wygłup.

– Shannon nie uważa, że się wygłupię – ostro odpowiedziała Daisy. Miała dość wewnętrznych wątpliwości i bez konieczności sprzeciwienia się opiniom Northa co do jej zalet.

– Shannon! Ten wścibski kretyn! Zjawia się, rujnuje idealnie obmyślaną kampanię, wpada w amok na punkcie twoich wspaniałych włosów i klasycznej urody... Jeszcze jeden snobistyczny biznesmen, który wyobraża sobie, że jest twórcą gwiazd – szydził.

– Nie chcę się kłócić o Pata Shannona – powiedziała Daisy.

– Chcę tylko, żebyś uświadomił sobie, że muszę odejść ze studia.

– A to jest dokładnie to, czego nie masz prawa zrobić! Kto zaryzykował, do diabła, kiedy przyjechałaś z tej zwariowanej uczelni kalifornijskiej w poszukiwaniu pracy... pracy, o którą stara się dwadzieścia osób tygodniowo?

– Chciałam ci przypomnieć, że to Bootsie Jacobs mnie zatrudniła.

– Tylko dlatego, że ja przyzwoliłem na to. Czy zdajesz sobie sprawę, ile czasu i pieniędzy włożyłem w zrobienie z ciebie producentki reklam? Nauczyłaś się tego zawodu moim kosztem. I nie obchodzi mnie, że musiałaś harować po czternaście godzin dziennie, otrzymałaś bezcenne szkolenie, a ponadto nie każdy reżyser w tym mieście znośliby cię... zapłał to jeszcze nie wszystko.

– Szybko się uczę. Ciężko pracowałam dla ciebie przez pięć i pół roku, a poza tym od samego początku miałam talent – sprzeciwiła się Daisy. – Zawsze.

– Talent to nie wszystko! Wielu ludzi ma talent. Chodzi o znajomość rzeczy... i teraz, teraz, kiedy jesteś użyteczna, decydujesz się odejść. Nie pojmuję jak możesz to zrobić, jeśli masz choć trochę przyzwoitości. Chyba nie spotkałem nikogo tak

niewdzięcznego.

– Powtarzam. Muszę zarobić bardzo dużo pieniędzy, North.

– Pieniądze. Pieniądze... dobrze wiesz, do cholery, że zarabiasz tyle samo co wszyscy inni producenci w branży.

– Więc dołóż sto dolarów i bez kłopotu zatrudnisz producentkę Boba Giraldiego, producenta Steve'a Horna, albo Sally Safir... zawsze ją podziwiałeś.

– Ależ Sally jest równoprawnym partnerem Richarda Heimanna! Kto mógłby sobie na to pozwolić? – North zawył z prawdziwą wściekłością.

Daisy przyjrzała mu się spokojnie. – Najwyraźniej Richard może.

– Czy to dlatego wystawiasz mnie do wiatru... dla odrobiny akcji?

– Oczywiście, że nie. Nie wystawiam cię. Odchodzę, żeby zarobić tyle pieniędzy, ile będę mogła.

Na twarzy Northa pojawił się słodki wyraz intymności, którego nie widziała od tygodni.

– Dobrze... przyznaję, że nie mogę konkurować z Elstree. Nie rozumiem dlaczego musisz zarobić tyle pieniędzy, ale respektuję fakt, że musi to być bardzo ważne, skoro podjęłaś taką zwariowaną decyzję. W porządku... pozwolę ci odejść, Daisy, powodzenia. Chcę cię tylko zapytać, czy zastanawiałaś się jak to wpłynie na nasz związek?

– Jak to wpłynie? – zapytała z udawanym niewielkim zainteresowaniem.

– Skoro upierasz się przy odejściu, pewne rzeczy ulegną zmianie. – Patrzył na nią promieniując całym cennym, oszałamiającym urokiem, który umiał przywołać kiedy chciał.

– Jakie rzeczy? – zapytała niewinnie.

– O cholera, nie cierpię tego rodzaju rozmowy – poskarżył się North. – Jest typowo babska.

– Ale sam ją zacząłeś. Posłuchaj, North, to co zaszło w Wenecji powinno było tam się skończyć, w dniu, w którym odwołano strajk. Stało się to dlatego, że nienawidzisz bezczynności. Ale skończyło się wiele tygodni temu i wiesz o tym. Przestań grzebać w popiele. Odchodzę i dasz sobie radę beze mnie.

– Masz cholerną rację, że dam sobie radę! – North był wściekły, on, człowiek, któremu nigdy nie krzyżowano planów i którego z pewnością nie opuszczano. Kiedy dochodziło do opuszczenia, on robił to na swoich warunkach, z taką łatwością, z jaką zrywał owoc, kiedy dojrzał. Jego poskromione bestie nigdy nie odkrzykiwały i nigdy, przenigdy nie opuszczały klatki bez jego zezwolenia. – Nie jesteś, kurwa, niezastąpiona! – krzyknął.

- Nie mam wyboru.
- Jak cholera, nie masz!

Daisy popatrzyła na niego z zastanowieniem. Wiedziała, że dobrze robi nie wyjaśniając mu powodów przyjęcia oferty Elstree. Ten sam instynkt, który powstrzymywał ją od mówienia o sobie – jeśli nie liczyć powierzchownych wzmianek, kiedy byli w Wenecji – nadal drzemał gdzieś w głębi. North był zbyt skamieniały, zbyt szorstki, zbyt szybki w odrzucaniu wszystkiego co rozmijało się z perfekcją. Nagle zdała sobie sprawę, że pod tym względem był taki sam jak jej ojciec. Nawet wówczas gdy się kochali, dostrzegała w nim tylko drobne zmiany. Nie odczuła szczerego oddania i czułości, faktycznego rozluźnienia precyzyjnej dokładności, większej tolerancji dla ludzkich słabości. Brakowało mu jakiegoś daru, zdolności do kochania i akceptowania. Nie potrafiłaby wykorzystać informacji o Anabel i Danielle jako emocjonalnego szantażu, który miałby zmusić go do przebaczenia, nie mogła wyłuszczyć mu swoich osobistych problemów w formie łapawki za to, że pozwoli jej skorzystać z okazji, do czego miała pełne prawo i powód. Stała bez ruchu, twarz w twarz z Northern, cierpliwa, niczego nie żądając, a jednak tak zatwardziała mocą i godnością urody, że sięgnął po ostatni argument.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że moglibyśmy znaczyć bardzo wiele jedno dla drugiego, Daisy. Moglibyśmy stanowić wspaniałą parę. – Jego głos i wyraz twarzy były w stanie zmusić dziesięć kobr, tuzin pytonów i co najmniej trzy węże boa do zwinięcia się i gruchania.

Daisy wysłuchiwała go w milczeniu i włożyła płaszcz. Kiedy doszła do drzwi, odwróciła się.

– North, gdybyś się znalazł na bezludnej wyspie bez dostępu do telefonu, stanowiłbyś parę z orzechem kokosowym.

– Sama nie wiem co jest bardziej podniecające – powiedziała Kiki. – I ta niemożność zdecydowania się doprowadzi mnie do załamania nerwowego. – Poglądziła brodę Luke'a i zapytała: – Czy wiesz, że twoje oczy mają dokładnie taki sam kolor jak winogrona bez pestek?

– Ty rzeczywiście masz problemy – zgodził się Luke. – Opowiedz o nich doktorowi, a ja cię szybko wyleczę. – Oparł ją wygodniej na swoim ramieniu i podciągnął koldrę.

– Cóż, z jednej strony Daisy będzie bogata i sławna, będzie gwiazdą reklam i jest to wspaniałe, podniecające i czyni mnie szczęśliwą, ale z drugiej strony moja matka przyjeżdża i chce poznać twoją matkę, a twoja matka chce poznać moją

matkę, a to jest straszne, okropne i przyprawia mnie o ból brzucha.

– Ależ to naturalne, że chcą się poznać, moje biedne maleństwo... ich dzieci zamierzają się pobrać. Do końca życia będą mishpocha, więc są odrobinę ciekawe jedna drugiej. A poza tym wystarczająco długo ukrywałaś mnie przed swoją matką.

– Co? Czym one będą? Brzmi to niesmacznie. O, Boże, nigdy przedtem o tym nie wspominałaś! – lamentowała Kiki z oburzeniem.

– To znaczy, że będą krewnymi, albo raczej, będą spokrewnione poprzez małżeństwo... coś w tym rodzaju, nie mam stuprocentowej pewności. Wiesz, że moja matka zawsze była przeciwna używaniu choćby jednego słowa z nowohebrajskiego... czasami stawia mnie to w cholernie niekorzystnej sytuacji... może powinienem wziąć lekcje? Ale możesz mi wierzyć, że to bardzo poważne. *Mishpocha* zostaje się do końca życia!

– Ale dlaczego my musimy być obecni przy tym spotkaniu? Nie moglibyśmy po prostu zorganizować im lunchu w jakiejś bardzo dobrej restauracji, żeby same dokonały wzajemnego przedstawienia się? – zasugerowała Kiki, a nerwy sprawiały, że zachowywała się jak dziesięciolatka.

– Nie za bardzo znam się na protokole zaręczyn, ale wiem, że twoja propozycja jest absolutnie niedopuszczalna Nawet o tym nie myśl. Boże... jednak byłoby dobrze móc tego uniknąć. Eleanor Kavanaugh, królowa Grosse Pointe Country Club i Barbara Hammerstein, królowa Harmonie Club... klubów, z których żaden nie przyjmuje członków wyznających religię drugiego, chyba że w drodze wyjątku, a i to rzadko... *mishpocha!*

– Proszę cię, przestań powtarzać to słowo – poprosiła Kiki. – Musi być jakieś ładniejsze określenie.

– *Mishpocha* nie ma nic wspólnego z ładnym... to po prostu życiowy fakt, który narzucają na ciebie dzieci i przy odrobinie szczęścia bywa to nieco mniej katastrofalne niż hiobowe wieści, ale nic na to nie możesz poradzić... musisz się z tym pogodzić i najwyżej możesz sobie porozpaczać w odosobnieniu. Potraktuj to jako interesujący epizod w radosnych, nieprzerwanie trwających stosunkach między chrześcijanami i Żydami.

– Boję się, że to bardziej będzie przypominało wojnę sześciodniową – złowieszco przewidywała Kiki. – Luke, czy musisz... to znaczy, czy masz zamiar?...

– Mów dalej... możesz pytać o co chcesz – zachęcił ją.

– Wystąpić... w kapeluszu? Na ślubie?

– Na niebiosa, oczywiście, że nie. Niby dlaczego miałbym włożyć kapelusz?

Chyba że uważasz, iż byłoby mi w nim dobrze. Mogłoby to być szykowne, zwłaszcza przy mojej brodzie. Może filcowy, albo może melonik. W końcu jestem pieprzonym elegantem, a przynajmniej za takiego uchodzę.

– Myślałam, że musisz. – Kiki była oszołomiona.

– Nie wtedy, kiedy ślubu udziela sędzia – zaśmiał się Luke. – Ale oczywiście, kochanie, jeżeli chcesz rabina... nie? Zawsze jeszcze możemy zbiec.

– I złamać serce mojej matce? Jestem jej jedyną córką, ty niewymowny chamie. Wyjaśniłam, dlaczego musimy poczekać ze ślubem do lata... trzeba przygotować wyprawę panny młodej, wydać tysiące przyjęć zaręczynowych oraz poczekać aż wszyscy moi kuzyni będą mieli wakacje, bo komuś mogłoby się nie udać przyjechać.

– Broń Boże! – powiedział Luke z rezygnacją.

– Poza tym muszę mieć osiem druhen, z Daisy na czele, moich braci jako mistrzów ceremonii... będziesz musiał gdzieś znaleźć jeszcze sześciu... no i nie będzie, oczywiście, biskupa, ale i tak nigdy go nie lubiłam. Mama stosunkowo łatwo pogodziła się z sędzią, chociaż planowała mój ślub od kiedy upewniła się, że będzie miała córkę.

– Wątpię, aby kiedykolwiek marzyła, że będzie to triumf ekumenizmu – złośliwie zaśmiał się Luke. – Ale wszyscy powinniśmy poszerzać horyzonty – powiedział możliwie najbutniej zastanawiając się, skąd weźmie sześciu w miarę przystojnych mistrzów ceremonii. Wyśmieją go w Art Director's Club.

– Pieprzę cię, Luku Hammerstein!

– Nie mam nic przeciwko temu. Połóż tylko swoją rączkę tutaj i przesuwaj nią w górę i w dół.

Dwa dni później, punktualnie o pierwszej, trzęsąca się i starannie ubrana Kiki, z ustami drżącymi ze strachu, wprowadziła majestatyczną i nadal urodziwą matkę do restauracji La Grenouille. Wraz z Lukiem wybrali najelegantszy lokal w Nowym Jorku mając nadzieję, że jego atmosfera złagodzi bojowe natury obu dam. Co najmniej dziesięć minut powinno zejść na rozmowie o kwiatkach na stole, zauważył Luke, a następne dwadzieścia na studiowaniu jadłospisu. Luke siedział już przy stoliku w towarzystwie matki, młodzieńczo wyglądającej kobiety w rzucającym się w oczy kapeluszu, kapeluszu, który dawał do zrozumienia Grosse Pointe, kim dokładnie jest Barbara Fishbach Hammerstein. Luke i jego matka wstali, kiedy Kiki i Eleanor Kavanaugh podeszły.

– Mamo – Luke i Kiki powiedzieli jednocześnie. Wówczas zamilkli i zaczęli od

nowa. – Mamo, to jest matka Luke'a – ledwo słyszalnie powiedziała Kiki, zapominając nazwisko Luke'a.

Eleanor Kavanaugh wyciągnęła rękę wyżej, oczy; cierpiała na krótkowzroczność, ale odmawiała noszenia okularów; następnie powoli cofnęła dłoń, mówiąc pytająco: – Bobbie? Czy to możliwe, że to ty, Bobbie... Bobbie Fishbach?

– O mój Boże! Ellie Williams... poznałabym cię bez trudności... nic się nie zmieniłaś! – krzyknęła Barbara Hammerstein z ciekawością i radością.

– Och, Bobbie! – matka Kiki rzuciła się w ramiona matce Luke'a. – Najdroższa Bobbie! Zawsze się zastanawiałam, co się z tobą dzieje.

– Nie odpowiadałaś na moje listy – odpowiedziała Barbara Hammerstein wybuchając płaczem.

– Moi rodzice zbyt często się przeprowadzali... nie dostałam tych listów. Myślałam, że zapomniałaś o mnie.

– Zapomniałam o swojej najlepszej przyjaciółce? – powiedziała matka Luke'a ciągle płacząc. – Nigdy.

– Kiedy to miało miejsce? – zapytał podniecony Luke. – Jak to się stało, że nie poznałyście swoich nazwisk?

– To było w Scarsdale... chodziłyśmy razem do dziesiątej klasy – pochlipywała rozemocjonowana Eleanor Kavanaugh. – Potem dziadek zbankrutował i musieliśmy sprzedać dom i wyprowadzić się... i, na miłość boską, Luke, to nieważne. Och, Bobbie... czyż to nie cudowne? Teraz będziemy *mishpocha*!

– Skąd znasz to słowo? – zapytała pani Hammerstein wzdragając się.

– Od tygodni je ćwiczę, moja droga Bobbie. Ale pozwól, że ucałuję twojego syna... w końcu zostanie moim *aydem* – powiedziała pani Kavanaugh, z dumą popisując się świeżo opanowanym nowohebrajskim odpowiednikiem zięcia.

– Twoim czym? – zapytała pani Hammerstein.

Patrick Shannon chodził w swoim biurze po podłodze pokrytej terakotą z suszonej cegły. Było to następnego dnia po zdobyciu zgody Daisy na reprezentowanie Elstree i przy pierwszej nadarzającej się okazji zwołał ludzi, którzy będą zaangażowani w kampanii, tych samych ludzi z Elstree i z agencji, którzy uczestniczyli w zebraniu w studiu Northa.

Shannon wydawał się kwitnąć wobec konieczności odbycia kolejnej narady, pomyślał Luke, jednocześnie licząc ile ważnych spotkań w agencji opuści.

– Nie mamy ani dnia do stracenia – powiedział obecnym Shannon, który

wyglądał na tak zdeterminowanego jak herszt złodziei po zlokalizowaniu załadowanego wagonu spokojnie jadącego przez prerię. – Przemysł kosmetyczny i perfumeryjny ma obroty sięgające dziesięciu miliardów dolarów rocznie, a jedną trzecią tego osiąga od Święta Dziękczynienia do Bożego Narodzenia. Jeśli chcemy myśleć o wyjściu na swoje, musimy znaleźć się w sklepach przed Świętem Dziękczynienia. Daje nam to mniej niż siedem miesięcy, bo musimy wystartować we wrześniu.

– To za mało czasu, Pat – powiedział Hilly Bijur. – Zastanów się o czym mówisz: nowe opakowania, nowe reklamy telewizyjne i prasowe, zupełnie nowy sposób podejścia do klienta...

– Hilly, spójrz na to co już jest – przerwał mu Pat. – Mamy podstawowe kosmetyki, cały ich zestaw. Nie musimy w nich zmieniać nic poza opakowaniem, ponieważ są doskonałe... tyle że się nie sprzedają. Na razie. Mamy otwarte drzwi... Elstree już istnieje w pięciu tysiącach butików. Koszty transportu i innych – opłat zredukowaliśmy do minimum. Nie zaczynamy od zera... potrzebujemy tylko wykończenia, tylko udekorowania tortu. Na miłość boską...

– Pat...

– Posłuchaj mnie, Hilly, ten nowy zapach, który chemicy w Elstree stworzyli w zeszłym roku jest niezawodny. Do tej pory nie miał nawet żadnej nazwy... teraz nazywa się Księżniczka Daisy i podoba się nawet mojemu psu. Nie mniej niż olejek jaśminowy po osiem tysięcy dolarów za kilogram. Musimy tylko postarać się, żeby kobiety go powąchały i wypróbowały kosmetyki... spodobają im się... to dobre produkty.

– Pat – zapytał dyrektor do spraw rynku, Jared Turner – jakie cyfry przewidujesz na ten rok, jeśli wziąć pod uwagę, że w zeszłym roku Elstree straciła trzydzieści milionów dolarów?

– Dążę do obrotu sięgającego stu milionów dolarów w sprzedaży detalicznej.

Niech cię szlag trafi, pomyślał sobie Turner. Ale głośno powiedział rozsądnie: – Ale Avon jest największym przedsiębiorstwem kosmetycznym na świecie i oni osiągają miliard. Mówisz o dziesięciu procentach ich obrotów, a w tej chwili jesteśmy w głębokim dołku.

– Jedną z tych rzeczy, które najbardziej lubię w tej grze jest fakt, że wszystko można szybko zmienić – odpowiedział Shannon, z podniecenia wyrывая kolce z kaktusa. – Naprawdę szybko... jeśli załatwi się to odpowiednio.

– Nie przedstawiłeś nam budżetu na reklamę – Luke wtrącił się do rozmowy. Całe to gadanie o załatwieniu czegoś nie miało najmniejszego znaczenia bez

wsparcia pieniędzmi.

– Średnio w tym przemyśle na reklamę i lansowanie wydaje się dziesięć procent z każdego dolara ceny detalicznej... mam zamiar to podwoić. W oparciu o moje ogólne obliczenia na perfumy i kosmetyki Księżniczki Daisy przeznaczymy dwadzieścia milionów dolarów.

A więc tak to wygląda, pomyślał Hilly Bijur. Ciekawe czy Norton Simon Inc. nadal poszukują kogoś do prowadzenia Max Factora. Jest w kłopotach, ale nie w takich, w jakie ładuje się Elstree.

– Dwadzieścia milionów dolarów – biernie powtórzył Luke, gładząc brodę w taki sposób, że Oscar Pattison i Kirbo Henry, autor tekstu i dyrektor artystyczny, popatrzyli na siebie z rozbawieniem.

– A jedna trzecia tego jeszcze przed świętami – dodał Shannon. – Oznacza to oczywiście, że zawałam potencjalny zysk za ten rok, – jakkolwiek by na to spojrzeć, aleja myślę d! . ^terminowo, za dwa lata staniemy na nogi, a za trzy będziemy na szczycie.

– Ale Pat, co się stanie jeśli nie zmienisz spraw Elstree? Stracimy pieprzoną fortunę! – nalegał Turner z zuchwałą postawą człowieka, który nie zgadza się, aby mu zasłoniono oczy przed plutonem egzekucyjnym.

– A udziałowcy usmażą moje jądra na śniadanie – wesoło dodał Shannon. – W ostrym sosie chili, na małym ogniu i przy głośnych oklaskach.

– Moglibyśmy zaoszczędzić na opakowaniach – próbował pomóc Hilly Bijur. – Mamy cholernie dużo pieniędzy zainwestowanych w zeszłoroczne opakowania... można by je jakoś wykorzystać, żeby nie poszły na stratę w całości... Może...

– Hilly, wprowadzamy absolutnie nową rzecz... Księżniczkę Daisy... żadnych odnawianych staroci – przerwał mu Shannon.

– Dziękuję, że myślisz o gospodarności, ale tym razem nie pójdziemy na łatwiznę. Zbierz swoich projektantów opakowań i każ im ruszyć całą parą... ma to mieć taką klasę, że włosy staną dęba na głowie. Zelektryzuj mnie! Wydaj ile chcesz, ale dopilnuj, żeby opakowanie odzwierciedlało osobowość Daisy... nie może być zbyt nowoczesne, nie jakaś tam era kosmosu, i nie może mieć żadnych ukrytych wad.

– Dobrze, Pat – powiedział Hilly Bijur myśląc, że teraz, kiedy Charles Revson był już bezpiecznie w grobie, jest odpowiedni czas na spróbowanie szczęścia w Revlonie. Zgodziłby się nawet na nieco niższą pensję, gdyby musiał. „Odzwierciedla osobowość Daisy”.. tej dziewczyny w kombinezonie stolarskim... gdzie on, do cholery, podział swoje Rolaidy?

– Wpadliśmy na parę pomysłów od czasu spotkania z Northern – powiedział Luke. – Mówiłeś o romantyzmie, ciepłe, uroku i cechach gwiazdy. Skoro mamy teraz pracować z Daisy, zrobiliśmy przymiarkę do czegoś, co Oscar nazywa podejściem Romanova...

pokażemy Księżniczkę Daisy tak, jak wyglądałaby przed rewolucją, ubraną w ówczesne dworskie stroje, w królewskiej biżuterii, czy też klejnotach możliwie ją przypominających, a dostępnych poza rosyjskimi muzeami...

– Przykro mi, Luke, ale to jest zbyt daleko idące i przesadne jak na mój gust... Chcę, żeby była jednak trochę bliżej konsumenta – natychmiast powiedział Shannon.

– Przypuszczałem, że tak to przyjmiesz. – Luke uśmiechnął się.

Zawsze podsuwał im pozornie możliwy do przyjęcia pomysł, żeby mogli go odrzucić. Gładko ciągnął dalej: – Następny projekt jest całkiem współczesny i uderza w głębokie i nieprzemijające pragnienie każdej kobiety, którego emancypacja nie zmniejszyła ani o jotę, dzięki Bogu: być atrakcyjną dla mężczyzn. Sfilmujemy salę balową pełną tancerzy... lub dyskotekę pełną tancerzy... wszystkie rodzaje tańców; najpierw ujęcie z góry, a potem najazd na tańczącą Daisy, z włosami w powietrzu, nieskończenie promieniującą, zmysłowo zasłuchaną w muzykę, wcielenie tancerki. Potem...

– Przepraszam, Luke – przerwał mu Shannon – ale tego też nie kupię. To mogłoby się udać ze zwykłą modelką, ale skoro mamy do czynienia z księżniczką, musimy pamiętać o klasie, w każdym centymetrze, przynajmniej tak mi się wydaje, tymczasem to zmysłowe zapomnienie jakoś mi tu nie pasuje. – Shannon ściągnął brwi. Ponieważ wszystkie krzesła w jego gabinecie były zajęte, z wyjątkiem fotela za biurkiem, w którym zasiadał tylko wtedy kiedy był sam, stał oparty o ścianę. Wyglądał jak pilny uczeń z czarnymi włosami opadającymi na czoło aż do brwi, z zaniepokojonymi niebieskimi oczami i rowkiem wokół pełnych ust wyrażającym przejęcie problemem, który w tej chwili przysłonił wszystkie inne sprawy Supracorp.

– Jest też trzecia możliwość, którą osobiście uważam za najbardziej pociągającą – powiedział nie zbity z tropu Luke. Nie tylko miał trzecią, ale gdyby zaszła potrzeba, wymyśliłby trzydziestą. Piętnaście procent od dwudziestu milionów dawało trzy miliony dolarów; a tyle brała agencja reklamowa. Za taką cenę Shannon mógł liczyć na cały worek pomysłów.

– Słuchamy.

– Daisy należy do arystokracji, a są dwa sposoby w jakie Amerykanie widzą

arystokratów, to znaczy arystokratów – obcokrajowców. Albo przewodniczą społecznym akcjom... ale to nudne... albo bawią się, ponieważ są bogaci i jeżdżą tam gdzie można się zabawić. Chciałbym wysłać Daisy w podróż dookoła świata, wszędzie tam gdzie spotyka się arystokracja z różnych krajów... na przykład St. Moritz, albo kurort Aga Kahn na Costa Smerelda... i pokazać ją wśród swoich, ubraną odpowiednio do najnowszej mody miesiąca, w którym będziemy kręcić... kombinezony narciarskie i futra, kostiumy kąpielowe, francuskie suknie i duże kapelusze... zależy... będzie żyła życiem ze snu, ale, będąc tym kim naprawdę jest, uczyni to wiarygodnym. I tutaj uderzymy w marzenie o wspaniałym życiu, nieobce żadnej kobiecie... poprzez Daisy stanie się ono dostępne. A przez skojarzenie, każda potencjalna klientka stosująca kosmetyki Elstree, będzie za każdym razem wcierała odrobinę tych wspaniałości w siebie.

– Wszyscy obecni oczekiwali na reakcję Shannona na ten ostatni pomysł. Helen Strauss, odpowiedzialna za reklamę w Elstree, jeszcze raz zdała sobie sprawę, że decyzja nie należy do niej. Shannon myślał, przedłużając ciszę.

– Luke, to dobry pomysł, ale zraża mnie to, że Jet Set, a do tego to się sprowadza, traktowany jest jako kompletnie bezwartościowy... staromodne, leniwe bogactwo. Jeżeli Daisy będzie bez przerwy pokazywana jako należąca do tego świata, zostanie tym napiętnowana. Obawiam się, że ryzykujesz wywołanie zazdrości, a kobieta nie kupi produktu polecanego przez osobę, która budzi wielce uzasadnioną zazdrość. Nasze klientki, które utworzą nie istniejącą jeszcze grupę, będą się składały w połowie z pracujących kobiet, a w połowie z gospodyń domowych i studentek. Nie chodzi nam o sprzedaż dla leniwych bogaczy, bo są zbyt nieliczni. Ale podoba mi się pomysł przedstawienia Daisy jako arystokratki... Supracorp właśnie to w niej kupiła... ale w inny, bardziej subtelny sposób. Osobiście ciągle widzę ją w Anglii, choć nie jestem całkiem pewny dlaczego.

– Dlatego że do tej pory zachowała minimalny, prawie niezauważalny brytyjski akcent... wychowywała się w Anglii do ukończenia piętnastu lat – wyjaśnił mu Luke.

– Skąd wiesz tak dużo na jej temat? – zapytał Patrick z nagłą nutą podejrzliwości, na dźwięk której sam poczuł się zaskoczony.

– Jestem... eee... zaręczony z jej współlokatorką – nieśmiało powiedział Luke. Zaręczyny były najbardziej akceptowaną rzeczą, jaką Luke'owi Hammersteinowi zdarzyło się uczynić.

– Ze współlokatorką z Grosse Pointe?

Luke przytaknął.

– Kiki Kavanaugh... United Motors? Moje gratulacje, Hammerstein, to wspaniale.

Wszyscy obecni spojrzeli na Luke'a z nowym uznaniem. Kavanaugh... Detroit... United Motors... szczęściarz z tego Luke'a. Wiedzieli, że był sprytny, ale nie podejrzewali go o aż taką przebiegłość.

Poirytowany Luke szybko wrócił do tematu. – Ma pan na myśli Anglię, panie Shannon?

– Tak. Oraz zamki... widzę ją na tle zamków, zawsze zamków, na przykład galopującą w kierunku wejścia... żadna modelka nie potrafi galopować tak jak ona; albo może przechadzającą się z psami po ogrodzie, z zamkiem w głębi...

– Corgi... to pies, którego królowa angielska zawsze ma przy sobie... są ulubieńcami rodziny królewskiej – pospieszyła z pomocą Candice Bloom.

– Ogar, może dwa – Shannon odezwał się wizjonerskim głosem, wprawiając wszystkich w zakłopotanie.

– Jedząca truskawki ze śmietaną, na klombie, z zamkiem w tle – powiedział Oscar Pattison.

– Tak, to jest dobre – zgodził się Shannon. – Tak, świeże powietrze, Anglia, zamki... może jakiś facet do towarzystwa... zawsze towarzystwo faceta... ale żadnych modeli... prawdziwi młodzi lordowie... ale przy delikatnym podejściu, wystarczy jeśli będzie zamek... resztę zrobi sama, zapewni nam splendor i romans. Każda kobieta będzie chciała być księżniczką i żyć w zamku... być może nie do końca życia, ale choć przez jakiś czas – powiedział Shannon, w końcu zadowolony. – A ponieważ jest Amerykanką, będą się z nią utożsamiać. Jeszcze przed startem kampanii cały kraj powinien wiedzieć, że jest pracującą amerykańską dziewczyną i tak się składa, że jest również księżniczką. – Candice – zwrócił się do szefowej reklamy – to będzie twoje zadanie. Chcę, żebyś nadała Daisy takiego rozgłosu, nad jakim jeszcze nie pracowałaś... zorganizuj bajeczne przyjęcie dla prasy tuż przed zaprezentowaniem nowych perfum i naprawdę wykorzystaj wszystkie swoje kontakty, żeby załatwić jak najwięcej wywiadów i sesji zdjęciowych. Zainteresowanie prasy powinno być naturalne ze względu na to kim byli jej rodzice, a także dlatego, że jest stosunkowo tajemniczą dziewczyną... ale mimo to nie chcę, żebyś czekała aż dziennikarze przyjdą do ciebie, masz być tak agresywna, jakbyś pracowała z zupełnie nieznaną osobą. To oczywiste, że znajdziemy się w *Women 's Wear*, *Vogue*, *Bazaar* oraz w artykułach związanych z nimi publicystów, ale chcę dotrzeć także do magazynów wielonakładowych... *Good House*, *Journal i Cosmo*... wiesz, co masz robić. Ale nade wszystko potrzebne nam poparcie *People*.

Chcę mieć zdjęcie Daisy na okładce *People* przed Świętem Dziękczynienia... powiem więcej, liczę na to.

Candice Bloom tylko przytaknęła. Znała swoje możliwości. Prawdopodobnie mogła mu załatwić wszystko, z wyjątkiem okładek w magazynach *Time*, *Newsweek* i *People*. Gdyby Daisy była młodą piosenkarką rockową lub gwiazdą cotygodniowej komedii telewizyjnej... lub przynajmniej wschodzącą gwiazdą, może udałoby jej się zdobyć *People*, ale co tam, do diabła, tam też miała pewne znajomości, które oszczędzała na jakąś wyjątkową sytuację i teraz warto było spróbować szczęścia, jeśli chciała utrzymać się na stanowisku, a tego chciała. Praca nad reklamą była głównianym zajęciem, ale lubiła je... nawet jeśli psycholog nie potrafił jej wyjaśnić dlaczego.

Luke pomyślał, że pierwszy raz zdarzyło mu się przygotować kampanię z tak poważnym udziałem sponsora od samego początku, ale wyglądało na to, że powinno się udać. Słyszał o wysokiej rangi dyrektorach trzymających rękę na pulsie, teraz zrozumiał co to oznaczało. A jednak Shannon nie wiedział o wszystkim. Luke miał jeszcze parę asów w rękawie.

– Panie Shannon, główny problem... dla Elstree, tak jak dla każdego perfum sprzedawanych w Ameryce, polega na tym, że kobiety mają skłonność do traktowania perfum jako artystycznego eksponatu. Kupują flakonik lub dostają w prezencie, po czym sięgają po niego tylko przy wyjątkowych okazjach, albo wręcz pozostawiają nie otwarty na bieliźniarce... w przeciwieństwie do Europejek, które używają mnóstwo perfum i zaraz kupują następne. Amerykanki używają wielu kosmetyków, ale perfumy traktują jakby były szampanem, a nie białym winem Galio. Poza tym nie rozmawialiśmy jeszcze o tekście dla kampanii Księżniczki Daisy. Usiłujemy sprzedać dwie rzeczy... cały zestaw kosmetyków oraz osobny zestaw: perfumy i woda toaletowa. Chciałbym ograniczyć się tylko do jednego sloganu dla każdej reklamy telewizyjnej i prasowej, sloganu, który miałby odniesienie zarówno do kosmetyków, jak i do perfum... ponadto sloganu, który Daisy będzie w stanie wygłosić przekonująco nie musząc wysilać się na aktorstwo.

– Luke wstał z krzesła. Tylko ktoś z góry przegrany mógłby przedstawić slogan w pozycji siedzącej. Wykonał ściśle obliczoną pauzę, po czym przemówił: – „Używam ich każdego dnia... Księżniczka Daisy... produkt Elstree”.

– Doskonałe! – powiedział Shannon. Jak tylko wypowiedział to słowo, salę wypełnił gwar gratulacji równy ewentualnej ciszy, jaka zapadłaby gdyby Shannon nie zaakceptował tego.

– Proste, ale wymowne!

- Łatwe do zapamiętania!
- Świetne utożsamienie się z produktem!
- Wspaniale przekazane! To lepsze niż Western Union!

Luke uśmiechał się skromnie. Czuł się skromnie. Być może ta praca to nie była sztuka, ale z pewnością dawała piekielnie dobre utrzymanie.

Ram szybko szedł ulicą Old Bond w kierunku swojego klubu na ulicy St. James. Wiedział, że zjawi się na lunch co najmniej pięć minut za wcześnie, ale nie miał najmniejszej ochoty na spacer w ohydnej londyńskiej pogodzie drugiej połowy lutego 1977 roku.

Szybko wszedł do ciepłych pomieszczeń Whites, pomachując parasolem i pozdrawiając znajomego młodzieńca, który właśnie wychodził. Mężczyzna nie tylko mu nie odpowiedział, ale wydawało się, że w ogóle go nie zauważył. Ale przecież, pomyślał Ram, spędziliśmy kilka wieczorów razem minionej jesieni? Czy nie był to jeden z adoratorów otaczających Sarę Fane? A może tylko był do niego podobny. Tak czy inaczej, był nikim. Ram wzruszył ramionami i poszedł do jednego z barów, aby poczekać na Joe Polkingthorne'a z *The Financial Times*.

W ciągu minionych lat Ram miał zwyczaj jadać lunchów z tym dziennikarzem mniej więcej co trzy miesiące. Pomimo iż pracował on w redakcji, która miała swoich korespondentów na całym świecie, Polkingthorne był często wysyłany za granicę w celu napisania specjalnego reportażu. Był przebiegle sprytny w wywąchiwaniu obszarów osiagających gotowość do rozwoju finansowego, a jego rady czasem okazywały się cenne dla Rama i jego funduszu inwestycyjnego. Ze swojej strony, Polkingthorne uważał Rama za jednego z dwóch czy trzech najinteligentniejszych i najlepiej poinformowanych ludzi w mieście, człowieka, który z pewnością będzie rósł w siłę z każdym rokiem, więc z przyjemnością godził się na wymianę różnych wieści i opinii, które obaj zgodnie uważali za znacznie cenniejsze niż wzajemne obdarowywanie się materialnymi podarunkami.

Ram nie zdążył nawet zamówić drinka u jednego z kelnerów, kiedy ujrzał lorda Harry'ego Fane'a i kilku innych znajomych opuszczających bar i udających się na lunch. Ram nie widział się z Harrym Fanem, od kiedy przestał okazywać zainteresowanie jego córce, mniej więcej dwa miesiące wcześniej, ale przygotował się psychicznie na nieunikniony moment, w którym przyjdzie im wznowić współpracę w interesach. Gdy Fane się zbliżył, Ram uniósł głowę w odpowiedniej, nieosobowej, ale przyjacielskiej pozycji, która lepiej niż jakiegokolwiek słowa miała

powiedzieć, że on, Ram, nic sobie nie robi z nierozważnego i płytkiego zachowania Sary. Nie zachowywał głupawych uraz.

Harry Fane zatrzymał się na widok Rama. Popatrzył na niego niedowierzająco i odwrócił się z twarzą czerwoną z gniewu, od kołnierzyka do włosów. Towarzyszący mu mężczyźni zawahali się. Po chwili lord Harry Fane znowu ruszył, wściekle rozgniewany, z pięściami zaciśniętymi w kieszeniach i przeszedł koło Rama jakby był niewidzialny, a za nim ruszyli jego przyjaciele, z których żaden nie uklonił się Ramowi, choć znali go od lat.

Ram usiadł w głębokim fotelu i usłyszał własny spokojny głos zamawiający u kelnera whisky z wodą. To niemożliwe, mówił sobie, chociaż całe ciało, w pełni świadome tego co zaszło, bolało go jak po prawie zabójczym ciosie w żołądek. Przecież to nie jest osiemnasty wiek, jego zerwanie z Sarą Fane nie było niczym nadzwyczajnym, zdarzały się one bez przerwy między młodymi damami i mężczyznami, którzy zmieniali układy, ostatecznie dobierając się w pary. Tłumacząc to sobie Ram pojął, że musiało być jakieś dodatkowe wyjaśnienie faktu, że został odrzucony... odrzucony, na Boga, naprawdę odrzucony... przez pięciu ludzi, w ciągu paru minut. Co sprawiło, że nagle stracił cały szacunek, z którego był tak ogromnie dumny?

Całe życie spędził na bronieniu tego szacunku przed atakami; szacunku, który zawsze był dla niego tysiąc razy ważniejszy niż najserdeczniejsze uczucie czy prawdziwe koleżeństwo.

Usiłując znaleźć odpowiedzi na pytania Ram jednocześnie uświadomił sobie, że od dobrego miesiąca, a może i dłużej, nie otrzymał żadnego zaproszenia na przyjęcie ani na weekend. Od powrotu do Londynu, od tej przekłętej podróży do Nassau, podczas której próbował przemówić Daisy do rozsądku, był zbyt zajęty pracą, aby myśleć o życiu towarzyskim. Poza tym nie miał ochoty na spotkanie się z ludźmi w Londynie i prawie nie zwrócił uwagi na fakt, że listonosz przynosił mu jedynie rachunki, a telefon dzwonił tylko w sprawach służbowych.

A jednak o tej porze w zeszłym roku spędzał poza domem sześć wieczorów w tygodniu, a i tak przyjmował tylko połowę zaproszeń. Popijał whisky z wodą i wynajdywał coraz więcej dowodów na to, że stał się towarzyskim banitą. W chwili gdy zadał sobie pytanie jak to się stało, zrozumiał z mrozącym krew, absolutnym horrorem, że nigdy się nie dowie.

Sarah Fane nie mogła zwierzyć się nikomu z tego, co naprawdę między nimi zaszło bez zrujnowania własnej reputacji. A więc, musiała coś wymyślić... jakieś kłamstwo, które było wystarczająco wiarygodne; jakieś bezpodstawne, ubliżające,

obrzydliwe kłamstwo, którego nikt nigdy mu nie powtórzy, ale będzie się za nim ciągnęło w tym jedynym ze światów, w jakim chciał żyć.

Ram znał reguły i wiedział, że jest skończony. Mógł nadal skutecznie pracować; łgarstwa Sary Fane nie mogły przeszkodzić mu w inwestowaniu pieniędzy na całym świecie. Jej słowa nie mogły dotrzeć do uszu handlarzy dziełami sztuki ani białymi krukami księgarstwa, projektantów garniturów szytych na zamówienie czy też ludzi, którzy sprzedawali mu konie i zajmowali się jego ziemią.

Ale wcześniej czy później musiało to zwrócić uwagę wszystkich osób liczących się w środowisku, w którym osiągnął pozycję jednego z najbardziej wziętych kawalerów w kraju.

Angielskie społeczeństwo miało sposób na rozprawianie się z ludźmi, którzy stracili jego zaufanie; cichą, śmiertelną, nieuchronną metodę, której działanie Ram już widział. Nie było sądu apelacyjnego, ponieważ nie było do kogo apelować, nie było do kogo skierować pytań, ani nikogo kto przyznałby, że w ogóle coś słyszał... Ram zdał sobie sprawę, że wśród setek ludzi, na których przyjęcia uczęszczał przez minione lata nie było ani jednego mężczyzny i ani jednej kobiety, których mógłby uznać za wystarczająco bliskich przyjaciół, aby zwrócić się do nich w tej chwili. Adwokat? Niby co mógłby mu powiedzieć? Czy był w stanie wyobrazić sobie samego siebie skarżącego się, że niektórzy znajomi przestali mu mówić dzień dobry? Czy mógł domagać się rekompensaty, ponieważ nie został zaproszony na przyjęcie? To nie znaczyło nic... i znaczyło wszystko. Niesława nigdy nie mogła być wyciągnięta na światło dzienne i utożsamiona z jakimś kłamstwem, w którym musiała mieć źródło.

Cokolwiek ta dziewczyna, okrzyknięta debiutantką swojego rocznika, ta dziewczyna, w której żyłach płynie krew wielowiekowego rodu arystokratycznego, naopowiadała ludziom, nie wyjdzie to poza niewielkie ich grono. Ram nadal mógł swobodnie organizować sobie życie pośród intelektualistów, artystów, biznesmenów bez koneksji towarzyskich, obcokrajowców mieszkających w Londynie, ludzi teatru i potencjalnych polityków. Utraci jedynie wstęp do niektórych wiejskich posiadłości, nie będzie zapraszany na niektóre przyjęcia, pewna grupa znajomych odmówi polowania w jego towarzystwie, a inna wspólnej jazdy konnej. Utraci – a właściwie już utracił – jedynie towarzystwo wszystkich tych ludzi, których szacunek ceniał sobie najbardziej na świecie.

– Tu jesteś, Valensky! – Joe Polkingthorne wyciągnął rękę, którą Ram uściśnił wstając z fotela. – Nie skończysz drinka? Cóż, zawsze jest jeszcze wino... odrobisz

to przy lunchu, co? – Czując wdzięczność za szczere, bezpośrednie zachowanie dziennikarza, Ram po raz pierwszy zdał sobie sprawę z rozmiarów swojej klęski. Podczas gdy główny kelner prowadził ich do jego stałego stolika i usłużnie informował o różnorodnych specjalnościach dnia, kiedy potulnie czekał aż dokona wyboru wina a także kiedy, rozejrzawszy się wokół, z ulgą stwierdził, że sąsiedni stolik zajmują nieznajomi, czuł w środku ziejącą, poszerzającą się ranę. Każda usługa płatnego służącego, każda nowa twarz obserwowana z rezerwą, równała się jeszcze jednym drzwiom zatraskującym się za nim w więzieniu, w którym przyjdzie mu spędzić resztę życia.

Uważnie słuchał jak Polkingthorne opowiadał o Afryce Południowej i wyjaśniał, dlaczego nie można liczyć na wydobywców złota; z dotychczas nie okazywanym ożywieniem omówił niedawne posunięcia Lion Management; jadł łączywie i pił więcej niż zwykle, usiłując powstrzymać wewnętrzny wyciek, który jednak trwał nieprzerwanie i nieubłagalnie.

– Cholera, ta nasza kłótnia nie ma sensu. Zadzwońmy po prostu do Shannona, żeby upewnić się, że nie chodziło mu wyłącznie o zamki... prawdopodobnie miał także na myśli duże rezydencje i pałace – powiedział Kirbo Henry.

– Na twoim miejscu nie robiłbym tego – ostrzegawczo odrzekł Luke.

– Do ciężkiej cholery, Luke, prawdziwy zamek, zgodnie z definicją, powinien wymagać całej pieprzonej armii... większość z nich jest w ruinie... nie buduje się ich od czasów feudalnych, chyba że zdecydować się na te podróbki z okresu wiktoriańskiego, które mnie osobiście przypominają atrapy. Weźmy na przykład zamek Culzean w Ayrshire... na tyłach rośnie nawet palma! Proszę cię, spójrz na te zdjęcia: zamek Hedingham w Essex i zamek Rochester w Kent... przecież one w ogóle nie wyglądają na zamieszkałe! – powiedział wręczając Luke'owi zdjęcia ruin wielkich kwadratowych, dwunastowiecznych wież, potężnych, złowróżbnych budowli normandzkich.

Kiedy Luke kręcił nad nimi głową, podsunął mu fotografię Stourhead, ogromnej, ujmująco uroczej willi w stylu Palladia, którą wzniesiono w okresie między 1727 a 1840 rokiem. – Jestem pewny, że o to mu chodzi... *Barry Lyndon* Kubricka został tu nakręcony... jest precudna! Może przynajmniej byśmy ją obejrzel!

– Shannon powiedział zamek i miał na myśli zamek. Nie pokazuj mi niczego co nie ma wieży, wałów, fosy, mostu zwodzonego, murów obronnych... chodzi o takie miejsce, gdzie można z góry lać wrzący olej na wroga. Kirbo, przestań narzekać i szukaj dalej.

W Anglii muszą być zamki, w których wciąż mieszkają ludzie, albo które przynajmniej tak wyglądają, ponieważ na tym polega pomysł. – Luke odprawił gderliwego dyrektora artystycznego, który, jego zdaniem, chodził taki naburmuszony tylko dlatego, że sam nie wpadł na pomysł z zamkami.

* * *

– Galaretowaty! – Daisy buntowniczo odezwała się do Tezeusza. Popatrzył na nią pytająco. Zawsze do niego przemawiała, ale tym razem wykraczało to poza jego zdolności pojmwania. – Jak dziwnie ten czas mija – ciągnęła. – Pośpiech i czekanie... doprowadza mnie to do szału. – Daisy dalej skarżyła się Tezeuszowi, a jednocześnie chodziła po mieszkaniu bezskutecznie poszukując czegoś do uporządkowania, czegoś co wymagałoby naprawy, poprawienia lub przemieszczenia. Miesiące od podpisania kontraktu z Elstree mijały nadspodziewanie wolno. Podejmując decyzję wyobrażała sobie, że natychmiast wpadnie w wir pracy, ale okazało się, że zamiast tego uczyniono z niej więźniarkę Supracorp.

Chociaż mieli zacząć z nią pracę w normalnym wymiarze godzin dopiero w lipcu, na kiedy planowano rozpoczęcie zdjęć, nie pozwalali jej opuszczać miasta, ponieważ od czasu do czasu potrzebna była z powodu różnych przedsięwzięć reklamowych.

– Przykro mi – stanowczo powiedziała Candice Bloom – ale naprawdę nie możesz pojechać do Anglii, nawet na parę dni.

Czekam na telefon Leo Lermana w sprawie lunchu i nie mam pojęcia, którego dnia będzie wolny. Trudy Owett z magazynu *Journal* może cię potrzebować w trakcie przygotowań do pokazu mody, powinna dać mi znać lada chwila... nie, Daisy, muszę mieć możliwość ściągnięcia cię w ciągu pięciu minut.

W czasie długiej, nudnej wiosny i wczesnego lata dni Daisy czasami przerywały przymiarki i konsultacje z Billem Blassem, który przygotowywał kolekcję garderoby Księżniczki Daisy, zarówno do jej prywatnego użytku podczas okazji towarzyskich, jak i do wykorzystania przy promowaniu sklepów. Od czasu do czasu udzielała wywiadów, których na razie nie publikowano, a także brała udział w sesjach fotograficznych dla prasowych reklam Elstree.

Skuliła się, strapiona i smutna, w jednym z wiklinowych foteli i żałowała, że nie było Kiki. Mimo iż teoretycznie nadal mieszkała z Daisy, większość czasu spędzała w domu w Grosse Pointe, zajmując się skomplikowanymi, rytualnymi

przygotowaniami do ślubu. Kiedy przyjeżdżała do Nowego Jorku zatrzymywała się u Luke'a, a do mieszkania wpadała i wypadała jak obłąkana pszczoła. Daisy czuła się tak porzucona jak pies zamknięty w samochodzie, niespodziewanie i bez żadnego wyjaśnienia. Dopóki przyjaciółka nie znikła w pracowitym świecie spraw przedmażeńskich, nie do końca zdawała sobie sprawę jak bardzo potrzebuje obecności tej swawolnej, lekkomyślnej i zawsze postrzelonej dziewczyny.

Kiki i ręczniki z wyszytymi monogramami, kto by pomyślał, dumiała Daisy, uświadamiając sobie, że ręczniki to tylko drobnostka w porównaniu ze zmianami, jakie wniesie w jej życie małżeństwo. – Cierpię na lęk przed rozłąką – oświadczyła Tezeuszowi. Miał to być żart, ale powiedziawszy to głośno, dopatrzyła się czegoś dziwnego w swoim głosie. – Głupota, durna głupota... Nie, nie, Tezeusz, to nie do ciebie, mówię o sobie – Daisy zapewniała psa, zdając sobie sprawę, że pod przeczuciem nadchodzącej straty w związku ze ślubem Kiki, kryły się inne straty, pradawne straty, o których nie wolno jej było myśleć, bo wówczas nie powstrzyma się od płaczu. Szybko wstała i zaczęła się ubierać. Jedynym sposobem na taki nastrój było wyjście do miasta z Tezeuszem; trzeba było unikać masarni i innych temu podobnych pokus, ale za wszelką cenę należało opuścić puste mieszkanie.

Ubierając się Daisy przyznała przed samą sobą, że mimo iż nie mogła się już doczekać rozpoczęcia pracy, zdrowej, męczącej pracy, pomimo nadziei na wyleczenie się z nudy i nerwowości dzięki zajęciu w Elstree, panicznie bała się tych przyszłych chwil. Będę takim doskonałym celem, pomyślała, ale skonsternowana, sama nie bardzo wiedziała, co chce przez to powiedzieć. Wiedziała tylko, że przez całe dorosłe życie starała się uniknąć rozgłosu, mając jakąś mglistą nadzieję, że to pozwoli jej uniknąć kolejnych strat. Teraz, kiedy jej twarz i nazwisko miały wkrótce zostać obnażone setki tysięcy razy w najbardziej publiczny sposób, czuła niemal przesądny lęk przed przyszłością. Głupota, pomyślała znowu, ale nie powtórzyła tego głośno, w trosce o uczucia psa.

Podczas gdy Daisy krążyła z Tezeuszem po SoHo w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia, Luke znalazł wolną chwilę, aby zadzwonić do Northa.

- Spakowany i gotowy? – zapytał wesoło.
- Odpiardol się, Luke.
- Dzięki, North, ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Zdecydowałem, że nie chcę mieć nic wspólnego z tymi idiotycznymi zdjęciami. Znajdź sobie innego wykonawcę reklam.
- Wykluczone. Arnie złożył ofertę, przyjęliśmy ją i liczymy na ciebie.

– To nie ta sama oferta... warunki uległy zmianie.

– Agencja przyjmie każdą sumę dodatkowych pieniędzy, jaką Arnie zechce dorzucić w związku ze zdjęciami w Anglii, gwarantuję ci to. Ale potrzebujemy reklamy Fredericka Gordona Northa, – stary. Potrzebujemy twojej werwy, twojego zmysłu projektanta, twojego wyczucia siły głosu i kontrastu, niuansów twojego unikalnego oświetlenia, twojej inspiracji i śmiałości, twojego niepowtarzalnego gustu i twojej rzetelności technicznej... krótko mówiąc, nie zostawimy cię w spokoju tylko dlatego, że Shannon wykradł ci Daisy.

– To nie ma z tym nic wspólnego! – krzyknął North.

– Świetnie! To prawdziwa ulga, bo muszę przyznać, że byłem gotów cię zrozumieć, gdybyś nie był w stanie wykonać tych reklam nie potrafiąc już funkcjonować bez pomocy Daisy. Ale skoro nie stanowi to problemu, zgodnie z twoim zapewnieniem, masz wobec nas zobowiązanie, a jako twoi starzy i wierni przyjaciele, a także nierzadko główni klienci, liczymy na to, że się z nich wywiążesz. O rany... naprawdę się cieszę, że nie czujesz się urażony.

– Pocałuj się w dupę!

Nerwy, nerwy – pomyślał Luke. North nadal był jego dobrym kumplem, ale potrzebował go, a raczej Daisy potrzebowała go, aby nią pokierował. Formalnie, oczywiście, nie miał na Northa żadnego wpływu, ale czasami trzeba było uciec się do podstępów, zwłaszcza jeśli wiedziało się, jak wykorzystać przeciw komuś jego minione niepowodzenia lub urażone uczucia... a w przypadku Northa była do dumy. To znaczy, urażona duma była jednym z jego niepowodzeń.

– Czekamy na zezwolenie z National Trust... do nich należą zamki, które chcemy wykorzystać – powiedział Luke do Northa. – Mam nadzieję, że twoja nowa producentka dogadała się co do garderoby i zdecydowała, kogo zabierasz ze sobą do Anglii, a kogo zatrudnisz na miejscu, tudzież ustaliła wszystkie inne drobne, acz czasochłonne szczegóły, które Daisy załatwiała z taką sprawnością.

– Ty jednak naprawdę jesteś pierwszorzędną kanalią.

– Ile razy ci mówiłem, że komplementy na mnie nie działają? Och, a przy okazji, North, czy zgodzisz się być moim świadkiem? Ślub weźmiemy po zdjęciach, więc nie możesz użyć tego jako wykrętu. Myślę, że powinieneś czuć się dobrze w atmosferze Grosse Pointe. Znosi się na całkiem przyzwoity, skromny ślub; bezpretensjonalny, z tupetem, prawie, choć nie do końca, drażniący; i to w obiecującym roku.

– Nie jestem typem nadającym się na świadka – odciął się North.

– Zgadza się... ale tak się składa, że jest to jedna z uciążliwości przyjaźni.

Dlaczego tobie miałyby się udać? Ja zrobiłem to dla ciebie dwa razy.

– Odpieprz się ode mnie, Luke.

– Rozumiem, że to oznacza zgodę? Wiedziałem, że nie odmówisz.

Pod koniec czerwca Daisy z niecierpliwością czekała na następny miesiąc i wyjazd do Anglii na dziesięciodniowe zdjęcia. Tymczasem z ukrywanym zainteresowaniem obserwowała z zewnątrz jak nowa producentka Northa, Mary-Lou Duke, dawała sobie radę z obowiązkami organizując zdjęcia. Chcąc być uprzejmą, Daisy zaproponowała jej wprowadzenie w działanie studia, ale jej gest został chłodno odrzucony przez kobietę, którą North wykradł największemu konkurentowi dzięki pensji półtora raza większej od tego co zarabiała Daisy.

Mary-Lou była kobietą po trzydziestce, przystojną, niemal panującą nad otoczeniem i łagodną. Jej tajną bronią była właśnie łagodność, stała, niewzruszona, nienaruszalna. Miała tyle połysku co ołów, tyle radości co pusta beczka po piwie, tyle poczucia humoru co wieszak na fajki, ale można było na niej polegać. Podczas gdy ludzie Luke'a wykańczali swoje przedprodukcyjne przygotowania, zabrała Daisy na wyprawę wzdłuż Siódmej Alei w poszukiwaniu garderoby potrzebnej do zdjęć. Mary-Lou przywoływała taksówki, przytrzymała dla niej drzwi wind i zawsze poprzedzała zniewoloną Daisy w drodze do pomieszczeń pokazowych. Daisy, przywykła do tego, że to ona się troszczy, a nie że troszczą się o nią, czuła się jak gliniarz, przyzwyczajony do posiadania pełnej kontroli nad mijającymi go pojazdami, który nagle zmuszony jest bez kiwnięcia palcem przyglądać się kolizji dziesięciu samochodów. Ale opanowała wszystkie pokusy wtrącenia się i podjęcia własnych decyzji. Była cholernie pewna, kiedy słyszała jak Mary-Lou tłumaczy projektantom o co jej chodzi, że większość rzeczy, jeśli nie wszystkie, które przyniosą do studia, zostanie przez Northa odrzucona. Milczała, kiedy tracący cierpliwość North trzykrotnie odsyłał je z powrotem do sklepów. Kiedy po trzeciej prezentacji garderoby North znowu wyraził dezaprobatę, Daisy poczuła, że w końcu musi zabrać głos. Zostało im tylko siedem przedprodukcyjnych dni. Odciągnęła nową producentkę na bok.

– Mary-Lou... czy mogę coś zasugerować?

– Jeśli uważasz, że to takie ważne – zgodziła się niechętnie.

– Te wszystkie jeździeckie kurtki i koszule, które przynosimy nie podobają się Northowi dlatego, że nie powinnam mieć na sobie zwykłej kurtki i koszuli... mogę być ubrana w prawidłowy strój – jeździecki od pasa w dół, ale powyżej pasa musi to być coś wystrzałowego i niezwykłego.

– Ale to nie będzie właśnie prawidłowe – surowo odpowiedziała Mary-Lou.

– Nie, ani trochę, ale zadowolili ich potrzeby.

– Ale jeśli ludzie nie jeżdżą konno ubrani w ten sposób...

– Bardzo niewielu ludzi zauważy różnicę. Liczy się efekt ogólny... nie uważasz?

– Skoro nie masz nic przeciwko złamaniu reguł... – Mary-Lou wzruszyła ramionami. I nawet ten gest w jej wykonaniu nie robił wrażenia, a to sztuka.

– A jeśli chodzi o piknik na klombie, nikt w tym roku nie szyje rzeczy, które byłyby do tego odpowiednie... ale znam takie miejsce, specjalny sklep, na który nigdy nie mogłam sobie pozwolić, gdzie mogłybyśmy coś dobrać – żarliwie powiedziała Daisy.

– Daisy, a może po prostu pójdziesz sama i poszukasz tego beze mnie – zdecydowała Mary-Lou. Dzielenie się odpowiedzialnością było niezgodne z jej zasadami, ale miała jeszcze mnóstwo ważnych rzeczy do zrobienia.

Mary-Lou nie przeszkadzało kiedy inni próbowali włączyć się z własnymi pomysłami, pod warunkiem że nie naruszało to jej logiki. Pomysły były jak balony, którymi bawią się dzieci – niech się pobawią udając „twórczych” – ale logika to już była inna sprawa. Jej umysł był prawie całkowicie zaprzątnięty przetransportowaniem Northa wraz z towarzystwem do Anglii, znalezieniem angielskich techników, dostawieniem wszystkich na plan, zapewnieniem im dachu nad głową i upewnieniem się, że będą mieli do dyspozycji nawet najdrobniejszy element sprzętu, jakiego mogą potrzebować. Jej jedyne zmartwienie polegało na tym, że w dniu ich wyjazdu cała pierwsza klasa w British Airways była zarezerwowana. Więc to był problem, który niecierpliwie pragnęła rozgryźć.

Uwolniona Daisy wybiegła aby się wystroić, nie zapominając jednak, że po południu jest umówiona z ludźmi od makijażu w Elstree. Nie mieli zamiaru ryzykować z nie wypróbowanymi angielskimi artystami makijażu. Najlepsza specjalistka od makijażu w reklamie miała być członkiem ekipy udającej się do Anglii, podobnie jak jeden z najdroższych fryzjerów w tej branży. Oboje otrzymywali tysiąc pięćset dolarów dziennie, plus pokrycie wszelkich wydatków za każdy dzień spędzony poza Nowym Jorkiem. Określali to jako rekompensatę za „uciążliwe warunki pracy”, chociaż trudno było zorientować się, na czym miała polegać ta uciążliwość w Anglii. Aczkolwiek nie zażądałoby więcej, gdyby wyjeżdżali na Saharę. Jeśli tylko pracowali poza Manhattanem, było to uciążliwe i żaden producent nie miał prawa o tym zapomnieć.

Ponieważ mistrzyni makijażu posiadała własną kolekcję paruset trudnych do

zdobycia kosmetyków z rodzaju recherche, które gromadziła od lat, nie była zbyt szczęśliwa mając do dyspozycji jedynie produkty Elstree, ale skoro Daisy miała mówić „Używam ich każdego dnia”, twarda reguła prawdy w reklamie zmusiła ją do pogodzenia się z tym.

– Na szczęście – powiedziała przyglądając się Daisy – nie potrzebujesz mocnego makijażu... nie przywykłam pracować z taką lichotą.

Dyrektor linii produkcyjnej wzdrygnął się.

– To produkty doskonałej jakości – Patty Jacobson zareagował z irytacją.

– Może... ale są nieteatralne. – Obie kobiety spojrzały na siebie.

Siedzącą przed lustrem, nieruchomą jak manekin Daisy aż skręcało, żeby się włączyć do rozmowy. Powstrzymała się, choć było to wręcz bolesne. Naucz się nowej postawy, powiedziała sobie. Bądź gwiazdą! Nie wtrącaj się. Na tym etapie nie powinnam się przejmować, jeżeli oni mają jakieś problemy. Przyprawię ich o szok, jeśli nagle zmienię się znowu w tę Daisy, która podejmowała decyzje. Załatwią to szybciej i lepiej beze mnie, a jeśli końcowy efekt mi się nie spodoba, każę im zrobić to od nowa, dopóki nie będę zadowolona. Jeżeli się ośmielę. Jeżeli się ośmielę? Oczywiście, że się ośmielę, czemu nie? W końcu to ja jestem gwiazdą.

Siedziała spokojnie myśląc o czeku na trzysta trzydzieści trzy tysiące dolarów i trzydzieści trzy centy, który otrzymała od Supracorp w styczniu przy podpisaniu kontraktu.

Jak tylko dogadała się z Patrickiem Shannonem w Le Cirque, napisała do Anabel, mówiąc jej o swoim nowym bogactwie, mówiąc, że wie o jej chorobie, że cokolwiek się dzieje, ma nie sprzedawać La Maree, że ona, Daisy, bez kłopotu pokryje koszty jej utrzymania, niezależnie od opłat za Danielle oraz że Anabel nie powinna w ogóle myśleć o pieniądzu, koncentrując się wyłącznie na trosce o swoje zdrowie. Ani słowem nie wspomniała o Ramie. Pisząc ten list Daisy wiedziała, że nie czyni zbyt pochopnych obietnic, nie czekając na podpisanie kontraktu. Cokolwiek by powiedziec o Patricku Shannonie, nie było wątpliwości, że nigdy nie łamał raz danego słowa. Była tego tak pewna jak faktu, iż Kolumb nie opłynął globu.

Podczas miesięcy jakie upłynęły od tego czasu, było jeszcze kilka kolacji z Patrickiem Shannonem, dziwnie formalnych kolacji, uważała Daisy, na które zapraszani byli różni członkowie hierarchii Supracorp, prawie jakby chciał przedstawić im ją, lub też ich jej. Shannon bardzo dużo podróżował w tym czasie w interesach Supracorp i nie ponowił propozycji zaaranżowania randki dla swojego ogara Lucy i Tezeusza. Daisy zastanawiała się, czy przypadkiem nie odegrała roli

księżniczki zbyt przekonująco.

W końcu nadszedł lipiec i zdjęcia zostały oficjalnie rozpoczęte, choć pierwsze ujęcie miało zostać wykonane dopiero następnego dnia.

Daisy była sama w swoim apartamencie w hotelu Claridge. Mary-Lou jednak zdobyła wszystkie miejsca w pierwszej klasie na lot, na którym im zależało, używając jakiegoś sposobu, o którym nie chciała mówić. W tej chwili wraz z Northern odbywała naradę z aktorami, którzy mieli towarzyszyć Daisy w każdej z reklam. Wysunięty przez Shannona wymóg pokazania jej w towarzystwie autentycznych lordów podważył stanowczy sprzeciw Northa wobec zatrudnienia więcej niż jednego niewypróbowanego amatora do poszczególnych nagrań.

Daisy chodziła po apartamencie tak wielkim, że szafy mogły służyć jako małe sypialnie, i rozważała różne możliwości spędzenia czasu w Londynie, od przejażdżki konnej w Hyde Parku do odwiedzenia różnych wyprzedaży. Zostało jej tylko parę godzin do spotkania z miejscowymi członkami ekipy i wyjazdu kolumną samochodów i wyładowanych sprzętem ciężarówek na pierwszy plan w Sussex. Za mało czasu, zmartwiła się, aby odwiedzić Danielle i spokojnie wrócić na czas. Ale jak tylko skończą się zdjęcia, będzie miała dla siebie parę dni. Wtedy... och, wtedy pobędzie z Danielle i pojedzie z wizytą do Anabel.

Czekając czuła się zupełnie obco w mieście, które przez tyle lat było jej domem. Kto znał aktualnych lokatorów bladej żółtego domu na Wilton Row, w którym się wychowywała? Kto kupił dom Anabel przy Eaton Square? Jedynymi miejscami, w których być może poczułaby się bardziej u siebie, były stajnie w Grosvenor Crescent Mews oraz szkoła lady Alden, ale coś ją powstrzymywało przed udaniem się do tych starych kątów. Czując niepokój, Daisy zeszła po ogromnych schodach w dół, aby kupić kilka magazynów do poczytania w salonie, którego metraż pozwalał na zorganizowanie bankietu na sześćdziesiąt osób.

– Magazyny, madame? – uprzejmie zapytał główny portier. – Niestety, nie mamy magazynów, madame. Ale jeśli powie mi pani o jakie pani chodzi, natychmiast wyślę chłopca, żeby je kupił.

– Nie, to nieważne, nic nie szkodzi. – Daisy wróciła do pokoju, wściekła na siebie i wściekła na hotel, tak niekomercyjny, że nie miał nawet kiosku z prasą. Zdała sobie sprawę dlaczego nigdzie nie poszła, dlaczego postanowiła nie opuszczać ochronnego luksusu monolitycznego hotelu podczas tych trzech godzin przed rozpoczęciem pracy. Bała się spotkać Rama.

Zamek Herstmonceux w Sussex wybrany został jako plan pierwszej z trzech trzydziestosekundowych reklam. Jasnoróżowa ceglana budowla otoczona była wyjątkowo szeroką fosą, którą można było przekroczyć tylko po długim moście zwodzonym, wzniesionym na wdzięcznych łukach, opadających do głębokiej wody. Jego budowniczy Roger de Fiennes, skarbnik na dworze Henryka VI w połowie piętnastego wieku, musiał mieć poważny powód do obawy, że któregoś dnia będzie zmuszony do samoobrony, ponieważ skonstruował silną i prawdziwie piękną fortecę, ze stróżówką chronioną przez dwie potężne ośmiokątne, zakończone blankami wieże, ponad którymi znajdowały się podwójne bojowe tarasy. Zamek ten został wybrany do reklamy, w której Daisy miała konno podejść do wejścia, ponieważ natknąwszy się wreszcie na zdjęcia tego miejsca Kirbo nagle zdecydował, że galop przez most zwodzony będzie znacznie bardziej interesujący wizualnie niż przejazd po zwykłym podejździe. North zaplanował zdjęcia w Herstmonceux na początek, ponieważ uczestniczyły w nich konie i wymagało to od Daisy mniej umiejętności aktorskich niż pozostałe reklamy.

Obejrzawszy zdjęcia zamku po raz pierwszy North był oburzony.

– Most wznosi się dobre dziewięć metrów ponad powierzchnią fosy, Luke. Nie dam rady wspiąć się na odpowiednią wysokość, nawet przy pomocy dużej barki i dźwigu... bez helikoptera nie sfilmujemy zbliżającej się galopem Daisy, a potem kiedy dojeżdża i zsiada z konia, będą ograniczony szerokością mostu.

– Stary Roger nie chciał ułatwiać dostępu nieproszonym gościom – powiedział nieporuszony Luke. Jeśli było coś, czym postanowił nigdy się nie martwić, były to techniczne problemy twórców reklam. Nie spotkał jeszcze dobrego reżysera, który nie dałby rady wciągnąć kamery na szczyt piramidy Cheopsa w Gizie... nawet sam, jeśli zaszła taka konieczność. Pławili się w opowiadaniach o technicznych niemożliwościach, które udało im się pokonać: ich magazyn *Millimeter*, wypełniały opowieści o udrękach przy pokonywaniu trudności i chociaż to prawda, że dziewięciu twórców reklam zginęło w wyniku wypadków helikopterów, nadal byli gotowi przepłynąć rzekę pełną ludożerczych aligatorów, żeby tylko uzyskać wymarzone ujęcie. I chociaż Luke nie raczył zareagować na jego drobnostkowe obiekcje, North pomyślał, że stare cegły Herstmonceux będą wyglądały jeszcze piękniej, jeżeli zastosuje się bursztynowy filtr, a parę pocisków dymnych wystrzelonych w tle sprawi wrażenie, że zamek dosłownie pływa po powierzchni fosy. Był to sposób, który wymyślił chyba jeszcze przed Davidem Dee.

Stojąc tuż przed wielką opuszczaną kratą w bramie Herstmonceux w pierwszym tygodniu lipca, umieściwszy Wingo z kamerą tuż za bramą, North przyglądał się

Daisy galopującej z prawdziwie królewskim trenem włosów w jego kierunku na dużym, czarnym koniu, za którym pędził biały ogier z aktorem bardziej przypominającym lorda niż jakikolwiek prawdziwy lord. Musiał przyznać, że nie wyglądała jak amatorka. Nawet nie brzmiała jak amatorka, kiedy zsiadła z konia i wygłosiła swój krótki tekst, ubrana w cieliste bryczesy, czarne wysokie buty i miękką, luźną, białą koszulę z jedwabiu z rozpiętym kołnierzykiem, w jakie ubierali się trzej muszkietierowie. Zmiany wyrazu twarzy Northa, błyski różnych emocji, czasami lekki, podświadomy uśmiech, opisowa gestykulacja rąk jak u hipnotyzera lub kuglarza stanowiły wskazówki dla Daisy, kiedy powtarzała scenę jeszcze raz, i jeszcze raz, i znowu od początku, dopóki go nie zadowoliła. Nigdy jeszcze, nawet w Wenecji, nie czuła mu się tak bliska jak podczas każdego z tych ujęć. Dopiero teraz pojęła bardzo specyficzny przejaw jego geniuszu i w końcu zrozumiała powód, dla którego poślubił dwie najlepsze modelki, z jakimi pracował... powody, dla których rozwiodły się z nim, znała od dawna.

Nawet przed dokonaniem przeglądu nakręconego materiału po trzygodzinnym powrocie samochodem do Londynu, North wiedział, że utrwalił na taśmie coś nadzwyczaj wyjątkowego. Poznawał to po dreszczu, jaki przebiegał mu od szyi w dół pleców i do ramion za każdym razem, kiedy Daisy podjeżdżała do kamery, a on przewidywał liryczny moment, w którym zatrzymywała potężne zwierzę i zeskakiwała z niego ze śmiechem. Od lat już nie doznał tego uczucia, obiecującego coś niewypowiedzianie dobrego.

Tajemnica, która go zawsze pasjonowała, głęboka, niewyjaśniona tajemnica ludzkiej twarzy i jej zdolności do przekazywania uczuć, nawet jeśli tylko w celu przyciągnięcia klientki do odpowiedniego stoiska w domu towarowym. Ta tajemnica została zwielokrotniona wymownością rysów Daisy, uświadomił sobie North oglądając film. Dlaczego nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, aby ją sfilmować? Czuł się obrażony jej doskonałością, ale jednoczesne uczucie ulgi było silniejsze.

Korzystając z samochodów, samolotów i pociągów, Mary-Lou z niezwykłą sprawnością przetransportowała całe towarzystwo z Sussex na daleką północ, do Peeblesshire w Szkocji, gdzie znajdował się zamek o nazwie Traquair House. Zupełnie inny niż surowy Herstmonceux, swój początek miał w prostej wieży kamiennej postawionej w połowie trzynastego wieku. Ale w czasach Karola I była to już bladoszara budowla chroniona przez ciągnące się na sporej długości delikatne, żelazne bramy, które właściciele otwierali tylko przy okazji tak wielkich wydarzeń jak ponowny wybór Stuarta na króla Anglii i odmówili ich otwarcia

nawet dla Fredericka Gordona Northa. Ale tuż przed bramami rozciągała się ukwiecona łąka, na której Daisy i towarzyszący jej aktor mieli zjeść truskawki ze śmietaną podczas pikniku.

Daisy ubrana była w sukienkę z Gramercy Park Shop Gene'a Londona, uszytą z prastarych, wiktoriańskich koronkowych wstawek. Przerobienie rzadko spotykanego materiału na sukienkę nie wyglądającą jak kostium i spływającą niemal przezroczyście z jej na pół nagich ramion, z szerokimi i długimi, przypominającymi skrzydła, rękawami, pochłonęło cztery tysiące dolarów. Kontrast między starą, delikatną koronką koloru kości słoniowej a jej ciałem był zachwycający, a fryzjer zaczesał jej włosy do góry, odgarnął je z twarzy, wplótł w nie delikatną, jedwabną wstążkę tak samo zieloną jak trawnik, po czym spuścił je luźno na plecy.

– Tutaj helikoptery będą niepotrzebne – oświadczył North po obejrzeniu planu Traquair. – Podmuch motorów przycisnie kwiaty i trawę do ziemi. Jest tylko jeden sposób na zrobienie tych ujęć porządnie. Mary-Lou, załatw mi hovercraft.

– Kim ona jest i kiedy można ją zastać w domu? – zapytał Wingo.

– Mary-Lou – szybko powtórzył North – poduszkowiec.

– Tak wielki jak te pływające przez kanał La Manche, czy nieco mniejszy model? – zapytała bez emocji.

– Najmniejszy jaki znajdziesz. Ponieważ porusza się na poduszce powietrznej, mniej więcej metr ponad powierzchnią ziemi lub wody, gdyby było trzeba... lepiej słuchaj uważnie, Wingo, ty – ignorancki prostaku... będziemy wyglądać jakbyśmy byli lżejsi od powietrza. Chcę całą tę scenę nakręcić tak jak widzi ją motyl, nie ptak, nie pszczoła, ale opadający, latający, rozleniwiony, pieprzony motyl.

– Co utrzymuje go w powietrzu? – podejrzliwie zapytał Wingo.

– Miej oczy szeroko otwarte. Może uda ci się zobaczyć – odpowiedział North.

Kiedy całkiem zadowolona z siebie Mary-Lou odeszła, aby wyczarować poduszkowiec, North odezwał się tak głośno, aby być usłyszanym zarówno przez Wingo, jak i Daisy: – Niech szlag trafi tę dziewczynę.

– North, ona po prostu jest kompetentna – zaprotestowała Daisy.

– Jasne. Tylko dlaczego musi być przy tym tak cholernie tajemnicza?

– To niesprawiedliwe. Ona po prostu wykonuje swoją pracę.

– Daisy, mogłabyś zrobić mi przysługę? Spróbuj nie wyjaśniać mi moich własnych uprzedzeń, dobrze?

Kiedy Patrick Shannon zawierał umowę, lubił rozumieć obie jej strony. Zawsze

wiedział co zamierza osiągnąć, ale motywacja drugiej osoby, powody stojące za porozumieniem, były bardziej fascynujące. Shannon zdawał sobie sprawę, że nie ma zielonego pojęcia dlaczego Daisy Valensky, bogata dziewczyna z wyższych sfer, która pracowała tylko dla zabicia nudy i która z uporem twierdziła, że wysoko ceni sobie anonimowość, zgodziła się przejść męczarnie jako klucz do wysiłków całej firmy, zmierzającej do powrotu na rynek poprzez eksploatację jej osobowości i sylwetki. Kiedy zadał jej to pytanie odpowiedziała „z powodów prywatnych”. Jakich prywatnych powodów? Dlaczego potrzebowała miliona dolarów przez nadchodzące trzy lata? Nie miało to sensu, jeśli była tym, kim była, a nie wierzył, że nie była.

Te pytania stale powracały na przestrzeni miesięcy, kiedy spędzał długie tygodnie w Kalifornii załatwiając sprawy działu rozrywki Supracorp i kiedy latał tam i z powrotem, dwukrotnie do Tokio i raz do Paryża. Ta luka w wiedzy przeszkadzała mu jak skórka z winogrona między zębami. Podejrzał, że wpadł w rodzaj pułapki, że działo się coś co było poza jego kontrolą, ale nie kończące się kłopoty związane z prowadzeniem korporacji nie pozwalały mu bliżej zająć się tą sprawą.

Nie miał zaufanego zastępcy, z którym mógłby przedyskutować tę niezwykłą sytuację, ani nie należał do ludzi, którzy wdają się w spekulacje z wybraną kohortą. Pracownicy Supracorp albo akceptowali fakt, że Shannon mógł w każdej chwili osobiście wkroczyć w ich domenę, albo odchodzili. Ale nigdy nie musieli się obawiać, że faworyt dworu podłoży im świnie w gabinecie szefa. Problemy, presje, napięcia, zawila gmatwanina zaufania i kontraufania sprawiały Shannonowi prawdziwą radość i nie miał zamiaru dzielić się nimi. Ale nienawidził poruszania się na nieznanym obszarach. Przeglądając teczkę z materiałami reklamowymi, które Candice Bloom zgromadziła dla Daisy – a był to budzący szacunek zbiór zdjęć i wywiadów, postanowił pojechać do Anglii i sprawdzić, o co właściwie chodzi.

Jadąc daimlerem z kierowcą z lotniska Heatrow do Bath, gdzie ekipa Northa zatrzymała się na ostatnie zdjęcia w zamku Berkeley, Shannon zdał sobie sprawę, że przywiązuje nadzwyczajną wagę do problemu Elstree. Nigdy w życiu nie odwiedził żadnego z dziesiątków planów reklam corocznie kręconych na rzecz różnorodnych towarów Supracorp. Było to jedyne zadanie ludzi, którym płacił spore pieniądze. Sam sobie zadawał pytanie, kiedy to się zaczęło. Kiedy Elstree przestała być denerwującym kłopotem w bilansach korporacji i zmieniła się w coś niemal osobistego? Nie wiedział, do cholery. Ale wkrótce się przekona. Poleciał

kierowcy nie zatrzymywać się przed hotelem, ale jechać prosto na plan.

– Gdzie kręci się reklamy? – zapytał człowieka, który sprzedał mu bilet wstępu przed szarymi, kamiennymi wałami obronnymi pochodzącymi z 1153 roku.

– Przepraszam, nie rozumiem?

– Amerykanie, robiący zdjęcia – wyjaśnił.

– Wszędzie, proszę pana.

– Nie, chodzi mi o zdjęcia filmowe... światła... dla telewizji – niecierpliwie wyjaśnił.

– Ach, ci, proszę pana... tak, powinni być w Bowling Alley... wydaje mi się.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie to jest i wtedy...

– Prosto przez zamek. Słuchaj, Mildred, zastąp mnie przy biletach. Zaprowadzę palla do Bowling Alley – powiedział, szczęśliwy, że będzie mógł rzucić okiem na akcję. – Tymi schodami na górę – powiedział, a Shannon ruszył za nim w głąb kolosalnego bezmiaru kamienia. – Oto komnata, w której zamordowano – Edwarda Drugiego, proszę pana – odezwał się z dumą, zatrzymując się dla lepszego efektu. – A ta dziura w rogu prowadzi w dół, aż do samych lochów!

– Czy moglibyśmy nie zatrzymywać się? – powiedział Shannon nie ukrywając zniecierpliwienia. Jego przewodnik prychnął zaskoczony. Wszyscy goście lubią zatrzymać się w komnacie i zajrzeć do lochów. Ale ruszył dalej, niespiesznym krokiem starszego człowieka, przez wąskie drzwi do tylnej części ogromnego, prymitywnego budynku, przeprowadzając Shannona najszybciej jak mógł przez galerię obrazów, jadalnię, czternastowieczną kuchnię i spiżarnię – jedyną drogą prowadzącą do drugiego skrzydła zamku.

– Zlewy z solidnego ołowiu, proszę pana – odezwał się z nadzieją na postój. Patrick Shannon jęknął pod nosem, kiedy przechodzili ze spiżarni do komnaty chińskiej, z komnaty chińskiej do komnaty zarządcy i ostatecznie do Wielkiej Sali.

– Daleko jeszcze? – zapytał w końcu, rozglądając się po niespodziewanie obszernej Wielkiej Sali.

– Cóż, jeszcze wielkie schody, podłużna bawialnią, a także pokój poranny i mała bawialnią... jesteśmy trochę dalej niż w połowie drogi, proszę pana – zachęcająco odpowiedział przewodnik przemierzając dziewiętnastometrową Wielką Salę w aurze dumnego posiadacza i zastanawiając się, dlaczego ten dziwnie obojętny gość nie chciał dowiedzieć się czegoś więcej o historii tego najślawniejszego z zamków, i kiedyś, i dziś zamieszkałego przez ten sam ród, który wybudował go osiemset lat temu. Dlaczego, pomyślał z oburzeniem, Berkeleyowie mieszkali w Berkeley od czasów poprzedzających Wielką Kartę Swobód. Od

dwudziestu czterech pokoleń.

Ponieważ jego przewodnik nie miał ani ochoty, ani sprawności, żeby przyspieszyć kroku, Shannon z rezygnacją postanowił iść za nim, z każdym krokiem czując nieustępujące skurcze w klatce piersiowej, dziwne, drażniące szarpnięcia struny niecierplivej tęsknoty. Cholera jasna, czemu ten człowiek nie może iść szybciej?

W końcu wyszli przed południowy fronton zamku i tam, nieco poniżej, Shannon ujrzał znajomy widok płataniny kabli i sprzętu, na który tak czekał. I oto miał przed sobą to wszystko w jednym z boków prostokąta krótko strzyżonego klombu, który z jednej strony zamykał wysoki, porośnięty pnączem mur, a z drugiej wielkie, stare cisy. Ale nie było tam nikogo.

– Gdzie oni są? – zapytał przewodnika.

– Przypuszczam, że zrobili przerwę na herbatę, proszę pana.

– O, Jezu! Przepraszam... śpieszę się.

– Domyślałem się, proszę pana.

– Więc gdzie mogą pić tę herbatę? – zapytał Shannon, aż do bólu starając się wypowiedzieć każdą sylabę uprzejmie.

Staruszek wskazał na czarujący wiejski domek w pewnym oddaleniu, otoczony przez drzewa. – Myśliwskie stajnie i psiarnie Berkeleyów, proszę pana. Tam zaparkowali te swoje wielkie ciężarówki.

Pat napadł na niego. – Więc mogłem tu dotrzeć tą samą drogą co oni?

– Och, oczywiście... ale wówczas nie obejrzałby pan zamku – zganił go Szkot.

Shannon bez słowa opuścił go i szybko ruszył w dół, pokonując tarasy prowadzące do stajni. Poniżej opustoszałej Bowling Alley leżał pokryty liliami staw, a za nim znajdowały się kamienne schody. Miał nadzieję, że wyprowadzą go na łąki porośnięte drzewami. Zbliżając się do klombu nad stawem niemal biegł.

– Szukasz kogoś, czy zwiedzasz zabytki?

Obrócił się. Daisy siedziała z bosymi nogami na niskim murku, a obok niej na trawie stał kubek z herbatą. Roześmiała się z hojnością osoby, która wie, że cieszy się niezniszczalną urodą. Zatrzymał się i spojrzał na nią.

– Byłem w okolicy...

– Więc postanowiłeś wpaść – dokończyła. – Proszę, napij się mojej herbaty. – Wziął kubek, który wyciągnęła w jego stronę i automatycznie usiadł na trawie. – Każdy, kto pokona trasę przez zamek potrzebuje jakiegoś wzmocnienia... szkoda, że nie mogę cię poczęstować brandy.

Wypił cały kubek słodkiego, jeszcze gorącego płynu. To dziwne, denerwujące,

dokuczliwe szarpanie w klatce piersiowej minęło, przeszło w uczucie, którego nie potrafił ani zidentyfikować, ani nazwać, uczucie, które przyniosło ze sobą przyływ zadowolenia.

– Wypiłem ci herbatę – powiedział, usiłując uniknąć uśmiechu, o którym wiedział, że wyglądałby idiotycznie.

– Nic nie szkodzi, niecałe sto metrów stąd jest przyczepa pełna ludzi całkowicie oddanych parzeniu herbaty, dzień i noc, noc i dzień – powiedziała.

– To dobrze... Jak idzie?

– Bardzo dobrze. Jutro powinniśmy skończyć. Dzisiaj pracowałam z psami, spacerowałam z nimi po tym klombie, przez który właśnie przeszedłeś... byłoby to łatwiejsze, gdyby scenariusz nie wymagał ogarów.

– Cholera... to przeze mnie.

– Wiedziałaś... musieliśmy je odesłać... były zbyt podniecone... i teraz czekamy na jakieś psy, które nie dostają szału poczuwszy zapach ptaka albo zająca. O mało nie wyrwały mi ręki ze stawu. Po prostu nie chciały słuchać Northa. – Znowu zaczęła się śmiać, rozśmieszając i jego. Wyobrażenie dwóch czających się ogarów, przestępczych ogarów, które śmiać nie słuchać rozkazów Northa okazało się dla obojga najbardziej zabawną rzeczą, o jakiej słyszeli w życiu.

– Och... och... – Daisy łapała powietrze. – Nikt nie uważał tego za dowcipne, możesz mi wierzyć... Powtarzał ciągle „zabiję tego, kto to wymyślił, zabiję”. Ale nie martw się, nic nie powiedziałam.

Shannon nagle przestał się śmiać. – A co z twoją ręką... wszystko w porządku?

– Oczywiście.

Wziął jej rękę i odwrócił ją. Dłoń była gorąca i zaczerwieniona od wielogodzinnego trzymania smyczy. Przyglądał jej się przez chwilę, po czym uniósł ją i delikatnie, ze skruchą, przyłożył do swojego policzka.

– Wybacz mi – wymamrotał.

– Nic nie szkodzi... naprawdę – powiedziała niskim głosem. Podniosła drugą rękę i dotknęła jego ciemnych włosów, podnosząc loczek leżący na czole. Uniósł głowę i spojrzał na nią. Pocałował jej rozgrzaną dłoń. Odsunęli się, nie przestając patrzeć na siebie.

– A co ty tu robisz, do jasnej cholery? – zapytał North, wściekły i zaskoczony, wychodząc zza rogu.

Rozdział 23

Pięć dni później North i Luke siedzieli w milczeniu w sali projekcyjnej Northa. Przed chwilą obejrzelili robocze kopie wszystkich trzech reklam Elstree.

– Nie wiem co powiedzieć – przemówił w końcu Luke, przebijając się słowami przez chłodną, nieznaną mu ścianę obojętności Northa.

– Coś wymyślisz.

– Nie muszę ci mówić, że będą to najlepsze reklamy perfum, jakie kiedykolwiek powstały?

– Nie.

– Czy mogę ci po prostu podziękować?

– Podziękowanie zostało przyjęte. Czy mógłbyś przestać się wywnętrzać, Luke? Zrobiłbyś mi przysługę.

– Dobra! Och... Kiki prosiła, żebym zapytał czy wiesz, kiedy wraca Daisy... nie odezwała się ani razu.

– Nie mam pojęcia.

– Cóż, wobec tego zadzwonię do Shannona. – Luke miał dosyć ciężkiej atmosfery tworzonej przez przyjaciela. – Jezu, niech on to zobaczy! – powiedział żarliwie, podnosząc słuchawkę i wykręcając numer Supracorp. Przez chwilę rozmawiał z jedną z sekretarek Shannona i odłożył słuchawkę, zawiedziony.

– Okazuje się, że przebywa służbowo w Anglii... sekretarka nie ma pojęcia, kiedy wróci.

– Tyle to i ja mogłem ci powiedzieć.

– Co? Och. Och! O, mój Boże, co powie Kiki... a więc to cię gryzie... O, cholera, przepraszam, North, zachowuję się strasznie głupio i nietaktownie.

– To nie ma najmniejszego znaczenia – powiedział North, jadownie cedząc każde słowo.

– Nie, nie, oczywiście, że nie. Nie wiem co we mnie wstąpiło, że to powiedziałem. – Luke jeszcze nigdy nie był tak bliski drgawek.

– Mam zmiękczony mózg, może złapałem chińską grypę, wszyscy w biurze chorują. – Pośpiesznie wrócił do spraw zawodowych.

– Kiedy będziesz miał finalną kopię? Nikt nie powinien widzieć tych kawałków, dopóki nie będą w pełni zredagowane i zarejestrowane. Cały przemysł perfumeryjny jeszcze nigdy nie był tak skłócony.

– Za dwa, dwa i pół tygodnia.

– Dobra, muszę wracać do pracy. Daj mi znać w momencie kiedy będą gotowe, dobrze? Im szybciej tym lepiej... zatrudnij przy tym tak dużo ludzi jak trzeba. One muszą się zacząć ukazywać na długo przed Świętem Dziękczynienia. I North... dzięki raz jeszcze. Nikt poza tobą nie poradziłby sobie w ten sposób.

– Zrób mi przysługę, Luke. Jak następnym razem będziesz chciał wykonywać robotę z pierdolonym amatorem, poszukaj sobie kogoś innego. Niepotrzebna mi taka mordęga – złośliwie powiedział North.

– Dobrze. Masz to załatwione. Do zobaczenia niedługo? Zrób coś z tą grypą – powiedział Luke, po czym wybiegł z pokoju najszybciej jak mógł, ignorując Northa wyjącego, że to Luke jest – chory, a nie on. Nie wyglądało, aby był to odpowiedni moment na przypomnienie mu o świadkowaniu na ślubie. Ponadto czuł pilną potrzebę zadzwonienia do Kiki i opowiedzenia jej jak wspaniale, cudownie, wręcz absurdalnie idealnie wypadła Daisy, a miał poważne wątpliwości czy North byłby zadowolony, gdyby w tym celu skorzystał z telefonu w studiu. Chociaż właściwie, czy Kiki nie będzie bardziej zainteresowana wieściami na temat pobytu Daisy i Shannona w Anglii? Gdzie tu jest automat, do cholery?

Przez cały ostatni dzień zdjęć w zamku Berkeley Shannon nie potrafił zmusić się do opuszczenia planu. Chociaż odchodził jak najdalej od miejsca akcji, podświadomie przesuwając się z powrotem coraz bliżej, dopóki ktoś z ekipy lub kabel zaplątany wokół nogi nie przypomnieli mu, że przeszkadza. Obserwował jak Daisy wraz z aktorem szła wzdłuż Bowling Alley prowadząc dwa dobrze wytresowane, miniaturowe pieski colie, z lewej strony mając potężne, szarolawendowe wały obronne.

Był w jakimś bardzo dziwnym stanie. Bardzo dziwnym. Próbując to zanalizować doszedł do wniosku, że wyglądało na to, iż czuje coś, co z pewnością można było nazwać zdecydowaną preferencją dla Daisy. Wydawało się, że była osobą, z którą chciał spędzać jak najwięcej czasu. Cały czas. Ale jeszcze nie rozumiał, dlaczego tak się działo. I nie dlatego, że ona to sprawiała. Ona po prostu była. I właśnie to było najbardziej zagadkowe.

Od młodości Patrick Shannon posiadał dar wykrywania wewnętrznych prawd w innych ludziach, w sposób, w jaki jeleni odnajduje w lesie łanię. Opierał się na instynkcie, intuicji oraz wewnętrznej wiedzy opartej na setkach odbieranych sygnałów, które raz za razem okazywały się niezawodne i słuszne. Ambicja, talent, strach, dobroć, małostkowość, uczciwość... potrafił wywąchać je w powietrzu. Gdyby był mistykiem, powiedziałby, że dostrzega je jako aureole wokół ludzkich

głów. A ponieważ święcie wierzył w precyzję swoich instynktownych przeczuć, często z nich korzystał. W moznym świecie korporacji zdolność ta przekształcała się bezpośrednio w działanie.

Ale dzisiaj czuł, że jego poczucie realizmu zostało wyłączone, a instynkt był tak zachwiany jak instynkt króla Artura, kiedy zawędrował do zaczarowanego kręgu Morgana le Faya. Bo niby co wiedział o Daisy? Spotkanie w Middleburgu i incydent w studiu Northa odrzucił jako bezwartościowe. Kolacja w Le Cirque? Roześmiana dziewczyna, z którą siedział wczoraj na murku, nie była wielce małomówną kobietą, z którą jadł kolację w Le Cirque, ani też przyjemną, poprawną, pełną rezerwy księżniczką, którą w minionych miesiącach od czasu do czasu przedstawiał dyrektorom poszczególnych wydziałów Supracorp. Poprzedniego wieczoru, kiedy wszyscy razem jedli w Toad in the Hole w Bath, była bardzo milcząca, być może wycieńczona po długim dniu, a być może po prostu bardzo spokojna. Tymczasem dzisiaj znowu była inna.

Daisy była w tej samej sukience co wczoraj, prostej, z golfem, uszytej z najdelikatniejszej wełenki w odcieniach od bladopłowego do ciemnobrazowego, z rdzawym deseniem, który tworzyła leśna płatanina kawałków kory i jagód. Ledwo dotykała wzniesionych piersi i była lekko ściągnięta tkanym, złotym paskiem w talii. Daisy nazywała ją Maid Marion i wkładała do niej botki z cienkiej, rdzawej skórki. Shannon uważał, że wygląda jak sukienka z ostrych piór. Za każdym razem kiedy mówiła „Używam ich każdego dnia”, wyciągała brązową aksamitną wstążkę z grubego warkocza leżącego na prawym ramieniu i uwalniała srebrne włosy. Kiedy robiła to w kolejnej powtórcie, znajdował tylko jedno słowo dla określenia tego, co widział: była gwiazdą. Wszyscy obecni, każdy kto znajdował się na planie, zdawał się żyć wyłącznie po to, aby sfilmować ją gdy idzie po liczącym wieki trawniku. Owszem, North mówił jej co ma robić, ale nie mógł powiedzieć jak ma to zrobić. Ten uduchowiony, naturalny wdzięk musiał pochodzić od niej. Żaden makijaż nie mógł sprawić, że wyglądała tak niewinnie, a jednocześnie tak dojrzałe. Nikt nie mógł obdarzyć jej połączeniem łagodnej przystępności z odrobiną czegoś, co nieomylnie stawiało ją wysoko, bardzo wysoko ponad przeciętność.

Tego popołudnia North oświadczył, że praca została zakończona. Samolot do Nowego Jorku odleci z Londynu następnego dnia w południe. Podczas gdy Mary-Lou zwalniała ekipę z dosadnością oficera kontroli lotów NASA, Patrick Shannon skierował się do przyczepy służącej za charakteryzatorkę Daisy.

– Wracasz jutro do domu? – zapytał, zachowując się tak niezręcznie jak

pierwszoklasista.

– Nie, mam coś do załatwienia w Londynie. A potem jadę do Francji odwiedzić... rodzinę.

– Ja też muszę coś załatwić w Londynie.

– Tak?

– Ale znasz Anglików... nie wolno zawracać im głowy w weekendy. Więc zostaję do przyszłego tygodnia. Chciałabyś... czy znajdziesz czas na kolację jutro wieczorem? Pewnie masz jakieś plany?...

– Nie. Jestem wolna. Chętnie pójdę na kolację.

– O której mam po ciebie przyjechać?

– O pół do dziewiątej, w Claridge. – Wróci po dniu spędzonym z Dani przed pół do siódmej. Będzie miała dwie godziny, aby się przygotować. Zastanawiała się czy będą sami, czy znowu przyprowadzi jakichś obcych ludzi z Supracorp do przedstawienia.

– Czyli... do zobaczenia – powiedział zakłopotanym tonem wycofując się z przyczepy.

Po wczorajszej chwili na murku, przerwanej przez tego skończonego drania Northa, znalazł się w stanie, którego nie potrafił, wyjaśnić, ponieważ nie miał żadnych punktów odniesienia. Poraziły go dreszcze krystalicznej rozkoszy, wypełniała niecierpliwa, ryzykowna radość. Był świadom faktu, iż jego ducha okupował nadmiar czegoś żywego i cennego, choć nie zidentyfikowanego. Wziąwszy to wszystko pod uwagę stwierdził, że znajduje się w nieumiarkowanym stanie, i z pewnością wielce niepokojącym. Ale był szczęśliwy!

Stolik na sobotni wieczór w Connaught zwykle trzeba rezerwować z prawie tygodniowym wyprzedzeniem. Ale ponieważ Shannon zatrzymywał się w Connaught podczas swych częstych wizyt w Anglii, bez kłopotu to załatwił. Długo zastanawiał się gdzie ma zabrać Daisy na kolację i słodki pomruk Connaught wydał mu się bardziej pociągający niż kosztowna atmosfera pośpiechu wielu modnych londyńskich restauracji włoskich czy też podniosła pracowitość licznych lokali francuskich.

Daisy czekała w hallu hotelu Claridge kiedy się zjawił, a podczas krótkiego przejazdu do pobliskiej restauracji, zamienili zaledwie parę słów. Była wyczerpana emocjonalnie po spotkaniu z siostrą. Miała za sobą trudny i długi dzień, i smutny, i radosny, bo stwierdziła, że Dani nic się nie zmieniła, pozostała niesamowicie piękną, nietkniętą przez czas, szczęśliwą pięciolatką w ciele Daisy. Czuli się tego

wieczoru słaba, podatna na ciosy, zagubiona, zamroczona, jednocześnie bardzo stara i bardzo młoda.

Kiedy szofer zatrzymał samochód przed znajomym wejściem z wyszukany, szklanym daszkiem, Daisy westchnęła tylko: – Och – tak cicho, że Shannon nie dosłyszał nuty szoku w jej głosie. Weszła do hallu jak we śnie i ruszyła znajomą drogą do restauracji, tym razem nie zatrzymując się, aby sprawdzić każde danie na załadowanych ruchomych schodach, ale patrząc prosto przed siebie, przygryzając od wewnątrz dolną wargę, żeby nie pozwolić jej drżeć, bo nagle znalazła się w otoczeniu dźwięków i zapachów nigdy niezapomnianego raj. Kiedy na moment zatrzymali się w wejściu na salę, czekając na odprowadzenie na swoje miejsce, główny kelner przestał przyjmować zamówienie przy pobliskim stoliku. Wystarczyło mu jedno spojrzenie. Opuścił zaskoczonego księcia, który wypytywał go o pochodzenie fois gras i ruszył szybko, stanowczo za szybko jak na ceniącego się maitre d'hôtel, do drzwi.

– Księżniczka Daisy! – krzyknął z radosnym zaskoczeniem, po czym zupełnie zlekceważył profesjonalizm i objął ją w serdecznym uścisku. – Księżniczko Daisy, wróciła pani! Dokąd pani wyjechała? Wszyscy tęsknią za panią... ale nikt nie wiedział co się stało... zniknęła pani!

– Och, drogi Monsieur Henri, nadal pan tu jest! Tak się cieszę, że pana widzę! – odkrzyknęła Daisy, z całych sił odwzajemniając uścisk.

– Wszyscy nadal tu jesteśmy... to pani wyjechała – powiedział, strofując ją oraz ignorując fakt, że wszyscy goście w pobliżu drzwi przestali jeść obserwując niewyobrażalną scenę, kiedy główny kelner Connaught ścisnął klientkę Connaught, zupełnie jakby była jego dawno zaginioną córką.

– Nie chciałam tego, Monsieur Henri, ale od lat mieszkam w Ameryce.

– Ale przyjeżdżała pani z wizytą? Dlaczego nigdy nie wstąpiła pani do nas, księżniczko Daisy, ani razu przez tyle lat? – pytał z wymówką.

– Ani razu nie byłam w Anglii – skłamała Daisy. – To moja pierwsza wizyta w domu. – Nie mogła mu powiedzieć, że kiedy przyjeżdżała w odwiedziny do Danielle, nie miała pieniędzy na jadać w Connaught.

Shannon kaszlnął. Maitre d'hôtel szybko powrócił do rzeczywistości. W ciągu paru sekund siedzieli przy stoliku. Nie zastanawiając się dał im ten sam stół, o który zawsze prosił Staś Valensky, w centrum, ale jednak kameralny. Shannon uważnie przyglądał się Daisy. Wyraźnie widział, że z trudem powstrzymuje łzy.

– Przepraszam... nie miałem pojęcia – powiedział. – Czy będziesz się źle czuła, jeśli zostaniemy? Wolałabyś pójść gdzieś indziej?

– Wziął jej dłoń i troskliwie przykrył swoją ręką.

Daisy pokręciła głową i nawet spróbowała się lekko uśmiechnąć.

– Nie, nic mi nie będzie. To tylko... wspomnienia. Cieszę się, że znowu tu jestem, naprawdę. Dokładnie przy tym stoliku przeżyłam sporo najszcześniejszych chwil w życiu.

– Nic o tobie nie wiem! – wybuchnął Shannon. Czuł się przytłoczony zazdrością ojej tajemniczą przeszłość. Co za okropny sposób na rozpoczęcie wieczoru... spotkanie po latach, wspomnienia, łzy. Co dalej?

– To niesprawiedliwe, prawda? – zapytała, czytając jego myśli.

– Prawda. Za każdym razem gdy cię widzę, jesteś inna, do cholery. Nie wiem co mam o tobie myśleć. Kim ty w końcu jesteś, do diabła?

– I to mówi człowiek, który jest tak pewny mojej tożsamości, że chce ją rozślawić na cały świat? Jak Księżniczka Daisy może zaistnieć, jeśli ty nie wiesz kim jestem.

– Znowu się ze mnie naśmiewasz.

– Masz coś przeciwko temu?

– Podoba mi się to. A zresztą, masz rację. Księżniczka Daisy dotyczy Elstree, nie ciebie. Ale ja nadal nie wiem kim jesteś.

– W jego oczach lśniło usilne błaganie.

– Kiedyś bywałam tu z ojcem, prawie co niedziela jadaliśmy tu lunch, od kiedy miałam dziewięć lat aż do ukończenia piętnastu. Ojciec zmarł, a ja wyjechałam na studia do Santa Cruz w Kalifornii. Potem pracowałam w Nowym Jorku dla Northa.

– Z wyjątkiem weekendów, kiedy to dla przyjemności malowałam obrazy?

– Dla pieniędzy. Każdy z tych obrazów namalowałam dla pieniędzy – łagodnie powiedziała Daisy. – I pracowałam u Northa dla pieniędzy, a teraz występuję w reklamach dla pieniędzy. Skoro chcesz mnie poznać, powinieneś o tym wiedzieć. – Słyszając samą siebie zdała sobie sprawę, że Shannon właśnie usłyszał na jej temat więcej, niż kiedykolwiek powiedziała mężczyźnie. A jednak nie była ani zaskoczona, ani przerażona tym co ujawniła. Być może uczyniła to pod wpływem dnia spędzonego z Dani, ale tego wieczoru jej uczucia drzemały tuż pod powierzchnią, a przy tym wiedziała z całkowitą, jasną pewnością, że niczym nie ryzykuje wyjawiając temu człowiekowi rzeczy, które od tak dawna okrywała całunem tajemnicy.

– Dlaczego potrzebujesz pieniędzy?

– Na utrzymanie siostry – mówiąc to Daisy poczuła tak wielką ulgę, że zadrżała wydając z siebie westchnienie i opadła głębiej na krzesło, choć nie wyjęła dłoni

spod jego ręki.

– Opowiedz mi o niej – poprosił miękko.

– Jest bardzo, bardzo słodka i dobra. Na imię ma Danielle. Kiedy dzisiaj pojechałam zobaczyć się z nią, doskonale mnie pamiętała, chociaż minęło kilka lat od moich ostatnich odwiedzin. Nauczyciele w jej szkole twierdzą, że ciągle o mnie mówi... pyta „Gdzie Day” i patrzy na nasze wspólne zdjęcia – powiedziała Daisy rozmarzonym głosem.

– Ile ma lat? – zapytał Shannon.

– Jesteśmy bliźniaczkami.

Dwie godziny później, mając kolację za sobą, siedzieli nadal, rozmawiając przy brandy, chociaż ponad połowa restauracji już opustoszała.

– Dawno temu coś niedobrego zaszło w moim życiu – powiedziała Daisy. – Nigdy nie miałam pewności, co to właściwie było.

– Czy wtedy kiedy zmarła twoja matka?

– Od tego czasu nic nie układało się dobrze. Ale myślę, że coś złego stało się o wiele, wiele wcześniej... może nawet w momencie, kiedy się urodziłam... pierwsza.

– Nie możesz sięgać pamięcią aż do swoich narodzin – wtrącił przerażony Shannon. – Skąd wiesz, że urodziłaś się pierwsza?

Daisy spojrzała na niego ze zdziwieniem. – Czyja to powiedziałam? Naprawdę powiedziałam „urodziłam się pierwsza”... powiedziałam to na głos?

– Cokolwiek to oznacza, powiedziałaś.

– Nie zdawałam sobie sprawy – wyszeptała. Od początku rozmowy, jak od pierwszego, cichego taktu walca brzmiącego z oddali, czuła się jakby taneczny krok unosił jej serce. Zupełnie jakby zatwardziały kamień, który dźwigała w nim od tak dawna, zaczął się roztopiać w muzyce.

– Daisy, o czym ty mówisz? Do tej pory mówiłaś zrozumiale, ale nagle przestałaś. Nic nie rozumiem.

Patrzył na nią oszołomiony. Zdawała się przemawiać przez sen, jeszcze głębszy niż wówczas, gdy powiedziała mu o Danielle.

– Przez całe życie starałam się naprawić tę krzywdę, próbowałam odwrócić wypadki, znaleźć wyjście, nawet zapłacić za to, ale oczywiście nic z tego nie wyszło.

– Daisy, wytłumacz mi... co chcesz powiedzieć? – błagał. – Ciągle mówisz zagadkowo.

Zawahała się. Złamała ojcowskie tabu nałożone na najdrobniejszą wzmiankę o

Danielle, powiedziała Shannonowi wszystko o tym jak była wychowywana, o firmie Rolls-Royce'a i stracie pieniędzy, o białaczce Anabel i o La Maree... opowiedziała mu o wszystkim, z wyjątkiem Rama. Nigdy, przenigdy w życiu nie powie nikomu o Ramie.

– Jedynym powodem upośledzenia Danielle jest fakt, że ja urodziłam się pierwsza. – Daisy głęboko zaczerpnęła powietrza, po czym ciągnęła dalej. – Zabrakło jej tlenu... ja miałam wszystko czego potrzebowałam, ale ona nie. Gdyby nie ja, byłaby zdrowa.

– O Jezu! Winisz się za to przez całe życie! Mój Boże, Daisy, to najbardziej zwariowana rzecz, jaką słyszałem! Nikt na świecie, nikt, żaden lekarz, żadna normalnie rozumująca osoba nie zgodziłaby się z tobą, Daisy, tak naprawdę nie możesz w to wierzyć.

– Oczywiście, że nie wierzę w to z punktu widzenia logiki... ale emocjonalnie... zawsze czułam się... winna. Powiedz mi, Pat, jak można wybić sobie z głowy coś, co się czuje? Jak zapomnieć coś, co usłyszało się we wczesnym dzieciństwie i co służyło za wyjaśnienie wszystkich niezrozumiałych rzeczy, coś, o czym nie wolno było z nikim rozmawiać, coś, z czym żyło się tak długo, że zatraciło się poczucie racji lub niesłuszności, ponieważ stało się to pewnym wewnętrznym przekonaniem, silniejszym niż logika?

– Nie wiem – przyznał wolno. – Nie wiem co bym dał, żeby wiedzieć. Może powinnaś mylne przekonanie zastąpić prawdziwym? Myślisz, że to jest wykonalne? Czy może staję się zbyt metafizyczny? Nie przywykłem do tego rodzaju problemów. Chociaż żałuję tego – dodał z pokorą.

– Ojej – powiedziała z wyrazem uciechy na twarzy. – Metafizyczny pan Shannon... gdyby mogli cię teraz zobaczyć w biurze zarządu.

– Wielu ludzi ucieszyłoby się... Pat Shannon nie zna odpowiedzi. – Uważnie przyjrzał się linii opadającej od czoła Daisy do czubka jej prostego, ładnego nosa i pomyślał, że była w niej determinacja, której do tej pory nie poświęcił należytej uwagi. Przestrzeń między jej nosem a górną wargą miała cudowny kształt. Nagle wypełniła się hamowanym śmiechem.

– Mam dziwne przeczucie, że kelnerzy, nic nie ujmując ich uprzejmości, byliby zachwyceni gdybyśmy wyszli... nie ma już nikogo poza nami – powiedział.

– Chyba będziesz musiał mnie wynieść. Jestem wykończona. Nie pamiętam, kiedy byłam tak strasznie zmęczona – powiedziała Daisy. – Ale czuję się, och, czuję się...

– Tak? – zapytał niecierpliwie.

– Jak idiotyczny tytuł piosenki, którą Kiki gdzieś usłyszała... brzmi on „To miejsce nazywa się To mi się podoba”.

– Rozumiem cię. Słuchaj, odwiozę cię teraz do hotelu, żebyś się wyspała. Czy jutro jedziesz znowu do Danielle?

Przytaknęła.

– A w poniedziałek? Będziesz jeszcze tutaj w poniedziałek? – zapytał.

– Nie, w poniedziałek jadę do Honfleur zobaczyć się z Anabel.

– Pozwól mi pojechać z tobą do Francji – wyrzucił z siebie.

– Ale masz sprawę do załatwienia w Londynie – przypomniała mu poważnie.

– Naprawdę w to uwierzyłaś?

– Powinieneś sam się domyślić.

– No więc, mogę pojechać? – zapytał znowu. Jeszcze nigdy nie czuł się tak niepewnie.

– Myślę, że Anabel chciałaby cię poznać – wolno odpowiedziała Daisy. – Zawsze umiała właściwie ocenić mężczyzn. Tak, to dobry pomysł. Poza tym bez wizyty w La Maree nigdy do końca nie zrozumiesz, o czym mówię. Ale co Supracorp zrobi bez ciebie?

– Kto?

Na początku lipca winorośl porastająca La Maree zaczyna miejscami czerwienić. Pod koniec miesiąca cały obszerny manoir pokrywają fale płomiennego, jaskrawego koloru, a w ogrodzie wspaniale rozkwitają dale o wielkich kwiatach, z których każdy jest wart płótna Fauve'a.

Kiedy Daisy i Shannon podjechali, Anabel stała w głównym wejściu. Całując ją Daisy próbowała dopatrzeć się jakichś objawów zmiany. Zauważyła wyraz stanowczości na jej kochającej twarzy, którego nie było nigdy przedtem. Być może był to przejaw ceny, jaką musiała zapłacić za pogodzenie się z tym, za poznanie prawdy. Ponadto dopatrzyła się nowego, nieznanego przygaśnięcia koloru jej oczu. Ale spojrzenie pełne najdoskonalszego pragmatyzmu nie zmieniło się, podobnie jak jej nieprzemijająca radość życia.

– A to kto? – wykrzyknęła przyglądając się Shannonowi. – Wyjątkowo wysoki i raczej przystojny Amerykanin? To miła odmiana. Czy jego włosy są tak czarne, a oczy tak niebieskie? Ależ oczywiście, to irlandzka krew. Chyba zaczynam się starzeć, skoro nie zauważyłam tego od razu. Daisy, nie mogłaś znaleźć sobie Amerykanina, który wygląda jak Amerykanin... jakiegoś dobrotliwego blondyna? Ciągłe słyszę o nich, ale jeszcze nie spotkałam takiego okazu. Może nie istnieją?

Nieważne... zadowolimy się tym, miłym, dużym i pięknym. Wejdźcie, dzieci, poczęstujcie się sherry.

– Uwielbiasz flirtować – powiedział Shannon.

– Bzdura, nie flirtowałam nigdy w życiu. Zawsze byłam śmiertelnie źle rozumiana – powiedziała Anabel ze śmiechem, który niezmiennie na pół uwodził każdego mężczyznę, który go usłyszał. Trochę schudła i czerwień jej lśniących włosów nieco przybladła, ale kiedy prowadziła ich przez salon na taras wychodzący na morze, okazało się, że zmiany jakie czas wywarł na La Maree i jego właścicielce były niesamowicie drobne. Na myśl, że przynajmniej ten dom, ten raj nie zostanie Anabel odebrany, Daisy poczuła przyspieszone bicie serca. Wieczorem po kolacji Shannon poszedł poczytać na jednym z siedzisk na balkonie nad salonem, a Daisy i Anabel usiadły w fotelach przy kominku w jadalni. Ponieważ było lato, nie rozpalono go, ale i tak była pełna wspomnień o wielu wakacyjnych wieczorach spędzonych przy ogniu w dzieciństwie.

– Jak się czujesz, tak naprawdę? – w końcu zapytała Daisy.

– Teraz? Właściwie tak jak zawsze. Przez parę pierwszych miesięcy było raczej ciężko... terapia lekowa jest raczej średnio przyjemna, ale teraz jestem badana przez lekarza tylko raz na miesiąc i najgorsze mam już za sobą. Trochę schudłam i nawet jestem z tego zadowolona, tyle że mam mało energii... ale nie narzekam, kochanie. Mogło być znacznie gorzej. Przysięgam, że to prawda.

– Wiem. – Daisy przygryzła wargę nim odezwała się ponownie. Nie chciała wymawiać imienia Rama. – Dałaś mu znać, że go nie potrzebujesz? – zapytała.

– Jak tylko dostałam twój list. Powiedziałam mu, że już nigdy nie będę mu zawracać głowy i wyjaśniłam dlaczego, bo inaczej nie uwierzyłby mi.

– Co mu powiedziałaś? – niespokojnie zapytała Daisy.

– Po prostu powiedziałam, że wybrano cię do nakręcenia jakichś reklam i będziesz miała dość pieniędzy aby utrzymać i mnie, i Dani.

– Dzięki Bogu za to – powiedziała Daisy.

– Tak. Ram jest prawdziwie zły. Żałuję, że nie mogłam mu pomóc, ale kiedy go poznałam, było już za późno. Chociaż miał chyba tylko dwanaście lat.

– Czyja to wina? – zapytała Daisy.

– Często się zastanawiałam. Zawsze był nieszczęśliwy, zawsze zazdrosny, zawsze obcy, dziecko rozwodu, to jasne; ale to nie może wyjaśniać wszystkiego. Był także synem twojego ojca, a on był twardym i samolubnym człowiekiem. Często także okrutnym. Być – może Staś mógł pomóc Ramowi, ale nigdy nawet nie raczył spróbować.

– Nigdy przedtem nie mówiłaś mi o tym – powiedziała zaskoczona Daisy.

– Nie byłaś dostatecznie dojrzała, aby to usłyszeć... aby wysłuchać tego i zrozumieć, a także uwierzyć, że nawet kiedy to mówię, nadal bardzo kocham twojego ojca. Uważam, że teraz powinnaś to wiedzieć. Tego dnia kiedy Staś zostawił Danielle w szkole, byłam bliska odejścia od niego.

– Czemu nie odeszłaś?

– Bo tylko dzięki mnie mogł pozostać człowiekiem... i, jak mówiłam, kochałam go... a poza tym, być może wówczas częściowo zostałam i dla ciebie. Wiesz, gdy miałaś tylko sześć lat, trudno było oprzeć się twojemu urokowi... nim tak się postarzałaś i zbrzydłaś.

– Znowu flirtujesz, Anabel. Powiem Shannonowi.

– Aha, właśnie, Shannon. Skoro nareszcie mnie zapytałaś, powiem ci, że owszem, podoba mi się. To dobrze, że zaczynasz okazywać odrobinę rozsądku. Od lat martwię się o ciebie, Daisy. Masz naprawdę niesamowity talent do unikania kłopotów... to nie było normalne. A teraz, ten Shannon... cóż, muszę przyznać, że ci zazdroszczę...

– Anabel! Prawie go nie znam!

– Rzeczywiście! Gdybym tylko była trzydzieści lat młodsza... albo nawet dwadzieścia... byłabyś bez szans! Zabrałabym ci go jak nic.

– Zrobiłabyś to, prawda, Anabel? Naprawdę byś to zrobiła? – nie mogła uwierzyć Daisy. – Nie masz ani trochę poczucia fair play?

– Kiedy chodzi o takiego mężczyznę? Chyba żartujesz. Co to ma wspólnego z „fair play”? Ta twoja brytyjska edukacja wpoila ci straszliwie przestarzałe pojęcia. Nic dziwnego, że stracili Indie.

Wkrótce potem Anabel oświadczyła, że jest zmęczona i idzie do łóżka. Umieściła Daisy w jej starym pokoju, którego ściany nadal pokrywał zielony jedwab, choć nieco spłowiały i miejscami przetarty, natomiast Shannonowi przydzieliła brązowo-białą sypialnię, najwygodniejszy z pokoi gościnnych, dokładnie w przeciwnym skrzydle domu.

Powiedziawszy dobranoc Anabel, Daisy usiadła na oknie i w ciemności wyglądała na połyskujące ujście Sekwany w światłach Le Havre. Tu muszą być duchy, pomyślała, patrząc na ukochane sylwetki parasolowatych sosen, słuchając szelestu drugich liści eukaliptusa, wdychając zapach drewnianych, porośniętych pnączem ścian La Maree, od czasu do czasu słysząc porykiwanie krów w gospodarstwach u stóp wzgórza. Są duchy, ale dzisiaj mi nie zagrażają, dzisiaj nic

mi nie zrobią, dzisiaj nic nie może mnie zranić... mogłabym nawet pójść na spacer do lasu i nie czułabym lęku. Nagle przypomniała sobie Rama, wyciągniętego w znajomej pozie na krzeselku pokrytym płótnem w paski, wpatrującego się w nią intensywnie, przywołującego ją niedbałym gestem władczej ręki. Nie, nie masz żadnej władzy nade mną, szalony duchu, absolutnie żadnej... i wiesz o tym.

Szczotkując włosy zastanawiała się, czy rzeczywiście nie pójść do lasu. Naelektryzowane włosy błyskały w ciemności jak stadko oburzonych robaczek świętojańskich. Podeszła do bielizniarki, w której przechowywała stare ubrania przydatne podczas wizyt w La Maree. Miała na sobie mocno spraną bawełnianą piżamę, którą dostała mając szesnaście lat; w bluzie brakowało guzików, a spodnie zbiegły się.

Czy też, zastanawiała się Daisy, powinnam pójść i sprawdzić czy Pat Shannon jest zadowolony ze swojego pokoju? Przystanęła ze szczotką w ręku wspominając jak wyglądał, kiedy zbiegał po tarasach zamku Berkeley. Co za pilna sprawa ściągnęła go tam? Myślała o tym, jak szybko odwiózł ją do Claridge, rozumiejąc iż jest zmęczona, że nawet objęcie ramieniem było dla niej zbyt uciążliwe, jak taktownie zostawił ją samą z Anabel tego wieczoru, pozwalając im porozmawiać. A jednak wierzę, że uważa mnie za atrakcyjną, powiedziała sobie, uśmiechając się w ciemnościach i wspominając moment milczenia, kiedy pocałował ją w dłoń. Tak, niewątpliwie atrakcyjną. Jest niemal zbyt troskliwy. Czy gościnność nie wymaga upewnienia się, że niczego mu nie brakuje? Prawdziwa, szczerza gościnność? W zamyśleniu zdjęła piżamę i zaczęła grzebać w walizce w poszukiwaniu prezentu, który Kiki podarowała jej przed wyjazdem do Anglii zapewniając, że przyniesie jej szczęście. Rozpakowała z cienkiego papieru koszulę nocną, jakiej jeszcze nigdy nie miała, śliską, w kolorze moreli, uszytą z dwóch lśniących kawałków satyny, połączonych wzdłuż boków tylko drobnymi tasiemkami, wiązany na kokardki co dwadzieścia centymetrów. Daisy włożyła ją przez głowę i głęboko odetchnęła, kiedy na nagim ciele poczuła dotyk chłodnego materiału. Później narzuciła taki sam szlafrok, zawiązywany na tasiemki pod szyją. Przez moment wahała się, czy nie obejrzeć się w lustrze, ale nie miała ochoty zapalać światła.

Daisy otworzyła drzwi tak cicho jak somnambulik, ale w jej chodzie nie było nic z lunatyka, kiedy wyruszyła ze swoją gościnną misją przez cały dom, aż do pokoju Pata Shannona. Zapukała i wstrzymując oddech czekała aż się otworzą. Bez odpowiedzi. Zapukała jeszcze raz, trochę głośniejsze. Możliwe, że już śpi, pomyślała. Był tylko jedyny sposób, aby się przekonać. Daisy otworzyła drzwi i ujrzała go, twardo śpiącego na szerokim łóżku. Cichutko przeszła przez pokój i uklękła na

podłódze tuż koło niego, po czym zrzuciła szlafrok i pochyliła się nad nim. W pokoju było wystarczająco dużo światła księżyca, aby mogła przyjrzeć się jego twarzy. We śnie linie po obu stronach ust Shannona zmiękły i to rozluźnienie nadawało jego charakterystycznemu wyrazowi zamierzonego bandytyzmu młodzieńczości, której zaczęła się czule przyglądać. Jego włosy, zawsze rozczochrane, opadały na twarz bardziej niż pozwoliłby im gdyby nie spał, jeszcze bardziej przyczyniając się do tego, że sprawiał wrażenie nie mającego się na baczności. Zdawał się być w zasadzce dzikiej samotności, pomyślała Daisy, ciekawa o czym on śni. Shannon, którego tak często widywała w akcji, szybki, samodzielny, wolny od powątpiewania w siebie i niepowodzeń, mocarny dyrygent orkiestry jaką była korporacja, spał snem dziecka. Jego szerokie usta były bezsilne, niemal błagające, wyglądał jakby zablądził. Miętko dotknęła jego warg ustami. Spał. Pocałowała go jeszcze raz, ale spał nadal. To niezbyt eleganckie z jego strony, pomyślała Daisy i pocałowała go znowu. Obudził się łapiąc powietrze.

– Och, najlepszy z pocałunków – wymamrotał w półśnie.

Szybko pocałowała go ponownie, zanim zdążył coś jeszcze powiedzieć.

– Najśłodszy z pocałunków... jeszcze jeden...

– Były już cztery.

– Nie, to niemożliwe, nie pamiętam, więc się nie liczą – domagał się, już w pełni rozbudzony.

– Wstąpiłam tylko sprawdzić czy się rozgościłeś. Przekonałam się, że tak, więc mogę wracać do siebie. Przepraszam, że cię obudziłam... śpij dalej.

– O Boże, nie idź! Wcale się nie rozgościłem! Jest tu strasznie zimno, materac jest nierówny, łóżko jest za krótkie i za wąskie, a poza tym muszę mieć jeszcze jedną poduszkę – narzekał na luksusowe warunki pokoi gościnnych Anabel, a jednocześnie zręcznie podniósł Daisy z podłogi, na której klęczała i wsunął ją pod kołdrę.

– Shannon ułożył ją w swoich ramionach tak delikatnie jak ukochane dziecko i leżeli spokojnie, przytuleni, zapoznając się z ciepłem ciała partnera, dźwiękiem oddechu i rytmem wielu pulsów. Było to porozumienie bez słów, tak przepełnione poczuciem niezwykłości, że żadne z nich nie śmiało przemówić. Pomału pogrążali się w sobie coraz głębiej, aż do zatracenia się w odczuciach, całkowitego zapamiętania w świadomości siły życia emanującej od osoby obok. W końcu, bez słów i bez ruchu, osiągnęli wzajemne zaufanie, które czekało na rozbudzenie.

Wydawało się, że upłynęło sporo czasu nim Shannon zaczął okrywać delikatnymi pocałunkami miejsce, w którym szczeka Daisy przechodziła w szyję,

to szczególnie ciepłe zaokrąglenie o bezmiernym pięknie, które nie dawało mu spokoju od wielu tygodni, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Daisy sprawiała na Shannonie wrażenie czegoś kruchego i rzadkiego, jakby schwytał młodego jednoroźca, jakieś dziwne, mitologiczne stworzenie. Jej włosy stanowiły najsilniejsze źródło światła w pokoju, ponieważ odbijały światło księżyca wpadające przez okna; i w tym świetle widział jej oczy, otwarte, skupione i lśniące jak para bliźniaczych gwiazd.

Czuł się w tej chwili tak, jakby nie całowali się nigdy przedtem. Pocałunki, którymi go obudziła były tak nieskażone, tak przelotne, że stały się jedynie wspomnieniami pocałunków. Teraz zasypał jej usta deszczem pocałunków jak jaskrawymi kwiatami.

O, tak!, pomyślała zapraszająco otwierając usta, skulona, żądna i śmiała. W łuk wygięła ku niemu ciało i trącąc łokciami jego ręce, doprowadziła je do piersi. To ona, nie on, jednym ruchem ściągnęła z siebie koszulę nocną i rzuciła ją na podłogę. To ona poprowadziła jego rękę wzdłuż swojego ciała, ona dotykała go wszędzie gdzie tylko sięgnęła, bawiąc się jak delfin, dopóki nie zdał sobie sprawy, że jej kruchość leżała w sile oraz że pragnęła go bez żadnej rezerwy, Zabrał się do chwalebego dzieła z niejasną świadomością, że jeszcze nigdy nie czuł w żyłach życia, którego przepływu nie zakłócały żadne myśli, jeszcze nigdy nie był tak bliski wychylenia pucharu nadziemskiego wina życia. Czuł jego smak na jej wargach, sutkach i brzuchu, spragniony spijał je całą swoją skórą, a kiedy w nią wszedł wiedział, że oto dotarł do źródła, do krynicy. Daisy leżała potem spokojna, podbita, spełniona, nieskończenie chętna. Czuła się jakby unosiła ją powierzchnia kryształowo czystej wody w rzece, nad brzegami której na zielonych drzewach śpiewają ptaki. Ale było coś więcej; coś więcej niż ten błogi spokój i oboje podniecali się, dyszeli, pośpiesznie poszukiwali, z żarliwością dwojga myśliwych polujących na nieuchwytną zdobycz, przeczesywali lasy swoich ciał, dopóki nie osiągnęli wspólnego zwycięstwa; Daisy wydała dźwięk, w którym było tyleż zdziwienia co radości. Zdarzało się jej przeżyć spełnienie, ale nigdy jeszcze nie było tak doskonałe, tak absolutne.

Kiedy później leżeli obok siebie w półśnie, unikając rozstania jakie niósłby ze sobą sen, Daisy zapierdziała w krótkiej serii zupełnie niepohamowanych puknięć, które według niej trwały około minuty.

– Termity w akcji – leniwie zauważył Shannon. Szybko wysunęła się spod kołdry i prawie zdążyła wyskoczyć z łóżka, ale jego drugie ręce przygniotły ją do materaca.

- Termyty przez małe t, takie karzełkowate. Dwójka z próby ucieczki.
- Puść mnie! – krzyknęła upokorzona.
- Ale najpierw musisz zrozumieć, że jeśli pierdzisz, to pierdzisz i już... pierdzenie jest częścią życia.
- Och, proszę, przestań powtarzać to słowo! – błagała Daisy, jeszcze bardziej zakłopotana.
- Nigdy nie mieszkałaś z mężczyzną – raczej stwierdził niż zapytał.
- Dlaczego tak uważasz? – szybko zareagowała. Oczywiście, że nie mieszkała, ale kto by się do tego przyznawał w wieku dwudziestu pięciu lat?
- Dlatego, że tak zareagowałaś na... wystrzelenie salutu ku czci królowej... czy to brzmi lepiej?
- Znacznie – wymamrotała, przytulając twarz do jego ramienia. – Czy to jest twój sposób na składanie romantycznych deklaracji?
- Nie ja zaaranżowałem okoliczności. Myślę, że stać mnie na coś lepszego.
- Nie krępuj się.
- Najdroższe kochanie, podziwu godna Daisy, jak mam cię przekonać, że głębia mojego serca przepełniona jest nieskazitelną rycerskością oraz absolutną czułością i oddaniem.
- Już mnie przekonałeś – zatrzęsała się od śmiechu. – A teraz idź spać, Shannon, bo zaraz będzie rano. Wracam do siebie i będziesz musiał jakoś znieść to okropne, nierówne łóżko.
- Ale czemu? Prześpij się tutaj. Nie idź. Nie możesz mnie tu zostawić samego – zaprotestował.
- Owszem, mogę. Nie pytaj dlaczego, bo nie wiem. – Usiadł i patrzył jak okrywa koszulą nagie ciało, tajemniczy cień w świetle księżyca. – Dobranoc, śpij dobrze i nie daj się pogryźć tym – termitom – wyszeptała, pocałowała go w usta z szybkością kolibra i już jej nie było.

Przy śniadaniu Anabel pogodnie zaproponowała mu pięć gatunków miodu do posmarowania bułki drożdżowej z masłem, jednocześnie obserwując Daisy, tryskającą radością, ale bladą jak świt i ubraną jak rozbójnik.

- Jakie macie plany na dzisiaj, dzieci? – zapytała.
- Dzieci? – Shannon uśmiechnął się do niej.
- Zwrot rodzajowy – odpowiedziała Anabel. – Odnosi się do wszystkich poniżej mojego pokolenia.
- Nie należysz do żadnego pokolenia – zapewnił ją.

– A ty stajesz się z każdym dniem bardziej czarujący.

– Mieliliśmy zamiar przejść się do Honfleur, chciałam pokazać Shannonowi port, ale może raczej powinnam was zostawić samych – zaproponowała Daisy. – Moglibyście spędzić czas na wzajemnym uwielbieniu.

– Nie, bardzo bym tego pragnęła, ale musicie kupić mnóstwo rzeczy na kolację. Wychodząc weźcie listę ze stołu w kuchni. Ja zetnę trochę kwiatów – spokojnie powiedziała Anabel.

– Pójdę po nią... jestem gotowa – powiedziała Daisy.

– W takim stroju? – zapytał Shannon.

– Naturalnie. – Daisy spojrzała po sobie. Zbudziwszy się tego ranka wskoczyła w stare dzinsy z dziurami na kolanach, które pamiętały jeszcze pierwszy rok studiów w Santa Cruz, podobnie znoszoną podkoszulkę bez rękawów i tenisówki, które miały prawie dziesięć lat. Na wierzch narzuciła nadjedzoną przez mole wełnianą granatową kamizelkę, która stanowiła część znieawidzonego mundurka w szkole Lady Alden, a którą wkładało się kiedy klasa maszerowała do parku na grę w palanta. Włosy spłotła w dwa proste warkocze zwisające na plecach i nie miała żadnego makijażu. – Za mało szykownie dla ciebie? – zapytała go z uśmiechem, który miał mu wyjaśnić, że doskonale wie co robi oraz że starannie zaplanowała tę metamorfozę, aby przyprawić go o jeszcze większe zauroczenie i zamroczenie. Ale wątpiła czy jest w stanie to rozszyfrować... jej taktyka miała raczej mało wspólnego z tą stosowaną w Supracorp.

– Podobasz mi się w tym stroju – powiedział Shannon.

– Jeszcze jedna Księżniczka Daisy do mojej kolekcji. I to całkiem inna niż ta, którą widywałem ostatnio, chociażby wczoraj wieczorem.

Nie odezwała się, ale natychmiast podchwyciła jego słowa. Jeszcze jedna Księżniczka Daisy? Jego kolekcja? Jej uśmiech niepostrzeżenie zamarł, za to oczy obserwującej ich Anabel zajaśniały. Przypuszczała iż uważają, że nie potrafi odczytać ich słów i zachowań tak nieomylnie, jak gdyby wygłosili oświadczenie. Och, ale dziwnie było patrzeć na stare historie rozgrywające się na nowo, jakby nigdy przedtem nie miały miejsca. Chociaż, nigdy nie znało się zakończenia, tylko początki były zawsze takie same.

– Usiłuję policzyć ile osób pocałowało cię w oba policzki dzisiaj rano – powiedział Shannon, kiedy wreszcie zapełnili koszyki zakupami i znaleźli stolik w kawiarni, z której roztaczał się widok na łuk starego portu z kolorowym zbiorowiskiem łodzi, podskakujących na wodzie przed wysokimi, wąskimi domami, które stały po drugiej stronie niewielkiego kanału. – Był rzeźnik,

sprzedawca sera, sprzedawczynie jarzyn, mężczyzna z owocami i kobieta z rybami, burmistrz, policjant i listonosz... kto jeszcze?

– Piekarz i jego żona, sprzedawca gazet, stary rybak, który kiedyś zabierał mnie na swoją łódź oraz dwóch właścicieli galerii sztuki.

– Ale kelner tylko uściśnął rękę. Czemu jest tak mało przyjacielski?

– Jest tu nowy... pracuje tu dopiero od ośmiu lat, więc prawie go nie znam – odpowiedziała Daisy popijając swoje cinzano.

– Naprawdę czujesz się tu jak w domu?

– Od śmierci ojca nigdzie nie czułam się lepiej. I nie zapominaj, że obserwowali jak dorastałam, każdego lata od dziecięcych czasów. Nic tu się nie zmienia... przybywa tylko turystów.

– To szczęście, że masz takie miejsce – powiedział Shannon z zadumą.

– A ty? Co ty masz? Narzekałeś, że nic o mnie nie wiesz. A co ja wiem o tobie?

– Dotknęła jego dolnej wargi jednym palcem, kapryśnej wargi, która często przyciągała jej wzrok, tej pełnej wyrazu wargi, która mogła być zadumana, wesoła, stanowcza... Nie wątpiła, że mogła też być zawiedziona, gniewna... może nawet bezlitosna?

– Mam tylko parę mglistych wspomnień z lat kiedy byłem chłopcem, który miał rodziców kochających się nawzajem i bardzo kochających jego... byliśmy bardzo biedni, teraz to wiem, i nie mieliśmy żadnych krewnych w przemysłowym miasteczku, gdzie ojciec pracował... przynajmniej żadnych nie pamiętam. Był mechanikiem, ale chyba często musiał być bez pracy, bo wiem, że dużo czasu spędzał w domu... za dużo – przerwał, potrząsnął głową i wypił łyk drinka. – Kiedy miałem pięć lat, oboje zginęli w wypadku... tramwajowym... wychowywałem się w katolickim sierocińcu... byłem nieszczęśliwym dzieckiem; nagle zupełnie sam, nic nie rozumiałem i byłem zbyt kłopotliwy, aby zostać adoptowanym. Zmieniłem się dopiero wtedy, kiedy zdałem sobie sprawę, że muszę pracować, pracować ciężiej niż inni, dostawać lepsze stopnie, być najlepszym we wszystkim... ale wtedy byłem już za duży do adopcji.

– Ile miałeś lat?

– Może osiem... dziewięć. Zakonnice dostały porządnie w kość ode mnie.

– Odwiedzasz je?

– Ten dom dziecka już nie istnieje. Zabrakło im sierot... czy może gdzieś się przenieśli, nie mam pojęcia. I tak nie chciałbym tam wracać. Moje prawdziwe życie zaczęło się, kiedy w wieku czternastu lat otrzymałem stypendium w St. Anthony's.

Daisy słuchała uważnie, niemal z bólem, usiłując pojąć ukryte znaczenie jego szczerych zwierzeń. Nie zaczyna się życia w wieku czternastu lat, wiele cech dorosłej osobowości kształtuje się znacznie wcześniej. Być może nigdy nie będzie wiedziała o nim tyle, aby móc dzielić z nim jego dzieciństwo, tak jak on dzielił jej. A może nie ma to znaczenia? Tak czy inaczej, jeszcze trochę i spóźnią się na lunch, a to może zdenerwować Anabel.

Shannon był bardzo zamyślony, kiedy w drodze powrotnej wspinali się na wzgórze Côte de Grace. Nigdy jeszcze nie odbył tak długiej rozmowy o swoim dzieciństwie. Czuł, że coś pominął, że brakowało jakichś istotnych związków. Ale jedynym sposobem na opisanie siebie wydawało się przytoczenie cytatu, który zawierał jego mądrość życiową.

– Posłuchaj... oto co myślę o życiu... George Bernard Shaw powiedział: „Ludzie zawsze zwalają winę za swoje wady na okoliczności. Nie wierzę w okoliczności. Ludzie, którzy dają sobie radę w tym świecie, mobilizują się i poszukują odpowiednich okoliczności, a jeśli nie mogą ich znaleźć, sami je tworzą” – mówiąc to zatrzymał się.

– Czy to jest także twoje motto?

– Tak. Co o tym myślisz?

– Jest prawie prawdopodobną półprawdą... czyli niezłe, jak na motto – powiedziała. – Mógłbyś spróbować mnie pocałować... nikt nie widzi.

– Całował ją przez dłuższą chwilę i Daisy poczuła, że obrasta wokół niego jak róża obrastająca silne drzewo.

– Czy ja jestem „okolicznością”? – wyszeptła.

– Ty jesteś głupim pytaniem – pociągnął ją za warkocze. – Ścigamy się, kto będzie pierwszy w domu.

Kiedy w trójkę jedli kolację, Anabel zapytała: – Jak długo możesz zostać, Patrick?

– Jutro wyjeżdżam – powiedział. W jego głosie brzmiał żal, ale nie wahanie.

– Nie mógłbyś zostać jeszcze jeden dzień? Dopiero przyjechaliście – zaprotestowała Anabel.

– To niemożliwe. Za długo już jestem z dala od biura i bieżących spraw. Ludzie w Supracorp pomyślą, że nie żyję. Nigdy przedtem tego nie zrobiłem.

– Nie bierzesz urlopów? – zapytała zdziwiona Anabel.

– Owszem, ale zawsze jestem w kontakcie. Nawet podczas dłuższych weekendów. Denerwuje ich to, a być może mnie denerwuje, sam już nie wiem –

roześmiał się, powracając do pozy pirata.

– Daisy, ale ty możesz jeszcze trochę zostać, prawda? – z nadzieją dociekała Anabel.

– Nie, nie może, Anabel – stanowczo powiedział Shannon. – Musi wracać do Nowego Jorku. Ma tam dziesiątki zajęć... wywiady, zdjęcia... moi ludzie od reklamy opracowują materiały, których jeszcze nie znam. Nie zapominaj, że Supracorp zainwestowała mnóstwo pieniędzy w Księżniczkę Daisy. Te reklamy to był początek.

Daisy ze zmartwienia przygryzła od wewnątrz wargę. Doskonale zdawała sobie sprawę, że musi wracać, ale najeżyła się słysząc jak Shannon odpowiada na pytanie, które Anabel skierowała do niej. Znała swoje zobowiązania wobec korporacji, ale jakim prawem Shannon decydował co ona może robić, a czego nie. Czyżby w jakiś prześmieszny sposób, wyobrażał sobie, że stał się jej właścicielem? Cholera!

Zwróciła się do Anabel, ignorując słowa Shannona: – Rzeczywiście muszę wrócić, na ślub Kiki... Nawet jeśli jestem potrzebna w Supracorp, nie jest to tak ważne jak ślub.

– Dzięki Bogu, że ten ślub się odbędzie – powiedziała Anabel z nieco łaskawym uznaniem dla powszechnego poważania, do którego tylko najbardziej wzięte były kurtyzany czują się uprawnione. – Z tego co pisałaś i z aluzji jej matki wnoszę, że to najwyższy czas.

Daisy zachichotała złośliwie. Anabel miała niezłe pojęcie o życiu. Spojrzała na nią ostro, z odwieczną, bezcenną, damską współwiną. Choć mówiły o Kiki, obie myślały o Shannonie. Jest dobrym Człowiekiem i zasługujesz na to... chwytaj okazję! ... spojrzenie Anabel radziło Daisy. Nie wyciągaj pochopnych wniosków, Daisy ostrzegła Anabel oczami, tak wyraźnie, jakby to powiedziała.

Rozdział 24

– Co to ma znaczyć, że „robiłam wszystko, żeby go zdobyć”? Tak nisko nigdy nie upadłam – wybuchnęła Kiki.

– Masz wybiórczą pamięć – zdumiała się Daisy.

– To ty zapominasz. Kto był wolnym strzelcem? Niczym nie skrepowanym, beztruskim, wesołym, niefrasobliwym, cieszącym się każdą chwilą na tym najpiękniejszym ze światów? Ja! Nie powiesz, że widziałas, żebym umówiła się dwa razy z rzędu z tym samym facetem – chełpiła się Kiki.

– Ani żebyś spała w jednym łóżku dłużej niż trzy miesiące – odpowiedziała Daisy.

– Ach, tak. Wiesz, Daisy, jak się dobrze przyjrzeć, to masz całkiem gówniany uśmiech. A kiedyś byłaś prawie piękna. – Kiki wzruszyła nagimi ramionami w sposób, który miał wyraźnie dać do zrozumienia, że uważa przyjaciółkę za straconą. Ubrana jedynie w kategorięcznie nieprzyzwoite majtki z czarnej koronki od Fredericka z Hollywood, leniwie przerzucała stertę pająkowatych, wymownych pasów z podwiązkami, czarnych i czerwonych. Wokół szyi przerzuciła parę czarnych nylonowych pończoch szwem z tyłu.

– Odpowiedz mi na kilka pytań – cierpliwie powiedziała Daisy.

– Czy ty go właściwie nienawidzisz?

– Nie posunęłabym się aż tak daleko – odpowiedziała Kiki niezobowiązującym tonem. – Nienawiść to zbyt mocne słowo... obojętność byłaby bardziej odpowiednia.

– Czy on cię nudzi?

– Nie całkiem... po prostu nie fascynuje mnie. Mój Boże, Daisy, świat jest pełny mężczyzn, dosłownie pełny. Zdajesz sobie sprawę ilu mężczyzn żyje na świecie? Każdy z nich inny, każdy z jakimś charakterystycznym bzikiem lub szaleństwem, lub talentem, lub urokiem, lub słodyczą, których ty nigdy nie poznasz, ponieważ jesteś zbyt leniwa, aby ich doświadczyć. Tobie naprawdę czegoś brakuje... zdaje się, że we Francji nazywają to temperament... to właśnie dzięki temu istnieją wielkie kochające kobiety... George Sand, Ninon de Lenclos i ja, do cholery, tylko że ty nie chcesz tego przyznać.

– Przyznaję – powiedziała Daisy tonem ugody. – Ty rzeczywiście byłaś wyjątkowa.

– Nadal jestem! – Kiki sprzeciwiła się jak niedobry anioł. Potrząsała głową

dopóki jej włosy nie zaczęły przypominać bezładnej płataniny lebiody, a jej opalone, nagie piersi podskakiwały w oburzeniu.

– Kiedy kochasz się z nim – zapytała Daisy – czy możesz powiedzieć mu co czujesz... no, wiesz... poprosić żeby zrobił to, albo tamto, zrobił coś jeszcze raz lub kilka centymetrów bardziej w lewo... czy możesz rozmawiać z nim o takich rzeczach, z taką łatwością i swobodą jakby drapał cię w plecy?

– Tak, oczywiście – małodusznie odpowiedziała Kiki. – I co z tego?

– Tak tylko pytam, po prostu zaspokajam swoją lubieżną ciekawość.

– Zaspokój moją... co z Patrickiem Shannonem? – zapytała Kiki z nagłym zainteresowaniem. – Jak to właściwie wygląda między wami?

– Mamy zamiar poznać się nawzajem – z godnością odpowiedziała Daisy.

– Oho, ho... więc nie raczysz odpowiedzieć na takie same pytania jakie zadajesz mnie.

– Powiem ci wszystko co chcesz wiedzieć.

– Czy jest w tobie zakochany? – dociekała Kiki.

– Jest bardzo... uprzedzająco grzeczny.

– To znaczy, że nie powiedział dotychczas niczego konkretnego, nie poprosił cię o rękę? – Kiki zapomniała o własnych problemach. Do tej pory była tak zajęta narzekaniem, że nie miała czasu wypytać Daisy.

– Nie i wcale się z tego powodu nie martwię.

– Trzymasz go na bezpieczny dystans, tak jak poprzednich, to o to chodzi, tak?

– Ten dystans jest zbyt mały, żeby go nazwać bezpiecznym. Jest pewien kłopot... on tam jest taki wielki... uwielbiam obserwować – jak podbija świat, ale staje się tak dominujący, że to mnie przeraża... w każdym razie trochę. A może i bardzo. Raptem zaczynam się zastanawiać, czy nie dąży do władzy nad wszystkim i wszystkimi, a jednocześnie mogę powiedzieć mu prawie wszystko licząc na to, że mnie zrozumie. A jednak... nie mam całkowitej pewności, że nie jest to jeszcze jeden z jego sposobów zdobywania tego co chce. Po prostu nie wiem. Czasami... wydaje się to takie słuszne, takie *honorable*... ale potem mam wątpliwości czy nie jestem dla niego jeszcze jedną zdobyczą, na przykład w formie ucieleśnienia firmy Elstree w pewnej konkretnej postaci. Jedno jest pewne... jest bezgranicznie zakochany w Księżniczce Daisy jako przedsięwzięciu. I to mi się zdecydowanie nie podoba. O, cholera, ale się wrobiłam.

– Ale jest dobrym kochankiem? – sondowała Kiki. Daisy dostała wypieków. – Hmm? – Kiki nie dawała za wygraną. – Obiecałaś.

– Najlepszym... och... lepszym niż najlepszym! Ale to nie może decydować o

przyszłości. Nie jestem jeszcze gotowa nawet do pomyślenia o podejmowaniu decyzji. Nie chcę zbyt pośpiesznego, niedojrzałego związku. Nie mam zamiaru niczego zmieniać, ani angażować się emocjonalnie zbyt głęboko...

Kiki naskoczyła na nią jak megiera. – Ale to właśnie ty każesz mi pogodzić się z tym, że jestem otoczona, pojmana, zamknięta, napiętnowana i związana łańcuchami jak niewolnica na galerze. Daisy Valensky, jesteś cholernie bezczelna! Jak śmiesz udzielać mi rad, kiedy sama nie jesteś gotowa aby się zaangażować! To najwstrętniejszy z komunałów!

– Cóż – łagodnie odezwała się Daisy. – Nie jest to dzień mojego ślubu, te trzy setki ludzi na dole w salonie twojej matki nie czekają na obejrzenie mojego zamążpójścia, to nie ja mam do dyspozycji osiem druhen i ośmiu świadków, nie mówiąc już o panu młodym, rozbijających się po domu i zastanawiających się, dlaczego siedzisz tu zamknięta ze mną i kiedy raczysz wyjść.

– To wszystko jego wina! – krzyknęła Kiki, a jej smukłe ciało wyglądało tak nieszczęśliwie jak kotka, którą pozostawiono na całą noc na deszczu. – Nie powinnam była dać się na to namówić temu reklamowcowi operującemu słodkimi słówkami. O, Jezu, jaki to straszny błąd.

– Sama jesteś komunalem, kochana Kiki. Niczym nie różnisz się od wielu innych kobiet tuż przed ślubem, które wyszły za mąż przed tobą, nie zdajesz sobie z tego sprawy? – uprzejmie zapytała Daisy.

– Tamto były komunale, ja istnieję naprawdę! – wybuchnęła Kiki. – Co mam robić? Czy już za późno, żeby to odwołać? Nie, nigdy nie jest za późno. Co mnie obchodzi, co ludzie powiedzą.

Daisy, słuchaj, już nigdy cię w życiu o nic nie poproszę, ale mogłabyś pójść, odszukać mamę i powiedzieć jej, żeby wszystko odwołała? Da sobie z tym radę, jest dobrą organizatorką. Myślę, że lepiej to przyjmie jak usłyszy od ciebie. – Popatrzyła na Daisy z niską przebiegłością.

Daisy pokręciła głową. – Wykręty, wybiegi. Powinnam była to przewidzieć.

– O czym ty mówisz? Nie zmieniaj tematu!

– Powtarzające się zmiany postawy lub zdania... Kiki, sama doskonale wiesz, że twoja matka nigdy by tego nie odwołała. A nawet gdyby, czy to by cię uszczęśliwiło? Ile czasu minęłoby zanim znowu zmieniłabyś zdanie? Nie. Niczego nie odwołasz, nawet jeśli będę musiała osobiście zaciągnąć cię na dół siłą. Ale czułabyś się lepiej, gdybyś najpierw włożyła suknię ślubną.

– Jesteś zimną, bezlitosną suką, Daisy Valensky, i nie wybaczę ci tego do końca życia.

– Och – powiedziała Daisy wyglądając przez okno sypialni Kiki. – Właśnie podjechał Peter Spivak. Oto nadchodzi sędzia! Praktycznie już się zaczęło.

– Nie! – Kiki szalała. – Nie mogę!

– Podejź do tego dzień po dniu. Anonimowi Alkoholicy zawsze radzą ludziom, którzy chcą przestać pić, podchodzić do tego dzień po dniu. Nie siedź rozmyślając o tym, że przyjdzie ci żyć z tym człowiekiem przez pięćdziesiąt lat... zadaj sobie pytanie czy zniosłabyś małżeństwo z Lukiem do jutra rana... czy nawet tylko do północy. Mogłabyś wytrzymać? Tylko do północy?

– Chyba tak – pośepnie powiedziała Kiki.

– No więc, to jest wszystko, co musisz zrobić. Jutro możesz się rozwieść. Dobra?

– Przejrzałam cię na wylot... wiesz, że jutro nie będę chciała się rozwieść. Nikt nigdy jeszcze nie rozwiódł się dzień po ślubie. To niesłychane. Wykręcasz numer, który jest gorszy od intrygi jaka mnie w to wplątała! – oskarżyła ją Kiki.

– Zgoda, masz rację. Ale teraz ubieraj się! I to już! – Daisy była tak groźna, jakby mówiła do Wingo.

Kiki wybrała pas z czerwonej koronki i włożyła czarne pończochy, starannie wpięła je w podwiązki z czerwonej satyny i z przygnębieniem wyrównała szwy.

– Uwielbiam twoją bieliznę – powiedziała Daisy. – Jest taka stosowna.

– Do cholery, Daisy, jeśli mam wystąpić w bieli, to przynajmniej będę wiedziała, że pod spodem nie mam czegoś co zasługuje na tytuł Dziewicy Roku Grosse Point – powiedziała Kiki, opornie wkładając parę białych, atlasowych pantofelków. – Pończochy mówiące pieprz mnie, bez butów mówiących pieprz mnie – powiedziała smutno. Rzuciła Daisy piorunujące spojrzenie i otworzyła szafę, w której wisiała suknia ślubna, dla uniknięcia kurzu opakowana w plastik.

– Zdaje się, że to należy do mnie – powiedziała Daisy i podskoczyła. Jej szyfonowa sukienka miała kolor wiosennej trawy, a włosy splotła w warkocze i ułożyła w zwoje nad uszami. Na nogi włożyła zielone sandały bez obcasów, żeby nie przewyższać Kiki więcej niż to było absolutnie nieuniknione. Daisy ostrożnie wyjęła suknię z opakowania i rozpięła zamek, aby pomóc Kiki ubrać się w nią. Chwyciła suknię za ramiona i kusząco pomachała nią przed Kiki, gestem przypominającym sposób w jaki matador przyciąga uwagę byka. – Czy ktoś ma ochotę na ole?

– O, cholera... ole... – powiedziała Kiki z urazą, – jakbym miała jakiś wybór.

– Dziewczęta? Dziewczęta? Nie jesteście jeszcze gotowe? – przez zamknięte na klucz drzwi posłyszwały zdenerwowany głos Eleanory Kavanaugh. Sama skończyła

się ubierać dobrą godzinę wcześniej. Ślub niewątpliwie będzie opóźniony.

– Prawie, ciociu Ellie – odpowiedziała Daisy. Kiki zrobiła straszliwą minę, ale nie odezwała się.

– Mogę wejść?

– Za sekundę wyjdziemy – krzyknęła Daisy.

– Nie potrzebujesz pomocy, Daisy, kochana? – zapytała drżącym głosem. Eleanor Kavanaugh postanowiła, że nie może się spocić. Pot mógłby zniszczyć sukienkę.

– Może byś... – zaczęła Kiki, ale Daisy zasłoniła jej usta dłonią.

– Nie, mamy wszystko co potrzebne, ciociu Ellie – powiedziała Daisy. – Naprawdę. Zejdź na chwilę na dół.

– Chciałam tylko poprosić o tabletkę na uspokojenie – swarliwie wyszeptala Kiki.

– Mam je przy sobie.

– Tak?

– Czy myślałaś, że pozwolę Tezeuszowi zhańbić nas? – Obie spojrzały na ogara, który siedział spokojny i zadowolony, a pod mordą miał koszyk utkany z satyny, wypełniony konwaliami, – białymi orchideami i frezjami, przewieszony przez szyję na białym aksamitnym pasku.

– Jest naćpany do granic możliwości – dumnie stwierdziła Daisy.

– Naćpany pies z kwiatami!

– Nie mogłam ryzykować.

– Och, Daisy, kochanie, zrobiłaś to dla mnie? – jęczała Kiki.

– Oczywiście. A teraz zrób coś dla mnie i włóż tę suknię. Hmmm?

Powoli Kiki pozwoliła Daisy nałożyć suknię o szerokiej spódnicy; biel najlepszej bitej śmietany, biel tortu lodowego Alaski, biel lukrowanej bezy. W końcu przyjrzała się sobie w dużym lustrze i pomału na jej ustach zaczął się pojawiać seraficzny uśmiech. Daisy, zachęcona tym widokiem, zapytała: – O czym myślisz?

– O wszystkich moich byłych kochankach. Pomyśl, gdyby mogli mnie teraz zobaczyć... byliby chorzy z zazdrości.

– Czy to odpowiednie samopoczucie dla panny młodej?

– Jedyne... wyobraź sobie wyjście za mąż, kiedy nie miało się żadnych kochanków, co za dziwaczny pomysł!

Tym razem do drzwi zapukał Jerry Kavanaugh, ojciec Kiki, w swojej porannej marynarce i spodniach w paski. – Kiki, na miłość boską, kiedy będziesz gotowa?

Wszyscy czekają. Na Boga, nie marudź tam, rusz się.

– Już wychodzimy, wujku Jerry – zapewniła go Daisy krzyżąc na całe gardło.

– Kiki, pozwól, że założę ci welon, pośpiesz się, dosyć tej zabawy. Już grają twoją melodię.

– Jaką melodię?

– „Oto nadchodzi panna młoda”.

Kiki zbladła, pocałowała Daisy w policzek i wyprostowała ramiona. – To jest takie cholernie dorosłe! – zamruczała żałośnie idąc ku drzwiom i swojej przyszłości.

Candice Bloom myślała. Stała, jak zwykle, z rękami głęboko w kieszeniach, pochylając się nieco do tyłu i wypinając sterczące kości bioder. Candice, która nikomu nie pozwoliła nazwać się Candy dwukrotnie, szykownie popiskiwała i kiedyś odrzuciła wspaniałą ofertę pracy w Kalifornii tylko dlatego, że nie było to najlepsze miejsce na kupowanie butów. Jej asystentka Jenny Antonio cierpliwie czekała na polecenia.

– Zadzwoń do Grossingera – odezwała się w końcu. – A także do Concorda. Dowiedz się o całkowitą pojemność ich maszyn do robienia śniegu, a także jak długo śnieg topnieje w połowie września, przy założeniu, że nie będziemy mieli fali upałów, ale to byłby cud. Oraz ile biorą za ich wynajęcie. Tu *comprends*? Aha, i połącz mnie z Wydziałem Parków. Coś mi mówi, że będzie potrzebne ich zezwolenie na to. Gdzie są próbki zaproszenia?

– Co będzie jeżeli Grossinger i Concord mają maszyny w użyciu?

Czyż nie obsługują narciarzy niemal przez cały rok? – zapytała Jenny z zapalem i bystrą inteligencją swoich dwudziestu trzech lat.

Candice popatrzyła na nią z oszołomieniem. – Jenny, niewiele na razie wiesz o działaniu Supracorp, prawda? Wydajemy Wielkie Przyjęcie Rosyjskiego Pałacu Zimowego, przyjęcie roku, albo i wielu lat, zajmujemy całą Tavern na Green w Central Parku, aby wylansować zestaw Księżniczka Daisy... a to oznacza śnieg... nawet jeśli będziemy zmuszeni kupić maszyny do robienia śniegu lub je skonstruować. Siądź przy telefonie i przestań zadawać głupie pytania. *Vraiment*! Założę się, że nawet nie masz dla mnie odpowiedzi w sprawie trojek?

– Każdy powóz zaprzężony w trzy konie może być trojką, więc nie musimy szukać autentycznych sań. Wystarczą pojazdy i mnóstwo koni.

– Jeden problem rozwiązany, zostało jeszcze tysiąc – chmurnie powiedziała Candice. – Kiedy mam spotkanie z Warnerem Le Royem w celu przedyskutowania

jadłospisu?

– Chciał umówić się na jutro na lunch, ale właśnie wtedy macie obie z Daisy spotkać się z Leo Lermanem z kolumny „Ludzie mówią o tym”, więc powiedziałam, że zadzwonię do niego później.

– Dobrze. To ostatnia deska ratunku – powiedziała Candice Bloom z nutą smutku. – Dobrze jest zajmować się telewizyjnymi i prasowymi reklamami... i dzięki Bogu są już gotowe... ale bez dobrych stosunków z prasą można sobie wybić z głowy mocne uderzenie, ponieważ nie dostanie się bezpłatnego przydziału miejsca redakcyjnego, a bez tego w ogóle trudno istnieć. Przynies z powrotem tę teczkę, przejrzymy ją jeszcze raz. Dobrze... mamy wszystkie magazyny mody i *WWD*, ale oni musieli nas zmieścić... spójrz ile dolarów dostają za reklamę. *Cosmo* też coś nam obiecało, a w przyszłym tygodniu materiał Trudy Owett ukaże się w *Journal*. Tu są wycinki z AP, UPI, Reutera i Chicago Trib Syndicate. Na razie nieźle. Ale nie odezwali się z Los Angeles Times Syndicate, a są mi potrzebni. Merde! Co zrobiłaś z moją listą publicystów? Dlaczego Shirley Eder nie oddzwoniła, do cholery? Spróbuj złapać ją w Vegas... albo w hotelu Beverley Hills. Czy Liz Smith potwierdziła? Tylko być może? *Today Show* nadal odmawia, a Mikę Douglas i Dinah chcą wiedzieć o czym Daisy może mówić.

– Merv, niech go Bóg błogosławi, powiedział tak... w przyszłym miesiącu. Ale inni upierają się przy temacie i nic ich nie obchodzi, że jest tak cudowną księżniczką. – Candice chodziła po biurze z obrzydzeniem. – Występ! Oni żądają konkretnego występu od księżniczki, chcą zawiesić ją na jakimś kołku... prościej byłoby gdyby była komikiem na wrotkach.

– Właściwie trudno mieć do nich pretensje – ośmieliła się zauważyć Jenny.

– Wiem. Znam ich problemy lepiej niż swoje własne. Ale Shannon nie przyzna mi sprawności harcerskiej za pogodzenie się z odmową, nawet jeśli jej powody będą najszuszniesze. Usiłowaliśmy... i to z niezłym skutkiem, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności... w jednej chwili wykreować niezwykłą indywidualność. Ale Daisy nie staje się sławna dzięki swemu nazwisku, jak na przykład Gabor, nie jest projektantką, nie jest liczącą się dziedziczką, zawsze unikała rozgłosu jak zarazy... więc musieliśmy zaczynać od kompletnego zera. Owszem, jej ojciec był popularnym playboyem, a matka legendą swoich czasów, ale to było dwadzieścia lat temu, więc kto by pamiętał? Francesca Vernon nie nakręciła żadnego filmu po poślubieniu Stasia Valensky'ego; zwyczajnie zniknęła. – Candice miała zwyczajowy wyraz ostrożnego optymizmu, kiedy sekretarka dała znać, że ktoś do niej dzwoni.

– Połącz ją – przykryła ręką słuchawkę i zasyczała z podniecenia. – To Jane, moja stara, tak zwana przyjaciółka z *People*. Ta suka unikała moich telefonów przez dobre pół roku. Teraz zdecydowała się zadzwonić! Musi mieć jakieś złe wiadomości. – I Jenny, i Candice czekały z ożywieniem.

– Cześć, Jane... *pas mai*, a ty? To dobrze. Księżniczka Daisy? Nie, jeszcze nie mamy decyzji żadnego magazynu, ale pracujemy nad tym. Wyłącznie? *Merde!* Jane, dużo bym dała, żeby powiedzieć tak, ale mój szef się nie zgodzi. W końcu *Time*, *Newsweek* i *New York* też mają działy, do których doskonale się nadaje. NA OKŁADKĘ! Jesteś pewna? Nie, nie, nie o to mi chodzi... tylko że muszę mu to przysiąc, a gdyby potem coś nie wyszło, będę musiała szukać pracy. Definitywnie? Powiedziałaś definitywnie? Aha. Aha. Rozumiem. Ma absolutną rację. W pełni się z nim zgadzam. Aha. Tak jest. Słuchaj, porozumiem się z nim i dam ci znać w ciągu pół godziny. W ciągu kwadransa. Dobrze. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę z taką niesamowitą ostrożnością jak ktoś odstawiający arcydzieło sztuki wykopane po tysiącu lat, które dowodzi istnienia innej cywilizacji.

– To jest *incroyable* – powiedziała Candice słabym głosem.

– Nie rozumiem... podsunęłaś im artykuł... ale okładka?

– Twierdzi, że jej szef jest zmęczony tym, że z dziesięciu materiałów na okładkę osiem pochodzi z Hollywood lub prosto z telewizji... podejrzewa, że Zachodnie Wybrzeże chce zdominować pismo, pomimo iż redakcja jest tutaj. Mówi, że *People* staje się niczym innym niż pismem wielbicieli. Chce czegoś innego, czegoś wytwornego i eleganckiego i chce, żeby to był Nowy Jork... a przy tym zachwycił się zdjęciami Daisy, które im posłaliśmy. Ponadto w młodości był szaleńczo zakochany we Francesce Vernon... oglądał wszystkie jej filmy po kilkanaście razy... mówi, że Daisy ma jej oczy.

– Mój Boże – wolno powiedziała Jenny.

– Jenny, to jest cholernie nierealne i drugi raz może się nie zdarzyć, więc nie wyobrażaj sobie zbyt wiele, ale mam nadzieję, że teraz zrozumiesz tę śmiertelną fascynację kontaktami z prasą. A mój psycholog miał tupet czynić mi aluzje, że cierpię na kompleks Królowy Śnieżki... podejrzewa, że w głębi serca ciągle czekam na pojawienie się mojego księcia – zaśmiała się wesoło. – Cóż, właśnie się zjawił! Ciekawe co na to powie mój doktor!

– Co powie? – zacięła się Jenny.

– Nic... Mój Boże, Jenny, to tylko dowodzi jak jesteś niewinna... chodzi o zasadę tego wszystkiego. To dowód, że mój psycholog nie wie wszystkiego. O,

cholera, skoro nie wie wszystkiego, może nie wie nic. – Otworzyła usta w grymasie zaniepokojenia.

– Nie tak dawno tłumaczyłaś mi, że psychologzy też są ludźmi – przypomniła jej Jenny.

– Jenny, ta cała sprawa jest za głęboka dla ciebie. Nie jesteś wystarczająco znerwicowana. Ale będziesz. Je fassure. Ile czasu minęło od telefonu Jane?

– Około minuty.

– Za mało, żeby oddzwonić. Nie chcę zrobić wrażenia nazbyt zapalonej.

– Ale mówiłaś, że musisz to skonsultować z Shannonem, a on znowu jest w Tokio.

– Skonsultować? Okładkę *People*? Po moim trupie! Chyba nie przypuszczasz, że potrzebuję jego przyzwolenia na coś takiego?

– Dokładnie dwie minuty – Jenny starała się być pomocna.

– O, rany! Nie przeżyję tego. Ojej! – Cyniczna, zblazowana Candice Bloom wykonała oszalały irlandzki taniec na środku swego biurowego dywanu. Zatrzymała się i spojrzała na zdziwioną asystentkę. – Ale ty przecież nie wiesz, jakie cztery pisma musi się mieć w każdym kiosku z prasą w całych Stanach Zjednoczonych...

– obowiązkowo? – Nie czekając odpowiedzi wymieniła cztery tytuły – *Playboy*, *Penthouse*, *Cosmo* oraz *People*... mając te cztery można potem wybierać wśród setek innych, od *Field and Stream* do *Commentary*, ale cztery największe pozwalają prowadzić kiosk. Bez nich się ginie. Koniec drugiej lekcji dzisiaj. O czym była pierwsza?

– Jeśli Shannon żąda śniegu, ma śnieg.

– *Tres bien, tres bien?* Może któregoś dnia będzie z ciebie rzecznik prasowy. Wtedy będziesz mogła sobie pozwolić na własnego psychologa.

Tydzień później Daisy buntowniczo zawahała się przed ostentacyjnie dyskretnym studium Danilla, najlepszego na świecie fotografa wykonującego portrety. Mocno ścisnęła smycz Tezeusza i przyglądała się skromnym drzwiom, za którymi znajdował się piaskowiec. Dom był wąski jak każdy prywatny dom na Manhattanie. Same drzwi zdobił jedynie przycisk dzwonka i mała mosiężna tabliczka z literą D.

Daisy patrzyła na te drzwi z mieszanymi uczuciami; w połowie było to postanowienie, a w połowie niechęć. Wcześniej tego dnia, kiedy szykowała się do wyjścia, zadzwoniła Kiki z propozycją zajęcia się Tezeuszem podczas gdy będzie

pozowała do tego najważniejszego ze zdjęć, ale Daisy odmówiła. Doskonale wiedziała, że trzymanie się Tezeusza było przejawem niebezpiecznie dwuznacznego podejścia do procesu, który miał nabrać rozpędu po tej sesji. Zdawała sobie sprawę jak dziecinnie się zachowuje, ale nic ją to nie obchodziło. Myśl o pojawieniu się na okładce *People* sprawiała, iż konieczność pogodzenia się z rozgłosem stawała się znacznie bardziej namacalna niż przy kręceniu filmów reklamowych, udzielaniu wywiadów czy pozowaniu do reklam prasowych. Nic co Candice Bloom zorganizowała dla niej do tej pory nie wydawało się tak realne jak ta chwila; teraz wszystko wydawało się skupiać na nieuchronności następnych paru godzin. Ale jej obowiązkowość, która kazała wywiązać się z zadania, była silniejsza niż dręczące przecucia, więc mocno nacisnęła nieciekawą guzik.

Kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem, Daisy weszła, z psem u nogi, do małej i zatłoczonej poczekalni pełnej czekających na nią ludzi. Wysłuchując słów powitań rozejrzała się wokół. Jej uwagę zwróciła nieobecność Danilla.

Daisy spodziewała się tego. Podśluchiwała wystarczająco wiele plotkujących modelek aby wiedzieć, że Danillo pojawi się uroczyście dopiero po upływie jakiegoś czasu.

Czulą spojrzenia gruntownej oceny, jakie posłali jej Alonzo, artysta makijażu oraz Robertson, fryzjer. Obaj byli weteranami; wiedzieli, że w przypadku Danilla będą musieli poświęcić swojej pracy co najmniej trzy godziny nim zacznie robić zdjęcia. Jego praca zależała od ich talentów. Bez nich nie wykreowałby arcydzieła, z którego był znany: twarzy piękniejszej niż w rzeczywistości. Jego sukces nie leżał w technice posługiwania się aparatem fotograficznym, ani nie w nawiązywaniu specjalnego kontaktu z obiektami, ani też nie w głębi inspiracji. Wszystkie jego portrety posiadały pewną podstawową jakość, łatwo rozpoznawalny, nieludzko idealny polor, rzekomą, choć przekonującą imitację wynalazku, którego rezultatem była uwielbiana przez wydawców bezbłędna, nieodparta, nie wpadająca w plastyk perfekcja. Nigdy nie obawiali się o efekty sesji z Danillem, więc Alonzo i Robertson, płatni siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę, mając zapewnione co najmniej pięć godzin pracy, cieszyli się, że właśnie ich wybrał ze sporego grona swoich pacykarzy i cyrulików.

– Nie będę potrzebowała żadnego z was – powiedziała Daisy uśmiechając się do nich. – Myślałam, że to zostało ustalone.

Robertson rzucił szybkie spojrzenie Alonzo. Cóż za wyobrażenie o sobie miała? Candice Bloom postanowiła prędko interweniować.

– Daisy, przekazałam Danillo twoje życzenie, ale on się uparł, *absolument*. –

Spojrzała na Daisy z żalosną miną, dającą do zrozumienia, że ludzie z *People* nie życzyli sobie zakłócających spokój awantur... materiał na okładkę był zbyt ważną sprawą. Alonzo spróbował zwabić Daisy do garderoby.

– Chodź tutaj i usiądź, kochanie – powiedział. – Będziemy zaczynać. Robi się trochę późno.

– Raczej nie – powiedziała Daisy. Specjalistka od poszukiwania materiałów wyczuła nadchodzącą konfrontację i automatycznie wyjęła notes i długopis.

– Wezwij Danilla, Robbie – polecił charakteryzator. – A cóż to za pieseczek? – zapytał Daisy kiedy fryzjer ruszył na górę po schodach.

– Tezeusz? Powiedzmy, że jego rodowód jest nieznany.

– Och, jestem tego pewny, kochanie. Czy może powinienem zwracać się do ciebie per księżniczko?

– Wystarczy Daisy – odpowiedziała krótko. O Boże, miała już tak dosyć tego pytania.

Zjawił się Danillo, podenerwowany iż przerwano mu prawdziwą twórczość, to znaczy retuszowanie. Fotograf okazał się być szczupłym, skromnie wyglądającym człowiekiem o krótko ostrzyżonych blond włosach. Jednym wprawnym spojrzeniem ocenił niechybną siłę urody Daisy i odrzucił ją. Zajmie mu dwadzieścia pięć minut, tego roku widział już setki takich, a nieugięta bezosobowość sławnego człowieka w spłowiałych dżinsach i kowbojskich butach na wysokich obcasach zadała kłam jaźniom wielu kobiet, które miały się za twardsze od niego. Uniósł obojętną, ospałą brew patrząc na obecnych w poczekalni. – Zrobimy tak jak mówiłem – oświadczył.

Ale Daisy nie dawała za wygraną. Podczas lat pracy przy reklamach telewizyjnych nauczyła się sporo o makijażu, choć potrzebowała go bardzo niewiele.

– Już pomalowałam oczy i usta, Danillo, i nigdy nie stosuję podkładu – upierała się. – Więc po co mi charakteryzacja?

– Chłopcy, jesteście już spóźnieni – powiedział Danillo, nie w formie odpowiedzi, ale jakby w ogóle się nie odezwał. Candice Bloom złapała ją za jedną rękę, a jedna z naczelnich redaktorek *People* za drugą i Daisy zdała sobie sprawę, że nie tylko mają przewagę, ale nie ma nic bardziej niedorzecznego niż przepychanka. Odtrąciła je i weszła do wąskiej garderoby, gdzie ujrzała kuchenny stół bez oparcia stojący przed długim stołem, nad którym znajdowało się lustro. Tezeusz ułożył się na czerwonej, winylowej kanapce.

– Danillo, mój drogi – usłyszała zniecierpliwioną redaktorkę *People* – mam

nadzieję, że od początku będziesz się starał o królewską jakość, dobrze?

– Myślałam, że zdecydowaliśmy się spróbować nostalgii *ancien regime*, Marcia – powiedziała zaskoczona młodsza redaktorka.

– Nie mam nic przeciwko nostalgii, Francie, pod warunkiem że będzie majestatyczna – odcięła się Marcia.

– Spróbujcie świeżego soku z melonowca – powiedział Danillo i nagle wyszedł.

Daisy siedziała bez ruchu i obserwowała Alonzo zręcznie pokrywającego jej ciepłoróżową skórę cienką, równą warstwą beżowej cieczy, zmieniając ją w czystą kartkę papieru, na której zamierzał wymalować swoją własną wersję tego jak powinna wyglądać. Dokładnie pokrył całą jej twarz i szyję. Nawet usta straciły swój głęboki różowy odcień i stały się beżowe. Złote brwi znikły pod warstwą podkładu rozciągającą się od linii włosów, gdzie loczki srebrnych włosów nadal zwisały swobodnie, aż do końca gardła.

– Zaczyna to trochę brudzić. Nie wolałabyś włożyć szlafroka?

– zapytał Alonzo, zadowolony z dokładnego zmazania naturalnej urody.

Daisy otworzyła usta, żeby odpowiedzieć.

– Nie odzywaj się! – krzyknął ostrzegająco. – Jeszcze nie skończyłem z ustami Śniady fryzjer Danilla, Henri, pojawił się w drzwiach ze spanielem na rękach i rozejrzał się lekceważąco. Mimo to raczył podać aksamitny szlafrok i wskazać łazienkę, w której mogła się przebrać. I wówczas zauważył Tezeusza.

– Kto przyprowadził tutaj to? – posłyszala oburzone pytanie. Będąc za drzwiami Daisy zatrzęsała się ze śmiechu na myśl, że ktoś mógłby mieć ochotę wyrzucić jej zwierzaka. Miała nadzieję, że on spróbuje. Kiedy wróciła, spaniel szczekał cienko, protestując przeciwko istnieniu Tezeusza, ale jedno spojrzenie na pupilka przekonało Daisy, że zachował swoją łotrowską godność, ponure, ale przekonujące opanowanie sprytnego i nie skruszonego kundla.

– Czy nikt nie ma ochoty na małą kanapkę? – żywo zapytała Candice Bloom. Użeranie się z prasą, jak często przypominała o tym Jenny Antonio, było *merde*, ale tego dnia napięcie było jeszcze większe niż zwykle. Ale nie było sytuacji, w której nie można ulżyć sobie dzięki jedzeniu. Była to lekcja numer jeden, jaką planowała przeprowadzić na wielkim uniwersytecie w dalekiej przyszłości. Wszyscy, łącznie z fryzjerem i Alonzo zaczęli składać skomplikowane i szczegółowe zamówienia głodnych ludzi, po czym Jenny wyszła do pobliskich delikatesów.

Daisy wróciła na niewygodny stół i z rezygnacją patrzyła jak Alonzo zaczyna przy pomocy brązowego tuszu rzeźbić cienie na beżowej masce.

– Pięciu różnych wróżbitów przepowiedziało mi, że w tym roku zostanę wezwany do Hollywood – zwierzył się z podnieceniem, kontynuując pacykowanie. Spróbowała wyrazić uprzejme zainteresowanie oczami, ponieważ były one jedyną częścią twarzy, w jakiej pozostał jeszcze wyraz, ale ich głęboka ciemność była zbyt intensywna dla tak bladego uczucia.

– Znasz Hollywood? Nie! Nie odzywaj się! Zamknij oczy.

– Daisy z ulgą uczyniła jak jej kazano i ciasny pokój wypełniony przyglądającymi się ludźmi zniknął za powiekami i czuła tylko, że charakteryzator robi coś przy pomocy pędzelków różnych rozmiarów. Poczwała czyjeś ręce na włosach i posłyszała polecenie:

– Odejdź Robbie! Możesz ją mieć dla siebie jak ja skończę, nie wcześniej. Omal nie trąciłeś mnie w rękę!

– Podczas gdy redaktorzy gawędzili z Candice, Daisy pomyślała, że jeszcze nikt nie spoglądał na nią w taki sposób jak Danillo; nie zimno, ale i nie ciepło, nie wyrażając ani aprobaty, ani dezaprobaty, ale za to ze zwykłym, absolutnym brakiem zainteresowania. Nudziła go, to było to, doszła do wniosku i zaraz zdała sobie sprawę, że wcale ją to nie obchodzi. Odbywał takie sesje zdjęciowe jak z nią dwa razy dziennie każdego dnia tygodnia, żądając średnio trzech tysięcy dolarów za każde wybrane zdjęcie. Nawet chirurg plastyczny wykonujący dwa zabiegi twarzy dziennie nie zarabiał więcej pieniędzy niż ten człowiek. Ginekolog na Park Avenue mógłby przyjąć na świat czworo niemowląt za jeden z portretów Danilla, pomyślała Daisy, usiłując nie przejmować się łaskotaniem pędzelka w ucho. – Już możesz otworzyć – poinstruował ją Alonzo. Niepewnie uniosła powieki i spojrzała na siebie. Nadal patrzyła na nią beżowa maska, upiększona cieniami, które pojawiły się na kościach policzkowych, szyi i powiekach. – To dopiero początek – Alonzo wyjaśnił Candice Bloom.

Fryzjer Robertson, z twarzą wyrażającą przesadną cierpliwość, osunął się na ścianę, przygotował baterię szczotek i lokówek, choć wiedział, że upłynie godzina lub półtorej nim będzie mógł wziąć się do pracy. Pod opieką związków. Daisy rozpoznawała ich bez trudu po latach pracy z niepotrzebnymi pomocnikami technicznymi i scenicznymi, przy zatrudnieniu których upierały się związki zawodowe. Poczwała ostrą, dotkliwą tęsknotę za tamtymi dniami, tak niedawno minionymi, zwariowanymi, wypełnionymi pośpiechem dniami, z których tak wiele przyniosło trzydziesto – lub sześćdziesięciosiekundowe reklamy, które zaliczono do najlepszych jakie kiedykolwiek powstały.

Jenny Antonio weszła do garderoby z tacą kanapek, które rozpakowała i ułożyła

w kuszącą piramidę. Postawiła tacę na kanapce i przyłączyła się do Candice i redaktorek *People*, które przyglądały się Daisy. Alonzo właśnie zaczął pracę nad swoją wizją ust i kiedy spróbowała się odezwać, groźnie pogroził jej palcem. Kobiety zebrały się wokół, a on zręcznie przerabiał górną i dolną wargę Daisy, zgodnie ze swoją wizją. – Dobrze, możesz się odezwać.

– Obawiam się, że jest za późno – powiedziała Daisy starając się mówić z żalem w głosie.

– Za późno na co? – zapytał.

– Lunch – powiedziała Daisy.

Siedem par oczu spojrzało na pustą tacę po kanapkach. Siedem par oczu oskarżająco patrzyło na Tezeusza, ale nikt nie zauważył, aby się ruszał, nikt nie słyszał jak jadł, siedział; tak wzniosie niezaangażowany jak Al Pacino podczas ulicznej wojny gangów; w tej samej pozycji, w której usadowił się na samym początku.

– Nakarmiłam go przed przyjściem, ale... – usiłowała go tłumaczyć Daisy.

– Mój Boże, przecież to potwór – westchnęła Marcia, starsza redaktorka *People*, ale specjalistka od poszukiwania materiałów, która знаła Tezeusza dzięki wywiadom z Daisy, powiedziała: – To silniejsze od niego.

– Jak on śmie? – jęknęła Marcia, pozbawiona swojej szynki i sera szwajcarskiego na żytnim pieczywie, z dużą ilością musztardy i surówki z kapusty.

– Wyjaśnię ci gdy wrócimy do biura. To długa historia – odpowiedziała dziennikarka z uśmiechem osoby znającej temat.

– Jenny, *vite, vite!* Kup nowe kanapki! – ponaglająco rozkazała Candice. Lekcją numer dwa w jej kursie będzie nigdy więcej nie dopuścić żadnego *chien*, bez względu na to do kogo należy, do miejsca pracy.

Alonzo niewzruszenie kontynuował swoje dzieło. Daisy czuła się jakby siedziała na stołku od wieków, choć minęły tylko dwie godziny. Gdyby zdarzyło jej się mieć Alonza na planie zdjęciowym, już dawno by nie żył, powiedziała sobie, coraz bardziej poirytowana. Osobiście zasztyletowałyby go jednym z wielu przedmiotów, którymi właśnie się posługiwał. Ale upieranie się przy poddawaniu obiektów przykrościom, tak jak uczynił to Danilo, było typowe dla nawiedzonych czarnoksiężników branży splendoru. Biorąc udział w jego sesji trzeba było wkroczyć do jego magicznego kręgu, składać niezliczone hołdy przed jego lustrem i przyznać się do znaczących niedostatków poprzez znoszenie tej absurdalnej transfiguracji, jeśli chciało się znaleźć na odbitce mistrza.

Jenny wróciła z nową porcją kanapek i Daisy poczuła ulgę, kiedy pokój

opustoszał. Po długim czasie Alonzo zdecydował, że zrobił wszystko co mógł i przekazał ją w ręce Robertsona.

Nie poznała umalowanej osoby w lustrze, z nieodpowiednim kształtem ust, nie pasującymi do niej brwiami i dziwną cerą. Stała się dziesięć lat starsza niż była jeszcze tego rana. Twarz w lustrze nie miała z nią nic wspólnego i kiedy Robertson zaczął układać jej włosy w ściśle ułożoną, wysoką koronę, przypominającą fryzurę jaką księżniczka Grace miała w dniu święta Czerwonego Krzyża w Monaco, Daisy oszczędziła sobie protestu.

– Muszę stworzyć podstawę dla tiary – wyjaśnił, podczas gdy jego ręce zręcznie przygniatały jej włosy w zbitą kompozycję skomplikowanych zwojów i loków.

– Tiary – zdziwiła się, a poruszanie wargami było dziwne i niepokojące.

– Henri wypożyczył tiarę, długie kolczyki i szeroki naszyjnik przypominający obrożę z *A la Vieille Russie* – wyjaśnił. – Postanowiliśmy wiernie odtworzyć postać sprzed rewolucji, wiesz, coś na kształt Anastazji, coś z Romanowów.

– Nie wiedziałam – powiedziała Daisy. – I żałuję, że powiedziałeś mi o tym.

– Ha?

– Nieważne. – Najwyraźniej Candice Bloom, która niemal na zasadzie tiku nerwowego, miała zwyczaj wtrącać francuskie zwroty co parę zdań, poczyniła jakieś plany, ale nie uznała za stosowne powiedzieć o nich Daisy. Do wizualnej niestrawności Daisy doszło jeszcze uczucie mdłości na myśl, że oto robią z niej reinkarnację dawno nieżyjącej i patetycznej Wielkiej Księżnej. Ale w momencie kiedy zamierzała wstać i przemówić, wolno wszedł Henri, niosąc kilka czarnych, aksamitnych pudełek. Bez słowa zapiął naszyjnik ze szmaragdów, rubinów i brylantów na jej szyi, a na głowę włożył tiarę.

– Masz nieprzekłute uszy! – jęknął oskarżająco.

– Czy miałbyś ochotę spróbować je przekłuć? – miękko zapytała Daisy. Cofnął się na widok jej groźnego spojrzenia.

Usłyszeli zniecierpliwiony głos Danilla, dochodzący ze studia. Był w końcu w odpowiednim nastroju do pracy i jeżeli nie spowodują opóźnień, powinno mu wystarczyć mniej niż pół godziny.

– Gotowa? – zapytał Robertson.

Daisy jeszcze raz spojrzała w lustro. Zgłaszanie jakichkolwiek obiekcji byłoby beznadziejne. Włożyli w nią tyle pracy, że sama nie wiedziała co zrobić, aby wyglądać choć trochę mniej okropnie.

Wstała energicznie. Stołek przerwał krwiobieg w nogach, więc czuła się

szttywna i chwiejna. Nie musiała się przebierać z aksamitnego szlafroka, ponieważ do dużego zbliżenia twarzy wystarczyło tylko opuścić go poniżej ramion. Mocniej zawiązała pasek i odwróciła się, żeby popatrzeć na Tezeusza.

– Nie ruszaj się z miejsca dopóki nie wrócę – poleciła mu.

Zamiast normalnie, cierpliwie wysłuchać jej instrukcji, podniósł się na kanapce, wyszczerzył na nią zęby i zawarczał z głębi gardła, przerywając typową dla ogara ciszę. To było nie do pomyślenia.

Daisy podeszła bliżej, a on nagle cofnął się spłaszczony, cały czas warcząc.

– Tezeusz! – krzyknęła. Na dźwięk głosu Daisy wydobywającego się z obcej twarzy zaczął się cały trząść, a kiedy wyciągnęła do niego rękę, cofnął się znowu odmawiając powąchania jej.

– Tego już za dużo! – powiedziała Daisy, odwróciła się z powrotem do stołu i sięgnęła ręką głęboko do słoika z kremem, po czym rozsmarowała go mocno od jednego policzka do drugiego. – Zdejm ze mnie biżuterię, rozpuść włosy i zawołaj Alonza, żeby zmył ze mnie resztę makijażu! – rozkazała fryzjerowi. Robertson, mając uczucie, że w pokoju zapadają ciemności i zaczyna wirować, uciekł w kąt próbując trzymać się z daleka od tej szalonej kobiety.

– Alonzo – Daisy krzyknęła w kierunku poczekalni. – Jesteś mi potrzebny.

Charakteryzator wbiegł do garderoby, kiedy wcierała drugą warstwę kremu w policzki i czoło.

– Przynies mi jakieś ręczniki – zażądała Daisy. – I powiedz Danillo, że za chwilę będę gotowa. Jeśli mam czystą twarz potrafię się umalować w trzy minuty. Robertson! Podaj mi szczotkę do włosów, proszę! Och, na miłość boską, Alonzo, opuść głowę między kolana i kilkakrotnie głęboko odetchnij!

– Czy moglibyśmy przejrzeć to co już mamy, Warner? – zapytał Hugo Raili, kierownik Tavern. Candice Bloom i Warner Le Roy tak dokładnie zgadzali się we wszystkim, że wolał upewnić się, że nic nie zostało przeoczone.

Sekretarka zaczęła odczytywać swoje notatki. – Elm Room wykorzystamy jako pokój powitań. Zarówno w sali Elm, jak i w Rafters będzie dziesięć stołów na kółkach, które będą krążyły od samego początku przyjęcia; przy każdym będzie dwóch kelnerów. Na stołach będą trzy flakony Księżniczki Daisy rzeźbione w lodzie, każdy wysokości około metra; jeden będzie zawierać pięć kilogramów kawioru, drugi ponad dziesięciolitrową butlę szampana, a ściślej mówiąc, Louis Roederer Cristal, a trzeci dużą butelkę wódki Stolichnaya. Kawior będzie podawany na małych talerzykach z dodatkami wybranymi przez gości.

– Zapomniałaś o Cyganach – powiedziała Candice, wyciskając krople cytryny

na wędzonego pstrąga, którego właśnie jadła.

Warner Le Roy popatrzył na nią uprzejmie zza okularów. Jak zwykle, kiedy omawiał przyjęcie z kimś kto wynajmował cały lokal, ubrał się tradycyjnie. Tego dnia przystroił swą nieco zażywną sylwetkę w czerwone spodnie i marynarkę w szaro – czerwono-białą dużą kratę. Lubił się stroić, nawet jeśli było to tak skromne. Lubił też chłopięcą, apodyktyczną Candice Bloom. Lubił fakt, iż jest właścicielem Maxwell's Plum i Tavern on the Green. Lubił życie i życie lubiło jego.

– Właśnie dochodziłam do Cyganów – powiedziała sekretarka.

– Podczas przybycia gości trzydziestoosobowy zespół cygański będzie grał na zewnątrz, po obu stronach głównego wejścia, a innych trzydziestu Cyganów będzie przygrywać spacerując po salach Rafters i Elm; i uwaga, mają grać cicho, aby nie zagłuszać prezentacji Księżniczki Daisy w sali powitań. W restauracji rozstawionych zostanie osiem reflektorów i zatrudnimy dodatkowo pięćdziesięciu parkingowych, którzy zasilą nasz personel przy trojkach. Ci ludzie muszą być przeszkoleni w radzeniu sobie z końmi.

– Jaka jest ostateczna decyzja w sprawie bufetu? – zapytała Candice kończąc pstrąga przy okrągłym stoliku na tarasie restauracji.

– Ma zostać ustawiony w Pavilion Room – odpowiedziała sekretarka zajrzawszy do notatek.

– Nie jestem tego pewny – powiedział Warner Le Roy. – Wydaje mi się, że przy sześciuset gościach potrzebne będą dwa oddzielne bufety.

– Zgoda – powiedział Walter Rauscher, kierownik odpowiedzialny za organizację bankietów, który był piątym uczestnikiem lunchu.

Sekretarka zanotowała to i kontynuowała: – Podczas kolacji w Crystal Room przygrywać będzie orkiestra grająca walce, które będzie można tańczyć zarówno w Crystal Room, jak i na zewnątrz, pod drzwiami na tarasie. Oba cygańskie zespoły będą grały w Pavilion Room. Grupa dyskotekowa zacznie grać zaraz po kolacji, na tyłach restauracji, w Terrace Room.

– A jeżeli będzie padać? – zapytała Candice.

– Możemy ustawić namiot i zainstalować dodatkowe ogrzewanie, ale na samym początku września nie musimy się o to martwić – zapewnił ją Warner Le Roy.

– Warner – odezwała się Candice tak żartobliwym tonem, na jaki kiedykolwiek sobie pozwoliła. – Nadal nie jestem *tout a fait* zadowolona z kawioru. Mówimy po prostu „kawior”, ale chciałabym wiedzieć coś bliżej. Mam w tym swój własny interes.

– Jeżeli chcesz iść na całość, mogę zamówić złoty irański, ale wątpię aby mieli

wystarczającą ilość – wyjaśnił jej. – A poza tym większość ludzi i tak się nie zorientuje co to jest.

– Jaki jest następny z punktu widzenia jakości? – zapytała. Ta praca miała jednak chwile rekompensaty. Musi pamiętać, żeby powiedzieć o tym swemu psychologowi.

– Najlepsza jest bieluga. Można go kupić bez problemu. Jeśli chcesz być umiarkowanie rozrzutna, zamówimy po dwie chochelki na osobę, mniej więcej po sto gramów, czyli jakieś pół kilograma na pięć osób zakładając, że nie wszyscy lubią kawior.

– Moje zamówienia będą nieumiarkowanie rozrzutne – z werwą powiedziała Candice. – Co powiesz na sto pięćdziesiąt gramów na osobę? I założmy raczej, że każdy ma ochotę na kawior, bo ja sama zamierzam zjeść około kilograma i jeszcze poprosić o resztki do domu, które chciałabym zawieźć saniami ciągnionymi przez psy.

– A więc, sześćset osób, po sto pięćdziesiąt gramów... to wyjdzie...

– Na wszelki wypadek, Warner, około dziewięćdziesięciu kilogramów najlepszej bielugi, dwieście pięćdziesiąt dolarów za kilogram w hurcie – podsumował Walter Rauscher.

– A więc to załatwione – oświadczyła Candice, a w jej oczach pobłyskiwało zachłanne oczekiwanie.

– Mam mówić dalej? – zapytała sekretarka. Candice przytaknęła.

– W bufecie podamy całe jesiotry i łososie na zimno, pieczone przepiórki i pieczonego dzika, a także obsmażane jabłka i żurawiny błotne...

– Ach, słuchaj Warner, mam wątpliwości co do tego dzika – powiedziała Candice. – Wiem, że to po rosyjsku, ale jesteś tego pewny?

– Jest sensacyjny. Przechowujemy go przez pięć dni w marynacie, a podajemy w drobno tartej bułce i sosie bearnaise. – Gestem ręki kazał sekretarce powrócić do długiej listy dań bufetowych. Po jakimś czasie dotarła do końca.

– Desery podane zostaną przy stole. Pan Raili oraz główny kucharz zadecydują o najodpowiedniejszych składnikach różnorodnych deserów lodowych, które zostaną wniesione *en flambe*.

– Mam nadzieję, że nie płonący flakon Księżniczki Daisy – ostrzegła Candice.

– Oczywiście, że nie! – powiedział zaszokowany Warner. – Zaufaj mi.

– Ufam ci – wesoło powiedziała Candice. – Nie wiem tylko dlaczego nie mielibyśmy zdecydować się na sople zwisające z drzew na tarasie. Wszędzie wokół Tavern będzie śnieg, z wyjątkiem – zewnętrznego kręgu tanecznego, więc pourquoi

nie miałyby być prawdziwych wiszących sopli?

– Moglibyśmy zdobyć teatralne sople, albo mógłbym zainstalować zimowe światła – powiedział Warner w zamyśleniu.

– Och, tak. To jest to! Zimowe światła, wszystkie białe, niewielkie i połyskujące... pamiętam je z ostatniego Bożego Narodzenia, przejeżdżałam tędy. Były incroyable! Rozwiemy je – z podnieceniem powiedziała Candice.

– Jest tylko jeden problem. Następnego dnia trzeba będzie je zdjąć... u mnie zima zaczyna się dopiero po Świącie Dziękczynienia.

– W czym problem?

– Jest sześćdziesiąt tysięcy lampek. Praca przy nich będzie bardzo kosztowna.

– Pan Shannon nie byłby zadowolony na wiadomość, że pożałowałam pieniędzy na błyszczące światełka – powiedziała Warnerowi kobieta od reklamy. – Zwłaszcza że sam sztuczny śnieg kosztuje pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Hugo Raili zakaszał. – Czy nie umawialiśmy się, że tylko światło świec? – zapytał, myśląc o pomieszczeniach, które nie obędą się bez elektryczności.

– Nie, mówiliśmy, że co najmniej dwa tysiące świec wszędzie gdzie się tylko da, ale światło elektryczne w toaletach – przypomniała Candice. – A teraz przejdźmy do kwiatów, panie Raili, są bardzo ważne. Miliony stokrotek. Nie wiem gdzie w tym mieście znajdzie ich pan tyle, ale musimy je mieć, żeby nie wiem co. *C'est indispensable!*

– Zdobę je, ale nie dadzą odpowiedniego efektu, jeśli nie przemieszam ich z białymi różami i pajęczymi chryzantemami, białymi i żółtymi – nalegał.

– Dobrze, pod warunkiem że znajdziesz stokrotki – Candice zwróciła się do Warnera Le Roya, wnuka Harry'ego Warnera, siostrzeńca w drugim pokoleniu Jacka Warnera, dziedzica tak spektakularnej sieci restauracji, jaką nie mógł poszczycić się nikt inny. – Czy mógłbyś podać mi przybliżony koszt tego przyjęcia? Nie licząc śniegu, trojek i koni.

Warner zastanowił się przez chwilę, przypominając sobie bankiet w dwudziestą piątą rocznicę dla Klebergów z King Ranch w Teksasie, którzy samolotami przywieźli do Nowego Jorku dwieście pięćdziesiąt osób i wynajęli całą restaurację. – Gdzieś w pobliżu... ze wszystkimi dodatkami, gdzieś w pobliżu dwustu tysięcy... może więcej, zależnie od tego ile kawioru zechcesz zabrać ze sobą.

– Brzmi to rozsądnie – osądziła Candice, czekając na następne danie. Lunch, dzięki Bogu, dopiero się zaczynał.

Zbudziwszy się po pierwszych godzinach niespokojnego snu, Hilly Bijur.

prezes Elstree, zastanawiał się co przyciągnęło go do tego pieprzonego przemysłu perfumeryjnego. Sformułowałszy to pytanie w głowie, nauczył się rozluźniać mięśnie, poczynając od czubka czaszki, a kończąc na palcach u nóg i z powrotem, nie zapominając o zaciśniętych zębach, jak nauczył go hipnotyzer, u którego od jakiegoś czasu leczył bezsenność; ale kiedy udało mu się rozluźnić uszy i zaczynał pracować nad czołem, w głowie zaczynały mu wirować słowa: Quadrille, Caleche, L'Air du Temps, Arpege, Cristalle, Jontue, Halston... przekłety Halston... dlaczego nie mógł mieć francuskiego nazwiska, jak inni? Aliage, Infini, Cabochard, Ecusson... kiedy dochodził do Ecussona, zwykł był już w stanie skupić się na czole, a czasami udawało mu się nawet zjechać aż do mięśni szczęki, ale wówczas nowy zestaw nazwisk zaczynał mu tańczyć przed oczami: najpierw Dick Jonson, nabywca perfum dla sieci sklepów Hess w Allentown w Pensylwanii; następnie Mikę Gannaway, kierownik handlowy u Daytona w Minneapolis; zaraz potem była Verda Gaines, szefowa działu kosmetyków u Steinfelda w Tucson; Karol Kempster, który kupował dla Henriego Bendela; Marjorie Cassell, która kupowała dla Harveya w Nashville; Melody Grim od Garfinkle'a... listę tę mógłby kontynuować przez całą noc, ale kiedy Henry Bijur dochodził do Garfinkle'a, zrezygnował z masowania mięśni, wstawał z łóżka i brał tabletkę nasenną, co do której lekarz zapewnił go, że nie grozi nawykiem, nie zawiera barbituranów i nie ma żadnego złego działania ubocznego. Ta niezwykła tabletkę miała tylko jedną wadę, pomyślał Hilly Bijur, nie zasypiał po niej. Ale samo jej przełknięcie nieco go uspokajało, jak dzieje się to w przypadku leków bez żadnej zawartości, a przynajmniej wmawiał to sobie, kiedy wykradał się z sypialni starając się nie obudzić żony. Przeczytał jeszcze kilka stron pięciotomowej biografii Henry'ego Jamesa autorstwa Leona Edela. Ta doskonała praca naukowa, szczegółowa, lekka i niewątpliwie dobrze na niego działająca miała tę zaletę, że czytało się ją wolno. Około piątej rano, bardzo starając się myśleć wyłącznie o Jamesie wydającym książki w Londynie, książki, których Hilly Bijur nigdy nie czytał, wolno wracał do łóżka i zwykle udawało mu się przespać parę godzin, po których budził się rozpoczynał jeszcze jeden dzień przedsięwzięcia zwanego Księżniczką Daisy.

Był początek września 1977 roku, prawie osiem miesięcy od rozpoczęcia przygotowań poświęconych wprowadzeniu nowego zestawu perfum i kosmetyków. Prace nad zapachem, który Patrick Shannon ochrzcił mianem Księżniczki Daisy trwały siedem lat i prowadzone były przez człowieka, który uważany był za najdoskonalszy „nos” we Francji. Według pragmatycznej oceny Hilly'ego Bijura, pachniało to nieźle. Jeśli o niego chodziło, światu wystarczyłyby jedne perfumy,

Arpege, zapach pierwszej kobiety, z jaką był w łóżku. Arpege wzbudzał w nim podniecenie, dokładnie tak samo jak Youth Dew, perfumy używane przez jego teściową, podniecenie to gasiły. Zastanawiał się co by było gdyby jego pierwsza kochanka używała Youth Dew, a teściowa skrapiała się Arpege? Czy miałby odwrotne gusta? Czy perfumy pachniały jak seks, czy też seks pachniał jak perfumy? Jak pachniałby seks gdyby w ogóle nie było perfum? Lepiej? Przypuszczał, że tak... ale interes był interesem i jeśli ludzie mieli ochotę określać perfumy jako „nieodparte, a jednak romantyczne” lub „uduchowione, a jednak z rezerwą”, czy też „przymilne i radośnie kobiece”, mieli do tego takie samo prawo jak zbytkownicy producenci win. Nawet nie okazał najmniejszego zainteresowania kiedy zaczęto mówić o „znamieniu kwiecistości” czy „znamieniu ylang-ylang”, czy wręcz „kwiateczkach”, lub gdy pojawiły się określenia jak „poważne perfumy, które pasują do poważnego stroju”, „piżmowa rewolucja”. Było mu obojętne czy perfumy były „kreowane”, czy też „projektowane”, czy utrzymywano, że kobieta nie „używa” Chloe, ale „utożsamia się” z nimi, tak jak nie obchodziły go żadne inne barokowe bzdury świata perfum.

Był to problem upłynnienia towaru, wszystko sprowadzało się tylko do tego, pomyślał biorąc prysznic. Do sprzedania skwierczenia patelni, nie kotleta. Sprzedania marzenia, nie realnej rzeczy. Sprzedania luksusu, który coraz bardziej stawał się częścią amerykańskiego życia, luksusu, który sprzedawano w najtańszych drogeriach, a którego reklama nadal opierała się na tym co przemawiało do snobizmu.

Z dreszczem przypomniał sobie pierwsze zebranie, na którym poinformował swoich handlowców o nowej koncepcji z Księżniczką Daisy i powiedział im, że Shannon spodziewa się obrotów ze sprzedaży nowego zestawu sięgających stu milionów dolarów. Sześciu z czołowych handlowców z miejsca zrezygnowało, a ci którzy pozostali sprawili, iż załoga H. M. S. Bounty wyglądała jak spokojni i zadowoleni marynarze na H. M. S. Pinafore. Przetrawiwszy to, Hill doszedł do wniosku, że widać nikt nie lubi angażować się w start czegoś nowego. Bardziej skłonni byli nadal lansować starą produkcję Elstree, spokojnie wkradając się do umysłów klientów, aniżeli ruszyć tyłki i spróbować przekonać nabywców kosmetyków do czegoś nowego, choćby było to najlepsze i bez względu na to jakiego wsparcia mogli się spodziewać po reklamie i opakowaniach.

Hilly Bijur, zaprawiony kupiec, nie został wybrany przez Patricka Shannona na prezesa Elstree przez przypadek. W ciągu miesiąca, nie szcędząc wydatków, dokonał prawdziwej czystki i zorganizował znacznie sprawniejsze grono ludzi

zajmujących się handlem. Fakt, że nie mieli nic wspólnego ze starym Elstree, pozwalał im wykazywać o wiele więcej entuzjazmu dla nowych planów. To on decydował o tym ile produktów znajdzie się w nowym zestawie kosmetyków, ponieważ wiedział jak trudno było namówić właścicieli sklepów do złożenia zamówień na dużą ilość różnorodnego towaru, jeżeli nie mieli pewności, że uda im się go sprzedać. Księżniczka Daisy miała reprezentować zestaw kosmetyków, który zawierał wszystko co konieczne, choć został starannie okrojony: podstawowy płyn nawilżający, mleczko do zmywania twarzy, balsam do pielęgnacji ciała, płynny podkład pod makijaż w sześciu najważniejszych odcieniach, szminki i błyszczki do ust, zgrupowane w podstawowych kolorach różu, czerwieni, brązu i koloru śliwkowego, lakier do paznokci w takich samych kolorach, cztery odcienie różu do policzków, cztery odcienie pudru do twarzy, czarna i brązowa spirala do rzęs, kredki do powiek w czterech barwach, cienie do powiek w ośmiu odcieniach (tutaj dokonał wyboru, który czynił go dumnym z samego siebie za wręcz niesłychane samoograniczenie się, ponieważ średnia ilość odcieni produkowana przez większość przedsiębiorstw kosmetycznych sięgała aż dwudziestu), a także, oczywiście, mydło, puder stosowany po kąpieli, wodę toaletową w sprayu o trzech różnych pojemnościach i na koniec perfumy w piętnasto-, trzydziesto – i sześćdziesięciogramowych flakonikach. Kiedy po raz kolejny dokonywał w myślach przeglądu listy nowych produktów, przypomniał sobie własne słowa, które zgadzały się z opinią wygłoszoną przez Dicka Johnsona z Allentown, kiedy obudził go w nocy.

– Tak, nie przesadziłbyś twierdząc, że dzisiaj mamy na rynku zbyt wiele produktów... producenci przechodzą sami siebie. – Och, ten Dick Johnson ze swoimi jedenastoma miastami we wschodniej Pensylwanii, w których funkcjonowała firma Hess's Inc. Dlaczego nie jest bardziej ryzykancki, jak Verda Gaines z Tucson, która powiedziała: „Bez nowych produktów nie ma postępu”. Dlaczego???

Jedenaście procent z każdego dolara, jakiego wydają producenci perfum i kosmetyków, idzie na opakowania. Fakt ten pomógł Hilly'emu Bijurowi wymazać z pamięci Dicka Johnsona, kiedy pogrążył się w rozkosznym rozmyślaniu o cudownym flaconie zaprojektowanym dla perfum. Zgodnie z sugestią Daisy, inspiracją dla projektu stały się wielkanocne jajka, które Peter Carl Faberge stworzył dla rodziny carskiej... dokładnie pięćdziesiąt siedem jajek wyprodukowanych w latach 1884-1914. Obecnie rozrzucone były po muzeach w całym świecie, chociaż niektóre egzemplarze znalazły się w prywatnych

kolekcjach. Marjorie Merriweather Post, wielka dziedziczka General Foods Corporation była jedną z niewielu w świecie prywatnych osób posiadających kilka carskich jajek i nawet w jej ogromnych zbiorach rosyjskich skarbów były one rzadkimi i najwyżej cenionymi przedmiotami.

Flakon Księżniczki Daisy miał kształt jajka i wykonany był z ręcznie dmuchanego kryształu, od dna do góry przewiązanego czterema wąskimi, falistymi, połączanymi wstążeczkami ze srebra, które spotykały się ponad korkiem tworząc kokardę. Ustawiony został na wdzięcznej, trójnożnej podstawie z połączanego srebra, zwieńczonej owalnym pierścieniem, na którym wygodnie spoczywał łuk jajka. W roku coraz nowocześniejszych buteleczek, w czasach zdominowanych przez surowość opakowań Halstona i klasycyzm Chanel, flakonik Elstree okazał się być czymś drogocennym i unikalnym. Nie można było ujrzeć go i nie mieć ochoty wzięcia go do ręki i pieszczenia. A poza tym, zastanawiał się Bijur, czyż jajka nie uważa się za najbardziej doskonałą figurę stworzoną przez naturę? Niech zobaczy to Dick Johnson z Allentown! Niech zobaczy i resztę, słoiczki, buteleczki i pojemniki w kolorze ślicznego, głębokiego, morskiego błękitu, pokryte szkliwem tak świetnym, że przypominało autentyczny lakier Faberge i udekorowane jedną biało-złotą stokrotką na zielonej łądźce; deseniem o wyjątkowo wytwornym stylu, który stał się symbolem całości przedsięwzięcia. Były tak cholernie doskonałe, że mogły wywołać łzy, Bijur powiedział Patrickowi Shannonowi i o dziwo ten zgodził się z nim nawet nie próbując zasugerować jakichkolwiek ulepszeń.

Perfumy Księżniczka Daisy miały być sprzedawane po sto dolarów za trzydzieści gram. Czy było to uzasadnione? Bijur uważał, że tak. W przeciwieństwie do wielu tańszych perfum, wykonane były wyłącznie z naturalnych olejków i esencji, produkowanych i rozlewanych do butelek we Francji. Oczywiście, koszty produkcji, rozlewu i rozprowadzenia dalekie były od stu dolarów za trzydzieści gram, mój Boże, pomyślał, gdyby nie były – do cholery, jak mogłyby przynieść zysk? Kiedy ceny perfum i kosmetyków choćby zbliżą się do kosztów produkcji, człowiek poczuje się jak w Rosji.

Idąc szybkim krokiem przez Park Avenue do budynku Supracorp, Hilly Bijur rozmyślał o świątecznych katalogach, jakie wszystkie większe sklepy w kraju rozesłały jeszcze w sierpniu; prawie każdy z nich oferował perfumy Księżniczka Daisy, a także specjalne opakowania różnych kombinacji perfum, wody toaletowej, mydła i pudru po kąpieli. Gdyby nie znalazły się w ofercie Saksa, Neimana-Marcusa, nie mówiąc o kilkudziesięciu innych katalogach, które poświęciły im

sporo miejsca, realizacja szalonego marzenia Shannona nie miałyby szans.

Start kampanii wokół Księżniczki Daisy przygotowany został z taką koordynacją, jak D-Day, dzień lądowania aliantów w Normandii. Cholera, dla kogoś kto miał poczucie perspektywy, to był D-Day, uważał Bijur. Po pierwsze była Candice Bloom, która zajmowała się częścią pokazową, walcząc o wzrost zainteresowania środków masowego przekazu samą Daisy, który ostatecznie miał zostać ukoronowany eksplozją, jaką powinno wywołać ukazanie się jej zdjęcia na okładce *People*, co zaplanowano na dzień następny; nie mówiąc już o Rosyjskim Balu w Pałacu Zimowym, bankiecie na dobry początek, który powinien znaleźć się na stronach poświęconych kobietom we wszystkich magazynach i gazetach w kraju. Natomiast Helen Strauss dobrze panowała nad częścią reklamową: reklamami telewizyjnymi, podwójnymi reklamami prasowymi w pismach, czterokolorowymi broszurami. Sam Hilly zadowolony był z pomyślnego załatwienia przesyłki do magazynów w New Jersey. Wszystko dojechało o czasie i w idealnym stanie, a kupcy złożyli imponujące zamówienia. Nawet Saks z Piątej Alei, tradycyjnie jedyny sklep, który otrzymywał perfumy zanim ktokolwiek w Nowym Jorku został przekonany do udziału w dystrybucji nowości, włączył Księżniczkę Daisy do specjalnej precyzyjnie opracowanej jesiennej kolekcji mody autorstwa Billa Blassa, najbogatszej, jaką niezmiennie elegancki projektant stworzył. Stroje rozesłano do wszystkich liczących się sklepów w kraju, gdzie miały zostać pokazane na wystawach w pierwszym tygodniu kampanii. Elstree obiecało kobietom prowadzącym sprzedaż dodatkowe prowizje przez pierwsze trzy miesiące; dziesiątki tysięcy próbek perfum Księżniczka Daisy zostały już dostarczone do wybranych domów towarowych, gdzie miały być rozdane za darmo w specjalnych „stanowiskach” projektanta na parterze, a sama Daisy miała spędzić tygodnie po bankiecie przenosząc się samolotami z miasta do miasta, aby osobiście pojawić się w największych sklepach i wylosować szczęśliwy numer, dzięki któremu jedna z wcześniejszych nabywczyń perfum lub zestawu kosmetyków Księżniczka Daisy. miała otrzymać bon towarowy wartości tysiąca dolarów.

Więc co mogło pójść źle? Jezu... prawie wszystko, pomyślał Hilly Bijur i poczuł dreszcze. W zwariowanym świecie perfum, kto mógł. do cholery, to przewidzieć?

– Oczywiście, że jest nieważną, kompletnie nieważną, nędzną, drobną suką. Nie musisz mi tego mówić... to tylko wszystko pogarsza, Robin, nie rozumiesz tego? – z wściekłością powiedziała Vanessa. – Nigdy nie była warta naszej uprzejmości. I nie, nie chcę żadnego valium, ani żadnej tabletki nasennej, więc mógłbyś łaskawie

przestać mnie namawiać do ich zażycia?

Była trzecia nad ranem i Vanessa obudziła się, jak często zdarzało jej się od paru miesięcy, w stanie absolutnej wściekłości. Chociaż starała mu się nie przeszkadzać, Robin zawsze wyczuwał, że nie może spać i też się budził, lojalnie przygotowany na wysłuchanie kolejnych porcji gorzkich żali wylewanych przez Vanesę. Robiło mu się smutno kiedy patrzył na nią. Choć jej pociągłe, pierwszorzędnie eleganckie ciało nie zmieniło się, usta miała zaciśnięte w nieprzyjemnym grymasie i jej twarz wydawała się jeszcze bardziej wątpa, niemal wymizerowana. Ale jakkolwiek bardzo starałby się zająć jej uwagę planami wakacyjnymi lub nowymi pomysłami na przemeblowanie domu, a także masażami górnej części pleców, która stanowiła skupisko napięcia, nie była w stanie zapomnieć o Daisy i o tym co Daisy jej zrobiła.

– Po pierwsze i przede wszystkim, musisz sam przyznać, Robin, nigdy nie okazała należytej wdzięczności, ani przez sekundę. Och, mówiła dziękuję, ale tylko wtedy kiedy było to absolutnie nieuniknione, kiedy przekonałam Topsy, żeby zdecydowała się na portret olejny dzieci czy kiedy załatwiłam jej to drugie zamówienie. Ale jak mówiła to dziękuję? Jakby to ona mnie robiła przysługę! Jeżeli jest coś, czego nie mogę darować, to niewdzięczność... a pod tym względem nie dałam jej się zwieźć ani przez chwilę. A zawdzięczała nam tak wiele! Ile razy była „zbyt zajęta”, kiedy zapraszałam ją na przyjęcia? Jakie ona ma o sobie wyobrażenie? Nikt. , nikt... nie jest zbyt zajęty aby przyjść do nas. Nigdy!

– Vanessa, wszyscy liczący się ludzie twierdzą, że wydajesz najświetniejsze przyjęcia w Nowym Jorku. Co ona cię obchodzi? – po raz setny cierpliwie zapytał Robin.

– Nie o to chodzi, i wiesz o tym. Chodzi o całe jej zachowanie! O te wyniosłe „Nie tkniesz mnie, bo jestem wyjątkową”, albo „Żebyś nie wiem jak się wysilała, nie robisz na mnie najmniejszego wrażenia"... to tego nie jestem w stanie znieść. A jak było z sukienkami, które jej dałeś? Musiałeś niemal zmusić ją do włożenia ich, na miłość boską... można by pomyśleć, że woli ubierać się w te swoje idiotyczne odrzuty kostiumów ze spalonego teatru.

– Teraz musi nosić przyzwoite rzeczy – powiedział Robin i natychmiast zdał sobie sprawę, że nie mógł wykazać mniej taktu. Vanessa była poważnie rozgniewana na Daisy od czasu incydentu na jachcie zeszłej zimy, ale kiedy ogłoszono kampanię Księżniczki Daisy, kiedy zaczęły się pojawiać materiały reklamujące osobę Daisy, kiedy opublikowano wiadomość o kontrakcie na milion dolarów, a zwłaszcza teraz, kiedy dowiedziała się o planowanej okładce *People*,

wściekłość Vanessy osiągnęła taką intensywność, że wręcz pożerała ją.

– Wiem, że nawet nie pofatygowała się do ciebie po nie – złośliwie zadrwiła z męża. Kiedy wzruszył tylko ramionami i nie raczył odpowiedzieć, westchnęła i czule dotknęła jego ręki. – Przepraszam, kochanie. Nie chciałam tego powiedzieć tak jak zabrzmiało. Ma tak barbarzyński gust, że to jasne, iż nie starcza jej ani inteligencji, ani klasy, żeby nosić twoje rzeczy, i tyle.

– Nie przejmuj się – uspokajał ją. – Napiałabyś się trochę wina? Może poczujesz się po nim śpiąca. – Vanessa znowu z uporem pokręciła głową.

– Robin, zapewniam cię, że nic mnie nie obchodzą te wszystkie tanie numery reklamowe... mech sobie ma swoją chwilę w światłach reflektorów, co tam... ale to czego nie jestem w stanie wybaczyć, i nigdy nie będę, to sposób w jaki zepsuła przyjęcie na jachcie. Czy naprawdę nie pojmujesz jaką idiotkę ze mnie zrobiła? Czy nie rozumiesz co ludzie wygadują na nasz temat od tamtej pory? Tak, przez cały czas od tamtej pory, nawet do dzisiaj! Każdy z obecnych na łodzi musiał z pewnością naopowiadać cudów każdej samotnej duszy znanej mu na świecie. Minęło już tyle miesięcy, a ludzie nie przestają mnie szczuć... „Vanessa, kochanie, podobno to twoje spotkanie rodzinne zwróciło się przeciwko tobie, tak?“, „Vanessa, słyszałam niesamowitą historię... co tam się naprawdę stało, moja droga?“ „Vanessa, dlaczego musiałaś zawrócić jacht? Dlaczego Daisy Valensky wykradła się w środku nocy? Co sprawiło, że Ram Valensky spędził resztę rejsu zamknięty w swojej kabinie... jakie to niegrzeczne z jego strony, słodkie biedactwo... powiedz mi... to – pewne, że wiesz więcej niż mówisz... jak oni mogli tak cię potraktować?“ Och, Robi, nie uwierzyłbyś jakie plotki krążą... mściwe, złośliwe, głupie, ohydne... a wszystkie sprawiają, że wychodzę na największą żyjącą idiotkę. I słyszę to od wszystkich... od wszystkich ludzi, których uważałam za przyjaciół... właściwie nie mam już odwagi umówić się na lunch, ponieważ wiem, że nie uniknę takiego wypytywania. Czy nie widzisz co mi zrobiła... ta pretensjonalna suka!

– To była tylko dziewięciodniowa ciekawostka, kochanie. Jestem pewny, że ludzie przestali już o tym mówić – bez przekonania powiedział Robin. Do niego również kierowano wiele pytań.

– Gówno prawda... i wiesz o tym. Wszystko mogło być dobrze, gdyby Ram zachował się inaczej. Mogłam wyjaśnić, że Daisy cierpi na chorobę morską, albo na uczulenie, albo coś w tym rodzaju, ale on musiał się zamknąć, na miłość boską, nawet nie pożegnawszy się z nikim... od tego wszystko się zaczęło, to spowodowało, że ludzie zaczęli mówić. Kiedy pomyślę ile trudu zadałam sobie dla

tego drania, namawiając Daisy, żeby z nami popłynęła, mogłabym umrzeć. Nawet jeśli sfinansował twoją ostatnią kolekcję, nie uprawniało go to do wystawienia mnie na pośmiewisko – wściekała się.

– Najdroższa, błagam cię, sama się wykańczasz w ten sposób. Nie można tak dalej... musisz spróbować uwolnić się od tego.

– Żebyś wiedział, do cholery! – Vanessa uniosła się na poduszkach i włożyła szlafrok. – Robin, która godzina jest teraz w Londynie?

– Rano. Dlaczego?

Nie odpowiadając mu zamówiła rozmowę z Londynem i nie ruszyła się z sypialni, tej tak często fotografowanej dżungli wiktoriańskiego perkalu i edwardiańskiej koronki, dopóki w słuchawce nie usłyszała Rama.

– Halo, kochanie... mówi Vanessa! Oboje z Robinem pijemy właśnie szklaneczkę na dobranoc i nagle zdaliśmy sobie sprawę, od jak dawna nie wiemy co się z tobą dzieje. Więc pomyślałam, że nie ma nic prostszego niż zatelefonować. Było nam tak przykro, że źle się czułeś na jachcie... prawdę mówiąc, martwiliśmy się. Ale rozumiem cię, oczywiście, sama też miewam straszliwe migreny.

Nie, nie, nie przepraszaj. Ale teraz już czujesz się dobrze? Cieszę się.

Tak, oboje z Robinem czujemy się wyśmienicie. Przypuszczam że śledzisz na bieżąco wszystkie dobre wiadomości na temat Daisy?

Musiała napisać do ciebie... tyle podniecenia, mój drogi, nie wyobrażasz sobie. Robią wokół niej mnóstwo wspaniałego zamieszania... czy to nie pasjonujące? I pomyśleć tylko, że nigdy nie śmierdziała groszem, a teraz milion dolarów! Okazuje się, że ten wasz tytuł jednak ma tutaj jakąś wartość... demokracja demokracją, ale tak jak Anglicy, kochamy się w lordach. Nawet *People* zamieści ją teraz na okładce i jeśli czegoś jej jeszcze brakowało do osiągnięcia szczytu, to załatwi sprawę. Więc lepiej przygotuj się, mój drogi, na oglądanie swojej siostrzyczki na tablicach ogłoszeń, w pismach i w telewizji... nawet w Anglii. Nie wiedziałaś? Wyobraź sobie tylko, nazwisko Valensky, kaptujące klientki dla szminki i Bóg wie czego jeszcze. Ale z drugiej strony, przecież ona jest gotowa na wszystko dla Patricka Shannona. Co to znaczy, jakiego Patricka Shannona? Jest szefem... przepraszam, mój drogi, to jasne, że wiesz kim jest. Chodziło mi o to, że są do szaleństwa zakochani. Od ich powrotu z Anglii wszyscy w Nowym Jorku plotkują o nich. Cieszą się najślawniejszym romansiem! Obserwowanie ich to prawdziwa przyjemność... człowiek znowu zaczyna wierzyć w romantyzm. Nie widziałaś się z nimi, kiedy byli tam razem? Och, rozumiem... na Bliskim Wschodzie... czyli minąłeś się z papużkami nierozłączkami. Cóż, w tym właśnie Daisy wykazuje

najwięcej sprytu. Okładki *People* jeszcze nikomu nie zaszkodziły, ale Patrick Shannon jest najbardziej boskim mężczyzną, jakiego widziały te stare oczy od bardzo wielu lat. I człowiekiem, który zawsze zdobywa wszystko, co zechce. Nie dalej jak wczoraj w artykule w *New York Times* cytowano jego przekonanie, że Daisy jest „jedyna w swoim rodzaju”. Jak na niego, to dosyć powściągliwa pochwała... ale z drugiej strony, dochowywał prawdopodobnie dyskrecji. Kiedy ostatnio widziałam ich w restauracji, z trudem powstrzymał się od rzucenia się na nią. Hej, nie bądź staroświecki, Ram! W końcu Daisy nie jest już nastolatką. Ma nie kwestionowane prawo to tuzina kochanków... ale wydaje się, że pragnie tylko Shannona, a zresztą, kto by się temu dziwił? Cóż, posłuchaj, kochanie, nie będę cię dłużej zatrzymywać. Chciałam tylko sprawdzić, czy masz się lepiej... starzy przyjaciele nie powinni tracić się z oczu na zbyt długo. Robin prosi o przekazanie pozdrowień. Do widzenia, kochanie. Do zobaczenia.

Vanessa bardzo wolno odłożyła słuchawkę z pierwszym, autentycznie przyjemnym wyrazem twarzy jaki widział od miesiący. – Robin, może jednak napiję się wina.

– Lepiej się czujesz, kochanie? – zapytał niespokojnie.

– Nieskończenie.

– Ból, który Ram czuł od dnia kiedy po cichu wyniósł się z La Maree, pozostawiając Daisy krwawiącą na łóżku, był bólem takiej potrzeby, tak wielkiego pożądanego, że płynął z miejsca, o którym nie wiedział nikt poza nim; miejsca położonego tak głęboko, że jego równowaga psychiczna pozostawała nie kwestionowana, gdyż na zewnątrz prezentował poprawną, nieskazitelną powierzchowność. Był w stanie nadal żyć i funkcjonować bez Daisy, ponieważ przynajmniej nie należała do nikogo innego. Zawsze istniała w jego śmiertelnie opętanym umyśle, jakby niezmiennie była jego własnością; istniała w klatce beznadziei i nieprzemijającej tęsknoty, od której nie mogły go wyzwolić ani siła woli, ani dobre chęci, ani energia; w klatce, w której nie było żadnych innych istot poza Daisy i nim samym. To prawda, odwróciła się od niego w tej klatce, ale nie zwróciła się do nikogo innego. Jak mogła, skoro należała do niego?

Ram nie był zazdrosny, bo nie było o kogo, nie było zagrożenia, ucieleśnionej trzeciej osoby pomiędzy nim i jego marzeniami.

Teraz, przy pomocy paru przymilnych słów, dobranych dzięki nieomylnemu instynktowi wyczuwania słabości i podatności na ciosy, Vanessa rozbudziła poczucie bezsilności, okaleczenia, które było dosłownie nie do zniesienia. Ram nie miał już gdzie się podziać, nie pozostała mu żadna wewnętrzna przestrzeń, w której

mógłby ukryć się przed bólem. Narodziła się zazdrość, żarłoczna, mroczna, tak stara i wściekła, jakby miała milion lat na osiągnięcie szkaradnej, przechodzącej ludzką wytrzymałość, nasiąkniętej kwasem, dojrzałości.

Szybko się ubrał i nie minęło nawet pół godziny od telefonu Vanessy, kiedy znalazł się w zamkniętych garażach, gdzie zostawiał swego jaguara.

Ram zawsze znał miejsce pobytu Danielle. Dyrektorzy szkoły byli przyzwyczajeni do jego okazjonalnych telefonów, ponieważ zdarzało mu się sprawdzać, czy Daisy nadal dawała sobie radę z uiszczaniem opłat za Danielle. Od lat czekał na dzień, kiedy Daisy nie będzie w stanie dłużej dźwigać tego ciężaru i będzie zmuszona zwrócić się do niego o pomoc.

Przed upływem dwudziestu minut wyjeżdżał z Londynu, pędząc w kierunku Queen Anne's School trasą, której mapę miał wyrytą w pamięci od wielu, wielu lat.

Rozdział 25

– O mój Boże, nie! – krzyknęła Candice Bloom. Jej asystentka Jenny obróciła się na pięcie. Szefowa zrobiła się dosłownie biała, a na biurku leżało jeszcze ciepłe wydanie magazynu *People*, które przed chwilą przyniósł goniec, a które miało znaleźć się w każdym stoisku z prasą w Ameryce dokładnie za dwadzieścia cztery godziny.

Jenny podbiegła do biurka Candice, niemal obawiając się spojrzeć na okładkę *People*. Była pewna, że zrezygnowali z nich na rzecz innego materiału... Candice przez cały czas obawiała się tego. Zawsze powtarzała, że było to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Ale nie, to była Daisy... i zdjęcie było prześliczne. Na brzegu okładki znajdował się czerwony, krzyczący podpis: „KSIĘŻNICZKA DAISY: Jej życie nie zawsze układało się po różach; dziwna, tajemnicza historia córki Francesci Vernon i Stasia Valensky'ego. " Trzęsącymi się rękami Jenny próbowała znaleźć stronę, na której wydrukowano artykuł.

– Strona trzydziesta czwarta – powiedziała Candice łapiąc powietrze.

Jenny w końcu znalazła składaną na pół stronę. Prawą jej część w całości zajmowała czarno-biała fotografia. Przyjrzała się jej, przeczytała podpis i wróciła spojrzeniem do zdjęcia. Cały świat kończył się w tej chwili na tej stronie, na tym zdjęciu, na tych dwóch dziewczynach, dwóch dziewczynach o blond włosach i czarnych oczach, dwóch dziewczynach o identycznych twarzach, dwóch uśmiechniętych dziewczynach w wieku mniej więcej dwudziestu trzech lat, tak podobnych, tak niemożliwie podobnych. Podpis brzmiał: „Księżniczka Daisy podczas niedawnej wizyty u swej bliźniaczki, Danielle, w zakładzie dla nieodwracalnie upośledzonych dzieci, w którym została ukryta w wieku sześciu lat".

Obie kobiety zmroziło, wpatrywały się i wpatrywały, nie mogąc przemówić, starając się pojąć coś, co było nie do pojęcia.

W końcu Candice odezwała się nieswoim głosem: – Ona... ona jest odrobinę niższa.

– Jej oczy... są takie same... ale spojrzenie jest... jakieś błędne?

– Jenny z trudem dobierała słowa. Szok wsiąkał w nią szczególnie po szczególe.

– I włosy, sięgają tylko do ramion i nie są aż tak... aż tak...

jasne... ale rosną w taki sam sposób, dokładnie w taki sam sposób – głos Candice brzmiał jakby mówiła z sąsiedniego pokoju.

– Ma także inne rysy, nie, raczej nie inne, ale nie tak... wyraźne, nie tak doskonale. Wygląda, och, młodziej, jakby nie miała poczucia humoru – z zaciekawieniem powiedziała Jenny. – A jednak, to jest ta sama twarz... twarz Daisy.

– Nie! – powiedziała Candice. – Nie ta sama... nie zmusza do ponownego spojrzenia na nią!

– Nie, nie... nie zmusza – z przerażeniem przyznała Jenny. – Mój Boże, popatrz na to zdjęcie, wskazała drżącym palcem. Była to reprodukcja okładki *Life* sprzed dwudziestu pięciu lat... Staś, Francesca i roześmiane dziecko na grzbiecie kucyka. Głośno przeczytała podpis: „Kiedy ksiązę i księżniczka Valensky pozwali do zdjęcia dla *Life*, nikt nie wiedział, że urodziło im się jeszcze jedno dziecko, które ukryli przed oczami świata”.

– Dobry Jezu! – Wyszeptała Jenny. Jednocześnie zaczęły czytać artykuł, przerzucając pięć stron, prześlizgując się po tekście lub czytając na głos.

– „Podczas wywiadu udzielonego przez księcia George'a Edwarda Woodhilla Valensky'ego, przyrodniego brata księżniczki Daisy, na wyłączny użytek *People*, dowiedzieliśmy się o istnieniu... siostry... o wskaźniku inteligencji czterolatki”, mój Boże, Candice, czterolatki!

Candice stanowczo przerwała. – Zamknij się, Jenny... to nie wszystko. Posłuchaj tego, posłuchaj tylko! „Ksiązę Valensky kategorycznie sprzeciwia się komercjalizacji nazwiska swego wielowiekowego rodu, określając rolę swojej siostry przyrodniej w lansowaniu nowego zestawu kosmetyków jako „wulgarne i gorszące zachowanie”. – Sukinsyn! – czytała dalej, coraz bardziej podniesionym głosem. – „Jego zdaniem, gdyby Francesca Vernon nie porzuciła męża porwawszy bliźniaczki, mogły mieć normalne dzieciństwo, ale kiedy ojciec odzyskał córki, było już za późno, aby pomóc Danielle... Ksiązę Valensky, siedem lat starszy od księżniczki Daisy, jest wysoce szanowanym doradcą w sprawach inwestycji. Czując zgorzknienie wobec siostry, która za kampanię reklamową otrzymała milion dolarów, powiedział: „Odziedziczyła dziesięć milionów dolarów, ale pozwoliła im przeciec przez palce, ponieważ była zbyt głupia, aby posłuchać mojej rady. Równie szybko straci te pieniądze”.

– Mój Boże – powiedziała Jenny. – Myślisz, że to prawda?

– Czekaj! To jest najgorsze. „Daisy Valensky została określona jako "jedyna w swoim rodzaju" przez Patricka Shannona, nieco kontrowersyjnego prezesa Supracorp"... Jezu, Jenny, 'jedyna w swoim rodzaju'... który zaryzykował wiele milionów dolarów licząc na to, że jej twarz i nazwisko przysporzą prestiżu

zestawowi... Zeszłoroczne straty Elstree ocenione zostały na trzydzieści milionów... jest to bezprecedensowe szaleństwo środków masowego przekazu na punkcie nowej twarzy, łącznie z... ", dosyć. Nie zniosę słowa więcej. – Candice usiadła. – Wywołaj pana Bijura przez intercom, Jenny, i powiedz mu, że musimy się natychmiast spotkać.

Pomimo iż polecenie Candice wydane zostało rozkazującym tonem, obie jeszcze przez chwilę wpatrywały się w zdjęcie Daisy i Danielle. Żadna nie mogła oderwać wzroku od porywającego widoku bliźniaczek. Nie były w stanie zaprzestać porównywania minimalnych, choć wiele znaczących różnic w twarzach; różnic, które z jednej z nich uczyniły uznaną piękność, a drugą pozostawiły nieuformowaną, niekompletną, nieciekawą, z przygaszonym drobnym uśmiechem i patosem w czarnych oczach.

– „Jedyna w swoim rodzaju” – wymamrotała Candice. – Boże... jesteśmy załatwieni... jutro cały świat zobaczy to zdjęcie.

– Czy myślisz, że w *People* znali tę historię, kiedy zaproponowali nam okładkę? – zapytała Jenny.

– Wykluczone. Czasem trochę naginają artykuły, ale nie do tego stopnia. Nawet sposób w jaki napisany został ten tekst dowodzi, że musieli to dostać w ostatniej chwili... widać w tym pośpiechu, czyta się to bardziej jak wiadomość w dzienniku niż materiał *People*.

– Ale jak to się mogło stać? – pytała Jenny.

– Bóg wie, a mnie nic to nie obchodzi. Kiedy wydarza się coś tak okropnego, „jak” nie ma już żadnego znaczenia. Połącz mnie z sekretarką Bijura.

– Czy mogę coś zasugerować? – zapytała Jenny.

– Co?

– Popraw makijaż przed spotkaniem się z nim. Wyglądasz jakbyś płakała.

– Co z tego? Ty też. Dobrze, dobrze.

Tego dnia kiedy Candice i Jenny czytały *People*, Daisy obudziła się późno i myślała o tym co czeka ją tego dnia. Podczas lunchu miała udzielić wywiadu Jerry'emu Tallmerowi z *New York Post*, który miał służyć jako materiał do artykułu publicystycznego;

o w pół do trzeciej miała kolejny wywiad dla Phyllis Battelle z King Features, a o piątej umówiona była z Łammy Johnstonem z agencji Gannettana na drinka i wywiad, który miał być opublikowany w ich ogólnokrajowym serwisie. Przy wszystkich tych wywiadach miała jej towarzyszyć Candice, uczestnicząc w nich

niejako w tle, kiedy Daisy udzielać będzie odpowiedzi, ale przysłuchując się i od czasu do czasu delikatnie wtrącając się do rozmowy, aby coś dodać lub zasugerować zmianę tematu. Chociaż ta chuda, zuchwała, dosadna, młoda specjalistka od reklamy, była tylko trzy lata starsza od Daisy, potrafiła przekazać pewne nieco materialne uczucie; coś takiego jak znakomita matrona o poważnej pozycji towarzyskiej, która przedstawia córkę damom prowadzącym kotylion dla debutantek. Potrafiła delikatnie uwypuklić zalety Daisy w sposób, w który sama Daisy nie byłaby w stanie tego zrobić.

Niemniej jednak będąc weteranką kilkunastu wywiadów, Daisy zdawała sobie sprawę, że każdy dziennikarz, bez względu na to jak był miły i czarujący, szukał sensacji, czekał na moment kiedy powie coś, czego powiedzieć nie powinna, sondował ją w pozornie przypadkowy i niewinny sposób licząc na jakąś oderwaną uwagę, którą mógłby wykorzystać. Choćby poprzedniego dnia jeden z nich zapytał ją wprost, czy podoba jej się zapach nowych perfum. Mój Boże, czy naprawdę spodziewał się, że może zaprzeczyć? Ale to należy do jego obowiązków, pomyślała... a gdyby powiedziała nie, miałby o wiele lepszy artykuł.

Starannie ubrała się w jeden z nowych nabytków. Za to też była odpowiedzialna. Podczas każdego wywiadu poddawana była dokładnej analizie; każdy szczegół jej stroju wędrował do notesu dziennikarza. Wizerunek, powstawał absolutnie zasadniczy wizerunek, dzień po dniu, wywiad po wywiadzie, sukienka po sukience, pytanie po pytaniu. Daisy miała nadzieję, że może kiedyś opanuje to, przyzwyczai się, ale na pod przed każdym rozpoczęciem porannej metamorfozy musiała przypominać sobie o milionie dolarów. Ale należało to do jej obowiązków i, na Boga, skoro należało, wywiązywała się z tego. Daisy rozchmurzyła się na myśl, że będzie mogła zatrzymać wszystkie ubrania, jakie dostawała i za trzydzieści czy czterdzieści lat z prawdziwą przyjemnością włoży je znowu. Będzie najoryginalniej ubraną sześćdziesięciolatką na świecie.

Popatrzyła na zegarek. Miała akurat dość czasu, żeby nakarmić Tezeusza, usadowić go na poduszce, pójść do pobliskiej Cafe Borgia II na szybką kawę z ekspresu, zanim wyruszy na miasto na wywiad przy lunchu. Ubieranie się, makijaż i czesanie zajęło jej całą godzinę. Ta cierpliwa, potrójna kombinacja należąca do jej obowiązków, w przeszłości zajmowała jej siedem minut, albo i mniej. Rola księżniczki jest bardziej czasochłonna, pomyślała Daisy, sięgając po świeżo otrzymane listy, na które nawet nie spojrzała, i szybko wyszła.

W kawiarni na Prince Street znalazła stolik na zewnątrz. Usiadła i pławiła się we wrześnieowym słońcu, a jej nozdrza podrażnił zapach świeżo upieczonego

chleba dochodzący z piekarni po drugiej stronie ulicy. Ale teraz nie powinna jeść. Przekonała się, że jedzenie z apetytem podczas lunchu z wywiadami miało bardzo ważne znaczenie, ponieważ pełne usta pozwalały zastanowić się przez chwilę nad odpowiedzią. Dopiła kawę i zamówiła jeszcze jedną. Pod nieobecność Kiki przychodziło niewiele listów. Dlaczego wzięła ze sobą dużą, brązową kopertę? Będzie musiała nosić ją przez cały dzień. Jeszcze raz spojrzała na nią. Została dostarczona przez gońca, a w jej górnym lewym rogu znajdowało się nazwisko dziennikarki z *People*. Z konsternacją pomyślała, że tego nie spodziewała się wcześniej niż następnego dnia. Prawdopodobnie zrobili to przez uprzejmość, ale wcześniejszy egzemplarz był ostatnią rzeczą na jaką miała ochotę. A zresztą, może i lepiej mieć to za sobą. Otworzyła kopertę i wyjęła pismo. Na widok zdjęcia na okładce uśmiechnęła się z prawdziwym zachwytem. Wiedziała, że dobrze robi pozbywając się tego straszliwego makijażu. Ale uśmiech zamarł jej na ustach, kiedy przeczytała napis na okładce. „Dziwna, tajemnicza historia...” Z nagłym przerażeniem zaczęła przerzucać kartki, choć gładki papier wysuwał jej się z palców. Co za dziennikarz mógł w szczegółowym, wyczerpującym, ale celowo wyważonym wywiadzie, jakiego udzieliła dziennikarce, dopatrzeć się „dziwnej, tajemniczej historii”, zadała sobie pytanie i poczuła lodowaty dreszcz wywołany tym czego jeszcze nie wiedziała, jeśli nie liczyć jednego miejsca w mózgu, które zawsze przygotowane było na najgorsze.

Przewróciła jeszcze jedną kartkę.

Okrucieństwo wybuchło w jej sercu i rozlało się po całej klatce piersiowej. Krzyknęła i zamknęła pismo. Kelner podszedł, ale odesłała go gestem ręki, zasłaniając egzemplarz *People* torebką. Gwałtowny atak bólu, jakby stalowe druty wbijały końcówki w jej piersi, sprawił, że przycisnęła do nich ręce w niedowierzającej próbie uchronienia się. Ten ból nie może potrwać długo, w przeciwnym razie nie będzie mogła oddychać. Ostre, pulsujące poczucie uszkodzenia i pęknięcia zmusiło ją do spuszczenia głowy aż do rąk, jakby w podwójnej osłonie dla serca, ale nie przyniosło to ulgi.

Czuła się zmiądzona, atakowana ze wszystkich stron przez nieopanowanego potwora, całkowicie wystawiona na szarpiące i łamiące zęby nie nazwanej bestii.

Kelner wrócił z zatroskaną twarzą. Za sekundę się odezwie. Daisy wstała, ściskając pismo i torebkę i zataczając się poszła niezdarnym krokiem staruszki do stolika w rogu pustej kawiarni, przy którym nie można było jej dostrzec z ulicy. Dysząc z bólu i spływając potem zwykłej paniki, skuliła się nad stołem, otworzyła magazyn i przeczytała cały artykuł. Potem przeczytała go jeszcze dwukrotnie. Nie

miała łez w oczach, tak jak na myśl nie przychodziły jej żadne słowa. Nie istniało nic poza artykułem i potrzebą zwalczania uczucia, że jest krojona na kawałki, rozdzielana, że jej wnętrzności wyciągane są na zewnątrz. Nie mogła uwierzyć, że podłoga nie jest zalana krwią. Daisy zamknęła pismo i schowała je do torebki. Objęła się ramionami i spuściła głowę usiłując skulić się jak tylko było to możliwe.

– Jeszcze jedną kawę? – miękko zapytał kelner.

Przytaknęła.

Piła ją jakby mogła uratować jej życie. Powoli jej umysł zaczynał znowu pracować. Potwór zaciskał zęby na jej biuście, ale zaczęła myśleć. Musi poszukać pomocy. Była tylko jedna osoba, która mogła jej pomóc. Położyła jakieś pieniądze na stoliku, szybkim krokiem wyszła na ulicę i zatrzymała przejeżdżającą taksówkę.

W biurze Patricka Shannona w milczeniu siedziały trzy osoby: Shannon, Hilly Bijur i Candice Bloom. Tylko Candice zdawała sobie sprawę, która jest godzina oraz że Jerry Tallmer i Daisy czekają na nią w Le Perigord Park. Dzięki Bogu Tallmer był szlachetnym, uprzejmym człowiekiem i dzięki Bogu Daisy wiedziała, gdzie ma się z nim spotkać na lunchu. Nie była im potrzebna.

Bijur przełamał ciszę pierwszy:

– Pat, to wcale nie musi być kłeska.

Shannon popatrzył na niego nic nie pojmując. Musiał znaleźć Daisy zanim to zobaczy. – Gdzie jest Daisy? – zapytał nerwowo.

– Na lunchu... nic jej nie grozi – zapewniła go Candice.

– Pat, posłuchajże mnie! Poczekaj, na miłość boską, pozwól mi jeszcze raz odczytać pewne fragmenty – upierał się Hilly. Przeszedł do drugiej strony artykułu. – „Queen Anne's, szeroko znana szkoła dla upośledzonych dzieci, uważana jest za jedną z najlepszych placówek tego typu. Opłaty są wysokie, średnio dwadzieścia trzy tysiące dolarów rocznie za dziecko. Pani Joan Henderson, dyrektorka szkoły powiedziała, że cztery lata po śmierci księcia Stasia Valensky'ego w 1967 roku, księżniczka Daisy w całości przejęła finansowy ciężar utrzymania siostry”. A potem cytują panią Henderson: „To musiało być dla niej niełatwe”, mówi pani Henderson, „ponieważ czasami musieliśmy poczekać na jej czeki, ale w końcu zawsze przychodziły. Jestem przekonana, że nie było tygodnia, w którym przez minione dziesięć lat... ” minione dziesięć pieprzonych lat, Pat... ” minęłoby więcej niż dwa, trzy dni kiedy Danielle nie otrzymała od siostry listu zawierającego rysunek lub widokówkę. Mieszkając w Anglii księżniczka Daisy odwiedzała ją co niedziela, chociaż zostały rozdzielone z Danielle mając zaledwie sześć lat”. Sześć...

zaledwie sześć, Pat! Posłuchaj, potem mówi: „Bliźniaczki są sobie bardzo bliskie pomimo różnicy w ich zdolnościach intelektualnych. Danielle z pewnością rozumie Daisy lepiej niż kogokolwiek z nauczycieli... naprawdę, przez całe życie bardzo rzadko zdarzyło mi się zetknąć z takim poświęceniem jak to okazywane przez księżniczkę Daisy". Koniec cytatu. Do tego jest zdjęcie Daisy malującej dziecko na kucyku. Posłuchaj tylko podpisu: „Świetne portrety Daisy umożliwiły bliźniaczce niezakłócony pobyt w jedynym domu, jaki kiedykolwiek знаła, podczas gdy sama Daisy mieszkała w tanim mieszkaniu na strychu w SoHo, a przy tym miała pełnoetatową pracę".

– Na następnej stronie, tuż pod zdjęciem Daisy na planie, w kurtce baseballowej i tym jej marynarskim kapeluszu, cytują Northa. Pozwoli pan, że ja to przeczytam, panie Bijur – z zapalem odezwała się Candice.

– „Czołowy reżyser reklam Frederick Gordon North twierdzi, że był bardzo zawiedziony kiedy księżniczka Daisy zdecydowała się zrezygnować z pracy u niego. „Była bez wątpienia najbardziej twórczą i najciężej pracującą producentką, jakiej mógłby sobie życzyć każdy reżyser. Wszyscy, którzy kiedykolwiek z nią pracowali, kochali ją. Ma ogromny talent do tej pracy". Zapytany czy brakuje mu jej wkładu w tak szeroko podziwiane reklamy jak te, które zrobił dla Dr Peppera, Downy'ego i Revlonu, pan North odpowiedział ze smutnym uśmiechem: „Może wrócić do pracy u mnie kiedy tylko zechce. Życzę jej jak najlepiej".

– Panie Shannon – przemówiła Candice – Daisy jest bohaterką.

– Właśnie, dokładnie o to mi chodzi! – powiedział Hilly Bijur z rosnącym podnieceniem. – Spójrz, Pat, wczoraj mieliśmy po swojej stronie jeszcze jedną piękną twarz, a dzisiaj mamy kandydatkę na Joannę D'Arc... ona może nawet zdobyć doroczną nagrodę Heleny Keller... spójrz na to w ten sposób, na miłość boską.

– Ale – powiedziała Candice z odcieniem nieśmiałości rzadko u niej słyszonym – jak Daisy zareaguje na ujawnienie tego wszystkiego? Skoro tak długo utrzymywała to w tajemnicy, najwyraźniej nie życzyła sobie, aby ktokolwiek się dowiedział.

– Jakie to ma znaczenie, do cholery, jak ona zareaguje! – uniósł się Hilly Bijur, dosłownie podskakując z radości. – To jest prawdopodobnie największy pieprzony przełom w reklamie, jaki kiedykolwiek zdarzył się komuś w pieprzonym przemyśle perfumeryjnym. Do cholery, jutro będą tego pełne wszystkie gazety w kraju. Ha! Powiedz mi, Candice, najdroższa, czy w życiu prywatnym Lauren Hutton, czy jak jej tam było, Hemingway, Catherine Deneuve czy Candy Bergen było coś w jednej

dziesiątej tak fascynującego jak to? Te artykuły przyciągną tłumy na jej spotkania! Każda kobieta w kraju będzie chciała zobaczyć Daisy na własne oczy. Może zostać zaproszona do programu Phila Donahue... na całą godzinę! Merv będzie nią zachwycony, Mikę Douglas, „The Today Show”... może nawet Carson... jasne, Carson też...

Patrick Shannon wstał. – Wynoś się z mojego biura, Hilly i więcej się tu nie pokazuj – wrzasnęła na prezesa Elstree z bezgranicznym obrzydzeniem.

Shannon zwolnił wszystkie trzy sekretarki na lunch i od dłuższego czasu siedział z łokciami opartymi o biurko i głową w dłoniach, a przed nim leżał otwarty egzemplarz *People*, kiedy Daisy cicho otworzyła drzwi gabinetu. Zauważyła czemu się przyglądał, choć na jej widok błyskawicznie wsunął pismo do szuflady.

– Nie musisz tego chować – powiedziała Daisy głosem pozbawionym barwy, jakby przeproszała kogoś we śnie.

Shannon wyskoczył z fotela i dużymi krokami przeszedł przez pokój. Wziął ją w ramiona, stojącą tuż za progiem w ładnej nowej sukience, z twarzą ukaranego i przerażonego dziecka. Była tak zimna, tak straszliwie lodowata, że nie uczynił nic, usiłując jedynie ogrzać ją. Ścisnął ją z całych sił próbując podzielić się swoim ciepłem, rozcierał jej plecy swymi dużymi dłońmi, przytulał jej głowę do klatki piersiowej, szeptał pieszczotliwe słowa jak matka. Kiedy dotknął jej dłoni i poczuł, że są lodowate, wsunął je pod marynarkę, aby odtajały w ciepłe jego klatki piersiowej. Daisy cisnęła się do niego jakby był jedynym schronieniem na świecie. Kiedy tulił ją do siebie, kiedy pod dłońmi czuła jego mocno bijące serce, kiedy gładził jej włosy i próbował jeszcze skuteczniej utulić ją swoim dużym ciałem, czuła jak rozdierający ból w sercu staje się nieco mniej przenikliwy, jakby przenikał w niego, jakby jej zamrożenie topniało pod wpływem jego ciepła. Była to tak ogromna ulga, że wreszcie poczuła łzy napływające do oczu. Nie przestawał jej tulić i głaskać, a ona tajała coraz bardziej, aż w końcu była w stanie zapłakać; zawyła swobodnym szlochem wydobywającym się z najgłębszych obszarów jestestwa; ale chociaż wstrząsały nią coraz silniejsze spazmy, Shannon nie rozluźniał uścisku, stopniowo wchłaniając jej rozpacz w siebie, z determinacją i poświęceniem, które uwolniły ją od wszelkich zahamowań. I dopiero wtedy wstrząsający, głośny szloch zmienił się w łkanie i zdobyła się na sięgnięcie po jego chusteczkę do nosa, żeby osuszyć policzki.

– Chciałem cię odszukać, ale Candice powiedziała, że jesteś na lunchu.

– Nie wiedziała. Przysłali mi egzemplarz, dostałam go dzisiaj rano.

– Usiądź, Daisy. Tak. – usadowił ją tuż koło siebie na kanapie, cały czas obejmując jedną ręką jej ramiona. Znalazł w kieszeni chusteczkę do nosa i zaczął delikatnie osuszać jej twarz, ale szybko zrezygnował z beznadziejnych prób i po prostu wziął obie jej dłonie w wolną rękę. Westchnęła głęboko i całym ciężarem oparła głowę o jego ramię. Siedzieli tak dość długo, równo oddychając, zanim Daisy przerwała milczenie.

– To był Ram – jej głos był beznamiętny, płaski, pozbawiony emocji.

– Ram?

– Mój brat przyrodni. Jest jedyną osobą, o której ci nie powiedziałam.

– Nie rozumiem. Dlaczego nie powiedziałaś mi o nim? Dlaczego tak bardzo go nienawidzisz? Dlaczego on ci to zrobił?

– Musiał pojechać do szkoły i zabrać zdjęcie – powiedziała Daisy, nie odpowiadając na jego pytania. – Wisiało na ścianie w pokoju Dani. I naopowiadał im tyle straszliwych kłamstw o mamie. Skoro Ram to powiedział, to muszą być kłamstwa. Nigdy nie poznam prawdy... nigdy, przenigdy się nie dowiem... wszyscy, którzy ją znali już nie żyją. Nawet Anabel twierdzi, że ojciec nigdy nie chciał o tym rozmawiać.

– Ale dlaczego brat chciał cię skrzywdzić? – nalegał Shannon. – Czym się kierował? Mówi, że jest to komercjalizacja rodzinnego nazwiska... nie mogę się z tym zgodzić, to nie jest wystarczający powód, nie w dzisiejszych czasach.

– Daisy delikatnie wysunęła się z objęć Shannona i odsunęła się; siedzieli na kanapie jakieś piętnaście centymetrów od siebie. Mocno zacisnęła ręce i spojrzała mu prosto w oczy.

– Kiedy byłam małą dziewczynką nikogo poza ojcem nie kochałam tak bardzo jak jego. A potem, kiedy ojciec zginął jak miałam piętnaście lat, został mi tylko Ram. Tamtego lata... tamtego lata – potrząsnęła głową, niezadowolona z własnego tchórzostwa i postanowiła mówić dalej. – Pewnego tygodnia w czasie lata po śmierci ojca zostaliśmy kochankami. Pierwszy raz zgwałcił mnie. I ostatnim razem też musiał mnie zgwałcić. Ale w pozostałe wieczory, w tym czasie... nie zrobiłam zbyt wiele, żeby go powstrzymać. Pozwalałam mu. Nie powiedziałam Anabel. Tak bardzo chciałam, żeby ktoś mnie kochał... ale to mnie nie usprawiedliwia.

– Jeszcze jak usprawiedliwia! – powiedział Shannon, biorąc jej splecione palce w obie ręce i starając się przyciągnąć ją bliżej.

– Nie, pozwól mi opowiedzieć resztę – sprzeciwiła się Daisy, nie ruszając się z miejsca. – Od kiedy tylko... od kiedy tylko uwolniłam się od niego, z uporem nie odpowiadałam na jego listy... chyba dlatego przepadły mi wszystkie pieniądze. To

jasne, że nie mogłam go nigdy poprosić nawet o pensa. Ale w końcu, kiedy u Anabel stwierdzono raka, Ram wiedział, że sama dłużej sobie nie poradzę. Podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia podstępem zmuszono mnie do spotkania się z nim. Powiedział, że zatroszczy się o wszystkich, łącznie z Anabel i Danielle... W zamian zażądał po prostu, że mam się przeprowadzić z powrotem do Anglii. Ale znam Rama, wiedziałam wystarczająco dużo, żeby się bać. Dlatego przyjąłem twoją ofertę, żeby zabezpieczyć się przed nim. Ten... ten artykuł... to jego sposób na zemstę. On mnie nienawidzi, Pat, on mnie na swój sposób kocha, chce mnie mieć tak jak kiedyś, nigdy nie przestał mnie pożądać.

– Daisy, on jest potworem, to szaleniec! To się stało, kiedy miałaś piętnaście lat?

Daisy przytaknęła.

– Ostatecznie powiedziałam Anabel... kiedy już było po wszystkim... a ona znalazła sposób na wysłanie mnie daleko od niego. Teraz już wiesz. Tylko ty jeden. Nigdy nikomu tego nie powiedziałam. Nawet Kiki. Za bardzo się wstydziłam.

– Zabiję go – spokojnie stwierdził Shannon.

– I co dobrego z tego wyniknie? – Daisy zlekceważyła groźbę. Szkoda została dokonana. Co się stało już się nie odstanie. Sięgnęła do torebki po egzemplarz *People* i otworzyła go na stronie, gdzie – było zdjęcie jej i Danielle. – Ciekawa jestem czy Dani zauważyła, że to zdjęcie zniknęło? Lubiła je najbardziej ze wszystkich, bo jesteśmy na nim najbardziej podobne do siebie – powiedziała Daisy ze smutnym zaciekawieniem. – Pewnie nie zauważyła. Mam nadzieję, że nie.

Shannon sięgnął po pismo i położył je za sobą.

– Daisy, nie myśl już o tym.

– Nie myśleć o tym! Zwariowałaś! Mój Boże, teraz nie będzie ich obchodziło nic innego. Wiem, jak mnie podejda, jak zwykle bardzo taktownie... „Co pani myśli o tym artykule w *People*, proszę powiedzieć nam coś więcej o siostrze, na ile dobrze nauczyła się mówić, o czym właściwie rozmawiacie, jak człowiek się czuje mając bliźniaczkę, która nie umie, nie umie"... och, znajdą sposób na zadanie takich pytań, znajdą sposób na oskarżenie mnie o utrzymywanie jej istnienia w tajemnicy dlatego, że wstydziłam się jej, a nie dla prawdziwego powodu... i, Pat, ja już nic nie wiem. Och, Boże, Pat, te pytania, to będzie jakby ludzie wytykali mnie palcami, jakbym była naga na oczach wszystkich. Czy ty ich nie słyszysz? Chyba nie przypuszczasz, że udadzą, iż nic nie wiedzą, co?

– Nie martw się już o te pytania – powiedział Shannon. – Nic nie zmusi mnie do dalszego wykorzystania cię do reklamy. Candice odwoła wszystkie wywiady i

wizyty w sklepach. Do końca życia nie będziesz musiała już rozmawiać z żadnym dziennikarzem.

– Ale co z kampanią? Pat, nie możesz tego zrobić?

– Nie zawracaj sobie głowy szczegółami. Wszystko odbędzie się zgodnie z planem, z wyjątkiem twojego osobistego udziału. Po prostu zostaw to mnie.

– Pat, Pat, dlaczego to robisz? Za długo już mam do czynienia z reklamą, żeby nie wiedzieć jaką to sprawi różnicę. Nie nabierzesz mnie.

– Daisy, wiesz jak się robi reklamy, ale nie jesteś specjalistką od interesów Supracorp. – Znowu wziął ją w ramiona i pocałował w usta. – Ja jestem i ja mówię, że nie będziesz już tego robić.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry? – zapytała czując ogromną ulgę.

– Czy jeden powód ci wystarczy? – Znowu ją pocałował, a ona przytaknęła przyzwalająco. – Kocham cię, jestem w tobie zakochany. Kocham cię całkowicie i głęboko. To już trzy powody, a mógłbym je ciągnąć bez końca... ale wszystkie byłyby wariacjami na ten sam temat. Kocham się. Zdaje się, że zapomniałem ci o tym powiedzieć w La Maree. Było to poważne przeoczenie i poświęcę mnóstwo czasu na wynagrodzenie ci tego. – Rozpaczliwie pragnął – zapytać ją czy też go kocha, ale stwierdził, że byłoby to niesprawiedliwe. Była zbyt otwarta, zbyt wstrząśnięta, zbyt zraniona. Czując wdzięczność powiedziałaaby tak, a jeśli go nie kocha, i tak mu tego nie powie. Poczł ukłucia, jakby zastrzyki miłości. Został naznaczony na całe życie. Mógł poczekać.

– To była krwawa łaźnia – powiedział Luke, ze zmęczenia opadając na fotel. – A to dopiero początek. – Kiki podała mu martini, które właśnie przygotowała – było to jedyne domowe zajęcie jakie opanowała – i jak wilczyca przyglądała mu się, aby dopilnować, że wypije kojące lekarstwo co do kropli. Po to są żony.

– Dzwoniłam do Daisy – powiedziała kiedy opróżnił kieliszek. – Już wiedziała, widziała to. Umówiłam się z nią jutro na lunch.

– Jezu! W jakim jest stanie?

– Dziwnym, nie chciała, żebym przyjechała i została z nią na noc dzisiaj. Jest inna, odległa, oderwana, strasznie zmęczona.

– Może mimo wszystko powinniśmy oboje pojechać.

– Nie, jestem przekonana, że chce być sama. Po prostu nie mogłaby znowu do tego wracać.

– Mówiłem przez minione sześć godzin... mam niejakie pojęcie jak się czuje. Czy mogłabyś mi zrobić jeszcze jedno takie pyszne martini, kochanie? Czy wiesz, że istnieje teoria, iż nie zaszkodzi dodać do niego kropelkę wermutu?

– Och. – Ojciec Kiki, udzielając jej ostatniej rady, pouczył ją, iż sekret wytrawnego martini polegał na dolaniu doskonałego gatunku ginu. Podobno w ten sposób nie można było popełnić błędu.

– Powiedz mi, co się stało – powiedziała Kiki.

– Gdy wróciłem z lunchu zastałem wiadomość, że mam się natychmiast stawić w Supracorp. W biurze Shannona był już Hilly Bijur, a także Candice Bloom, jej asystentka i z tuzin osób z Elstree. Shannon oświadczył nam, że od tej chwili mamy zostawić Daisy w spokoju, że nikt nie ma prawa zawracać jej głowy, po czym spuścił prawdziwą bombę... nie będzie zestawu Księżniczka Daisy, żadnych reklam, żadnej kampanii, niczego. Nic! Zero! Koniec! Jakby nigdy nie miało to miejsca.

– Ale dlaczego? – zawołała Kiki ze zdziwieniem. – Nie mogliby kontynuować bez osobistego udziału Daisy, na miłość boską?

– On ma rację, Kiki. Ta kampania nie wystartowałaby, sklepy nie mogłyby lansować produktów tak jak zaplanowały, a poza tym w tym miesiącu pojawi się kilka innych nowych perfum, które rozpętają zażartą walkę o przyciągnięcie uwagi, za wszelką cenę.

– Bez Daisy pozostają nam reklamy w prasie i te kawałki, które moglibyśmy przez jakiś czas wyświetlać w telewizji, ale na tym koniec, Bubkis. Widzisz, cała rzecz opierała się na niej, na Daisy, na jej nazwisku, na jej twarzy, a przede wszystkim na jej osobowości. Gdyby Charlie stracił dziewczynę, bez trudu mogliby zastąpić ją inną, bo perfumy nie są nazwane jej imieniem i mało kto wiedziałby kim jest... po prostu jeszcze jedna panienska. Gdyby Lauren Hutton wypadły wszystkie przednie zęby i nie miałyby tej uroczej szparki, Revlon znalazłby inną dziewczynę lub kupiłby jej nowe zęby. Reklama Estee Lauder polega nie tyle na Karen Graham, co na fantastycznych zdjęciach Skrebneskiego, które stanowią symbol produktu. W przypadku Halstona i Adolfa, Oscara de la Renta i Calvina Kleina, masz czterech projektantów o wielkich nazwiskach, którzy stanowią już potęgę, znanych facetów, z których każdy będzie lansował swoje perfumy w sklepach jak szalony... w przypadku Daisy mieliśmy tylko romantykę jej samej, aby na niej coś budować. Nie, pszczołko, Shannon wie, że już czas uciąć straty. Bez względu na to ile Supracorp wydała na Księżniczkę Daisy do tej pory... a jest to około czterdziestu milionów... lepiej stracić tyle niż dalej ładować kolejne miliony, które też pójdą na straty. Spędziliśmy całe popołudnie odwołując wszystko co można było odwołać. Ale pieniądze nie stanowią tu największej straty... przynajmniej nie dla Shannona.

– Wydaje się, że to szczęście, że Supracorp jest tak wielką firmą. – Kiki próbowała pociągnąć go za język.

– Żadna firma nie jest tak wielka, aby nie odczuć tego rodzaju klęski. Zwłaszcza kiedy ma właścicieli udziałów. Shannon znajdzie się w gównie aż po uszy. Bez trudu mógł zmusić Daisy do wywiązania się z umowy. A jednak zdecydował się nie robić tego. Ale nie martw się o Daisy... zgodnie z kontraktem, pieniądze zostaną jej wypłacone. Martw się raczej o Shannona. Och, kochana, martw się o oboje.

– Martwię się! – westchnęła Kiki.

– Taak. Słuchaj, czy ja mam pocieszyć cię, czy ty pocieszysz mnie, skoro Daisy nie chce abyśmy oboje pocieszyli ją?

Kiki usiadła mu na kolanach i połaskotała nos o czubek jego bródki.

– To brzmi jak cztery razy po dwa razy, osiem razy raz po raz.

– Spróbujmy to rozwiązać. W tych starych powiedzonkach zwykle coś jest.

–

Rozdział 26

Następnego dnia rano, krótko po pojawieniu się *People* w kioskach, Joseph Willowby i Reginald Stein, dwaj główni udziałowcy Supracorp oraz członkowie dziewięcioosobowego zarządu, zadzwonili do głównej sekretarki Shannona i zażądali natychmiastowego spotkania. Przed upływem dziesięciu minut byli na miejscu, z rumieńcami wywołanymi częściowo gniewem, a częściowo triumfem. Nareszcie Shannon dostarczył im amunicji, na którą czekali.

– Co zamierzasz zrobić w związku z tą aferą? – zaatakował Willowby, wymachując egzemplarzem *People*.

– Ostrzegłem cię rok temu, że najlepszym rozwiązaniem problemu Elstree jest sprzedaż, ale nie, Patrick Shannon wziął z sufitu kolejny genialny pomysł i musiał zrobić po swojemu – dodał Reginald Stein tonem mściwej satysfakcji.

– Usiądźcie, koledzy. Powiem wam, co zamierzam zrobić – pogodnie powiedział Shannon.

Usiedli, a on im wyjaśnił. Kiedy skończył, Willowby wściekł się: – Innymi słowy, Elstree jest totalną stratą trzeci rok z rzędu? Czy tak, według ciebie, należy prowadzić interesy? Tylko jeden dział, który tak hołubisz przyniesie nam sto milionów strat... dzieciątko Shannona. Oczywiście, zdajesz sobie sprawę, jak to wpłynie na obraz naszych ogólnych zysków?

Shannon spokojnie przytaknął. Nie było sensu przerywać Willowby'emu. A zresztą, tak się składało, że miał rację.

– Nie mówiąc już o akcjach – gorzko wtrącił Stein. – Poszły w górę dzięki nadziejom związanym z tym nowym posunięciem, ale wolę nawet nie myśleć, ile spadną przed dzisiejszym zamknięciem giełdy. A kiedy wyda się, że rezygnujemy z całego przedsięwzięcia pod hasłem Księżniczka Daisy... cholera. Shannon, chcesz się założyć, o ile punktów Supracorp spadnie? Założysz się? Ile punktów, Shannon? – zawył.

– Nie wiem, Reg, ale to jest posunięcie, którego nie mam zamiaru z tobą negocjować. Powiedziałem wam, co zamierzam zrobić. Podjąłem decyzję i nie zmienię jej.

– Ty cwany draniu, nie licz na to! – krzyknął Willowby. – Zwołam nadzwyczajne posiedzenie zarządu, Shannon, na którym dostaniesz kopa w tyłek i wylecisz z Supracorp, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz jaką zrobię Mani dosyć twojej tak zwanej samodzielności, wysokich lotów i innych gównianych

pomysłów. Znajdziemy na twoje miejsce kogoś, kto nie wyrzuca milionów dolarów dla zaspokojenia głupiego kaprysu. Gdybyś nie zwolnił tej Valensky z umowy, prawdopodobnie moglibyśmy jeszcze uratować ten pieprznik... przynajmniej częściowo. Jest to wyłącznie twoja wina i przyskrzynię cię za to. Podjąłeś o jedną arbitralną decyzję za dużo, Shannon!

– Zwołaj posiedzenie, koniecznie – powiedział Shannon. – Jestem gotów spotkać się z zarządem w każdej chwili. A teraz pozwolicie panowie, że was przeproszę. Mimo wszystko mamy jeszcze siedem innych wydziałów i mam mnóstwo spraw do załatwienia.

Po wyjściu dwóch kipiących gniewem mężczyzn, Patrick Shannon usiadł i na parę chwil pograżył się w myślach. Kilku innych członków zarządu miało tak silne skłonności do ostrożności i konserwatyizmu jak Joe i Reg. Przez tych parę krótkich, radosnych lat prezesowania Supracorp, sprawiali mu bezustanne kłopoty. Za mało go jeszcze znali, aby przekonać się co do jego wrodzonej solidności, ale dopóki zarabiali dzięki niemu pieniądze, gotowi byli go znosić, chociaż wcale im się to nie podobało. Supracorp poradzi sobie z problemem Elstree na dłuższą metę, wiedzieli o tym tak samo dobrze jak on, ale była to najlepsza okazja pozbycia się go jaka przytrafiła się Joemu, Regowi i ich kompanom i jaka mogła się nie powtórzyć. Wczoraj, kiedy podejmował decyzję o nienarażaniu Daisy na publiczny rozgłos, konieczny dla powodzenia kampanii, nie robił tego z myślą o interesie. Z punktu widzenia interesu, śmierdziała, Shannon przyznał przed samym sobą. Przeżył już straty, ale nigdy z powodów, na które mógł mieć wpływ. Zdarzało mu się ryzykować porażkę, ale nigdy, nigdy dla kogoś innego. Mimo to teraz nie miał zamiaru walczyć o zwycięstwo kosztem Daisy, nie w sytuacji kiedy miał wybór. A gdyby nie miał wyboru, ta praca i tak przestałaby go interesować. Choć to brzmiało niemal jak pocieszenie, skoro wydawało się całkiem możliwe, że zginie w głosowaniu i będzie musiał opuścić Supracorp.

– A więc... pieprzę cały ten harmider! – powiedział głośno, uśmiechnął się i wrócił do pracy.

* * *

W studiu Northa egzemplarz *People* wędrował z rąk do rąk przez całe rano. Kręcili kawałek dla Planter's Peanut, a gwiazdor footballu potrzebował aż pięćdziesięciu czterech powtórek, choć jego zadanie ograniczało się do zjedzenia dwóch orzeszków i wygłoszenia króciutkiego tekstu o tym, że mają „smak świeżo

prażonych", z jednoczesnym otwarciem puszki i uniesieniem jej do kamery. Ten wyczyn wymagający skoordynowania funkcji ręki, oka i ust, uniemożliwił im podzielenie się wrażeniami aż do przerwy na lunch. Wingo, Arnie Greene, Nick-the-Greek i North usiedli w końcu przy kanapkach w gabinecie Northa i zamknęli drzwi.

– Nie powinienem był wciągać jej w to bagno – wyznał Nick z niesamowitym przygnębieniem. – To wszystko moja wina.

– To typowe – zjadliwie odezwał się Wingo. – Gotów jesteś przypisać sobie wszystko, łącznie z pogromem, powodzią i zapełnieniem urn do głosowania.

Nick ponuro obracał w palcach scyzoryk. – Daj spokój, Wingo, wszystko zaczęło się od jej włosów, i to była moja wina. Hej, pamiętasz jaka słodka i wściekła była tego dnia, kiedy próbowaliśmy ją skaptować do naszej wytwórni?

– Nick – zasyczał Wingo – mógłbyś oszczędzić nam swoich wspominków?

– O czym ty mówisz, Nick? – zapytał North z nagłym zainteresowaniem.

– Och, do diabła, co mnie to obchodzi czy się dowiesz, czy nie – powiedział Nick. – Wingo i ja myśleliśmy o założeniu czegoś na własną rękę, pod warunkiem że uda nam się zdobyć Daisy jako producentkę, ale ona nieźle utarła nam nosy: lojalność, co ci zawdzięczamy i całe to gówno, końskie łajno i osiemnaście innych rodzajów bzdur. Szkoda, że jej nie słyszałeś.

– Nie chcę być tylko kamerzystą do końca życia, North – bronił się Wingo. – Potrafię reżyserować... nawet jeśli Daisy tak nie uważa.

– Jak dawno miało to miejsce? – dociekał North.

– Może rok, może trochę więcej; tego dnia trudno było dopatrzeć się w niej czegoś miłego – odpowiedział Wingo. – Nigdy nie widziałem jej bardziej rozgniewanej, nawet wtedy gdy ludzie z Cinemobile zabłądzili w Arizonie i zmarnowaliśmy cały dzień smażąc się pod namiotem jak grupa pieprzonych Beduinów.

– Nie – powiedział Nick. – Bardziej wściekła była kiedy ten szympan, którego wynalazła gdzieś w Meksyku, wciągnął walizkę do klatki i bawił się nią przez sześć godzin, zamiast usiłować ją rozedrzeć, żebyśmy mogli pokazać jak jest solidna. Pamiętacie co wygadywała, próbując go wywabić na zewnątrz?

– Nikt z was nigdy nie widział Daisy naprawdę nerwowej – pośepnie powiedział Arnie. – Ponieważ nie było was przy tym jak odkryła, że dostawcy żywności obciążyli nas kosztami pięciu kilogramów wędzonego łososia podczas zdjęć dla Oscara Mayera, tymczasem podawaliśmy tam wyłącznie żywność sponsora. To była złość! Nigdy nie znajdziemy drugiej takiej producentki.

– Słuchajcie, może tak wynieślibyście się z mojego gabinetu?

– North mówił przez zaciśnięte zęby. – Jak będę miał ochotę na czuwanie przy zmarłym, skorzystam z jednego z irlandzkich domów pogrzebowych... przynajmniej wartość etniczna będzie prawdziwa.

– Daruj sobie, North – powiedział Wingo. – Jesteś tak samo zły jak my wszyscy. Myślisz, że możesz nas nabrać? – North popatrzył na niego i zamilkł.

– Nigdy nie rozumiałem dlaczego pracowała tak ciężko – odezwał się Arnie, nie mogąc powstrzymać się od zajrzenia znowu do *People*. – Nic dziwnego, że prawie nie miała prywatnego życia. Biedactwo.

– Słuchajcie – powiedział North. – Macie skończyć z tym tematem, raz na zawsze. Nikt z nas tak naprawdę nie znał Daisy i nikt z nas nie rozumie jej teraz, nawet przeczytawszy ten artykuł, więc moglibyście wszyscy zamknąć się, do cholery, i wrócić do pracy? I nie jest to tylko sugestia.

Obserwował trzech mężczyzn jak opuszczają gabinet, a potem zamknął za nimi drzwi. Wtedy zaczął systematycznie, metodycznie i spokojnie niszczyć nowy obiekt zoom firmy Cooke, sprzęt za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, który właśnie otrzymał z Anglii. Nie znał żadnego innego sposobu na rozpacz, nawet nie wiedział, że rozpacza i niewątpliwie nie przyznałby się za kim rozpacza, ale Frederick Gordon North z pewnością nigdy w życiu nie odwiedzi już Wenecji.

Vanessa Valarian zadzwoniła do Robina do jego salonu mody jak tylko przeczytała *People*.

– Poślij kogoś, żeby ci kupił egzemplarz i za pół godziny spotkamy się na lunchu. Nie wytrzymam aż do wieczora, muszę o tym porozmawiać. Och, Robin, kochanie, to takie podniecające!

Jak tylko usadowili się na kanapce w La Côte Basque, Vanessa, bez żadnych wstępów, stanowczo spojrzała na Robina. – Posłuchaj, kochanie, przede wszystkim musimy pamiętać, że znaleźliśmy ją wtedy. Byliśmy jej pierwszymi przyjaciółmi, pierwszymi sponsorami, pierwszymi ludźmi, którzy wyciągnęli do niej rękę, nie wiedząc absolutnie nic o tym jak i dlaczego musiała walczyć; dzielne, śliczne, małe biedactwo.

– Pomogliśmy jej pierwsi, kiedy nikogo nie obchodziła – powtórzył Robin.

– Ponieważ – Vanessa ciągnęła, nie zwracając na niego uwagi – wyczuliśmy jej niezwykłego ducha, piękno jej ducha, którego inni nie dostrzegali. Zawsze wiedzieliśmy, że było w niej coś cudownie wartościowego... jej wrażliwość, Robin, jej czarująco skromna niechęć do przyjmowania prezentów czy zaproszeń,

ponieważ nie mogła się zrewanżować... jakby miało to dla nas jakieś znaczenie!... ale, dzięki Bogu, byliśmy w stanie pomóc jej dzięki zamówieniom i odzieży... nie wiem czy bez nas dałaby sobie radę.

– To byłoby niemożliwe, kochanie – zapewnił ją Robin. – Jestem przekonany, że wszyscy nasi znajomi to rozumieją.

– Nie mogę się już doczekać tego przyjęcia w Pałacu Zimowym... będzie taka szczęśliwa jak ujrzy parę znajomych twarzy w tłumie... czuję taką potrzebę chronienia jej, Robin. Niemal macierzyńską. Teraz będę mogła wszystkim powiedzieć co naprawdę zaszło na jachcie... wszystkim tym ludziom, którzy szczuli mnie wstrętnymi pytaniami... i złośliwymi insynuacjami. Nareszcie czuję się wolna, bo mogę powiedzieć prawdę, nie zdradzając Daisy.

– Co tam się stało, Vanessa?

– Nie przejmuj się szczegółami, najdroższy. Coś wymyślę.

Był ponury, mokry ranek w Woodhill Manor, okropna pogoda jak na początek września, który w Anglii przeważnie bywa ładny. Siadając do śniadania, Ram nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o tym, że ze względu na różnicę czasu, wydanie *People* z Daisy na okładce pojawi się w amerykańskich kioskach w porze jego lunchu tego dnia. Bez zainteresowania przyglądał się brązowym jajkom najlepszej jakości, gotowanym dokładnie przez trzy i pół minuty, które stały przed nim na stole. Zadzwoił po służącego, zawsze obsługującego go przy śniadaniu.

– Dlaczego nie ma konfitur z agrestu, Thompson?

– Sprawdzę, proszę pana. – Wrócił po paru sekundach. – Sprzedawca obiecał je na wczoraj, ale nie dostarczył, ponieważ zepsuła mu się furgonetka. Kucharz mówi, że bardzo mu przykro, proszę pana.

W porządku, Thompson. Nieważne. – Siedząc bez ruchu w jadalni swego obszernego domu, jednego z najspokojniejszych w całym bogatym, nobliwym Devon, zastanawiał się jak wielu ludzi w pobliskim miasteczku handlowym, w którymś momencie przeczyta pismo. Było, oczywiście, łatwo dostępne w Londynie, opóźnione o niecały dzień. A także w Paryżu, Rzymie, Madrycie... przed upływem tygodnia będzie wszędzie. Zostawiając śniadanie nietknięte, Ram wstał od stołu i znowu zadzwonił. – Wychodzę, Thompson. Przekaż kucharzowi, że ma się upewnić, że dostawa dotrze dzisiaj. Jeśli nie, pojedź do miasta i sam zrób zakupy.

Spacerując ze strzelbą po swoich rodowych akrach, otwierając furtki w płotach i błakając się po łąkach, Ram rozmyślał o wywiadzie i zdjęciach, które przekazał

korespondentce *People*. To będzie niesamowity artykuł. Zniszczy ją. Po tym już nigdy się nie pozbiera. Upewnił się co do tego.

A więc jej zdjęcie ma się ukazać na okładce? Naprawdę? Ram gapił się na mokre pola, wyobrażając sobie jej twarz, wyobrażając sobie jak będzie wyglądać rozbita, zmiażdżona, zniszczona, poraniona, z krwią ciekącą z nozdrzy, z uszu, z oczu. Chwila po chwili, podtrzymywał się na duchu tymi obrazami, a potem widział ją znowu taką jaka była wieczorem czternastego lipca, widział ją tańczącą w sukience z białej koronki, fruującą radośnie z ramion do ramion, z płonącymi, niewinnymi oczami rozświetlonymi odkryciem i radosnym uniesieniem, z włosami podskakującymi w powietrzu, splątanymi, śmiejącą się, tańczącą ze wszystkimi, tylko nie z nim... tego wieczoru kiedy wreszcie zdał sobie sprawę, że musi ją osiąść, albo umrze.

Tego deszczowego dnia nie wrócił na lunch, nie było go też w porze herbaty. Pani Gibbons, gospodyni, zaczęła narzekać na swego pracodawcę, który zwykle ściśle trzymał się ustalonych godzin.

– Na dworze jest tak wietrznie – poskarżyła się pokojówce Sally. – Taki dzień nie jest też najlepszy na strzelanie, ani trochę. Ptaki nie latają. Pomyślałam o tym jak zobaczyłam go wychodzącego z domu, ale przecież nie mogłam nic powiedzieć.

– Gentlemani potrzebują trochę sportu – filozoficznie odpowiedziała pokojówka.

– W taką pogodę można nabawić się zapalenia płuc, ot co, a poza tym kucharz zrobił taki pyszny stek na lunch – uskarżała się pani Gibbons.

– Ktoś stuka do drzwi spizarni – Sally zawiadomiła gospodynię, która w trakcie długich lat służby w Woodhill stawała się coraz bardziej głucha. – Ja pójdę.

– Ktokolwiek to jest, każ wytrzeć nogi przed wejściem do kuchni.

Krzyk pokojówki przedarł się nawet przez głuchotę pani Gibbons, wdarł się do każdego kąta Woodhill Manor. wdarł się do skrzydła wzniesionego za rządów Elżbiety I, do skrzydła, które dobudowano w czasach królowej Anny, do skrzydła z lat edwardiańskich. Każdy pokój tego błogosławionego przez czas, cudnego starego domu, przez moment odpowiadał echem krzyku kobiety, która otworzyła drzwi rolnikom niosącym ciało Rama. Pół głowy było odstrzelone, ale deszcz, który godzinami zlewał martwe ciało, tak dokładnie zmył krew, że widać było pozostałą połowę mózgu.

Tego wieczoru, kiedy człowiek z kostnicy zabrał wreszcie ciało i usiadły

skulone nad kieliszkiem brandy, Sally, z oczami zaczerwienionymi od płaczu, zapytała oszołomionym tonem: – Dlaczego gentlemani nie są bardziej ostrożni, pani Gibbons. Nigdy, przenigdy nie lubiłam patrzeć na ludzi chodzących z naładowaną bronią, nie, nigdy, żeby byli nie wiem jak dobrymi strzelcami. Nic mnie nie obchodzi sportowe życie. Biedny książę Valensky.

– Znajdzie się jakiś inny Woodhill na jego miejsce. Jak tylko prawnicy wezmą się do roboty, Sally. Ciekawe kto to będzie?

– pocieszająco powiedziała pani Gibbons. – Pewnie czas pokaże.
Zawsze tak jest.

Nikt nie studiował zdjęcia Daisy dokładniej niż Czcigodna Sarah Fane. Nikt nie przeczytał uważniej artykułu, niemal ucząc się na pamięć każdego słowa, niż Czcigodna Sarah Fane.

Kiedy podniosła okładkę do lustra i porównała się ze zdjęciem na niej, wyraz zadowolenia, a potem satysfakcji pojawił się na jej twarzy, twarzy wyśmienitej angielskiej róży, której wyhodowanie zajmuje setki lat.

Jest w bardzo, bardzo dobrym typie... jeśli ktoś lubi taki typ, pomyślała Sarah Fane. Ściślej rzecz biorąc, trudno było żądać czegoś śliczniejszego. Mogło to być zrozumiane jako komplement, nieco dziwny komplement – i taki, którego nie wolno jej nigdy powtórzyć – ani zapomnieć. Niemniej jednak zdecydowanie był to komplement.

Wyrzuciła pismo do kosza na śmieci i wróciła do ubierania się. Była tak punktualna, że została jej jeszcze chwila na podziwianie dwudziestodwukaratowego pierścionka zaręczynowego, o wiele za dużego, aby był wulgarny. Myślała o tym jak cudowne życie ma Przed sobą jako żona najbogatszego właściciela odwiertów naftowych w Huston. Jego bogactwo przekraczało pojęcie, przekraczało zmysły. Nic na tym świecie nie będzie poza jej zasięgiem. Rodzina jego matki pochodziła ze Springfield w Illinois i szczyła się dwoma wiceprezydentami Stanów Zjednoczonych, jednym wielkim senatorem i jednym przodkiem, który był wśród podpisujących Deklarację Niepodległości. Jego pradziadkiem ze strony ojca był magnat wśród pionierskich rozbójników, była to kombinacja, która w Ameryce stapiała się w odpowiednik rodu królewskiego. Sarah Fane zawsze przysięgała sobie, że nie było nic gorszego niż pozostanie niezamężną byłą debutantką, ale nie mogła zaprzeczyć, choć tylko przed samą sobą, że źle rozplanowała ten rok. Ale naprawi to przed jego końcem. Życie w Huston, gdzie oczywiście miała rozpocząć swe rządy królowej, było pod każdym

względem wysoce ucywilizowane. Będą podróżować. A przy tym uwielbiają, przypomniawszy sobie. To uwielbienie było tak namacalne, że czuła jego zapach w swoich włosach, czuła jak otacza ją jak dym z kadzidła palonego dla bożka. To uwielbienie stworzyło jej obraz, tak idealny, że sama nie mogłaby życzyć sobie czegoś bardziej nieskazitelnego. Cokolwiek miała przynieść przyszłość, na pewno świetnie wywiąże się z roli pierwszego męża.

Daisy spała głębokim snem osoby kompletnie wyczerpanej emocjonalnie. Obudziła się wcześniej następnego ranka, przepelniona ogromną, odzyskaną we śnie, radością. Wszystkie szczegóły snów zbladły, z wyjątkiem jednego fragmentu, jednego mignięcia, jednej jasnej sceny, kiedy z uniesieniem biegnie przez wielką, ukwieconą łąkę, trzymając za rękę Danielle, która biegnie tak samo lekko i szybko jak ona. I to było wszystko. Daisy leżała pławiąc się w tej nagłej radości, tak fosforyzującej, tak rzeczywistej, że nie śmiała się ruszyć w obawie przed utratą tej wizji, tego kompletnie tajemniczego nawiedzenia. Czy to miało kiedyś miejsce? Czy kiedyś biegły razem? Ile mogły mieć wtedy lat? Nie przypominała sobie takiego przeżycia, ale czuła głęboko, że musiało się zdarzyć... a jeśli nawet nie, zdarzyło się teraz, w tak realnym śnie, że stał się wspomnieniem bardziej rzeczywistym niż sama rzeczywistość. Była to część jej egzystencji, skryształizowana na zawsze w świetle, kolorze i uczuciu biegu... ona i Danielle biegały tej nocy i obie były szczęśliwe. Bardzo szczęśliwe. Były razem i były sobie równe.

Zachwyt snem nie mijał, cudowna wizja nie zniknęła nawet kiedy zadzwonił telefon i Daisy poczuła, że musi natychmiast wyjść. Szybko włożyła dzinsy, sandały i cienki, granatowy, bawełniany golf. Włosy ułożyła wokół głowy i przypięła pewnie, ale niecierpliwie. Wówczas zawiązała na głowie granatowo-czerwoną chustkę, ukrywającą każdy kosmyk. Odszukała największe okulary przeciwsłoneczne jakie miała, włożyła je i spojrzała w lustro, zadowolona, że nikt nie powinien jej rozpoznać. Było już po dziewiątej, telefon ucichł po ośmiu lub dziewięciu dzwonek, a po chwili znów dzwonił.

Daisy przypięła Tezeuszowi smycz i wybiegła z domu, aby jak najdalej od telefonu, jak najdalej od kogokolwiek, kto mógłby starać się o kontakt z nią. Złapała taksówkę, która powiozła ją w porannym ruchu przez SoHo, w górę Park Avenue, a potem na zachód, przejeżdżając przez park przy 72 Ulicy. Kiedy dojechali w pobliże Sheep Meadow, wysiadła, zapłaciła i spuściła Tezeusza ze smyczy. Otaczali ją inni właściciele wyprowadzonych psów, dzieci grające w

frisbee i w nieśmiertelną siatkówkę, młode pary tulące się na kocach w porannym słońcu, które robiły wrażenie jakby spędziły tu całą noc. Daisy usiadła ze skrzyżowanymi nogami na rzadkiej trawie i popatrzyła na otaczające ją wieżycy miasta.

Po kilku minutach stała się świadoma uczucia, które narastało jak przyływ, od palców u nóg, aż po korzenie włosów, uczucia, które było jej tak kompletnie nieznane, że nie potrafiła go zidentyfikować, chociaż wiedziała, że jest ważne. Usiłowała pojąć jego istotę, ale nie udawało jej się dopóki nie ujrzała Tezeusza, swobodnie biegającego z jednego końca sporej łąki w drugi z tryskającą energią psa, który zwykle musi znajdować się pod ścisłą kontrolą; wtedy zaczęła pojmować. Czuła się wolna. Czuła się jakby wielki ciężar rumowiska przeszłości został usunięty, rumowiska tak oblepionego błotem i osadem, jak przedmioty wydobyte przez nurka z zatopionego statku, rumowiska, do którego była przykuta łańcuchami. Ten ogromny, brudny ciężar pochłaniał tak wiele jej uwagi. Musiała zdemontować przeszłość, aby móc skoczyć do morza przyszłości i jednym posunięciem Ram uwolnił ją, jakkolwiek było to brutalne, od życia, w którym była związana i zakneblowana przez nieracjonalne tabu, lęki, sekrety. Działanie, które miało ją unicestwić, wyprowadziło ją z labiryntu na świeże, czyste powietrze. Znowu ujrzała Rama siedzącego na leżaku w La Maree, przywołującego, zawsze przywołującego i tym razem zaczęła mu wybaczać, a wybacząc uczyniła pierwszy krok ku zapomnieniu go.

Ubrudzony, mały chłopiec potknął się o jej nogi i płacząc upadł jej na kolana. Uspokajała go dopóki, nie śpiesząc się, nie przyszła Po niego matka. Na plecach kobiety wisiało w siedzeniu inne dziecko. Daisy chętnie zwróciła dziecko i powróciła do swoich myśli.

W Londynie zapytała Shannona, jak mogła wybić sobie z głowy winę za stan Dani tylko dlatego, że prosta logika mówi, iż nie była to jej wina. Odpowiedział, że być *może* należało mylne przekonanie zastąpić poprawnym. A jeżeli jest trzeci sposób? Może powinna uwolnić się od tego, zapomnieć? Nie do niej należało rozdzielanie winy. Dlaczego ona miała być na zawsze skrepowana tym – cokolwiek to było – co matka i ojciec zrobili sobie nawzajem... i jej i Dani?

Twierdzenie Rama, że Dani mogła mieć normalne dzieciństwo, obalały dziesiątki wspomnień Daisy z czasów Big Sur, różnice jakie widziała między sobą i Dani od najwcześniejszych lat, do jakich sięgała pamięcią. Ten sen o biegu po ukwieconej łące... teraz wiedziała, że to nigdy nie miało miejsca. Dani nigdy nie potrafiła tak biec. Ale kłamstwa Rama zostały wydrukowane i żadna ilość

późniejszych zaprzeczeń i wyjaśnień nigdy nie zmieni tego, jak prawdę widzi opinia publiczna. Ale jakie to ma znaczenie? Wszyscy, których to dotyczyło już nie żyją, ona była jedyną żyjącą osobą, którą to obchodziło. A poza tym było to tak dawno. Seria prastarych rekryminacji Rama uświadomiła Daisy, do jakiego stopnia i ona była omotana fatalną siecią przeszłości.

Nagle Daisy znalazła się na linii ognia czterech graczy frisbee. Siedziała spokojnie, a oni nieszkodliwie rzucali plastikowym dyskiem nad jej głową. Po paru minutach gra przesunęła się na bok i ich nawoływania ucichły, a jej myśli powróciły do uczuć, z którymi zmagala się tak często w życiu, jak uczucie iż podszywała się pod księżniczkę Daisy, że nie miała prawa do tego tytułu. Nagle wydało się jej to tak jasne, że zaczerpnęła powietrza. Nie była księżniczką Daisy, ponieważ Dani nie była księżniczką Danielle. Przez cały ten czas kiedy Danielle ukrywano przed światem, czując się bliższą Dani niż to zwykle bywa w przypadku siostr, nosiła w sobie myśl o niej. Świadomość, że Dani nigdy nie będzie dane dorosnąć, nie pozwalała jej cieszyć się pełnią własnego życia. Zawsze miała zahamowania w podejściu do szczęścia jako czegoś jej nienależnego, nie czuła się uprawniona do cieszenia się radościami, nawet kiedy jej się zdarzały. Ale teraz! Teraz były ponownie złączone. Właśnie w *People* stała obejmując ręką bliźniaczkę, którą odebrano jej tak dawno temu. Nie były już rozdzielone. Ich odwieczne pokrewieństwo zostało ogłoszone światu raz na zawsze. I teraz Daisy mogła przyznać, że Dani była szczęśliwa na swój sposób oraz że nic, czego Daisy mogła sobie odmówić nie uczyniłoby jej szczęśliwszą. Nie mogła wyjaśnić przeszłości. To było niemożliwe. To było niemożliwe od zawsze.

A w tym śnie, w tym śnie... obie były szczęśliwe.

Wrócił podskakujący Tezeusz, w zębach delikatnie niosąc gołębia, położył szarpiącego się ptaka na jej kolanach. Był cały i obojętny; znając nieustraszone gangsterskie zachowanie się nowojorskich gołębi, Daisy obserwowała bez zaskoczenia, jak odchodzi z pośpieszną godnością.

– No, no, Tezeusz. Niedobry pies. – Och, właściwie dlaczego by nie pozwolić mu złapać jeszcze jednego, jeśli mu się uda, pomyślała. Nigdy ich przecież nie zabija. – Idź, pobiegaj, Tezeusz, biegaj sobie ile chcesz. Dobry piesek.

Czego zawsze pragnęła? Swobody w byciu sobą? A więc, na Boga, stała się sobą, chcąc nie chcąc, i w kolorze, i w czerni i bieli, i w setkach słów tekstu. Dzięki niedokładnościom Rama, jej podwójne życie, łącznie z ukrywanym celem przebywania wśród hodowców koni, aby zarobić pieniądze na utrzymanie Dani w Queen Ann's, stało się publiczną wiedzą. I co z tego? Nigdy nie sprzedała portretu,

którego mogłaby się wstydzić. I co za różnica, że przyjęła kontrakt Elstree, aby kupić sobie wolność od Rama? Miała prawo dysponować swoją osobą jak chciała, tak jak każda inna kobieta. Nie musiała martwić się o nazwisko Valensky... ona była nazwiskiem Valensky i mogła z nim zrobić co zechce. Ram zrobił z siebie nadętego, nudnego głupca. Daisy dokładnie wiedziała kim jest i wiedziała dlaczego Supracorp opłacało się zapłacić milion dolarów na nabycie praw do wizerunku, który może być fotografowany, wypytywany, wizerunku, który potencjalnie mógł przynieść zysk w postaci przybliżonej oceny osoby zwanej Księżniczką Daisy. Ale skoro świadoma była tej różnicy, cóż było w tym złego? Ludzie, na których jej zależało też znali tę różnicę; Kiki, Luke, Anabel... nawet Wingo i Nick-the-Greek i North. Szczerze mówiąc, North znał tę różnicę już dawno. Być może to sprawiło, że tak się na nią gniewał.

I Patrick Shannon. Daisy dokładnie sprawdziła przerzedzoną darń Sheep Meadow nim się na niej położyła. Patrick Shannon. Patrick Shannon. Kochał ją. Nie kochał pojęcia „Księżniczka Daisy”... kochał Daisy. Wczoraj była tak śmiertelnie udęczona, że jego słowa nie dotarły do niej w pełni, ale teraz, kiedy leżała gapiąc się na niebo nad Central Parkiem jej serce, któremu przydarzyło się tak wiele w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, podskoczyło jak ogar spuszczonej ze smyczy i otoczony bażantami. Jak wiele tej miłej, nowej odwagi, zastanawiała się Daisy, jak wiele z tego cudownego poczucia wolności, jak wiele z jej świeżo zdobytej mądrości, jak wiele z tej nieomyślnej intuicji nieodwracalnej zmiany, brało się ze świadomości, że Patrick Shannon ją kocha? A ile z tego stało się możliwe dzięki temu iż zrozumiała, że kocha go tak bardzo jak nigdy nie kochała żadnego mężczyzny i już kochać nie będzie?

Daisy zerwała się na równe nogi. To było jeszcze jedno pytanie, na które nie potrzebowała odpowiedzi. Do diabła z wyważaniem, mierzeniem, badaniem, sprawdzaniem, zahamowaniami, kalkulacjami, broniem się, zawsze broniem się. Dość! Popatrzyła na zegarek.

Miała jeszcze pół godziny do spotkania z Kiki w zoo. Zagwizdała na Tezeusza i zanurkowała unikając jeszcze jednego dysku frisbee. Kiedy pochyliła się, aby zapiąć smycz, o mało nie wplątała włosów w zamek. Daisy wyprostowała się zdziwiona. Co się stało z chustką? Obróciła się dookoła i zauważyła ją leżącą w miejscu, gdzie siedziała i rozmyślała. Najwyraźniej... najwyraźniej musiała ją zdjąć, chyba że wierzy się w duchy, które krążą rozwiązując chustki i rozpuszczając włosy. Daisy roześmiała się radośnie i sięgnęła do torebki wiszącej na ramieniu po niewielką szczotkę, którą zawsze nosiła przy sobie. Szczotkowała

posrebrzane włosy, szczotkowała je i szczotkowała, dopóki nie spłynęły po jej plecach jak peleryna i nie zatańczyły na wietrze jak tysiące jasnych motyli. Wyjęła składane lusterko, przypudrowała nos i posmarowała usta różowym błyszczkiem. Wrzuciła ciemne okulary do torebki, wepchnęła do niej kurtkę, a chustkę przeciągnęła przez szlufki przy dżinsach i zawiązała ją w wielką kokardę z przodu.

Daisy i Tezeusz leniwie poszli w kierunku zoo, oboje, dumny pies, a także dumna księżniczka, z wysoko uniesionymi głowami. Kiedy zbliżyła się do zoo, tłum zgęstniał. Ładna jesienna pogoda wyciągnęła na spacer pół Nowego Jorku; nie tylko nianie z dziećmi, bezrobotnych i staruszków. Kiedy Daisy przechodziła koło ławki, dwie siedzące na niej kobiety w średnim wieku, które właśnie przekazywały sobie egzemplarz *People* zauważyły ją.

– Och, popatrz! To musi być ona! – jedna z kobiet zwróciła się do drugiej.

– Chyba... tak, masz rację. Och, nie mogę w to uwierzyć, Sophie. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

– Poproszę ją o autograf – powiedziała pierwsza kobieta z podnieceniem.

– Och, nie, nie ośmielisz się, nie, Sophie, nie rób tego.

– Tak? To popatrz. – Kobieta wyrwała przyjaciółce pismo i podeszła do Daisy.

– Przepraszam, pani jest Księżniczką Daisy, prawda? – zapytała.

– Daisy zatrzymała się. A więc zaczynało się. Nie przypuszczała, że to się stanie tak szybko. Uśmiechnęła się do kobiety.

– Tak, to ja.

– Czy mogę prosić o autograf... jeśli nie ma pani nic przeciwko temu?

– Och... nie, oczywiście, że nie... dobrze... ale nie mam niczego do pisania.

– Proszę bardzo, ja mam długopis. – Daisy wzięła go i zaczęła pisać swoje nazwisko na okładce.

– Och, nie – zaprotestowała kobieta, odbierając jej pismo i otwierając je na zdjęciu Daisy i Danielle. – Wolałabym tutaj. I zechciałyby pani zadedykować to Sophie Franklin? Pisane S-o-p-h-i-e F-r-a-n-k-l-i-n – starała się pomóc.

Daisy spojrzała na duże czarno-białe zdjęcie. Dwie dziewczyny, razem, obie uśmiechnięte, obie szczęśliwe. Szybko podpisała się, oddała pismo i poszła dalej.

– Popatrz, zobacz tylko co napisała – Sophie Franklin chwaliła się przyjaciółce.

– Spójrz... „Z życzeniami wszystkiego najlepszego od księżniczki Daisy i księżniczki Danielle Valensky”. A nie chciałaś, żebym ją poprosiła!

Posępna Kiki siedziała przy stoliku na zewnątrz kawiarni w zoo, pilnując wolnego krzesła i atakując ludzi, którzy próbowali je zająć dosiadając się do niej,

co było w zwyczaju w tym miejscu.

– Czy pani trzyma to krzesło dla kogoś?

– Daisy!

– Przepraszam... spóźniłam się? – Daisy zaśmiała się siadając na krzesło.

– Nie... ja przyszedłam za wcześnie... ale... mój Boże, Daisy, wyglądasz wspaniale!

– Czy masz jeszcze jakieś rewelacje w zanadrzu?

– Daisy!

– Kiki, czy nie mogłybyśmy wymazać tych okrzyków „Daisy” co drugie zdanie? Ja wiem, że jestem Daisy, ty wiesz, że jestem Daisy, obie wiemy, że jestem Daisy, więc po co robić z tego temat dnia?

– Daisy!

– Naprawdę, Kiki, znowu minęłaś się z tematem dnia.

– Cholera, masz rację, minęłam się – powiedziała Kiki. – Miałam się za psa świętego Bernardyna, albo rycerza w błyszczącej zbroi, albo przynajmniej za kogoś kto ma przyjaciółkę w potrzebie, – a kogo spotykam; kwitnącą, wprost promieniejącą... nie, raczej oszałamiającą... co cię opanowało?

– Ja się opanowałam.

– To nie ma sensu.

– Dla mnie ma i tylko to się liczy. Biedna, kochana Kiki, musiałaś się strasznie martwić. Przepraszam, że przyprawiłam cię o tyle zmartwień.

– Mnie? Ja w ogóle się nie przejęłam, w porównaniu z innymi, którzy czuli się zamieszani w tę aferę. Luke był jak wyżęty przez wyżymaczkę, kiedy wrócił do domu wczoraj wieczorem. Cały wydział prasy spędził popołudnie odwołując emisję reklam w telewizji i druk w prasie... wycofując wszystko, co się jeszcze da...

– Poczekaj! Pat powiedział mi tylko, że odwoła wywiady, spotkania w sklepach i, być może, przyjęcie! O czym ty mówisz?

– zapytała Daisy, nagle zaalarmowana.

– O Jezu. Może nie powinnam była ci powiedzieć... sama nie wiem... Wczoraj po południu mieli naradę w Supracorp i Shannon oświadczył im, że rezygnuje z całego przedsięwzięcia zwanego Księżniczką Daisy. Luke zgadza się z nim, że bez ciebie nic z tego nie wyjdzie. Shannon postanowił położyć kres stratom zanim wydadzą jeszcze więcej niż dotychczas. Luke mówi, że przez te osiem miesięcy szastali na prawo i na lewo i wyrzucili w błoto co najmniej czterdzieści milionów dolarów. Mówi, że prawdopodobnie spróbują sprzedać Elstree... jeśli jeszcze jest coś warta.

– Ależ Kiki, mam zamiar wziąć udział w kampanii, łącznie ze sklepami. Zrobię wszystko... wszystko, do czego się zobowiązałam.

– Daisy! – jęknęła Kiki. Wolałaby, żeby przyjaciółka była bardziej konsekwentna. Wszystkie te zmiany wytrącały z równowagi nawet kogoś tak postrzelonego jak ona.

– Boże, Kiki, gdzie tu jest telefon? Co będzie, jeżeli jest już za późno? – pytała Daisy w nagłym przypiływie świadomości.

– Mogą odwołać odwołania! – Kiki krzyknęła za Daisy, która już biegła do środka kawiarni. – Nie martw się! – usiadła i popatrzyła na Tezeusza. – Nie pytaj mnie dlaczego, mały – powiedziała mu – ale kupię ci osiem hot dogów. Nie? Dziesięć?

Och, dobrze, niech będzie dwanaście. I tak wiadomo, że jesteś rozpuszczony, więc po co się oszukiwać?

Zamknawszy się w budce telefonicznej Daisy nerwowo szukała drobnych w torebce. Wydawała się być pełna denerwujących pensów i bezużytecznych półdolarówek. Ani jednej monety dziesięciocentowej. W końcu znalazła dwie ćwierćdolarówki. Wykręciła numer Supracorp; połączyła się ze złym numerem i z przerażeniem słuchała jak pierwsza moneta wpadła do środka. Drugi raz wykręciła numer z precyzją naukowca, który ma do czynienia z kolonią niebezpiecznych bakterii.

– Biuro pana Shannona – odezwała się jedna z jego sekretarek, kiedy została połączona przez centralę.

– Czy mogę z nim rozmawiać? – zapytała oddychając tak szybko, że z trudem mówiła.

– Przykro mi, pan Shannon jest na zebraniu i kategorycznie zabronił mi przeszkadzać – powiedziała sekretarka samozadowolonym tonem sprzedawcy w sklepie z obuwem, który z przyjemnością stwierdza, że nie ma niczego w odpowiednim rozmiarze. – Czy mam mu coś przekazać?

Daisy głęboko zaczerpnęła powietrze i odzyskała głos jak dzwoniący metal. – Mówi księżniczka Daisy Valensky i chcę natychmiast rozmawiać z panem Shannonem – zażądała.

– Proszę chwilę poczekać.

– Jestem w budce telefonicznej, nie mam już monet, więc jeśli nie połączy mnie pani w ciągu dwóch sekund, będę... – Daisy zdała sobie sprawę, że nikt jej nie słucha. Sekretarka przełączyła ją na oczekiwanie.

– Daisy? – usłyszała zatroskany głos Shannona.

– Pat, czy już jest za późno?

– Za późno na co? Nic ci nie jest?

– Nie – powiedziała szybko. – Czuję się świetnie, ale już jest za późno, żeby uratować sprawę Elstree, wszystko, całą kampanię, łącznie ze mną, prasą, sklepami, wszystko... czy już za późno, żeby wrócić do wczorajszej sytuacji sprzed naszego spotkania?

– Poczekaj chwilę, skąd wiesz co się dzieje?

– Kiki mi powiedziała, ale to nieważne. Pat, Pat, to jest zbyt skomplikowane, żeby wyjaśniać przez telefon, ale ja... och, odnalazłam wreszcie siebie, chyba można to tak określić... to jest...

Przerwał jej głos telefonistki: – Proszę wrzucić pięć centów za następne pięć minut.

– Daisy, gdzie jesteś? – krzyknął Shannon.

– Przyjmie pani pięć pensów? – Daisy błagalnie zapytała telefonistkę.

– Daisy, jaki tam jest numer, na miłość boską?

– Och, Pat, posłuchaj, mogłabym być jedną z pięciu bliźniaczek, ale nadal byłabym sobą, mogłabym obciąć włosy, albo ufarbować je na czarno, mogłabym już nigdy nie malować czy nie jeździć konno, mogłabym nauczyć się stenografii albo skoków spadochronowych, mogłabym zostać dekoratorką wewnątrz, gwiazdą filmową lub introligatorką i nadal będę sobą – wyrzuciła z siebie.

– Skąd, do diabła, dzwonicz?

– Z zoo. Pat, Pat, nie rozumiesz? Jestem tą osobą, którą znasz, po prostu nią... czy może mną... nieważne, ale nie jestem nikim innym, jestem sobą, to ja, Daisy Valensky, i w środku, i na zewnątrz, od stóp do głów, i cieszę się z tego, po raz pierwszy jest mi z tym dobrze, naprawdę dobrze, czuję się realna, Pat, realna i zasługuję na to, ze wszystkimi plusami i minusami... och, ciągle zapominam... Jeszcze nie jest za późno, żeby zrealizować plany związane z Księżniczką Daisy, prawda? Żeby odwołać odwołania?

– Do diabła, oczywiście, że nie, ale Daisy, gdzie...

Rozmowa została przerwana i zamiast jego głosu usłyszała przenikliwy dźwięk charakterystyczny dla zepsutego aparatu.

Daisy ze zdziwieniem popatrzyła na skrzynkę na ścianie. Ona, nieskończenie skuteczna realizatorka tysięcy skomplikowanych planów zdjęciowych, zapomniała o przestrzeganiu podstawowej zasady wymaganej od najmniejszych asystentów reżysera: dzwoniąc z budki podaj numer i poczekaj aż oddzwonią. Odwiesiła słuchawkę i poszła pożyczyć trochę drobnych od Kiki. Nie skończyła jeszcze

rozmowy z Patrickiem Shannonem, daleka była od tego.

Jeśli mieszka się na Manhattanie dostatecznie długo, można pogodzić się z faktem, że co roku jest zaledwie z tuzin idealnych dni; dni, w których Nowy Jork zyskuje poświęcenie miejsca otoczonego morzem, która nadaje mu czegoś magicznego; dni kiedy w mieście wieje wietrzyk, ale nie na tyle silny by tworzyć wiry śmieci na chodnikach; dni, w które łatwiej wspomina się i rozumie, że to miasto było kiedyś pasterską wyspą, otoczoną rwącymi rzekami; dni, kiedy gołym okiem można widzieć wszystko w poprzek miasta, od Hudson River do East River; dni, w które nowojorczyki gratulują sobie zdolności wytrzymania w tym mieście przez resztę roku.

Rosyjski Bal w Pałacu Zimowym odbył się wieczorem jednego z takich właśnie dni. Niespodziewany spokój ogarnął obciążonego szczegółami ducha Candice Bloom, kiedy zbudziła się tego ranka, wyjrzała przez okno i powąchała powietrze. Od razu wiedziała, że nie zaskoczy ich żadna nagła choroba wśród czterystu pięćdziesięciu pracowników Warnera Le Roya w Tavern on the Green; ani jeden z sześciuset gości, starannie wybranych z górnych warstw każdego segmentu nowojorskiej społeczności wymieszanych światów artystów i możnych, nie sprawi zawodu; nie będzie problemu z rzeźbami lodowymi topniejącymi zanim zostaną wystawione na widok; żaden z koni zaprzężonych do trojek, nie znarowi się i nie poniesie swoich cennych gości; wieczór będzie ciepły, gwiazdy będą wyraźnie widoczne na nowojorskim niebie koloru śliwkowego i nie będzie potrzeby korzystania z namiotu ustawionego na tarasie restauracji, który wczoraj wypełniony został siedmiuset wazonami wysokich bukietów stokrotek sprowadzonych samolotem z Kalifornii. Nie będzie księżyc, ale komu potrzebny będzie księżyc przy dwu tysiącach świec i sześćdziesięciu tysiącach migających lampek. Każdą kością wychudzonego, marnie umięśnionego ciała czuła, że piątek, szesnastego września 1977 roku, będzie jej szczęśliwym dniem.

Daisy obudziła się tego samego rana wcześniej i przez moment była nieco skonsternowana, ale po chwili przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru położyła się do łóżka z Patrickiem Shannonem i już go nie opuściła. Po raz pierwszy spędziła u niego całą noc, a pełną winą za to obciążała Lucy. ogara Shannona: najpierw flirtowała, a potem odrzucała zaloty Tezeusza przez absurdalnie długi czas... w pewnym momencie przemyślnie schowała ogon pod siebie i ugryzła go w nos... ostatecznie, powoli zaczęła się namyślać, właśnie w

chwili kiedy Daisy gotowa była zabrać skołowanego, choć nadal chętnego Tezeusza, na jego własną poduszkę. Lucy nie była łatwą klientką, pomyślała zaspana Daisy, ale jeśli chce mieć prawdziwe małe ogarki, aby jednego z nich podarować Kiki, będzie musiała znieść tę sukę. Zasnęła z powrotem na parę minut, aby obudzić się w ramionach Shannona. Było to coś, co wykraczało poza rzeczywistość poprzednich doświadczeń, czuła głębokie, zdecydowane zadowolenie. Jej ciało, od czubka głowy aż po palce u nóg wykonywało taniec radości i powitania. Nie było żadnych barier między ich ciałami, umysłami i sercami, kiedy spleceni, wydawali się leżeć otoczeni złotym światłem, czystym, wesołym i przenikającym, choć słońce nawet nie zajrzało jeszcze do pokoju. Daisy czuła się jakby znalazła się w samym środku Ziemi, jak pestka w ogromnym owocu, ale jednocześnie miała uczucie, że fruną razem gdzieś na obrzeżach świata, na zewnętrznej krawędzi doświadczenia.

– Czy to błogość? – wyszeptała do niego.

– To miłość – odpowiedział szeptem, a kiedy podniosła ręce, aby objąć go za szyję, poczuł na jej policzkach łzy szczęścia.

* * *

Maszyny produkujące śnieg zaczęły pracę na podjeździe dla trojek, który przebiegał koło wejścia do parku od 59 Ulicy. Rozsypały solidny dywan śniegu, szeroki na trzydzieści metrów, aż do Tavern przy 67 Ulicy. Tam podjazd przechodzi przed tarasem restauracji; producenci śniegu kontynuowali pracę, dopóki taras nie znikł z ich pola widzenia. Wówczas zawrócili i pokryli chodnik przed głównym wejściem do Tavern, a następnie ulicę aż do Central Park West, aby goście, zarówno ci w limuzynach, jak i w trojkach wjeżdżali do prawdziwie zimowego otoczenia. Jenny Antonio znalazła trzydzieści trojek na Florydzie, w Maine i w Teksasie, które ciężarówkami przywieziono do Nowego Jorku, ale nawet ona nie była w stanie zdobyć tylu, żeby wystarczyło dla wszystkich sześciuset gości. W Stanach Zjednoczonych nie ma zbyt wielu trojek, a pomimo słownikowego zapewnienia, że każdy pojazd ciągniony przez trzy konie, jest trojką, Candice uparła się, aby wybierać tylko te, które wyglądają przynajmniej obco, jeśli już nie są zdecydowanie rosyjskie. – Nie chcę, żeby to wyglądało jak *nouveau* wersja „Wagon Train” – ostro napominała Jenny.

Wydział Parków pozwolił Supracorp zgromadzić trojki, woźniców i konie oraz wznieść tymczasowe podium, z którego mieli wsiadać goście. Pieniądze Supracorp

zainspirowały głównego scenarzystę Josepha Pappa do stworzenia zdrowej, kapitalistycznej scenerii. W efekcie powstał pawilon z drewnianej kraty, pokryty stokrotkami, który był w stanie zasugerować jak mógłby wyglądać Kreml, gdyby trafił w ręce kogoś z gustem. Wielkie proporce, w morskim błękitcie Księżniczki Daisy, z wyhaftowaną pojedynczą, stylizowaną stokrotką, powiewały nad każdym rogami pawilonu, który jasno oświetlały reflektory ukryte w drzewach. Trzydziestu woźniców trojek kostiumolog teatralny ubrał w autentyczne futra i czapki o trzech rogach, jedne czerwone, inne zielone, a jeszcze inne niebieskie.

Tego wieczoru, po zapadnięciu zmroku, Candice Bloom i Jenny pierwsze przyjechały do Tavera on the Green wynajętą limuzyną, aby po raz ostatni sprawdzić wszystkie przygotowania. Zatrzymały się na chwilę w miejscu, gdzie dziesięciu rzeźbiarzy w łodzi właśnie kończyło pracę. Fotoreporterzy już czekali przy głównym wejściu do restauracji. Candice zdecydowała, że zatrudniła więcej cygańskich skrzypków niż potrzebowali, więc jedną ich grupę odesłała dziesięć przecznic dalej, do pawilonu, aby tam przygrywali szczególnie uhonorowanym gościom, których zaproszono aby się tam stawili i podjechali pod restaurację trojkami.

Kiedy dziesiątki kelnerów zaczęły zapalać dwa tysiące świec w srebrnych świecznikach, Candice i Jenny ponownie wsiadły do długiego, czarnego samochodu i zostały zawiezione do pustego jeszcze pawilonu. Zostało jeszcze parę minut do przybycia Daisy i Shannona, którzy mieli udać się trojką do restauracji przed pojawieniem się pierwszych gości. Candice, trzęsąc się ze zdenerwowania, pochyliła się nad nieskazitelną, przemyślaną, całkiem możliwe, że idealną listą, dziełem sztuki jej zawodu, który... teraz była już pewna... zasługiwał na posiadanie własnej szkoły wyższej.

Trojka Pierwsza: Księżniczka Daisy i Patrick Shannon.

Trojka Druga: Burmistrz Koch, Gubernator Carey, Annę Ford i Bess Myerson.

Trojka Trzecia: Sinatra, Johnny Carson, Sulzberger oraz Grace Mirabella z *Vogue* Trojka Czwarta: John Fairchild, Woody Allen, Helen Gurley Brown, David Brown i Roma Barrett.

Trojka Piąta: Streisand, Peters, Barbara Walters...

Coś jej przeszkodziło w gorliwej kontemplacji, jakiś ruch, na który było za wcześnie w jasnym, wypełnionym kwiatami pawilonie. Nie, pomyślała Candice, nie, to po prostu nie może być Tezeusz. Jego nie było na jej liście. Duża, owłosiona, tym razem straszliwie ożywiona, przerażająca bestia, wpadła do pawilonu, złowrogo uniosła łeb i popatrzyła na nią z ukosa, w sposób jaki zapewne

uprzedzał uderzenie do ataku. Candice zmroziło w oszalamiającej odrazie. Okropne zwierzę podeszło do niej bokiem i wsunęło łeb w jej krocze, co miało być poważnym komplementem, tyle że ona o tym jeszcze nie wiedziała.

– Lubi cię – powiedziała Daisy.

Dopiero wtedy Candice zauważyła, że Tezeusz uwiązany był na smyczy ze srebrnych wstążek wysadzanych cekinami, do których przyczepiony był bukiecik stokrotek. Została uratowana przed głośnym krzykiem. Nadal bojąc się unieść oczy, żałośnie zapiszczała: – Daisy, co to właściwie za rasa chien, na miłość boską?

– Szlachetny ogar – odpowiedziała Daisy, rozwiązując problem raz na zawsze.

Kiedy Daisy weszła głębiej, wszystkie światła w pomieszczeniu rozpadły się na miliony świetlistych pałeczek blasku, który odbijał się w jej sukni. Była wysadzana srebrnymi cekinami, a w cienkiej talii błyszczały cekiny ze złota i brązu, naszyte na wstążki trompe l'oeil. Takie same wstążki tworzyły kokardę na wysokim dekolcie i dekorowały obrębek na dole. Suknia była zbiorem niezrównanych teatralności, jakich nikt nie odważył się włożyć od pięćdziesięciu lat... była to suknia wkładana raz w życiu, która po tym wieczorze miała zostać oddana do muzeum.

Daisy i Patrick Shannon, z Tezeuszem pośrodku, przeszli przez pawilon i wyszli na zewnątrz, gdzie czekała na nich polakierowana na srebrno i wypełniona kwiatami trojka. Muskularny woźnica uprzejmie spojrział na całą trójkę.

– Proszę powiedzieć kiedy będą państwo gotowi, a potem wygodnie usiąść i przygotować się na przejazd – powiedział.

– Bardzo proszę – odezwała się Daisy – proszę mi oddać lejce. Może pan zsiąść i powozić następną trojką.

– Ale nie umie pani tym powozić – powiedział zaszokowany człowiek.

– Jeśli nie umiem – zaśmiała się – to taka rzecz jak dziedziczność nie istnieje.

– Na pani własne ryzyko – ostrzegł.

– Może... ale to mnie nie powstrzyma.

Czując, że nic nie wskóra, woźnica zeskoczył z trojki, mrużąc coś pod nosem.

Księżniczka Daisy Valensky uniosła się jednym płynnym, niezmaconym ruchem i mocno stając na wyprostowanych nogach, wyciągnęła ramiona i chwyciła sześć rzemieni lejców w sposób budzący najszczerzy podziw. Pod jej dotykiem trzy białe konie uspokoiły się i stały spokojnie w oczekiwaniu. Shannon i Tezeusz usiedli wygodnie patrząc na nią. Była silna, giętka, pogodna, radosna, i pani, i służąca chwili.

– No i? – pytająco zwróciła się do Shannona. – Co powiesz na „Tallyho”?

– Jakoś wolałbym „Lafayette, już jesteśmy” – odpowiedział.

– A czemu nie *en avant*? – zapytała Daisy przedłużając rozkosz.

– Może nawet zwykłe wio wystarczy – odpowiedział, przez moment czując współczucie dla wszystkich mężczyzn na świecie, którzy nie byli Patrickiem Shannonem.

Słodki dźwięk srebrnych dzwonek koni uniósł się w noc, a Daisy, jednym swobodnym zdecydowanym gestem, tak precyzyjnym i stanowczym, że nie potrzebowała słów, kazała trzem koniom ruszyć galopem i poprowadziła trojkę po śniegu w kierunku świateł przyzywających z oddali.